

MICHAŁ

GOŁ

KOŃ

SOŃ

JADEITOWY  
PAJĄK



fabryka słów  
WYDAWNICTWO



*MICHAŁ  
GOŁKOWSKI*

*JADEITOWY  
PAJĄK*

Ilustracje  
Paweł Zaręba

fabryka słów®  
Warszawa

# Spis treści

Karta tytułowa  
Karta redakcyjna  
Cykl Świat we krwi  
Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Epilog  
Posłowie od autora  
Michał Gołkowski

COPYRIGHT © BY Michał Gołkowski  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2024

WYDANIE I

ISBN 978-83-67949-12-5

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE ORAZ PROJEKT

Szymon Wójciak

ILUSTRACJE

Paweł Zaręba

REDAKCJA

Ewa Białołęcka

KOREKTA

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

www.dressler.com.pl  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



WYDAWNICTWO  
Fabryka Słów sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91  
[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)  
e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)  
[www.facebook.com/fabryka](http://www.facebook.com/fabryka)

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

# Cykl Świat we krwi



Pierzasty Wąż  
Obsydianowy Motyl  
Jadeitowy Pająk

*Ziemia drży: Mexik zaczyna swą pieśń!  
Pole bitwy jest miejscem, gdzie smakuje się  
boskiej ambrozji wojny,  
gdzie szkarłat bryzga na boskie orły.  
Tam właśnie tygrysy skowyczą,  
spadają z ozdób kamienie szlachetne,  
powiewają pióropusze bogate i piękne,  
zaś książęta upadają w proch.  
Nazwali to miejsce Teotihuacán,  
ponieważ to tam właśnie  
pochowano dawnych władców,  
którzy tako rzekli:  
„Zaiste, gdy umieramy,  
to nie umieramy wcale,  
ponieważ żyć będziemy, ponownie powstaniemy  
i będziemy żyć dalej, zbudzimy się,  
w tym odnajdziemy szczęście”.  
Rozprysnie się nawet jadeit,  
straci blask swój złoto,  
pióra quetzala opadną...  
Nikt nie żyje na świecie tym bez końca:  
na chwilę tylko jesteście tu!  
Groblem jeno jest świat, nie umknie zeń nic;  
nic nie jest na tyle doskonałe,  
aby nie połknęła tego ziemia.  
Rzeki, strumienie, ruczaje i wody płyną w dal,  
nigdy nie wracając ku swoim radosnym źródłom.  
Niepewnie gnają ku dalekiej domenie Boga Deszczu,*

zaś im szerzej rozciąga się ich koryto,  
tym głębszy rzeźbią sobie grób.  
Pełne są trzewia ziemi morowego prochu,  
co był krwią i kością, niegdyś żywym ciałem człowieka, co  
zasiadał na tronie, rozsądzał spory,  
przewodził obradom, dowodził armiami,  
podbijał prowincje, gromadził kosztowności,  
niszczył świątynie, kąpał się w blasku zaszczytów, majestatu,  
fortuny, pochwał i siły.  
Rozwiała się w nicość jego chwała,  
znikła niczym płochliwy dym,  
co unosi się z ognistych głębin góry Popocatepetl.  
Przepadły bez śladu, jeno w słowie drży ich szept.

Nezahualcoyotl, król Texcoco





# Rozdział 1

*Czerwiec 1520*

**H**uēi Tlahtoāni Xahuatl, władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie, pan Imperium Słońca, Ten, Którego Ręce Zdobią Malunki, siedział samotnie na stopniach u szczytu Wielkiej Piramidy.

Przed nim, pod nim i wokół niego rozciągała się ledwie widoczna w szarówce bladego przedświtu panorama Tenochtitlán.

Jaśniejsze kwadraty i prostokąty kwartałów mieszkalnych.

Ciemne kreski ulic.

Plamy placów.

Granatowe linie kanałów...

...żarzące się krwawym pomarańczem przygasającego żaru pogorzeliśk, z których od czasu do czasu wznosiły się niesione wiatrem pióropusze iskier.

Snujące się ciężkimi całunami kłęby gęstego dymu z dopalających się stosów pogrzebowych.

I punkciki ognisk rozpalonych wokół Wielkiej Piramidy.

Tam w dole czekali ludzie.

Czekali nieprzerwanie od zapadnięcia zmroku, aż nowy najwyższy król zejdzie ku nim, aby wreszcie poprowadzić ich do walki przeciwko znienawidzonym białym najeźdźcom.

Zahred widział z tego miejsca również pałac Axayacatla, wokół którego jeszcze długo w nocy wrzały zażarte walki.

Nawet teraz rozniecone tam pożary – wszczęte czy to przez broniących się Kastylijczyków, czy też atakujących ich Mexików – to przygasały, to wybuchały z nową siłą, przerzucając się na kolejne budynki.

Nad miastem wisiała ciężka, dławiąca woń ugotowanej krwi, panicznego strachu i gwałtownej śmierci.

W tym wszystkim czuć było jeszcze jeden zapach: charakterystyczny odór spalonego ciała, niosący się od stygnących już teraz węgla stosu pogrzebowego na szczycie Wielkiej Świątyni, który wraz z całym Tenochtitlán płonął przez większą część nocy.

Teraz węgle, rozgarnięte i przesiane przez kapłanów sprawujących obrządek pochówku Montezumy, oddawały już ostatnią resztkę ciepła wilgotnemu powietrzu późnej nocy.

To, co pozostało po doczesnej powłoce wielkiego króla, skrzętnie pozbierano, zawinięto pieczołowicie w kawałki świętej tkaniny i pochowano, jak nakazywał obyczaj, pomiędzy kamieniami najwyższego stopnia piramidy.

Tego, na którym siedział teraz Zahred.

Leżący obok niego Kefren zapiszczał przez sen, drgnął i obudził się. Pies zastrzygł uszami, polizał łapę, w którą został ranny poprzedniego wieczora. Spojrzał pytająco na człowieka, przy którym trwał przez całą noc: długo jeszcze?

Zahred wyciągnął tylko rękę, podrapał go między uszami.

Uwijające się w ranie na jego przedramieniu muchy poderwały się z głośnym bzyczeniem, ale zaraz wróciły do przerwanej pracy, upychając w szybko gojącej się dziurze odrobinki tkanki, znoszone przez ich siostry z zalegających ulice miasta trupów.

Nie miał ochoty się ruszać.

Nie miał ochoty nic robić.

Nie miał ochoty nawet myśleć.

Potrafiłby tak tu siedzieć, po prostu trwać, zawieszony pomiędzy nocnym niebem a ziemią.

Samotny człowiek z miastem u stóp.

Tym samym miastem, które tak bardzo umiłował Montezuma. Którego do ostatniej chwili, wbrew rozsądkowi i logice, starał się bronić za wszelką cenę, przekonany, że jego ofiara odwróci nieuchronnie nadciągające nad Tenochtitlán nieszczęście. I który zapłacił za to własnym życiem, a jego poświęcenie poszło na marne.

Bo teraz, niczym zrzędzeniem złośliwych i przewrotnych bogów, wszystkie wysiłki i starania Montezumy obróciły się wniwecz. To, czego tak pragnął wielki król – pokój i współistnienie – pękło niczym bańka na kałuży podczas deszczu.

Teraz zaś on, z woli Montezumy nowy Huēi Tlahtoāni i władca Imperium Słońca, musiał zmierzyć się z dziedzictwem, jakie zostawił mu poprzednik.

„Musiał”, mimo że wcale nie miał na to najmniejszej ochoty.

Wolałby siedzieć tu i patrzeć, jak na jaśniejącym niebie powoli gasną gwiazdy, a ponad szczyty gór niezauważenie wypełza dojmująco chłodny, bladoróżowy świt.

Jednak westchnął ciężko, podniósł się i ruszył po wysokich kamiennych stopniach na dół, ku czekającym na niego Mexikom, Tlaxcaltekom i jego Kastylijczykom.

Nie – nie jego Kastylijczykom. Teraz wszyscy oni pospołu byli jego ludźmi.

Ponieważ to było jego miasto.

Jego imperium.

Jego dom.



– Nie, nie...! Aaa...!

Wrzask urwał się na najwyższej nucie i przeszedł w gulgotanie, a potem charkot, kiedy klinga pałasza zagłębiła się w brzuchu mężczyzny.

Ihuicapalli, gubernator potężnego miasta Azcapotzalco, wybałuszył oczy i rozwarł szeroko usta, niczym wyciągnięta na brzeg ryba, a potem opadł na kolana i przewrócił się na bok, brocząc obficie jasnoczerwoną krwią.

Pan Diego de Ordaz przydepnął ciało i wyciągnął ostrze z miękkim młaśnięciem, wytarł miecz o połę kolorowego, ceremonialnego płaszcza konającego.

– Tam jest jeszcze jeden! – zawołał do swoich ludzi, pokazując wolną ręką w kierunku, gdzie chwilę wcześniej zniknął uciekający przed nim dostojnik. – Brać go, chłopcy!

Kilku żołdaków zbrojnych w piki i rohatyny wpadło do sąsiedniego pomieszczenia śladem umykającego przed nimi

*tlacatecatl* potężnego miasta Atlixcatzin, syna nieżyjącego już imperatora Ahuítzola.

Tamten rozejrzał się desperacko, szukając drogi ucieczki – rzucił się ku oknu, chcąc wyskoczyć na zewnątrz.

Już, już zadarł nogę i stanął na parapecie.

Byłby zdążył.

Lecz jeden z Kastylijczyków dopadł go i dźgnął długim ostrzem pomiędzy łopatki.

Dostojnik wrzasnął i wyprężył się konwulsyjnie, a potem poleciał głową naprzód, prosto na dziedziniec piętro niżej.

Spadł niczym kamień, bezwładnie, uderzył ciężko o bazaltowe płyty. Chciał się jeszcze podnieść, jakimś cudem podparł się ręką, której złamana kość wyszła przez skórę – ale inny żołnierz doskoczył do niego, przyszpilił do ziemi włócznią, niczym motyla szpilką.

Żołdak zaśmiał się, pomachał wyglądającym z okien na piętrze towarzyszom: załatwione!

Jeszcze ktoś próbował uciekać, klucząc między kolumnami podpierającymi dach tarasu i zamierzając czmychnąć w gęstwinę spowitych półmrokiem ogrodów.

Wbiegł już pomiędzy krzewy, kiedy przyglądający mu się od dłuższego czasu arkebuzer spokojnie, flegmatycznie złożył się do strzału i ściągnął spust – rusznica szarpnęła, bluznęła ogniem, niedoszły uciekinier rozkrzyżował ręce i padł jak rażony gromem.

– Piękny strzał, panie Piedrabuena! – zaśmiał się de Alvarado. – Godny zbożnego, chrześcijańskiego dzieła! Wspomnę o was caudillowi, gdy będę mu raport z naszej pracy zdawał... No, jak tam, Garçia? Skończyliście?

Idący od strony pałacu żołnierz z zarzuconą na ramię zakrwawioną rohatyną odcharknął i splunął na ziemię,



przestępując ponad leżącymi mu na drodze trupami mężczyzny i kobiety, wciąż trzymającymi się za ręce.

– Na to wygląda, panie kapitanie! Jeden chyba tylko się wymknął, ale z bełtem w plecach, więc daleko nie ucieknie. Może nie mówcie admirałowi...

– Nawet nie zamierzam, Garčia. Dobra robota, zwołajcie ludzi.

Kiedy de Alvarado i jego oddział wrócili, przeszli przez posterunki, przedostali się ponad ustawionymi w bramach i przejściach barykadami i wspięli po drabinie, będącej teraz jedyną drogą na zamienione w twierdzę piętro rezydencji, Cortés czekał już na nich.

– I co? – zapytał krótko caudillo, podnosząc przekrwione, zmęczone oczy.

– Zrobione – równie krótko odparł de Alvarado.

– Dobrze. Każ dzikusom, niech uprzątną ciała i wyniosą je stąd, zanim zaczną cuchnąć i zlecą się te cholerne...

Muchy, pomyślał de Alvarado, kiedy Cortés urwał w pół słowa.

Mimo że była to nadal ta sama piekielna noc, miał wrażenie, że minęła już cała wieczność.

Wieczność dymu i walki.

Dzikiego zawodzenia szturmujących ich falami Indian.

Kamieni sypiących się z ulic niczym grad.

Lecących ze świstem i furkotem oszczepów.

Pożarów mniejszych i większych, co rusz wzniecanych w kolejnych częściach kompleksu pałacu Axayacatla przez dzikusów, chcących najwyraźniej upiec ich tu żywcem.

Wieczność cięć, sztychów i zastaw szpada, od których mdlała już ręka, a mięśnie płonęły.

Charkotu i jęków mordowanych ludzi, na których miejsce natychmiast pojawiali się następni.

A mimo to nic nie mogło zatrzeć, nawet przytępić wspomnienia, które wypaliło się w jego pamięci. Widoku, który miał pod powiekami, gdy tylko przymknął na chwilę oczy.

Trupa kapitana Zahreda wstającego z ziemi w chmurze kotłujących się wokół niego much.

Odkąd wydarzyło się... TAMTO... nikt z nich nie odważył się nawet tego wspomnieć. A przecież byli tam, widzieli to bez mała wszyscy kapitanowie i spora część ludzi! Mało tego, przecież zaraz potem uderzyli na nich ciosem w plecy Tlaxcaltekwie, do których zdradziecko dołączyli ludzie z chorągwi samego Zahreda.

Jakimś cudem Kastylijczycy odrzucili ich, wyparli z pałacu.

Tak przynajmniej ktoś wtedy zawołał: „Uciekają, pokonaliśmy ich!”. Jednak zarówno de Alvarado, jak i zwykli żołnierze przeczuwali, byli niemalże pewni: tamci nie próbowali ich POBIĆ, ale zwyczajnie PRZEBIĆ SIĘ przez nich. Bo przecież wszyscy jak jeden mąż ruszyli potem jego śladem.

Śladem chodzącego trupa, który zabrał ze sobą ciało zabitego Montezumy.

– A jeśli oni wszyscy wstaną? – spytał sam siebie de Alvarado, mimo woli przerywając zapadłą ciszę.

Cortés drgnął, spojrział na niego dziko.

– Co? – Potrzęsnał głową.

– Nic, panie admirale. Nieważne. Tak mi się wyrwało. Już ruszam wydać rozkazy.

Gdy de Alvarado wyszedł, Cortés ziewnął, przeciągnął dłonią po twarzy i podniósł się z ławy. Siedział tu w pancerzu, trzymając na kolanach hełm, stanowczo nazbyt długo. Dopiero teraz czuł, jak bardzo zdrętwiały mu nogi i kark... Spał? Tak, chyba zdarzyło mu się odpłynąć raz i drugi.

Pora brać się do roboty.

Tym bardziej że na dworze już wstawał blady świt, na tle którego widać było ciemniejsze zarysy wznoszących się ponad Tenochtitlán piramid. Niebo barwiło się delikatnym różem, gwiazdy zaczynały blednąć. Zdawało mu się, że słyszał już pierwsze ptaki, które...

Caudillo wzdrygnął się, otrząsnął: znów zasnął na jawie!

– Cholerna noc, cholerne zmęczenie – zawarczał sam do siebie. – Hejże, bywaj tu który!

Zza wiszącej w drzwiach kotary wyjrzał młody Diego de Coria ze zmierzwionymi włosami i oczami niczym dwie wąskie szparki.

– Panie...?

– Każ budzić kapitanów, de Coria! Nie ma czasu do stracenia... Znajdź też ojca de Olmeda, niech odprawi poranną mszę!

– Tak jest, panie. Czy mam powiedzieć doñi Marinie, że wstaliście? Pytała o was nocą, przypominam.

Caudillo zawahał się, zamrugał.

– Kiedy?

– Odpieraliście atak przy bramie, panie. Powiedzieliście mi, że pójdziecie do niej później... A ja tak jej przekazałem. – De Coria spojrzał spode łba.

– Pójdę do niej sam – zdecydował Cortés, zapinając pas z bronią.

Wyszedł na korytarz i ruszył dziarskim krokiem, czując, jak zmęczenie i senność ulatują mu z głowy.

Widząc swojego admirała, ludzie podnosili się z ziemi, na której siedzieli albo półożeli ze zmęczenia, szturchali jeden drugiego: wstawaj, nie śpij!

Wartownicy od razu się prostowali, próbując pokazać, że wcale nie są tak zmęczeni, że ten hełm to przecież on go zdjął na chwilę tylko, na moment odstawił pikę i oparł ją o ścianę...

Cortés miał świadomość tego, jak potwornie byli wyczerpani.

Blade, popielate, pokryte sadzą oraz zaschniętą krwią twarze.

Zapuchnięte oczy, podkrążone z niewyspania.

Niezliczone rany, zadrapania, sińce i wybroszczone.

Część miała na rękach odciski od kurczowo trzymany drzewc broni.

Ta noc dała się we znaki wszystkim.

A co najgorsze, Cortés po raz pierwszy dostrzegał w oczach swoich ludzi coś, czego nie było tam nigdy wcześniej.

Widział w nich z trudem skrywany strach.

Znał ich jak zły szeląg. Wiedział, że jeśli tylko pozwolić, aby ziarno niepewności padło na podatny grunt rozedrganych umysłów, to ani się obejrzy, jak wykiełkuje i wyda z siebie gorzki owoc zwątpienia.

Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie mógł stracić kontroli nad tymi ludźmi.

Nie teraz, kiedy osiągnęli tak wiele.

Kiedy on tak wiele osiągnął.

Dlatego należało działać, i to niezwłocznie. Znaleźć zajęcie, opracować plan, wdrożyć go w życie. Czymś ich zająć, nie dać chwili na zwątpienie.

A dopiero potem zastanowić się samemu, co i jak począć dalej.

Skinął wartownikowi trzymającemu straż przy położonych w samym sercu pałacu Axayacatla komnatach, gdzie kazał umieścić dońę Marinę. Wszedł do środka.

– Hernán.

– Marina? – Zachwiał się, stając w drzwiach.

Kłęcząca do tej pory przed odsłoniętym oknem doña Marina uśmiechnęła się, podniosła z rozłożonej na posadzce

maty i kołysząc biodrami, podeszła do niego. Zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła do niego całym ciałem.

– Cieszę się, że nic wam nie jest, panie – szepnęła.

Zawahał się, ale ciało zareagowało odruchowo: objął ją, przytulił do siebie, chowając twarz w jej włosach.

– Marina... – mruknął, wdychając jej zapach. – Wybacz... Zapomniałem, że miałem przyjść do ciebie. To była potworna noc. Dlaczego nie śpisz?

– Modliłam się, panie.

– Modliłaś...? – Aż się odsunął, spoglądając na nią z niedowierzaniem.

– Modliłam się o wasze powodzenie i zdrowie. O to, żeby wszystko zakończyło się tak, jak powinno. I cieszę się, że moje modły zostały wysłuchane, bo oto jesteście. Jadłeś coś, Hernán? Spałeś?

– Niewiele – skłamał Cortés.

– I tak cieszę się, widząc cię w jakim takim zdrowiu. Musimy zadbać o ciebie... Ale najpierw postanowić, co dalej.

– Tak, to prawda. Posłuchaj mnie, Marina. To, co stało się wczoraj...

Położyła mu palec na ustach.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Liczy się tu i teraz, Hernán. Liczy się ten dzień i każdy następny.

– Marina, ale to, co się wydarzyło...!

Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie gdzieś na dworze nieopodal rozległ się przeszywający wrzask.

Istny skowyt bólu, niemalże zwierzęce wycie, do którego zaraz dołączył drugi, wyższy i bardziej przeszywający, a potem kolejne modulowane zawodzenie.

Cortés odskoczył od Malintzin, wyszarpnął szpadę z pochwy i stanął pomiędzy nią a oknem, już gotów odeprzeć niespodziewany atak.



– Indianie! – warknął. – Idą znów na nas...

Malintzin położyła mu dłoń na ramieniu uspokajającym gestem.

– Spokojnie, Hernán. To nie atak.

– Jak to nie?! Przecież zawsze tak zawodzą, kiedy...!

– To tylko kobiety, Hernán. Przyszły po swoich zabitych, a teraz zbierają ciała na dziedzińcu.

– Ciała...?

– Tych, których kazałeś stracić przed świtem. Czy zginęli wszyscy?

– Oby! – warknął Cortés, chowając szpadę. – Bezużyteczni, zdradzieccy dostojnicy z dworu Montezумы.. Jaki pan, taki kram! Teraz przynajmniej nie trzeba będzie zawracać sobie głowy pilnowaniem jeńców, a każda para rąk do walki jest na wagę złota.

– Powiedziane na miarę rzymskiego senatora. Kapitanowie już wstali?

– Tak, kazałem ich obudzić.

– A zatem, panie... – Pocałowała go delikatnie. – Ruszmy wspólnie na spotkanie tego dnia i wyzwania, które może ze sobą przynieść.

Cortés odwzajemnił pocałunek, podał jej ramię.

Wspólnie wyszli z komnaty, ruszając w świetle budzącego się powoli dnia ku dawnej sali tronowej, wychodzącej na taras, gdzie wciąż widać było ślad po kałuży krwi najwyższego króla Montezумы.

Hernán przez chwilę tylko zastanowił się: skąd doña Marina wiedziała, że wydał rozkaz stracenia dostojników z dworu Montezумы? Przecież podobno nie opuszczała swoich kwater...

I nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tłumaczył jej, kim był i jakimi cechami odznaczał się rzymski senator.

Ale zaraz potem zgubił tę myśl i nigdy więcej do niej nie wrócił.

Apartamenty Malintzin pozostały puste.

Kotara zawieszona w wejściu delikatnie falowała w powiewach porannej bryzy wpadającej przez odsłonięte okno.

Gdyby ktoś przy nim stanął, to widziałby, jak w oddali, ponad panoramą zasnutego dymami pożarów i stosów pogrzebowych miasta, pyszniła się w pierwszych promieniach słońca piramida z tkwiącą na jej szczycie świątynią Tezcatlipoki.



– Xahuatl!

Zahred rozłożył ręce, chcąc uściskać przyjaciela i brata, gdy ten ruszył ku niemu, ale Xicotencatl, zamiast objąć go, uklęknął i uderzył czołem w proch u jego stóp.

Inni też klękali, gięli się w pokłonach, nie śmiejąc nawet podnieść na niego oczu.

Zahred podszedł do młodego Tlaxcalteka, szarpnięciem podniósł go z ziemi.

– Niech Xicotencatl wstanie! To nie czas na czołobitność.

– Xahuatl jest teraz Huēi Tlahtoāni. Xahuatl jest najwyższym królem, również dla Tlaxcali. – Tamten potrząsnął głową.

Zahred popatrzył po otaczających go ludziach, gromadzących się w coraz ciasniejszym półkolu na placu świątynnym u stóp Wielkiej Piramidy.

Wcześniej, gdy siedział tam, na szczycie, widział tylko rozsypane punkciki ognisk.

Potem, gdy zorientowali się, że ruszył na dół, zaczęli ściągać spomiędzy okolicznych zabudowań.

Kiedy był już u podnóża piramidy, byli nadal luźnym, ale już tłumem.

Teraz zaś było ich już całe mrowie.

Zahred odetchnął ciężko, pozwolił sobie na smutny uśmiech.

– Tak, to ja jestem nim – powtórzył słowa Montezumy niczym echo. – I teraz Huēi Tlahtoāni Xahuatl całuje ziemię u stóp ludu Tenochtitlán, Tlaxcali i innych miast. Zaznaliście wielu trudów, jesteście zmęczeni... A ja poprowadzę was ku spoczynkowi.

Z niezliczonych piersi wyrwało się westchnienie zdumienia, kiedy stojący przed nimi człowiek, który przed chwilą zszedł ze szczytu Wielkiej Piramidy, przyklęknął, tak jak oni, po czym dotknął dłonią ziemi i przytknął palce do ust.

Po raz pierwszy zdarzyło im się widzieć sytuację, kiedy najwyższy król przychodził do nich jako gość, jako podróżnik proszący o schronienie.

– Huēi Tlahtoāni! – zakrzyknął Xicotencatl, potrząsając wzniesionym nad głową kamiennym mieczem.

– Huēi Tlahtoāni! – powtórzyli Tlaxcaltekwie i Otomi, podnosząc się z ziemi.

– Hułej Tachtani! – nierówno wrzasnęli ludzie z chorągwi Zahreda, przemieszani teraz z Mexikami.

– Huēi Tlahtoāni! – poniosło się wołanie.

Jednak nawet teraz pośród tych wszystkich ludzi Zahred dostrzegł załążki przyszłych problemów i rozdźwięków.

Bo nie wszyscy skandowali. Nie każdy podnosił ręce. Nie wszyscy uklęknęli.

Radość wcale nie była powszechna.

Już widać było, jak z ogółu wydzielają się poszczególne grupy, które stały tylko z założonymi rękami albo wymieniały się pomiędzy sobą jakimiś uwagami.

Części wodzów wyraźnie nie w smak było to, co się stało i co się działo.

Co poniektórzy z pewnością wykazywali wobec opowieści, która musiała już do nich dotrzeć, dalece posunięty sceptycyzm.

To jest o ile samo słowo i pojęcie „sceptycyzm” miało do ich instrumentu poznawczego jakiegokolwiek odniesienie.

Tak.

To był ten moment, który Zahred znał aż nazbyt dobrze.

Chwila, której doświadczył dziesiątki, setki razy.

Poznał na wskroś i doskonale wiedział, czym była i co ze sobą niosła.

Bo to był jego tryumf, po którym zaczynał się nieuchronny upadek.

Szybszy bądź wolniejszy, bardziej lub mniej zauważalny.

Bolesny, publiczny, z pełną drogą hańby i kaźni, potajemny lub pokazowy, bądź też miłosierny, we śnie.

Błyskawiczny, przychodzący wraz z ciosem noża lub zbyt późno wyczuwanym na brzegu pucharu posmakiem trucizny.

Albo też rozciągnięty w czasie, stopniowy i wręcz delikatny, niczym powolne obumieranie drzewa o podciętych korzeniach.

Wspinał się tam, na Wielką Piramidę, jeszcze jako człowiek – a schodził z niej już jako król. Droga tam była jego wyniesieniem jako jednego z wielu, członka społeczności... Powrót zaś już zejściem tego, który nigdy nie mógł być częścią niczego, bo zawsze musiał stać na czele.

Znał to, owszem.

Gdyby chciał, to zapewne potrafiłby nawet teraz, w tej chwili, tylko patrząc na tych ludzi, wskazać palcem na potencjalnych malkontentów, prowodyrów buntów, pretendentów do tronu i przywódców frakcji, wokół których z czasem wyrośnie opozycja.

Jeden ruch palcem, jedno spojrzenie, dwa krótkie słowa.

„Brać go!”

I po kłopotcie.

Znika człowiek, znika problem.

Natomiast on miał już dość ludzi, którzy byli wokół niego, a potem znikali.

Zahred poczuł, jak gardło ściska mu się nagłym skurczem, a w piersi narasta żaloszny, bolesny skowyt. Zaczepnął głęboko powietrza, sięgnął prawą dłonią ku lewemu nadgarstkowi, ku rzemykowi z supełkami... Przesunął po nim palcami niczym po najcenniejszym talizmanie, ruszając ku miejscu, gdzie musiała odbyć się narada.

Nikt jej nie organizował, nie zwoływał ani nie ustalał.

Ale w takich chwilach odbywała się właśnie narada.

Zawsze tak było, za każdym razem.

– Z nami słońce – szepnął.



Zasiedli w kręgu. Zmęczeni, niewyspani, brudni... ale wciąż żywi.

– A zatem, panowie... – zaczął caudillo, tocząc wzrokiem po swoich kapitanach. – Sytuacja zmieniła się. Diametralnie wręcz się zmieniła, należałoby rzec.

– No tak... – mruknął pod nosem de Ávila.



– I c-co z tym da-da-dalej, pa-panie? – wydukał pan de León.

Cortés odetchnął głęboko, popatrzył na stojącą nieco z boku doñę Marinę. Ta uśmiechnęła się do niego zachęcająco. Jak gdyby to była rutynowa, codzienna odprawa ekspedycji, a nie podsumowanie całej nocy walk, które niemalże kosztowały ich wszystko!

Natomiast on też z jakiegoś powodu uśmiechnął się, wyprostował.

Może tak właśnie należało to przedstawić?

– Otóż powiem wam, że teraz nic nie stoi nam na przeszkodzie, aby objąć te ziemie w niepodzielne władanie! – oświadczył niemalże wesoło.

Kapitanowie zamrugali, odchyłili się w tył. Któryś gwizdnął przeciągle, pokręcił głową. Inny z kolei parsknął rozbawiony:

– Krotochwile się trzymają pana admirała!

– Panowie, bracia Kastyljczycy! A czy mamy nad czym ubolewać albo co opłakiwać? Po raz kolejny wrogowie próbowali nas przemóc, i co?

– N-nie prze-mo-mo-mogli! – Pan de León uderzył dłonią o kolano.

– Znowu usiłowali nas dzicy zalać ilością, wzięwszy w kleszcze, osaczywszy ze wszystkich stron! Ba, mało tego, panowie! Tym razem i od środka nas zaatakowano! Zdrada, której mało kto się spodziewał...

– Khem... – znacząco odchrząknął de Sandoval.

– ...i bunt przeciwko zwierzchności naszego pana, króla Kastylii i od niedawna cesarza świętego! Ale teraz, skoro nie ma już kto nam za plecami knuć i podburzać przeciwko nam ludzi, skoro sami Indianie zdecydowali o losie swojego byłego króla... Powiadam wam, panowie bracia, że nie mamy się o co martwić ani czego obawiać!

– Gdyby nie to, że jesteśmy w środku miasta pełnego krwiożerczych dzikusów, to gotów byłbym przyznać waszej miłości pełną rację – cokolwiek kąśliwie zauważył Alonso de Grado.

– A bo to pierwszy raz, dobry panie? – zaśmiał się de Lugo.

– Podobnie bywało i po drodze tutaj, i w Choluli... Ba, niektórzy z nas już takie oblężenia przetrwali, mężnie sobie przy nich poczynając! – Cortés wymownie wskazał na de Alvarada.

– Tylko że wtedy nie walczyli, kurwa jego mać, z pierdolonymi żywymi trupami! – warknął de Portocarrero.

Zapadła cisza. Dobry nastrój jakby ktoś zdmuchnął. Ludzie nagle sposepniali, łypiąc jeden na drugiego spode łba.

– Panie, na Boga w Trójcy Jedynego zaklinam was: nie przesadzajcie! Nie dawajcie wiary niemądrym głosom ludzi małej wiary, które... – zaczął już obecny na naradzie ojciec de Olmedo.

– To nie żadne plotki, ojcze.

Duchowny zająknął się, urwał. Obejrzał się na stojącą z założonymi rękoma doñę Marinę.

Kobieta oderwała się od ściany, o którą się opierała, ruszyła ku nim powolnym krokiem.

Patrzyli na nią niczym zauroczeni. Nie powinno jej nawet tu być, a mimo to była. Nie powinna zabierać głosu, a jednak przemówiła.

I teraz wszyscy zdawali się czekać, co powie dalej – jednak zamiast niej odezwał się Cortés.

– To nie plotki – powiedział głuchym, nieswoim głosem.

– Ależ, synu! Nie może to przecież być, żeby...

– Może, ojcze wielebny. Może, bo byliśmy tam... I wiemy wszyscy, co widzieliśmy. Nie będę udawał przed wami, panowie bracia w wierze chrześcijańskiej! – Caudillo podniósł głos,

potoczył po zgromadzonych poważnym wzrokiem. – Przecież mamy tu do czynienia z czymś o wiele bardziej złowieszczym niż zwykła zdrada! Powiadam wam, że nie tylko z zacofaniem i ciemnotą pogańską tu walczymy... ale z najprawdziwszą siłą nieczystą!

Kilku kapitanów przeżegnało się odruchowo, de León splunął na ziemię i dotknął wiszącego na szyi medalika, kupionego ongiś podczas pielgrzymki do Composteli.

– Chcecie powiedzieć, panie, że to, co słyszeliśmy... – ostrożnie zaczął de Olmedo.

– Jest najszczęśliwszą prawdą, ojcze! I klnę się tutaj w waszej obecności na wszystko, co mi święte i drogie, że tak właśnie było: walczyliśmy ubiegłej nocy z nikim innym jak z samym Antychrystem!

– *Madre de Dios* – mruknął pan de Barrameda, ukradkiem czyniąc jeszcze raz znak krzyża.

– Więc... To naprawdę tak było?! – niedowierzająco zapytał de Texeira, który o tym, co zaszło poprzedniego wieczora, słyszał tylko z niejasnych opowieści.

– Jako żywo, panowie! Na własne oczy widziałem, jak martwy zdrajca Zahred wstaje z ziemi!

– Moich dwóch ludzi popłatał! Jak sam diabeł się bił przecież!

– A panu de la Hozowi rękę czysto odrąbał, jak tasakiem rzeźniczym! Aż siarką zapachniało!

– Część ludzi naszych omotał czarami swoimi! Zaatakowali moją kompanię, a na pomoc im dzikusy indiańskie przyszły! – zawołał de Tapia.

– Wiedźcie zatem, że stajemy tu pod znakiem Krzyża Przenajświętszego nie tylko przeciwko miejscowej dziczy pogańskiej, ale przeciw siłom zła i Szatana we własnej osobie! – Cortés uderzył pięścią w stół.

– Władca much... Belzebub – jęknął ojciec de Olmedo.

– Jako żywo, ojcze! Dlatego też, panowie, rzeknę wam następująco... – Cortés urwał, potoczył po nich wzrokiem.

Tak, to był ten moment.

To był ten stan, w który potrzebował ich wprowadzić.

To było wyzwanie, w imię którego on gotów był ich poprowadzić, a oni pójść za nim aż do samych bram piekła.

I tym razem nie była to tylko figura retoryczna.

Nabrał tchu.

– ...następująco wam rzeknę, panowie: od tej pory nie ma zmiłowania. Teraz będzie tylko ogień i krew!



– ...ogień i krew – zakończył Zahred.

Zasiadający w wielkiej sali tronowej Pałacu Białych Trzcin dostojnicy patrzyli na niego uważnie, nie odzywając się przez cały czas, gdy mówił, ani słowem.

Część z nich znał, jak chociażby trzymającego się nieco z tyłu Itzlego albo sędziwego Itzquauhtzina, z którego rad i towarzystwa tak chętnie korzystał sam Montezuma. Innych widywał podczas swoich licznych spotkań z najwyższym królem: Huexocha dowodzącego wojownikami Orła, Cihuacotla nadzorującego Dom Nocy, albo też noszącego tytuł pana korytarzy i drzwi, zawiadującego tutejszym odpowiednikiem protokołu dyplomatycznego Azcalxochichitlego, zwanego też Starszym.

Jednakże większość była mu zupełnie obca.

Zahred tylko domyślał się, kim mogą być, jakie sprawują funkcje i jakie było ich miejsce w układance powiązań,

zależności i sił do niedawna jeszcze potężnego i nienaruszalnie stałego Imperium Słońca.

– A zatem Xahuatl twierdzi, że to on jest nowym Huēi Tlahtoāni. Interesujące. – Książę Ixequetzal, syn króla Nexozmotlego i obecny władca Coyohuacán, uśmiechnął się nieszczercze. – A co ma na potwierdzenie swoich słów?

– Biały człowiek miałby być najwyższym królem? Niedorzeczne! – prychnął Tetelepanquetzal z Tlacopán.

– Xahuatl nie jest biały!

– Na pewno bielszy, niż powinien.

– Xahuatl jest Huēi Tlahtoāni! – z mocą powtórzył Xicotencatl. – Tako rzecze Tlaxcala!

– Może zatem jest najwyższym królem, ale Tlaxcali? – rzucił z przekąsem ktoś, kogo Zahred nie znał.

– Mahuiticui spał w swoim domu, kiedy dzielni wojownicy atakowali pałac Axayacatla! Nie było go tam, gdzie powinien, więc niech nie zabiera głosu!

– Może zatem Mahuiticui powinien opuścić naradę?!

– Nie było wyboru nowego najwyższego króla!

– Nie było na to czasu! Montezumę zabili biali najeźdźcy!

– Może zabił go sam Xahuatl?!

– Xahuatl to nowy Huēi Tlahtoāni!

– Huēi Tlahtoāni...!

– Niech zamilczy!

– No chyba że Ixequetzala stara...!

– Spokój! – huknął Zahred, wstając gwałtownie ze swojego miejsca.

Wszyscy zamarli w pół gestu, w pół słowa.

Wzniesione gniewnie pięści. Wykrzywione emocjami twarze. Gromadzące się za plecami dostojników, książąt i gubernatorów grupy ich popleczników... Widać było, że lada chwila wszystko to zapłonie i wybuchnie niekontrolowanym



wirem wzajemnych pretensji, roszczeń, swarów, zaszłości i niespełnionych ambicji.

Musiał ten ich gniew, niechęć, gotowość rzucenia się do gardeł wykorzystać. Umiejętnie skanalizować, nim zniszczy ich bez reszty.

Nawet jeśli oznaczało to, że weźmie wszystkie złe emocje na siebie.

Powoli, cały czas stojąc przodem do nich, zrobił krok w bok. Jeden, drugi, trzeci... Powoli, stopień po stopniu wszedł tyłem na podwyższenie, na którym stał pusty do tej pory złoty tron najwyższego króla.

Obserwował ich cały czas. Czytał emocje. Starał się ocenić, jak daleko może się posunąć, na ile może sobie pozwolić.

Wspiął się na samą górę.

Podszedł ku należnemu władcy siedzisku.

Staął obok ciężkiego od złota i zdobień tronu, na tle ogromnego pióropusza z piór quetzala.

Położył dłoń na oparciu.

Tak, to była ta chwila. Być może byli gotowi pogodzić się z jego roszczeniem do władzy – ale widział, że nie zdoła do końca przekonać ich, że to on jest nowym Huēi Tlahtoāni. Że to właśnie jego wybrał, naznaczył... poniekąd namaścił na tę funkcję sam Montezuma.

Nigdy nie zaakceptują obcego.

Uśmiechnął się pod nosem: no cóż, jakoś sobie z tym poradzi.

Chóralne westchnienie wyrwało się z piersi dostojników, dworaków, urzędników i dowódców, kiedy Zahred jednym płynnym ruchem usiadł na tronie najwyższego króla.

Wsparł dłonie na podłokietnikach. Wyprostował się, moszcząc się na swoim miejscu. Potoczył po nich spokojnym, bez mała obojętnym spojrzeniem.

Widać było, że nie jest to dla niego nowa sytuacja, że czuje się na tronie poniekąd na właściwym miejscu.

Bo przecież właśnie tak było.

– Montezuma wybrał Xahuatla – powiedział powoli i spokojnie. – Tenochtitlán wybrało Xahuatla. Xahuatla wybrał lud imperium Mexików. Wybrali go sami bogowie. Któż odważy się przeciwstawić woli bogów?

– Błuznierstwo! – zawołał Tetzlepanquetzal.

Jednak jego głos odbił się echem, przebrzmiał i ucichł w sali tronowej Pałacu Białych Trzcin.

Zahred powoli przeniósł na niego spokojne, zimne spojrzenie popielatych oczu. Wyciągnął rękę w kierunku tarasu:

– Niech Tetzlepanquetzal wyjdzie na dwór i powie to ludziom zgromadzonym na wielkim placu – powiedział przesłodzonym tonem.

Władca Tlacopán rzucił mu wściekłe spojrzenie, ale spuścił głowę.

To prawda, każdy z nich nie tylko wcześniej widział, ale i nadal słyszał koczujący przed pałacem tłum.

Ulice Tenochtitlán były pełne niespokojnych, wzburzonych ludzi. Plotki i pogłoski o tym, co się wydarzyło albo wydarzyć się mogło, lotem błyskawicy przelatywały z ust do ust. Wciąż płonęły stosy pogrzebowe.

Od strony oblężonego pałacu Axayacatla niosły się krzyki bojowników, próbujących szturmować go ze zmiennym powodzeniem i zapalem.

Teraz gdy słońce powoli pięło się ku zenitowi na zasnutym chmurami niebie, chyba każdy w mieście słyszał już historię o tym, jak Montezuma został zamordowany przez białych najeźdźców, a jego miejsce zajął Xahuatl – białobrody, o wymalowanych rękach przybysz ze wschodu.

Dlaczego? Jak? Kiedy dokładnie? Tutaj wersje rozchodziły się i rozbiegały w najdziwniejsze strony.

Ale jedno nie ulegało wątpliwości: to właśnie Xahuatl wyszedł z pałacu Axayacatla, niosąc ku Wielkiej Piramidzie ciało zabitego najwyższego króla. Wyłonił się, krocząc pomiędzy życiem a śmiercią, otoczony... Różnie ludzie mówili: a to że chmurą czarnego dymu, a to znów że stadem krwiożerczych czarnych ptaków albo obłokiem z bzyczących żuków pożerających ciało każdego, kto ośmielił się zbliżyć.

Dość, że w tej chwili chyba nie było w Tenochtitlán mężczyzny ani kobiety, dziecka ani starca, którzy nie słyszeliby jakiejś wersji historii, w której Xahuatl, Montezuma, bogowie i najeźdźcy ze wschodu splatali się w taki czy inny sposób.

Zahred pozwolił sobie na jeszcze jeden uśmieszek, podrapał między uszami siedzącego przy nodze Kefrena, ale zaraz potem jego twarz stężała, oczy błysnęły chłodno.

– Ogień i krew! – powtórzył dobitnie. – Właśnie to zaniósł Mexikowie i wszyscy inni mieszkańcy tych krain białym najeźdźcom zza Wielkiej Wody. Nie będzie litości. Nie będzie rozmów! Jedyne kwiaty w tej wojnie wyrosną z ziemi, w której zakopimy ciała białych ludzi!

Xicotencatl wrzasnął głośno, podnosząc miecz.

Zaraz za nim okrzyk podchwycili inni wodzowie oraz stojący w korytarzach i przedsionkach sali tronowej wojownicy Tlaxcali.

Zawołali wielkim głosem dowódcy i generałowie Mexików, dworacy i dostojnicy, książęta i królowie miast-państw.

Nie wszyscy tak samo ochoczo i z zapalem. Niektórzy wcześniej, inni później. Część tylko dlatego, że jako jedyni albo jedni z nielicznych musieliby pokazać brak jedności z ogółem.

Ale dla Zahreda nie miało to znaczenia tak długo, jak wołali:

– Tako rzecze Huēi Tlahtoāni!



– Panie! Panie, nieszczęście się stało!

Cortés drgnął, budząc się nagle z płytkiej drzemki. Spojrzał lekko nieprzytomnym wzrokiem na stojącego w progu giermka.

– De Coria? Co jest, co się dzieje? – zapytał, od razu podnosząc się od stołu, za którym przysnął.

– Panie, bo to... Ci oficerowie, co żeśmy ich posłali do miasta...!

– Co? Jacy oficerowie, de Coria? Mówże składnie, człowieku!

Zaaferowany giermek przełknął ślinę, pokiwał głową.

– Mówiliście, panie, że nam oficerów brak – zaczął. – Dziś rano. I że przydałoby się nawet, żeby ci od pana Narváeza objęli komendę nad pomniejszych oddziałami po tym, jak pan kapitan Zahred... Po tym, jak on...

– Jak zdradził – uciął Cortés.

– Tak, panie. I ja powiedziałem, że ich sprowadzę, znajdę, bo ich coś nie było widać... A przecież po bitwie na wybrzeżu już powinni byli do miasta dotrzeć!

– No, dokładnie tak! Piechotą ich posłaliśmy... I co?

– I oni wszyscy nie żyją!

– Co?! Jak to, kiedy?! Ktoś ich zamordował nocą, otruął?! – Cortés od razu sięgnął ku rękojeści szpady.

– Nie, panie, nie! – De Coria zamachał rękami. – Wcześniej jeszcze... Okazuje się, że wcale nie dotarli do miasta! Znalazłem jednego z naszych, co z nimi byli, on parę dni temu dopiero dał

radę tutaj wrócić. I mówi, że ich po drodze napadli i wymordowali dzicy.

– Czyli zdrada. Gdzie, kiedy?

– No... W połowie drogi jakoś, podał mi nazwę. Tepeaka czy Tepekaka, jakoś...

– Bez znaczenia. Dość, że od początku chcieli nas zaatakować... Dziękuję wam, de Coria.

– Takie nieszczęście, panie! Tylko trzech naszych z życiem uszło, tamci zginęli co do jednego.

– Z drugiej strony może to i lepiej, że... ahem... – zmitygował się Cortés, widząc minę giermka. – Lepiej, że polegli w walce, a nie złożeni w ofierze. Wieczny odpoczynek...

– I światłość wiekuista – dokończył de Coria, po czym skłonił się i wyszedł.

Cortés wrócił do stołu, usiadł ciężko na ławie i schował twarz w dłoniach.



Łomotanie do bramy rozległo się dudnieniem na podwórku, poniosło echem po korytarzach domostwa.

– To znów oni! – pisnęła szlachetna Cozachtzonal, kuląc się i wciskając jeszcze głębiej w kąt. – Przyszli nas zamordować. Bogowie, przodkowie, ratujcie! Aaa...!

Pozostałe zgromadzone w sali kobiety też pobladyły, spojrzały nerwowo w kierunku korytarza. Łomotanie do drzwi rozległo się ponownie, tym razem mocniejsze, bardziej natarczywe.

– Może lepiej nie otwierać? Udawać, że nikogo nie ma – nieśmiało zaproponowała szlachetna Tepiltzin, potrząsając

głową, przez co jej zwisająca na podbródku skóra zakołysała się niczym podgardle indyka.

Wysoce wyniesiona Quetzepoka przełknęła ślinę, odetchnęła głęboko i uniosła głowę, próbując całą sobą pokazać, że wcale nie boi się aż tak bardzo i że w sumie to ma wszystko pod kontrolą.

– Niedorzeczne! – prychnęła, wkładając w to słowo tyle wyniosłej pogardy, na ile było jeszcze ją stać. – Nie jesteśmy byle dzikuskami z Otomi, żeby uciekać się do jarmarcznych sztuczek. Niech Tencui niezwłocznie zobaczy, kto dobija się do drzwi!

– Pani każe, Tencui robi – mruknął niechętnie majordomus, ale skłonił się nisko i podreptał korytarzem ku bramie.

– To mogą być bandyci – wyraziła przypuszczenie najłaskawsza Maxmapichtli. – Przecież miasto jest ich od kilku dni pełne! A to, co się działo wczorajszej nocy... Mordowali, rabowali i palili do samego świtu!

– A skąd Maxmapichtli o tym wie? Przecież była tu razem z nami – zainteresowała się pani Xipil.

– To przecież oczywiste. Wystarczy tę tłuszczę spuścić ze sznura, żeby od razu zaczęli się zachowywać tak, jak leży to w ich naturze. Poza tym było słyhać krzyki i w ogóle...

– Czy możemy przestać mówić o rzeczach strasznych? – zirytowała się wysoce wyniesiona Quetzepoka. – Nie po to Quetzepoka zabawia swoje goście od rana wierszami i jedzeniem, żeby miały wciąż wracać do tego, co dzieje się poza jej domem!

– „Zabawia”! – prychnęła szlachetna Tepiltzin. – Schroniłyśmy się tutaj przed zamieszkami, a nie przyszłyśmy na ucztę.

– Mogą się tu wedrzeć i nas obrabować. Podpalić dom! – ciągnęła myśl niezrażona najłaskawsza Maxmapichtli, niemogąca odpuścić sobie szansy, żeby ściągnąć na siebie środek ciężkości uwagi towarzystwa. – Pobić nas, wymordować! Albo, co gorsza, nawet zgwałcić!

– Hmm...? – mruknęła najwyżej ukwiecona Ihuicamina, dopiero teraz zainteresowała się rozmową.

– Niech przyjaciółki i goście Quetzepoki zachowają lepiej spokój. Nic im się nie stanie w jej domu. Tutaj są bezpieczne, tutaj nie sięgają niepokoje z miasta.

– A jednak tamten rabuś wdarł się ciemną nocą na dziedziniec – nie dawała za wygraną Maxmapichtli.

– Tak, ale służba Quetzepoki go rozsiekała! Poza tym to był tylko jeden głupiec, który próbował spuścić się z dachu!

– Hmm... – znów zamruczała najwyżej ukwiecona.

– Mogli go chociaż wyrzucić na ulicę. – Maxmapichtli z obrzydzeniem pokazała palcem.

Rzeczywiście, w rogu dziedzińca leżał trup w kałuży krwi. Błady, z szeroko wybałuszonymi oczami i rozwaloną na pół głową, z której wylewał się szarawy skrzep mózgu, poznaczony bogowie jedni wiedzą iloma ranami, sińcami i śladami razów... Prawdopodobnie nawet gdyby gospodyni wydała taki rozkaz, a służba próbowała wyciągnąć ciało na zewnątrz, to nie daliby rady tego zrobić w jednym kawałku.

Zakradł się do posiadłości głuchą nocą, kiedy walki i zamieszki w mieście nieco przycichły, a wszyscy dawno powinni już spać.

Przeszedł po dachach sąsiednich domów, przedostał się na zabudowania gospodarcze po przerzuconej ponad ulicą długiej belce, którą słudzy znaleźli dopiero rano.

Po cichu zsunął się po filarze na wewnętrzny taras.

Nie wziął jednak pod uwagę tego, że dom wysoce wyniesionej przyjął przez ostatnie dwa dni tylu gości, że kobiety nie miały gdzie spać, więc służba przygotowała im posłania właśnie tam, w zawieszonych pomiędzy kolumnami płótnach *hammaga*.

Kiedy któraś z nich przebudziła się i wrzasnęła wniebogłosy, wybuchło prawdziwe pandemonium.

Złodziej zaczął uciekać po domu, przewrócił misę z węglami, od której zajęły się słomiane maty, ogień przeskoczył na wiszącą w przejściu kotarę... Wreszcie któryś służący dosięgnął go celnie rzuconą ciężką pałką, a resztę zrobili już strach, wściekłość i desperacja.

Tak więc nawet teraz, mimo że szlachetnie urodzone damy próbowały jak tylko mogły nie myśleć o tym, co działo się na ulicach Tenochtitlán – on przypominał im pośmiertnie, że rozgrywające się w mieście wydarzenia dotyczą każdego bez wyjątku.

– Pani! – odezwał się majordomus, znów stając w wejściu do sali biesiadnej. – Pani, macie gościa... kolejnego gościa. Przybyła wielce wysoka Huemapichtli, księżniczka Texcoco. Czy Tencui ma...?

– Czy Tencui jest głupcem, że jeszcze o to pyta? Oczywiście, że niech ją tutaj prowadzi! – Wysoce wyniesiona zaklaskała.

– Pani każe, Tencui robi – mruknął sługa, doskonale pomny tego, ilu podobnych suplikantów odprawił przez ostatni tydzień z kwitkiem albo wręcz odgonił od wejścia do posiadłości kijami.

Kobiety poprawiły się na swoich siedzeniach, nawet Ihuicamina wygrzebała się częściowo spod warstw okryć, pod którymi spędzała w gościnie już trzeci dzień.

– Myślałam, że ona nie żyje – rzuciła lekko, jakby komentowała zeszłoroczny śnieg, szlachetna Cozachtzonal.



– Podobno jej mąż zginął. Mówią, że prowadził szturm na białych.

– Tak? No proszę. Maxmapichtli słyszała, że właśnie sprzymierzył się z nimi i dlatego Montezuma nakazał go zabić.

– Ach, Montezuma. Gdzie my teraz znajdziemy drugiego takiego najwyższego króla – westchnęła pani Xipil.

Jednak nie dane im było kontynuować tej jakże światłej wymiany losowych uwag, bo w tym momencie od wejścia rozległo się wołanie:

– O najwyższa, najlepsza, najłaskawsza z wielkodusznych! Niech bogowie opromienią swoją łaską długie dni żywota wysoce wyniesionej Quetzepoki... Huemapichtli całuje ziemię u jej stóp!

Wielce wysoka księżniczka Huemapichtli zatoczyła się, postąpiła jeszcze kilka kroków i wyrzuciwszy ręce w górę, upadła do nóg Quetzepoki, wstrząsana spazmami szlochu.

Pani Xipil uniosła brwi, widząc wyraźnie ze swojego miejsca, że księżniczka Huemapichtli nawet w tak dramatycznym geście podparła się umiejętnie dłonią, aby nie uderzyć zbyt mocno kolanami o kamienie posadzki. Jednak pani Xipil nie odezwała się ani słowem. Nie było to ani jej pierwsze, ani z pewnością ostatnie podobne spostrzeżenie w życiu.

Życiu, które w ostatnich miesiącach – co tu dużo mówić – nabrało niemałego tempa.

– No już, już... Niech Huemapichtli się uspokoi, tu jest bezpieczna – odezwała się Quetzepoka, nieumiejętnie głaszcząc płaczącą dziewczynę po ramionach. – Niech wstanie. Niech Tencui podniesie wielce wysoką i pomoże jej zająć należne miejsce.

– Pani każe...? – Majordomus bezradnie rozłożył ręce, patrząc po i tak mocno zatłoczonej już sali.

Pstryknął jednak palcami, pokazując służbie, żeby nieco rozsunęli dwie maty i rozścielili jeszcze jedną. Sam delikatnie, jakkolwiek stanowczo oderwał księżniczkę od kolan wysoce wyniesionej i odholował na przygotowane dla niej miejsce.

Ta uspokoiła się zaskakująco szybko, przyjęła podaną jej czarę *pulque* i od razu upiła spory łyk.

Pozostałe kobiety patrzyły na nią z uprzejmym zainteresowaniem. No cóż, skoro nawet księżniczka Huemapichtli zawitała do ich schronienia, to chyba mogły przestać uważać się za uciekinierki?

Ta ostatnia zauważyła najwyraźniej, że jest w centrum uwagi. Jej usta wykrzywiły się w podkówkę, broda zadrgała, w oczach pojawiły się łzy.

– To przerażające! – wyrzuciła z siebie. – Biali ludzie atakujący naszych! Mordercy, potwory! Zwierzęta! Jakim prawem przebywają jeszcze w Tenochtitlán?!

– Quetzepoce wydawało się, że wielce wysoka Huemapichtli lubiła białych ludzi?

– Co? Nie! Nigdy w życiu! – zaprzeczyła księżniczka gorączkowo.

– Huemapichtli mówiła, że są uroczy i że chciałyby mieć dwóch u siebie... – Szlachetna Cozachtzonal nie mogła przepuścić okazji wbicia szpilki.

– Huemapichtli nigdy nie powiedziała niczego podobnego!

– A jednak Cozachtzonal pamięta, że...

– Niech przyjaciółki Quetzepoki się uspokoją. – Gospodyni uniosła dłoń na znak, że nie dopuści do swarów większych, niż było jej to na rękę. – Skoro są tu wszystkie, całe i zdrowe, to najwyraźniej tak zrzadzili sami bogowie. Quetzepoka cieszy się, że wielce wysoka Huemapichtli zawitała w jej progi. Czy wszystko u niej w porządku?

– Mąż Huemapichtli, wyniesiony Nexozmotli, nie żyje – chlipnęła księżniczka.

– Nie żyje?! Ale jak to? – Szlachetna Cozachtzonal aż się uniosła na swojej macie.

– Zabili go biali! Był wraz z najwyższym Montezumą w pałacu Axayacatla... A teraz wszyscy nie żyją! Zamordowani nocą, wyrżnięci bez litości! I sam najwyższy król też nie żyje!

– Tak, o tym Quetzepoka też słyszała. Niech Huemapichtli przyjmie jej wyrazy współczucia. – Gospodyni przyłożyła dłoń do serca.

– Ale teraz jest nowy najwyższy król! I mówią, że poprowadzi Mexików do walki przeciwko białym!

– Co? Jak to, nowy najwyższy król? Do walki? – Cozachtzonal nastawiła uszu.

– Tak! Brat Huemapichtli, wysoki Coanacochtzin z Texcoco, tak jej powiedział: Coanacochtzin rusza na naradę do nowego najwyższego króla. Niech Huemapichtli nie wraca do swojego domu, bo nie jest tam bezpieczna. Niech ucieka byle dalej z Tenochtitlán! Tak powiedział!

– Dlaczego miałyby uciekać z Tenochtitlán? – zainteresowała się cokolwiek zaniepokojona pani Xipil.

– Tak powiedział! Huemapichtli nie wie, ale wystraszyła się bardzo, bo jej brat był ubrany w wojenne pióra i cały pokryty krwią. Więc uciekła tu, gdzie jest bezpieczna! Uciekła do swojej najdroższej przyjaciółki!

– Hm, hm – odchrząknęła wyraźnie ukontentowana takim postawieniem sprawy wysoce wyniesiona Quetzepoka, od wielu już miesięcy zabiegająca o dostanie się w kręgi towarzyskie rodów książęcych Tenochtitlán. – Huemapichtli postąpiła słusznie. A co do tego nowego najwyższego króla... Kto nim został?

– Huemapichtli nie wie! Nie zna go... Podobno jakiś Xahuatl!

– Xahuatl? – zdziwiła się Quetzepoka.

– Xahuatl? – prychnęła cokolwiek zawiedziona szlachetna Cozachtzonal, doskonale wiedząca, że jej ojciec, jego dostojność Amoxcapan, popierał w radzie królewskiej... no cóż, kogoś zupełnie innego. Co prawda Cozachtzonal nie pamiętała nigdy jego imienia, ale na pewno nie był to ten człowiek.

– Xahuatl – powtórzyły chórem Yaotli i Yautli, do tej pory nieodzywające się ani słowem.

– Xahuatl? Ojej... A to ci dopiero! – zachichotała najwyżej ukwiecona Ihuicamina spod swoich koców.

Pozostałe kobiety spojrzały najpierw po sobie, potem przeniosły pytające spojrzenia na nią.

– Czy Ihuicamina ma swoim przyjaciółkom coś do powiedzenia? – zapytała Quetzepoka.

Pierwsza nałożnica króla Icnoyotzina z Iztapalapy częściowo wygrzebała się spod stosu pleców. Ziewnęła szeroko, przysłaniając usta wypielęgnowaną dłoń. Mlasnęła, potoczyła po wyczekująco patrzących na nią maślanym spojrzeniem.

– Ihuicamina zna Xahuatla. – Uśmiechnęła się. – Zna go z polowania, na które Montezuma zabrał białego wodza Cortésa.

– I? – Najłaskawsza Maxmapichtli zrobiła ponagląjący gest dłonią.

– I to zabawne, że rada królewska wybrała na Huēi Tlahtoāni białego człowieka.

– Białego?!

– Ale jak to białego?!

– Biały człowiek najwyższym królem?!

– No, może niezupełnie biały. W sumie to raczej brązowy... Ale przybył wraz z nimi. I ma te malunki na ramionach... Ach,

te jego ramiona. I plecy... – Ihuicamina przeciągnęła się niczym budząca się powoli kotka.

– Nie do wiary!

– Czy nasz mąż jest przy nim? – zapytała Yaotli.

– Czy wielce szanowny i świątkły Huexoch opowiedział się po stronie tego Xahuatla? – zdziwiła się Yautli.

– Jeśli ten Xahuatl ma być najwyższym królem, to i wojownicy Orła stoją u jego boku! Nie może być inaczej, tak każe tradycja i obyczaj! – warknęła na nie szlachetna Tepiltzin.

– Ale biały człowiek... Nie do pomyślenia!

Pierwsza nałożnica Iztapalapy potrząsnęła głową, przerzuciła włosy na przód i znów przeciągnęła się z wyraźnym zadowoleniem.

– Ihuicamina wie, że jeśli Xahuatl traktuje władzę tak jak kobiety, to Tenochtitlán jest w dobrych rękach – skwitowała.

Po czym znów zagrzebała się pod swoimi kocami.

Zapadła zdumiona cisza, w której słyszeć było tylko niosące się ponad dachami miasta nawoływania, odległe dudnienie bębnow i przenikliwy trzel piszczalek.

Wielce wyniesiona Quetzepoka westchnęła i przewróciła oczami:

– No cóż, niech bogowie mają nas w opiece!



– I dlatego powinniśmy, panowie, nie zwlekając już ani chwili, zebrać...

– Admirale, admirale! Wrócił pan Antón del Rió!

Cortés urwał w pół słowa, potrząsnął głową i spojrział na stojącego w drzwiach zdyszanego żołnierza.

– Jak to, już? Przecież dopiero co rankiem go wysłałem?!

Siedzący przy stole wraz z caudillem kapitanowie też się zdziwili, patrząc po sobie. Niemożliwe! Droga na wybrzeże musiałaby zabrać panu del Rió kilka dni, nawet gdyby ruszył konno!

– Musicie, panie... – Żołnierz przełknął z trudem ślinę. – Musicie sami zobaczyć. To, co on mówi...

– Powinniśmy zebrać wszelkie aktywa, panowie. Dlatego uważam, że trzeba koniecznie posłać grupę, która z Tlacopán sprowadzi pozostające tam kobiety z naszego orszaku.

– Nie szkoda zachodu? – mruknął de Alvarado.

Cortés zamrugał, popatrzył na niego z niejakim zdziwieniem.

– Rozwińcie myśl, panie... – Zrobił zachęcający gest.

– No, to w końcu tylko... kobiety. – Tamten skrzywił się. – Indianki.

– Hola, tam jest i moja żona! – zachnął się któryś z kapitanów. – Doña ta, no... Jak jej tam... W każdym razie moja! Już nawet co nieco po naszymu rozumie!

– Nauczyciście jedną, nauczycie i drugą. Admirale, nie wiem, czy jest sens, żeby...

– Przypominam wam, panowie, że poza kobietami jest tam też część naszych ludzi. – Cortés zmarszczył brwi.

– I złoto – dorzucił pan de Cáceres.

– Ach. No tak, to zmienia postać rzeczy.

– Cieszę się, że wyjaśniliśmy tę wątpliwość. Ktoś jeszcze chce zgłosić jakieś uwagi, zastrzeżenia, interpelacje? Nie? Cieszę się bardzo. Diego, zajmij się tym, z łaski swojej.

Diego de Ordaz, mimo ogólnej sytuacji flegmatyczny i spokojny jak zawsze, odparł tylko krótko:

– Możecie na mnie liczyć.

– Dobrze. To tyle na tę chwilę, panowie... A ty prowadź!

Kiedy wiedziony przez zziąjanego żołnierza Cortés i duża część kapitanów wyszli na dziedziniec przy ufortyfikowanej bramie, kręcił się tam już niemały tłumek. Ludzie powoli nabierali mętłą wodę z wygrzebanej pośrodku placu studni, ktoś oporządzał konie, arkebuzerzy właśnie czyścili broń. A w podcieniu siedział opatrywany przez medyka pan del Rió.

– Panie! – zawołał żałośnie, widząc zbliżającego się caudilla.

Chciał wstać, ale tylko syknął i skrzywiony opadł z powrotem na kamienną ławę, nie mogąc utrzymać się na nodze, w której wciąż tkwiła indiańska strzała. Opatrujący mu rozbitą skroń felczer zawarczał coś pod nosem, odwinął i zawinął wokół głowy kawałek bandaża.

– Panie del Rió, co się stało?! Dlaczego zawróciliście? I gdzie... – Cortés rozłożył ręce, już miał coś powiedzieć, ale potem domyślił się: – Zabrali wam pisma?!

– Nie, panie! Pism nie dałem, sam torbę do wody cisnąłem, jak zobaczyłem, że na mnie polują. Ale ledwo z życiem uszedłem! – zajęczał del Rió, kryjąc twarz w dłoniach.

Cortés usiadł obok na ławeczce, ostrożnie poklepał go po ramieniu.

Del Rió wyglądał, jakby wrócił właśnie z zaświatów: pokrwawiony, osmalony, blady, brudny, w porwanych spodniach, z pozdzieranymi do żywego mięsa kolanami i dłońmi. Roztrzęsiony jak liść osiki.

– Co się stało? – zapytał miękko caudillo.

– Ja... Panie, tak jak kazaliście, ruszyłem z pismami na wybrzeże, do Vera Cruz. Najpierw poszedłem w kierunku tej najbliższej grobli. Ulicą prosto, potem w lewo i w prawo, i dalej jak sierpem rzucił... Ale już wtedy zaczęli iść za mną.

– Indianie? – zapytał stojący wraz z innymi de Alvarado, tak jak gdyby nie było to więcej niż oczywiste.

– Tak! Z początku mało ich było, jakiś dzieciak się do mnie przyczepił. Lazł i coś wołał w ślad. A potem więcej się ich zaczęło robić, i coraz bliżej! – zaszlochał nieszczęśnik. – Po dachach szli, po uliczkach sąsiednich. Zacząłem kluczyć, żeby ich zgubić czy coś. I już blisko grobli byłem, kiedy...

– Zaatakowali was – rzekł Cortés.

– Nawet nie, panie! Ale zobaczyłem, że po grobli... Po grobli wojsko ku miastu idzie!

– Wojsko?!

– Indianie. Dziesiątki, setki... tysiące może nawet! Ciągną ze wszystkich stron, wymalowani w te swoje kolory szatańskie, z piórami i pod bronią. Więc zawróciłem, żeby dotrzeć do innego mostu, jakoś się przedostać.

– Słusznie – pochwalił Cortés.

– Ale wtedy ci za mną zaczęli kamieniami rzucać. Najpierw obok mnie leciały albo w ściany... Ale potem się ośmielili. I jak w końcu usłyszałem krzyk i kroki za sobą... to i ja pobiegłem, panie.

Słuchali go, łowiąc każde słowo.

Tak, zdawali sobie przecież sprawę z tego, że tu, w pałacu Axayacatla, mogą być atakowani.

Całą noc słyszeli wycie Indian i nawet teraz, rano, kilka razy zbierał się tłum, który niczym fala przyboju to się zbliżał, to oddalał od bramy.

Ale to był motłoch, tłuszcza. I to działo się tutaj, lokalnie. Słowa pana del Rió zaś świadczyły dobitnie, że ogień zamieszek ogarnął już całe Tenochtitlán i teraz rozlewał się dalej.

– Ja... Nie wiem, którędy i jak uciekałem – chlipnął del Rió.  
– Osaczali mnie, jak zwierzynę ścigali. Wpadli na mnie, chcieli pojmać... Wyrwałem się, zacząłem bronić. Szpada mi między żebrami jednego utkwiała, tylko nóż został. Między domami



biegłem, przez jakieś podwórka, a oni za mną... I te ich wrzaski, te bębny...!

– Więc nawet z miasta się nie wydostaliście?

– Gdzie tam, panie! Chciałem łodzią przepłynąć, wskoczyłem w jakieś czółno, zacząłem wiosłem robić... Ale oni za mną! W kilka łodzi mnie ścigali, w końcu dałem radę do grobli dobić, tej zerwanej, i pobiegłem z powrotem, bo już mi ręce mdlały. I tylko torbę z pismami kamieniem dociążyłem i ciepnąłem we wodę, byle dalej.

– Słusznie żeście zrobili – mruknął Cortés.

– Tak i pomyślałem, że a nuż ktoś u nich naszą mowę przeczyta.

– Zahred na przykład – nieopatrznie palnął de Sandoval.

Antón del Rió, który słyszał tylko pogłoski o tym, co stało się poprzedniej nocy, zbladł jeszcze bardziej i spojrzał na niego wielkimi ze strachu oczami.

– Panie de Sandoval, czy ja was prosiłem, żebyście się odzywali?! – zezłościł się caudillo. – Nie umiecie języka za zębami trzymać?! A wy, panie, mówcie: dużo Indian widzieliście? I gdzie się gromadzą?

– Dużo... Wszędzie! Zbierają się, obozowiskami stoją wokoło pałacu. Ja ledwie się tutaj do was przebiłem!

– Odpocznijcie teraz. Dobrze, żeście zawrócili, a nie ryzykowali niepotrzebnie. Panowie... – Cortés zwrócił się do swoich ludzi. – Wygląda na to, że sytuacja jest poważniejsza, niż zakładaliśmy.

– Może niech lepiej de Ordaz nie wyrusza? – odezwał się pan de Grado. – Co on, przecież po kobiety tylko ma pójść.

– Potrzebujemy mieć wszystkich tu, na miejscu – uciał caudillo. – Ale fakt, niech więcej ludzi weźmie, bo...

– Oni już przecież wyszli, panie. Widziałem ich, jak brama się za nimi zamykała – szepnął ktoś na stronie.

Cortés zacisnął bezsilnie pięści, patrząc w kierunku wrót, za którymi czaiło się Tenochtitlán.



## Rozdział 2

**D**iego de Ordaz jechał powoli, wstrzymując niespokojnie tańczącego konia i rozglądając się uważnie na boki.

Zmierzchało już. Słońce chyliło się ku zachodowi, zalewając krwistopurpurową łuną dachy budynków i górujące ponad nimi świątynie Tenochtitlán. Chmury wisiały nad górami, granatowe od góry i pomarańczowo-fioletowe u podstawy.

Gdzieś ponad połącią otaczającego miasto ogromnego jeziora niósł się niewiarygodnie długi, wyciągnięty klucz wędrownych ptaków, których dalekie wołanie napełniało powietrze echem gęgań i skrzeków.

Poza tym było cicho i spokojnie. Sielankowo wręcz.

Dojechali do wcale nie tak znów bliskiego Tlacopán bez szczególnych przeszkód. Owszem, po drodze wymijali wzniesione na ulicach barykady, raz musieli zawrócić, bo

w wąskim zaułku wyszedł im akurat na spotkanie kondukt pogrzebowy, ale poza tym Indianie nie niepokoiли ich ani trochę.

Nie dało się zaprzeczyć, że oddział pana de Ordaza nie skłaniał do zaczepek ani nie prowokował słabością. Bynajmniej! Dobra setka ludzi, pół tuzina arkebuzów, drugie tyle koni i dwie dziesiątki kusz musiały robić na dzikusach odpowiednie wrażenie. Nie raz i nie dwa zdarzyło się, że ktoś wyjrzał zza skraju dachu, już, już gotując się, by cisnąć kamieniem – i równie szybko rezygnował, widząc, ilu ich było.

Dotarli bez kłopotów na miejsce: do jednego z pomniejszych pałaców, gdzie jeszcze przed wyruszeniem przeciwko Narváezowi caudillo kazał ulokować większość należących do ekspedycji kobiet, a przy okazji zgromadzić część złota i klejnotów ściągniętych spoza Tenochtitlán. Ze zdumieniem skonstatowali, że posiadłość nie została zaatakowana ani złupiona!

Czym prędzej załadowali skrzynie i worki na juczne konie. Zabrali, co kto jeszcze mógł, do sakw i toreb. Przez przydzielonego im ojca de Aguilara przykazali kobietom, żeby zbierały się bez zwłoki.

Nie minęły dwa pacierze, a ruszyli z powrotem ku miastu.

I teraz, gdy weszli na powrót do Tenochtitlán, pan Diego de Ordaz zaczynał przypuszczać, że wykorzystali cały dostępny im na ten dzień limit szczęścia.

A przecież mówił mu ojciec od małego: nie wracaj do karczmy, z której udało ci się wyjść z trzosem u boku i całą mordą. Jak wyjechałeś już z domu i okazało się, że czegoś zapomniałeś, to nie cofaj się z drogi. Jak wstałeś raz od stołu, to nie siadaj, ile by cię nie przekonywali!

On tymczasem wyszedł z tego miasta pułapki i jak ten debil do niego wrócił.

To nie mogło się dobrze skończyć.

Nie mogło.



Posłaniec wpadł do sali, już od progu rymsnął na kolana i uderzył czołem o posadzkę, aż huknęło.

– Panie, o Najwyższy! Biali wyszli z miasta, a teraz wracają!  
– wyrzucił z siebie na jednym wydechu.

Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast usłyszeć zwyczajowe: „Niech mówi!”, poczuł, jak ktoś łapie go za ręce i podnosi.

Ku swojemu przerażeniu spojrział – spojrział! – wprost w popielatoszare, zimne oczy najwyższego króla.

– Mów! – warknął Zahred, stawiając posłańca do pionu.

– Najwyższy...! – jęknął tamten.

Chciał odruchowo skulić się, znów osunąć na ziemię, ale Zahred przytrzymał go, nie pozwalając opaść na kolana.

Kątem oka posłaniec widział, że oprócz najwyższego króla w pomieszczeniu znajduje się jeszcze dobry tuzin wodzów, generałów i dworzan. Przełknął tylko ślinę, pokiwał głową i profilaktycznie spuścił wzrok.

– Tak, o Najwyższy! Oxecuchuotl, sprawujący służbę przy grobli na Tlacopán nadzorca wojowników, mówi: biali wyszli, a teraz wracają do miasta!

– „Wracają”?! Dlaczego wartownicy nie donieśli o tym wcześniej?!

– Najwyższy! – Tym razem posłaniec rymsnął znów na kolana, schował twarz w dłoniach. – Ácatli tylko przekazuje słowa walecznego Oxecuchuotla!

– Oxecuchuotl dotarł na posterunek, gdy słońce minęło już najwyższy punkt nieba – rzucił stojący pod ścianą Netecatli, po niedawnych wydarzeniach wyniesiony do funkcji zarządcy wielu włóczni. – Jeśli biali wyszli z pałacu Axayacatla, to mógł ich zwyczajnie nie widzieć.

– Nie widzieć?! Jak można nie widzieć wrogów? – prychnął ubrany w wojenny pióropusz Huexoch, dowódca wojowników Orła.

– Ludzie widzą to, co mogą. Nie widzą rzeczy, gdy są gdzie indziej – odciął się Netecatli.

– Gdzie indziej miałyby być wojownik, jeśli nie w pierwszej linii, na polu bitwy? – wtrącił Nochehuatl, dowodzący wojownikami Jaguara.

– Może tam, gdzie mu kazano?! – rozłożył ręce Netecatli, który wraz z funkcją zarządcy garnizonu miejskiego Tenochtitlán najwyraźniej otrzymał w pakiecie szereg zadawionych uraz i sporów z kilkoma dowódcami rzekomo elitarnych formacji wojskowych.

– Czy w takim razie...?!

– Niech zamilczy – powiedział półgłosem Zahred.

Słyszając to, siedzący pomiędzy innymi wodzami Maxcatl z ludu Otomi aż się skulił i zadrżał.

Zerknął na swojego sąsiada, młodego Xicotencatla z Tlaxcali – tamten też zrobił wielkie oczy, spoglądając na Maxcatla z ledwie skrywanym przerażeniem.

Oni obydwaj wiedzieli już, co oznaczał ten ton, taki sposób mówienia u Xahuatla. Zdążyli się nauczyć – szczęśliwie na cudzych, a nie własnych błędach.

I teraz zastanawiali się obydwaj, kiedy nauczą się tego dowódcy dwóch świętych bractw wojowników.

Zahred odczekał chwilę, żeby tamci mieli czas zareagować.

Rozsądniejszy, nieco młodszy Huexoch jako pierwszy spuścił głowę, cofnął się o pół kroku na swoje miejsce.

Wyraźnie starszy od niego, bardziej zacięty i pewny swojej pozycji Nochehuatl posapał jeszcze, zamruczał coś, ale w końcu też się wycofał, stanął za tronem.

– Ilu było białych? – zapytał Zahred posłańca. – Niech Ácatli mówi wszystko, co tylko wie.

– Najwyższy! Oxecuchuotl powiedział, że widział ich co najmniej dwa razy tyle, co palców u rąk i nóg. Do tego szły z nimi wielkie jelenie, mieli też łuki na deskach i rury, w których mieszka ogień.

– Duże czy małe?

– Małe, o Najwyższy! Ácatli widział ich, kiedy biegł do Pałacu Białych Trzciny. Ich wielkie jelenie były obładowane pakunkami, a pomiędzy białymi najeźdźcami szły mexickie kobiety!

– Kobiety? – Zahred wbił w posłańca uważne spojrzenie.

– Tak! Ácatli rozmawiał z Tonaltzim, który przebiegł po grobli od Tlacopán, gdy wcześniej przeszli nią biali, żeby zaalarmować wartowników w mieście! Tonaltzi mówił Ácatlemu, że zabrali z Pałacu Dwóch Drzew dużo złota i kosztowności, a także mieszkającą tam wcześniej siostrę najwyższego... – Mężczyzna zaciął się na chwilę. – To jest siostrę Montezumy wraz z jej dwórkami i innymi kobietami należącymi do białego wodza Cortésa!

– Czy Ácatli wie jeszcze coś, co może chcieć wiedzieć Xahuatl?

– Ácatli widział, że orszak białych nie przejdzie dużą ulicą Rajskiego Domu Słońca Tonatiuhichan, bo tam stoją umocnienia.

– Którędy poszedłby więc Ácatli?

– Jeśli chciałby wrócić z Tlacopán do pałacu Axayacatla? – zastanowił się posłaniec. – Musiałby skrócić i iść bokiem, placem Xipe Toteca, Naszego Pana Obdartego ze Skóry, przez *calpulli* Cuepopan, ale to wtedy, gdyby znał miasto...

Dostojnicy, generałowie i wodzowie obserwowali tę rozmowę z rosnącym zdumieniem. Oto zwykły, prosty posłaniec o brudnych nogach rozmawiał z najwyższym królem jak równy z równym!

– A jak pójdą biali, którzy go nie znają?

– Wybiorą pewniejszą, ale dłuższą drogę przez Moyotlan. Najpewniej pójdą ulicą Zasiadającego na Dziewiątym Kręgu Mictlānu, więc tam może ich szukać Xahuatl... to jest Najwyższy... to znaczy... – zająknął się Ácatli, który dopiero teraz uświadomił sobie, że złamał właśnie chyba wszystkie możliwe zasady protokołu, etykiety i zwykłego bezpieczeństwa.

Zahred skinął mu tylko głową, poklepał po ramieniu na znak uznania.

Ácatli profilaktycznie padł na kolana, uderzył czołem o ziemię i odczołgał się tyłem za próg komnaty, byle dalej od tej niepojętej sytuacji.

– Huitznahuac zatem. Tamtędy pójdą biali. Niech Netecatli zwoła swoich wojowników.

Dowódcy wojowników Jaguara i Orła spojrzeli po sobie, obydwaj zagryźli wargi: dlaczego najwyższy król polecał uderzyć na tak zacną zdobycz zwykłym gwardzistom z ludu, a nie zaufanym przybocznym?!

– Tlaxcala wspomóżę Netecatlego! – Xicotencatl wstał ze swojego miejsca.

Teraz już dworacy zaszemrali: jak to? Od kiedy to narady najwyższego króla odbywały się jak byłe posiedzenie przy ognisku, gdzie każdy mógł wypowiedzieć się na dowolny temat?!



– Nie. – Zahred potrząsnął głową.

– Xicotencatl poprowadzi wojowników Tlaxcali!

– Xahuatl powiedział: nie. Xicotencatl bardziej przyda się tutaj, żeby wspomóc Huexocha i Nochehuatla, kiedy ci uderzą na pałac Axayacatla. Niech zagrają bębny i piszczałki! Tej nocy biali nie będą spać spokojnie!

Dowódcy zakrzyknęli, potrząsając bronią: tak! A więc wojna, a więc walka! Czerwone Gwiazdy na ofiarę dla bogów!



Kiedy na szczycie świątyni odezwał się głuchym dudnieniem bęben, pan de Ordaz pomyślał, że jednak nie trzeba było na wyrost krakać, ale posłusznie zawierzyć się opiece Najświętszej Pani.

– Broń w gotowości! – polecił swoim ludziom. – Zewrzeć szyk... Nie rozciągać się tak bardzo w tył!

– Nadgonić do czoła! – krzyknął jego adiutant, oglądając się za siebie.

Ludziom nie trzeba było dwa razy powtarzać, ale obładowane kosztownościami, obciążone do granic zwierzęta nie były w stanie szybciej iść. No i przecież ciągnęli ze sobą ten cholerny babiniec!

– Skaranie boskie... Panie kapitanie, a jakby te baby tak...? – odezwał się któryś z ludzi.

– Niby jak? – zapytał zupełnie machinalnie de Ordaz, obserwując jeden z dachów, na którym chyba mignął mu Indianin w pióropuszu.

– No, tutaj za burtę nie ma jak, ale...

De Ordaz potrząsnął głową, wyszukał spojrzeniem nadmiernie wyrywne go. Rozpoznał tego samego, który podczas pożaru statków na wybrzeżu marudził coś o kobietach na pokładzie.

– Rozkaz caudilla! – warknął.

– No ale gdyby tak powiedzieć, że nas po drodze napadli...

– Tfu! – Idący obok kusznik szturchnął go. – Wypluj to przez lewe ramię, odszczekaj! Niestety sprowadzisz na wszystkich!

– E tam, niefortunnie. Jakby ktoś razem ze mną to samo pomyślał, to dopiero wtedy...

De Ordaz skrzywił się i sapnął ciężko, bo właśnie w tej chwili pomyślał, że uliczka, którą szli, aż się prosiła o zasadzkę. Zakręt z jednej strony, zakręt z drugiej, wyższe domy od prawej, trudniejszej do obrony strony...

Aż mu się włosy zjeżyły na karku, kiedy powietrze przeszył przenikliwy gwizd puszczalki.

Koń zastrzygł uszami, zarżał niespokojnie. I tak już pięci ludzie zaszemrali, obracając się i kręcąc w tę i w tę głowami.

Zabrzęczały pancerze, zaszurały nogi.

Orszak stanął.

– Piekło i szatani – zawarczał de Ordaz, dobywając miecza. Obrócił konia wokoło, chcąc ogarnąć całość sytuacji.

– Kapitanie! – zawołał nagle jego adiutant, pokazując na coś palcem.

De Ordaz zwrócił wierzchowca przodem ku kierunkowi, w którym jechali wcześniej, i zdębiał.

Pośrodku uliczki stał człowiek.

Ubrany w błyszczący w promieniach zachodzącego słońca hełm, pludry i podwiązki, w wysokich butach z cholewami, był bez wątplenia jednym z nich.

A jednocześnie miał narzuconą na półpancerz kolorową indiańską opończę.

I po prostu stał tak.

– To jeden z naszych! – odezwał się ktoś z tyłu. – To od caudilla... Wyszli nam naprzeciw! Już niedaleko...

– Stać – mruknął de Ordaz.

Przeżegnał się, cmoknął na konia i powoli ruszył naprzód, w kierunku stojącego pośrodku uliczki człowieka.

On jechał, a tamten nie ruszał się.

W pierwszej chwili de Ordaz pomyślał, że może to trup, wystawiony przez Indian na postrach, ale przecież nie zdążyliby go tak szybko ustawić! I stał o własnych siłach, niepodparty niczym. I w rękach nawet trzymał rusznicę – de Ordaz widział, jak dymi zapalony lont.

A jednak było w nim coś takiego, że de Ordazowi było nieswojo.

Niby z widzenia, z twarzy znało się wszystkich, a tego nie kojarzył nawet pobieżnie.

Fakt, przecież doszło do nich sporo ludzi od Narváeza.

Ale ten przecież...

Nareszcie pan de Ordaz zrozumiał, dlaczego nie poznał tego człowieka od razu.

Dopiero teraz, kiedy podjechał tak blisko, rozpoznał tamtego po charakterystycznym sposobie, w jaki stał – z prawą, a nie lewą nogą do przodu.

Wśród arkebuzerów mieli tylko jednego mańkuta, który strzelał z lewego ramienia.

„Mieli”, bo go stracili.

I to stracili niedawno, zdawałoby się, że zaledwie wczoraj.

Razem z resztą kompanii kapitana Zahreda.

A nie poznał go, bo tamten miał twarz wymalowaną w czarno-czerwone ukośne pasy.

– *Madre de Dios!* – jęknął pan de Ordaz, jednocześnie spinając konia w skok i wznosząc miecz do desperackiego ciosu.

– *Mikistli!*<sup>[1]</sup> – zawył w *nahuatl* Rodrigo, podrywając rusznicę, i dał ognia.

Huknęło, kłęb dymu spowił szarżującego jeźdźca.

Koń kwiknął, rzucił się w bok i padł jak rażony gromem, kiedy kula uderzyła go w piersi, rozszarpała płuca i wyszła bokiem przez żebra, urywając popręg i zabierając jeźdźcowi nie tylko strzemię, ale niemalże i całą nogę.

Tylko ten zerwany popręg uratował panu de Ordazowi życie, a już na pewno zdrowie, bo kiedy jego rumak przewalił się na lewy bok, on fajtnął w prawo, dzięki czemu nie przygniotła go wierzgająca w przedśmiertnych konwulsjach masa mięsa.

Wypuścił miecz, próbując zasłonić chociaż twarz rękami, ale ciężar napierśnika pociągnął go w dół, więc walnął o ziemię z gracją worka kamieni. Aż mu się czarno przed oczami zrobiło.

Przez chwilę miał wrażenie, że połamał wszystkie żebra; potem – że tylko połowę, ale chyba razem z kręgosłupem.

W końcu jakoś zacerpnął tchu, zajęczał żałośnie.

Kiedy przestał widzieć tylko zielone i czerwone plamy, uświadomił sobie, że wszędzie wokół niego i nad nim szaleje już absolutnie dzikie, chaotyczne starcie.

Indianie skakali z dachów, wypadali z bocznych uliczek, wylewali się wyjąca, wielobarwną falą zza zakrętu.

Z góry sypały się na oddział białych kamienie i oszczepy, chmarami nadlatywały wypuszczone z krótkich łuków strzały, wirowały w powietrzu kamienne maczugi.

Kastylijczycy zbili się w ciasną grupę, najeżoną ostrzami szpad, grotami włóczni i pik. Kuszownicy dali już pierwszą salwę, gruchnęły też arkebuzy – i teraz potrzebowali czasu na przeładowanie, a przecież Indianie nawet nie zwolnili ataku!

Prowadzone przez nich kobiety krzyczały z przerażenia, zakrywając głowy rękami, kuląc się na ziemi, próbując chować się pomiędzy jucznymi zwierzętami.

Konie rzucały się i wierzgały, roztrącając i co chwila nadeptując ludzi, pogłębiając tylko chaos.

Jednak bronili się jeszcze, nadal nie zostali rozbici i rozdzieleni! Wszystko przez to, albo dzięki temu, że idący z orszakiem Cholultekowie zamarudzili nieco, odstając od głównych sił konkwistadorów, i to na nich właśnie przypadł pierwszy impet idącego od tyłu natarcia.

Mexikowie rzucali się na nich teraz niczym dzikie zwierzęta, łapiąc za włosy, sięgając gołymi rękami do twarzy, uderzając bez zmiłowania buławami i tnąc krzemiennymi nożami, rąbiąc mieczami o ostrzach z obsydianu jak popadnie, od góry, byle trafić!

– Śmierć białym najeźdźcom! – ryczał walczący na czele wojowników Maxcatl z ludu Otomi, uderzając na lewo i prawo swoim toporem.

– *Mikistliii!* Śmieeerc! – wył niczym potępieniec Rodrigo, trzymanym oburącz za lufę arkebuzem okładając jak popadnie na lewo i prawo wszystkich, którzy nie mieli twarzy wymalowanych w święte barwy wojenne.

– Naprzód, wojownicy Imperium Słońca! – krzyczał Netecatli.

– Kastylia! *Santiago y cierra, España!* – nawoływali się biali, próbując zapobiec rozerwaniu swojego szyku.

Diego de Ordaz przekręcił się na bok, próbując wstać, ale ktoś pchnął go włócznią w piersi.

Kamienny grot niegroźnie brzęknął i zgrzytnął po żelaznym napierśniku, jednak sam impet znów odrzucił kapitana na ziemię. Napastnik wziął zamach po raz drugi, uderzył tak samo – ostrze trafiło w wypukłe żebro kirysu;

rysując wypolerowaną stal, zjechało ku górze, w kierunku gardła pana de Ordaza, po czym zaklinowało się na wywiniętej żelaznej kryzie gorgetu.

Nie dowierzając swojemu szczęściu, de Ordaz spróbował kopnąć napastnika, jednocześnie macając ręką za rękojeścią leżącej gdzieś obok szpady.

Dzikus naparł tylko na drzewce włóczni, dociskając je jeszcze mocniej do ziemi; kolejny podskoczył z boku, zamachnął się i walnął go nabijaną kamieniami maczugą w łeb.

Hełm zadzwonił głucho, głowa pana de Ordaza odskoczyła na bok, świat wypełnił się szumiącym piskiem. De Ordaz machnął bezradnie ręką, chcąc się zasłonić, ale Indianin znów zdzielił go jeszcze mocniej – po raz kolejny uderzając w hełm!

– *Fijo de la mala putaña...!* – krzyknął de Ordaz.

Wymacał w końcu szpadę, chwycił – niestety, za ostrze, jak się okazało, więc wrzasnął tylko z bólu, odruchowo wypuścił szpadę z rozciętej ręki.

Indianin kolejny raz walnął go maczugą, ale już w ramię.

Ten z włócznią znów się zamachnął, najwyraźniej tym razem zamierzając celować w głowę.

Pan de Ordaz nie zdążył nawet westchnąć, pomyśleć ani się pomodlić.

Być może poczuł drobne ukłucie zawodu, gdy – wbrew temu, co zawsze mu wmawiano – życie nie przeleciało mu przed oczami.

Ale mogło też nie przelecieć dlatego, że w tym momencie Indianin wypuścił włócznię, kaszlnął krwią i osunął się na ziemię, patrząc z zaskoczeniem na wystający mu z piersi sztych miecza.

Ten drugi chciał machnąć jeszcze raz maczugą, ale nie zdążył, bo cios partyzany rozwalil mu głowę na pół.

– Panie! – Nad de Ordazem nachylił się Miguel Sangüesa, wyciągnął do dowódcy rękę. – Panie, nic wam nie jest? Wstawajcie, na Boga!

De Ordaz syknął, kiedy tamten chwycił go za zranioną dłoń, odruchowo wyciągniętą do żołnierza, ale jakoś dał radę się podnieść. Drugi Kastylijczyk podał mu podniesioną z ziemi broń.

Gruchnęły nierówną salwą wystrzały: to arkebuzerzy zdołali w końcu przeładować broń, odrzucając Indian kilka kroków w tył.

– Panie, musimy przebijać się do koszar! Za dużo ich, nie damy rady!

– Naprzód! – zachrypiał de Ordaz, przekładając szpadę do lewej ręki.

– Przebijamy się! Naprzód! – zawołał Sangüesa. – Brać tabor, chronić kobiety!

– Naprzód!

– *Santiago y cierra, España!*

Uderzyli na Indian ze zdwojoną siłą, wynikającą z czystej desperacji.

Nie próbowali nawet celować, nie starali się walczyć – po prostu dźgali na oślep w kierunku zalewających ich wykrzywionych wściekłością twarzy, wyciągających się ku nim rąk i opadających kamiennych broni.

Kusznicy posyłali bełt za bełtem w napierającą ciżbę, okrzykami ostrzegali się nawzajem przed Mexikami spychającymi z dachów kamienie.

Arkebuzerzy trzęsącymi się, zalanymi krwią rękami wsypywali do luf proch, wsuwali przybitkę, kulę, drugą przybitkę... A wszystko to tak przerażająco wolno!

Krok po kroku, piędź po piędzi oddział przesuwał się ku zbawiennej otwartej przestrzeni wielkiego placu. Gdy tylko tam

dotrą, będzie dzielił ich jeden skok, jeden zryw od bezpieczeństwa pałacu Axayacatla. Byle tylko się przebić, jakoś dać radę!

Jednak Indianie nieustannie napierali, rzucając się fala za falą.

– Otworzyć bramę! – zawołał ktoś w oddali. – Otwierać, na Boga w Trójcy Jedyne... Otwierać, mordują nas tutaj!

Walczący na samym przedzie szyku pan de Ordaz już miał się zdziwić – a potem zrozumiał.

Zrozumiał po raz drugi.

– Heej! Otwierać! – zawołał Rodrigo, składając dłonie przy ustach.

Ktoś wychylił się zza muru, omiół sytuację spojrzeniem i schował się.

A potem zaszurała zdejmowana zasuwka, wrota zaczęły się uchylać.

Rodrigo zerknął jeszcze z ukosa na odległych o może dwadzieścia, może trzydzieści kroków Kastylijczyków. Wyszczrzył się złym uśmiechem, kiedy na krótką chwilę spotkali się wzrokiem: on z jednej strony, z drugiej zaś walczący na czele szyku, ledwie widoczny de Ordaz.

– Nie otwierać! – wrzasnął desperacko ten ostatni, ale jego głos przepadł we wrzawie.

– Otwierać, szybciej! – zawołał Rodrigo, przerzucając w rękę rusznicę.

Kiedy brama otwarła się już na szerokość około stopy, jeszcze przez chwilę zastanawiał się, czy aby nie poprawić tego, co raz spartaczył. Ale potem od niechcienia, nonszalanckim gestem skierował lufę prosto w twarz właśnie popychającemu skrzydło żołnierzowi.

– Szybko, bo...! – zdążył tylko powiedzieć tamten.



De Ordaz widział, jak arkebusz w rękach stojącego przed bramą pluje ogniem i dymem, a potem zza rogu otaczających pałac Axayacatla zabudowań wysypują się z dzikim wrzaskiem ukryci do tej pory Indianie.

– *Mikistli niistaktli tlakuanotstin!*<sup>[2]</sup> – zawył Rodrigo, jako pierwszy przeskakując ponad trupem wartownika i rzucając się w uchyłone wierzeje.

Za nim zaś z bojowym okrzykiem na ustach i z bronią wzniesioną do ciosu wpadli na dziedziniec wojownicy Jaguara i Orła.

Któryś z Kastylijczyków zdążył krzyknąć ostrzegawczo, ale było już za późno.



Zahred stał na dachu budynku po drugiej stronie wielkiego placu, obserwując z tej perspektywy, jak rozwija się ułożony przez niego plan.

Już teraz widział, że Rodrigo dotarł na miejsce dywersji zbyt późno... Albo to on źle ocenił odległość od wylotu uliczki do pałacu Axayacatla.

Efekt był taki, że zamiast ugrzęznąć w wąskim zaułku na dłużej, prowadzący tabor z łupami i kobietami konkwistadorzy powoli przebijali się ku bramie.

Tak, to zapewne była kwestia niewłaściwego oszacowania dystansu.

Tak czy inaczej, oddziały szturmowe pod wodzą Huexocha i Nochehuatla wdarły się na dziedziniec. Obydwaj dowódcy, dobrze widoczni z powodu doczepionych do pleców

sztandarów, trzymali się zgodnie z rozkazami w pewnym oddaleniu.

– Grupa Uetzcayotla, dwa razy po dwudziestu, od prawej – rzucił krótko.

– Tak, o Najwyższy! – szczechnął człowiek, którego Zahred dla własnej wygody mianował „tym, który dowodząc, pilnuje odległości głosu”, czyli po prostu oficerem łącznikowym. – Niech dwakroć po dwudziestu wojowników zaatakuje od strony świątyni Tezontlemacoyan!

Jeden z zawczasu poinstruowanych gońców uderzył czołem o ziemię, poderwał się i popędził po przerzuconym ponad ulicą drewnianym pomoście, żeby zanieść rozkaz do już czekających w pogotowiu wojowników.

Mexikowie są... specyficzni, pomyślał Zahred.

Zastani w swoich zwyczajach, niechętni zmianom – ale z drugiej strony niemalże ślepo posłuszni, doskonale zdyscyplinowani. Wystarczyło odpowiednio wytłumaczyć im rzeczy, wydać konkretne rozkazy i wszystko szło jak po maśle.

– Niech zaatakują teraz wszyscy! Nie ma na co czekać, biali ludzie są przerażeni! Zanim nadejdzie wieczór, wojownicy będą ucztować na ich wnętrznościach!

No cóż, prawie wszystko, poprawił się w myślach Zahred. Pozwolił sobie na uśmiech, zerknął na stojącego obok Xicotencatla.

– Jeszcze nie pora.

– Jak to?! Xahuatl niepotrzebnie zwleka! Jeśli wielkie drzwi stoją otworem, to trzeba kazać wojownikom, żeby dostali się do środka!

– Jeszcze. Nie. Pora – dobitnie powtórzył Zahred, kręcąc głową.

– Ale przecież teraz...

W tym momencie brama eksplodowała czerwonym rozbryzgiem, na wszystkie strony poleciały ciała, niczym ciśnięte w powietrze szmaciane lalki, oderwane od korpusów ręce i nogi... Po chwili do ich uszu doleciał z opóźnieniem basowy huk wystrzału z działa.

– Teraz – oznajmił Zahred, dając znak do ataku.



– Skrob ją, szybko! – wrzasnął ogniomistrz de Usagre.

Widząc, jak guzdrze się jego człowiek, wyrwał mu wycior z rąk, odepchnął na bok i sam zaczął czym prędzej czyścić dymiącą wciąż lufę armaty, wygarniając z niej dopalające się ziarnka prochu.

Indianie znów rzucili się w bramę, przeskakując ponad zmasakrowanymi, poszarpanymi zwłokami swoich pobratymców.

Z wysokości szańca na schodach, za którym stała artyleria, doskonale było widać, że nie atakują tym razem na wprost, próbując przytłoczyć obrońców liczbą. Teraz Mexikowie rozbiegali się od razu na boki, wskakując w przejścia i chowając się do pomieszczeń. Rzucali się po dwóch, po trzech na każdego z Kastylijczyków.

Jak gdyby zmądrzeli od wczoraj, pomyślał pan de Usagre.

Odrzucił wycior, chwycił od pomocnika już przygotowaną szufłę z prochem.

– W imię Ojca i Syna... – zamruczał, po czym sypnął czarnymi grudkami w nadal tchnącą żarem gardziel. Jeśli nie wyczyścił jej dość dokładnie, jeśli gdzieś tam został kawałek tłących się pakuł, to nawet nie zdąży pomyśleć o tym, że zrobił

coś nie tak. – Dawać przybitkę, żywo! Ładunek szykuj... Gdzie mi z tą pełną kulą?! Dawaj drobne, muszkietowe... Zasypuj już zapal, na co czekasz jeden z drugim?!

Na krużganki wybiegł Cortés, dopinając jedną ręką sprzączki pancerza. De Coria chciał podać caudillovi hełm, ale ten odepchnął go na bok, zniecierpliwiony, po czym zawołał:

– Kuszniczy na galerie! Piki na przód, nie dać im się przedrzeć... Gdzie nasi, daleko?!

– Jeszcze z pół sta kroków! – krzyknął znad bramy obserwator, kryjący się za murem przed lecącymi z zewnątrz kamieniami. – Niosą pnie z nacięciami, będą się wspinać!

– Ognia w bramę, panie de Usagre, a potem już tylko falkonety!

– Jeszcze nie gotowa jest! – zawołał ogniomistrz, współ z pomocnikiem dobijając wyciorem przybitkę.

– W takim razie czekać na mój rozkaz, a na razie obsadzać dachy! *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* – nierówno zawołali ludzie, pospiesznie zbiegając po schodach i rzucając się do boju.

Cortés już miał ruszyć za nimi, kiedy poczuł, jak żołądek skręca mu się w supeł, bo zobaczył, że w bramę wpadli ludzie z dawnej chorągwi kapitana Zahreda.

Z twarzami wymalowanymi w czarno-czerwone pasy, w narzuconych na pancerze opończach i kolorowych pióropuszech, byli niemalże nie do odróżnienia od reszty Indian.

Jednak różnica stała się więcej niż oczywista, gdy dołączyli do walki. Juanito zamachnął się halabardą i opuścił żeleźce w dół z całej siły, rozbijając hełm wraz ze skrytą pod nim głową jednego z dawnych towarzyszy broni.

Hakownica Jiménezza rzygnęła ogniem, posyłając ołowianą kulę wprost ku stanowisku artylerzystów, usiłujących obrócić

śmigownicę ku nacierającym coraz mocniej Indianom.

Enriquez dźgnął swoją piką pomiędzy dwoma wojownikami Mexików, sięgając wycofującego się konkwistadora w udo.

Valdés wskoczył na kamienne poidło, podniósł wysoko sztandar, na którym powiewało upiorne trofeum ze zdartej ludzkiej skóry. Jednooki chorąży zaśmiał się dziko, pokazał mieczem ku schodom.

– *El sol está con nosotros!* Z nami słońce! – ponad hałas bitwy wybił się jego okrzyk.

Cortés stał w połowie schodów, dosłownie niezdolny się ruszyć. Serce waliło mu niczym młotem, w ustach nagle zaschło, na gardle jakby ktoś zacisnął wraźną rękę.

– Panie? – jak spod wody dobiegł do niego głos de Alvarada.

Nie mógł oderwać wzroku od bramy, oczekując, że lada chwila ujrzy w niej znajomą sylwetkę.

– Panie...?!

Oczyrna duszy już widział, jak tamten wpada na dziedziniec ze swoją siekierą, otoczony chmarą much.

– Panie.

Cortés drgnął, spojrział w drugą stronę, odwracając się do Alvarada tyłem.

Obok niego stała Malintzin. Nie doña Marina, ale właśnie Malintzin.

– Pani? – Przełknął ślinę, ledwo dając radę wydobyć głos przez zaschnięte gardło.

– Nie ma go tutaj – rzekła Malintzin, też patrząc ku bramie.

– Nie odważył się... To nasza szansa. Poprowadź ludzi do boju, Hernán. Nie daj im zobaczyć swojego strachu. Nie pozwól, żeby upadł obraz wodza, który noszą w sobie. Nie okazuj lęku. Nie wahaj się.

– Ale ja... – powiedział Cortés.

Zamrugnął, potrząsnął głową – przed nim nie było nikogo.

Obejrzał się na stojącego obok de Alvarada.

– Gdzie doña Marina? – zapytał.

– Panie...? Chyba u siebie, w kwaterach... Kazaliście jej nie wychodzić!

Wszędzie wokół wyli i krzyczeli Indianie, brzęczała i zgrzytała broń. Śmigownica w końcu dała ognia, napełniając noc pomarańczowym rozbłyskiem i chmurą dymu.

Piekło, pomyślał caudillo. Jesteśmy wszyscy w piekle.

Zerknął jeszcze raz przez ramię, ale Malintzin tam nie było.

Odetchnął głęboko.

– Kuszniczy, szeregiem przy mnie! – zawołał, podnosząc wysoko szpadę. – Piki na schodach! Nie dać im się przebić... Panie de Usagre, ognia!

– Ale nasi ludzie...! – krzyknął ogniomistrz.

– Ognia, powiedziałem! Teraz!

De Usagre przeżegnał się i przyłożył szponton do zapalu.

Syknął i zaiskrzył proch, armata westchnęła i plunęła gradem kul prosto w ciżbę Indian walczących w łuku bramy.



To był dokładnie ten moment, kiedy pan Diego de Ordaz pomyślał, że nie dadzą już rady się przebić.

Do zbawiennej przestrzeni wrót pałacu Axayacatla brakowało im może pięciu, może dziesięciu kroków. Dociśnięci do muru. Otoczeni ze wszystkich stron przez nacierających Indian. Stłoczeni na zbyt wąskiej przestrzeni. Zasypany

strzałami i kamieniami. Nie mogli już ruszyć się ani w tę, ani we w tę.

A byli przecież tak blisko bramy! Prawie im się udało, niemalże dotarli na miejsce, kiedy dzicy uderzyli, odcinając im drogę.

Ich szanse były w tej chwili żadne.

I właśnie wtedy w środku gruchnął strzał z armaty, a wejście w bramę na chwilę opustoszało z tłoczących się w nim Mexików.

Nacisk od strony czoła pochodu minimalnie zelżał.

– *Santiago y cierra, España!* Naprzód, w imię Boże, przebijamy się! – zawył de Ordaz, rzucając się na czele swoich ludzi ku bramie.



Zahred zacisnął bezsilnie pięści, widząc ze swojego miejsca, jak walczący Kastyljczycy powoli, krok po kroku przebijają się jednak ku pałacowi i zaczynają wlewać się w bramę.

Powinien był tam być.

Stać na czele Mexików, prowadzić atak.

Dać z siebie wszystko.

Czuł, wiedział, że jego umiejętności potrafiłyby przeważać szalę zwycięstwa. Natomiast...

Dotknął ukradkiem boku, wciąż zawiniętego przesiąkniętymi krwią opatrunkami: nie, zdecydowanie nie nadawał się do tego. Nawet teraz, tylko stojąc tutaj, czuł, jak potwornie bolą go poszarpane tkanki. Muchy uwijały się najlepiej jak potrafiły, ale to jeszcze nie było to.

Tak naprawdę nie miał od wczoraj czasu zastanowić się, dlaczego w ogóle jeszcze żył.

Albo inaczej: CZY w ogóle żył.

To jednak mogło poczekać.

Teraz były ważniejsze, bardziej naglące sprawy niż coś tak przyziemnego jak jego egzystencja.

Kastylijczycy schowali się do wnętrza podwórca za bramą. Wspinający się na mur Mexikowie zaczęli spadać gęścij, nie mogąc przełamać oporu wroga.

Jednak na jednym z otaczających pałac domów widać było zatknięty na długim drągu, płonący jaskrawym płomieniem ognia wiecheć suchej trawy.

– Niech wojownicy Jaguara i Orła zawrócą. Niech Czarna Chorągiew się wycofa. Dać sygnał! – rzucił do oficera łącznikowego.

– Tak jest, o Najwyższy! – odpowiedział tamten, przekazując rozkazy kolejnemu biegaczowi.

No cóż, nie udało się wykonać planu maksimum i zniszczyć odłączonego od całości oddziału. Trudno.

Na szczęście nie był to koniec niespodzianek, jakie przygotował na ten wieczór i noc swoim niedawnym kompanom.



Kiedy gdzieś w oddali rozległ się długi, przeciągły dźwięk piszczałki, a walczący do tej pory z dziką zaciekłością Indianie zaczęli cofać się ku bramie, z piersi konkwistadorów wyrwał się chóralny krzyk ulgi.



– Odstępują! – zawołał zbryzgany krwią, ledwo widzący już na oczy pan de Ordaz, który tego dnia witał się ze śmiercią co najmniej czterokrotnie, a teraz wyglądało na to, że tyle samo razy pomacha jej na pożegnanie. – Na Boga, odступują... *Santiago!*

– *Santiago y cierra, España!* – wrzasnął radośnie pan de Lugo.

– Kurwie syny, za nimi gnać! – ryknął Portocarrero. – Bij w nich, psubratów jebanych!

– Stać, stać! – zawołał jednak Cortés, też wycofując się o kilka kroków, żeby z wysokości szańca artyleryjskiego złapać lepszy ogląd sytuacji. – Żadnej samowoli! Nie wyściubiać nosa za bramę. Te dzikusy na pewno coś jeszcze knują!

Pan de Tapia wszedł na schody śladem caudilla, nie spuszczać z oka zasłanego trupami i rannymi dziedzińca.

Ostatni Mexikowie znikali już za bramą, ktoś dał jeszcze ku nim ognia, ale kula z arkebuza wybiła już tylko dziurę i odłupała sporą szczapę z drewnianych wierzei.

– Admirale! – sapnął de Tapia. – Admirale, albo mi się w oczach mieniło, albo tam byli...

– Ludzie kapitana Zahreda – warknął de Sandoval, stając po drugiej stronie Cortésa. Schował szpadę do pochwy, dłonią otarł z twarzy krew, przemieszaną z sadzą i brudem. – Też ich widziałem. Szlag! Czyli zdradzili wszyscy, przeszli na stronę tych pogańskich dzikusów! A jeśli tak, to...

– *Las heridos de Dios* – wymamrotał Cortés, nagle obracając się w kierunku pałacu. – Kto został w środku?! Kto pilnuje zasobów, kto...?!

I w tym właśnie momencie gdzieś z komnat rezydencji rozległ się wysoki, przeszywający okrzyk:

– Ratunku, na pomoc! Dzicy! Dzicy atakują!

– Alarm! – podchwycił ktoś.

– Dzicy zaatakowali, zdrada! Do pałacu...  
– Wszyscy do środka, na pomoc! – krzyknął de Sandoval.  
– Staaać! – zawołał Cortés. – Zewrzeć szyk, pilnuj bramy...  
De Usagre, ładuj działo! Kuznicy, do mnie! De Alvarado, do cholery... Weźcie pół setki ludzi i do pałacu! A reszta tutaj, bo tylko patrzeć, jak...

I w tym momencie przez bramę wpadł pierwszy wymalowany w barwy wojenne, przystrojony piórami Indianin, za nim zaś chlusnęli wielobarwną falą kolejni.



Zahred patrzył z satysfakcją, jak jego oddziały wycofują się i przegrupowują, pozwalając świeżym, wypoczętym, żądnym krwi i chwały towarzyszom ponowić atak.

Tak, był z nich zadowolony.

Jeszcze nie dumny... Ale już teraz widział, że przy odpowiednim zarządzaniu i dowodzeniu będą stanowić niebagatelną siłę.

Tym bardziej że wysłana wcześniej na tyły pałacu grupa dywersyjna spełniła swoje zadanie.



– Kuznicy, do mnie! – wrzasnął de Alvarado, sztychem szpady przebijając nacierającego nań Indianina. – Kuznicyyyy!

Następny Mexik, tym razem zbrojny w krótką włócznię o ząbkowanym kamiennym ostrzu, wypadł z dzikim skowytom

z przejścia i rzucił się wprost na desperacko broniących się białych.

Kiedy biegnący przez korytarze pałacu de Alvarado usłyszał huk i łomot donoszące się z magazynu żywności, był więcej niż pewien: Indianie przedostali się do pałacu! Jakimś cudem sforsowali zewnętrzny, wysoki na dwóch mężczyzn mur, a teraz na pewno niszczyli ich zasoby!

Ale kiedy wbiegł tam na czele przydzielonych mu przez caudilla ludzi, od razu zrozumiał, że sytuacja miała się o wiele, wiele gorzej.

Ponieważ ziściły się jego najgorsze senne koszmary: w ścianie magazynu ziała teraz ogromna dziura, z której w kłębach kurzu i pyłu wysypywali się jeden po drugim uzbrojeni dzicy!

W pierwszej chwili był przekonany, że to sen.

Jakiś obłąkany koszmar, ten sam, który niepokoił go w przeddzień tego cholernego pogańskiego święta! To na pewno był tylko majak, a on się zaraz obudzi!

Jednak w miarę jak sytuacja się przeciągała, pan Pedro de Alvarado zaczynał pojmować, że jego szanse na wydostanie się z niej drogą przebudzenia były raczej marne.

– Kuznicyyy! Do cholery, de Guzmán! Kuzników tutaj dajcie! – zawył desperacko.

Gdzieś na piętrze szalał już pożar, kłęby dymu waliły z okien, snuły się nisko przy ziemi i gryzły w oczy. Skowyczący i hałakujący dziko Indianie biegali po salach pałacu Axayacatla, podkładając ogień pod wszystko, co tylko mogło się palić, i atakowali przerażonych, próbujących uciekać przed nimi cholulteckich tragarzy, którzy swoją paniką tylko pogłębiali zamieszanie.

– Celuj, puść! – rozległ się okrzyk.

Brzęknęły zwalniane cięciwy, nierówna salwa bełtów śmignęła przez powietrze, kosząc kilku Indian. Ludzie pana de Guzmána nadbiegali już korytarzem, któryś niósł ze sobą pochodnię, próbując oświetlić nieopisane zamieszanie.

– Spychać ich! Spychać ich z powrotem, nie dać się rozbiec!

– *Santiago...!*

Grzęznąć w rozsypanej mące, depcząc po plackach kukurydzianych, potykając się o zabitych i rannych, kawałek po kawałku, pięść po pięści dali radę odepchnąć dzikich od wyjścia na wewnętrzny dziedziniec.

Potem, bijąc się dziko w tłoku i półmroku, odrzucili ich ku wyłomowi w murze, dosłownie blokując go zwałami trupów. Aż w końcu ludzie zaczęli układać byle jak, jeden na drugim, kawałki muru, cegły, kamienie i beczki, czopując dziurę, zza której wciąż niósł się wściekły ryk rozjuszonego tłumu.

– Pilnować tutaj! – zacharczał de Alvarado, czując w ustach smak krwi. – Dołożyć coś do barykady, przygotować drugą linię obrony!

– Panie, oni tam znów szturmują! – De Guzmán wskazał ku bramie.

– Wyłapać, wybić tych, co są w środku! Połowa zostaje tutaj, trzyma wartość... A reszta za mną! Nie damy się! *Santiago y cierra, España!*

Kiedy ludzie nie podchwycili zawołania tak, jak się tego spodziewał, sapnął i nie czekając na nic więcej, ruszył z powrotem ku głównemu podwórcowi.



Caudillo Hernán Cortés de Monroy Pizarro Altamirano siedział na prowadzących do pałacu Axayacatla schodach, trzymając głowę wspartą na dłoniach i patrząc zupełnie bezmyślnie na czubki własnych butów.

Wokół niego kręcili się ludzie, coś się działo.

Słyszał, jak nawołują się schrypniętymi głosami.

Kątem oka widział, jak chodzą w tę i we w tę po dziedzińcu, ciężkim krokiem wspinają się po pokrytych zasychającą krwią stopniach.

Dźwigają rannych do lazaretu.

Wynoszą trupy.

Tak, był wszystkiego tego świadom, lecz jednocześnie czuł, że jest obok. Jak gdyby siedział na brzegu rzeki i patrzył na niesione jej nurtem... rzeczy.

Rzeka mojego życia, pomyślał i zadrżał.

Zadrżał raczej z zimna, bo był już przecież niemalże świt. Niebo zasnuło się szarówką, z jednolitej powłoki chmur sypał drobniutką kaszką deszczyk, przez co chłód stawał się jeszcze bardziej dotkliwy. Tylko patrzeć, jak słońce wyskoczy znad horyzontu rozpaloną do białości kulą, po raz kolejny zamieniając to miasto w piekarnik.

Zabawne – kula.

Podobno i słońce, i ziemia były właśnie takiego kształtu.

Nie płaskie, nie owalne, jak to tłumaczył Hernánowi jego ojciec, ale właśnie okrągłe. Tak mało z rzeczy, które wmawiał mu ojciec, okazało się prawdą!

Na przykład to, że nigdy nic nie osiągnie.

Że do niczego się nie nadaje, że nic nie będzie miał.

Ktokolwiek się z nim zadaje, robi to wyłącznie interesownie, dla własnego zysku.

Ta wyprawa, ten ostatni rok były dziełem jego życia. Wielkim manifestem jego woli. Zaprzeczeniem wszystkiego,

czym ludzie uważali, że Hernán Cortés jest, i czym nigdy nie będzie. Osiągnięciem na miarę pokoleń!

A on miał to wszystko teraz stracić?!

Nawet się nie zdziwił, kiedy ona usiadła obok, opłotła kolana ramionami i oparła głowę na jego barku. Wyciągnął rękę, objął ją i przytulił, jakby faktycznie siedzieli nad rzeką tam, daleko stąd, w jego rodzinnych stronach.

Dla takich chwil chciało się żyć. To się liczyło, to było prawdziwe. Ponieważ mając ją u boku, mógł...

– Panie...?

Wzdrygnął się, podniósł głowę i rozejrzał się.

Przed nim stał, opierając się ciężko ręką o kolano, młody de Coria.

Doña Marina zniknęła.

– Co? – zachrypiał, próbując wydobyć głos z zaschniętego gardła.

– Pytałem, panie, czy nie jesteście ranni. I czy pomóc wam przejść do kwatery?

– Ranny... To nic, błahostka. Dam radę sam.

De Coria odsunął się, czekając posłusznie, aż Cortés podniesie się o własnych siłach.

Po dwóch próbach jednak, nie pytając już o nic, wziął swego pana pod ramię, pomógł mu wstać i poprowadził, samemu utykając, do kwatery.



– Biali najeźdźcy nie ulegli Mexikom. Czemu Huēi Tlahtoāni kazał wojownikom odstąpić, kiedy ci byli już bliscy zwycięstwa?

Zahred westchnął ciężko, spojrzął jeszcze ciężiej na stojącego przy wejściu do komnaty władcę Domu Szeptów.

– Itzli mnie pyta czy krytykuje? – mruknął.

Pracujący przy jego ranach *tlantonaniztli* nawet nie podniósł głowy, zbyt zajęty zszywaniem brzegów ciała i jednocześnie niezwracaniem uwagi na poirytowane muchy, z którymi najwyraźniej konkurował o tytuł tego, kto zdoła uratować ich wspólnemu pacjentowi życie.

– Itzli nie śmie krytykować najwyższego króla – odparł gładko nieproszony gość.

– Ach, faktycznie. A gdyby jednak śmiał?

– Wtedy Itzli powiedziałyby: najwyższy król postąpił nierozsądnie, dając rozkaz do odwrotu. Najwyraźniej wcale nie chce, aby wojownicy Mexików pokonali białych.

– I czy Itzli powie tak?

– Nie, ponieważ nie jest głupcem i liczy na to, że nie jest w tym osamotniony. – Władca Domu Szeptów uśmiechnął się nieszczerze, podchodząc bliżej i patrząc z pewną fascynacją na ranę w boku Zahreda.

Widział, jak porusza się świeża tkanka, pod którą wyraźnie odznaczały się białawe łuki żeber. Żyły pulsowały w rytm uderzeń serca, coś w głębi ciała przelewało się, unosiło i falowało... Itzlemu zdarzało się widzieć dziesiątki, setki ofiar składanych na kamieniu świątyni, więc miał dość dobre pojęcie o tym, jak wygląda człowiek od środka.

I tego pojęcia wystarczyło mu aż nadto, żeby zrozumieć: ten człowiek nie miał prawa przeżyć ubiegłej nocy.

No cóż, ubiegły rok był dla Itzlego czasem przyspieszonej nauki rzeczy nowych i niespodziewanych.

– Mhmm... – mruknął Zahred, patrząc krytycznie na szwy. – To się dobrze składa, bo Xahuatl liczy na to samo. Co mówią wodzowie?

– Podobne jak Itzli, nie rozumieją zamysłów najwyższego króla. Inaczej niż Itzli, wolą rozmawiać o tym z równie głupimi jak oni sami.

– Itzli ima się pochlebstw.

– Itzli ima się wszystkiego, co przyniesie korzyść Imperium Słońca i pozwoli mu pomścić najwyższego Montezumę.

Zahred uśmiechnął się półgębkiem, skinął znachorowi.

– Niech Xiuhtzi zostawi na chwilę Xahuatla.

– Xiuhtzi już prawie skończył, więc niech Xahuatl poczeka jeszcze chwilę – odwarknął *tlantonaniztli*, nawet na moment nie przestając szyc. – Najwyższy król czy nie, każdy krwawi tak samo. Gdyby Xiuhtzi nie był potrzebny, nie byłoby go tutaj. Skoro jest tutaj...

– Dobrze, już dobrze. Czy Meksykowcy zawsze szanują kogoś mniej po tym, jak już zostanie Huēi Tlahtoāni?

– Najwyższy król sam wybiera, komu powierza swoje myśli. – Itzli skłonił się.

Zahred pokiwał tylko głową, ale nie skomentował.

Odczekał, aż znachor zakończy szew i odetnie nic kamiennym nożykiem przy samym ciele, poruszył na próbę ramieniem. Skrzywił się, czując, jak szwy ciągną. No cóż, będzie musiało wystarczyć.

Kiedy Xiuhtzi wyszedł, Itzli odczekał jeszcze chwilę. Zerknął za kotarę, zasunął ją szczelniej.

– Xahuatl żyje – skwitował krótko. – Itzli się cieszy.

– I znów uczucie jest odwzajemnione, o dziwo... Jak sytuacja? Co robią biali?

– Czy najwyższy król spał tej nocy w ogóle? Czy jadł, pił? Wydalał? Tenochtitlán dopiero co straciło jednego władcę, miasta nie stać na drugiego w tak krótkim czasie.

– Itzli najwyraźniej nie boi się stracić głowy?



– Stracić... głowy? – Władca Domu Szeptów nie zrozumiał. – Ach, Itzli już rozumie. To zapewne kara, prawda? Biali ludzie odcinają głowy złoczyńcom?

– Tak, brawo... To pewnie kwestia narzędzi. Jak zabija się winnych przestępstw w Imperium Słońca?

– Ciosem maczugi w nasadę głowy, jak zwierzęta.

– Zaskakująco humanitarnie – mruknął Zahred. – Czy Xahuatl musi prosić o odpowiedź na swoje pytanie? Czy ma sam pójść i sprawdzić?

Władca Domu Szeptów przewrócił oczami, ale skłonił się przepisowo.

– Najwyższy rozkazuje, Itzli mówi: biali siedzą w pałacu Axayacatla i boją się wychodzić. Wojownicy nie dają im chwili wytchnienia, cały czas miotając w ich stronę kamienie i strzały. Niestety, biali dali radę zagasić wzniecone nocą pożary.

– To dobrze, bo muszą gasić je wodą, którą mogliby wypić.  
– Zahred uśmiechnął się mściwie.

– I zasypali dziurę w murze, którą wykonali robotnicy.

– To już gorzej, ale trudno, liczyłem się z tym. Co z ich zapasami?

– Itzli rozmawiał z tymi, którzy podjęli się zadania... I wrócili żywi. – Władca Domu Szeptów zrobił dość wymowną pauzę pomiędzy tymi dwoma zdaniami. – Twierdzą, że rozbili, podpalili albo inaczej zniszczyli przynajmniej część zgromadzonej żywności. Niestety, z tymi, którzy mieli wlać zawartość dzbanów do stągwi pełnych ciasta z kukurydzy, Itzli nie zdołał porozmawiać.

– Więc zapewne nie udało im się zatruć zaczynu, ale to było do przewidzenia. Czy wszystkie wodotryski są odcięte?

– Tak, o Najwyższy. Itzli sam sprawdził, czy przekierowano wodę z akweduktów.

– Zatem teraz pozostaje nam czekać. Itzli może odejść.

Przez długą chwilę patrzyli się na siebie.

W końcu Zahred sapnął, pokręcił głową i wskazał Itzlemu słomianą matę, sam usiadł naprzeciwko.

– Najwyższy król nie raczył... – zaczął władca Domu Szeptów.

– Nie raczył odpowiedzieć Itzlemu, tak. Nie, Xahuatl nie spał. Nie jadłem i nie piłem. Czy wydaląłem... – Zastanowił się chwilę. – Chyba też nie. Ale sporo ze mnie wyciekło.

– Czy Xahuatl teraz wierzy Montezumie?

– Montezumie... – Zahred aż się zachłysnął. – Co?

– Najwyższy Montezuma, oby siedział po wsze czasy na uczcie bogów, powiedział Itzlemu: niech Itzli będzie posłuszny Xahuatlowi we wszystkim, kiedy Montezuma odejdzie z tego świata. Niech czuwa nad nim, bo tylko Xahuatl jest wybrańcem bogów, który poprowadzi Tenochtitlán ku jego największemu i ostatniemu zwycięstwu. To dzięki niemu i razem z nim imperium Mexików umrze, jednak odrodzi się i będzie żyć wiecznie, bo tak dzieje się z tymi, z którymi jest słońce. Tak powiedział Itzlemu jego władca, Huēi Tlahtoāni Mocetuhsuma Xocoyotzin.

Zahred zgarbił się, ukrył twarz w dłoniach.

Kefren od razu podsunął się do swojego pana, zaczął szturchać człowieka nosem, próbując wcisnąć mu się pod ramię, polizać po twarzy.

Itzli siedział spokojnie, czekając.

W końcu najwyższy król znów spojrział na Itzlego, ale tym razem jego oczy nie były szare i zimne, lecz po prostu zmęczone.

– Itzli ma rację. Niech każe... Niech poprosi, żeby Xahuatlowi przyniesiono coś do jedzenia i picia. Potem Xahuatl umyje się i spróbuje przespać. Czy Itzli może...

– Itzli wyda stosowne polecenia, żeby najwyższy król otrzymał wszystko, czego potrzebuje. Służba zaprowadzi Najwyższego wszędzie, gdzie trzeba. Itzli będzie czekać przy wyjściu, aż Najwyższy raczy go znów wezwać.

– Dziękuję.

Itzli skłonił się nisko, dotknął ziemi czołem i nie podnosząc wzroku, wycofał się z komnaty.



– To co, panowie? My teraz Indianami będziemy?

Siedzący w komnacie przylegającej do sypialni najwyższego króla ludzie oderwali się na chwilę od czyszczenia broni, opatrywania ran i zaszywania dziur w płóciennych pancerzach. Popatrzyli na de Monroya, potem niepewnie jeden na drugiego.

– No... Na to by wychodziło, nie? – Montilla wzruszył ramionami. – W sensie po tym wszystkim.

– E tam – warknął Enriquez.

– No co „e tam”?! – od razu zjeżył się Valdés, nerwowo ponad miarę, odkąd żeby zobaczyć kogoś po swojej lewej stronie, musiał przekręcać całą głowę. – A jak sobie to inaczej wyobrażasz, he? Że co, teraz wrócimy do caudilla?!

– Ja nigdzie nie wracam. Mówiłem wam – radośnie odezwał się Rodrigo.

– Bo ciebie ichni czarownik magią odurzył, to tobie łatwo mówić! A jak ja sobie pomyślę, że domu już nie zobaczę, to...! – Enriquez dramatycznym gestem wzniosł ręce do nieba.

– Bo nie zobaczysz. Tutaj jest teraz dom, przy naszym kapitanie. To jest Huēi Tlahtoāni – poprawił się arkebuzer,

z zadowoleniem delectując się egzotycznymi słowami.

– No, coś w tym jest, panowie bracia – nieśmiało odezwał się de Monroy. – No bo jakkolwiek rozumiem wasze zastrzeżenia i obiekcje natury obiektywnej, to jest też szereg przyczyn, że tak powiem, subiektywnych...

– Oho – mruknął Montilla.

– ...które proponowałbym wam rozważyć. No bo jak by na to nie spojrzeć, panowie: nasz kapitan Zahred jest teraz królem.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

Faktycznie, jakoś do tej pory żaden z nich się nad tym nie zastanowił.

Nie było czasu, nie to mieli w głowach... I tej ubiegłej nocy, kiedy okazało się, że caudillo do Zahreda strzelił, oni też zareagowali – mocno odruchowo. Na poziomie pierwotnej, wręcz plemiennej lojalności wobec dowódcy.

Potem była ta piramida ze świątynią, czekanie nie wiedzieć na co przy ogniskach... I tylko Rodrigo łaził to tu, to tam i mówił im w dużym przybliżeniu, o czym gadają otaczający ich dzicy.

No i w końcu kapitan Zahred zszedł na dół ze świątyni – a wszyscy mu się pokłonili.

I oni też, no bo jak inaczej?

A kapitan podszedł do nich i powiedział, że teraz uderzą na pałac Axayacatla.

I dopóki nie doszło do samego ataku, to oni nawet nie myśleli, kto w tym pałacu się będzie bronił!

A teraz byli tu, w Pałacu Białych... czegoś. Traw, czy może Tataraku albo innych Zarośli. I pilnowali swojego kapitana, który w końcu położył się spać.

– I to nieumarłym królem! – z zadowoleniem i pewną wyższością w głosie wtrącił Rodrigo.

– Tfu! Na psa urok, do cholery, nie masz o czym gadać?! – zezłościł się Enriquez. – Ty i twoje wieczne bajanie nie wiedzieć

o czym!

– A co, źle wam mówiłem?! Myliłem się, jak wam próbowałem tłumaczyć, że on nie umrze?! Rację miałem, o! Ja rację miałem, a wyście się wszyscy mylili!

– W imię Ojca i Syna, tfu!

– Ha! Tutaj się żegnać możesz, ile chcesz, imienia Pańskiego wzywać, a nikt cię nie usłyszy! – zapiał Rodrigo, zrywając się ze swojego miejsca. – Tutaj nasza dawna wiara nie sięga, nie rozumiesz?! I czary czy nie czary, magia czarna, biała czy szara, wysoka, niska albo taka sobie o, nieszczególna, to mi się to podoba! Ja teraz jestem tutejszy, razem z naszym Huēi Tlahtoāni!

Umilkł i usiadł, sapiąc ciężko, wściekle. Pozostali nie odzywali się ani słowem, łypiąc jeden na drugiego spod oka.

W końcu de Monroy westchnął od serca, przysiadł się bliżej Rodriga. Położył mu dłoń na ramieniu przyjacielskim gestem.

– A ten czarownik, co ciebie zaklinał... – zagaił kordialnie. – To gdzie go znaleźć można, hm?

---

1 Śmierć!

2 Śmierć białym najeźdźcom!



## Rozdział 3

Zbudził się gwałtownie, otworzył oczy i siadł na posłaniu, zaciskając palce na stylisku siekiery, której nie wypuścił nawet przez sen.

Przez dłuższą chwilę nie miał pojęcia, gdzie w ogóle jest. Ani GDZIE, ani nawet w przybliżeniu KIEDY.

Komnata pałacowa.

Materac ze słomianej plecionki, przykryty świeżym płótnem i żółtą kapą.

Złota taca z owocami i miską pełną świeżej wody.

Malunki na suficie, zwieszające się ze ścian draperie.

Mieniąca się mozaiką z kolorowych kamieni podłoga.

Powoli, niczym zbliżająca się fala przyboju, zaczęły napływać do niego wspomnienia, układając się w jakim takim logicznym i chronologicznym porządku.

Od razu odrzucał na bok, spychał na dno świadomości te wyblakłe, zatarte i niejasne, zostawiając tylko te najświeższe, jeszcze nie przepracowane.

Europa.

Upadek Konstantynopola.

Równina zastawiona drewnianymi palami, na których niczym motyle na szpilki tkwili nanizani ludzie.

Odbijające od brzegu okręty pod połączoną banderą Kastylii i Aragonii.

Nocne rozmowy z młodym astronomem, wypatrującym gwiazd ze swojego obserwatorium w ceglany zameczku daleko na północy.

Ocean...

Wybrzeże Nowego Świata.

Tenochtitlán.

– Tenochtitlán... – szepnął Zahred, opadając znów na posłanie.

A zatem to było jego obecne „tu i teraz”.

Ostrożnie dotknął przewiązanego świeżymi bandażami boku. Tak, więc to się stało... To się stało naprawdę.

Pamiętał jeszcze jedno: patrzącą wprost na niego lufę arkebuza, końcówkę dymiącego lontu i wzrok Cortésa. A potem był obłok dymu, pisk w uszach, gwałtowne pchnięcie do tyłu. Krótkie zachłyśnięcie się bólem i upadek w miękką, nijaką ciemność. Jeśli czegoś się nauczył przez te nieskończone tysiąclecia, eony – to właśnie tego, jak wyglądała śmierć.

I był pewien, że ubiegłej nocy w pałacu Axayacatla stało się właśnie to: umarł.

A jednak był tutaj, oddychał...

...i burczało mu w brzuchu.



– Czy zatem Itzli zechce łaskawie powiedzieć, gdzie jest najwyższy król? Walki trwają, a Xahuatla nie widać!

– „Król”! – prychnął Cuitláhuac ironicznie.

Władca Domu Szeptów ledwie zauważalnie zmrużył oczy, wbił w impertynenta niezmiernie uprzejme i bezgranicznie spokojne spojrzenie.

– „Najwyższy król” – poprawił. – Władca wszystkich krain od gór aż ku Wielkiej Wodzie. Jedyne pan Imperium Słońca. Ten, Którego Ręce Zdobią Malunki. Huēi Tlahtoāni Xahuatl.

– Może ktoś nie dość pilnie uczył się podczas swoich młodzieńczych dni w akademii *calmecac*? – o wiele bardziej agresywnie odezwał się Xicotencatl, który mimo braku oficjalnego zaproszenia też przyszedł na radę, w dodatku nie zmywając z twarzy barw wojennych.

Cuitláhuac popatrzył na niego, wyraźnie zaskoczony. Potrząsnął głową.

– Kim jest ten młodzik? – zwrócił się do pozostałych. – Cóż to za wojownik z prowincji, który nie wie nawet, do kogo się zwraca? Co robi tutaj, w imperialnym Tenochtitlán, zamiast siać kukurydzę i zagniatać mąkę na ciasto w swojej chacie pośród gór Tlaxcali?

Maxixcatzin i Clamecahua, siedzący zaraz za Xicotencatlem, wymienili się spojrzeniami.

Młody wódz już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale dopiero po chwili dotarł do niego prawdziwy sens słów. Pokraśniał, zacisnął wargi.

– Jak śmie...! – zasyczał wściekle, wstając. – Czy nie szkoda mu łona jego matki, które będzie musiało wydać kolejnego syna



na jego miejsce?! Kimkolwiek jest...

Itzli błyskawicznie podniósł się i wsunął pomiędzy Xicotencatla a Cuitláhuaca, stając z rozkrzyżowanymi rękoma.

– Wysoce wielki i wyniesiony Cuitlahuatzin jest jedenastym synem Axayacatla, oby bogowie przyjmowali go w swoim domu...

– Niech sobie będzie i dwunastym!

– ...szóstego Tlahtoāni władającego *altepetl* Tenochtitlán, imperatora Trójprzymierza Mexików, władcy Imperium Słońca. To rodzony brat najwyższego Montezumy! – syknął Itzli.

Xicotencatl, który zdążył już sięgnąć do wsuniętego za pas noża, zawahał się.

– Xicotencatl zaś jest bratem Xahuatla! – rzucił niczym najwyższą kartą przetargową.

– Tak, i właśnie dlatego powinien udać się do swojego brata, żeby sprawdzić, czy nasz Huēi Tlahtoāni zbudził się już na wieczorną naradę. A jeśli nie, to niech zbudzi swojego brata i przekaże mu słowa Itzlego, który uniżenie prosi najwyższego króla o przybycie.

– Xahuatl nie jest...! – zaczął już Cuitláhuac.

Umilkł jednak, kiedy władca Domu Szeptów rzucił mu przez ramię piorunujące spojrzenie.

Xicotencatl zasapał ciężko, ale odwrócił się i ruszył ku wyjściu; jego śladem wyszli też dwaj wodzowie i reszta wojowników Tlaxcali.

Kiedy opuścili salę, kilku dostojników odetchnęło z ulgą.

Cuitláhuac założył ramiona na piersi, pokiwał głową ze złośliwą satysfakcją.

– Dzikusy z Tlaxcali w Domu Węża, na radzie starszyny imperium? Co będzie kolejne, pyta Cuitláhuac: zwierzęta? A może kobiety?

– Itzli pragnie przypomnieć wysoce wielkiemu i wyniesionemu, że Tlaxcala uznała Xahuatla za swojego króla.

– Niech więc króluje sobie w Tlaxcali z błogosławieństwem Cuitláhuaca! – zaśmiał się książę. – Cuitláhuac gotów jest nawet zwolnić go z daniny na rzecz Tenochtitlán, byle tylko nie brudził komnaty jego brata swoją obecnością!

– Itzli również pragnie przypomnieć wysoce wielkiemu i wyniesionemu, że to sam Montezuma wybrał i nazaczył Xahuatla. Xahuatla przyjął lud Tenochtitlán. Xahuatl jest teraz Huēi Tlahtoāni. Mówienie o Huēi Tlahtoāni inaczej niż z najwyższym szacunkiem może szybko zaprowadzić każdego bez wyjątku w miejsce, w którym ten wolałby się raczej nie znaleźć.

– Co? Itzli śmie grozić Cuitlahuatzinowi?! – zagotował się tamten.

– Itzli nie grozi, Itzli wyłącznie przypomina.

– Spokój, spokój! – podniósł ręce Chicomecoatl, do niedawna pomocnik wysoce wyniesionego Moyolechuaniego, a po śmierci tego ostatniego nowy zarządca Błękitnych Kolibrów.

– Spokój – powtórzyło zaraz po nim jeszcze kilku dostojników i urzędników.

Itzli wrócił na swoje miejsce i usiadł jako pierwszy, aby pokazać, że nie pragnie konfliktu.

Cuitláhuac chyba chciał coś jeszcze dodać, ale też uśmiechnął się nieszczercze, usiadł.

– A zatem to Xahuatl jest nowym Huēi Tlahtoāni... – powiedział ostrożnie, badawczo Chicomecoatl. – Tak?

Popatrzył po innych, na próżno szukając w ich twarzach jednomyślności.



– Idą... Znów idą! Alarm!

– Alaaarm! – wołanie poniosło się po salach i korytarzach pałacu Axayacatla.

Ludzie zrywali się ze swoich posłań, wstawali spod ścian, pod którymi dopiero co przysiedli na drzemkę. Szczęk i zgrzyt pospiesznie wdziewanych pancerzy, nerwowe okrzyki oficerów, suchy stukot przerzucanych do słomianych koszy bełtów. Nerwowe ujadanie tych nielicznych psów, które przeżyły ubiegły rok wyprawy.

– Koce! Przygotować koce do gaszenia dachów! – wołał Cortés, szybkim krokiem idąc krużgankami ku głównej bramie. – Tak jak ustaliliśmy, kilka oddziałów na tyły, pilnować wejść przez tarasy i furty. Napełnić kadzie i cebrzyki!

– Każde szczyzny przyczynkiem do wspólnego zwycięstwa!  
– zarzął de Portocarrero, stając w rozkroku nad jedną z zawczasu porozstawianych na dziedzińcu balii, do których caudillo kazał wszystkim bez wyjątku sprawiać mniejszą potrzebę naturalną.

Nikt nawet się nie dziwił, nie utyskiwał na sąsiedztwo pełnych moczu pojemników. Przecież czym lepiej zadusić ogień?! A byli więcej niż pewni, że Indianie po raz kolejny będą próbowali ich spalić.

– Dawajcie ich tutaj! – zawtórowała mu pani d'Estrada, kucnęła obok de Portocarrera i wypięła tyłek. Ten zmieszał się wyraźnie, czym prędzej schował co trzeba i zawiązał pludry. Spojrzała na niego szelmowsko. – Co to, panie? Ptaszek wam chciał z rąk wylecieć? Tak główkę jakoś wyciągnął... No już,

Kastylijczycy! Nie dla was moja dupa, ale niech chociaż sam widok doda wam trochę animuszu!

– Kawaleria przez bramę i na plac! – zakrzyknął caudillo. – Niech się konie rozruszają, zanim tamci za blisko podejną. Panie de Usagre, poślijcie im tam coś od nas, żeby nie za śmiało sobie poczynali!

– Ognia! – zawołał ogniomistrz.

Dwie śmigownice, wciągnięte wcześniej potwornym wysiłkiem na budynek bramny, fuknęły dymem i iskrami, posyłając dwie kamienne kule ku wciąż odległym jeszcze w uliczce Indianom. Widać było, jak pociski zakreślają łuk, zniżają się coraz bardziej i wpadają w tłum, orząc dwie krwawe bruzdy.

Cortés wspiął się po drabinie na mury, złapał za blanki, wyrzwał – i struchlał.

Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było ciągnących na nich ludzi.

Ulicami nadpływał wielobarwny, wściekły tłum, nad którym kołysały się na szybko klecone z byle czego sztandary dzielnic, dystryktów i nawet poszczególnych sąsiedztw.

Na dachy wypełzali łucznicy, miotacze oszczepów i procarze, nawet teraz ciskający już w kierunku pałacu Axayacatla pierwsze pociski. Na razie nie dolatywały jeszcze do celu, spadały na plac przed bramą albo stukały niegroźnie o mur, ale tylko patrzeć, jak tamci podsuną się bliżej i zaczną zasypywać obrońców istnym gradem.

Po raz kolejny fala rozwścieczonych mieszkańców Tenochtitlán wzbierała, aby uderzyć z furią w ściany ich warowni.

I w tym momencie Cortés zrozumiał: nie mieli szans się tu utrzymać.

Przełknął ślinę, zaśmiał się sztucznie, głośno, pokazowo.

– Ha! Tyle tylko ich jest? Betka, powiadam wam... Panie de León! Z łaski swojej, weźcie tuzin ludzi, zanieście ogień do najbliższych zabudowań!

– O-gie-gień? – zdumiał się jąkała, już gotujący się do walki wręcz na dziedzińcu.

– Podłóżcie, pod co się tylko da! Niech sobie nie myślą dzikusy, że mają na podpalanie miasta monopol. No już, żywo! Zanim nazbyt blisko podejda! – ponaglił go caudillo.

Zacisnął ręce na blankach, patrząc, jak tamci wybiegają z pałacu przez niedomkniętą, wyrwaną z zawiasów bramę. Zaraz za nimi na plac wyskoczyli konni, spięli wierzchowce i pogalopowali w kierunku najdalej wysuniętej grupki Mexików.

Malintzin wspięła się na mur, stanęła obok Cortésa. Spojrzała na niego uważnie.

– Ogień, Hernán? Ryzykowne...

– Jeśli wpuścimy ich znów na dachy, to będzie po nas – rzucił caudillo półgębkiem, przez zaciśnięte gardło. – Szybciej, głupcy... Szybciej!

Ludzie prowadzeni przez pana de Leóna rozbiegli się po najbliższych zabudowaniach, niosąc płonące żagwie. Po chwili z domów zaczęły wydobywać się kłęby dymu, na słomianych dachach zatańczyły płomienie.

Kawaleria wracała już, odrzucona samą ilością atakujących. Jeden z koni włókł się z tyłu, utykając na przednią nogę.

Cortés poczuł, jak gdzieś w piersi narasta mu równie wściekły, co bezradny krzyk.

– Zahred! – zawarczał, patrząc w kierunku widocznego po drugiej stronie przestrzeni wielkiego placu Pałacu Białych Trzcin.



– Kto wydał rozkaz do ataku? Kto...?!

Wodzowie, dostojnicy i generałowie struchleli, patrząc po sobie niepewnie.

Zahred toczył po nich dzikim wzrokiem, dysząc ciężko, chrapliwie i przebierając palcami przy drzewcu siekiery. Ubrany tylko w narzucony na gołe ramiona płaszcz i przepaskę biodrową, bosy, bez ceremonialnego przybrania głowy – nie wyglądał teraz w najmniejszym stopniu jak Huēi Tlahtoāni. Natomiast oni chyba po raz pierwszy tak właśnie go odbierali.

– Najwyższy! – Amoxcapan uderzył czołem o ziemię, nawet nie odważył się podnieść wzroku. – Dowódcy są w boju od kilku dni i nocy! Nikt nie jest w stanie ich powstrzymać, jeśli...

– Kto, pytam się?! – ryknął Zahred.

– Ja.

Odwrócił się, już trzymając topór w ręku, gotów uderzyć – ale zawahał się, widząc stojącego dumnie wyprostowanego Cuitláhuaca.

A nawet nie tylko jego, ale to, że wraz z nim stało tam kilku innych dowódców i generałów.

Zgrzytnął wściekle zębami.

– Dlaczego Cuitláhuac uzurpuje sobie przywilej rozkazywania wojownikom Imperium?! – zawarczał. – Kto dał mu prawo do podważania władzy Huēi Tlahtoāni?!

Tamten założył ręce na piersi, wydał pogardliwie wargi.

– Xahuatl spał jak dziecko. Huēi Tlahtoāni? Wolne żarty. Jedynym Huēi Tlahtoāni był i jest najwyższy Montezuma.

– Niech więc Cuitláhuac uszanuje wolę swojego brata!

– Och, niech się Xahuatl nie martwi: Cuitláhuac szanował wolę Montezumy. Nie szanował jednak tego, jak ten łajdak Montezuma, sprzedajny jak dziwka, zachowywał się wobec białych! Czy Xahuatl sądzi teraz, że wola Montezumy, który ze strachu porzucił własne królestwo, pchnie nas do walki u jego boku? Nikt nie będzie słuchać słów niegodziwca!

Wodzowie i dworacy zamruczeli, pokiwali głowami: tak, niestety, tak właśnie wszyscy myśleli. To przecież Montezuma wpuścił białych do miasta. A nikt inny jak właśnie Cuitláhuac powtarzał od samego początku, że należy z nimi walczyć.

Zahred z trudem powściągnął wzbierający w piersi gniew, odetchnął głęboko. Spojrzał Cuitláhuacowi w oczy.

– Jeśli nawet Cuitláhuac nie szanuje Montezumy jako władcy, to Xahuatl pyta raz jeszcze: gdzie szacunek Cuitláhuaca dla woli jego zmarłego brata?

– „Zmarłego”? Och, to wcale nie takie oczywiste. – Tamten wyduł wargi. – Czy Mexikowie widzieli na własne oczy ciało najwyższego Montezumy? Czy jego rodzina i dwór namaścili je wszyscy wonnymi olejkami, zanim zostało złożone na stosie pogrzebowym?

– Najwyższy, uhm, eee... – odezwał się nieśmiało Ahacauchtli, naczelny akolita Tepelleyotla. – Ahacauchtli obawia się, że pojawiła się pewna nieściskość w obrzędku.

– „Nieściskość”?! – ryknął Zahred. – Biali najeźdźcy są nadal w Tenochtitlán! Wojownicy imperium krwawią i giną na darmo! Cortés posłał Montezumę na śmierć, jego ludzie wyrznęli procesję podczas święta Toxcatl. A kapłani mają czelność mówić o nieściskościach?!

– Najwyższy...

Zahred doskoczył do najwyższego akolity, obalił go na ziemię, przytrzymał dłonią za gardło i wznosił siekiere do ciosu.

– Może Ahacauchtli wyjaśni tę „nieściskość” samym bogom?!

– Najwyższy! – zaskamlał kapłan, zaciskając powieki z przerażenia.

Zahred prychnął. Puścił go, wyprostował się. Pokazał siekierą na Cuitláhuaca:

– Nikt nie wydaje rozkazów armii poza Xahuatlem! Czy to jasne?

– Armii nie rozkazuje nikt poza Huēi Tlahtoāni, z tym się Cuitláhuac zgadza – przytaknął tamten, ale jego spojrzenie pozostało tak samo butne i bezczelne. – Ale jeśli armia słucha Cuitláhuaca, to kim jest Xahuatl?

Zahred, nie opuszczając siekiery, podszedł do tamtego na tyle blisko, żeby ostrze oparło się o jego pierś.

– Xahuatl nie powtórzy swoich słów po raz drugi – powiedział.

Widać było, że Cuitláhuaca strasznie kusiło, żeby samemu sięgnąć po broń albo rzucić ciętą ripostą, pociągnąć eskalację konfliktu jeszcze trochę... Ale w jego oczach dało się już dostrzec mgiełkę strachu.

Szlachta, dworacy, książęta, nawet ci najwyższego rodu – wszyscy oni od zawsze z niezrównaną lekkością mówili o obowiązkach, walce i zabijaniu. O chwalebnej Kwietnej Śmierci od noża z obsydianu.

Od zawsze też okazywało się, że kiedy dochodziło co do czego, nie byli niczym mniej ani więcej od zwykłych, prostych ludzi.

Cuitláhuac opuścił wzrok, skłonił głowę, nie mówiąc już ni słowa.

– Co to za „nieściskość”? Niech wstanie! – warknął Zahred do wciąż leżącego na podłodze Ahacauchtlego.



Tamten pospiesznie przekręcił się na brzuch, uderzył czołem o posadzkę. Podniósł się na kolana, znów oddał pokłon, dla pewności wyciągnął jeszcze przed sobą rękę.

– O wspaniały, Najwyższy! – zabełkotał pospiesznie. – Ceremoniał pogrzebowy najwyższego Montezumy nie został dopełniony wedle obrządku! Bogowie gniewają się, że Meksykanie chwycili za broń w czasie, który nie jest do tego przeznaczony...

– Brednie – warknął Zahred.

– ...zaś kapłani nie namaścili, nie koronowali jeszcze nowego Huēi Tlahtoāni! Lud Tenochtitlán nie wie, kogo ma słuchać.

– Wiedzieli, kiedy czekaliśmy pod Wielką Świątynią! – wypalił Xicotencatl, już dłuższą chwilę powstrzymujący złość.

Zahred popatrzył po członkach rady, która na dobrą sprawę nie przestała formalnie obradować od dwóch, może trzech już dni, zmieniając tylko skład i tematy.

No cóż, skoro nie potrafił na razie utrzymać ich w ryzach, to nie było sensu nawet próbować.

– Kapłani... – zamruczał pod nosem, głośniejszą zaś powiedział: – Niech zatem stanie się wiadomym: Huēi Tlahtoāni nakazuje wojownikom Imperium Słońca, żeby nie ustawali w swoich atakach na białych najeźdźców! W dzień i w nocy, mieczem, toporem i strzałą niech nękają tych, którzy zbrukali święto Toxcatl i zbezczęścili świątynie bogów! Niech zginą! Niech spłoną! Ich ciała niech leżą niepochowane na ulicach... Śmierć białym najeźdźcom!

Potrząsnął nad głową siekierą, a członkowie rady zawołali wielkim głosem: tak, tak! Na to czekali, to chcieli usłyszeć. Śmierć białym najeźdźcom!

– Śmierć białym! *Mikistli niistaktli tlakuanotstin!* – okrzyk poniósł się po salach Pałacu Białych Trzciny.

Widać było tylko, jak bardzo nie w smak taki obrót wypadków był Cuitláhuacowi, stojącemu teraz w otoczeniu jego popleczników. Jednak i on musiał podnieść ręce, wołać wraz z innymi.

Przynajmniej w tej chwili.

– Nie wypuścić nikogo żywcem! – krzyknął Zahred.



– Żywych nas stąd nie wypuszczą.

Bandażujący rozharataną ostrzem włóczni dłoń Francisco de Saucedo zatrzymał się w pół ruchu. Podniósł głowę. Spojrzał na siedzącego nieopodal, opartego o ścianę Valduezę.

– A was co tak naszło nagle? – mruknął.

Valdueza nawet nie drgnął, nadal wpatrując się oczami o źrenicach niczym ziarnka piasku gdzieś het, w nieskończoność.

– Tak jakoś sobie pomyślałem. Nie wyjdziemy stąd żywi. Ja już się z Bogiem pojednałem, o wybaczenie poprosiłem. Więc i was, bracia i towarzysze, o odpuszczenie przewin proszę – powiedział płaskim, obojętnym, wyczutym z jakichkolwiek emocji tonem.

Większość siedzących w pomieszczeniu ludzi spojrzała na niego dziko.

– Przesadzacie, panie – spróbował zbagatelizować sprawę de Saucedo.

– Nie. Wcale nie przesadzam. Wyspowiadałem się... Ze wszystkiego. Ze wszystkiego, cośmy tu zrobili.

– A co niby takiego zrobiliśmy, ha? – buńczucznie odezwał się pan de Morla.

– To już każdy sam we własnym sercu wie. Czy się przyzna za życia, czy po śmierci mu to pokażą u bram raju w księdze zapisane, to jest jego sprawa. Ale ja na śmierć jestem gotowy.

De Saucedo mruknął coś pod nosem, ale potrząsnął tylko głową i wrócił do wiązania brudnego, niedopranego już od kilku dni bandaża.

Był już wieczór, ale oni wszyscy czuli się tak, jakby minął nie dzień, tylko cała wieczność.

Indianie atakowali ich na dobrą sprawę nieprzerwanie.

Fala za falą nadciągali pod mury pałacu Axayacatla.

Z wyciem rzucali się ku bramie.

Wspinali się na mury.

Próbowali przeskakiwać z już wypalonych albo nadal płonących ruin okolicznych zabudowań.

Nacierali, usiłując sforsować barykadę w bramie, albo też trzymali się na dystans, ciskając kamienie i strzały.

Caudillo kazał jeszcze po południu zerwać z pałacu wszystkie strzechy, żeby tamci nie mieli czego podpalać. Mało które okno już nie było zastawione deskami i kamieniami, zawieszane grubo kocami, matami z plecionki i zerwanymi ze ścian tkaninami.

Siedzieli tutaj jak w twierdzy. Jak w grobowcu. Zamknięci, uwięzieni. Obawiając się każdej kolejnej godziny. Nieustannie słysząc niosące się z zewnątrz okrzyki, wycie i gniewny pomruk żądnego krwi tłumu.

Dzicy czasami odsuwali się dalej, a wtedy konnica wyruszała na zwiady, żeby sprawdzić, co się dzieje, albo zaczerpnąć wody z któregośkolwiek ujęcia. Ale zawsze natykali się na to samo: suche jak pieprz wodopoje, zablokowane ulice i czyhający na dachach domów Indianie.

Większość z nich walczyła już drugi albo i trzeci dzień.

Ci, którzy wcześniej zostali w mieście z panem de Alvaradem – prawie dwa tygodnie.

– Niech to się już skończy – jęknął ktoś. – Niech mnie zabiją.

– Ja cię mogę zabić – odwarknął jego towarzysz.

– To zabij.

I znów cisza. Nikt się nie poruszył, nie drgnął nawet.

Wiedzieli, że przyjdzie kolejny atak.

W sumie to na niego czekali.



– Itzli dziękuje Xahuatlowi.

Siedzący na tarasie Pałacu Białych Trzcin, upijający właśnie łyk *xocolatl* z jadeitowej czaraki Zahred uniósł brew. Obejrzał się przez ramię ku stojącemu w wyjściu z komnat władcy Domu Szeptów.

– Itzli się spóźnił – powiedział z pewnym wyrzutem. – Xahuatl musiał rozpocząć ceremonię picia świętego napoju bez niego. Niech Itzli zajmie swoje miejsce, niech dotrzyma Xahuatlowi towarzystwa... O ile nie ma czegoś ważniejszego do roboty.

Itzli uśmiechnął się kwaśno, podszedł bliżej i usiadł na przygotowanej dla niego macie. Jedna ze służek naląła do jego czaraki wciąż parującego, pachnącego ziołami napoju.

– Najwyższy... – Itzli skłonił się, unosząc czarękę.

– Niech Itzli nie mówi tak do Xahuatla. – Zahred skrzywił się.

– Nie?

– Nie. Xahuatl słyszy w jego głosie szyderstwo.

– Lepsze szyderstwo w głosie niż w sercu.

– To prawda. Ilu jest takich w radzie, którzy mają tytuł Xahuatla tylko na ustach?

– Nie aż tak już wielu po dzisiejszym dniu – odpowiedział Itzli z pewnym zawahaniem. – Cuitláhuac przegryzie swoje ambicje, przełknie je i wyrzyga jak pies. A potem zliże i połknie znowu. Jednak to właśnie za niego Itzli chce podziękować Xahuatlowi.

– Za to, że go nie zabiłem? – zapytał Zahred z pewnym rozbawieniem.

– Tak. – Itzli spuścił głowę.

– Sam jestem sobą zdziwiony, prawdę mówiąc. Ale może w końcu pora zacząć traktować ludzi inaczej, jeśli ma się nadzieję na inne rezultaty. Jakie wieści?

Itzli spojrział w kierunku, gdzie ponad spowitym w ciemność pałacem Axayacatla snuły się dymy podświetlone pomarańczową łuną pożarów.

– Biali walczyli cały dzień. Wojownicy ponownie otwarli wyłom, który Xahuatl kazał uczynić w ścianie pałacu Axayacatla, ale wódz Cortés przysłał na miejsce ludzi z łukami na kijach...

– Kusznicy zatem.

– Kusznicy... – Itzli obrócił nieznanne słowo na języku. – Kusznicy miotali strzały w wojowników, zmusili ich do odstąpienia. Natomiast wielu białych zostało rannych, podłożono też ogień. Biali próbowali też opanować domy wokół pałacu Axayacatla, a jeden z nich, ten, który powtarza kawałki słów...

– Juan Velázquez de León. – Zahred uśmiechnął się mimowolnie. – Dobry wojownik, odważny. Bogom będzie się podobać jego Czerwona Gwiazda.

Itzli aż się wzdrygnął.

Zdarzało mu się czasem zastanawiać, jak naprawdę wyglądają, jak myślą i zachowują się bogowie. Ale dochodził do wniosku, że właśnie tak, jak wyglądał, myślał i zachowywał się ten dziwny człowiek.

To jest o ile Xahuatl był w ogóle człowiekiem, a na to pytanie Itzli nie odważył się jeszcze sam sobie odpowiedzieć.

– Ten sam, o Najwyższy. Ahem. Tak więc udało mu się nawet zająć na jakiś czas pozostałą część kompleksu pałacowego, ale wojownicy wypchnęli ich też stamtąd.

– Co robią teraz biali?

– Siedzą zamknięci w pałacu Axayacatla, nie wychodzą. Meksykowicze cały czas obrzucają ich kamieniami i miotają oszczepy, szczególnie ze szczytu pobliskiej świątyni Xipe Toteca. Itzli był w pobliżu, patrzył na to. Rozmawiał też z ludźmi, którzy nasłuchiwali, co czynią biali. Mówią, że ze środka słychać stukot siekier i młotów.

– Budują coś? Zapewne drugą linię umocnień. No cóż, przekonamy się raczej prędzej niż później.

Zahred odstawił czarkę na bok. Służąca od razu przysunęła się, napełniła ją świeżą porcją gęstego, ciemnobrązowego napoju *xocolatl*.

– Co do ceremonii... – zaczął Itzli.

– Potem.

– Najwyższy...

– Mówiłem: niech Itzli tak się do mnie nie zwraca. Kapłani mogą poczekać, bogowie nigdzie nie uciekną. Tenochtitlán nie potrzebuje króla, tylko wodza. Kiedy biali zostaną pokonani... – Zahred machnął ręką – niech sobie nawet Cuitláhuac zasiada na tronie. Niech się Cuitláhuac użera z tymi durniami z rady!

Władca Domu Szeptów westchnął, spojrział ku gwiazdom z tęsknotą.

– Najwyższy Montezuma znał radę jak nikt inny. Wiedział, co i jak mówić na jakim posiedzeniu, kiedy być silnym i niewzruszonym niczym kamień, a kiedy udawać wahanie, jak trzcina kołysząca się na wietrze. Ciężko będzie Xahuatlowi zapanować nad nią teraz.

– Będą posłuszni Xahuatlowi albo...! – zapieklił się Zahred.

Itzli nie uronił ni słowa. Począł, aż najwyższy król się uspokoi. Wymownym spojrzeniem dał do zrozumienia służącej, żeby znów napełniła jego czarę.

– Itzli był przy najwyższym Montezumie długo. Itzli rzadko odzywał się w Domu Węża, mimo że widział i słyszał wszystko przez cały czas.

Zahred odetchnął głęboko, spojrzał na niego z ukosa.

– Czy to propozycja?

– To mój obowiązek, o Najwyższy. Jeśli Xahuatl powie Itzlemu, żeby ten odsunął się od niego albo opuścił Tenochtitlán, to Itzli tak właśnie uczyni. Najwyższy Montezuma był, jest i będzie dla Itzlego jego Huēi Tlahtoāni. Xahuatl zaś... – Władca Domu Szeptów pozwolił sobie na lekko zażenowany uśmiech. – Xahuatl jest dla Itzlego tym, którego Montezuma wybrał.

– Tylko tym?

– Aż tym. Nikt nie rodzi się słońcem, ale nieliczni mają szansę się nim stać, aby wszystko trwało nadal.

– Co? – Zahred potrząsnął głową.

– Kiedy bogowie tworzyli nasz świat...

– Xahuatl zna opowieść o stworzeniu świata i pięciu słońcach! Co miał na myśli Itzli?

– Nic. – Władca Domu Szeptów wzruszył ramionami. – I wszystko. Tenochtitlán jest stolicą Imperium Słońca, więc potrzebny mu jego władca. Miasto nie upadnie, Tenochtitlán nie przeminie...

– ...tak długo, jak jest z nami słońce? – nieswoim głosem zapytał Zahred.

– Tak.

Siedzieli w ciszy, patrząc, jak nad Tenochtitlán zapada coraz ciemniejsza, pełna gwiazd i niespokojnych krzyków noc.



– Jak prace, panie López?

Cieśla wyprostował się znad roboty, przykładając rękę do bolących pleców. Otarł pot z czoła, popatrzył na porozkładane na dziedzińcu deski.

– Ciężko ocenić, panie – przyznał. – Niby wszystko pomierzone, przygotowane. Powinno się zgodzić, ale to dopiero zobaczymy, jak zaczniemy składać całość.

– Kiedy? – mruknął Cortés, patrząc na pracujących ludzi.

Widać było, że są zmęczeni. Powoli przestawiali nogi, ich ruchom brakowało dynamiki i płynności. Wzniesione siekiery i ciosaki opadały pod własnym ciężarem, nie było w nich siły.

– Jutro rano, panie. Dziś dotniemy wszystko, a z samego rana...

– Z samego rana to mają już być gotowe, panie López. Nie mamy czasu na zwłoki.

– Panie, to nie zwłoka żadna. Ludzie potrzebują odpoczynku – jęknął cieśla.

– „Zwłoki”, panie López, nie „zwłokę”. Wasze zwłoki. Waszych ludzi zwłoki. Wszystkich nas zwłoki leżące na tym dziedzińcu! – zasyczał Cortés, łapiąc tamtego za przepoconą koszulę i przyciągając ku sobie. – Czy wam się wydaje, że jak



wpadną tutaj dzicy, to będą zainteresowani waszymi wymówkami?!

Malintzin, stojąca do tej pory za Cortésem, położyła mu dłoń na ramieniu, uśmiechnęła się czarująco.

– Hernán, pozwolisz mi?

– Marina, kiedy ja naprawdę...

Nie czekając nawet, jak skończy swoje zdanie caudillo, przysunęła się bliżej do Lópeza, stanęła pomiędzy nim a admirałem.

– Panie. Liczymy na was wszyscy. Na waszą ciężką pracę, na waszą wytrwałość i umiejętności. Cokolwiek nasz caudillo wymyśli, ja wiem, że wy potraficie wcielić w życie. Tak jak żeście zbudowali tutaj, w sercu obcego wam świata, okręty na jeziorze.

– Ech, okręty – westchnął López.

– Wiem zatem, dobry panie, że stać was na więcej. Że potraficie zbudować wszystko. Nawet to, czegoście nigdy nie próbowali.

Martín López popatrzył na porozkładane po całym dziedzińcu kawałki drewna, belki i deski. Zerknął na przyciśnięty kilkoma okazałymi złotymi medalionami plan, na którym wspólnie z caudillem wyrysowali ten koszmar na kółkach, którego budowy się podjął.

No dobrze – nie na kółkach. Tyle dał radę Cortésowi wybić z głowy.

– Pani, ja nie jestem inżynierem oblężniczym.

– Ale macie szansę nim właśnie zostać. I zostajecie, o ile widzę. No już, panie López, głowa do góry. – Malintzin uśmiechnęła się. – A żebyście wiedzieli, jak bardzo na was liczę... Raczcie przyjąć coś ode mnie. Coś osobistego.

López zdziwił się, kiedy zdjęła z szyi i wyciągnęła przed sobą złoty wisiołek na rzemieniu, ale odruchowo i tak schylił

głowę.

No cóż, skoro chciała mu coś dać, to przecież...

...

Podniósł wzrok, spojrzał na stojącą przed nim dostojną Wysoką Trawę.

– Pracujcie, panie López – szepnęła Malintzin w języku *nahuatl*. – Pracujcie, choćbyście mieli ręce zedrzyć do krwi. Wszystko ma być gotowe, gdy słońce wzejdzie ponad górami.

Martin López, wzięty cieśla i szkutnik, nabrał tchu i odwrócił się do swoich ludzi.

– Nuże, z życiem! Ruszać się tam... Francisco, dawaj te szpunty! Guillermo, ile jeszcze się będziesz guzdrać z tym zaciosem?! Gotowe elementy pod ścianę nieść, szykować kolejne... Dalej, dalej!

Obserwujący tę rozmowę Cortés pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Marina, jak...?

– Kobięcy urok, panie. – Malintzin uśmiechnęła się.

Przymknęła oczy i wtuliła się w jego pierś, na której spoczywał identyczny złoty wisior na rzemiennym pasku.



Zahred otworzył oczy.

Był środek nocy.

Księżyc zaglądał do jego sypialni przez okna, zasłony kołyszające się w delikatnym zefirku rzucały na posadzkę chybotliwe cienie.

Śpiący przy jego posłaniu Kefren pochrapywał z cicha.

Gdzieś w ogrodach pałacowych zawołał wysoko, przenikliwie ptak.

Zahred bezszelestnie odsunął na bok koc, postawił boscie stopy na posadzce i wstał, wyciągając spod siennika siekierę, której stylisko samo wśliznęło mu się w dłoń.

Nastawił uszu, wsłuchując się w ciszę głuchej nocy.

Powoli, ostrożnie podniósł jedną stopę i przesunął się naprzód, krok po kroku ruszając nieskończenie powoli w kierunku wyjścia na taras.

Rześkie, wilgotne powietrze nocy owionęło go, przeciągając po skórze setką chłodnych, lepkich dłoni.

Wokół niego był pejzaż nocnego Tenochtitlán, nad nim zaś niebo pełne gwiazd.

Daleko, na styku jednego z drugim, ciągnęły się wysokie zbocza okalających słone jezioro gór, a wokół ich szczytów srebrzyły się chmury, rozciągnięte niczym kawałki pajęczyny na wietrze.

Przeszedł przez taras i na chwilę stanął przy barierce, patrząc ku ogrodom.

Powinien spać.

Powinien wypoczywać, odzyskiwać siły przed kolejnym dniem.

Powinien poukładać sobie w głowie rzeczy, ludzi i wydarzenia.

Powinien działać logicznie i metodycznie, rozplanowując swoje kolejne ruchy dla jak najwyższej efektywności wykorzystania posiadanych aktywów.

Tak, powinien robić to wszystko.

Zamiast tego przesadził kamienną barierkę, zeskoczył miękko w gęstą, soczystą trawę i po prostu ruszył przed siebie.

Srebrzyste, zimne światło księżycy układało się nieregularnymi plamami, zniekształcając perspektywę

i wykrzywając gałęzie drzew na podobieństwo wyciągających się ku niemu trupich ramion.

Zarośla dotykały go swoimi długimi, kościstymi palcami, zostawiając na gołej skórze krwawe ślady zimnej rosy.

Żdźbła trawy dźgały i łaskotały w podeszwy bosych stóp, sprawiając, że każdy krok był nową feerią wrażeń.

Noc otaczała go, otulała sobą.

Słyszał, jak nocne drapieżniki szybują na utkanych z ciemności skrzydłach gdzieś wysoko nad nim, jak szeleszczą małe, pazurzaste łapki w zalegających pod krzewami pokładach suchych liści.

Drobne gryzonie przemykały sobie tylko znanymi ścieżkami po spękanej, węźlastej korze drzew.

Robactwo sunęło wydrążonymi w drewnie korytarzami.

Próchno sypało się miłkim pyłem, powoli zamieniając się w glebę, gotową do przyjęcia nasion nowego życia.

Zatrzymał się.

Przymknął oczy, odrzucił w tył głowę i rozłożył szeroko ręce.

Odetchnął pełną piersią, pozwalając, żeby powietrze wypełniło całą objętość jego płuc.

Po czym spiął się, podbiegł kilka kroków i skoczył w górę, chwycił się gałęzi, z niej zwinnie rozhuśtał się i złapał załomu muru. Podciągnął się, sapnął przez zęby – wymacał na szczycie miejsce, gdzie nie sterczały skorupy potłuczonych naczyń. Zarzucił na krawędź nogę, wwindował się na górę.

Na chwilę siedział tam, pomiędzy dwoma światami – za plecami mając dziką, skłębioną zieleń ogrodów, patrząc przed siebie ku śpiącemu miastu.

Potem z gracją, niemalże bez wysiłku zeskoczył na drugą stronę.

Podniósł się i miękko, niczym ogromny drapieźnik wyruszający na obchód swojego terytorium łowieckiego, ruszył ulicą Tenochtitlán.

Szedł po prostu przed siebie.

Mijał domostwa i podwórka, place i placyki.

Przechodził koło niewielkich piramid lokalnych świątyń i stojących jeszcze od niedawnego święta posągów bóstw.

Mijał miejsca pachnące sadzą, spalonym ciałem oraz śmiercią.

Kroczył środkiem świeżych pobojoisk, obok wypalonych skorup domów i zwalonych, dymiących nadal ruin.

Mijał ludzi, ale oni go nie widzieli.

Mexikowie stali pod bronią przy barykadach i na rogach ulic, wspierali się na krzywo wystruganych włóczniach z kamiennymi grotami. Bez pióropuszy, bez ceremonialnych szat, z prostymi tarczami pozbawionymi wizerunków walczących zwierząt czy ptaków. Nawet nie wymalowani w barwy wojny – za to z wymalowanym na ponurych twarzach zacięciem.

Słyszał ich rozmowy.

Czuł ich wściekłość, ból i desperację.

Widział, jak spoglądają w kierunku ciemnej plamy na białej tkance miasta, ku pałacowi Axayacatla, z którego coraz szerzej rozlewał się rak toczący Tenochtitlán.

Bo czegokolwiek dotknął biały człowiek, nieodmiennie musiało...

– ...umrzeć. Ale cokolwiek umrze, odrodzi się na nowo.

Zahred drgnął.

Przygiął kolana i rozejrzał się w poszukiwaniu wroga, ściskając mocniej siekiere.

Ubrana w czarne łańchmany kobieta o twarzy wymazanej sadzą wyłoniła się z bocznej uliczki. Wspierając się na sękatym

kosturze, podeszła do Zahreda i zgięła się w parodii dworskiego ukłonu.

– Kim... czym jesteś? – zawarczał Zahred, czując, jak jeżą mu się włosy na karku.

– Tylko to, co trwa niezmiennie, jest już martwe – zaskrzeczała kapłanka, zsuwając kaptur z głowy. Spojrzał w jej niewidzące, zasnutę bielmem oczy. – Niech Huēi Tlahtoāni pójdzie z nią. Zbyt dużo już upłynęło deszczu, nazbyt wiele słońca wypaliło się na darmo. Niech pójdzie.

– Dokąd ma...?

Kobieta bez słowa chwyciła go za lewą rękę, podniosła ku górze tak, żeby spojrzeł na nadgarstek, na którym tkwił zawiązany rzemyk z trzema supłami.

– Niech pójdzie. Czas już prawie się dopełnił, zostało tylko jedno lato. Ostatnie lato, jesień i zima, ostatnia wiosna... Niech idzie czym prędzej.

Wyrwał przedramię z jej szponiastego uścisku, zakrył rzemyk drugą ręką, jak gdyby nagle zawstydzony albo wystraszony. Ona zaśmiała się tylko sucho, odwróciła do niego plecami i ruszyła pomiędzy stojącymi wokół ogniska na placu ludźmi.

Szedł, czując, jak robi mu się coraz bardziej nieswojo.

Kątem oka dostrzegał, jak w mrocznych zaułkach kłębią się i przelewają cienie.

Widział, jak w ciemnych plamach popiołów po stosach pogrzebowych poruszają się spaleni na nich ludzie.

Idąc cichymi, milczącymi ulicami, słyszał w nich echo krzyków, tętent kopyt i huk arkebuzów.

Gdzieś na granicy postrzegania widział, jak z wionących spalenizną ciemnych otworów wejść do ruin domów wysącza się gęstymi kałużami lśniąca posoka.

Przed nimi rysowała się coraz większa, górująca ponad całym miastem Wielka Piramida.

Coraz trudniej było mu przestawiać nogi, ale szedł naprzód. Miał wrażenie, że grzęźnie w czymś, jakby idąc przez błoto – ale kiedy spojrział w dół, zrozumiał, że brodzi we krwi. Gęstej, ciemnoczerwonej, przelewającej się skrzepami, gdzieniegdzie pokrytej już matową, pomarszczoną warstwą koagulatu.

Dotarł wreszcie do podnóża piramidy, wdrapał się na pierwszy stopień, dysząc ciężko.

Wszystko wokół – całe miasto, cały świat – tonęło we krwi.

Szkarłat spływał z gór strumieniami, które potem łączyły się w całe rzeki i wpadały w toń jeziora, a to podnosiło się, kawałek po kawałku pochłaniając Tenochtitlán, zapadające się w czerwoną otchłań.

– Nie...! To nie dzieje się naprawdę! – wykrztusił Zahred. – To sen, to tylko sen!

– Snem, przerażającym snem jest życie – zarechotała stojąca nad nim kobieta. – I nadeszła wreszcie pora, aby Xahuatl się przebudził... Teraz!

Dźgnęła go sękatym, szponiastym paluchem w piersi.

Poczuł, jak coś podrywa go ku górze, a potem ciska nim w dół, niczym w bezdenną otchłań.

Wrzasnął.

Jego krzyk odbił się echem, poniósł dalekim pogłosem z samego szczytu Wielkiej Piramidy.

Zahred zatoczył się w tył, byłby upadł – ale oparł się o coś ręką. Obejrzał się: czarna, zimna płyta ołtarza ofiarnego.

Wokoło rozciągało się Tenochtitlán, spokojne i nieruchome w czerni gwiazdzistej nocy.

Mrugające punkciki ognisk, z tej wysokości nie większych niż iskierki, otaczały nierównym kręgiem plamę dymiącej

czerni, pośrodku której widać było rozjarzony światłami dziedziniec pałacu Axayacatla.

Z wnętrza świątyni wyłoniła się ubrana na czarno kapłanka o popielatobladej twarzy pokreślonej pasami sadzy. Oczy pokryte białawą mgłą błysnęły, odbijając światło księżyca.

– Czego tu chce ten, który przyszedł? – zaskrzeczała. – Czemu Huēi Tlahtoāni nie śpi tej nocy? Dlaczego nie posyła po swoje sługi, a sam przychodzi do nich, niczym wezwany?

Zahred oderwał się od płyty ołtarza, podszedł ku kapłance. Przyklęknął, dotknął dłonią ziemi i ucałował palce.

– Ty wiesz... matko – powiedział.

Białe, niewidzące oczy spojrzały wprost na niego.

– Ale nie wie tego nowy Huēi Tlahtoāni. – Kapłanka pokręciła głową. – Spał tak długo, że nie może się przebudzić. Tak mocno, że nie poznaje swojego świata. Śnił wiele snów. Teraz nie wie, co jest prawdą.

– Co jest zatem prawdą?! – krzyknął Zahred, czując, jak gdzieś głęboko wzbiera w nim bezradny szloch.

Kobieta położyła mu dłoń na głowie.

Przez chwilę wodziła nią, zagłębiając połamane paznokcie pomiędzy sploty jego włosów... A potem przyciągnęła go ku sobie i przytuliła.

– Ten, który przybył, jest już w swoim domu – zaszepiała drżącym głosem. – Ale czas się kończy. Odnalazł to, czego szukał od zawsze, a teraz wszystko to będzie musiało odejść... Jednak nie jest za późno.

– Za późno... na co?!

– Świat utonie we krwi, ale z niej wyłoni się nowe słońce. Szóste słońce dla szóstego świata... Tutaj nie ma nic więcej. Tutaj nie dowie się już niczego.

– Powiedz mi... – Zahred przełknął podchodzące do gardła łzy. – Powiedz mi: gdzie zatem? Kogo pytać? Czego mam



szukać?

– Jutro. Jutro zrozumie, czego powinien szukać. Gdy dokona się ostatnia ofiara krwi, a gong zamilknie na zawsze. Niech jutro przybędzie do świątyni Naszego Pana Obdartego ze Skóry na ceremonię, a pozna prawdę.

– Ceremonię...?

– Niech teraz odejdzie. Ofiara czeka już w gotowości, nóż kapłana naostrzony. Niech idzie.

Zahred zacisnął bezsilnie dłonie, na chwilę wczepił się w poję jej szaty... Ale potem puścił ją, odsunął się tyłem i skłonił nisko, dotykając ziemi czołem.

– Xahuatl całuje ziemię u stóp bogów – szepnął.

Wstał, odwrócił się i ruszył ku schodom.

Był już przy pierwszym stopniu, gdy zza pleców doleciały go jeszcze słowa:

– Bogowie widzą Xahuatla.

Zatrzymał się w pół kroku, obrócił, ale kapłanki już tam nie było.

### *Następnego dnia o świcie*

– Otwierać bramy! Otwierać! I... razem, w górę!

– Hu-wah!

– Krok!

– Huw-wah!

– Krok...!

Kiedy z samego rana prowadząca do pałacu Axayacatla, osmalona przez płomienie, poznaczona bryzgami krwi i posiekana brama zaczęła otwierać się z przerażającym jękiem i zgrzytem, wojownicy Mexików nie byli jeszcze gotowi.

– Wychodzą! Biali najeźdźcy wychodzą z pałacu... Wstawajcie, budźcie się, ludzie Tenochtitlán! – po ulicach i placach poniosły się okrzyki. – Biali otwierają bramę! Do ataku, bo boju!

– Niemądrzy biali! – zaśmiał się Maxcatl z ludu Otomi, który wraz ze swoimi pobratymcami całą noc czuwał na taką właśnie ewentualność.

Inni wojownicy już podciągali ku nim, pospiesznie zarzucając na ramiona tarcze, potrząsając bronią i wydając okrzyki, żeby odpędzić senność: tak, tak! Wrogowie odważyli się wydać bitwę! Wrogowie zginą, Mexikowie będą ucztować na ich sercach!

– Śmierć białym! – zawołał Maxcatl, po czym jako pierwszy pobiegł ku otwierającej się bramie.

Jakież jednak było jego zaskoczenie, kiedy zamiast czy to szeregu białych, czy wielkich jeleni niosących na grzbietach jeźdźców, albo nawet – bo i na to był Maxcatl gotowy! – czarnej gardzieli rury, z której lada chwila miał wytrysnąć ogień, z bramy wynurzył się ogromny żółw!

Okrzyk zamarł na ustach Mexików.

Pędzący ze wzniesioną do ciosu bronią wojownicy zwolnili i w końcu zatrzymali się, patrząc na dziwaczne zjawisko.

Żółw zaś pełzł i pełzł naprzód, wysuwając się z bramy coraz bardziej.

– Bogowie! – sapnął stojący obok Maxcatla, uzbrojony w krzywą włócznię Mexik. – Co to za demon z podświata? Tam jest drugi, zaraz za nim!

Maxcatl otworzył usta, chciał już coś powiedzieć – i wtedy zauważył, że z otwartej paszczy wielkiego żółwia wysuwa się coś, co znał aż nazbyt dobrze.

Przez chwilę Maxcatl z ludu Otomi patrzył na to osłupiały, a potem złapał za ramiona mężczyznę z krzywą włócznią

i zasłonił się nim niczym tarczą.

Huk, błysk i przerażone wrzaski ludzi zlały się w jedno, kiedy plac nagle zasnuł dym.

Maxcatl wrzasnął dziko, zepchnął z siebie drgający w konwulsjach, zakrwawiony, zmasakrowany zewłok, wyczołgał się spod zalewającego go juchą i wnętrznościami trupa.

Wrzasnął raz jeszcze, tym razem już nieco mniej ze strachu, a bardziej z wściekłości, i wywijając nad głową kamiennym mieczem, rzucił się ku potworowi.



– Naprzód! Krok za krokiem... Krok!

– Hwwwu-hah! – zakrzyknęli nierównym chórem ludzie, nadludzkim wręcz wysiłkiem podnosząc potwornie ciężką maszynę do góry i przestawiając o kolejne kilkanaście cali.

– Krok! – znów krzyknął de Sandoval, czując, jak zaczyna brakować mu głosu.

A przecież ledwie dali radę wyjść za bramę!

– Idą... Panie, idą na nas! Biegną ławą! – zawołał Castañeda, przyklejony do otworu obserwacyjnego na sterburcie.

– Kuszniczy, sterburta! Ładuj arkebuzy! Krok!

– Hu-ah!

– Krok!

Trzy ogromne maszyny, najbardziej przypominające przenośne chaty o sięgających niemalże do samej ziemi dachach, powoli wypełzały na plac, poruszane siłą dziesiątek dźwigających je ludzi.

Kiedy caudillo przedstawił ten pomysł nie dalej jak wczoraj przy obiedzie, nawet de Sandoval nie mógł powstrzymać sardonicznego uśmiešku: jak to? Oni są oblężeni, przyparci do muru, a Cortés będzie bawił się teraz w budowę jakichś chorych wynalazków, które gdzieś kiedyś widział na jakimś rysunku?!

Jednak im dłużej o tym rozmawiali, tym bardziej nabierało to sensu.

Przecież każdy z nich albo słyszał, albo widział przenośne szopy oblężnicze, używane do podchodzenia pod fortyfikacje nieprzyjaciela! Materiału mieli pod dostatkiem, przeciwnik nie posiadał ani armat, ani w ogóle broni palnej, czy nawet porządnych żelaznych siekier...

...a oni nieszczęśliwie mieli inną alternatywę, niż uchwycić się tego szalonego pomysłu!

Wszystko wokół nich skrzypiało i trzeszczało.

Wnętrze dziwacznej konstrukcji wypełniał podnoszony szurającymi po ziemi nogami suchy, dławiący kurz. Światło wpadało do wnętrza tylko wąskimi promieniami przez szczeliny.

Dudnienie krwi w uszach, pokrzykiwanie towarzyszy, wrzaski dzikich i łomotanie uderzających o poszycie maszyny kamieni – wszystko to sprawiało, że tak naprawdę nic nie widzieli ani nie słyszeli... A mimo to parli naprzód!

– Krok! – krzyknął de Sandoval i rozkasłał się, ale nawet bez jego komendy ludzie i tak wiedzieli już, co mają robić.

Jakiś cień mignął w jednej ze szczelin obserwacyjnych, coś zadudniło o dach, przesunęło się ku górze.

– Jeden jest na górze! Pika, pika go! – zawołał ktoś.

Ktoś zaczął dźgać włócznią, przesuwając grot pomiędzy deskami dachu, usiłując wcisnąć go między skóry i maty, którymi pokryli konstrukcję z góry.

Jednocześnie z sunącego zaraz za nimi drugiego pojazdu huknął strzał z rusznicy, po którym rozległ się głuchy łomot, a potem miękki odgłos zsuwającego się po pochyłym dachu ciała.

– Zdjął go, zdjął na czysto! *Santiago y cierra, España!* – radośnie zawołali ludzie.



Zahred nie spał już i jadł właśnie lekkie śniadanie, kiedy od strony pałacu Axayacatla rozległy się najpierw krzyki, a potem huk wystrzałów.

Zerwał się od razu, przewracając ustawione na prostej słomianej macie miski i dzbany z napojami.

Kefren poderwał się wraz ze swoim panem, zaczął ujadać na wiatr.

Przestraszona służba odskoczyła na boki, dziewczyna wypuściła dzbanek z napojem *xocolatl*, który rozlał się na posadzce lśniąca brązową kałużą.

– Zwołać wszystkich! – zawołał Zahred. – Niech Huexoch i Nochehuatl dmą w rogi, niech wzywają do boju wojowników! Budzić gwardzistów... Xicotencatl!

– Xicotencatl jest tutaj! – zawołał młody wódz, wpadając do komnaty.

– Niech brat Xahuatla skrzyknie naszych, ale niech nie wyrusza bez niego! Niech pośle biegacza do Czarnej Chorągwi, żeby biali Mexikowie też byli gotowi do wymarszu!

Xicotencatl zmienił się na twarzy, stanął przed Zahredem wyprostowany. Założył ręce na piersi.

– Biali Tlaxcaltekwie – poprawił z godnością najwyższego króla.

– Niech będzie: biali Tlaxcaltekwie.

– Rodrigo przyszedł do ogniska Tlaxcali, więc Rodrigo jest...

– Tak, tak! Xahuatl mówi przecież: Tlaxcaltekwie... A teraz niech Xicotencatl biegnie, niech zwołuje ludzi!

Nie czekając, aż służba zrobi to za niego, zapiął na talii pas nabijany złotymi blaszkami, nałożył pióropusz, który szył z takim mozołem od jesieni.

Po dzisiejszym dniu miało znaleźć się w nim co najmniej kilka nowych piór.

– Z nami słońce! – zawołał, pokazując ruchem ręki, żeby do tej pory stojący pod ścianami gwardziści ruszali za nim.



Stojący na budynku bramnym caudillo Hernán Cortés patrzył z niekłamaną fascynacją, jak jego trzy maszyny bojowe powoli wypełzają na plac, siejąc śmierć i zniszczenie.

Słońce wstało ponad Tenochtitlán, zalewając złocistym blaskiem scenerię pola bitwy.

Wielobarwne figurki dzikich zbierały się niczym kropelki rosy, podsuwały falami ku szaroburym kształtom z drewna i skóry.

Kłębiły się wokół nich, już, już zdawało się, że ogarną je i zaleją – po czym odskakiwały w tył, zostawiając za sobą otoczone plamami czerwieni trupy.

Od czasu do czasu na dole wykwitwały długie pióropusze siwego dymu, rozwiewające się potem w podmuchach delikatnego wietrzyku.

Cortés wciągnął powietrze nosem, czując, jak krew żywo krąży w jego żyłach.

– Uwielbiam zapach prochu o poranku – mruknął z ukontentowaniem, obserwując, jak kolejny atak dzikich bezskutecznie próbuje zająć machiny od tyłu.

Bezskutecznie – bo kiedy tamci już myśleli, że dali radę dobrać się do ich czołgających się powoli ruchomych fortec, z bramy wypadła na nich stojąca do tej pory w pogotowiu kawaleria. Zaraz za nią wysypali się bezładną zbieraniną Cholultekowie, dorzynający tych z Mexików, którzy zdezorientowani nie wiedzieli już nawet, w którą stronę się zwracać.

– Doprawdy piękne, panie – odezwała się stojąca obok caudilla Malintzin. – Moje gratulacje.

– Hm, hmm... – Cortés z zadowoleniem podkręcił wąsa.

– Tylko patrzeć, jak podciągną ich posiłki, panie.

– Też słyszałem piszczałki i bębny, owszem. Będziemy przebijać się w kierunku mostu, tak jak ustaliliśmy. Zobaczymy, jak daleko damy radę dotrzeć – rzekł caudillo.

– Dokładnie tak. A wtedy...

Nie dokończyła jednak, bo w tym momencie od strony świątyni Xipe Toteca – najbliższej pałacu Axayacatla, tej samej, z której zasypywali białych kamieniami Mexikowie – rozległ się długi, jękliwy dźwięk gongu.

Malintzin aż zadrżała, skuliła się. Cortés spojrzał na nią zaniepokojony.

– Marina, co jest? Słabo ci?

– Nie, panie, nie. To tylko... – Skrzywiła się boleśnie, wtuliła głowę w ramiona. – Ten dźwięk... Nieznośny! Aż świdruje mi w uszach, wwierca się w skronie!

Caudillo przysłonił oczy od słońca, wpatrując się w masyw świątyni, sponad której właśnie wyglądało podnoszące się nad

miastem słońce. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co oni tam...?! Procesja się jakaś wspina, kręca się na szczycie jak te kruki!

– Zapewne odprawiają jakieś swoje gusła, panie. – Stojący po jego drugiej stronie ojciec de Olmedo przeżegnał się.

– Czary! To ichnie czary, żeby nasze maszyny popsuć! – zawołał trwożliwie któryś z arkebuzerów. – Mnie już drugi raz proch dziś nie załapał, o!

– A mi się sprężyna poluzowała! – zawtórował mu inny.

Ze świątyni po raz kolejny rozległ się gong, wiatr przyniósł echo jęśliwego zaśpiewu kapłanów.

Cortés już miał warknąć na nich, ofuknąć zabobonnych idiotów. Poczł jednak, jak paznokcie doñi Mariny wbijają mu się przez materiał koszuli w przedramię.

Spojrzał na nią, wprost w te orzechowe oczy niczym sadzawki pozbawione dna.

– Ucisż ich, Hernán – szepnęła Malintzin.



Kiedy prowadzone osobiście przez Huēi Tlahtoāni oddziały Mexików dotarły w pobliże pałacu Axayacatla, ich oczom ukazał się widok zaiste przedziwny.

– Bogowie! – sapnął Xicotencatl. – Biali najeźdźcy poruszyli domy!

W kłębach kurzu i dymu poruszały się ogromne kształty, wokół których kotłowała się i przewalała żywa masa ludzka.

Wojownicy Tenochtitlán próbowali wdrapywać się na spadziste dachy, czepiali się rękami, chwyтали, bili toporami, dźgali włóczniami – na próżno!



Przedziwne konstrukcje sunęły naprzód, plując ogniem skrytych w strzelnicach arkebuzów, rażąc grotami bełtów puszczanych w ciżbę przez schowanych bezpiecznie kuszników.

Za nimi ciągnęła zwartymi grupami, najeżonymi grotami włóczni, piechota, pod której osłoną przesuwali się kolejni strzelcy, z bezpiecznej odległości oddający salwę za salwą w tłum.

Kawaleria uwijała się na obrzeżach pola walki, uderzając w niechronione flanki i rozganiając nie dość spójne grupy bojowników.

Wszystko to ogarnął wzrokiem i w lot zrozumiał chyba tylko Zahred.

– Próbują przebić się ku grobli na Tlacopán! Niech Nochehuatl odetnie im drogę, nie pozwoli dotrzeć do mostu!

– Nochehuatl jest posłuszny! – odkrzyknął dowódca wojowników Jaguara.

Puścił się biegiem we wskazanym kierunku. Cały oddział przystrojonych w skóry dzikich zwierząt, zdobnych naszyjnikami z kłów i pazurów wojowników ruszył za nim, odłączając się od głównych sił.

– Co rozkaże najwyższy król? – niecierpliwie zapytał Huexoch, zawsze chętny, aby wykazać się w boju, a potem pochwalić dokonania przed swoimi dwiema żonami. – Gdzie mają uderzyć szpony wojowników Orła?

– Niech Huexoch weźmie swoich ludzi, niczym dzikie ptaki poprowadzi ich... – zawiesił głos Zahred.

– Najwyższy? Które dy ma ruszyć Huexoch?

Zahred wyciągnął rękę, pokazał na coś przed sobą.

Od razu jednak chwycił za ramię dowódcę wojowników Orła i przytrzymał w miejscu, kiedy tamten gotów był bez chwili zastanowienia rzucić się pędem w tamtą stronę.

– Niech Huexoch powie: co to za świątynia? Tam, zaraz przed pałacem Axayacatla?

– O Najwyższy! Zanim Huēi Tlahtoāni zdąży odetchnąć dziesięć razy, Huexoch i wojownicy Orła...!

– Nie. Co to za świątynia?

– To świątynia Yopico, o Najwyższy! Tam sprawują obrzędy ku czci Xipe Toteca, Naszego Pana Obdartego ze Skóry!

Zahred stał dłuższą chwilę, niezdolny ruszyć się z miejsca.

Ponieważ widział, jak maszyny wojenne Cortésa wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, wbrew jakiegokolwiek logice skręcają z obranego kursu na most ku Tlacopán i zaczynają pełznąć ku piramidzie, na której szczycie widać było czarne figurki kapłanów.



– Na bakburte!

– Co?! – De Sandoval uznał, że się przesłyszał.

– Ster na bakburte... W lewo skręcamy! – powtórzył Castañeda i pokazał ręką.

– To słyszałem! Ale to bez sensu przecież! Most jest tam! – zawołał de Sandoval, próbując przekrzyczeć panujący wewnątrz drewnianej konstrukcji hałas.

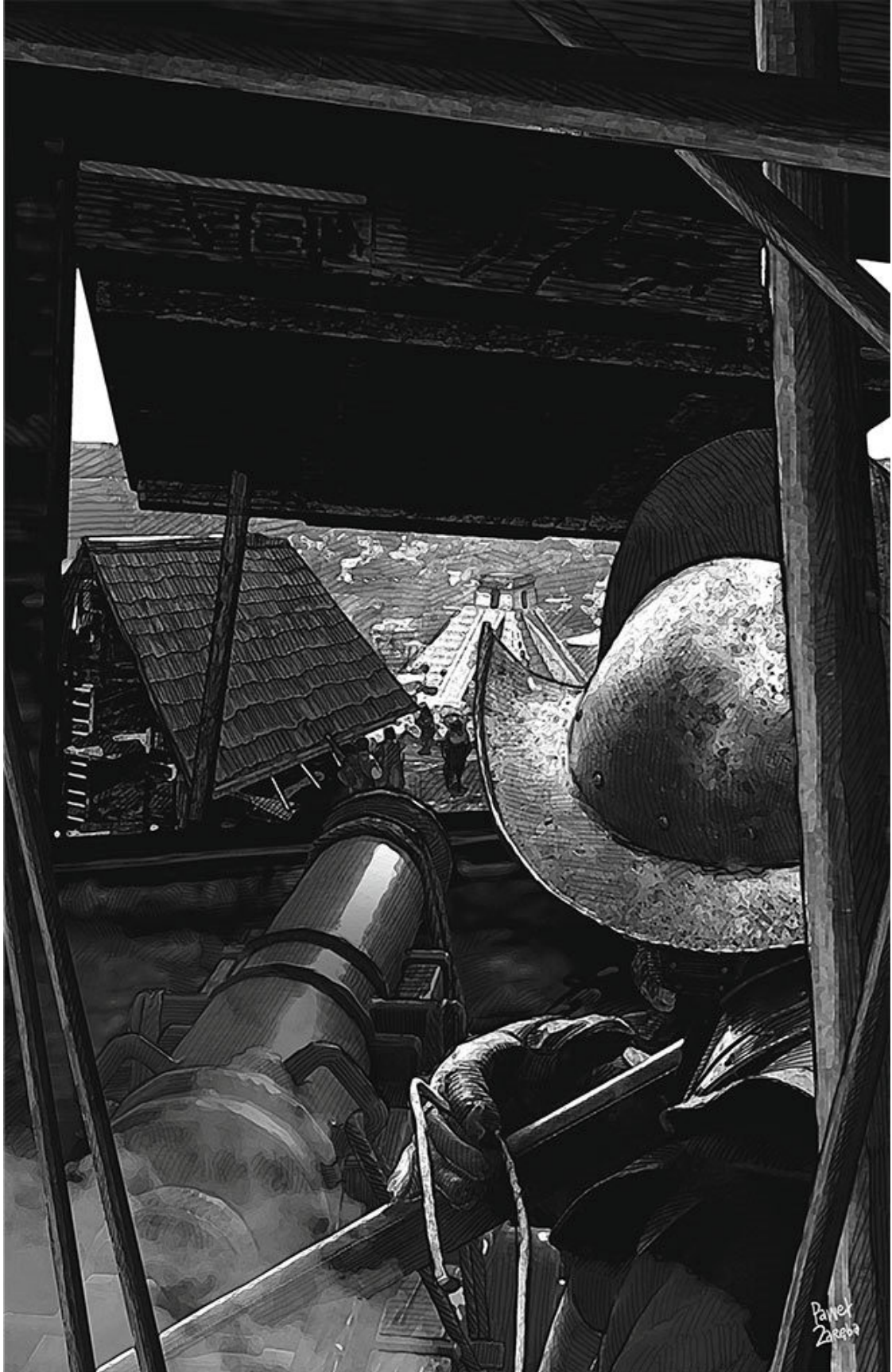
– Caudillo gońca podobno przysłał! Dopiero co mi pan de Barrameda przekazał, że idziemy ku tej piramidzie... O tamtej! – zawołał Castañeda.

– Ja pier...! – zmełł przekleństwo de Sandoval.

Przecież byli już tak blisko otwartej drogi!

Z drugiej strony ta wycieczka miała być nieledwie próbą generalną. Jeszcze niedawno mało kto z Kastylijczyków wierzył

w to, że te pokraczne, ciężkie jak nieszczęście wiaty zdołają  
wydostać się dalej niż za bramę!



A z tej cholernej świątyni dzień i noc sypały się na nich kamienie. Meksykanie strzelali z łuków do wartowników, zmuszając do przemykania się wzdłuż murów i ścian. Na pewno obserwowali ich, wołali bez ustanku, nie dając chwili spokoju.

Przyda się dzikusom nauczka.

De Sandoval uśmiechnął się sam do siebie, popukał w ramię podającego rytm de Sanlucara.

– W lewo!

– Lewo? – upewnił się jeszcze tamten. – Tak jest... Lewa strona, stać! Prawa, zawijać do lewej... Krok!

– Hwwwuah!

– Krok!

– Hahh!

– Krok!



Ubrani na czarno kapłani widzieli ze szczytu piramidy wszystko, co rozgrywało się na wielkim placu.

Nie uszło ich uwadze, jak trzy ogromne, pokracczne kształty wysuwają się z zabudowań pałacu Axayacatla. Ba, mało tego – widzieli jeszcze wczoraj, jak biali ludzie pracownicy zbijali je z belek i desek, okładali namoczonymi słomianymi matami i skórą.

Mieli doskonały widok na to, jak pierwsze oddziały wojowników uderzyły na białych, jak potem wpadli na nie jeźdźcy na wielkich jeleniach.

I tak samo mogli przyglądać się, jak z całego miasta powoli ściągają na miejsce pozostałe oddziały pod poszczególnymi sztandarami Imperium Słońca.

Lecz ich uwagę zaprzętało teraz coś zupełnie, ale to zupełnie innego.

Uderzył głuchym, jęklwym tonem gong zawieszony na dwóch powrozach z ludzkich wnętrzności.

– Niech nadejdą chmury, niech podniesie się dym! – wyrzuciła ręce w górę półślepa kapłanka.

– Niech dym z obsydianowego zwierciadła zasnuje niebo! – odpowiedzieli chórem kiwający się w przód i w tył akolici.

Stojący przy złotym dysku człowiek z uszami spływającymi krwią zamachnął się powoli i z namaszczeniem uderzył pałką w środek tarczy, wydobywając z niej kolejny dudniący, wibrujący w uszach ton.

– Niech Ten, Który Wywrócony Jest na Lewą Stronę ukaze nam prawdziwy obraz rzeczy!

– Niech to, co ukryte, stanie się jawne!

Kolejne uderzenie gongu poniosło się ponad Tenochtitlán.

– Niech ten, który śnił, przebudzi się przez krew!

– Niech napój życia rozleje się po ziemi!

Jeszcze jeden niski, falujący ton rozlał się po stopniach piramidy.

– Niech...

Człowiek z pałką zamarł, czekając, aż kapłanka dokończy inkantację, akolici zaś odpowiedzą.

Ona jednak zawahała się, obróciła głowę i spojrzała niewidzącymi oczyma ku pałacowi Axayacatla, z którego właśnie wysypywała się kolejna grupa lśniących w słońcu, odzianych w stalowe pancerze Kastylijczyków.

Od lat nie widziała nic, ale teraz patrzyła na nich.

Przyglądała się, jak idący na ich czele, ubrany w najpiękniejsze ubrania człowiek pokazuje srebrzystą igiełką miecza w kierunku schodów na piramidę.

A potem obróciła głowę ku idącym od Pałacu Białych Trzcin wojownikom, spomiędzy których wyrwał się najbogaciej przystrojony oddział pod całym szeregiem kołyszających się różnobarwnych sztandarów.

Stara kapłanka uśmiechnęła się, zaczerpnęła tchu.

– Niech ofiara się dokona! Niech zstąpi Wielka Pajęczycyca! Niech się stanie!

– Niech! Niech! Niech!

Gong uderzył raz, drugi i kolejny, śląc falę za falą żałosnych jęków ponad dachami miasta.



– Naprzód, moi dobrzy panowie! Za naszego króla, za ojczystą Kastylię! – radośnie zawołał caudillo, na czele doborowego oddziału ruszając na stojących u podnóża piramidy dzikusów.

– Za wiarę chrześcijańską! – krzyknął dowodzący kompanią Pedro de Villalobos.

– Za z-złoto, za sławę! – ryknął strasznym głosem pan de León, jak zawsze w trakcie walki nagle cudownie uleczony ze swojej przypadłości.

Machiny wojenne zdołały dotrzeć niemalże na sam plac przed świątynią i teraz stały burta w burtę, niczym przenośne fortyfikacje dzieląc strumień nacierających Indian na pół, plując bełtami w ciżbę półnagich wojowników.

Przeniesione na boczny mur pałacu Axayacatla, odpowiednio ustawione i podniesione śmigownice co rusz rzygały ogniem, ciskając kamienne i ołowiane kule ku próbującym ustawić się do ataku dzikusom.

Arkebuzerzy wespół z pikinierami osłaniali plecy oddziału szturmowego, kawałek po kawałku, piędź po piędzi wyrąbującego sobie drogę ku schodom na górę.

– Na nich, mości panowie! Nie będą w nas brudasy kamieniami z góry ciskać! – zaśmiał się Cortés, jako pierwszy wpadając w niespójny szyk Mexików.

Uderzył barkiem, zasłonił się tarczą i od razu pchnął szpadą przed siebie, celując w brzuch.

Bardziej usłyszał, niż poczuł uderzenie krzemiennej maczugi o nakarczek hełmu.

Kątem oka zobaczył, jak grot włóczni przejeżdża mu po naramienniku, nie zostawiając na solidnej kutej stali nawet rysy.

Wrzask, charkot i krzyki wypełniły całą przestrzeń wokół. Jego ludzie krzyczeli, krzyczeli Indianie, krzyczał on sam, zapamiętałe rąbiąc, kłując, kopiać i bijąc rantem cholernie ciężkiej kawaleryjskiej tarczy. Gdyby nie odniesiona poprzedniego dnia rana ręki, zapewne walczyłby teraz na szpadę i sztylet, a tak musiał marnować czas i siły na obronę!

„Walczył”.

To nie była walka, to było rzemiosło wojenne, albo raczej sztuka zadawania ran.

Indianie bili się z dziką, zaciętą furją.

Rzucali się ze stopni na Kastylijczyków.

Chwyтали za hełmy.

Wczepiali się we włosy.

Próbowali dźgać ostrzami swojej prymitywnej broni w łączenia płyt pancerza.



Odskakiwali tylko po to, żeby z na poły zwierzęcym wyciem skoczyć prosto na ostrza włóczni, pod klingi mieczy.

A im bardziej zaciekle się bronili, tym wścieklej nacierał na nich Hernán, który ponad rozgardiaszem starcia cały czas słyszał dudniący, jękliwy głos gongu niosący się ze szczytu piramidy.



– Naprzód, dzielni wojownicy Jaguara! Niech wasze szpony rwą ciała wrogów, niech wasze szczęki zabarwią się krwią! – zawołał najwyższy król, pokazując na biegnącą ku nim chorągiew Cholulteków.

– Słońce jest z nami! – krzyknął Nochehuatl ile tchu w piersiach, licząc na to, że Xahuatl go słyszy, po czym puścił się biegiem.

Jakie jednak było zdziwienie młodego dowódcy, tak ochoczo chełpiącego się chyżością swoich nóg, gdy okazało się, że wcale nie dobiegł do szeregu przeciwników jako pierwszy!

Zahred wpadł pomiędzy tamtych, niczym dzikie zwierzę rzucające się w stado owiec.

Kamienna siekiera świsnęła i z chrzęstem wgryzła się w czaszkę najbliższego wojownika.

Jednocześnie brązowy toporek w jego lewej ręce zatoczył łuk, otwierając gardło drugiego.

Trzeci krzyknął i zamachnął się włócznią, chcąc pchnąć wojownika o wymalowanych rękach – ale wtedy wpadł na niego rozpędzoną kulą czystej agresji, pazurów i kłów Kefren, biegnący raptem kilka kroków za swoim panem.

– Śmierć zdrajcom z Choluli! Śmierć białym najeźdźcom...!  
– poniosło się wołanie ponad oddziałami Mexików.

– Z nami słońce! – zakrzyknęli po swojemu Tlaxcaltekwie.

Zahred widział już, że od ich lewej strony nadciąga oddział kawalerii, która wykonała na placu szeroki zwrot i teraz szykowała się do uderzenia w ich niechronioną flankę. Rozpoznał siedzącego na jabłkowitym ogierze pana de Morłę, obok niego mignął mu chyba pan de Lugo...

Ciął po ramieniu, a kiedy przeciwnik wypuścił broń, kopniakiem posłał go na ziemię.

Złapał przedramię kolejnego na stylisko siekierki, ciął toporkiem – odrąbana w łokciu ręka poleciała w bok, kreśląc za sobą w powietrzu krwawy ślad.

Więc tylko czekać, aż trzeba będzie radzić sobie z konnymi.

– Wielkie jelenie! – pokazał oficerowi łącznikowemu. – Niech wojownicy zwrócą się ku nim!

Tamten obrócił się przodem do nacierającej już kawalerii, pokazując doczepionym do pleców sztandarem kierunek, w którym miała toczyć się walka.

Tak, odgryzą się kawalerii i będą mogli przebijać się dalej, ku świątyni Yopico.

Jednak Zahred już teraz widział, że nie zdążą.

Cortés ze swoimi ludźmi był już w połowie wysokości schodów, coraz mocniej odrywając się od głównych sił Kastylii.



– Naprzód, panowie! Jeszcze kawałek, a potem...!

Cortés urwał, wyraz ekscytacji spłynął z jego twarzy.

Obrócił się właśnie do wspinających się za nim ludzi, aby kolejnym okrzykiem zagrozić im do boju, poderwać do jeszcze większego wysiłku.

Sam już ledwo łapał dech, ręce mu omdlewały, dłoń ślizgała się na mokrej od krwi rękojeści szpady. Ale wiedział, że nic tak nie pomaga jak dobry przykład dowódcy!

Widział ich, jak wdrapują się po schodach, walcząc z ciągle następującymi im na plecy dzikusami.

W dole, na placu przed świątynią, bronili się poszczególnymi grupkami pozostali.

Drewniane maszyny rozciągnęły się, próbując zachować ciągłość linii komunikacyjnej z pałacem Axayacatla.

A ponad głowami w błyszczących, powgniatanych hełmach, pomiędzy kołyszącymi się grotami pik dostrzegł sunący w ich kierunku oddział pod czarnym sztandarem.

Zahred.

Caudillo nie musiał się nawet zastanawiać, był więcej niż pewien: to był właśnie on.

Ten diabeł wcielony, ten zdrajca, który tyle czasu ukrywał się u jego boku. I teraz na pewno z jakichś tylko dla siebie zrozumiałych pobudek chciał przeszkodzić mu w dotarciu na szczyt piramidy!

Hernán w sumie wiedział, dlaczego Zahred miałby chcieć mu przeszkadzać: z czystej ludzkiej zazdrości.

Zazdrości o władzę. O posłuch wśród ludzi. W końcu o Malinztin... O jego czystą, nieskałaną zwątpieniem wiarę chrześcijańską i wytrwałość w dążeniu do celu.

O wszystko to, co Cortés na tej wyprawie osiągnął, a Zahred teraz chciał zniszczyć.

Poczuł, jak w piersiach wzbiera mu gniew.

– Naprzód! Wypalimy ogniem to siedlisko zła! Do piekła ze sługami diabła i ich pogańskim obrzędkiem! – krzyknął, ze

zdwojoną furią rzucając się ku desperacko broniącym się na schodach Mexikom.



Ludzie krzyknęli ostrzegawczo, gdy trzasnęło sucho pękające drewno, a wiata drewnianej maszyny zakołysała się i jednym bokiem gruchnęła na ziemię.

– Pękła belka nośna! – zawołał ktoś. – Urwała się na zaczepach. Panie, urwało się!

– Jasna cholera! – zmełł przekleństwo de Sandoval, który dopiero co wyczołgał się z ciasnego wnętrza konstrukcji. Machnął na stojących obok niego ludzi. – Do środka, pomóc tamtym! Trzeba to odholować z powrotem do pałacu... Musimy się wycofać do pałacu! – krzyknął do sąsiedniej ekipy, składając dłonie przy ustach.

Dowodzący nią de Grado kiwnął głową na znak, że zrozumiał. Spojrzał ku trzeciej drużynie, omiótł wzrokiem sytuację. Dłuższą chwilę patrzył na walczących na stopniach piramidy żołnierzy, nad którymi kołysał się osobisty sztandar Cortésa.

– Wycofujemy się! – zawołał.

– Wycofać się! Wycofać!

– Utrzymać gotowość, nie tracić łączności z tamtymi! De Coria, do mnie!

– Tu jestem, panie! – podskoczył do niego giermek.

– Pędem gnajcie do pałacu, włączcie na mur od strony piramidy! Krzyczcie ile tchu, żeby nasi też zaczęli się powoli wycofywać!

De Coria zrobił wielkie oczy.

– Panie, ale przecież sam admirał rozkazał...

– W dupie mam to, co mówił wcześniej Hernán! Sytuacja się zmieniła od tamtej pory! Znałem się z nim, kiedy wyście jeszcze cycka matki cmoktali, więc nie mydlcie mi teraz oczu autorytetem! Zaraz nie będziemy mogli im pomóc, bo nas dzicy odetną! Niech wycofują się na dół! – ryknął na niego de Grado. – Biegiem do pałacu, bo nogi z dupy powyrywam!

De Coria skulił się, kiwnął tylko głową i popędził w kierunku bramy, do której też zaczęli już zbliżać się tubylcy.



– Huēi Tlahtoāni! Huēi Tlahtoāni przybywa... Mexikowie, do boju! Godzina zwycięstwa jest bliska!

– Stać! – krzyknął Zahred na swoich ludzi. – Stać, nie pchać się tam! W bok, za domy!

– Za domy, w bok! – powtórzyli rozkaz jego nawoływacze.

Nie wszyscy usłyszeli, nie wszyscy usłuchali.

Kiedy kolejna chmara bełtów pomknęła przez niebo, a potem spadła prosto w stłoczoną ciżbę, szeregi wojowników wypełniły się krzykami bólu, charkotem i jękami śmiertelnie rannych.

Chwilę potem fuknęły ogniem arkebuzy.

Zaraz po nich plunęła dymem jedna ze śmigownic z murów pałacu, posyłając cały rój ołowianych kul w skłębiony tłum.

– Atakujmy! – zawołał Xicotencatl. – Biali wycofują się, są w rozsypce. Będą łatwą ofiarą dla toporów i mieczy Tlaxcali!

– Nie! Atakowanie ich pod górę, na stopniach... Tam! – Zahred pokazał w kierunku bramy pałacu Axayacatla. – Rozetniemy ich linię na pół.

Czuł, jak jego serce burzy się przeciwko temu, co kazał im robić.

Powinien być teraz tam, na schodach świątyni Xipe Toteca, w której kapłani nadal sprawowali swój obrządek.

Wpaść pomiędzy Kastylijczyków, wyróżnić ich jak bydło...

Tylko że dokładnie na to liczył ten pies, ten bydlak bez honoru – Cortés. Nie na darmo wziął ze sobą swój sztandar, żeby wszyscy widzieli, gdzie są.

Gdyby poprowadzić atak na świątynię teraz, to konkwistadorzy dotrą na szczyt, zanim oddziały Mexików zwiążą ich walką – a wtedy czekające na pewno w pałacu Axayacatla odwody uderzą na nich z tyłu i wezmą w kleszcze.

Gdyby Zahred był tu sam, gdyby troszczył się tylko o siebie...

Ale nie był sam.

Teraz był Xahuatlem. Teraz był Huēi Tlahtoāni. Ojcem i opiekunem tych ludzi.

Jego dzieci zaś leżały u jego stóp, krwawiąc z niezliczonych ran.

Ranni, kontuzjowani, już martwi i dopiero umierający Mexikowie, Tlaxcaltekowie, mieszkańcy Tlacopán, Texcoco i jedni bogowie raczą wiedzieć ilu jeszcze okolicznych miast.

W każdej chwili, w każdej sekundzie tego starcia ginęli kolejni.

Hekatomba była potworna – a co najgorsze, w dużej mierze jednostronna.

Tak, ubili tego ranka wielu Cholulteków. Owszem, sam Zahred zabił co najmniej dwóch białych. Widział, jak kilku

kolejnych powalono i obezwładnionych zawleczono za włosy w tył jako jeńców.

Natomiast stosunek strat nadal plasował się w rzędach wielkości.

Gong ze świątyni odezwał się po raz ostatni, a potem zamilkł, kiedy biali wdarli się na platformę na szczycie piramidy.



## Rozdział 4

**I** raz, i dwa... I trzyyy!

Kapłan wrzasnął rozzierająco, kiedy trzymający jego ręce i nogi Kastylijczycy bujnęli go poza krawędź platformy. Machnął rękoma w powietrzu, a potem poleciał w dół niczym kamień, na spotkanie kamiennych stopni daleko w dole.

– P-p-pięk-k-kny rzu-rzut, pano-no-nowie! – zarechotał de León, który wzięwszy się pod boki, obserwował poczynania żołdaków. – Go-godny kilku sz-sz-sztuk zło-złota!

– Jak czarne mrówki spadają! – zawtórował mu González Ponce.

– Może jakaś nagroda za najlepszy wynik, panie?! – radośnie krzyknął do Cortésa któryś z żołnierzy.

Caudillo stał, dysząc ciężko i ocierając pot z czoła, oparty o kamienną płytę ołtarza, wokół którego leżeli w kałużach krwi kapłani.



To już były nie te lata, nie ten wysiłek, kołatała mu w głowie myśl. Ta wspinaczka, walka, to obciążenie organizmu... Przecież musiał ciasniej przewiązywać pludry paskiem, tak schudł przez ten rok!

Ale ludziom nie wolno było pokazać słabości.

– Po pięć pesos za każdego! – odkrzyknął, przywołując na twarz uśmiech.

– To ja sam już mam z pół sta! – ucieszył się González Ponce. – To nie był dzień na leżenie w łóżku, panowie! Dużo dobra żeśmy uczynili!

Z wnętrza świątyni niosły się kłęby dymu, w którym przebłyskiwały pomarańczowe języki płomieni: słomiane maty i kotary z trzciny paliły się pięknie, ogień przeskakiwał już na belki stropu i pozostałe posągi bożków, których Kastylijczycy nie zdołali wyciągnąć na zewnątrz, więc po prostu obalili je na ziemię i porąbali mieczami.

Te, które udało im się wywlec z przybytku, poniewierały się teraz potrzaskane na kawałki na stromych schodach piramidy.

– Panie, ahem... No więc... – Pedro de Villalobos podszedł bliżej, stanął obok Cortésa i też oparł się tyłkiem o ołtarz.

– No więc...?

– No więc co dalej, panie? Bo wygląda na to, że jesteśmy tu otoczeni.

Caudillo odepchnął się rękoma od kamiennej płyty; z trudem przestawiając nogi, podszedł ku krawędzi platformy.

Panorama Tenochtitlán z tego miejsca zapierała dech w piersiach. Świątynie, ulice, kanały... Sam ogrom tego miejsca nadal robił na Hernánie wrażenie.

Prawdziwa perła w koronie. Idealny podarek, który można było przekazać na ręce Jego Królewskiej i Cesarskiej Wysokości. Najdoskonalsze trofeum.

W dole zaś, u stóp niebosiężnego przybytku, kłębił się i przelewał tłum Indian.

Cortés westchnął ciężko.

Owszem, słyszał wcześniej, kiedy byli już prawie u szczytu, nawoływania de Corii, który wrzeszczał do nich, żeby się cofnęli, bo de Grado kazał machinom zawrócić. Hernán nie miał nawet do swojego starego druha żalu o tę decyzję: znali się na tyle długo, że ufał jego osądowi. Mimo to on nie zatrzymał się, kazał ludziom nacierać.

Weszli na samą górę. Wyrznęli kapłanów, przerwali ich durną, bluźnierczą ceremonię. Zrzucili posągi, stoczyli ze schodów złoty gong, który dudnił i łomotał przezabawnie, staczając się na dół i odbijając od kamieni.

A teraz musieli jakoś dostać się z powrotem na dół i połączyć z głównymi siłami.

No cóż, „jakoś” w tym momencie brzmiało jak całkiem wykonalny plan.

Sapnął, niezgrabnie usiadł na kamieniu. Spuścił nogi w dół i ześliznął się na stopień niżej. Podszedł do krawędzi, znów usiadł...



Stojący u stóp piramidy Xipe Toteca wojownicy obserwowali, jak oddział Kastyljczyków powoli, stopień po stopniu schodzi z piramidy.

Starcia na placu chwilowo ustały, albo raczej zawisły w sytuacji patowej: ani jedna, ani druga strona nie była w stanie przemóc bez potwornych strat.

Machiny cofnęły się aż pod mur pałacu.

Mexikowie wycofali się poza zasięg bełtów z kusz.

Na polu boju zostali tylko zabici i ciężko ranni.

Dziesiątki, setki, jeśli nie tysiące ciał, leżących pojedynczo, grupami albo wręcz całymi zwałami.

Pomiędzy nimi snuły się już kobiety, szukające z płaczem rannych, z rozdzierającym duszę krzykiem przypadające do ciał zabitych mężów, ojców i braci.

Nad Tenochtitlán powoli, z każdym okręgiem obniżając swój lot, kołowały wielkim stadem padlinożerne ptaki.

Słońce pokonało już większą część swojej drogi po nieboskłonie i teraz skryło się za warstwą chmur, jak gdyby nie mogąc znieść widoku rzezi.

– Dlaczego Huēi Tlahtoāni nie nakazuje ataku? – odezwał się w przestrzeń Cuitláhuac, stojący na czele swoich ludzi.

– Ponieważ... Ponieważ nie wydał takiego rozkazu – niepewnie odpowiedział któryś z wodzów.

– Mhmm. Dziwny to Huēi Tlahtoāni, który obawia się wojny.

– Brat Cuitláhuaca też się do niej nie palił – zjadliwie zauważył ktoś inny. – Wtedy Cuitláhuac nie był tak prędko do podważania jego decyzji... Czy może dlatego, że Cuitláhuac wiedział, co zrobiłby mu najwyższy Montezuma, gdyby usłyszał, co mówi o nim młodszy brat?

– Cuitláhuac zawsze wzywał najwyższego Montezumę do walki!

– Ale jakoś jej nie podjął. Wtedy mówił, teraz mówi... I nadal będzie tylko mówił. – Tamten pokręcił głową.

Cuitlahuatzin nie powiedział już nic. Zacisnął tylko usta, patrząc, jak biali stają w połowie wysokości schodów, naprzeciw nim zaś wysuwa się orszak, na czele którego szedł sam Huēi Tlahtoāni.



Cortés dostrzegł Zahreda już wcześniej.

Ubranego w pióropusz, z twarzą wypačkaną farbą, na podobieństwo dzikich, z psem u boku... Tak, nie był zdziwiony, że tam jest.

Ale kiedy zauważył, że tamten zostawia bezpieczeństwo szyku i wysuwa się im na spotkanie, poczuł, jak mocniej zabiło mu serce.

Nie to, żeby się bał.

W żadnym razie! Po prostu...

Po prostu zrobiło mu się jakoś nieswojo.

– Panie de Villalobos... – odezwał się półgębkiem. – Jaki najlepszy arkebuz mają wasi ludzie?

Tamten załapał w lot.

Zmrużył oczy, szacując odległość. Pokręcił głową, cmoknął powątpiewająco.

– Nie doniesie. Poza tym z góry strzelać... Nie trafi, mała szansa. A kusznik nie będzie miał jak się złożyć pod tym kątem.

– Hm, no cóż. Czyli pozostaje nam miękka dyplomacja. – Caudillo uśmiechnął się kwaśno.

Zeszli jeszcze parę stopni w dół, głównie po to, żeby móc pokryć większy obszar bronią dystansową. Potem Cortés dał znak ludziom, żeby zostali z tyłu.

W tym momencie byli tylko oni dwaj.

Zatrzymali się.

Przez chwilę był tylko świst wiatru, pustka i dwa spojrzenia niegdysiejszych towarzyszy broni.

– Hernán! – zawołał Zahred z dołu.

– Witaj, stary przyjacielu! – machnął mu ręką caudillo. – Na co to nam przyszło, ha? W takich okolicznościach rozmawiać!

– Złóżcie broń, Hernán. Nie macie szans!

– My?! Wolne żarty, kapitanie... eks-kapitanie, powinienem raczej powiedzieć!

– Moi ludzie są ze mną, Hernán! Ze mną jest całe Tenochtitlán!

– A ze mną jest wiara, król i prawo silniejszego! Na Boga, Zahred! Dojdę do zwycięstwa chociażby i po twoim trupie!

– Drugi raz, Hernán?! – Zahred zaśmiał się ponuro.

Cortés poczuł, jak robi mu się bardzo nieswojo.

Już, już wzbierająca w nim złość nagle skurczyła się i zwinęła w kulkę, zostawiając wokół siebie zimną, skowyczącą pustkę strachu.

Przełknął jednak podchodzącą do gardła gulę, wyprostował się dumnie, wziął ręką pod bok.

– Nigdy tego nie chciałem, Zahred! – zawołał, pokazując na trupy i dymiące ruiny domów. – Dlatego też oferuję pokój. Jak rozumiem, oferuję go tobie, skoro mówisz w imieniu tych dzikusów!

– Teraz to ja jestem Huēi Tlahtoāni!

– Zatem oferuję ci pokój, Zahred! Boli mnie to, jak rozwinęła się sytuacja! Przygnębia mnie, gdy widzę to piękne miasto niszczone kawałek po kawałku przez jego własnych mieszkańców! Moje serce krwawi, kiedy giną bez sensu i celu!

– Nie wierzę ci, Hernán! Pozwól, że wejdę tam do ciebie i własnoręcznie sprawdzę, czy naprawdę tak jest!

– Tylko spróbuj, Zahred! To miasto jest moje, należy do naszego króla!

– Nie, Hernán! To miasto jest moje, tylko moje, a ja należę do bogów! I to będzie trwać, ta wojna będzie ciągnąć się tak długo, aż opuścicie nasze ziemie... Moje ziemie!

– Zginiecie tu wszyscy! I ty, i twoje dzikusy!

– Choćby na jednego białego miało nas ginać stu, tysiąc czy dziesięć tysięcy, to i tak wy polegniecie pierwsi, Hernán! Wynieście się z Tenochtitlán, wynieście się z Imperium Słońca!

Stojący za plecami dzicy zamruczeli groźnie. Tłum zafalował, poruszył się. Nie mogli rozumieć słów, ale na pewno doskonale czytali intencje i emocje w ich głosach. Tak, wystarczyło jego jednego gestu, żeby rzucili się znów do ataku.

Cortés zacisnął bezsilnie pięść, przygryzł kciuk. Szybko jednak powściągnął emocje, bo przecież za nim też wciąż stali jego ludzie, słyszący każde jego słowo.

– Dajcie nam zejść na dół! – zakrzyknął, nie licząc na nic. – Swobodne przejście do pałacu Axayacatla dla mnie i moich ludzi!

Jakże się zdziwił, gdy z dołu doleciało go:

– Zgoda!

– Zgoda...? – powtórzył odruchowo, aż nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Tak! Zejdźcie tylko z piramidy, zostawcie świątynię w spokoju!

Cortés szybko przekalkulował opcje, zmrużył oczy. Ha! Skoro tamten gotów był iść na ustępstwa, to należało ciągnąć tę nitkę tak długo, jak jej tylko starczy!

Wziął się pod bok też drugą ręką, całym sobą starając się zademonstrować, że to on jest panem sytuacji.

– Odsuńcie się w takim razie poza plac! – zawołał.

– Niech będzie! I jeszcze... Hernán?!

– Tak?!

Oczy Zahreda błysnęły zimno.

– Znajdę cię kiedyś! Znajdę cię, klnę się na wszystko, co pamiętam. I będę patrzył, jak ostatnie tchnienie ulatuje z twoich ust! – zawołał.

Cortés zaśmiał się głośno, bezczelnie, na pokaz, po czym splunął ze świątyni w kierunku stojących daleko u jego stóp ludzi.



Stojący na dachu jednego z okolicznych domów Itzli patrzył, jak jego Huēi Tlahtoāni wraca pomiędzy wojowników, a potem najwyraźniej wydaje rozkaz do odwrotu.

Wojska pod sztandarami Imperium Słońca cofnęły się poza plac, wojownicy odsunęli się, zabierając łżej rannych.

Garstka białych zeszła z piramidy i nieniepokojoła wróciła do pałacu Axayacatla.

– Huēi Tlahtoāni chyba się z rozumem pożegnał – zawarczał jeden ze współpracowników Itzlego. – Przecież miał ich w garści! Mógłby z łatwością zgnieść, jak robaki!

Itzli spojrział na Yaochitla.

Yaochitl był jednym z jego najbardziej obiecujących, rokujących podopiecznych. Nie bał się niczego poza gniewem bogów i Itzlego. Potrafił poruszać się po mieście jak cień, udawać każdego i usłyszeć wszystko. W dodatku miał doskonałą pamięć i rzadką zdolność korzystania z posiadanej wiedzy.

Dlatego właśnie w tym momencie zasłużył nie na uderzenie kijem w plecy, ale słowo porady i ukierunkowania.

– Huēi Tlahtoāni Xahuatl widzi więcej, wie więcej i rozumie więcej – mruknął władca Domu Szeptów.

– Może po prostu inaczej. Stąd widać wyraźnie, że Meksykanie mają przewagę.

– Widzi WIĘCEJ – z naciskiem powtórzył Itzli. – Mexikowie mieli przewagę zawsze. Co im to dało? Mexikowie nie przemogli białych nawet wtedy, kiedy biały wódz Cortés zabrał większość z nich i ruszył ku Wielkiej Wodzie. Dlaczego zatem Yaochitl sądzi, że Mexikowie dokonają tej sztuki teraz, w otwartym boju?

– Bo teraz Huēi Tlahtoāni prowadzi ich do boju, zamiast siedzieć z założonymi rękami?

– Otóż to. A kto jest Huēi Tlahtoāni?

Yaochitl zamruczał coś pod nosem, ale skłonił głowę na znak, że zrozumiał udzieloną mu lekcję.

Ostatni biali schowali się w bramie pałacu Axayacatla, zaczęli zamykać za sobą przejście.

Obserwujący ich odwrót Xahuatl od razu cofnął się i ruszył w górę po schodach, wspinając się ku świątyni.

– Niech bracia Itzlego pójdą w miasto – powiedział Itzli do swoich ludzi. – Niech porozmawiają z kim trzeba, tak aby słowa Itzlego dotarły do uszu wodzów, członków rady królewskiej i wszystkich, którzy są w Tenochtitlán ważni.

– Co mają powiedzieć?

Itzli westchnął.

– Niech powiedzą, że Huēi Tlahtoāni Xahuatl postąpił słusznie. Biali bezczęścili świątynię Yopico, zaś Huēi Tlahtoāni ponad wszystko miłuje bogów Imperium Słońca. Gdyby wydał białym dalszą walkę, niepotrzebnie zginęłoby wielu dzielnych Mexików. Czy to jasne?

– Tak, o panie – zamruczeli agenci, ruszając ku swoim obowiązkom.

Sam Itzli zaś wbił spojrzenie w pnącego się po schodach piramidy Xahuatla, myśląc, że kiedyś, kiedy wszystko to się już skończy, będzie musiał tamtego o wiele, bardzo wiele rzeczy zupełnie szczerze i otwarcie zapytać.





Zahred krok po kroku wdrapywał się na górę.

Roztrącał bosymi stopami leżące na stopniach piramidy kamienie i połamane strzały. Przeszł powął ponad trupami. Omijał kawałki roztrzaskanych posągów, które biali stręcili ze szczytu.

Kątem oka widział umocnienia pałacu Axayacatla i uwijających się po nich ludzi. Nie zwracał na nich uwagi, nie zaprzętał sobie nimi głowy.

– To on! To on, patrzcie! – doleciało go dalekie echo wołania.

Nie zwolnił, nawet kiedy brzęknęły ciężki, w jego kierunku zaś ze świstem poleciały bełty z kusz, rykoszetujące sucho od kamiennych stopni.

Skrzywił się tylko i wyszczerzył złym grymasem, kiedy huknął najpierw jeden, potem drugi arkebuz, a kula oderwała kawałek płaskorzeźby o długość ramienia od jego głowy. Przyspieszył minimalnie kroku i zgarbił się, żeby nie ułatwić strzelcom zadania.

Wreszcie, czując już ból mięśni nóg, dotarł do platformy na górze.

Świątynia płonęła, ogień huczał i strzelał długimi jęzorami, posyłając w niebo pióropusz czarnego dymu.

Wszędzie leżały trupy, krew zbierała się kałużami na kamieniach, ściekała strumieniami ku zagłębieniom. Ciała wojowników i cywilów, uzbrojonych i niemalże bezbronnych... Zwykłych ludzi, a obok nich kapłanek i kapłanów w czarnych szatach.

Stał tak dłuższą chwilę, patrząc na obraz rzezi i zniszczenia.

Nic nie poruszało się w tym widoku, tylko ogień tańczył po belkach; poza hukiem płomieni panowała martwa cisza.

Ruszył po platformie, patrząc na ciała. Szukając w tym wszystkim jakiegoś sensu, przesłania, znaku... Czegokolwiek.

Czegokolwiek, co pozwoliłoby mu zachować nadzieję, że wszystko to miało jakiś sens.

W końcu dostrzegł starą kobietę, leżącą sporo niżej, na kamiennych stopniach od zachodniej strony. Niczym szmaciana lalka, z nogami wykrzywionymi pod dziwnym kątem, w kałuży krwi, blada...

W pierwszej chwili chciał odejść, ale potem wydało mu się, że drgnęła, jej pierś się poruszyła.

Zsunął się po kamieniach, zaczął schodzić ku niej.

Wreszcie dotarł do ciała, przykucnął.

– Matko! – szepnął, przysuwając ucho do jej ust, aby sprawdzić, czy żyje. – Matko... Xahuatl przybył, ale się spóźnił. Nie dał rady. Ja... ja nie zdołałem ich powstrzymać. Zawiodłem...

Ledwo słyszalny syk oddechu wyrwał się spomiędzy warg kapłanki, jej powieki zatrzepotały i podniosły się. Niewidzące oczy wyłoniły się spod czaszki, popatrzyły na niego.

– Śpiący przybył... – zacharczała kobieta z trudem. – Przyszedł. Ofiara się dokonała. Nasz Pan Obdarty ze Skóry jest zadowolony. To, co ukryte, staje się jawne. Wielka Kościana Pajęczycza przebudziła się, nadchodzi. Ona nadchodzi.

– Kto? Ītzpāpālōtl?! – Zahred potrząsnął głową.

Pierś kobiety zatrzęsała się, na wargach wykwitł krwawy bąbel.

Zahred dopiero po chwili uświadomił sobie, że stara kapłanka śmieje się bezgłośnie, ale zaraz jej twarz wykrzywiła się w pogardliwym grymasie.

– Ītzpāpālōtl... Ona już tu jest. Tzitzimimeh są tutaj, wśród nas. A teraz nadchodzi Ona, nadchodzi Wielka Bogini. Ten świat spłonie, utonie we krwi...

– Nie. Nie, nie pozwolę na to! Nie tym cholernym razem! Choćbym miał własnoręcznie wyrznąć ich wszystkich, to przysięgam, że...!

– Tenochtitlán jest zgubione – wyszeptwała ślepa kapłanka. – Utonie we krwi, jeśli śpiący się nie przebudzi. Spłoną jego domy, jeśli zdąży to zrobić. Zgubione!

Zahred po raz kolejny poczuł, jak wzbiera w nim dzika wściekłość, wynikająca z bezradności. Zaciśnął pięści, zajęczał przez ściśnięte gardło.

– Co mam zrobić? – wykrztusił.

– Niech odnajdzie Usta Bogini. Ona czeka na niego, czeka od zarania dziejów... Musi ją odnaleźć. Tylko wtedy świat utonie, ale się odrodzi.

– Usta Bogini?! Co to, gdzie to? Jak mam...!

Urwał, widząc, że kapłanka nie oddycha.

Nie oddychała zresztą już wtedy, kiedy ku niej podszedł.

Nie poruszała się, bo nikt ze zdruzgotanym karkiem nie mógłby ruszyć ani ręką, ani nogą.

Nie mogła mówić, jeśli jej skroń była pęknięta tak, że przez strzaskaną kość widział szarawą papkę mózgu.

Zahred rozejrzał się dziko, a potem chwycił się za głowę, ścisnął z całej siły rękami i zaskamlał. Zakrył twarz dłońmi, osunął się na kamień... Odczołgał pod ścianę i oparł o nią plecami, wspierając czoło o kolana.

Siedział tak, wstrząsany spazmami bezradnego, szarpiącego płuca szloch, podnoszącego się gdzieś z samych głębin duszy.

Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, po prostu płakał.

Płakał nad Tenochtitlán. Miał być temu miastu ojcem, opiekunem i obrońcą, a nie potrafił ustrzec go przed ludźmi, którym sam pomógł do niego dotrzeć. Tenochtitlán, które mu powierzono. Które powierzył mu Montezuma.

Płakał nie tylko nad rzezią i zniszczeniem tego miasta – ale nad wszystkimi rzeziami wszystkich miast, które poznał. Które atakował, których bronił, które budował i niszczył. Nad wszystkimi żywotami, nad każdym żywotem, który przez te wieki przepadł w odmętach czasu.

Płakał nad tym, że za każdym razem, zawsze, nieodmiennie musiało się to tak skończyć.

Że nie było ani jednego scenariusza, na końcu którego nie byłoby śmierci, upadku i zapomnienia.

Cokolwiek zrobił albo czego zaniechał, każdy akt altruistycznego poświęcenia czy nieludzkiego bestialstwa, dowolny czyn bohaterski czy haniebny – w ostatecznym rachunku przemijających eonów znaczyły dokładnie tyle samo.

Nic.

Jednak przede wszystkim płakał nad samym sobą.



Słońce po raz kolejny zaszło nad Tenochtitlán, opuszczając na sponiewierane miasto miłosierną zasłonę ciemności.

Zapłonęły stosy pogrzebowe, wieczór wypełnił się jękami i zawodzeniami kolejnych rodzin oplakujących stratę nie do powetowania. Dymy wzniosły się ciężkim całunem, unosząc ku zasiadającym na niebiosach bogom dusze tych, co polegli śmiercią godną wojowników.

Na dziedzińcu Pałacu Białych Trzcin, tymczasowo zamienionym w obozowisko wojskowe, płonęły ogniska.

Mexikowie, Tlaxcaltekowie, mieszkańcy Texcoco, Tlacopán i wielu innych miast siedzieli przy nich czy to pospołu, czy grupami wedle plemion i dzielnic. Znachorzy, *tlantonaniztli* i zwykli domorośli lekarze, babki znające się na ziołach, młode i odważne kobiety, starcy z ich wiedzą – wszyscy pracowali pospołu, opatrując rany odniesione przez walczących tego dnia.

A było co opatrywać. Broń z zimnego metalu, którą władali biali najeźdźcy, cięła głęboko. Ich łuki na bierwionach miotały grube strzały z mocą potrafiącą przebić udo na wylot. Kule wypluwane przez ogniste rury rwały mięśnie i druzgotały kości.

Jednak nawet to – przede wszystkim to! – nie tylko nie złamało, ale nawet nie nadwerężyło tego, co wojownik miał najcenniejsze.

Ducha bojowego i odwagi.

– Jutro Xicotencatl zetnie głowę nie jednego, ale dwóch białych najeźdźców! – zaśmiał się młody wódz, patrząc z dumą po siedzących przy ognisku towarzyszach. – A kolejnego białego chwyci za włosy i zawlecze żywego na ołtarz świątyni, aby złożyć jego Czerwoną Gwiazdę w darze dla bogów!

– Xicotencatl obiecuje dużo. Oby coś z tego się spełniło – mruknął Maxixcatzin, ostrożnie poruszając ramieniem rozciętym przez miecz białego.

– Xicotencatl dokona jeszcze więcej, niż już zrobił! A cała Tlaxcala pójdzie w jego ślady! – Wódz hardo tupnął nogą, dumnie wypinając pierś.

Ha, prawda – widzieli to przecież wszyscy! No, może niekoniecznie na własne oczy, ale sama opowieść obiegła obozowisko tak żywymi słowami, że mało kto nie ujrzał oczyma duszy tego, o czym mówili tego wieczora już chyba wszyscy.

Xicotencatl własnoręcznie zabił jednego z białych!

Stało się to już pod koniec starcia, kiedy wojownicy Tlaxcali raz jeszcze uderzyli na stojących wokół ruchomych domów z drewna Cholulteków.

Tamci pierzchnęli, nie mogąc sprostać męstwu i sile Tlaxcalteków, a wojownicy niesieni na skrzydłach boskiej odwagi wpadli w stojących za nimi białych.

Wszyscy widzieli, jak Xicotencatl skacze ponad szereg, biorąc oburącz zamach swoim kamiennym mieczem!

I widzieli też, jak jeden z białych nastawia wprost na niego rurę, z której wytryskuje śmiertcionośny grzmot, ogień i dym, aby rozerwać ciało młodego wodza na strzępy!

Jednak Xicotencatl wyłonił się z dymu nietknięty, jakby sami bogowie zasłonili go swą mocarną dłonią!

Czego nie dało się powiedzieć o białym, którego głowa oderwała się od ciała i poleciała na ziemię, podskakując niczym piłka do ōllamalīztli!

– Czy wtedy starczy białych dla każdego? – rzeczowo zapytał Tihuatzin.

– Na pewno nie! – Xicotencatl potrząsnął głową. – Dlatego Tlaxcaltekanie muszą się spieszyć!

– Nie starczy dla Tlaxcali. Otomi będą drudzy – mruknął Maxcatl.

– Jak to, drudzy? Chyba „pierwsi” właśnie? – Maxixcatzin spojrzał na niego.

– Drudzy. Xicotencatl pierwszy. Otomi drudzy. Wszyscy razem. Nie starczy dla Tlaxcali.

– Ejże, hola! – zawołał Tihuatzin. – Otomi nie mogą tak postąpić! Otomi muszą zostawić kilku białych dla Tlaxcali!

– Tlaxcala nie dostanie białych. Biali będą dla Xicotencatla i dla Otomi. Potem nie zostanie żaden – oznajmił Maxcatl z kamienną pewnością.

– Tak się nie godzi! Otomi zabrali wszystkich białych! – Tihuatzin zamachał rękami.

– Otomi muszą podzielić się z Tlaxcalą – powiedział Xicotencatl.

Maxcatl z ludu Otomi popatrzył na niego niechętnie, kiwnął głową.

– Niech będzie. Otomi podzielą się białymi z Tlaxcalą.

Wojownicy odetchnęli z ulgą, zadowoleni, że tak skutecznie udało im się rozwiązać problem. No tak, skoro już ustalili, ilu kto zabije, to teraz będzie z górki: wystarczyło poczekać do jutra i ich pozabijać!

Ale nie wszyscy dzielali tak optymistyczne nastroje.

Siedzący przy tym samym ognisku Clamecahua już dłuższy czas patrzył ponuro w ogień, zdając się nie słyszeć tej radosnej wymiany zdań.

– Biali są silni – powiedział w końcu.

– Biali są słabi! Jutro zginą wszyscy, kiedy...

– Biali są silni – z uporem powtórzył Clamecahua. – Ilu zabił dziś Xicotencatl?

– Jednego! – odpowiedział młody wódz z tą samą zaciętą dumą.

– A ilu zabił Xicotencatl przez ostatni tydzień?

– Jednego!

– A przez miesiąc? Przez rok? Przez całe życie?

– Jednego...

– A ilu w ogóle białych dali radę zabić Tlaxcaltekwie?!

– O co chodzi, czego chce Clamecahua?! – zezłościł się niedawny bohater. – Czemu chce umniejszyć zasługi Xicotencatla?

– Bo i żadne to zasługi, kiedy cała Tlaxcala cieszy się, kiedy zginie zaledwie jeden przeciwnik! – wybuchnął Clamecahua.

Zapadła cisza.

Xicotencatl podniósł się powoli ze swojego miejsca, trzymając w ręku kamienny miecz.

– Clamecahua obraził Xicotencatla – zasyczał złym głosem.

– Clamecahua nie obraził nikogo! Clamecahua próbuje tylko pokazać jego braciom, że biali są silni. Może zbyt silni, żeby ich pokonać!

– Biali krwawią i umierają – zaskrzypiał wiekowy Mecatli.

– A jednak krwawią i umierają mniej niż Tlaxcaltekwie czy Mexikowie!

– Albo Otomi – wtrącił Maxcatl.

– Tak, zdecydowanie mniej niż Otomi!

– Otomi krwawią i umierają najwięcej! – z zadowoleniem oświadczył Maxcatl.

Zgromadzeni przy ognisku potrząsnęli głowami, zdumieni. Któryś już otwierał usta, żeby wyjaśnić przywódcy Otomi zawilości znaczeniowe takich przechwałek, ale Mecatli pokazał mu gestem ręki: cicho, nie warto tracić oddechu.

– Biali są silni – powtórzył po raz kolejny Clamecahua. – Walczyli dziś nie tylko z Tlaxcalą i Otomi, ale też z Mexikami. Stawali przeciwko wojownikom Orła i Jaguara naraz!

– I wielu zginęło – nie ustępował Xicotencatl.

– Tak, ale nadal się bronią! Ich zginęło kilku, a Mexików i Tlaxcalteków tylu, że stosy pogrzebowe sięgają ponad dachy domów! Białych nie da się pokonać! A jeśli nie da się ich pokonać, to...

– To co? – zapytał Maxixcatzin, mrużąc okolone zmarszczkami, ale nadal bystre oczy. – Co chce powiedzieć Clamecahua?

Clamecahua potoczył wzrokiem po siedzących przy ognisku, zatrzymał się na chwilę na Xicotencatlu. Rozluźnił się nagle, uśmiechnął.



– Nic. – Wzruszył ramionami. – Tylko tyle, że jeśli nie da się ich pokonać od razu, to wojownicy muszą być bardzo, ale to bardzo ostrożni. Dlatego Clamecahua obudzi swoich ludzi i ruszy pod pałac Axayacatla.

– Po co jeszcze? Jest noc! Biali śpią, nie zrobią nic!

– Żeby się upewnić, że Mecatli ma rację. A jeśli biali coś umyślą, to Clamecahua powiadomi swoich braci. Clamecahua całuje ziemię u ich stóp.

– Bracia Clamecahuay pozdrawiają go również – mruknął Xicotencatl, wyraźnie zadowolony, że wichrzyciel odchodzi od grupy.

Kiedy Clamecahua zniknął w ciemności, Maxixcatzin długo jeszcze patrzył w kierunku, gdzie poszedł tamten. Poruszał ustami, jak gdyby obracał na języku jakąś myśl, nie mogąc zdecydować się, czy powiedzieć ją na głos.

Ale w końcu zachował ją dla siebie.



– Hernán, nie damy rady się tutaj utrzymać.

Caudillo spojrzał na pana de Grada takim wzrokiem, jakby tamten był co najmniej jakimś diabłem, przybyłym z samych otchłani piekieł.

Zamrugął.

Potrząsnął głową, rozłożył ręce.

– Co? Chyba sobie żartujesz, Alonso. Kto jak kto, ale ty...? Przyznam, czuję się rozczarowany!

– Hernán, powtórzę: nie damy rady. Nie przetrwamy drugiej takiej bitwy.

– Brednie! – parsknął Cortés. – Wywalczyliśmy dziś piękne zwycięstwo! Położyliśmy trupem Bóg jeden raczy wiedzieć ilu dzikusów, wyrzuciliśmy ich z tej cholernej świątyni! Nasze maszyny...

– ...ledwo dały radę wrócić, Hernán. Nie wiadomo, czy damy radę je naprawić, bo brak dobrego drewna.

– To zrobimy z trzech dwie! Będziemy tak się na dzikusów wyprawiać, aż...

– Aż co, Hernán?! – zawołał de Grado. – Aż nam sił zabraknie? Aż wszyscy będą pić własne szczyny i gotować zupę z gwoździa?! Aż nas dzicy z dymem puszczą?! Aż wszyscy zginiemy?!

Cortés odchylił się w tył na swoim siedzeniu, wyraźnie wstrząśnięty wybuchem. Zerknął tylko, czy aby przy drzwiach do jego kwatery nie stał nikt, kto mógłby słyszeć ich rozmowę. Wskazał de Gradowi miejsce przy stole.

– Siadaj, Alonso...

– Nie siądę, bo mnie strzałą w dupę trafili! – burknął de Grado. – Więc postoję, jeśli wasza miłość pozwoli.

– Niewielka rana, wylizesz się.

– Ja owszem. A tamci, co na placu dziś zostali? Nie mówiąc o tych, coście ich w tej durnej eskapadzie na świątynię stracili?

Cortés spochmurniał, odwrócił wzrok.

– Ilu? – zapytał krótko.

– Dwudziestu ludzi, jak nie więcej! – wybuchnął de Grado. – Drugie tyle mamy pociętych tak, że ledwo na nogach stoją! A ilu rannych, to nawet nie ma co liczyć... Hernán, nie damy rady!

Caudillo zabębnił nerwowo palcami po blacie.

– Co proponujesz zatem?

– Wycofać się.

– Do wewnętrznych komnat? Powiem ci, że myślałem o tym. Przegrupować się, a potem...

– Wycofać się z miasta, Hernán.

Cortésa jakby piorun strzelił.

Zbladł, zaraz potem poczerwieniał.

Wyprostował się.

– Nigdzie się stąd nie ruszymy. Prędzej dam się posiekać, niż opuszczę Tenochtitlán!

– Więc zginiemy wszyscy. Hernán, ludzie są przerażeni, na skraju wytrzymałości. Nie mamy jak się stąd wyrwać. Woda niezdatna do picia, żywności jak na lekarstwo... Co do lekarstw, to słyszałeś, czym nasi rany opatrywać zaczynają? Słyszałeś, pytam?

– Słyszałem – warknął Cortés, który nie dalej jak wczoraj zbeształ jednego z ludzi za próby odczyniania guseł nad pastą z własnej śliny, ziemi i końskiego łajna.

– Kończy nam się proch, zaraz zabraknie kul...

– Możemy je ze złota i srebra odlewać! – zaśmiał się Cortés, ale zaraz umilkł, widząc wzrok towarzysza.

– Oczywiście, i strzelać nimi z procy. Widziałeś, ilu Cholulteków zostało z początkowego kontyngentu? Zaraz nie będzie nie to, że czym, ale kim walczyć! A plotki się szerzą, ludzie gadają o kapitanie Zahredzie... Hernán, oni są przerażeni! Ja jestem przerażony!

– Nie zostawię tego miasta – powtórzył Cortés drżącym głosem. – Nie wyrzeknę się go. Alonso, ja je przyobiecałem królowi, nie rozumiesz?! To poszło w oficjalnych pismach...

– Wolisz narazić się na niezadowolenie Jego Królewskiej Wysokości czy śmierć na ołtarzu, Hernán?

– Nie zostawię tego wszystkiego, co zdobyliśmy, Alonso. Nie zostawię tego całego...

– ...złota? – dokończył de Grado.

W komnacie zapadła ciężka, napięta cisza.



– Niech pokaże nogę.

Siedzący pod murem Pałacu Białych Trzcin, ranny w udo Zepaxtli rozchylił powieki, spojrzał na stojącego nad nim człowieka.

Wciągnął ze świstem powietrze. Chciał w pierwszym odruchu zerwać się na równe nogi, ale zamiast tego przekręcił się na bok i czym prędzej uderzył czołem o ziemię.

– Huēi Tlahtoāni! – zawołał, autentycznie przerażony.

– Huēi Tlahtoāni! – wyrwało się komuś obok.

– Huēi Tlahtoāni!

Zahred przykucnął obok niego, położył mu rękę na ramieniu. Spokojnym, niemalże delikatnym ruchem podniósł drżącego człowieka do pozycji siedzącej.

– Niech pokaże nogę – powtórzył miękko.

Stojący zaraz za nim Xiuhdzi zupełnie bezceremonialnie pchnął rannego w tył, przekręcił na bok. Spojrzał na nogę. Cmoknął z niezadowoleniem, pokręcił głową.

– Bogowie nie chcą, żeby ten człowiek dożył świtu – zawyrokował *tlantonaniztli*.

– W tym wypadku Xahuatl ma wolę bogów... tam, skąd wychodzą jego ekskrementy – burknął Zahred, wyciągając w tył rękę. – Nóż, igłę, nici.

Zabrany do obozowiska w charakterze tragarza i pomagiera Rodrigo szybko znalazł co trzeba w swojej sakwie, podał kapitanowi.

– Gorący tłuszcz? – zapytał, podnosząc trzymany w ręku parujący kociołek.

– Na razie nie, nie ma po co przypalać... Xiuhtzi potrafi zrobić maść na zmniejszenie krwawienia?

– Xiuhtzi potrafi zrobić wiele. Xiuhtzi...

– Xiuhtzi robi maść na zmniejszenie krwawienia. Już. A ten człowiek dożyje do rana, do wieczora i dalej. Czy to jasne?

Znachor przewrócił tylko oczami na znak, że nie zgadza się z takim podejściem, choćby głosił je sam najwyższy król, ale pstryknął palcami, pokazując z kolei swojemu pomocnikowi, żeby ten rozłożył na ziemi zawiniątko z niezbędnymi utensyliami.

Leżący, siedzący i do niedawna jeszcze drzemiący na dziedzińcu ludzie patrzyli na to niezwykle zjawisko. Co odważniejsi podchodzili bliżej, inni nie śmieli nawet ruszyć się ze swoich miejsc.

– Huēi Tlahtoāni! – niósł się z ust do ust poszept. – Huēi Tlahtoāni zszedł pomiędzy zwykłych ludzi! Huēi Tlahtoāni opatruje nogę zwykłego wojownika z pośledniego *calpulli* Zoquiapan! Co za cuda, co to za dziwy, że Huēi Tlahtoāni jest pomiędzy nimi?!

Sam Zepaxtli pólleżał na boku, nie wiedząc zupełnie, co ma zrobić: uciekać?! Nie ruszać się?! Przecież nawet teraz pokazywał najwyższemu królowi plecy, za co niechybnie spotka go kara tak straszliwa, że Zepaxtli nawet o takiej nie słyszał! Toczył tylko przerażonym wzrokiem po innych rannych, błagając ich bez słów: ratujcie, bracia, pomóżcie!

– Xiuhtzi nie może...

– Xiuhtzi niech sobie nie może do woli, ale i tak będzie pracować w tych warunkach – uciął Zahred. – Tak, ten człowiek trzęsie się niczym liść osiki, ale przynajmniej nie krzyczy i nie

wierzga. Poza tym to Xahuatl będzie szyl jego ranę, a Xiuhtzi niech tylko przykłada swoją maść.

– Magiczne liście drzew z krainy bogów bardzo by się teraz przydały – zauważył *tlantonaniztli*.

– Podobnie jak ze cztery garści zębów smoka i pegaz, na którym poleciałbym uciąć łeb tej kastylijskiej hydrze. Szkoda, że nie mamy żadnego z powyższych. Niech przykłada!

– Co leczy się zębami smoka? – rzeczowo zainteresował się Xiuhtzi.

Zahred na chwilę przerwał zaszywanie rany, spojrział na znachora spode łba.

– Przewagę liczebną wrogów – warknął.



– Opuścić Tenochtitlán?!

Cortés bardzo, ale to bardzo postarał się uśmiechnąć.

– Moi panowie, zapewniam was: myślałem nad tą sprawą długo i dogłębnie. Sami widzicie, jaka jest sytuacja i jak wielu kłopotów zaznajemy od tego dzikiego, nienawykłego do cywilizowanej władzy motłochu.

– „Kłopotów”! – parsknął de Sandoval. – Na Boga, panie! Przecież głowę Ramírezowi na czysto z ramion zdjęli na moich oczach! A ilu innych życie dziś straciło!

– O tym właśnie mówię. Przyznam wam, panowie, rację: nie jest dobrze.

Pokiwali głowami.

No, nie było dobrze, to fakt.

Było nawet średnio, a w zasadzie to słabo.

Źle, jeśli prawdę powiedzieć.

Tragicznie.

– Żywności jak na lekarstwo – mruknął Cristóbal de Olid, który na co dzień jadł i pił za dwóch, więc teraz, na obciętych o połowę racjach, był cztery razy bardziej głodny niż inni.

– Woda słona, cuchnąca – zawtórował mu de Medellín. – Kiszki wykręca, ugh! Dwóch moich ludzi już od niej takiej biegunki dostało, że mało jelit nie wysrali.

– Sraczka to od much – z uczoną miną odezwał się Botello.

– No i te muchy wszędzie! Lęgną się na trupach, siadają na twarzy, jak się człowiek próbuje ogolić. Tylko patrzeć, jak zaraza jakaś się z tego urodzi. – De Saucedo nie krył swojego obrzydzenia.

– Ściany pałacowe ledwo stoją, pełne dziur...

– A jakże, skoro dzicy dzień i noc mury kują! Nawet dziś znów próbowali się od zaplecza włamać, aleśmy ich odepchnęli.

– Kapitanowie są zgodni. Co zatem rozkażecie, admirale? – zapytał de Grado.

Cortés spojrzał na niego pytająco, tamten przymknął oczy: tak, to był ten moment, ludzie byli gotowi.

Oczywiście, pan de Grado doskonale wiedział, co radzi i co myśli admirał, bo sam go do tego wcześniej przekonał, a potem ustalili w najdrobniejszych szczegółach, jak poprowadzą to spotkanie. Ale pozory należało zachować.

Cortés niemalże teatralnie pokręcił głową, westchnął ciężko, kładąc rękę na sercu.

– Nie sądziłem, że kiedyś do tego dojdzie. Rozmawiałem już wcześniej z wieloma z was na osobności, dobrzy panowie. Każdy wyłuszczył mi swoje wątpliwości, ja starałem się was jak tylko mogłem i potrafiłem uspokajać. Ale skoro teraz widzę, że ku temu się właśnie wszyscy skłaniacie, to z ciężkim sercem jestem gotów pójść za waszą radą: opuszczamy Tenochtitlán.

Kapitanowie popatrzyli jeden na drugiego z ukosa.

To co, wychodziło na to, że inni już wcześniej do caudilla przychodzili, utyskiwali, a nawet mówili, że pora się z tego piekła wynosić? Ha, no proszę! Ciekawe, ciekawe, że tak duża część rzekomo odważnych, wytrwałych towarzyszy jako pierwsza się złamała...

No właśnie – jako pierwsza.

O ile jeszcze tego ranka wszyscy byli pełni odwagi, werwy i gotowości do działania, to przecież każdy z nich miał swoje wątpliwości, głęboko skrywane czarne myśli i zwyczajne strachy.

A teraz, kiedy ktoś powiedział to na głos, można było się do nich przyznać.

– I dobrze. Bardzo dobrze wręcz! – dość nerwowo pokiwał głową de Alvarado, którego czerwone z niewyspania, podkrążone oczy upodabniały go bardziej do jakiegoś upiora niż żywego i oddychającego człowieka. – Ja w pełni za waszą decyzją obstaję, admirale! Uciekajmy, zanim to miasto stanie się naszym grobowcem.

– To nie tyle moja decyzja, panie, ile ogółu. Ja jeno jako wybrany przez was wszystkich dowódca wyprawy mogę waszą wypełniać.

– Ba, tylko jak się stąd teraz wydostać? – zacukał się de Barrameda. – Gdzie nie spojrzeć, mrowie tych dzikusów się kręci! Nie wiem, jak ich matki nadążają rodzić albo jakimi otworami ich na świat wydają...

– To nie pora na wasze krotchwile – osadził go Cortés.

– Tak, panie, faktycznie. Wybaczcie.

– Uwaga, niestety, słuszna – zgodził się pan Alonso de Ávila.

– Faktycznie, można by się przedostać ku grobli na Tlacopán i tamtędy przemknąć na stały ląd. Nie zajmie nam to długo, bo...

– Logistyka – odezwał się do tej pory milczący Sedeño.

De Ávila spojrział na niego, uniósł brwi.



– Nieładnie komuś się tak w słowo wcinać, panie. I jeszcze używać słów, które nie dla każdego są oczywiste.

– Logistyka, dobrzy panowie – powtórzył Sedeño. – To nie jest piekarnia, że wsadził, wyjął i są bułeczki. Grobla to dobry pomysł, bodajże jedyny, zgadzam się. Ale jak zamierzacie przenieść cały nasz dobytek?

– Jaki znowu dobytek?! – nerwowo wyrzucił z siebie de Alvarado, gotów już, teraz zaraz wstać i ruszyć w drogę, byle dalej od Tenochtitlán.

– Złoto – powiedzieli niemalże jednocześnie majordomus de Cáceres i skarbnik wyprawy de Mexía.

– Złoto – zawtórował im Cortés.

Prawda, złoto!

Do tej pory przecież tylko znosili je w jedno miejsce, więc każdemu z nich zdawało się, że jego ilość jest, no cóż, możliwa do objęcia nie tylko ramionami, ale i umysłem.

Jednak ci, którzy bywali w zarządzanym przez pana de Mexię skarbcu – a mało kto przynajmniej do niego nie zajrzał z ciekawości! – wiedzieli doskonale, że mowa była nie o uncjach i nie o funtach, a nawet nie o cetnarach.

– Trzeba będzie wszystko podzielić, rozparcelować – rzekł Sedeño. – Policzyć, ile mamy zwierząt jucznych, ilu tragarzy. To jest do zrobienia. I tu nie ma co liczyć, że się „przemkniemy”, panowie. To musi być drobiazgowo zaplanowana operacja.

– To kolejna sprawa, moi panowie, ale zgadzam się, że... – Cortés zawiesił głos, popatrzył po nich. – Priorytetowa. I zgadzam się w pełnej rozciągłości z panem Sedeñem. Skoro decyzję, jak rozumiem, roboczo już podjęliśmy, to teraz proponuję przystąpić do zaplanowania tego, jak nasz odwrót wykonać w sposób najbardziej logiczny i uporządkowany.

– I któ-któ-którę-rę-rędy? Bo j-j-j-jak n-nas o-to-to-toczą, t-t-t-to... – ledwie wydukał de León.

- Panie, spokojnie.
- J-j-j-ja j-j-jes-te-te-tem spo-ko-ko-ko-ko-k-k-ko-ko...
- On nas poprowadzi!

De León, niemal już pąsowy ze złości, obrócił się ku drzwiom i spojrzał zdumiony na stojącą w wejściu dońę Marinę.

Ona zaś odsunęła się nieco na bok, pozwalając im zobaczyć skulonego tuż za nią Clamecahuę.



– Pan kapitan śpi. Nie wpuszczę was... kimkolwiek jesteście.

Itzli popatrzył na zagradzającego mu drogę Gutierrezza. Trzymający wartę wraz z nim nie-aż-tak-bardzo-wyrywny Valverde przestąpił niepewnie z nogi na nogę w swoich nie-aż-tak-bardzo-już-nowych butach.

– To ktoś ważny chyba. Kapitan z nim czasem rozmawia.

– Nie wpuszczę go. Kapitan śpi – uparcie powtórzył Gutierrez. – Rano przyjdźcie.

– Itzli musi pilnie porozmawiać z Huēi Tlahtoāni Xahuatlem.

– No mówię właśnie: kapitan Ziachułat śpi. Śpi Ziachułat! – Gutierrez złożył dłonie razem, przytulił się do nich policzkiem.

– Śpi! Ziachułat palulu, chrrrą-psiii... Jutro.

– Itzli przynosi ważne wieści... Na bogów, Itzli nie nosi wieści, które nie byłyby ważne! Niech biały wojownik zejdzie mu z drogi.

– Ej, on coś ci chyba próbuje wytłumaczyć – bąknął Valverde, przyglądający się Itzlemu.

– Łiii tam, wytłumaczyć. W kółko to samo ćwierka, jak to oni. Jutro!

– Itzli widzi, że Xahuatl dobiera ludzi parami: jeden umie tylko mówić, bo jego głowę ściska zbyt ciasny hełm. Może zatem Itzli porozmawia z jego towarzyszem, który zdaje się potrafi myśleć. Itzli niesie pilne wieści – władca Domu Szeptów zwrócił się do Valverdego.

– No serio, jemu o coś chodzi... Może chce z kapitanem porozmawiać?

– Ta? Niemożliwe! No ty jakiś geniusz jesteś! – Gutierrez plasnął się dłonią w pancerne czoło. – Że też ja na to nie wpadłem, że on chce z kapitanem pomówić! Słuchaj, wpuszczamy go od razu!

– Serio? – ucieszył się Valverde.

– Nie.

– Słuchaj, ale on...

– Jutro przyjdźcie.

– Itzli potrzebuje...

– Pan kapitan śpi!

– Już nie – mruknął Zahred, wyłaniając się ze swojej komnaty. – Odsuńcie się, żołnierzu, to przyjaciel... Xahuatl całuje ziemię u stóp władcy Domu Szeptów, który zaznał wielu trudów. Niech odpocznie. Czy Itzli nie sypia?

– Nogi Itzlego odpoczną, gdy Tenochtitlán będzie bezpieczne. Tlaxcaltekwie zdradzili!

Zahred zmarszczył brwi, mimowolnym grymasem obnażył zęby.

Itzli pomyślał, że za nic nie chciałby stanąć naprzeciwko tego człowieka jako jego wróg. A zaraz potem przypomniał sobie, że przecież Xahuatl chyba nie był do końca człowiekiem.

Bardziej z nawyku niż potrzeby czy konieczności padł na twarz, uderzył czołem o ziemię.

– Niech Itzli wstanie! Wszyscy? Co z Xicotencatlem?!

– Nie, nie wszyscy, o Najwyższy – odparł władca Domu Szeptów, otrzepując kolana. – Wygląda jednak na to, że Clamecahua skrzyknął tych, którym nie w smak była walka po stronie Tenochtitlán.

– Bardziej zatem dezercja niż zdrada.

– Tak – przyznał z pewnym wahaniem Itzli, na szybko konotując sobie w pamięci, żeby dopytać też o znaczenie co najmniej kilku słów. – Itzli nie wie jeszcze dokładnie, ilu wojowników straciliśmy.

– Ani jednego. Ci, co przeszli do Cortésa, są już trupami, choć jeszcze o tym nie wiedzą. Wojownicy zostali z nami. Co robią biali?

– Długo nie spali, o Najwyższy, ale teraz w większości sal zgasły już ognie. Słychać jednak, że kręcą się po dziedzińcu, wołają do siebie i brzękają pancerzami.

Zahred przeciągnął dłonią po twarzy, ziewnął. Schylił się i podrapał Kefrena, który przyczłapał za swoim panem.

– Niech wojownicy zachowają czujność i wystrzegają się ataku. Biały wódz Cortés nie ceni niczyjego życia poza swoim własnym, więc gotów posłać Clamecahue przeciwko jego własnym braciom.

– Tak się stanie, o Najwyższy. Itzli przekaże rozkazy.

– Mhm. Tylko niech nie trzyma wszystkich w gotowości, bo jutro nie będzie z nich pożytku.

Itzli spojrział na Zahreda przenikliwie.

– Jutro?

– Jutro. – Najwyższy król pokiwał powoli głową. – Z samego rana, skoro świt, zanim jeszcze wstanie słońce. Niech więc Itzli dopilnuje, żeby wszyscy wodzowie byli gotowi. Niech wyśpią się jak należy. Xahuatl radzi Itzlemu to samo.

– Itzli nie lubi snu, który kradnie mu noc. Jak czuje się Xahuatl?

– Żyje. – Zahred uśmiechnął się nieszczercze, patrząc na łążące po swoim ciele muchy. – O ile Itzli pozwoli Xahuatlowi użyć tego słowa.

– Niech Xahuatl nie drwi z poczynań bogów.

– Xahuatlowi niewiele więcej już pozostało, skoro w końcu okazuje się, że jest zabawką w ich ręku. Czy Itzli wie, czym są... czym są Usta Bogini?

Władca Domu Szeptów zbladł lekko. Spuścił głowę.

– Itzli wie, mimo że nie powinien. Niech Huēi Tlahtoāni nie pyta o to Itzlego. Itzli nie chce narażać się na gniew bogów.

– Gniew bogów?! Czy Itzli nie ma czym się przejmować teraz, kiedy...!

Itzli spojrział na niego spode łba, uniósł brew i wymownie popatrzył na niemalże bez śladu wygojony bok Zahreda, po którym nadal pełzały tłuste, białe larwy.

– Itzli nie będzie ryzykować.

– Niech będzie, ma to sens. Kto zatem powie to Xahuatlowi?

– Kapłani z Wielkiej Świątyni. To jest o ile któryś z nich przeżył rzeź podczas tańców święta Toxcatl.

– Niech Itzli ich odnajdzie. To ważne.

– Itzli jest posłuszny, o Najwyższy.

– Jutro. Teraz niech idzie spać. To rozkaz.

Władca Domu Szeptów uśmiechnął się, skłonił nisko.

– Niech bogowie zachowają najwyższego króla i dadzą mu spokojny sen. Zaś jutro...

– Jutro biali najeźdźcy zginą.



Nie tylko Itzli nie mógł spać tamtej nocy.

Po przeciwnej stronie wielkiego placu, jak również przebiegającej przez niego nieformalnej linii frontu astrolog Botello uwijał się po swojej pracowni. Caudillo zadał mu bardzo konkretne pytanie: jaki moment będzie najlepszy, aby opuścić Tenochtitlán?

Dlatego też on teraz zamierzał wyruszyć w poszukiwaniu wiedzy ukrytej, aby spróbować zrozumieć, w jakim kierunku może potoczyć się koło Fortuny.

Zapisał już dokładne położenie gwiazd i księżyca.

Sprawdził ze swoimi wykresami i tablicami wszystkie koniunkcje obecne, niedawno minione i dopiero nadchodzące.

Odczytał z niemałym trudem horoskopy zarówno dla caudilla, jak i samego siebie oraz zbiorczo dla całej wyprawy.

Woskowe świece rozstawione w trójkącie wyrysowanym poświęconym przez ojca de Olmeda węglem płonęły już odpowiednio długo, a skapujący z nich wosk zaczynał tworzyć na drewnianej podstawie zarysy tego, co wydarzyć się dopiero miało. W alembiku dochodził już dostosowany do tego roku, miesiąca i dnia wywar, który miał umożliwić panu Botellowi nawiązanie właściwego kontaktu ze sferą astralną.

Wróżbita rozejrzał się po pracowni, zastanawiając się, co jeszcze mógłby zrobić.

Pozostało tylko wywołać odpowiednie wizje, które pozwolą zajrzeć mu poza zasłonę rzeczywistości. W sumie to nawet lubił je wywoływać, a kiedy nie robił tego przez dłuższy czas, stawał się drażliwy i nadmiernie pobudzony.

Umiał to robić, jeszcze zanim przybyli tutaj, do Nowego Świata: znał rosnące w lasach grzyby, rośliny i owoce kilku pnączy, które odpowiednio spreparowane i spożyte poszerzały granice postrzegania.

Tutaj, po wylądowaniu na wybrzeżu Indii Zachodnich, bardzo szybko odnalazł szereg innych substancji, które nie tylko dobrze zastępowały dotychczas używane środki, ale wręcz zdawały się od nich lepsze.

I teraz miał zamiar wypróbować najsilniejszą miksturę, jaką dotąd przygotował.

Aż zadrżał z niecierpliwości, patrząc na bulgoczący w szklanym alembiku gęsty, ciemnobrązowy dekokt. Tak, to miało być coś... To na pewno będzie coś.

Zdjął naczynie z ognia, ostrożnie wstawił do miseczki pełnej drobnego, wilgotnego piasku i pozwolił mu się schłodzić. Potem nabrał długą srebrną łyżeczką odrobinę gęstniejącej mazi i delikatnie, żeby nie przepalić olejków eterycznych substancji, zbliżył ją do płomienia świecy.

Kiedy nad żywicą podniosła się delikatna smużka dymu, Botello podsunął ją pod sam nos i chciwie wciągnął głęboko w płuca.

Przymknął oczy i opadł w tył, prosto na przygotowane już posłanie, czekając, aż świat zawiruje, a on sam zacznie spadać w bezdenną studnię onirycznych wizji.

Nic takiego jednak się nie stało.

Astrolog otworzył oczy, zamrugał. Wyciągnął przed siebie dłoń, poruszał rozczapierzonymi palcami. Usiadł. Dotknął koca, podłogi, trzcinowej maty.

Wszystko było zupełnie normalne.

– Szlag... – zawarczał pod nosem.

Wstał, ruszył ku alembikowi. A więc temperatura była zbyt wysoka, przez co Merkury nie połączył się właściwie

z Saturnem. Należało dodać nieco więcej palonej siarki i sproszkowanych muszli różowego ślimaka, a potem wszystko przelać czterema kroplami wiotriolu. No dobrze, zatem jeszcze raz. Szkoda tylko tylu składników...

Spojrzał ku otwartemu na oścież oknu i wrzasnął z przerażenia, widząc, jak wprost ku jego twarzy leci ogromna czarno-brązowa ćma o skrzydłach niczym kamienne noże.



Cortés przebudził się gwałtownie, zlany potem.

– Panie! – usłyszał szept de Corii, potrząsającego go za ramię. – Panie, wybaczcie, że was budzę...

– Czego? – zamruczał caudillo, siadając na posłaniu.

Nie lubił, kiedy de Coria wyrywał go ze snu. Z jakiegoś powodu nigdy nie przynosił dobrych wieści.

– Astrolog, pan Botello... Jest pod drzwiami, panie. Twierdzi, że musi się z wami natychmiast zobaczyć.

Cortés spojrzał na śpiącą obok niego kobietę.

De Coria odruchowo podążył wzrokiem za nim, speszył się i czym prędzej odwrócił głowę. Nie dlatego, że nie widział jeszcze caudilla z doñą Mariną; bynajmniej. Widział o wiele więcej doñi Mariny, niż pozwalała na to przyzwoitość i zwykłe fizyczne bezpieczeństwo.

Natomiast leżąca obok Cortésa kobieta, jakkolwiek słabo widoczna w półmroku sypialni, raczej na pewno nią nie była.

– Czy to naprawdę nie może poczekać? – warknął Cortés, wciągając pludry i koszulę. – No już, już idę. Która godzina?

– Pierwsze kury właśnie piałły, panie.

– Pieprzona północ... Prowadź, prowadź.



Kiedy wyszli do komnaty, caudillo zmrużył oczy, zasłonił je od rażącego światła kaganka... I niemalże odruchowo sięgnął do boku, przy którym nie było na szczęście szpady, kiedy ktoś rzucił się na niego z boku.

– Panie, panie! Wielkie nieszczęście idzie! Musimy uciekać, teraz, już... W tej chwili! – wybelkotał astrolog, wczepiając się w koszulę Cortésa i ciągnąc go w dół. – Widziałem straszne rzeczy, panie! Uciekajmy!

– Co? Co jest, do diaska?!

– Puście go! – De Coria złapał Botella za ramiona, oderwał od caudilla i odciągnął w tył. – Wybaczcie, panie! On tak cały czas, a ja wiedziałem, że...

Hernán spojrział na Botella wielkimi oczami.

Zdarzało mu się widywać swojego nadwornego astrologa w różnych, naprawdę RÓŻNYCH stanach: zaaferowanego nauką; w dzikim uniesieniu i z głową pośród chmur; bujającego wśród gwiazdozbiorów i sunącego wraz z planetami po kryształowych obręczach; nie wiedzieć czemu załamane i zamknięte w sobie; albo znów nienaturalnie wręcz radosnego, zdolnego pracować dzień i noc bez przerwy.

Ale w tej chwili Botello wyglądał jak wrak człowieka.

Blady, z przekrwionymi oczami i włosami w nieładzie, z potarganą brodą... Szata astrologa pokryta była szaro-brązowymi plamami i zaciekami, w których bez trudu dało się dostrzec i wywąchać dalekie echa wieczornego posiłku.

– Nieszczęście, panie! Wielkie nieszczęście! Widziałem... O Boże, o Boże na niebiesiach, co ja widziałem! – zaszlochał Botello, wysuwając się z rąk de Corii i kuląc na posadzce.

Cortés złapał leżący na ławie koc, przykrył wróżbitę. Przykucnął przy nim.

– Wina! – polecił de Corii, a sam odgarnął włosy z twarzy nieszczęśnika, położył mu rękę na ramieniu. – Panie, już

dobrze. To ja, Hernán. Widzicie mnie?

– T-tak – chlipnął astrolog.

– Sen mara, Bóg wiara. Wezwać ojca de Olmeda? Chcecie się pomodlić, panie? – zapytał rzeczowo Cortés, który jakkolwiek bardzo szanował i cenił rady pana Botella, to nadal w głębi ducha uważał, że jego rzemiosło miało w sobie coś w najlepszym razie bezbożnego.

– Nie... Nie. – Tamten potrząsnął głową, drżącymi rękoma odbierając podany przez de Corię kubek. Upił łyk, zakrztusił się, rozkasłał. Spojrzał na caudilla nieco bardziej przytomnym wzrokiem. – Boże, co ja widziałem...

– Mówcie!

– Panie, to... Ja widziałem... Niech mi Bóg wybaczy, ale ja ich widziałem! – jęknął Botello. – Widziałem ich, jak żywych!

– Kogo?

– Bogów ichnich!

De Coria przeżegnał się, a Cortés spojrział na wróżbitę badawczo.

– Panie Botello, co wy najlepszego...

– Widziałem ich, panie! Widziałem, jak wielki wąż ubrany w pióra spływa z niebios, przybywając wraz ze wschodzącym słońcem! I widziałem, jak na spotkanie mu podnosi się z czarnego niczym smoła kamienia chmura dymu, w której odbija się miasto... Widziałem to, panie, byłem tam!

– *En el nombre del Padre y del Hijo...* – Teraz przeżegnał się nawet Cortés.

– Widziałem! Ja naprawdę widziałem... I tam był ten ogromny pajak! Jak wykuty z kamienia, wyłaniał się z gór, a gdziekolwiek stanęły jego odnóża, świat zaczynał płonąć! To koniec, panie, to koniec świata! Zginiemy wszyscy!

Cortés zerknął spod oka na de Corię, przerażonego całą sceną nie na żarty, po czym zamachnął się i po prostu uderzył

Botella w twarz. Kiedy głowa tamtego odskoczyła w bok, poprawił z drugiej strony.

– Uspokójcie się! – warknął.

Astrolog zamrugał, wciągnął ze świstem powietrze. Spojrzał na niego już nieco bardziej przytomnie.

– Ale ja naprawdę...

– Dobrze, ale to nie powód, żeby urządzić tutaj po nocy teatr. Co mówią gwiazdy? Coście wyrozumieli z waszych wizji? Kiedy będzie najlepszy moment, żeby opuścić to przekłete, nawiedzone miasto?

Botello nabrał głęboko tchu.

– Już! – wyrzucił z siebie.



## Rozdział 5

**D**awaj, ładuj to! Szybko!

– Konie! Podstawiajcie kolejne konie, bo tu zaraz się juki urwą.

– Więcej worków! Worki dajcie i wsypujcie w nie drobnicę! Gabaryty na końcu!

– Szybciej! I cicho tam, nie robić hałasu!

Alonso de Escobar cofnął się jeszcze o krok, potem kolejny. Wsunął się w ciemną przestrzeń wejścia, a potem, kiedy miał już pewność, że zszedł z widoku uwijającym się po podwórku towarzyszom, ruszył szybkim krokiem.

Przeszedł przez korytarz, w którym wciąż odbijały się echem rozgorączkowane pokrzykiwania.

Minął salę jadalną, gdzie służący garściami ładowali do skrzyń złote paciorki, wisiory i pierścienie.

Przelotnie zerknął do sypialni drugiej kompanii, w której dwaj ludzie próbowali zawinąć w słomianą matę jak największą ilość ozdób, porozkładanych na bogato haftowanych opończach.

Obejrzał się jeszcze, a potem zbiegł po schodach prowadzących na dół.

Dosłownie chwilę temu widział, jak pan de Mexía wychodził stąd w asyście swoich pomagierów. Przeszli przez dziedziniec i udali się do Cortésa, zapewne zdając caudillovi raport z załadunku.

A jako że komnaty tego ostatniego były na górze, to minie dobrych parę minut, nim stamtąd wróca.

Minął ciemną piwniczkę.

Przeszedł obok składziku na proch.

Skręcił w korytarzyk, prowadzący do skarbcza.

Jeszcze kilka kroków i stanął przed drzwiami, oświetlanymi przez pojedyncze łuczywo, zatknięte w szczelinę pomiędzy kamieniami.

De Escobar oblizwał nerwowo usta, zacisnął i rozluźnił rękę. Szansa na to, że tamci nie założyli z powrotem kłódki, była mała. Minimalna wręcz.

Natomiast...

– Grzech skorzystać, ale jeszcze gorszy nie spróbować – mruknął do siebie, po czym pchnął drzwi, te zaś otworzyły się z ledwie dosłyszalnym skrzypnięciem.

De Escobar sapnął, z niedowierzaniem potrząsnął głową, zrobił krok w przód – i wpadł wprost na wychodzącego ze skarbcza pana Juana Díaza!

– Panie!

– Panie! A co wy tu robicie?! – od razu naskoczył na niego tamten.

– Ja, bo, eee... Ja pana de Mexii szukam! – błyskawicznie skłamał de Escobar, który już zdążył się z nerwów spocić. – A wy po co tu przyszliście?

– Ja?! A co wam do tego?! – Díaz wyraźnie się spłoszył. – Ja mogę chodzić, gdzie mi się żywnie podoba! To wolny kraj, ja wolnym człowiekiem jestem i nikt mi nie będzie...

– Złoto przyszliście szabrować! – zapiał de Escobar, jak każdy złoczyńca spiesząc się, by innym przypisać własne niecne zamiary.

– Ja?! Nigdy w życiu! Sami żeście tutaj przyszli, żeby pod nieobecność skarbnika coś niecoś dla siebie uszczknąć!

– Jak śmiecie mnie tak pomawiać?!

– A jak wam nie wstyd?!

Po tych słowach zapadła cisza. Niezręczna, mocno skrepowana cisza.

Pan de Escobar znacząco odchrząknął, pokazał palcem ku torbie pana Juana Díaza:

– Tego, no więc... Coś wam się wysypuje, panie.

– Co? A, tak. Dziękuję wam. – Juan Díaz uśmiechnął się, upychając do sakwy wystającą z niej ciężką szczerozłotą kolie. – Dziękuję serdecznie. To co, dacie mi wyjść... Prawda?

– A wy dacie mi... wejść? – upewnił się de Escobar.

– Rozumie się. I jakby... Będę zobowiązany.

– I wzajemnie.

– No to z Panem Bogiem. Powodzenia dziś.

– I na wieki wieków, nawzajem.

Minęli się niezgrabnie w drzwiach. Wymienili porozumiewawcze kiwnięcia, zawstydzone uśmiechy.

Juan Díaz pospieszył na górę, pobrzękując ciężką mu, objającą się o udo sakwą.

Tymczasem de Escobar zamknął za sobą drzwi, ze świstem wypuścił powietrze. Otarł pot z czoła i popatrzył na wciąż

zalegające w podziemnej celi kosztowności.

– Tyle dobra... Szkoda, żeby miało się zmarnować – burknął, upychając do torby co popadnie.



Caudillo Hernán Cortés wychylił się przez barierkę tarasu, próbując objąć wzrokiem panujący na dziedzińcu chaos.

– Jeszcze trochę, panie! – Pan de Tapia zamachał do niego ręką, sprawdzając troki, którymi pospinano istną piramidę skrzyń i pudeł załadowanych na grzbiet uginającej się pod ciężarem chabety. – Jeszcze trochę i będzie większa...

– Większa co?!

– Większa połowa! – pisnął de Tapia, strzelając oczami gdzieś w bok.

Cortés sapnął, wychylił się nieco dalej i dopiero wtedy zobaczył wciąż piętrzący się pod ścianą stos kosztowności. Istną hałdę! Część tego leżała już popakowana w kosze i pudła, ale większość po prostu poniewierała się luzem na ziemi, wdeptywana w proch przez podeszwy uwijających się ludzi.

– A gdzie ci, no... – Cortés pstryknął palcami.

– Cempoalańczycy – machinalnie podpowiedział stojący obok niego de Grado.

– Srakalańczycy! Ile razy trzeba ci powtarzać, Alonso, że tamci już dawno do siebie zawrócili!? Co ty, o niczym innym nie potrafisz myśleć jak o tej Cempoali zsranej?! – wściekł się caudillo. – Tlaxcaltekwie gdzie są?! Oni przecież nieść to mogą...

– Sam ich posłałeś, Hernán, żeby gruzem wyrwy w groblach łatali – burknął wyraźnie urażony de Grado.

– A, faktycznie... Hm, hm. Wybacz.

De Grado westchnął, pokiwał głową.

– Moja wina, bo prędeż powiedziałem, niż pomyślałem.

– Oj, bo nie trzeba było mi dogadywać – zachnął się Cortés.

– Nie, to ja nie powinienem był się wyrywać. Cholerna noc, byle już mieć to za sobą... Panie, no co wy? Przecież jej się zaraz grzbiet złamie!

Velázquez de León, prowadzący swoją kłacz, też obładowaną złotem niczym najteższy muł, rozejrzał się, dopiero po chwili zadarł głowę i spojrział ku balkonowi.

– D-d-da ra-ra-radę, pa-panie! – Machnął ręką. – Mu-mu-mu-musi da-dać!

– „Musi” – mruknął de Grado. – Hernán, nie zdołamy wszystkiego zabrać. Nie ma mowy.

– Nie zostawię tu tego – Cortés wczepił się palcami w barierkę.

– Albo złoto, albo nasze życia. Dobrze będzie, jak chociaż te drugie uniesiemy w całości. Ruszajmy, Hernán, zanim będzie za późno, bo nocy już niewiele zostało.

Cortés przez chwilę patrzył, jak ludzie ładują działo na pospiesznie skleconą lawetę, ale potem podniósł głowę, spojrział w zasnułe chmurami niebo. Pierwsza kropelka nadciągającego deszczu delikatnie pacnęła o rondo jego hełmu, spłynęła po pancernym ochroniaczu policzka.

– Ruszajmy.



Tenochtitlán spało, ukołysane szumem deszczu i otulone podnoszącą się znad jeziora mgłą.



Pojedyncze ogniki na szczytach nielicznych świątyń mrugały spoza szarawego całunu ciemności, pojawiając się i zapadając w nicość, niczym błędne ognie na odległych zboczach Dymiącej Góry, wypuszczane ponoć wtedy, gdy zaklęty pod nią wojownik Popocatépetl chciał pokazać pogrzebanej pod sąsiednią górą, Białą Damą, swojej ukochanej, księżniczce Iztaccihuatl, że nawet po śmierci pozostawał jej wierny.

Tych dwoje żyło w dawnych, dawnych czasach – nim wielki imperator Nezahualcoyotl złożył swoje wiersze i objął tron Imperium Słońca, wcześniej nawet, niż Mexikowie przybyli do Tenochtitlán, zapewne jeszcze przed tym, jak wzniesiono porośnięte teraz dżunglą, gigantyczne i na poły zapomniane ruiny Teotihuacán, do którego pielgrzymowali tylko kapłani i władcy... Tak, to były czasy herosów, bogów i żywych legend.

Iztaccihuatl była księżniczką wysokiego rodu, jedyną córką swojego ojca, ówczesnego Huēi Tlahtoāni. Ojciec kochał Iztaccihuatl ponad życie, podobnie jak kochała ją jej matka, mądra i roztropna Pierwsza Żona Swego Męża. Kochali ją, bo całe życie nie mogli mieć dzieci, aż w końcu narodziła się Iztaccihuatl – „Biała Dziewczyna”, jak ją nazwali przez jej cudownie jasną skórę, niczym mleko zmieszane z krwią.

Otoczyli ją opieką, nauczyli wszystkiego, co umieli, i dali, co mogli najlepsze.

Ona zaś wyrosła piękna i roztropna jak matka, dumna i mądra niczym ojciec.

Imperator i jego żona całe swoje życie szykowali dziewczynę do tego, że pewnego dnia poślubi wybranego przez nich młodzieńca, syna odwiecznych rywali i wrogów z sąsiedniego miasta, w ten sposób kończąc ciągnącą się przez pokolenia krwawą waśń.

Jednak serce nie służy, a człowiek nie ma kontroli nad tym, na co spojrzą jego oczy.

Los chciał, że Iztaccihuatl zakochała się w równie młodym co ona, pięknym i wielce walecznym Popoce, dowodzącym wojownikami Huēi Tlahtoāni.

Imperator dowiedział się o tej miłości i zasmucił wielce. Nie chciał skazywać swojego dobrego, wiernego Popoki na śmierć; nie mógł jednak pozwolić, aby jego córka oddała swoją rękę zwykłemu żołnierzowi z prostego *calpulli*, którego ojciec nie miał nawet dość ziaren *xocolatl*, aby kupić sobie zielony pióropusz.

Dlatego też gdy rozpoczął się kolejny sezon wojen, żona Huēi Tlahtoāni poradziła swojemu mężowi: wyślij młodego Popokę na wojnę. Niech walczy tam, a w tym czasie Iztaccihuatl poślubi kogo innego.

Rzekł na to Huēi Tlahtoāni: córka żony najwyższego króla jest równie uparta jak jej matka. Nie poślubi nikogo poza tym, kogo wybrało jej serce.

Na co odpowiedziała żona Huēi Tlahtoāni: nawet ona nie zechce poślubić człowieka martwego.

Zmartwił się wielce Huēi Tlahtoāni, że jego żona pragnie śmierci Popoki.

Żona Huēi Tlahtoāni powiedziała jednak: Popoka nie zginie, oby żył jak najdłużej i zabijał wrogów dla chwały Imperium Słońca. Jednak posłaniec przyniesie taką wieść do miasta, mówiąc: Popoka zginął. Wtedy księżniczka Iztaccihuatl uzna, że jej serce jest wolne i może poślubić tego, kogo wybrali jej rodzice.

Uradował się wielce Huēi Tlahtoāni. Tak właśnie uczynili: gdy zaczęła się wojna, posłali młodego Popokę do walki w pierwszym szeregu.

Posłaniec zaś przybył do miasta, padł na twarz przed księżniczką Iztaccihuatl i zawołał: biada, biada, bo waleczny Popoka zginął w boju, jego krew wylała się na ziemię, jego Czerwona Gwiazda przestała bić!

Księżniczka Iztaccihuatl zasmuciła się wielce, jej oczy spłynęły łzami. Oddaliła się do swych komnat, gdzie nie chciała widzieć się z nikim; odmawiała nawet rozmów z matką i ojcem, gdy ci do niej przychodzili.

Nie jadła i nie piła nic przez sześć dni i nocy, aż wreszcie na siódmy dzień o świcie jej serce pękło z żalu i umarła.

Stało się tak, że tego samego dnia do miasta wracała zwycięska w wojnie armia, na czele której maszerował nikt inny jak waleczny Popoka, prowadzący za włosy wielu jeńców na ofiarę dla bogów i niosący bogate łupy, które chciał rzucić do stóp swemu Huēi Tlahtoāni, prosząc o rękę jego córki.

Kiedy jednak zobaczył, że na głównym placu miasta ustawiono wielki stos pogrzebowy, na nim zaś leży ciało jego ukochanej Iztaccihuatl, zawołał wielkim głosem pełnym rozpacz.

Podbiegł do kapłana, który już miał podpalić stos, i wyrwał mu z ręki pochodnię, krzyżąc, że nikt nie odbierze mu jego ukochanej! Ani ogień, ani ludzie, ani czas nie zabiją jego miłości!

Kapłan chciał zabrać mu pochodnię, ale Popoka dobył miecza i zabił kapłana.

Rzucili się na niego wojownicy, ale ich też zabił. Potem nadbiegli akolici, ale Popoka zabijał każdego, kto tylko próbował zbliżyć się do ciała jego ukochanej.

W końcu stanął naprzeciwko niego z bronią sam ojciec księżniczki Iztaccihuatl, Huēi Tlahtoāni równie walecznego, co nieszczęśliwego Popoki.

I właśnie wtedy bogowie, którzy już wcześniej usłyszeli wołanie Popoki i ujrzeni jego rozpacz, zdecydowali, że nadeszła pora, aby wmieszać się w sprawy ludzi.

Dlatego właśnie nad miasto nadeszły chmury, powiał zimny wiatr i z nieba zaczął sypać śnieg.

Śnieg pokrył ciało księżniczki Iztaccihuatl, skrył przed oczami ludzi walecznego Popokę z mieczem i pochodnią.

Kiedy zaś przestało padać, okazało się, że bogowie zamienili niedoszłych kochanków w dwie góry: w białą, ośnieżoną Iztaccihuatl, którą dlatego zwą Białą Damą, oraz w ogromną, groźną i wyniosłą Popocatepetl.

Dlatego też nadal, gdy ktoś podejdzie zbyt blisko, Dymiąca Góra groźnie ryczy i wyrzuca z siebie kłęby popiołu, aby pokazać wszystkim, że ogień miłości nigdy nie zgaśnie.

Jednak o wszystkim tym nie mieli pojęcia Kastylijczycy, idący teraz przez nocne Tenochtitlán. A gdyby nawet je mieli, no cóż... zapewne by ich to nie obeszło.

Mieli o wiele ważniejsze problemy na głowie.

– Ciszej! – syknął na swoich ludzi de Ávila. – Nie brzękać tam, do cholery...

Któryś z ledwie widocznych w półmroku żołnierzy zamruczał coś, poprawiając wetknięte pod napierśnik sztaby przetopionego złota.

Szli długą, wąską, nadmiernie rozciągniętą kolumną. Każdy na dobrą sprawę orientował się tylko na plecy towarzysza przed nim, bo kluczyli po jakichś uliczkach i zaułkach, starając się unikać większych placów, na których nadal trzymali straż Indianie.

Konie szły objuczone ponad miarę, z pyskami trzymanymi przez prowadzących je ludzi, aby nie rżały, i kopytami obwiązanymi szmatami, żeby tylko nie robić hałasu.

Każdy z nich dźwigał na grzbiecie tyle wszystkiego, że ledwie przestawiał nogi.

A droga dłużyła się niemiłosiernie!

– Marina, zapytaj tego dzikusa, czy daleko jeszcze? – szepnął Cortés do idącej obok Malintzin.

– Wielki wódz Cortés pyta: czy Clamecahua na pewno wie, którądy idzie? Czy nie zgubił drogi? Jak daleko jeszcze? – nerwowo powtórzyła cokolwiek wzbogacone pytanie.

Clamecahua spojrział na nią, pozwalając sobie na grymas niechęci i znużenia: słyszał to już przecież któryś kolejny raz!

Kiedy zjawił się w obozowisku białych, przychodził do nich jak do niepokonanych zwycięzców. Tych, którzy siedzieli w pałacu Axayacatla, grając na nosie całej potędze Imperium Słońca i nie robiąc sobie nic z ciągłych ataków nawet najlepszych wojowników. Przechodząc na ich stronę, stawał tam, gdzie byli zwycięzcy! Niepokonani, bez mała nieśmiertelni bogowie wojny!

Teraz zaś, spędziwszy wśród białych nawet tak krótki czas, Clamecahua zaczynał mieć wątpliwości co do tego, czy aby postąpił słusznie.

Widziani od środka, od kuchni, biali okazywali się słabi. Niezorganizowani, nieostrożni. Skoncentrowani na błahostkach. Niepatrzący na to, co ważne. Zamiast tego dosłownie opętani chęcią posiadania złota!

I w tej chwili Clamecahua, prowadzący ich przez nocne Tenochtitlán ku grobli na Tlacopán, zupełnie poważnie zastanawiał się: jakie miałyby szanse i jak po wszystkim wytłumaczyłby się z tego, gdzie był i co robił, gdyby teraz wydał swoim wojownikom rozkaz do ataku?

Jednak jedno Clamecahue zarazem pocieszało i martwiło: fakt, że biały wódz Cortés od razu wysłał jego ludzi do konkretnych zadań, a pozostających w pobliżu wodza podzielił

na mniejsze grupki, porozdzielane białymi wojownikami w ich lśniących pancerzach.

Martwiło go to, bo radykalnie zmniejszało jego szanse na skuteczne wykonanie podwójnej wolty – oraz jego własne na przeżycie tejże.

Pocieszało, bo znaczyło to ni mniej, ni więcej, że biały wódz Cortés nie był jednak skończonym głupcem.

Dlatego skrzywił się tylko, doskonale wiedząc, że i tak jest ciemno, odpowiedział zaś zgoła innym tonem:

– Clamecahua wie, którędy prowadzić białego wodza. Clamecahua pomógł mu już przejść przez Tepantzinco, pokonać dwa mosty. Już niedaleko do grobli.

– Mówi, że już niedaleko, panie.

– Oby... I oby de Sandoval poradził sobie z układaniem pozostałych przepraw.

– Poradzi sobie, panie. I raz jeszcze: gratuluję wam pomysłu z tym przenośnym mostem. – Malintzin położyła Hernánowi dłoń na ramieniu.

– Hm, hm. – Caudillo obejrzał się przez ramię, jak gdyby mając nadzieję zobaczyć coś więcej niż tylko ciemność. – Mam nadzieję, że straż tylna nie zapomni go zabrać.

– Kazałem kapitanowi Franciscowi, żeby został przy nim i pilnował, a potem wziął ze sobą – odezwał się idący gdzieś obok de Grado.

– Jednak?! Alonso, przecież mówiłem ci, żebyś nie...

– A jednak tak zrobiłem, Hernán. Wybacz, ale to nie pora na zabawę w Cezara i ręczne dowodzenie każdym i wszystkimi.

– Cezara! – prychnął Cortés. – Pompejusza raczej! Uciekamy z miasta, unosząc ze sobą skarbiec.

– Jak dla mnie, bez znaczenia. Możesz być i Hannibalem, i Brutusem, i nawet swoim ukochanym Aleksandrem. Wybierz

sobie jaką tylko chcesz postać z historii czy legendy, bylebyśmy żywi z tego wyszli.

Cortés już, już miał coś odpowiedzieć, ale przysunęła się do niego doña Marina i zaszeptała:

– Nie wzoruj się na nikim, Hernán. Nie myśl o nikim innym. Dasz radę, wyprowadzisz ich stąd. Wrócimy tutaj... Wrócimy. Daję ci słowo. I ty obiecaj mi to samo.

– Obiecuję – mruknął.

Wyszli właśnie pomiędzy ostatnich domów zwartych zabudowań na otwartą przestrzeń, prowadzącą wprost ku grobli.

Ludzie odetchnęli z ulgą: już blisko! Jak wydostaliśmy się z tego labiryntu, to teraz tylko na drugą stronę i będzie dobrze! Tlaxcaltekwie zasypali dziury w przejściu, mamy nasze pomosty... Damy radę!

– Przysięgnij, Hernán.

Cortés potrząsnął głową, spojrzał na ledwie widoczną w półmroku twarz doñi Mariny. Nie wiedzieć czemu, ale wydało mu się, że widzi w jej oczach własne odbicie, niczym w ciemnym, wypolerowanym na lustro kamiennym zwierciadle.

– Co?

– Przysięgnij, że tu wrócisz. Przysięgnij na ogień i krew. Teraz, póki ofiara się nie zaczęła.

– Ofiara?

– Przysięgnij! – syknęła, wbijając mu paznokcie w ramię przez materiał koszuli.

– Przysięgam, że jeszcze tu...

– Aaa! – rozległo się nagle wysokie, przenikliwe wołanie, które poniosło się nad wodą.

Ludzie rozejrzeli się spłoszeni. Ktoś zatrzymał się gwałtownie, sięgając po broń, idący za nim wpadł na jego plecy.

Stłumione sapnięcia, zduszone okrzyki i lekki hałas poniosły się po kolumnie.

– Co, do diaska?! – zawarczał de Alvarado, okręcając się na swoim rumaku i wypatrując oczy w ciemność.

– Panie kapitanie, tam! – Ktoś pokazał palcem.

Może rzut kamieniem od nich na brzegu jeziora coś się poruszyło – a potem spomiędzy zarośli podniosła się postać. Kobieta, raczej już stara niż młoda, upuściła do połowy napełniony worek do noszenia wody, który chlupnął i bryznął na wszystkie strony, złapała się za głowę.

– Aaa! Biali uciekają, aaa! Mexikowie, prędko, budźcie się! Wrogowie pierzchają pod osłoną nocy! – zawołała w *nahuatl*.

– Niech ktoś uciszy tę starą prukwę! – krzyknął na swoich de Alvarado.

Kiedy nikt nie zareagował, schylił się, wyrwał najbliższemu z ręki arkebuz.

– Nie! – chciał powstrzymać go de Grado.

Nie zdążył.

Błysnęło, huk poniósł się po jeziorze, rozchodząc się głuchym echem ponad tonią, odbił się od dalekich gór i wrócił zwielokrotnionym echem.

Gdy dym się rozwiął, po kobiecie na brzegu nie było ani śladu.

– Piekło i szatani! Co wam do głowy strzeliło?! – W ciszy rozległ się drżący z wściekłości głos Cortésa.

– Panie, ja tylko chciałem...

I w tym momencie gdzieś w mieście zabrzmiał jęklawie gong.

Zaraz po nim odezwała się wysokim, przenikliwym tonem piszczałka. Jedna, druga, trzecia... Ktoś zawołał głośno, inny odpowiedział mu, trzeci podchwycił zew.



A potem całe ogromne Tenochtitlán, jak gdyby tylko czekając na pierwszy sygnał, eksplodowało istną kakofonią wrzawy.



– Mexikowie, wodzowie, wojownicy! Nasz wróg ucieka z miasta! Ruszajcie ku grobli na Tlacopán! Biegnijcie do łodzi, wiosłujcie czym prędzej! Nie dajcie im uciec... Śmierć białym najeźdźcom!

Głos obserwatora wołającego ze szczytu świątyni poniósł się daleko ponad miastem.

Po chwili za jego plecami buchnęły płomienie, gdy przygotowany specjalnie na taką potrzebę, schowany przed deszczem pod warstwami słomianych mat chrust zajął się w okamgnieniu.

Dwaj pomocnicy czym prędzej zasłonili ognisko z trzech stron, tak żeby blask padał tylko w jedną stronę: tam, gdzie dostrzeżono uciekających białych.

– Śmierć! Śmierć białym najeźdźcom! – krzyknął jeszcze obserwator, a potem chwycił leżącą na podorędziu tarczę, włócznię i zaczął czym prędzej zbiegać ze świątynnych schodów, aby dołączyć do nadciągającego starcia. – Z nami słońce!

– Śmierć białym! – zawołał wyplatacz wiklinowych koszy, wyskakując w samej przepasce biodrowej przed swój dom.

– Z nami słońce! – krzyknął przebiegający obok niego dziewięcioletni chłopak sąsiadów, który przez ubiegłe dwa tygodnie stracił w bojach oboje rodziców i starszego brata.

– Śmierć białym! Biali uciekają na Tlacopán! – Składając dłonie przy ustach, ile tchu w piersiach wołała dziewczyna, która zdążyła wybiec na dach domu. – Wojownicy naszego *calpulli*, budźcie się, wstawajcie! Wrogowie chcą się nam wysliznąć!

– Z nami słońce! Nie upadnie Tenochtitlán! – niosły się wołania.



Zahred przebudził się, gdy tylko echo pierwszego krzyku i wystrzału zlanych w jedno rozległo się od strony grobli.

– Wstawać! – krzyknął, zrywając się z łóżka. – Alarm! Alarm bojowy! Wstawać wszyscy, do broni!

Niczym burza przeleciał przez przedsionek, wpadł do koszar, gdzie spali jego Kastylijczycy. Skoczył ku pierwszym z brzegu, bezceremonialnie szarpiąc śpiących na posłaniach ludzi za ramiona.

– Matko słodka! – krzyknął przerażony Enriquez. – Atakują nas!

– Wstawać, lenie, obiboki!

– Wstawać! – podchwycił Rodrigo, który nie wiedział co prawda, co się dzieje, ale błyskawicznie rozpoznał, że coś się święci.

– Aaa! Wstawać! Pobudka, alarm!

– Aaa, pomocy! Pomooooocyyy, panie kapitanieeee!

– Kefren, zostaw! – krzyknął Zahred, chwycił za kark i odciągnął psa, który wpadł do pomieszczenia i opacznie zrozumiawszy intencję pana, rzucił się na Gutierrez. – Zostaw!

– Aaa! Ooo, aaa, dziękuję, panie kapitanie! – zaskamlał Gutierrez, na własne szczęście wiecznie zmarznięty i przez to sypiający pod dwoma grubymi kocami, które teraz uratowały mu może nie życie, ale zdrowie na pewno.

– Pobudka! – raz jeszcze rzucił Zahred, biegnąc już dalej i w drodze naciągając na siebie opończę.

Nim dotarł na dziedziniec, cały Pałac Białych Trzcin huczał już okrzykami, dudnił rwanymi werblami bębnow i rozbrzmiewał wysokim, świdrującym w uszach trelem piszczałek, nawołujących wojowników poszczególnych plemion, dzielnic i oddziałów na miejsca zbiórki.

– O Najwyższy! Wojownicy Orła są już... – Do Zahreda doskoczył Huexoch, ale ten tylko wskazał kierunek ręką.

– Grobla na Tlacopán! Niech Huexoch uderza jako pierwszy, niech jego miecz spływa krwią!

Dowódca rozciągnął usta w szerokim, drapieźnym uśmiechu.

– Z nami słońce! Wojownicy, za waszym dowódcą! – krzyknął, ruszając ku bramie.

Zahred omiół wzrokiem zbierających się na dziedzińcu ludzi.

Przez najkrótszą chwilę był bliski ruszenia tam samopas. Po prostu pobiec, zewrzeć się z wrogiem... Zatracić się w rzemiośle zabijania, pozwolić sobie być sobą.

Ale wiedział, że teraz zależało od niego o wiele, wiele więcej niż tylko własne życie.

– Stawiać sztandary! Gdzie jest głos dowodzącego?!

– Najwyższy! – „Ten, który dowodząc, pilnuje odległości głosu” podbiegł do niego.

– Wołacze na mury i przy bramach! Pierwszy rozkaz: niech wodzowie zbiorą wszystkich swoich ludzi! Niech ustawią się

każdy w osobnym miejscu wielkiego placu i ruszają, dopiero kiedy tak pokaże ich sztandar.

– Tak, o Najwyższy!

– Valdés!

– Jestem tu, panie kapitanie! To jest Najwyższy... e... – zająknął się chorąży.

– Sztandar wysoko, wyglądać mi tam dumnie! Będziemy szli na samym czele ataku, więc prezentujcie się godnie!

– O matko – sapnął Valdés.

Przyozdobiona pękiem ludzkich włosów pika z poprzeczką, do której dowiązано rzemieniami zdartą z człowieka skórę, zakołysała się wysoko ponad głowami.

– Xipe Totec! Nasz Pan Obdarty ze Skóry jest z nami! – rozległy się okrzyki wśród Mexików.

Zahred wciągnął powietrze ze świstem, a potem się roześmiał.

Chyba mało co mogło go już zdziwić.



– Biegiem, szybciej!

– Nie pchajcie nas! Tu wąsko jest!

– Nie stawajcie tam z przodu...

– Jezus Maria, o Bożeee! – krzyknął ktoś, zachwiał się na nierównych kamieniach grobli, a potem zsunął się i z pluskiem poleciał w wodę.

Wypłynął co prawda po chwili, zaczął gramolić się po omszałych kamieniach z powrotem ku stłoczonym na wąskim przejściu towarzyszom.

Zablokowali się przed tym cholernym mostem!

Siły konkwistadorów w dużej części wyszły już z Tenochtitlán i teraz przemieszczały się rozciągniętą ponad miarę, wąską kolumną po grobli. Po lewej i prawej mieli tylko wodę, za sobą wyjące i wrzeszczące Tenochtitlán. Przed nimi rozciągała się ciemność, w której nikt nie był widoczny.

I było jako tako, dopóki nie zwolnili, a potem nie stanęli przed wąziutką kładką przerzuconą nad przepustem grobli.

Bo tam mogło przejść raptem dwóch ludzi obok siebie.

I wiedzieli o tym tylko ci, którzy ją widzieli. Idąca za nimi reszta nadal posuwała się swoim tempem, następowała na pięty towarzyszącej, tłoczyła się, przepychała, pokrzykiwała i popędzała. Dlaczego tak wolno?! Szybciej tam! Nie ociągać się! Co tak wolno?!

No a teraz, w ścisku i pośpiechu, wszystko zdawało się iść jeszcze wolniej.

– Bokiem, przez wodę!

– Można i tędy, słusznie! – zawołał któryś inny.

Zeskoczył w płytką wodę i zaczął brnąć powoli. Owszem, co chwila potykał się na nierównym dnie, zapadał na głębinkach i grzęznął w mule, ale przynajmniej szedł! Przesuwał się szybciej niż ci na suchym lądzie!

Przeszedł tak już spory kawałek, kiedy wrzasnął, przekręcił się w bok i rymsnął w wodę jak długi.

– Uwaga, tam musi być dziura w kamieniach! – krzyknął idący za nim. – Trzeba ostrożnie, bo...

Ale słowa uwięzły mu w gardle, kiedy jego kolega wypłynął na powierzchnię – twarzą w dół.

Z jego pleców zaś wystawała opierzona strzała.

– Śmierć białym najeźdźcom! *Mikistli niistaktli tlakuanotstin!* – zawyli wojownicy na wyłaniającym się z mgły pierwszym *canoe*.

Brzęknęły cięciwy, strzały poleciały w kierunku białych. Ktoś jeszcze krzyknął, chwytając się za przestrzeloną nogę.

– Kusznicy! Kusznicy, na prawo... Dzicy nacierają!

– Kusznicyyy!

– Są też z przodu! Są z przodu... *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* – powtórzył nieskładny chór głosów, w których jednak pobrzmiwał teraz strach.



– Śmierć białym, z nami słońce! – krzyknął Axtli, wyskakując z *canoe* w płytką wodę.

Błyskawicznie wspiał się po śliskich kamieniach, cisnął trzymanym w rękę oszczepem w kierunku widocznych kilkanaście kroków od niego białych i pobiegł.

Kolejne wyładowane wyjącami dziko wojownikami łodzie dobijały już do grobli.

Niektórzy czekali, aż dno zaszoruje o płyciznę, inni skakali wcześniej i brnęli po pierś, po pas, po uda w wodzie, starając się prześcignąć towarzyszy w świętym dziele wojny.

Część w ogóle skakała z *canoe* wcześniej i płynęła dalej wpław.

– Z nami słońce! – zawył Axtli, zbliżając się do pierwszego wroga.

Cisnął drugim dzirytem, przerzucił do prawej ręki broń, jednocześnie ściągając z pleców uplecioną z trzciny i wikliny tarczę.

Nie zdążył, nie był pierwszy.

Dosłownie w ostatniej chwili ktoś w zielono-żółtych barwach sąsiedniego *calpulli* uprzedził go, wyskoczył z boku,

zza kamiennego nasypu przy drewnianym moście. Rzucił się na białego, złapał go wpół, obalił i zrzucił z grobli prosto w wodę.

Axtli już, już miał zaatakować kolejnego, stojącego do niego akurat bokiem i chyba nawet nie będącego świadomym, że ten na niego biegnie – ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

Ponieważ kątem oka zobaczył, jak wojownik z zielono-żółtą opaską na głowie podrywa się z wody, robi chwiejnie dwa kroki naprzód i upada na twarz, próbując lewą ręką przytrzymać wypływające mu z brzucha wnętrzności.

Biały już podnosił się z wody, kaszląc i chrychając, kiedy rzucił się na niego inny wojownik – i tak samo szybko, jak skoczył ku niemu, zatoczył się w tył, brocząc krwią z rozharatanego uda.

Bogowie sprzyjali Axtlemu, oszczędzając wybranego przeciwnika właśnie dla niego!

Dlatego też wojownik wybił się z całej siły, wbiegając już na drewniany most, i po prostu skoczył na tamtego, wznosząc nad głową maczugę z kamienną głowicą.

Na krótką chwilę świat wokół Axtlego stanął w miejscu, niczym zamarznięta kropla wody na samym koniuszku płatka kwiatu podczas pierwszych zimowych dni wysoko w górach.

Przed sobą widział budzące się ze snu Tenochtitlán, rozbłyskające teraz kolejnymi punkcikami ognisk i świateł.

Pod nogami miał drugie, odbite w czarnej toni słonego jeziora, rozmyte i rozedrgane w czarnym zwierciadle niespokojnych fal.

Po jego lewej ręce wyłaniały się z ciemności kolejne łodzie, całym mrowiem już ciągnące od miasta.

Dalej długą, uciekającą w perspektywie kreską widniała grobla, na której tłoczył się kolejny oddział białych, również atakowanych już ze wszystkich stron.

Po prawej stronie widział kamienny nasyp przy moście, a na nim kłębowisko ludzi, zwierząt, włóczni, rąk i twarzy, kamiennych mieczy i toporów, lśniącej broni białych i sypiącego się pod nogi walczących złota, lecącego istnym strumieniem z rozdartych worków i juków.

Axtli zobaczył to wszystko, ale nim jego umysł zdążył objąć chociażby ułamek tej sceny, rzeczywistość pociągnęła go w dół, prosto na białego najeźdźcę.

Wrzasnął dziko i uderzając z całych sił, spadł niczym kamień wprost na tamtego.



Juan Velázquez de León gramolił się właśnie na nogi.

Kaszał, pluł i charczał słoną, palącą w gardle i nosie wodą. Mało co widział, tak piekły go oczy.

Chyba zachłysnął się, upadając, i teraz trochę płynu poleciało mu nie tam, gdzie trzeba, przeskoczyło jakoś bokiem obok tej śmiesznej jamy za nosem i wśliznęło się przy kości za lewe ucho, które pulsowało bólem i piszczalo niemiłosiernie, przez co on nie mógł ustać na nogach i zataczał się jak pijany.

Tamten dzikus wziął się dosłownie znikąd! Jeszcze chwilę wcześniej go tam nie było, a potem po prostu się pojawił. Rzucił się na niego znienacka, byłby go przemógł i mało brakowało, a sięgnąłby tym swoim durnym, prymitywnym nożem w ramię!

De León rozejrzał się, próbując wypatrzeć swoją wierną klacz, na którą załadował dobytek i zarazem największy łup swego życia.

Zamiast tego zobaczył tylko, jak jego towarzyszy atakuje jeszcze kilku dzikusów.



Pierwszy padł od razu z rozrąbaną głową.

Drugi sam nadział się na nadstawioną pikę.

Ale już trzeci zdołał dobiec do ich szyku, wbiegł całym impetem pomiędzy Kastylijczyków.

Koło głowy śmignął panu de Leónowi kamień.

Następny poleciał wyżej, uderzył w napierśnik Miguela Hoyo, broniącego się właśnie przed dwoma półnagimi Mexikami.

De León zrobił chwiejny krok w przód, byłby upadł, ale podparł się mieczem. Na całe szczęście nie wypuścił broni, padając w wodę, bo bez tego nie poradziłby sobie z dzikusiem, który go zaatakował!

– H-hej, pa-no-nowie bracia! Pomóście k-któryś, bo...! – zawołał, wyciągając rękę do tak nieodległych przecież towarzyszy.

I wtedy coś uderzyło go z boku, znów obaliło z nóg.

Lewą dłoń, którą podparł się zupełnie odruchowo, przeszył ból; machnął prawą ręką, znajdującą się nadal nad wodą, na odlew, byle odstraszyć przeciwnika, jednocześnie usiłując podkurczyć nogi i wstać.

Czując, jak załadowane złotem sakwy ciągną go w dół, spowalniając ruchy, przetoczył się w płytkiej wodzie na bok, podparł łokciem i podniósł, znów machając desperacko swoim mieczem.

Miał szczęście, bo zamierzający się już włóczyć dzikus odskoczył w tył.

De León ryknął dziko i niewiele myśląc, skoczył ku tamtemu, wiedząc, że jeśli nie przejmie zaraz inicjatywy, to marny będzie jego los.

Indianin uderzył znowu, ale on tylko odbił żeleźce na bok, desperackim krokiem skrócił dystans i zupełnie niefachowym, zbyt płytkim, niezgrabnym wypadem pchnął.

O dziwo, trafił.

Na wewnętrznej stronie uda tamtego pojawiła się ciemniejsza pręga, która okamgnienie potem otworzyła się i bluznęła krwią z rozharatanej tętnicy.

Indianin nie zauważył tego nawet, zamachnął się włócznią znad głowy niczym trzymaną oburącz maczugą.

De León bez trudu przyjął jego uderzenie na zasłonę, a potem obrócił mieczem i ciął straszliwie, celując pomiędzy brodę a mostek tamtego.

Ostrze otworzyło szyję przeciwnika od ucha do ucha.

Mexik wypuścił włócznię, złapał się za rozplątane gardło – a wtedy de León ciął raz jeszcze, z dołu i od lewej, tnąc po brzuchu, żebrach i lewym ramieniu tamtego, posyłając go krótkim lotem do tyłu, ku mętnej toni jeziora, w bryzgu szkarłatnych kropelek krwi.



De León wrzasnął ochryple, tryumfalnie:

– Ha! Psubraty, t-tylko chodźcie do m-mnie!

I w tym momencie kolejny dzikus spadł mu nie wiadomo skąd prosto na głowę.

Plusnęło, a potem pana de Leóna pochłonął szum, kiedy woda zamknęła się nad nim – znowu!

Poczuł, jak coś dociska go w dół, przeszorował czołem i twarzą po omszałych kamieniach dna, desperacko próbując szarpnąć się, wstać, podnieść!

Zachłysnął się słoną wodą, która nagle wlała mu się do ust, do nosa, oczu...

Szarpnął się, dał radę strącić z siebie przeciwnika, który tymczasem uderzył go raz i drugi w ramię. Nie czekając na nic, przetoczył się na bok, tak żeby chwycić tamtego, przygnieść go całą swoją masą!

Jednak sakwy go spowalniały, napierśnik krępował ruchy.

Zawieszona na szyi pod pancerzem złote kolie ciągnęły w dół.

Bransolety i naramienniki z grubego złota czyniły jego wcześniej błyskawiczne uderzenia powolnymi i niezgrabnymi.

Indianin wykręcił mu się, zniknął gdzieś poza zasięgiem.

Po raz kolejny pan de León podniósł się z wody, kaszlnął boleśnie i zgiął się wpół, wyrzucając z siebie sporą część skromnej kolacji, jednocześnie załzawionymi oczami próbując dojrzeć, gdzie w ogóle znajduje się jego przeciwnik...

I zauważył go kątem oka, już wyciągniętego w skoku z kamienną maczugą wzniesioną do ciosu.

– Chodź! – ryknął de León, zasłaniając się przed uderzeniem.

I dopiero wtedy zorientował się, że klingi jego broni nie było tam, gdzie być powinna.

Z obsady jego miecza wystawał tylko długi na dwa palce ułamek głowni.

Musiała prysnąć, kiedy upadł w wodę.

Chyba nawet słyszał ten moment, gdy sam docisnął ją wystającą granią napierśnika.

W ostatniej chwili zdążył zareagować, przesunął rękę tak, że przynajmniej częściowo zamortyzował, odbił uderzenie na bok – tak że zamiast prosto w czoło cios trafił go w lewe ramię.

Chrupnęło sucho, paskudnie. Pan de León aż się zachłysnął z bólu, chciał wrzasnąć – ale w tym momencie żołądek znów zwinął się w skurczu, posyłając przełykiem kolejną falę rzygowin, które bluznęły spomiędzy zębów Kastylijczyka.

De León machnął prawą ręką, ale nie trafił w nic, zamiast tego impetem ciosu okręcając się wokół własnej osi.

I na dobrą sprawę wystawiając tyłem do przeciwnika.

Świat pana Juana Velázquez de Leóna, doskonałego żołnierza bez strachu, może i jąkały, ale za to wiernego towarzysza broni, zawsze pierwszego do wypitki, wybitki i chędożenia oraz innych rozrywek godnych kastylijskiego szlachcica, rozbłysnął jaskrawymi kolorami, gdy kamienna maczuga trafiła go poniżej ronda hełmu w kark.

Rozbłysnął, a potem zgasł.



– Już widać ład! – rozdzierająco zawołał de Sandoval, wściekle dźgając i rąbiąc usiłujących ściągnąć go z konia Indian.

– Widać ład! – powtórzył ktoś z piechurów.

Cortés spiął swego rumaka. Przeskoczył obok kotłujących się na grobli ludzi, cudem przemknął samym brzeżkiem

kamiennego nasypu, tak że kilka kamieni poleciało w wodę, po czym całym impetem rozpędzonego konia wbił się w stłoczonych przy ich straży przedniej dzikusów. Roztrącił ich na boki, obalił, zakręcając końskim zadem.

Posuwająca się zaraz za ariergardą druga grupa konkwistadorów walczyła jak opętana.

Indianie nie dali rady docisnąć ich tam, w połowie długości grobli, ale ich ataki wcale nie słabły.

Coraz to kolejne łódki nadciągały ku nim z obydwu stron.

Strzały i kamienie sypały się bezustannie z nieba.

Wszędzie, ale to dosłownie wszędzie leżeli zabici, umierający i ranni. Kastylijczycy i ludzie z Hispanioli. Żołnierze pierwszej ekspedycji. Ich niedawno pozyskani towarzysze spod komendy Narváeza. Tlaxcatleccy wojownicy Clamecahuy. Cholultekowie. Resztki totonackich tragarzy.

Przemieszani z nimi, wczepieni palcami w gardła znienawidzonych wrogów, wciąż dzierżący broń Mexikowie, których twarze nawet po śmierci wykrzywiały wściekłość i pogarda.

Ta noc była koszmarem, istną sceną z najgłębszych otchłani piekieł.

Jakiś wyjący dzikus rzucił się wprost na caudilla, wymachując kamiennym toporkiem, ale Cortés spiął konia, dopadł go i przebił lancą na wylot. Ten krzyknął, wypuścił broń i bezwładnie opadł na ziemię.

Już wcześniej nadpęknięte drzewce piki trzasnęło sucho, ułamało się w połowie. Hernán zaklął, zaczął szarpać się ze szpadą, która jak na złość zaklinowała się w pochwie i za nic nie chciała wyjść.

W końcu dał radę wyrwać ostrze – w samą porę, żeby odbić kolejny cios, pchnąć niemalże na oślep, licząc, że mimo wszystko trafi.

Koń zatańczył pod nim, skoczył w bok, zupełnym przypadkiem strącając z grobli kolejnego Indianina.

Nasyp ciągnął się jeszcze kawałek, a przed nimi widać już było kreskę stałego lądu!

– Naprzód! – krzyknął Cortés, czując, jak zaczyna mu już brakować głosu. – Jeszcze kawałek... Naprzód, za mną!

Z wysokości końskiego grzbietu widział nieco więcej, niż walcząc na piechotę. Zdecydowanie za mało, żeby skutecznie dowodzić; zbyt dużo, by nie przepełniało go przerażenie.

Zorganizowany, spokojny odwrót zamienił się nie wiedzieć kiedy w desperacką, paniczną walkę o przetrwanie.

De Alvarado walczył dzielnie na przedzie, zbliżając się już do końca grobli.

Oni też jako tako dawali radę, osłaniając dużą część taboru ze zwierzętami, zapasami, kobietami i złotem.

Natomiast trzecia grupa, która miała trzymać się zaraz za nimi, była tak daleko, że ledwie ją widział.

A po pozostałych nie było nawet śladu!

Stłoczone, przerażone kobiety kuliły się obok zwierząt jucznych, krzyczały i piszczaly. Kilka z nich zostało rannych od przypadkowych strzał i kamieni. Jakaś leżała bezwładnie na kamieniach, dwie inne zaś usiłowały zupełnie nieumiejętnie, przyczyniając jej chyba więcej szkody i pożytku, podciągnąć ją bliżej ku sobie za rękę i nogę.

Tylko doña Marina i pani d'Estrada, jedna z łukiem, a druga z mieczem w dłoni, zachowały zimną krew, zamiast w próżnej nadziei uniknięcia zagrożenia zakrywać głowy dłońmi i chować się. Wolały wespół z resztą służby aktywnie odpiierać ataki tubylców.

– Marina! – zawołał Cortés, podjeżdżając tam. – Marina, musimy ruszać... Do cholery, ruszajcie się, ojciec de Olmedo! Za dużo ich tutaj!

– Synu, co ja mogę! – Duchowny załamał rękę.

– Módlcie się, a najlepiej pokażcie, że pod tą kiecką macie jednak jajca! Naprzód, do ciężkiej kurwy! – ryknął Cortés.

Spiął konia i znów popędził ku przodowi, gdzie następna fala dzikich już wylewała się z wody, po raz kolejny grożąc przetrzebionym mocno ludziom de Sandovala.

– Na Boga w Trójcy Jedyne... Zbieramy się, naprzód! – dobiegł go jeszcze głos duchownego. – W imię Ojca i Syna, i Ducha, za mną, dzieci! Pod Twoją obronę uciekamy się...!

Stały ląd był już coraz bliżej.

Widać było pierwsze zabudowania, ktoś już wbiegł tam, ale zaraz zawrócił, żeby pomóc nadal uwięzionym na wąskim przesmyku towarzyszom.

Część ludzi zeskakiwała w płytszą tu wodę, brnęła po kolana, po pas, po piersi ku zbawczemu brzegowi. Łodzie nie niepokoiły ich już, strzały spadały zdecydowanie rzadziej.

W końcu awangarda kolumny pokonała ostatni odcinek drogi, rozlała się szeroko po stałym lądzie.

Ludzie popadali na kolana, nie mając siły zrobić już nic więcej. Jakiś przerażony muł zakwicział dziko, wierzgnął, wyrwał się prowadzącemu go młodzikowi i popędził pomiędzy domki, unosząc ze sobą w jukach część zapasów.

– Chwała Bogu! – zawołał głośno pan de Morla, zeskakując z siodła. – To teraz już bezpieczni jesteśmy!

Cortés obrócił konia, patrząc, jak tabor powoli, w iście ślimaczym tempie schodzi z grobli na stały ląd.

Obejrzał się ku bezpieczeństwu rozsypanych po lądzie domów, popatrzył ku górom...

Przeniósł wzrok ku jarzącemu się światłami, rozbrzmiewającemu okrzykami i harmidrem walki piekła Tenochtitlán.

Spojrzał na de Morłę.



– Na koń! – ryknął dziko.

– Panie? – Tamten aż się skulił.

– Na koń, mówię! Kto wam dał rozkaz do zsiadania?! Panie de Jaramillo!

Dowodzący oddziałkiem piechoty żołnierz podkuśtykał bliżej, ciężko wspierając się na halabardzie. Ściągnął wgięty hełm, wierzchem dłoni otarł lejącą się z rozbitej głowy krew.

– Admirale...?

– Panie de Jaramillo, zostajecie tutaj, pomagacie tym, co dadzą radę zejść z grobli! Odpowiadacie za porządek, głową ręczycie za tabor... A wy...! – Caudillo potoczył wzrokiem po konnych. – Za mną!

– Jezu, kurwa mać – zamruczał de Sandoval, poprawiając się w siodle. – Panie, nie chcecie chyba...?

– Ja niczego nie chcę, ja wam rozkaz wydaję! *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* – zakrzyknęli nierówno jeźdźcy.

De Jaramillo patrzył z niemym, przerażonym podziwem, jak niespełna tuzin konnych zawraca i w pełnym galopie wpada z powrotem na groblę.



Szlachetnie wysoki książę Tlaltececatzin wzniosł miecz ponad głowę i powoli opuścił go w wyciągniętej ręce, wskazując kierunek ataku.

– Naprzód, dzielni wojownicy! Niech wasze włócznie tną jak pazury jaguara! Niech celne strzały kłują niczym rój

wściekłych os! Śmierć białym najeźdźcom! – zawołał, jednocześnie unosząc otwartą lewą dłoń.

Zgodnie z jego decyzją dwa już czekające na rozkaz oddziały oderwały się od czekających na atak sił i pognały ku łodziom, aby jak najprędzej przeprowić się przez wody jeziora ku miejscu, gdzie wrzał bój.

Ze szczytu nadbrzeżnej świątyni widać było, jak rozciągnięte, podzielone teraz na mniejsze grupki siły białych walczą desperacko. Część była już daleko, zmierzając ku Tlacopán; inni wciąż nie dali rady opuścić Tenochtitlán.

Nie wszyscy słuchali rozkazów księcia. Część wojowników, a nawet zwykłych ludzi atakowała na oślep, bezładnie, powodowana czystą agresją.

Jednak sama ich liczba i zajadłość sprawiały, że do tej pory niepokonani biali mieli coraz większe problemy!

– Xahuatl widzi, że Tlaltecacatzin poczyni sobie dzielnie pod jego nieobecność – rozległo się zza pleców księcia.

Ten obejrzał się przez ramię, po czym od razu padł na kolana i uderzył głową w pióropuszu o ziemię.

– Najwyższy, Żrenico Poranka! Tlaltecacatzin pokornie całuje ziemię u stóp Najwyższego! Tlaltecacatzin nie uzurpuje sobie władzy dowódcy, nie działa wbrew najwyższemu królowi! Tlaltecacatzin...

– Tlaltecacatzin niech wstanie. Wojna to nie pora na tytuły i piękne słowa. Niech wstanie, mówi Xahuatl! Niech teraz spojrzy Xahuatlowi w oczy!

– Najwyższy, Kolibrze Południa... – sapnął książę, nieśmiało podnosząc wzrok.

– Dobrze. Tlaltecacatzin postąpił słusznie i dobrze, przejmując władzę dowódcy, gdy nie było nikogo innego. Zostanie za to nagrodzony, a jego imię będą sławić w wierszach poeci. Niech teraz powie: jak ma na imię Huēi Tlahtoāni?

Tlaltececatzin zaczerpnął głęboko tchu, doskonale świadom tego, że duża część jego wodzów i dowódców jest tutaj, słyszy i widzi tę kuriozalną sytuację.

– Xahuatl.

– Dobrze. Jeśli Tlaltececatzin musi zwracać się do Xahuatla z szacunkiem, niech mówi właśnie: Najwyższy. Poza tym Xahuatl jest Xahuatlem. Czy to jasne?

– T-tak, o Najwyższy.

Zahred przez chwilę nie mówił nic, patrząc z wysokości na pejzaż wojny. W końcu przysunął się do dowodzącego atakiem księcia, pokazał palcem na konkretne miejsce grobli.

– Tam, przy tamtym moście. Xahuatl weźmie teraz ludzi, ruszy tam. Gdy będzie w połowie, Tlaltececatzin wyśle za nimi część swoich ludzi. Kiedy zaczną walczyć, Tlaltececatzin dołączy do nich. Czy to jasne?

– Tak, o Najwyższy. Ale... Najwyższy chce ruszyć do walki? Ryzykować życie pomiędzy innymi wojownikami?

Zahred miał już ruszać, ale cofnął się, uśmiechnął drapieżnie.

– To jedyne, co Xahuatl potrafi robić dobrze – szepnął.

A potem dał znak czekającym już na niego wojownikom Jaguara i pobiegli ku grobli.



– Zapomnieli o nas.

Pan de Salvatierra spojrział dziko na stojącego obok niego człowieka, potem znów popatrzył na widoczne w pewnej od nich odległości piekło wokół grobli.

Stali wszyscy na szczycie jednej z piramid w pobliżu pałacu Axayacatla, gdzie przydzielono im kwatery po przybyciu do Tenochtitlán. Wcześniej ponoć była tu pogańska świątynia, w której tutejsi czcili jednego ze swoich bożków – Tezkaliptokę, Tekzapiliotkę czy innego Tezpakiloptkę. Nieważne.

Ważne było to, że już wtedy, te parę długich dni temu, de Salvatierra czuł, że mu się w tej świątyni nie podoba. No coś było tu po prostu nie tak! Żle się tutaj spało, śniły się jakieś straszne rzeczy. Zdawało mu się, że cały czas czuje zapach krwi.

Nie pomagała w tym ta niby-ochrzczona dzikuska od Cortésa, ta cała doña Marina. Nie było takiego dnia, żeby do nich pod jakimś pretekstem nie przyłążyła. A on miał wrażenie, że ona wcale nie jest zainteresowana ich dobrostanem, ale pod pretekstem przychodzi właśnie do tej świątyni.

Zresztą jeden z ludzi mówił mu, że widział ją, jak w miejscu, gdzie wcześniej stał pogański ołtarz, paliła coś jakby kadzidła i sypała na ziemię ziarno. Jak nic ofiary bluźniercze jakieś składała!

No i mieli tu tę kwaterę. Niby bezpiecznie, trochę na uboczu. Nie atakowali ich tu Indianie, jak się zaczęło robić gorąco.

A teraz okazywało się, że nie ma tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

– Nie opowiadajcie głupot, de Çulvaga! – warknął. – Nie pierwszy raz dzicy nocą dokazują. A tamto... Pewnie jakieś święto swoje mają.

– Na grobli do Tlacopán?! Tam się biją, panie kapitanie! Poszli bez nas!

– Mieli przecież po nas posłać, jak będą wychodzić! – zezłościł się de Salvatierra. – Mówił ten fiut de Ojeda, że jakby mieli się tej nocy ewakuować, to da nam znać!

– No... mówił. – De Çulvaga pociągnął nosem.

– Mówił – mruknął ponuro któryś z ludzi. – Tyle widać jest warte słowo Cortesuńcia. Zostawili nas tutaj.

De Salvatierra przeszedł szybkim krokiem na drugą krawędź platformy, z której widać było jak na dłoni pałac Axayacatla.

Faktycznie, teraz było tam cicho i ciemno.

Nie paliły się nawet pochodnie na posterunkach wartowników.

Mało tego: wydawało mu się, że brama była otwarta na oścież.

Zostawili ich jak nic.

Na pewno sami zabrali złoto, a ich tu zostawili, żeby nie musieć się z nimi dzielić.

Skurwysyny.

Obiegł platformę dokoła, rozglądając się po mieście, które całe już teraz huczało i zawodziło głosami rojących się Indian, tłumnie ściągających w kierunku grobli, na której utknęli Kastylijczycy.

No tak, tam przecież widać było konnych, a tam arkebuzy... O, nawet któryś ognia teraz dał. A to konnica wracająca na odsiecz swoim od strony lądu.

– Mieli po nas przyjść! – zawołał w bezsilnej złości.

– Chyba właśnie po nas idą – jakimś dziwnym głosem odezwał się stojący przy schodach de Quiros, patrząc w dół.

– Ha! Wiedziałem! – De Salvatierra klasnął w ręce, skacząc ku panu de Quirosowi. Poklepał go radośnie po plecach. – Tak czułem, że nas jednak, takie syny, nie zostawią! A wy, de Čulvaga, następnym razem się zastanówcie, zanim...!

I urwał, widząc zacięte twarze wspinających się po schodach Mexików.



– Z nami Słońce! Śmierć białym najeźdźcom!

– Huēi Tlahtoāni! Huēi Tlahtoāni bije się razem ze swoimi wojownikami. Słońce jest z nami, śmierć białym! – okrzyk poniósł się po tłumie Mexików niczym ogień po suchej trawie.

Zahred jednak nie usłyszał go już, wpadając całym impetem pomiędzy walczących.

Ciął z zamachu siekierką, żeleźcem drugiej przyblokował grot włóczni i rzucił się na nią, przetaczając się przez bark.

Przygniecione do ziemi drzewce wyskoczyło z rąk zaskoczonych Kastylijczyka.

Brązowy toporek wbił mu się w brzuch.

Męczyzna zgiął się w pół, a wtedy siekiera z żelaza, jak na ironię wykuta jeszcze w warsztatach Kastylii, z chrzęstem rozrąbywanych kości trafiła go w kark.

Zahred odtrącił trupa na bok, pomiędzy towarzyszy broni tamtego. Chwycił obie siekierki w lewą dłoń, kopnięciem podrzucił leżącą na ziemi pikę, złapał w locie, przerzucił grotem do przodu i cisnął pomiędzy walczących, trafiając następnego Kastylijczyka w ramię.

– Jezus Maryja, to przecież Zahred! – wrzasnął ktoś przeszywającym głosem.

Wojownicy Jaguara z Nochehuatlem na czele wpadli w przemieszany szereg konkwistadorów, rąbiąc, dźgając i wyjąc wniebogłosy. Widząc to, atakujący białych Mexikowie rzucili się do walki ze zdwojonym zapalem.

– Bronić przeprawy! Nie dać im zwalić mostu! – rozległo się spomiędzy zakutych w stal żołnierzy.

Jednak wojownicy już doskoczyli do przerzuconych przez wyrwę w grobli bali, zaczęli je szarpać i ze wszystkich sił ciągnąć, usiłując uniemożliwić wojsku przejście dalej.

Stojący akurat na pomoście koń zatańczył niespokojnie, gdy drewno usunęło mu się spod kopyt, kwiknął, stanął dęba i runął, zrzucając z grzbietu bezradnego jeźdźca.

Zwierzę uderzyło o kamienie, kopiąc i roztrącając atakujących i broniących się pospołu, stoczyło się w wodę, przygniatając i miażdżąc o kamienie tych, co próbowali przeprowiać się przez brakującą część ścieżki bokiem, po płyciźnie.

– Nie dać...! – raz jeszcze zawołał ktoś.

Było jednak za późno.

Ciągnięte siłą niezliczonych rąk belki zjechały na bok, posypały się kaskadą.

Ludzie wrzasnęli dojmująco, spychani przez wciąż napierających z tyłu towarzyszy w powstałą wyrwę. Jeden, drugi poleciał na dół, w czarną wodę, a zaraz za nimi z dojmującym kwikiem zwałił się objuczony skarbami muł.

Mexikowie wrzasnęli dziko, tryumfalnie, widząc, jak sztandar z wyhaftowanymi dwoma stojącymi dęba rumakami przedzielonymi ukośną linią, należący do chorągwi pana de Leóna, chwieje się, a potem upada, gdy jego chorąży stracił równowagę i też poleciał w dół.

– Wielkie jelenie nie są już groźne! – krzyknął na całe gardło Axtli, wznosząc wysoko nad głowę zakrwawioną kamienną maczugę, do której przylepił się strzęp skóry z puklem kędzierzawych włosów. – Mexikowie pokonują wrogów, ich sztandar upada... Z nami słońce!

– Z nami słońce! – krzyknął Valdés, walczący pośród towarzyszy z kompanii.

– Z nami słońce! – ryknął Zahred.



– Nie damy rady! Musimy to zostawić, ratować życie!

Francisco de Saucedo przegarnął opadające na twarz włosy, rozejrzał się dzikim wzrokiem dokoła.

Jak okiem sięgnąć wokół nich rozciągało się piekło.

Zewsząd niosły się wrzaski, wycia i gwizdy dzikich, ciągnących ku nim całymi rojami.

Martwi, zabici, ranni, nieprzytomni, próbujący się czołgać, skuleni z bólu, szlochający ludzie leżeli wszędzie.

Nie dało się postawić nogi tak, żeby nie nastąpić na czyjeś ciało.

Gdzieś w oddali płonęły jakieś zabudowania.

Po czarnej toni jeziora wciąż sunęły dłubanki i trzcinowe łodzie, z których nieustająco sypał się deszcz strzał, kamieni i dziurytów.

De Saucedo popatrzył na ledwo żywe z przerażenia, obładowane złotem konie. Oblizwał usta.

– Ale jak to...? Tak... Tak po prostu zostawić? – zacharczał.

– Nie zostawię tego! – potrząsnął głową dobry pan Lares, wspierający się ciężko na włóczni po tym, jak jego zabity koń, upadając, przygniótł mu nogę. – To złoto... To królewskie złoto przecież! Caudillo obedrze nas ze skóry, jeśli je stracimy!

– Jak go nie zostawimy, to obedrą nas tamci! – Iago de Sanhuesa pokazał ręką w ciemność.

– Damy radę! Dawajcie, teraz się ruszymy przecież, dojdziemy do mostu... Odpuścili akurat!

– Panie, może faktycznie... – Francisco de Flores błagalnie złożył ręce.



– Dostaliśmy przecież rozkaz, cholera – zawarczał de Saucedo, patrząc to na konie, to na topniejący w oczach oddział. Mieli być strażą tylną, owszem.

Ten kutas de Alvarado miał przecież tutaj z nimi być i dowodzić.

Ale najpierw oddzielił się od nich sam de León, który wysforował się gdzieś naprzód i znikł im z oczu.

A potem zostawił ich też sam de Alvarado!

„Czekajcie, ja zaraz wrócę!” – zawołał ulubieniec caudilla, po czym dał susa ponad przekopem trzeciego kanału, z którego akurat salwą zmiotli Indian kusznicy. Walczył chwilę przy nich, potem złapał przebiegającego obok konia pana de Gamboi i tyle go widzieli! On pogalopował w noc, oni zostali tutaj, pilnując cudzego złota.

De Saucedo otarł twarz, z odrazą popatrzył na usmarowaną krwią dłoń. Sięgnął do rękawa, wyciągnął białą chustkę z monogramem.

– Dostaliśmy rozkaz! – powtórzył z uporem.

Nagle de Sanhueza, który chyba podjął już był w skrytości ducha jakąś decyzję, zdarł z głowy i cisnął o ziemię hełm.

– W dupie mam wasze rozkazy! – zawołał. – Zostawili nas tutaj, ot co! Cortés przodem sobie popędził, de Alvarado, słoneczko jego pierdolone, w ślady wielkiego pana. A nam tutaj głowy położyć przyjdzie!

– To królewskie złoto!

– Jak król się tu zjawi, to niech je sobie zabiera! A ja, panowie bracia, nie mam zamiaru tutaj..

Świsnęło, kiedy nie wiadomo skąd nadleciała strzała i ugodziła de Sanhuezę prosto w gardło.

Żołnierz charknął, chwycił się za szyję i zaskrobał palcami po napierśniku, powyżej którego tkwiła pierzasta brzechwa. Osunął się na ziemię.

Patrzyli wielkimi oczami, jak de Sanhueza pąsowieje coraz bardziej, krztusząc się i dławiąc własną krwią, która rzuciła mu się ustami i nosem.

Opadł na plecy, zaczął kopać nogami, chwycił drzewce i szarpnął, wrywając w gardle dziurę, z której od razu chlusnęła czarna posoka.

W końcu rzucił się po raz ostatni i znieruchomiał, patrząc w czarne niebo wytrzeszczonymi oczami w spąsowiałej twarzy.

De Flores kwiknął, podskoczył i zaczął mocować się z zapięciami pancerza. Zrzucił napierśnik, zerwał karwasz, ściągnął przez głowę przesywanicę i w samej koszuli skoczył na głowę w wodę. Wyłonił się po chwili, prychnął; zaczął robić rękami, płynąc coraz dalej w ciemność.

Wkrótce zniknął im z oczu.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

De Saucedo spojrział na obładowane złotem zwierzęta, na pozostających przy nim raptem kilku ludzi.

– Zawracamy do miasta – warknął.

Po prostu odwrócili się i ruszyli groblą.

Pilnowany przez nich osiołek chwilę postął obojętnie. Potem popatrzył w lewo, w prawo. Przystąpił ponad ciałem pana de Sanhueza i podreptał sobie groblą, unosząc na grzbiecie trzy ogromne wory wypchane nieprzebraną wręcz ilością złota.



– *Santiago y cierra, España!*

Okrzyk wybił się nawet ponad bitewną wrzawę, gdy sześciu jeźdźców wpadło w szeregi Indian, strącając ich

z grobli, tnąc i kłując wojowników bez opamiętania po niechronionych ramionach, barkach i głowach.

– Caudillo! Caudillo wrócił! – po szeregach Kastyljczyków poniosło się wołanie.

– Hyaah! – Cortés spał ostrogami spienionego, rozhukanego konia, skacząc wprost w największą ciżbę przeciwników.

Ktoś nadstawił ku niemu włócznię, ale on zbił ją na bok szybkim cięciem, chlasnął w kierunku tamtego, obrócił rumaka w miejscu, roztrącając napastników..

...i poczuł, jak ktoś łapie go za nogę.

Kopnął, chcąc odtrącić napastnika, ale ten uwiesił się jego strzemięcia!

Cortés pchnął szpadą, ostrze weszło pomiędzy obojczyk a łopatkę przeciwnika.

Dzikus wrzasnął i osunął się, ale kolejny złapał już za derkę pod siodłem, jeszcze jeden uwiesił się poprzegu. Następny skoczył, złapał go za ramię.

– *Madre de Dios!* – krzyknął Cortés, lecąc z siodła niczym kamień.

Huknął o ziemię plecami, aż wybiło mu dech z piersi, przechoziłkował i uderzył o coś głową, hełm zahuczał jak dzwon. Już, już myślał, że się zatrzyma, złapał za jakiś kamień – ale ziemia nagle usunęła mu się spod rąk.

Potoczył się ze stromego zbocza grobli, po czym gruchnął z pluskiem do jeziora.

Woda przykryła go na chwilę, pancerz pociągnął w dół.

Przez moment szamotał się wśród omszałych kamieni, ale potem dał radę złapać oparcie, podniósł się na czworaki..

...i w tym samym momencie jakiś dzikus wpadł na niego całym impetem, popychając w tył, na głębszą wodę!

Cortés zdążył nabrać tylko tchu i zacisnąć oczy, nim znów zamknęła się nad nim zimna, słona toń. Machnął desperacko rękami, usiłując wybić się ku górze, odepchnął się nogami od mulistego dna.

Wyłonił się na powierzchnię, prychając i parskając.

– *Ompa! Ompa ka!* – rozległ się głos zaraz obok. – Tam jest, brać go!

Przez piekącą, zasnuwającą mu oczy mgłę caudillo zobaczył, jak kilku Mexików brnie ku niemu przez płyciznę. Zupełnie odruchowo obrócił się – i zobaczył wykrzywioną wściekłością twarz, przystrojoną mokrym pióropuszem.

– *Mikistli niistaktli tlakuanotstin!* – wrzasnął dzikus i rzucił się na Cortésa.

Po raz trzeci woda zamknęła się nad Hernánem.

Chciał odruchowo pchnąć szpadą, ale musiał wypuścić ją gdzieś w międzyczasie, więc wysunął przed siebie tylko rękę, chwycił tamtego za coś, szarpnął, pociągnął...

– Pomocy! – wrzasnął, na chwilę wyłaniając się na powierzchnię. – Pomo...!

Jeszcze jeden Mexik rzucił się na niego, docisnął w dół, przytrzymując pod wodą.

Hernán wierzgnął i rzucił się, próbując wykręcić się, wyrwać jakoś.

Poczuł, jak w piersi zaczyna wzbierać mu panika.

Więc to wszystko miało się tak skończyć?

Po tych przygodach, sukcesach...

...tak nikczemna śmierć?!

Chciał krzyknąć, ale zamiast tego usłyszał tylko bulgotanie uciekającego z płuc powietrza.

Świat zaczął odpływać od niego, oddalać się, a on spadał, coraz niżej, coraz...

– Panie!

Rozkaszał się strasznie, płuca wykręciły się spazmem, słona woda podeszła mu do gardła, bryznęła przez nos, usta. Zgiął się wpół, nie widząc, nie słysząc nic, a potem zaczerpnął desperacki, głęboki haust zbawiennego powietrza.

Ktoś klepnął go w plecy raz, drugi, trzeci, przytrzymał, aby nie upadł.

Hernán rozejrzał się na poły niewidzącym wzrokiem.

– Panie, żyjecie?! Na Boga, byliby was utopili przecież! – zawołał Cristóbal de Olea, jeden z arkebuzerów. – Ledwośmy zdążyli!

Drugi, leciwy już Antonio de Quiñones, wyciągnął pikę z ciała unoszącego się w kałuży krwi Indianina, rozejrzał się wokoło.

– Holujcie admirała do brzegu, ja będę ubezpieczać!

– Ja... nie zapomnę... odwdzięczę się... Królowi samemu wspomnę – zacharczał Cortés, wspierając się na ramieniu arkebuzera.

– Panie, no co wy? To samo byście dla nas przecież zrobili! – zachnął się tamten.

Dowlekli się we dwóch do grobli, caudillo bardziej padł, niż usiadł na kamieniach.

Przez dłuższą chwilę siedział tak, niezdolny zebrać myśli.

Wokół niego szalał bój.

Ludzie krzyczeli, niósł się szcęk broni, rżały konie; od czasu do czasu huknął arkebuz albo trzasnęła spuszczana cięciwa kuszy.

Indianie wyli i krzyczeli ze swych łodzi, echo niosło ten zgiełk ponad jeziorem, zwielokrotniało i przynosiło z powrotem.

Hernán uświadomił sobie, że patrzy, jak na falach jeziora kołysze się leżący twarzą w dół trup młodego Kastylijczyka.

Wzdrygnął się, otrząsnął, rozejrzał.

Sięgnął po leżącą najbliżej niego, ułamaną pikę.

Wstał.

– Do mnie... – zachrypiał. Odchrząknął raz i drugi, nabrał tchu. – Do mnie, mości panowie! Razem się trzymać!

– Caudillo! Zgromadzić się wokół admirała! – poniosł się okrzyk.

Nie wiedzieć skąd pojawił się młody del Corral, ciągnący za sobą mokry, ubłocony sztandar. Oparł drzewce o ziemię, z niemałym trudem podniósł smętnie wiszącą, postrzępioną szmatę do góry.

Cortés poczuł, jak pierś szarpie mu ledwo tłumiony szloch. Schylił głowę, zacisnął zęby i przeżegnał się szeroko, na pokaz. Podniósł głowę wysoko, dumnie i pokazał włócznią, niczym dający znak do szarży generał.

Niczym sam Aleksander forsujący bród pod Granikosem.

– *Santiago...!* – zdołał tylko wyrzucić z siebie.

– *Santiago y cierra, España!* – zawołali ludzie, rzucając się na blokujących im drogę Indian.



Zahred ciął straszliwie, od góry, niemalże odrąbując rękę usiłującego zasłonić się przed niespodziewanym ciosem Cholulteka.

Bryznęła krew, człowiek wrzasnął potwornie i upadł pod nogi wciąż walczących.

Kefren rzucił się na kolejnego, złapał za łydkę, obalił człowieka na ziemię.

Xicotencatl doskoczył do niego, wzniósł i opuścił miecz – krzemienne ostrze wgryzło się w twarz wroga.

Huknął arkebuz Rodriga, niemalże wyrywając z butów kolejnego z desperacko próbujących się bronić się przeciwników.

– Naprzód, słońce z nami! – krzyknął Zahred.

I w tym momencie szyk wrogów pękł.

Jeszcze przed chwilą byli tam, usiłując trzymać się w jako tako zwartej grupie, chroniąc sobie nawzajem boki: przemieszani Cholultekowie, Kastylijczycy i część tych Tlaxcalteków, którzy zdradziecko przeszli na stronę wroga.

A teraz nagle prysnęli na boki, zasłaniając tylko głowy, salwując się ucieczką, skacząc do wody.

Z drugiej zaś strony, zza ich pleców, wypadła druga grupa żądnych krwi Mexików, którzy z dzikim wyciem rzucili się za uciekającymi, wyłapując ich, wyciągając za włosy albo po prostu zabijając na miejscu.

– Zwycięstwo! – jako pierwszy wrzasnął Xicotencatl. – Tlaxcala zwycięża, Tenochtitlán zwycięża! Chwała słońcu, chwała Huēi Tlahtoāni!

– Huēi Tlahtoāni! Huēi Tlahtoāni Xahuatl! – zawołali wojownicy, potrząsając wzniesioną nad głowami bronią.

Zahred powoli, nie czując nóg i rąk ze zmęczenia, krwawiąc z nie wiedzieć ilu ran, wdrapał się na szczyt grobli. Popatrzył w lewo, w prawo... Przeszedł ku wyrwie w nasypie, gdzie rozegrała się rzeź.

Trupów było tyle, że zasypały kanał.

Biali i Mexikowie, Tlaxcaltekowie walczący po obydwu stronach, Cholultekowie, Otomi... Widział wystającego spod ciał konia, który musiał wpaść do dziury wraz z ciągniętym wozem.

Krwi było tyle, że woda w jeziorze zabarwiła się na czerwono.

Daleko na wschodzie niebo powoli zaczynało barwić się różowawą szarością.

Zahred potoczył wzrokiem po ludziach, wzniosł nad głową spizową siekierę.

– Tenochtitláán! – ryknął na całe gardło.



Siedzący na kamieniu, ledwo żywy ze zmęczenia caudillo Hernán Cortés de Monroy Pizarro Altamirano podniósł głowę i nastawił uszu.

Wydawało mu się?

Musiało mu się wydawać. Słuch zwyczajnie płatał mu figle.

Przecież od strony jeziora nadal niosły się wrzaski i wycia, hałakowanie dzikich i krzyki mordowanych ludzi.

– Panie... – Poczul na ramieniu dotknięcie szczupłej dłoni.

Obrócił się, spojrział na doinę Marinę. Uśmiechnął się słabo.

– Musimy ruszać, wiem – wymamrotał.

Jakimś cudem dali radę.

Udało im się po raz drugi pokonać groblę, przeprowadzić na stały ląd przynajmniej część sił i połączyć z zostawioną tam grupką, której – o dziwo! – nikt nie zaatakował.

A teraz trzeba było postanowić, co dalej.

– Nie poddawaj się, Hernán – powiedziała Malintzin. – Nie poddawaj się. Nie teraz. Bogowie...

– Nie zamierzam – warknął Cortés.

Wstał z trudem, poprawił uwierający pod pachami pancierz. Po raz ostatni spojrział na jezioro, ku grobli... I widocznym stąd szczytom piramid.

Potem odwrócił się do tego plecami i spojrział na swoich ludzi.

– Raport! – rozkazał.



– Straż przednia, straciliśmy może dwudziestu.  
– Trzecia grupa, około setki.  
– Straż tylna... – szcękając zębami, jęknął pan de Flores, który jakimś cudem dał radę dopłynąć do brzegu i teraz stał zawinięty w koce i ociekający wodą. – Mało kto, panie.  
– Bywa – zamruczał Cortés, przenosząc wzrok na de Alvarada. – Pedro, dobrze cię widzieć!  
– I ja się cieszę, señor. – Tamten skłonił się.  
– Fortuna cię lubi, widzę, bo ledwoś ranny... A gdzie ludzie, których ci powierzyłem?  
– Wszyscy są tutaj, a jeżeli jakichś brakuje, to zapomnijmy o nich – rzucił de Alvarado bez mrugnięcia okiem.  
– Dobrze, dobrze... A więc, panowie bracia...  
Cortés zająknął się, nie wiedząc, co powiedzieć.  
Dopiero co była ich armia.  
Teraz została znów garstka.  
Garstka!  
Przepadły skarby, przepadły działa.  
Było ich tutaj trzystu, może czterystu?  
Koni jak na lekarstwo.  
Nie było chyba nikogo, kto nie odniósłby ran.  
Cortés poczuł, jak po policzku ścieka mu łza. W pierwszej chwili chciał ją obetrzeć, ale potem wysiłkiem woli przywołał na twarz uśmiech i patrząc po ludziach, pokiwał głową.  
– Płaczę, panowie bracia, bo... Bo cieszę się, że Bóg was zachował! – Rozłożył szeroko ręce. – I dumny jestem z was. Dumny, jak mi Bóg na niebie miły!  
Ludzie popatrzyli po sobie, zdumieni: ale jak to? Ledwo przecież uszli z życiem, a ich caudillo mówi teraz, że...  
No właśnie: że co?  
Jak gdyby odgadując ich myśli, Cortés pokazał ręką za siebie, ku grobli.

– Nie ulegajcie złudzeniom, panowie: nie stało się nic złego! Nie ponieśliśmy klęski. Ba! Nie zostaliśmy nawet pokonani. To zaledwie odwrót taktyczny. Tak, na Boga! To odwrót, który przecież planowaliśmy i tak! A teraz zapewniam was, obiecuję, że pewnego dnia wrócimy tutaj! Stłumię ten bunt, tę haniebną rebelię przeciwko naszemu królowi i wierze chrześcijańskiej, która...

Urwał na chwilę, patrząc na kołyszące się przy brzegu puste *canoe*.

Marina podeszła do niego.

– Panie?

Cortés obrócił się, bystrym wzrokiem popatrzył po ludziach. Zmrużył oczy.

– López! – Pstryknął palcami. – López, jesteście gdzieś tutaj?!

Ludzie zaszemrali, rozglądając się. W końcu rozstąpili się, przepuszczając cieśnię z ręką na temblaku.

– Jestem, panie – mruknął tamten.

Oczy Cortésa błysnęły stalą.

– Chodźmy zatem. Niczego więcej nam nie trzeba.



## Rozdział 6

Wielce wysoka Huemapichtli nie próbowała nawet skrywać ekscytacji.

– Zwycięstwo! – zapięła radośnie, klaszcząc w dłonie. – Zwycięstwo! Imperium Słońca tryumfuje, jego wrogowie pokonani! Chwała niech będzie bogom!

– Chwała wojownikom raczej. To oni zabili wszystkich białych! – zachnęła się dostojnie łaskawa Yautli.

– No właśnie! – zawtórowała jej dostojnie łaskawa Yaotli. – To nikt inny jak wojownicy Orła wypełnili kanały w grobli ciałami zdrajców z Choluli i Tlaxcali.

– Tlaxcala stoi po naszej stronie – zauważyła szlachetna Tepiltzin.

– Nie cała, jak widać... Ale po Cholultekach należało się tego spodziewać, tak. Przecież ich trupy unoszą się na całym

jeziorze, woda aż cuchnie! – skrzywiła się najłaskawsza Maxmapichtli.

Szlachetna Tepiltzin spojrzała na najłaskawszą Maxmapichtli tak, jak patrzy się na goszczonych przybyszów z innej prowincji: z dużą dozą wyrozumiałości, pobłażliwej, jednak aż nadto widocznej pogardy. Uśmiechnęła się czarująco, tak aż zmarszczki na jej twarzy stały się głębokie i ciemne, niczym cieniste wąwozy.

– Czego się spodziewać? – zapytała głosem słodkim niczym plaster miodu tkwiący w samym sercu gniazda dzikich pszczół.

– Tego, że nawet po śmierci nie będą potrafili zachować się jak należy. Zabici wojownicy nie pływają po powierzchni niczym odchody zwierząt, ale od razu idą na dno, ku przodkom! Żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy unosić się po śmierci na powierzchni wody! Widział ktoś kiedyś, żeby szanujący się Mexik tak się zachowywał?

– Owszem, Cozachtzonal widziała. – Jedna z kobiet potrząsnęła głową. – Cozachtzonal była dziś nad brzegiem jeziora i widziała, jak kobiety Mexików wylawiają poległych z jeziora. Cozachtzonal uważa, że Maxmapichtli nie ma prawa obrażać w ten sposób pamięci walecznie poległych.

– Co? Maxmapichtli nie obraża zmarłych! Maxmapichtli mówi jedynie, że elementarna kultura...

– Wojownicy Mexików walczyli i ginęli jak bohaterowie!

– Zmarli zasługują na...

– Zmarli zasługują na szacunek – głos pani Xipil uciął sprzeczkę niczym oszroniony nóż. – I niech przyjaciółki Xipil właśnie to zrobią, jeśli chcą nimi pozostać: okażą szacunek zmarłym.

Kobiety umilkły, nagle speszone.

Pani Xipil objęła siedzącą obok niej wysoce wyniesioną Quetzepokę, delikatnie pogładziła ją po ramieniu gestem

współczucia... Ta lekko potrząsnęła głową i uśmiechnęła się samymi ustami, ale przy tym jej oczy pozostały tak samo jak wcześniej nieruchome i puste.

– Niech gościnie Quetzepoki nie trapią się jej smutkiem – odezwała się gospodyni płaskim, wypranym z emocji głosem. – Serce Quetzepoki wraz z nimi raduje się ze zwycięstwa nad białymi najeźdźcami. Quetzepoka wie, że jej smutek jest niczym w porównaniu z męstwem wojowników, którzy ginęli z bronią w ręku i teraz uczują wraz z bogami. Quetzepoka ma tylko nadzieję, że...

– Ćśśś... Niech nie mówi – zaszepiała pani Xipil.

– Quetzepoka ma tylko nadzieję, że wysoce wyniesiony Moyolechuani dopuszczony będzie chociaż do przedsionka pałacu bogów, skoro on... skoro on... – zająknęła się kobieta.

– Moyolechuani uczują już wraz z bogami – pospieszyła z zapewnieniem szlachetna Tepiltzin.

– No cóż, idąc tym tokiem myślenia... – Szlachetna Cozachtzonal nagle podskoczyła i syknęła, kiedy siedząca obok pani Xipil uszczypnęła ją długimi, kościstymi palcami w udo. – Ała! Dlaczego Xipil...?!

– Moyolechuani uczują z bogami – twardo powtórzyła pani Xipil. – A przyjaciółki Quetzepoki dziękują jej za zaproszenie i wraz z nią radują się, że bogowie przyjęli Moyolechuaniego na swoje łono.

Wysoce wyniesiona Quetzepoka westchnęła ciężko, otarła wierzchem dłoni łzy. Pokiwała głową, uśmiechnęła się słabo i skinęła na czekającą w pogotowiu służbę.

– Niech podadzą mięso i placki!

Kilka dziewcząt wniosło złote półmiski, na których w sporych stosikach ułożono świeżo zdjęte z ognia ptaki, kawałki soczystych pieczeni i wciąż parujące placki z mąki kukurydzianej.

No cóż, nie były to jak jeszcze niedawno całe stosy jedzenia; żywność nie piętrzyła się ani nie przesypywała, porcje nalewanego do czarek *pulque* też były nieco mniejsze...

Jednak nie dało się zaprzeczyć, że nadal była to popołudniowa uczta z prawdziwego zdarzenia.

Tym razem kobiety zgromadziły się na dachu rezydencji wysoce wyniesionej Quetzepoki, pół siedząc, pół leżąc na rozłożonych grubymi warstwami słomianych matach i kocach. Owszem, brakowało tutaj może trochę prywatności, którą dawał wewnętrzny dziedziniec, lecz po pożarze...

Wyglądało na to, że nawet najwyższa warstwa szlachty Tenochtitlán musiała iść na pewne kompromisy z rzeczywistością. Dlatego też służba umiejętnie zasłoniła pogorzelnisko za pomocą mat rozpiętych na długich żerdziach, a delikatna bryza od strony gór przyjemnie poruszała nagrzanym powietrzem.

Widok na samo miasto, normalnie zapierający dech w piersiach, tym razem też pozostawiał co nieco do życzenia. Harmonię pejzażu psuły ciemniejsze plamy spalonych domów, nadal zalegające na ulicach resztki barykad. Nie mówiąc o niosących się ku niebu dymach ze stosów pogrzebowych.

Nie było mowy o wyniosłym, monumentalnym bezruchu, który zazwyczaj cechował panoramę stolicy Imperium Słońca: po ulicach cały czas kręcili się ludzie, słychać było, jak miasto tętni poruszeniem.

Lecz po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu było to poruszenie radosne!

Tak, wielu zginęło: czy to podczas starć, z bronią w ręku, czy zamordowanych podczas procesji świątecznej, czy też później, gdy po śmierci Montezumy biali zaczęli po prostu wyrzynać pozostałych przy życiu dostojników z dworu wielkiego króla.

Tak właśnie zginął wysoce wyniesiony Moyolechuani, którego ciało po prostu wyrzucono za bramę pałacu Axayacatla.

Natomiast jakkolwiek poranione i mocno doświadczone przez los, Imperium Słońca tryumfowało!

– Huexoch zabrał dziś rano Yaotli i Yautli na plac przy Wielkiej Świątyni – odezwała się jedna z bliźniaczek. – Pozwolił im popatrzeć na trupy białych.

– Biali leżeli tam poukładani rzędami, jak białe kolby kukurydzy – zawtórowała jej druga.

– Raczej agawy... albo może pędy trzciny? – Ta pierwsza spojrzała na siostrę.

– Dostojnie łaskawe były tam, gdzie nie powinny? – wyraziła zainteresowanie pani Xipil.

– Były tam z ich mężem, tak – unisono odpowiedziały Yaotli i Yautli.

– Na co to przyszło! Jakże nisko upadły nasze obyczaje, że kobiety tak szanowane chodzą oglądać martwe ciała bez pochówku – westchnęła i przewróciła oczami szlachetna Tepiltzin. – Ale skoro już tam były i widziały, to może niech opowiedzą dokładnie: ilu białych widziały?

– Wielu! Więcej niż palców u rąk i nóg!

– Zarówno Yaotli, jak i doliczonych Yautli! – gorączkowo potwierdziła druga z sióstr.

– Ale to nie koniec, bo cały czas przynoszą nowych. Najwyższy król rozkazał, żeby wydobyto z wody wszystkich i przyniesiono tam, pod świątynię.

– Piękna ofiara. Bogowie będą zadowoleni – wysyczała przez zaciśnięte zęby wielce wyniesiona Quetzepoka.

– Na pewno chodzi o fetor! Przecież trupy zaczną gnić, a biali śmierdzą bardziej. Poza tym ile much ostatnio jest w mieście, fuj! – Najłaskawsza Maxmapichtli zamachała ręką przed twarzą.

– Jeśli idzie o muchy, to... – zaczęła już pani Xipil, ale w tym momencie jedna z bliźniaczek wpadła jej w słowo:

– Nie, to nie to! Yautli słyszała, jak Huexoch mówił, że to rozkaz od samego Huēi Tlahtoāni!

– No właśnie. To bardzo rozsądny rozkaz, bo fetor... – nie odpuszczała Maxmapichtli.

– Huēi Tlahtoāni kazał ich tam wszystkich znieść, żeby zajrzeć im w twarze – dorzuciła Yaotli.

– Och. Zatem chodzi o magię. Tak, to na pewno królewska magia – z miną znawczyni wypowiedziała się szlachetna Cozachtzonal. – Huēi Tlahtoāni zagłada każdemu w twarz, aby upewnić się, że trafi aż do najniższego, dziewiątego kręgu Mictlānu, gdzie strzały na zawsze będą przebijać jego serce.

– Wcale nie.

– Jak to nie?! Dziewiąty krąg Mictlānu to kraina, gdzie...

– Podobno Huēi Tlahtoāni kogoś pośród nich szuka.



– Nie ma go tam, kapitanie... To jest panie... To jest... – Valverde zawahał się, zająknął i zaciął.

Zahred obrócił się ku niemu powoli, spojrzał dzikim wzrokiem.

Valverde odruchowo skulił się i zadrzał.

Kapitan Zahred zawsze wzbudzał w nim respekt, graniczący z pewnym rodzajem zabobonnego wręcz strachu.

Valverde czuł od samego początku, odkąd tego człowieka zobaczył, że było z nim coś... no cóż, coś nie tak.

Że był inny.



Kiedy tam, podczas bitwy na wzgórzu pod Tlaxcalą, kapitan Zahred zaczął zmieniać się w Xahuatla, przestawać z Indianami, kiedy kazał zrobić ten upiorny sztandar, Valverde pomyślał sobie, że miał rację. Inni się mylili, a on widział więcej niż reszta.

No, może z wyjątkiem Rodriga, który również opowiadał o kapitanie Zahredzie dość dziwne rzeczy. Ale Rodrigo też był dziwny. Podobno to przez proch strzelniczy, który wdychany dostawał się przez nos do głowy i osadzał tam, cisnąc na mózg.

Ale teraz docierało do Ramona Valverdego, że tak na dobrą sprawę to w dupie był i gówno widział.

A konkretnie: widział raptem czubeczek tego gówna, którego istnienia reszta Czarnej Kompanii nawet nie podejrzewała.

Tu i teraz zaś otaczało ono ich wszystkich w pełnej okazałości.

Ubrany krwią własną i cudzą, pokryty niezliczonymi ranami, w których kłębiły się białe, tłuste larwy much, w pogiętym i połamanym pióropuszu, z dwoma toporami za pasem i z tak samo jak on sam zakrwawionym, zjeżonym i nieobliczalnym psem u nogi, Zahred wyglądał niczym demon z najstraszniejszych koszmarów.

– Sprawdźcie jeszcze raz! – warknął gardłowo.

Valverde przełknął ślinę, pokiwał gorączkowo głową.

– T-tak jest, o Najwyższy – pisnął, po czym wykonał w tył zwrot na pięcie i potruchtał ku towarzyszom.

– I co? – de Monroy przywitał go pytaniem.

Valverde potrząsnął tylko głową, bez słowa zaczął iść wzdłuż ułożonych szeregiem ciał, zaglądając każdemu w twarz.

– *Madre de Dios* – mruknął Gutierrez. – Przecież dwa razy już żeśmy wszystkich obejrżeli! Owszem, donoszą nowych, ale...

Machnął ręką, nie kończąc nawet myśli, i ruszył ścieżką przy drugim rządkiem.

Reszta też się rozeszła, żeby po raz trzeci sprawdzić ułożone na placu przed świątynią ciała.

Mexikowie bezustannie przynosili od strony grobli kolejne, do wtóru radosnego pohukiwania i okrzyków zrzucali pod wielkie kamienne posągi bogów.

Kolejni, już dokładnie poinstruowani przez pełniącego rolę łącznika Rodriga, przynosili trupy dalej, kładli jeden obok drugiego.

W dalszym kącie placu piętrzyły się czy to zdjęte z ciał, czy przyniesione tutaj przez wojowników jako trofea najprzeróżniejsze znaleziska.

Błyszczały w słońcu zrzucone byle jak na stertę hełmy.

Lśniły całe, poszczerbione i połamane klingi mieczy z doskonałej toledańskiej stali.

Kusze z namokniętymi od wody cięciwami, kołczany z bełtami i puste pęki strzał.

Arkebuzy.

Pancerze.

Nakarczki, nabiodrki, gorgety i naramienniki.

Tarczki z żelaza i tarcze z drewna, kawałki końskich pancerzy i zbroi, kolczugi.

Napierśniki i zapleczniki, pełne kirysy z niemieckiej roboty kanelunkiem.

Siodła, derki. Uprząże i uzdy. Torby.

Noże, widelce i miski, łyżki, rogi, kubki i kielichy do picia, sztylety...

Halabardy, piki, szpontony, włócznie i rohatyny.

– Domínguez... del Valle... Castejón... – mrucał pod nosem Gutierrez. – O, ciebie nie znam. Chociaż czekaj, bo z tą twarzą...

– To przecież ten astrolog – rzucił przechodzący obok Valverde.

– Patrz, faktycznie! I taki mądry był, aj-jaj, tyle gadał, tyle w gwiazdach widział... Mnie nawet raz przyszłość przepowiadał.

– I co? – zainteresował się Valverde.

– I gówno, jak widać, skoro własnej śmierci nie przewidział. To nie on... Nie on... Nie... Nie...

W tym momencie od strony wejścia na plac świątyni rozległ się wrzask.

Nie to, że „krzyk”, ale wrzask właśnie – dziki, przepęnlony wściekłością, bólem i agresją tak straszną, że Gutierrez, schylony właśnie nad trupem, aż podskoczył, potknął się i wywalił jak długi.

Gdy wstał, jego towarzysze już biegli w kierunku bramy, gdzie kotłowali się na ziemi ludzie.

– Zabiję! – ryczał jeden z nich. – Zabiję! Puśćcie mnie, zabiję go! Serce mu wyrwę!

– Puść, do cholery! – krzyczał inny Kastylijczyk, wyraźnie próbując odciągnąć towarzysza.

– Jezu, pomóżcie... On nie chciał! On nie...!

Na plac wskoczył przez bramę Xicotencatl, wciąż ubrany w sponiewierany, pomięty pancerz z piórami na ramionach.

Błyskawicznie ogarnął sytuację, doskoczył do kilku Mexików, tarmoszących się z ludźmi Zahreda. Strzelił jednego w pysk, drugiego zdzielił przez łeb tyłcem włóczni, odepchnął trzeciego.

– Zabiję! – wrzasnął Rodrigo, szamoczący się już w uścisku przytrzymujących go kolegów.

Xicotencatl popatrzył na niego, na leżące w prochu i pyle ciało, które dopiero co przynieśli ku świątyni Mexikowie – ci sami, na których rzucił się arkebuzer.

– *Akin ka inin?*[3] – Pokazał na trupa.

– To... Panie, to jeden z naszych! – jęknął de Monroy, który też dopiero teraz dobiegł na miejsce.

Rzeczywiście, przed nimi leżał trup jednego z ludzi z ich kompanii. Bładosiny, o fioletowych wargach i wyłażącym z ust napuchniętym języku, patrzący w niebo szeroko rozwartymi, szklanymi oczami.

– Jezusie Maryjo, Józefie święty... To przecież Enriquez – sapnął Valverde.

Rozebrany niemalże do naga.

Brudny, ze skórą na plecach i klatce piersiowej zdartą od wleczenia po bruku.

Z ramionami, udami i brzuchem pokrytymi śladami po razach toporów i włóczni, dziurami po zaostrzonych kijach.

Nie było to pierwsze ani ostatnie ciało białego, na którym wyładowywali swój gniew mieszkańcy Tenochtitlán. O ile pierwsze z nich po prostu ściągano tutaj bez problemu, o tyle teraz, gdy ludzie nieco otrząsnęli się po nocnej rzezi...

– Zabiję! – zawył Rodrigo, rzucając się niczym wściekły pies ku ludziom, którzy najwyraźniej przywlekli ciało na miejsce.

– Spokój. Spokój, mówię! – ryknął na niego de Monroy. Zwrócił się do Xicotencatla, podniósł ręce uspokajającym gestem. – Nic się nie dzieje. My przepraszamy. Rodrigo... On nie chciał. Nic się nie dzieje.

Xicotencatl popatrzył na Mexika z rozbitym nosem, potem na drugiego, trzymającego się za rozharataną ciosem noża rękę.

– *Xiyauh! Kuitlapantli nik tlatekiti!* – Pokazał im ręką na bramę. Kiedy tamci odeszli, popatrzył na trupa, pokiwał głową. – *Miaktin tikau teyaochiuanimeh omik inin youali. Uil ka ika in teomeh*[4].

Słyszając te słowa, Rodrigo dosłownie obmiękł w rękach towarzyszy. Jego wściekły charkot przeszedł w długi, rozdzierający serce szloch, kiedy puścili go, a on podczołgał się ku ciału, wtulił twarz w poharataną pierś.

Reszta Kastyljczyków patrzyła na to, nie wiedząc, jak się zachować. Valverde pochylił się, z pewnym zawahaniem poklepał arkebuzera po ramieniu. De Monroy westchnął ciężko.

– Najwyraźniej kto się czubi, ten się lubi – mruknął do stojącego obok Gutierrezza. – No cóż, panowie... Złapcie go za nogi, ja pod ręce chwycę. Weźmy go na bok, do pozostałych.

Przenieśli ciało tam, gdzie w osobnym miejscu w cieniu piramidy złożyli do tej pory odnalezionych trzech towarzyszy, którzy polegli tej nocy. Położyli Enriqueza obok Juanita, Montilla i Sáenzy, nakryli ciało kocem.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać... – De Monroy przeżegnał się.

Jednak Rodrigo, do tej pory słaniający się na nogach, nagle wyprostował się. Rozejrzał dokoła, ruszył w kierunku stojących pod ścianą świątyni drewnianych klatek.

Żaden z ludzi nie ruszył się nawet, kiedy arkebuzer otworzył drzwi do jednej z nich i wyciągnął stamtąd wierzgającego, krzyczącego Cholulteka ze złamaną ręką i rozbitą głową, jednego z niezliczonych wziętych do niewoli tej nocy jeńców.

Tamten wrzasnął, autentycznie przerażony – a potem zakrztusił się krwią, kiedy Rodrigo wbił mu w brzuch nóż. Osunął się na ziemię, charcząc i kaszląc, opadł w tył.

Patrzyli, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, kiedy Rodrigo zaczął robić nożem. Ciął, szarpał, dźgał, piłował... Krew lała się na lewo i prawo, tryskała, jeniec wierzgał i rzucał się... Aż wreszcie arkebuzer wyprostował się, podnosząc w czerwonej aż po łokcie ręce jakiś nieforemny strzęp ciała.

Rodrigo wyminął ich, podszedł do ciała Enriqueza. Szarpnięciem odrzucił na bok koc, wsunął tamtemu w rękę wciąż gorące, ociekające krwią serce.

– Ja nie wiem, czy to jest... – nieśmiało zaczął de Monroy.

– Co?! – Rodrigo doskoczył do niego. – Czego nie wiecie, panie?! Ja wam zaraz mogę wszystko wytłumaczyć!

– Nie no, ja tylko... Ahem... Wydawało mi się, że tamci... – szlachcic pokazał na trzymany w klatkach jeńców – to są czyjaś własnością. Oni ich tu do konkretnych klatek wsadzali, chyba każdy do swojej. I nie wiem, czy można ich sobie tak po prostu wziąć i zabić.

Rodrigo zamrugął. Obejrzał się na klatkę, z której wziął jeńca na ofiarę. Znów popatrzył na de Monroya.

– Faktycznie, nie pomyślałem. Znajdę właściciela. Zapłacę mu za stratę. Albo kupię innego na podmianę. O, to jest myśl! Podmienię. Nie wydacie mnie, towarzysze?

– Nie śmielibyśmy.

– To ja zaraz wrócę. Zaraz wrócę! – zawołał Rodrigo, ruszając ku bramie.

Stali, patrząc, jak on truchtem biegnie ku wyjściu, po czym znika im z oczu. Potem popatrzyli jak jeden mąż na de Monroya.

– No co? – Wzruszył ramionami. – Przecież trzeba mu było coś powiedzieć, czymś zająć. Nic innego mi do głowy nie przyszło. Gotów byłby wszystkich ich zarżnąć, i jak byśmy się potem z tego wytłumaczyli?

Valverde sapnął tylko, pokręcił głową. Nakrył znów ciało Enriqueza kocem. Wskazał ułożone rządkiem trupy.

– No dobrze, panowie... Wracamy do pracy, bo tam już kolejnych nam przynieśli.

– Ułożmy ich tylko – poprosił Jiménez, mocno już zasapany i zmęczony z racji swojej tuszy. – Widać przecież od razu, że go

tam nie będzie, ile razy byśmy nie sprawdzali.

– Niech będzie, ale rzeczy na osobne kupki podzielić. Ech, szkoda człowieka – westchnął de Monroy.

– E tam szkoda.

– Ja o Enriquezie mówię. Ktoś wie, skąd on był?

– Estremadura? – bąknął Valverde.

– Medellín? – jednocześnie odezwał się Valdés.

– Cóż, trzeba będzie jakoś ustalić.

– Po co?

– No, ojca jego znaleźć. Tego, co się z nim pokłócił przed wyjazdem. Powiedzieć mu, że syn o nim dobrze mówił, że chciał się pogodzić. Życie, samo życie, panowie.

– I wy myślicie, że my kiedyś tam jeszcze wrócimy? – Gutierrez zerknął spode łba.

De Monroy spojrział na niego, na otaczające ich piramidy Tenochtitlán, na poukładane w rzędkach ciała niedawnych towarzyszy wyprawy. Wzruszył tylko bezradnie ramionami.



Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy Zahred wrócił na plac przed Wielką Świątynią.

Przeszedł się raz jeszcze pomiędzy trupami Kastylijczyków. Dłuższą chwilę stał przy ułożonych osobno ciałach ludzi ze swojej chorągwi. Potem bez słowa spojrział na de Monroya.

– Nie ma go tu, prawda? – zapytał.

– No nie, panie kapitanie. Nie ma. W każdym razie ciała nie przynieśli tutaj, jeśli coś. Jego konia znaleźliśmy tam dalej, przy brzegu, musiał go nurt znieść – odpowiedział szlachcic.

– Ilu?

– Naliczyliśmy prawie cztery setki. Cały czas ich jeszcze znoszą. No i dojdą tamci, co w świątyni siedzą.

Zahred spojrział ku szczytowi świątyni Huitzilopochtlego, skąd niosły się odgłosy trwającej od późnego popołudnia bitewnej wrzawy.

Gdy tylko ludzie z miasta odkryli, że część białych zawróciła i ukryła się właśnie tam, rzucili się ku schodom. Teraz fala atakujących niemalże dotarła już do szczytu piramidy, widać było, że tylko patrzeć, jak pokryje ją całą.

Ktoś spadł z platformy, wymachując rękami. Echo krzyku doleciało aż do nich, potem figurka uderzyła o kamienny stopień, odbiła się i spadła niżej, przekoziółkowała parę razy i zatrzymała się, wisząc bezwładnie niczym pęk gałąńców.

– Mało.

– Mało?! Panie kapitanie, z całym szacunkiem, ale to połowa będzie.

– Nie ma tu większości kapitanów. Nie widzę Alvarada, nie ma de Sandovala. Nie ma w końcu Cortésa.

– Nie ma jego więdźmy – warknął Rodrigo, podchodząc bliżej. Uklęknął przed Zahredem, dotknął czołem ziemi, przyłożył dwa palce do języka. – Huēi Tlahtoāni.

– *Xehua, teyaotlani...* Wstańcie, żołnierzu. Sprawa z jeńcem wyjaśniona?

– Tak, panie. – Rodrigo skrzywił się, opuścił wzrok.

– Musiałem poręczyć za was, żołnierzu. Naprawdę mam się czym zająć, zamiast łagodzić wasze skandale obyczajowe.

– Tak, panie. – Arkebuzer spuścił głowę jeszcze niżej, zgarbił się.

– Następnym razem to wy wejdziecie do klatki, a potem pomaszerujecie na piramidę, żeby oddać drogocenny owoc opuncji bogom. Zrozumiano?

– Tak, panie – pisnął Rodrigo, próbujący przestać istnieć.



– Co to ma być, strach?! Spójrzcie mi w oczy, żołnierzu! Chcecie iść ku bogom jak tchórz, ze łzami w oczach?! Czy może zaniesiecie im swoją Czerwoną Gwiazdę dumnie, jak na syna słońca przystało?! Wiecie, jak ma zachowywać się prawdziwy wojownik?!

– Tak, panie! – szczechnął Rodrigo, wyprężając się jak struna.

– Zuch, tak trzymać. – Zahred poklepał go po ramieniu. – Dobra robota, chłopcy. Wracam do pałacu, jutro trzeba odpocząć... Xicotencatl!

– Xahuatl? – Młody wódz wyłonił się z za pleców Zahreda.

– Co mówią zwiadowcy? Gdzie udała się resztką armii białych najeźdźców?

– Xicotencatl pytał o to Itzlego. – Młodzieniec skrzywił się, całym sobą demonstrując niechęć do człowieka, z którym musiał konkurować o do niedawna niepodzielną przyjaźń Xahuatla. – Itzli mówił zawile i niejasno, jak kobieta wracająca z targu bez kukurydzianych placków, ale z nowym naszymnikiem...

– Nie to, żeby brat Xahuatla był mistrzem prostych odpowiedzi.

– ...ale w końcu powiedział, że zwiadowcy Itzlego powiedzieli, że ludzie z Tlacopán powiedzieli zwiadowcom, że widzieli, jak armia białych z wielkimi jeleniami odchodziła od brzegu jeziora na zachód i północ, ku Otocanpulco i Teocalhuyecan.

– Zaimki dzierżawcze i mowa zależna, tego was muszę nauczyć jak najprędzej – mruknął pod nosem Zahred, głośniejszą zaś już rzekł: – Dobrze. Niech Xicotencatl wyruszy śladem białych najeźdźców i pilnuje, aby nie zaznali spokoju.

– Xicotencatl ma iść razem z Cuitláhuakiem?

– Cuitláhuac ruszył już za białymi? – zdziwił się Zahred.

– Tak Xicotencatlowi powiedział Itzli.

– I ten nie uznał za stosowne, żeby powiedzieć o tym swojemu Huēi Tlahtoāni?!

– Xahuatl nie o to pytał – obruszył się Tlaxcaltek.

Zahred zacisnął pięści, podniósł głowę ku niebu i odetchnął głęboko. Wypuścił powietrze powoli, znów zaczerpnął tchu... Jego ludzie, znający już swojego kapitana, cofnęli się pół kroku; Xicotencatl natomiast patrzył na Zahreda wyczekująco, z pewnym zainteresowaniem.

– Xahuatl rozmawia z bogami, żeby powiedzieli mu to, czego nie widział jeszcze Itzli? – zapytał w końcu.

Pierś Zahreda zadrgała spazmatycznym, desperackim śmiechem. Prychnął, pół na pół rozbawiony i zdruzgotany, przejechał dłońmi po twarzy.

– Tak. Bogowie mówią, że to była długa noc i równie długi dzień. Czy Xicotencatl dotrzyma swojemu bratu towarzystwa przy wieczornym posiłku? Jest ciekaw jego opowieści o tym, jak walczyła dziś Tlaxcala.

– Zaś Xicotencatl chętnie posłucha, jak jego brat brodził po kolana w trupach wrogów na Moście Rzezi! – entuzjastycznie odrzekł Xicotencatl, trochę zazdrosny o to, że nie było go akurat w tym miejscu, gdzie rozgrywał się najbardziej zaciekły bój.

– Zatem dziś czas opowieści, a jutro skoro świt niech Xicotencatl ruszy do Tlaxcali.

– I przyprowadzi więcej wojowników, żeby wytropić i zgnieść białych? – ożywił się młody wódz.

– Oby... Oby tak właśnie było.

Ruszyli w kierunku miasta, nad którym krwawą łuną zachodziło purpurowe słońce.



– Musisz coś zjeść, Hernán. Chociaż kawałek.

Cortés spojrzał na podsunięty mu kawałek placka, pokręcił głową.

– Nie jestem głodny, Marina.

Zapadł już zmrok. Nad ich głowami zapaliły się gwiazdy, doskonale widoczne na kryształowo przejrzystym niebie; ciemne szczyty gór wznosiły się po obu stronach doliny, piękne i straszne w swym wyniosłym majestacie.

Ta noc mogłaby być piękna... Ale nie była.

Nikt nie palił ognia. Nie było rozmów ani śmiechów, tylko pojękiwania i stękanie rannych. Nie rżały konie, bo ich pyski obwiązano szmatami.

Nie było nawet obozowiska, a tylko miejsce, w którym się zatrzymali.

Szli bez ustanku, bez wytchnienia przez dużą część nocy, cały dzień i wieczór.

Odsapnęli chwilę w Teocalhueyacanie, do którego nie dotarły jeszcze wieści z miasta.

Potem forsownym marszem dotarli do Tepotoltzanu.

Co z tego, skoro zastali miasto wyludnione? Najwyraźniej na wieść o tym, że idą, cała ludność po prostu uciekła na okoliczne wzgórza, zostawiając za sobą nawet zapasy żywności.

Zatrzymali się więc tutaj, w pałacu lokalnego kacyka, który ufortyfikowali, na ile mogli. Cortés zabronił jednak rozniecania ognia, żeby nie ściągać na nich uwagi.

Mexikowie szli za nimi cały czas.

Od momentu zejścia z tej piekielnej grobli Kastylijczycy nie mieli nawet kwadransa wytchnienia. Co rusz skądś leciały

kamienie i strzały, rozlegały się wycia i bojowe okrzyki. Mniej albo bardziej zorganizowane grupki atakowały tyły kolumny, wzniecając popłoch w wyczerpanych do cna ludziach.

Sam Cortés, który ruszył rozprawić się z jedną taką bandą harcowników, wrócił z eskapady z rozbitą głową, bo hełm stracił jeszcze poprzedniej nocy.

Celnie, a może przypadkowo szczęśliwie wypuszczony z procy kamień zabił rumaka pod panem Martínem de Gamboą, który spadając z niego, zwichnął jeszcze kostkę.

Zostało ich raptem cztery setki z okładem i zaledwie dwa tuziny koni.

Niby było to więcej, niż siły, z którymi tu początkowo przybył...

...ale zarazem tak dotkliwie mniej!

Ranni.

Wycieńczeni.

Zdemoralizowani porażką.

Idący i śpiący w nierzadko mokrych, obcierających ciało ubraniach.

Ze zdekompletowanym wyposażeniem.

To nie byli już ci sami ludzie. Cortés czuł, że on nie jest tym samym człowiekiem.

– Jedz, Hernán. Proszę. Ludzie potrzebują, żebyś miał siłę. Ja potrzebuję, żebyś miał siłę. Jedz.

Westchnął ciężko, spojrzał na doinę Marinę. Wziął placek, odgryzł kawałek i zaczął powoli przeżuwać.

– Nie wiem, po co ci moja siła, Marina – mruknął.

– Musisz być silny, Hernán. Siła daje przychylność, słabość ją odbiera. Zwierciadło nigdy nie patrzy na słabych.

– Fortuna sprzyja odważnym? – Uśmiechnął się słabo.

Zastanowiła się chwilę, zmrużyła oczy. Potwierdziła ruchem głowy.

– Tak. Fortuna sprzyja odważnym, Hernán. Bądź odważny.

Cortés przełknął, popił łykiem rozwodnionego *pulque* z bukłaka. Poczuł, jak przeciągle, dojmująco zaburczało mu w brzuchu. Kolejny kęs wziął już z własnej woli.

Malintzin usiadła obok, objęła go i położyła głowę na jego ramieniu, delikatnie przebierając palcami we włosach na jego karku.

Czuł, jak świadomość odpływa od niego, a on w każdej chwili gotów jest ześliznąć się w objęcia miłosiernego snu.

– Marina... co ja mam zrobić? – odezwał się półgłosem, tak żeby inni nie słyszeli. – Załóżmy, że dotrzemy do Tlaxcali. Ale co dalej?

– Wszystko, Hernán.

– Wszystko?

– Wszystko, co będziesz musiał zrobić. Zrób cokolwiek, co trzeba. Spal domy, zetnij drzewa, zgładź synów. Zetrzyj to miasto z powierzchni ziemi, ale nie pozwól mu znów wygrać. Nie daj mu zatryumfować tak jak wtedy... Jak stało się to u zarania dziejów.

– Co? Marina, o czym ty... – zaczął Cortés.

Jednak głos uwiązł mu w gardle, kiedy ona obróciła głowę i spojrzała na niego – w miejscu oczu zaś miała dwa obsydianowe zwierciadła, z których sączył się czarny dym.

– Utop ten świat we krwi – powiedziała.

– ...!

Cortés drgnął, rozejrzał się.

Popatrzył na trzymany w dłoni kawałek kukurydzianego placka, na siedzących w półmroku albo pochrapujących na posłaniach ludzi. Na wspartą o jego ramię doinę Marinę.

Kobieta poruszyła się, obróciła głowę i spojrzała na niego.

– Przysnęliście, panie? – szepnęła.

Odchrząknął, próbując oczyścić gardło.

– Tak... Chyba tak, Marina.

– To dobrze. Połóżcie się, panie, a ja będę czuwać.

Przekręcił się po prostu, ułożył głowę na jej kolanach i nakrył się kocem. Poczuł, jak palce znów delikatnie wplatają się w jego włosy, w uszach zaszemrał delikatny poszept jej słów.

– Lubię, kiedy śpiewasz mi te wasze kołysanki – mruknął jeszcze.

Malintzin uśmiechnęła się, gładząc go po głowie. Jego oddech wyrównał się, bicie serca się uspokoiło... Nabrała tchu i podjęła urwane w pół słowa zdanie:

– O panie, o władco nasz, co władasz tym, co bliskie i co w nocy. O wietrze, o nocy: ty widzisz, ty znasz rzeczy w drzewach i skałach. Ty znasz wnętrzości myśli naszych, słyszysz słowa, których nie mówimy. Słyszysz, wiesz, widzisz, co jest w nas, co myślimy, co mamy w sercach. Przybądź, przyjdź, pojaw się z mgły, z dymu, z ciemności...



Idący na czele swoich wojowników Cuitláhuac widział, jak z leżącej przed nimi doliny zaczyna wypełzać długim, białym jęzorem mgła.

Owszem, było już późno w nocy. Jego dzielni przybocznicy szli cały dzień, nękając i dręcząc białych, którzy zapewne umyślili sobie skryć się gdzieś pomiędzy wzgórzami i dolinami wokół Tepotoltzanu. Wszyscy odczuwali zmęczenie. Coraz mocniej dawały im się we znaki rany odniesione podczas bitwy na grobli.

Jednakże teraz wróg był w zasięgu ich ręki!

Cuitláhuac od razu kazał ruszać, ścigać, nie dawać Cortésowi spokoju.

Gdy tylko zebrał swoich wojowników w Tenochtitlán o świcie, od razu powiedział: niech ruszają za białymi najeźdźcami! Dopadną ich, zmiażdżą, a wtedy to im przypadnie chwała dokończenia tego, czego nie dał rady dokonać nawet Xahuatl!

„Nawet Xahuatl”. Cuitláhuac aż obnażył zęby, myśląc o tym wymalowanym przybłędzie nie wiadomo skąd.

Tak, mógł być sobie nawet wybrańcem bogów.

Mógł być dla Cuitláhuaca i samym Quetzalcoatlem, jak to twierdzili niektórzy.

Ale jeśli był bogiem, to nie powinien wtrącać się w sprawy ludzi, uzurpować sobie tronu i tytułu Huēi Tlahtoāni.

Tronu i tytułu, które niechybnie przypadną temu, kto sprowadzi Cortésa do Tenochtitlán w więzach, a potem wyjmie z piersi i wypuści ku niebiosom jego Czerwoną Gwiazdę.

A właśnie taki plan miał Cuitláhuac.

Na razie jednak jedyne gwiazdy mrugały nad jego głową, dolinę zaś zaczynała wypełniać mgła tak gęsta, że ledwo było widać grot wyciągniętej przed sobą włóczni.

Poza tym zwiadowcy powiedzieli, że nie widać jeszcze przed nimi ogni na murach Tepotoltzanu, więc biali musieli obozować w dolinie przed nim.

– Niech się zatrzymają! – zarządził Cuitláhuac, podnosząc rękę.

Dziś i tak nie ujdą już dalej.

Jutro dopadną i rozbiją białych w pył.



Kiedy Itzli z samego rana zjawił się w apartamentach Huēi Tlahtoāni, skonstatował z pewnym niezadowoleniem, że poranny rytuał picia *xocolatl* chyba nie będzie miał miejsca.

– Xahuatl wyrusza na czele wojowników Orła i Jaguara. Wróć, gdy odetnie głowę białego wodza i zatknie ją na szczycie swojego sztandaru – rzucił przechodzący koło niego najwyższy król, dowiązując rzemienie szerokiego pasa.

Itzli patrzył przez chwilę, jak niepotrzebujący w najmniejszym stopniu niczyjej pomocy Huēi Tlahtoāni chodzi po komnacie, kompletując swój pancerz i wyposażenie.

Dwaj młodzi pokojowcy, szkoleni od dziecka do tej właśnie roli asystowania przy porannej toalecie i czynnościach władcy, bezradnie dreptali za nim krok w krok, licząc na to, że ten pozwoli im zrobić przy sobie cokolwiek.

W końcu, kiedy Huēi Tlahtoāni przyodział swoje nakrycie głowy, wzbogacone kilkoma kolorowymi piórami, i sięgnął po włócznię, Itzli uznał, że nadeszła pora, by zainterweniować.

– Huēi Tlahtoāni nie może opuścić teraz Tenochtitlán – powiedział po prostu.

Zahred zamarł w pół ruchu. Wyprostował się bardzo powoli.

– Precz.

Dwaj pokojowcy zniknęli niczym zdmuchnięci.

Czekający przy drzwiach, nierozumiejący ani słowa w *nahuatl*, ale doskonale znający swego kapitana Valdés i Gutierrez profilaktycznie wycofali się do przedsionka.

Nawet Kefren podkulił ogon i potruchtał na swoje legowisko obok posłania Zahreda.

Zahred powoli podszedł do Itzlego, zajrzał mu w oczy.

– Bo? – warknął.

– Bo w Domu Węża zebrała się wielka rada.

– Xahuatl nie ma czasu na...! – wybuchnął Zahred.



– Bez obecności Xahuatla, bez powszechnego uznania go jako Huēi Tlahtoāni wszystko spadnie aż na samo dno Mictlānu. Tym razem definitywnie.

Zahred zmrużył oczy.

– Skąd Itzli zna to słowo?

– Xahuatl użył go w początkach ich znajomości. Czy Itzli dobrze pojął jego znaczenie? – uśmiechnął się władca Domu Szeptów.

– Obawiam się, że tak. Czyli że wszystko wezmą diabli?

– Jeśli „diabli” mieszkają w Mictlānie, to tak.

– Jeśli Mictlān jest piekłem... No dobrze, o co zatem chodzi?

– To prościej pokazać, niż wytłumaczyć. Dość, że Najwyższa Rada...

– To, co z niej pozostało?

– Tak.

Na chwilę zapadła cisza.

Zahred już teraz, widząc minę Itzlego, domyślił się, o co chodziło tak naprawdę.

Problemem nie było to, że Najwyższa Rada się zebrała. Że czegoś od niego chciała, wymagała, na coś miała mu pozwolić albo też nie.

W obecnej sytuacji, po masakrze podczas święta Toxcatl i tym, co Cortés zrobił z dworem Montezumy, Najwyższa Rada mogła być jedynym, co stało pomiędzy Tenochtitlān a zupełnym chaosem i anarchią.

W społeczeństwie na tyle zhierarchizowanym, przywykłym do rytuałów, skomplikowanych sieci powiązań oraz zwierzchności, okutanym pajęczynami ustnych tradycji i zwyczajów już samo wyjęcie z układanki jednego elementu mogło doprowadzić do niemałych komplikacji.

A Cortés ten element nawet nie wyjął, tylko wyrwał z mięsem. Jeden, drugi, następny i kolejny, bez względu na

konsekwencje.

Zahred opuścił ramiona. Wsunął za pas jedną, potem drugą siekiere.

Itzli też odpuścił, uśmiechnął się przepraszająco.

– Huēi Tlahtoāni to nie tylko król. To ojciec dla jego dzieci – powiedział.

– Xahuatl rozumie. Niech Itzli wybaczy, Xahuatl dopiero się uczy tej... roli.

– Huēi Tlahtoāni nie prosi o wybaczenie. Itzli może wybaczyć Xahuatlowi. Niewiedza nie jest powodem do smutku, ale szansą na doskonalenie.

– A zatem niech Itzli doradzi swojemu królowi i przyjacielowi: co powinien począć Xahuatl?

– Zachować obyczaj.

– Nawet kosztem tego, że Cortés zdoła uciec?

– Jeśli Xahuatl ruszy za nim teraz, nie będzie miał do czego ani do kogo wrócić. Jeśli zostanie, to może mieć z kim i dzięki czemu ruszyć za nim później.

– Słowa godne mędrca. Ile będzie trwać koronacja, modły i cała reszta obrządku?

– Cztery dni? Tydzień?

– Tydzień?! Nie ma mowy.

– Bez oficjalnej koronacji nie ma komu wydawać kukurydzy z magazynów, a ludzie już teraz, po dwóch tygodniach zamieszek, zaczynają przymierać głodem.

– Przednówek, no tak... – zgodził się Zahred.

– Poza tym bez kukurydzy na placki wodzowie zrobią się niezadowoleni – filozoficznie zauważył Itzli.

– Zaś ich niezadowolenie przejdzie na ich wojowników?

– Huēi Tlahtoāni wie już wszystko, co mógłby mu powiedzieć Itzli.

– Czemu zatem władca Domu Szeptów aż tak często musi mu przyganiać i go pouczać? Dobrze, niech będzie. – Zahred podniósł rękę gestem kapitulacji. – Zaczniemy zatem od rady. Czy Xicotencatl gotów jest wyruszyć do Tlaxcali?

– Tak, o Najwyższy.

– Niech w takim razie zaczeka jeszcze, może być bardziej potrzebny tutaj. Poza tym Tlaxcaltekwie też muszą wziąć udział w ceremoniach po bitwie.

– Itzli słyszy. Itzli nie rozumie jednak do końca, w jakim celu Xahuatl chce posłać tam swojego, hm, brata?

– Rozumiem, że on, ale że Itzli jest zazdrosny o niego? – Zahred pokręcił głową.

– Itzli nie jest zazdrosny o Xicotencatla – odparł nieco dotknięty władca Domu Szeptów.

– Xahuatl chciałby w to wierzyć, ale słabo mu idzie. Dlaczego Tlaxcala? Po pierwsze, przez wzgląd na tego zdrajcę Clamecahuę...

– Oby demony pożarły jego wnętrzności – gładko wtrącił Itzli.

– Po drugie, Tlaxcala ma powody, aby nie kochać Tenochtitlán, a zdawała się podzielona już wtedy, gdy Xahuatl był tam po raz pierwszy.

– Tenochtitlán zawsze dobrze traktowało Tlaxcalę.

– Jeśli przez „zawsze” Itzli rozumie czasy od momentu, kiedy Tenochtitlán pokonało Tlaxcalę, złożyło jej króla w ofierze i zabroniło wyboru kolejnego, to tak, zapewne tak właśnie jest. Och, tak, Xahuatl też nie próżnował, wypytyując jej wojowników i starszych o zaszłości historyczne.

– Itzli jest pod wrażeniem. – Władca Domu Szeptów skłonił się. – Jest pewien, że jego Huēi Tlahtoāni tak samo potrafi olśnić swoją wiedzą członków Najwyższej Rady.

Zahred sapnął tylko, ale nie powiedział nic.

Zdjął pióropusz wojenny, zamiast niego narzucił na ramiona płaszcz z zielonych piór quetzala i dał znak Itzlemu, żeby ten ruszył przodem.



– Dlatego nie da się tego tak zrobić! Cokolwiek powie Metzli, Tezczazuma już wie i nadal mówi: nie da się!

– Metzli ma uszy, ale nie słucha! Tezczazuma powtarza raz jeszcze: trzeba najpierw uprzętnąć gruzy, a dopiero potem otwierać kanał! Woda nie jest aż tak wysoka, żeby nie można było tego zrobić!

– Tak? To może niech Tezczazuma pójdzie tam z Metzlim i zobaczy sam!

– A może niech Metzli pójdzie tam, gdzie...!

– Niech zamilkną.

Zgromadzeni w Domu Węża ludzie ucichli nagle, kiedy sam Huēi Tlahtoāni odezwał się i podniósł dłoń.

Siedzący na jednej z wielu identycznych trzciniowych mat Zahred celowo odczekał dłuższą chwilę, przeciągając pauzę. Niech się uspokoją, niech ich myśli zwolnią.

Był na dziesiątkach, setkach, tysiącach podobnych spotkań.

Po przewrotach pałacowych, rewolucjach krwawych i bezkrwawych. Zasiadał zarówno wśród tych, co przeżyli, jak i pomiędzy tymi, którzy sami wydawali rozkazy wymordowania swoich poprzedników. Widział, jak młodzi zajmują miejsca starych; obserwował doświadczonych zmuszonych przejmować sprawy po młokosach i gołowąsach. Bywał wśród tych, którzy dali radę obronić się na swoim terenie. Zdarzało mu się razem z przypadkowymi zwycięzcami

kłaść zręby nowego na miejsce czegoś, co wcześniej działało przez wieki.

I zawsze, ale to zawsze czuł się w takich chwilach tak samo zagubiony i bezradny we własnej głowie. Ba, może nawet bardziej!

Bo przecież wszyscy wokół niego mieli nałożone na obecną sytuację jakieś swoje przekonania.

Iluś z nich uważało w bardzo ludzki sposób, że są lepsi od reszty i na pewno sobie poradzą z tym, co ich czekało.

Inni żyli w pewności, że kilkanaście lat życia u boku swoich ojców, stryjów czy kuzynów poniekąd naturalnie predysponuje ich do przejęcia obowiązków.

Co poniektórzy żywili święte przekonanie, że służba u boku kogoś, kogo teraz mieli zastąpić, nauczyła ich wszystkiego, co tylko może być im potrzebne.

Część znowu była bogatsza i bezpieczniejsza o bufor najzwyczajszej niewiedzy, dzięki której nie wiedzieli nawet, na co się porywają.

On zaś zwyczajnie wiedział, że porywają się z przysłowiową motyką na słońce.

– Niech zamilkną – powtórzył. – Kanały zostaną otwarte jako pierwsze. Gruzy uprzątnięte potem.

Metzli wyprostował się dumnie, potoczył tryumfującym wzrokiem po towarzyszach. Tezczazuma skłonił się tylko, kładąc dłoń na sercu na znak szacunku.

Tu nie chodziło ani o kanały, ani o gruzy, lecz o ludzi.

Zahred dużą część z nich widział po raz pierwszy. Oni widzieli siebie nawzajem po raz pierwszy w tej roli. Nie znali się, nie umieli współpracować. Nie wiedzieli, jak się kłócić, prowadzić konflikty, godzić się i wypracowywać wspólne rozwiązania.

– Przechodząc zatem do kwestii białych, wciąż pozostających w świątyni Huitzilopochtlego... – po raz kolejny odezwał się Netecatli.

– Tak! – zawtórował mu zarządzający sąsiednim *calpulli* Tezotonqui. – Nie da się nic zrobić, dopóki biali tam siedzą! Niech Huēi Tlahtoāni wyśle tam wojowników Jaguara, żeby zabili większość i pojmali część na ofiary!

– Wojownicy Jaguara są bardziej potrzebni poza miastem! – warknął siedzący w pełnym pancerzu Nochehuatl, nawet nie kryjący niezadowolenia z tego, że zamiast ruszać, jak obiecano, na wyprawę wojenną, musiał przyjść na posiedzenie rady.

– Miasto obroni się samo, poradzi sobie z tymi białymi, którzy jeszcze zostali! Poradziło sobie ze zrzuceniem białych z grobli, więc da radę i teraz!

– Gdyby nie wojownicy Jaguara... – Nochehuatl już zaczął wstawać, sięgając po broń.

– Niech. Zamilkną.

Nochehuatl położył uszy ku sobie, skulił się i usiadł na powrót, niczym ściągnięty na smyczy zwierz, równie niezadowolony, co posłuszny rozkazom swego pana. Strzelił tylko złym spojrzeniem ku Netecatlemu i błysnął obnażonymi zębami, dając tamtemu do zrozumienia, że jeszcze się kiedyś policzą.

– Puste brzuchy nigdy nie wygrały wojny, a biali najeźdźcy wciąż żyją i mogą zagrozić miastu. Tak, mogą zagrozić miastu! – dobitnie, z mocą powtórzył Zahred, spoglądając po zgromadzonych. – Najwyższa Rada nie wierzyła w to, gdy wylądowali na brzegu Wielkiej Wody. Najwyższy Montezuma nie chciał tego widzieć, gdy zapłonęła Cholula. Gdzie byli wojownicy Jaguara, kiedy biały wódz Cortés groził najwyższemu królowi śmiercią w jego własnym pałacu?! Co zrobili wojownicy Orła, gdy Montezuma stał w kajdanach,

patrząc, jak biały wódz pali na stosie hańby jego własnych poddanych?! Wstyd! Wstyd wam, po trzykroć wstyd i hańba, Meksykanie!

Zarówno Nochehuatl, jak i Huexoch skulili się po tak niespodziewanej publicznej reprymencie niczym smagnięci batem.

Reszta też stropiła się wyraźnie, zerkając po sobie niepewnie: ale przecież walczyli wszyscy? W każdym razie większość z nich... I przecież sam Xahuatl, który był teraz Huēi Tlahtoāni, przybył tu razem z Cortésem? Walczył po jego stronie, wraz z tamtym wyprowadzał związanego Montezumę z Pałacu Białych Trzcina...?

– Co zatem rozkaże Huēi Tlahtoāni? – bardzo dobrze odczytał intencję władcy Azcalxochipilli, zarządcy Błękitnych Kolibrów, który jako jeden z nielicznych członków obecnej Najwyższej Rady zasiadał też w poprzedniej.

Zahred potoczył po nich wzrokiem.

– Imperium Słońca żyje. Tenochtitlán nie upadło. Słońce jest z nami. Niech dopełni się obyczaj! Niech kobiety zamiotą place przed świątyniami, niech mężczyźni przygotowują jeńców na spotkanie bogów. Niech dzieci przyniosą kwiaty i owoce. Meksykanie będą świętować swoje pierwsze zwycięstwo nad białym wrogiem, a potem całe Tenochtitlán ujrzy swojego nowego Huēi Tlahtoāni!

Azcalxochipilli skłonił się nisko, dotknął czołem ziemi.

– Najwyższy mówi, Tenochtitlán słyszy.

Zgromadzeni pokiwali głowami z zadowoleniem: tak, to brzmiało rozsądnie.

Tego należało się spodziewać, tak właśnie powinien działać świat.

Może rzeczywiście okres zamętu dobiegał końca?



– Niech Itzli powie prawdę: jak bardzo jest źle?

Władca Domu Szeptów spojrział na Zahreda posepnie.

– Huēi Tlahtoāni pyta, więc Itzli odpowiada: bardzo.

Zahred prychnął, pokręcił głową i usiadł ciężko na rozłożonej pośrodku tarasu macie. Kefren od razu wcisnął mu się pod rękę, zawsze niesyty pieszczot.

– Najwyższa Rada to dzieci we mgle, idące boso po ostrych kamieniach – mruknął najwyższy król, patrząc na poczerńiałe od ognia domy i świątynie niegdyś tak wspaniałego miasta.

Itzli usiadł obok niego, nawet nie czekając na służbę, nalał *xocolatl* najpierw władcy, potem sobie. Upił łyk i z zadowoleniem mlasnął, smakując dobrze doprawiony napój.

– Najwyższa Rada to ludzie. Ludzi można nauczyć, wzmocnić... Wytresować. Zastąpić. – Spojrział na Zahreda.

– Itzli jednak obawia się czegoś więcej.

– Itzli widzi, co zrobił biały wódz Cortés miastu i imperium. Dowódca wojowników Orła mający czelność wstawać, gdy siedzi najwyższy król? Sięgający po broń?! – prychnął Itzli. – Za czasów młodości Itzlego jego głowa już tkwiłaby na ceremonialnym stojaku pod świątynią!

– Itzli chciał powiedzieć: za czasów Montezumy?

Władca Domu Szeptów spojrział na Zahreda z ukosa. Odwrócił wzrok, upił jeszcze łyk napoju. Zamieszał *xocolatl*, patrząc w zadumie na gęsty płyn w porcelanowej czarce.

– Za czasów sprzed tego, jak biały człowiek przyniósł ze sobą niepewność i zwątpienie – mruknął. – Montezuma był ostatnim królem dawnych czasów, a zarazem pierwszym



nowych. To nie przez Xahuatla i nie za jego rządów Mexikowie utracili szacunek do swojego Huēi Tlahtoāni.

– Xahuatl rozumie, co Itzli chce powiedzieć. Autorytet raz naruszony nie wraca nigdy do stanu wyjściowego.

– Złamana noga nigdy nie zrasta się tak samo prosta – rzekł Itzli.

– A nam przypadło w udziale być dla Tenochtitlán łubkami w okresie rekonwalescencji. Jeśli nagle zaczniemy wykrzywiać je tak, jak nam się wydaje, imperium może już zawsze kuleć. Albo i nie przeżyć eksperymentu.

– Biały wódz Alvarado wymordował podczas święta Toxcatl wielu dobrych wojowników. Nie ma już generałów ani dostojników dworu, najstarsi kapłani zginęli. Biały wódz Cortés pozbawił dwór Montezumy jego najbardziej doświadczonych ludzi. Nawet Itzli nie wie dokładnie, ilu jeszcze straciło życie przez ostatnie dwa tygodnie.

– Miasto w dużej mierze spalone, po centrum wokół wielkiego placu zostały gruzy – dodał Zahred. – Trupy w kanałach, poniszczone wodopoje... A my musimy myśleć nad ceremonią koronacji, żeby dać ludziom chociażby promyk nadziei.

– Najwyższy Montezuma wierzył w Xahuatla. – Władca Domu Szeptów uśmiechnął się.

– Zaś Xahuatl liczy na Itzlego – rzekł Zahred zupełnie poważnie.

Żaden z nich nie mówił już nic więcej, gdy siedzieli tak na tarasie Pałacu Białych Trzcin i patrzyli, jak słońce powoli sunie ponad wracającym do życia Tenochtitlán.

---

<sup>3</sup> Kto to taki?

<sup>4</sup> Precz! Wracać do pracy! Wielu dzielnych wojowników zginęło tej nocy. On jest już z bogami.



## Rozdział 7

**N**iech podejdzie ojciec, który prowadzi swojego syna!  
Niech zbliżą się obaj, niech staną przed obliczem bogów!

Pchnięty mocno w plecy Francisco de Saucedo zatoczył się i postąpił kilka kroków do przodu, krótkich i chwiejnych z powodu krępujących mu nogi powrozów z włókien agawy. Podniósł głowę i łypnął wściekle na stojącego przed nim kapłana o pomalowanej na czarno twarzy.

– Niech ojciec przyozdobi syna! – zawołał kapłan.

Trzymający koniec sznura zarzuconego panu de Saucedowi na szyję Mexik wyjął z kamiennej stągwi kij z dowiązanym na końcu wiechciem pakuł, maznął jeńca po piersi czerwoną farbą. Potem wyciągniętym z drugiego naczynia podobnym „pędzlem”, ale umoczone w białym barwniku, narysował mu kilka równoległych pasów na rękach i ramionach.

– Niech syn przyjmie sztandar, aby widać było, że zdąża ku niebiosom!

Jakiś inny dzikus podszedł do pana de Saucedo, wcisnął mu w dłoń papierową chorągiewkę. Ten popatrzył na nią zubożniałym wzrokiem, obejrzał się za siebie i wzruszył ramionami, widząc pytający wzrok stojącego za nim Laresa.

– Dzikusy zasrane... No już, już idę! – warknął, kiedy prowadzący go Mexik znów pchnął go w ramię, ku prowadzącym na szczyt piramidy schodom.

Podeszli tam, a potem zaczęli się wspinać.

Kilkanaście stopni przed nimi szli kolejni, widział plecy i migające białe stopy bodajże Muñozy i de Herrery.

Z tym pierwszym byli razem na szczycie świątyni po tym, jak cofnęli się z grobli. Tego drugiego złapali Indianie już w drodze, podobno przy samym brzegu jeziora.

Widział się wcześniej także z Alvarem Gonzálezem, który dostał się do niewoli jeszcze podczas wyjścia machin z pałacu Axayacatla.

Mignął mu w tłumie Pedro Sacristán.

Nie miało znaczenia, ani kiedy, ani jak tu trafili.

Nie było żadnego klucza: tchórze i bohaterowie, straż przednia i tylna.

Ci, co zostali w mieście, pospołu z tymi, co uciekali na samym przedzie wychodzącej z Tenochtitlán kolumny.

Oficerowie i prości żołnierze, szlachetnie urodzeni, herbowi, ludzie z gminu i prości chłopcy pospołu.

Wszyscy teraz dzielili tę samą dolę, wszystkich ich czekał ten sam los.

De Saucedo potknął się, byłby upadł, ale idący obok niego Mexik złapał go pod ramię, podtrzymał, pomógł wstać.

– Dz-dziękuję – odruchowo powiedział Kastylijczyk, uśmiechając się niepewnie.

– *Ka atlen*. – Wojownik kiwnął przystrojoną piórami głową, po czym pokazał palcem pod górę. – *Pano, nokoneuh*[5].

To było dziwne, myślał de Saucedo, wspinając się po kolejnych stopniach. Przecież to ten właśnie człowiek wziął go do niewoli. Pokonał w walce wręcz, wytrącił z mdlejącej ręki oręż... A potem nie zabił. Mało tego: nie pozwolił innym nawet go dotknąć. Stał przed zagnanym w róg de Saucedem, wymachując bronią i nie dając innym podejść.

Potem, fakt, zawlókł go tutaj, na plac przed świątynią, i wsadził do klatki, jak zwierzę. Siedzieli tam stłoczeni, przerażeni, głodni i zmarznięci. Aż rano przyszli Mexikowie, przynosząc im jedzenie.

Każdy dla swojego jeńca. De Saucedo dostał miskę z kilkoma kukurydzianymi plackami i kawałkami mięsa, a do popicia spory kubek rozwodnionego *pulque*. Inni nie byli żywieni tak dobrze. A do niektórych nie przyszedł nikt.

W sumie to chyba miał sporo szczęścia, że trafił właśnie do takiego, a nie innego człowieka.

Siedzieli tak ze trzy dni, aż wreszcie coś zaczęło się dziać. Wyciągnęli ich, rozebrali, obmyli. Jeszcze raz nakarmili, a potem po kolei podprowadzili do tego kapłana, który okadzał każdego z osobna, podczas gdy jego opiekun malował ciało w podłużne czerwono-białe pasy.

A teraz szli na szczyt piramidy.

– Aaaa... – zajęczał rozdzierająco pan de Saucedo, czując, jak w piersi wzbiera mu nagłym spazmem szloch.

Jakaś część jego umysłu domyślała się, co może stać się dalej. Coś w nim krzyczało i miotało się, kazało mu uciekać, walczyć, starać się za wszelką cenę wyrwać z tej sytuacji...

Ale jakaś inna część szeptała mu kojąco: przecież wszystko jest w porządku.

Nie dzieje ci się nic złego.

Jesteś tu bezpieczny.

Idziesz na górę, ktoś ci pomaga.

Wszystko jest w porządku.

On zaś szedł, wspinając się stopień po stopniu.

W pewnym momencie stanęli, gdy gdzieś wyżej, bliżej szczytu piramidy, wybuchło chwilowe zamieszanie.

Któryś z jeńców, chyba właśnie de Herrera, wrzasnął i zaczął się szamotać. Prowadzący go szarpnął powrozem, kilku idących po bokach każdej z par mężczyzn doskoczyło do jeńca. Wzniosły się i opadły drewniane pałki, ktoś złapał de Herrere za włosy i zaczął ciągnąć opornego, wierzgającego mężczyznę ku górze.

Idący obok pana de Saucedo wojownik położył mu dłoń na ramieniu.

– *Ka tikau, nokoneuh*[6]. – Pokiwał poważnie głową.

De Saucedo przywołał na twarz uśmiech, też skinął. Nie wiedział, co znaczyły słowa, ale mowa ciała była jasna: miał być odważny, nie pozwolić, aby zawładnął nim strach.

– *Padre nuestro, que estás en los cielos* – zaszeptał. – *Santificado sea tu Nombre...*

De Herrera zniknął, wciągnięty przez Mexików za krawędź platformy na szczycie piramidy. Muñoza obejrzał się na swojego dowódcę, skinął mu głową.

– *Ma tiyaskah!*[7] – pokazał ręką Mexik prowadzący de Saucedo.

Krok, krok, krok... Nogi bolały coraz bardziej, ale szedł.

W głowie miał tylko pustkę.

– *Venga a nosotros tu reino...*

Muñoza dotarł do ostatniego stopnia, zawahał się, bujnął w tył, ale pociągnęli go naprzód.

Zostało raptem kilka stopni. Może sześć, siedem?

Pięć.

– *Hágase tu voluntad...*

Cztery.

– *En la tierra...*

Trzy.

– *Como en el cielo...*

Dwa.

– *El pan nuestro de cada día dánoslo hoy...*

Jeden.

– *Perdónanos nuestras deudas...* – sapnął pan de Saucedo, wspinając się na ostatni stopień.

Podniósł wzrok i zmartwiał, gdy dotarło do niego, co widzi.

Z ołtarza właśnie ściągano to, co jeszcze przed chwilą było de Herrera.

Kilku Mexików odciągnęło broczący krwią strzęp człowieka na bok, gdzie stojący już z kamiennymi mieczami ludzie zaczęli rąbać go bez litości, oddzielając od korpusu ręce, nogi i głowę. Jeden z nich podniósł okaleczony zewłok, bezceremonialnie zrzucił z piramidy.

Stojący przed de Saucedem pan Muñoza wrzasnął, upadł na kolana.

Chciał odczołgać się w tył, ale stojący przy nim wojownik chwycił go za włosy, powlókł wierzgającego, wyrywającego się ku ociekającej krwią kamiennej płycie.

De Saucedo patrzył z jakąś ponurą fascynacją, jak ręce i nogi de Herrery lądują w kamiennych misach, już pełnych podobnych trofeów. W osobnej, wykutej w jadeicie, leżały wycięte z piersi serca. Głowy piętrzyły się ułożonym równo stosem.

Muñoza krzyknął jeszcze raz, a potem ktoś zdzielił go kamienną maczugą w głowę.

– *Como... como también nosotros perdonamos...* – jęknął de Saucedo, widząc wznoszący się nad tamtym kamienny nóż.

– *Ka tikau, konetl. In teomeh kateh chiaka*[8].

Bryzg krwi, mlask otwierającej się klatki piersiowej. Czerwony kształt w dłoni kapłana.

– *Como también nosotros perdonamos, como también nosotros perdonamos...* – powtarzał de Saucedo.

Ołtarz zbliżał się, rósł w oczach. Potem świat przekrzywił się, na chwilę pojawiło się nad nim błękitne niebo.

A potem zasłonił je ciemny kształt kapłana stojącego u wezgowia ołtarza ofiarnego.

– *Como también nosotros perdonamos* – po raz ostatni szepnął pan de Saucedo, zamykając oczy.



– Niech dzielny wojownik podejdzie! Niech zatańczy, niech pokaże, jak silne są jego ramiona i nogi! Niech zazna radości, na którą zasłużył!

– Niech zazna radości, o której nie ma pojęcia! – zawołała kobieta o mocno uczernionych oczach, szybkim ruchem podnosząc i opuszczając i tak przykrótką już opończę.

Axtli uśmiechnął się szeroko, niespiesznym krokiem ruszył ku stojącym w rogu placu pod Wielką Świątynią. Z nieskrywaną dumą przegarnął dłonią specjalnie przycięte włosy, będące widocznym dowodem jego męstwa i odwagi w niedawnej bitwie.

Bo tak właśnie było!

Dlatego Axtli szedł teraz z twarzą wymalowaną czerwoną ochrą, a jego skronie zdobiły dwie żółte plamy, które odcisnął mu tam palcami sam wysoki kapłan Huitzilopochtlego.

Gdyż Axtli nie tylko zabił wielu białych, ale też wziął dwóch do niewoli.

No cóż, PRAWIE dwóch: jednego ujął rzeczywiście sam, tego drugiego zaś złapali we trzech.

Dlatego też po tym, jak kamienne ostrza wyzwoliły Czerwone Gwiazdy tych, którzy na czas ceremonii stawali się jego synami, otrzymał z ciała pierwszego całe lewe udo, z drugiego zaś przypadło mu mniej zaszczytne prawe ramię.

Teraz dwaj schwytani biali trafili już do bogów.

No, z całą pewnością przynajmniej jeden z nich, ten, który nie wierzgał i nie wyrywał się kapłanom, tylko pokornie i spokojnie położył się na ołtarzu i odchylił głowę w tył. On z całą pewnością był teraz Towarzyszem Orła, wznosząc się coraz wyżej ponad miastem, aby w końcu na cztery lata zasiąść w towarzystwie samego Słońca, śpiewać tam wojenne pieśni i toczyć niekończące się Kwietne Wojny... A po upływie tego czasu powrócić na ziemię jako szlachetny koliber, najpiękniejszy z ptaków.

Axtli podszedł do grupki tańczących, rozmawiających i śmiejących się mężczyzn i kobiet.

Spowijający ludzi, plac i całe Tenochtitlán półmrok rozświetlały paleniska, pochodnie i łuczywa, przydające twarzom i ciałom dziwnego, onirycznego blasku; błyskały turkusowe krążki kolczyków w uszach, mieniły się wpuszczone w dolne wargi ozdoby, lały się kaskadami rozpuszczone włosy kobiet, haftowane spódnice zaś migotały i wirowały, gdy tancerki kręciły się wokół własnej osi.

– Niech zatańczy z nami – powtórzyła ta sama kobieta, patrząc na Axtlego. – Niech zatańczy, bo Citlalli brakuje towarzysza do trzech.

– Niech zatańczy z Citlalli i Xicotencatlem – odezwał się stojący do tej pory tyłem mężczyzna, odwracając się.



Axtli już, już miał coś powiedzieć, ale słowa na chwilę uwięzły mu w gardle: rozpoznał wodza wojowników z Tlaxcali i podobno brata samego Huēi Tlahtoāni. Szybko jednak zebrał się w sobie, potrząsnął hardo głową.

– Axtli potrafi tańczyć jak nikt inny!

– Niech zatańczą z Citlalli we dwóch! – Kobieta roześmiała się perliście, jako pierwsza ruszając w płas.

Xicotencatl zrobił ruch głową, dając młodemu Mexikowi znać: niech zaczyna.

Nie zamierzał przecież dać im poznać, że nigdy nie uczestniczył w czymś takim.

Był na to stanowczo zbyt wielkim wojownikiem.



– Tlaxcala pokonała Mexików! Tlaxcala pokonała białych!  
Teraz Tlaxcala jest największa i najsilniejsza!

– Tlaxcalaaaa!

– Tlaxcala pobiła białych! Wojownicy Tlaxcali zwyciężyli!

– Tlamskamla dużo zwycięstw!

Wojownicy popatrzyli po sobie. Któryś nachylił się do siedzącego pomiędzy nimi Rodriga, poklepał go po ramieniu.

– Tlaxcala.

– Tlamskamla – z przekonaniem powtórzył arkebuzer.

– Tlaxcala...

– Niech Yochichuitl nawet nie marnuje swoich sił – poradził Maxixcatzin. – W uszach białego jest za dużo miodu, a w głowie zbyt dużo *pulque*, żeby dał radę kazać językowi zrobić, co należy.

– Romdrigo nie biały! – potrząsnął głową tamten. – Romdrigo psijaciel, Romdrigo Tlamskamla!

Jeden z wojowników przysunął swoje przedramię do ręki Rodriga, porównał kolor. Inni roześmiali się: no tak, tak! Tamten miał jaśniejszą skórę... A to ci dowcip!

– Rodrigo nie jest biały – odezwał się nagle Maxcatl z ludu Otomi.

– A Maxcatl może nie jest Otomi?! – zarechotał Tihuatzin.

– Maxcatl jest Otomi. Rodrigo nie jest biały. Xahuatl nie jest biały.

Śmiechy cokolwiek ścichły, gdy wojownicy znów popatrzyli po sobie.

Tak, to był ten moment, w którym aparat poznawczy każdego z nich przestawał wystarczać do objęcia wszystkich implikacji sytuacji, która stawała się coraz dziwniejsza z miesiąca na miesiąc.

No bo kiedyś wszystko było jasne: oni byli z Tlaxcali, biali byli zza Wielkiej Wody. No a Maxcatl był z Otomi, ale to przecież całkiem odrębna opowieść.

Tlaxcala nienawidziła Mexików. Biali walczyli z Tlaxcalą. Tlaxcala nienawidziła białych.

Ale białych nie dało się pokonać, więc Tlaxcala przestała ich nienawidzić, a zaczęła lubić. Jednocześnie Tlaxcala zaczęła jeszcze bardziej nienawidzić Mexików i walczyć przeciwko Mexikom u boku białych.

Potem wyszło na jaw, że jeden z białych jest nie do końca biały, bo przychodzi do ich ogniska, rozmawia z nimi o ich bogach, zna ich język... I w sumie to przyjęli go jako jednego ze swoich. Przyjęli jako swojego.

Okazało się jednak, że biali polubili Mexików.

Na całe szczęście na krótko, bo potem biali uwięzili króla Mexików, więc Tlaxcala zatryumfowała nad Mexikami.

Ale jednocześnie okazało się, że wśród Tlaxcalteków jest nie jeden, ale dwóch takich, którzy kiedyś byli białymi. I że w sumie to Tlaxcala próbuje ochronić króla Mexików, którego uwięzili biali.

To jeszcze dało się znieść... Dopóki nie stało się tak, że biali zwrócili się przeciwko Tlaxcali.

Tlaxcala uderzyła na białych, których wcześniej lubiła. Uderzyła wraz z Mexikami, których wcześniej nienawidziła. I teraz wyzwolenie Tenochtitlán okazało się świętem Tlaxcali.

Jeden z Tlaxcalteków zaś był następnym Huēi Tlahtoāni.

I chyba na dodatek nieumierającym posłańcem bogów.

Więc im dłużej się o tym myślało, tym bardziej...

– Rodrigo nie jest biały – zaskrzypiał sędziwy Mecatli.

Wojownicy odetchnęli z ulgą: och, jak dobrze, że byli na świecie starzy ludzie! Zawsze kiedy człowiek zaczynał boleśnie myśleć, oni po prostu mówili, jak jest.

– Xahuatl jest Huēi Tlahtoāni – poważnie powiedział Maxcatl z Otomi.

– Huēi Tlahtoāni z Tlaxcali! – radośnie wrzasnął Tihuatzin, mocno już upojony *pulque*.

– Tlaxcala!

– Tlaxcala zwycięża!

– Tlamskala dumżo wamlka!

– Tlaxcala!

– Otomi!

Czarki wzniosły się wysoko, bryznęło rozchlapywane na ziemię *pulque*.

Ponad dachami nocnego miasta widać było rozjarzony ogniami masyw Wielkiej Świątyni, na której szczycie nadal trwały ciągnące się od rana obrzędy koronacyjne.



– Oto nadchodzi Ten, Który Jest! Niech uderzą bębny, niech zabrzmie gong! Bogowie, przodkowie i cienie królów, ujrzyjcie go! Dajcie mu siłę, oczyśćcie ciało i duszę!

Prowadzony przez dwóch dostojników, ubrany tylko w przepaskę biodrową Zahred wkroczył na platformę Wielkiej Świątyni. W zimnym nocnym powietrzu wciąż unosił się zapach krwi i strachu po trwających większą część dnia ceremoniach ofiarnych; ciężki, gryzący dym kadzidła wwiercał się w nozdrza, snując się gęstymi kłębammi z kamiennych mis.

Czekająca już na Zahreda procesja kapłanów otoczyła go, przejęła z rąk eskortujących do tej pory urzędników świeckich.

– Z nocy przybyliśmy, w noc odejdziemy! – zaintonował kapłan, malując ciało przyszłego najwyższego króla czarną farbą. – Nic z nami, nic w nas i nic po nas! Każdy staje nagi i bezbronny przed obliczem bogów!

– Nie ma oręża, nie ma tarczy przed obliczem bogów! – odpowiedzieli otaczający go akolici.

– Ścieżki życia wiją się i kręcą, ale zataczają zawsze koło!

– Każdy powraca tam, skąd przybył!

– Słońce wstaje, słońce świeci, słońce gaśnie!

– Lecz nigdy nie przemija!

Zahred był tam, ale zarazem obok tego wszystkiego.

Cały dzień postu i spożywania rytualnych wywarów przytępiły jego postrzeganie, sprawiając, że odbierał rzeczywistość z pewnym opóźnieniem. Ręce kapłanów dotykały go, robiono z nim rzeczy, siedł tam, gdzie go poprowadzono...

Ale jednocześnie czuł się niczym liść, który oderwał się od drzewa i teraz płynął gdzieś, nie wiedzieć gdzie, niesiony

prądem potężnej rzeki.

Całkowicie bezbronny i bezradny, ale też zupełnie bezpieczny.

Bezwolny, a przez to właśnie wolny.

Nie analizował. Nie zapamiętywał. Nie spinał się za każdym razem, gdy podchodził ku niemu ktoś z nożem.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pozwalał, aby rzeczy po prostu działały się wokół niego.

Nałożyli mu ciemny, gryzący kaftan bez rękawów.

Zasłonili twarz.

Narzucili na głowę kolejną opończę.

Do rąk wcisnęli jakiś kamienny, ale ciepły przedmiot, chyba czerpak z rozżarzonymi węglami, na których powoli żarzyło się kadzidło.

Wsunęli mu na nogi nowe, twarde jeszcze sandały ze skrzypiącej skóry.

– Niech pamięta, niech przyjmie do swojego serca, niech wie: porządek rzeczy ustanowiony przez ojców naszych nie powstał w ciągu poranka, popołudnia, wieczora ani jednego dnia! – rozległ się głos kapłana.

– Pamięta, przyjmuje i wie: porządek ojców był, jest i będzie – odparł Zahred wcześniej wyuczoną formułką.

– Niech wiadomym się stanie...!

Rozbrzmiały długim, przeciągłym jękiem trąby, głucho zawarczały bębny.

Odległym, wzbierającym niczym poszum odległego morza szmerem doleciał z dołu, od podnóża świątyni, zwielokrotniony okrzyk niezliczonych gardeł zgromadzonych na ulicach miasta ludzi.

Oto stało się, że Imperium Słońca witało nowego Huēi Tlahtoāni!

Podprowadzili go ku ofiarnej misie, którą Zahred widział niewyraźnie poprzez sploty wiszącej mu na głowie tkaniny. Ktoś zabrał mu czerpak z kadzidłem, wsunął w dłoń kolce agawy.

– Krew dla bogów, nektar dla słońca! – rozległ się głos kapłana.

– Krew dla bogów!

Zahred podniósł lewe przedramię, wbił długi, ostry kolec prosto w żyłę i rozwiерcił, żeby krew popłynęła strużką. Krople zasyczały, gotując się i wypalając na kamieniach.

– Niech noc ujrzy oblicze Najwyższego! Niech wzniesie się dym, niech zaćmi gwiazdy! Niech wiadome stanie się to, co nieznanne! Niech ukryte będzie jawne!

Ktoś szarpnięciem zerwał opończę z głowy Zahreda, obrócił go w tył.

– Oto stanie się! – Pachnący halucynogennymi grzybami oddech kapłana owionął mu twarz.

Nie drgnął nawet, kiedy kamiennym nożem przekłuli mu przegrodę nosa, aby wsunąć w nią złote kółko z zielonym szmaragdem. Potem nałożyli na ręce i nogi złote bransolety, na głowie umocowali wielki i ciężki od złota pióropusz, szyję okryli szeroką i grubą kolia.

Zahred zadrżał, gdy podali mu osadzoną na wyslizganym niezliczonymi dłońmi drzewcu kamienną włócznię.

– Oto on! Oto on! Oto on... Huēi Tlahtoāni!

– Huēi Tlahtoāni! – zakrzyknęli akolici.

Na samym skraju platformy świątynnej, wysunięty na drewnianym rusztowaniu aż poza jej krawędź, czekał już na niego ogromny, kapiący od złota, orlich piór i skór dzikich zwierząt tron.

Gdy podszedł do niego i usiadł, patrząc wysoko ponad miastem, Tenochtitlán eksplodowało radosnym wrzaskiem.



Siedzący w swoich komnatach władca Domu Szeptów oderwał się od raportu, nad którego odcyfrowywaniem ślęczał już tak długo. Uniósł głowę, wprawnym uchem łowiąc i odczytując nastrój wrzawy. Uśmiechnął się sam do siebie.

Wstał, na chwilę zostawiając swoje sprawy, i podszedł do krawędzi tarasu, na którym tak lubił pracować nocami. Z uśmiechem spojrział na odległą Wielką Świątynię, obok samego szczytu której widział wyraźnie skrzący się złotem punkcik ceremonialnego tronu.

A zatem dokonało się.

Wbrew wszelkim przeciwnościom losu, woli złośliwych bóstw, częściowo obyczajom i zwykłemu prawdopodobieństwu i rozsądkowi – Tenochtitlán obroniło się, odrzuciło białych najeźdźców i miało nowego najwyższego króla.

No cóż, to najwyraźniej była ta łatwiejsza część, a prawdziwe żonglowanie obsydianowymi mieczami zacznie się teraz.

Itzli postął tak jeszcze chwilę, próbując wczuć się w radosny, podniosły nastrój chwili.

Nie odniósłszy jednak w tym wyczuwalnych sukcesów, wrócił na swoją matę i pochylił się nad raportem spisany trzy dni temu przez wysłanego z armią Cuitláhuaca informatora.

– „Niech będzie więc wiadomym, że wielce wysoki Cuitláhuac bez wytchnienia ściga armię uchodzącego białego wodza Cortésa. Wojownicy...” – Itzli pokręcił głową, patrząc na nieczytelne bazgroły. – „Wojownicy zajęli... myśleli... Minęli! Wojownicy minęli już Citlaltepec...” Minęli Citlaltepec!

Odchylił się w tył, sapnął gniewnie.

Minęli już Citlaltepec! To znaczyło chyba tylko tyle, że Cuitláhuac był nie tylko nieposłuszny rozkazom i nazbyt butny, ale też niespełna rozumu, że jeszcze ich nie zaatakował!

Oczywiście, że od razu posłano jego śladem dodatkowych wojowników, tak jak nakazał to Xahuatl. Zresztą już o to była niemała awantura, bo dowódcy byli przeciwni temu, żeby wysyłać kogokolwiek więcej. Ale co z tego, że wojownicy wyszli z miasta i ruszyli śladem białych, jeśli Cuitláhuac zostawił swoją straż tylną na przełęczy w Calacoayanie, nie przepuszczając wąską drogą nikogo innego?!

Naturalnie, dowódca wysłał już do Tenochtitlán skargę, a Xahuatl posłał w drogę powrotną swoją odpowiedź wraz z glejtem, nakazując, aby wojska natychmiast przepuszczono.

Co jednak z tego, jeśli czas uciekał? Przez blokadę mogli przedostawać się tylko posłańcy z pismami do Itzlego.

Było więcej niż oczywiste, że nierozsądny Cuitláhuac pragnął zostawić dla siebie chwałę tego, który rozgromi armię białego wodza Cortésa – a potem wrócić do Tenochtitlán i rzucić wyzwanie Xahuatlowi.

To zaś było scenariuszem, na który Itzli nie mógł sobie pozwolić.

Sięgnął po świeżą kartę, umoczył pędzelek w barwniku.

– „Słowa Itzlego do jego sługi, Tizoca, oby bogowie zachowali go w zdrowiu...” – zamruczał do siebie, stawiając rzędkę znaków.



– Panie... Ja już dłużej nie dam rady.



Cortés postąpił jeszcze dwa chwiejne kroki, zatrzymał się. Obejrzał na idącego za nim giermka.

– Bzdura, de Coria. Nie jesteście jakimś tam słabeuszem. No dalej, naprzód!

– Panie, ja naprawdę... Ja dalej nie idę. Nie mam siły.

Caudillo już otwierał usta, żeby rzucić kolejnym wyświechtanym frazesem, podbudować nadwątlone morale młodzika, odwołać się do honoru, etosu rycerskiego, wierności wobec króla, Boga i wszystkich Jego świętych. Ale po prostu machnął ręką, odwrócił się i poczłapał dalej.

Sam też nie miał siły.

Sam też nie był już w stanie iść dalej.

Miał tego wszystkiego dość i w skrytości ducha żałował, że nie zginął tam, te kilka nieskończenie długich dni temu, podczas przeprawy.

A mimo to przestawiał nogi i maszerował.

Szli niczym jakiś pochód upiorów.

Słaniający się na nogach ze zmęczenia, ledwie przytomni z niewyspania, omdlewający z upływu krwi, wstrząsani dreszczami włączającego w rany zakażenia i gorączki.

Nie było takiego poranka, południa, popołudnia, wieczora i nocy, żeby ktoś nie umarł.

Z początkowych czterech setek, które dały radę opuścić Tenochtitlán, zostało ich raptem trzystu czterdziestu.

Prawie połowa koni padła albo zginęła po drodze. Pełnokrwistych, bojowych rumaków mieli tyle, że dało się je policzyć na palcach jednej ręki. Nawet widoczna teraz z przodu doña Marina jechała na oklep na jucznej chabecie, kiwając się i przysypiając podczas jazdy.

Gdy Cortés oglądał się za siebie, widział na szlaku, którym przeszli, błyszczące w słońcu hełmy, kawałki pancerzy,

pakunki. Lśniące w przydrożnej trawie złoto, które ludzie ukradkiem, kawałek po kawałku wytrząsali z sakiewek i toreb.

Gdziekolwiek się pojawili, zastawali opuszczone domostwa i zagrody. Miejscowi uciekali na sam ich widok – a gdy się pojawiali, to tylko po to, żeby nękać ich ciągłymi atakami.

No i na domiar złego szła za nimi armia; tego Cortés był już więcej niż pewien.

Przednie straże i wysunięte czujki tamtych podsuwały się ku ariergardzie kolumny, szarpały oddziały tyłowe i bezlitośnie odławiały maruderów. Wąwozy i ścieżki pełne były zasieków z kolczastych gałęzi, które Kastylijczycy musieli rozbierać gołymi rękami.

Od kilku dni nie mieli co jeść.

Owszem, ojciec de Olmedo odprawił mszę polową i zapowiedział ludziom, że teraz podejmują wszyscy wysiłek umartwiającego, oczyszczającego postu. Ubrał to, rzecz jasna, w jakieś piękne frazesy, podpiął nawet pod zbliżające się święto Matki Boskiej Zielnej czy innego tam Wniebowzięcia Najświętszej Panienki. Udzielił rozgrzeszenia, pobłogosławił.

Tylko co im po tym, skoro każdemu kiszki marsza grały?

Żywili się, czym tylko dawali radę. Polowali na ptaki i drobne gryzonie, zbierali i próbowali warzyć miejscowe trawy i pędy. Więcej było z tego szkody niż pożytku, bo kilku zatrulo się paskudnie, a jeden zmarł z powodu skrętu kiszek.

Nie upadli jeszcze na tyle, żeby ćwiartować padłe konie, ale już teraz za każdym widocznie słabszym zwierzęciem szła grupka ludzi, których zamiarów można się było tylko domyślać.

Jeszcze dzień, jeszcze dwa takiego marszu i Indianie nie będą musieli brać ich walnym bojem...

Cortés zatrzymał się nagle.

Obejrzał się na de Corię, który po prostu usiadł pod przydrożnym drzewem i siedział tak, patrząc tępo na

mijających go towarzyszy.

– Stać – powiedział caudillo matowym, nieledwie głośniejszym od szeptu głosem. Odchrząknął, podniósł rękę. – Stać!

Idący kawałek przed nim Clamecahua spojrział na białego wodza, rozłożył ręce: co się stało?

– *Otumba ka amo uehka! Timonekh ya!*<sup>[9]</sup> – Pokazał w kierunku, gdzie prowadził szlak.

Cortés machnął tylko dłonią. Nie znał języka, ale domyślał się z kontekstu: tak, do Otumby nie było już daleko, powinni iść dalej.

Tylko po co? Co im to niby da?

– Panie? – Podszedł do niego de Ordaz. – Co się stało? Nie ma jeszcze południa nawet...

– Nieważne. Tutaj ich przyjmujemy bojem. Wydajcie ludziom rozkazy.

– Pogotowie bojowe! – od razu krzyknął ile sił w płucach niezastąpiony del Corral.

– Pogotowie bojowe! – ktoś podłapał zawołanie.

– Co?! Panie, z całym szacunkiem, ale to szaleństwo! Jesteśmy wśród pustkowia, nie ma tu nawet o co oprzeć flanki.

– De Ordaz rozejrzał się po niegościnnym, kamienistym płaskowyżu.

– Tak.

– Mamy wydać im walną bitwę? Całej armii? Ludzie są słabi, zmęczeni.

– A jacy będą dziś wieczorem, Diego? Jutro rano? Pojutrze?

– Cortés uśmiechnął się smutno. – Czas nie działa na naszą korzyść. Jeśli mamy walczyć, to im prędzej, tym lepiej. Dlatego mówię: teraz.

– Matko święta... Wy mówicie poważnie? – De Ordaz złapał się za głowę.

– Jak Bóg na niebie.

– Jezu, Jezu... Szaleństwo, czysty obłąd... A, raz kozie śmierć. Pogotowie bojowe! – krzyknął de Ordaz do resztki swojej chorągwi. – Postój, odpoczynek, ale zbroić się! Pancerze, piki... Składać kusze, ładować arkebuzy!

Niemrawo, niczym muchy w smole, ludzie zaczęli zrzucać na ziemię pakunki. Zaklekotały pancerze, brzęknęły resztki wyposażenia.

Armia duchów szykowała się na swój ostatni bój.



Kiedy biegacze wrócili z wieścią, że kolumna białych zatrzymała się o pół dnia drogi od Otumby, wielce wyniesiony Cuitláhuac nie skrywał swego zadowolenia.

– Teraz najeźdźcy nie ujdą przed gniewem Mexików! – Klasnął trzykrotnie w ręce, aby podkreślić wagę swoich słów. – Niech wojownicy będą w gotowości, niech nogi niosą ich szybko ku wrogom! Ołtarze Tenochtitlán spłyną krwią białych, bogowie uradują się z darów wielu Czerwonych Gwiazd!

Im bliżej jednak jego armia podchodziła ku dolinie, po drugiej stronie której mieli zatrzymać się biali, tym bardziej myśli wielce wyniesionego spowijały czarne chmury wątpliwości.

Słyszał już wcześniej o tym, jak bardzo przebiegły jest biały wódz Cortés.

Wojownicy opowiadali o tym, jak to raptem kilku białych potrafiło pokonać dwie, trzy, cztery dziesiątki, albo i setkę zaprawionych w boju mężczyzn.

Poza tym jakkolwiek Cuitláhuac nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą, to na myśl o czarnych rurach, które tamci kierowali ku atakującym ich ludziom... No cóż, czuł nie strach, bo Cuitláhuac nie znał strachu. Natomiast w żołądku robiło mu się ciasno, a ręce i nogi słabły.

Na pewno wynikało to z czarów, którymi biali zaklinali w środku dym i ogień. Cuitláhuac zaś nie miał ochoty w taką rurę spojrzeć.

No i cały czas miał z tyłu głowy podejrzenie, że biały wódz Cortés ukrywał w zanadrzu jakiś kolejny podstęp.

A co, jeśli tamten zdążył dotrzeć już do Otumby i przekonać magią jej władcę, żeby ten dał mu swoich wojowników? Albo po raz kolejny zajął pozycję na magicznie ufortyfikowanym wzgórzu, jak miało to miejsce pod Tlaxcalą?

Dlatego też Cuitláhuac doszedł w końcu do bardzo prostego, ale zarazem genialnego wniosku, który nie mieszkając wcielił w życie.

– Wyniesiony Matlatzincátzin dostąpi zaszczytu poprowadzenia armii Cuitláhuaca do zwycięstwa! – obwieścił podczas narady dowódców.

Pełniący zaszczytną rolę wielce szanowanego kobiecego bliźniaka *cihuacoatl* Matlatzincátzin otworzył szeroko usta i oczy, zdumiony tak nagłym wyróżnieniem i zaszczytem, po czym padł na twarz i uderzył czołem o ziemię u stóp Cuitláhuaca.

– Brat Cuitlahuatzina nie zawiedzie go! – wyrzucił z siebie na jednym tchu. – Wojska Mexików zatryumfują, biali najeźdźcy zginą!

– Niech *cihuacoatl* Matlatzincátzin rusza, niech stanie się wola bogów! – Cuitlahuatzin uroczyście wzniósł ręce, dając znak do rozpoczęcia świętego dzieła bitwy.

Kiedy poszczególne sztandary jęły powoli ciągnąć ku dolinie, pokazując kierunek wojownikom z danych oddziałów, wielce wyniesiony Cuitlahuatzin zaplótł ręce na piersiach z wyraźnym ukontentowaniem.

Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, to nie tylko pozwoli wykazać się swojemu młodszemu kuzynowi jako dowódcy, ale też zaskarbi sobie jego wdzięczność i umocni pozycję jako głowa rodziny.

Poza tym gdy wrócą do Tenochtitlán, to właśnie jemu, Cuitlahuatzinowi, przypadnie zaszczyt bycia tym, kto ruszył za białymi i ostatecznie rozgromił ich armię.

Jeżeli natomiast biały wódz Cortés jakąś magiczną sztuczką da radę się obronić i zada Meksykom kolejny cios... No cóż, nikt nie będzie mógł wtedy powiedzieć, że była to wina Cuitlahuatzina, bo to przecież nie on stał na czele wojowników.

Tak, będzie dokładnie tak, jak powiedział. Powiedział to przecież dokładnie po to!

Niech stanie się wola bogów.



– Idą... Idą na nas! Alaaarm!

– Alarm, idą! Do broni!

– Nadchodzą! Panie, nadchodzą...

Cortés zerwał się z koca, rozejrzał dzikim, na poły jeszcze niewidzącym spojrzeniem, wciąż zamglonym po nerwowej, płytkiej drzemce. W końcu zdołał zogniskować wzrok.

– O matko! – wyrwało mu się.

Zza szczytu pobliskiego wzgórza wylewało się całe mrowie wojowników.

Musiały ich być setki... tysiące! Malowane tarcze i pancerze z barwionej bawełny migotały w słońcu całą feerią kolorów, wielobarwne wstęgi i pióra łopotały w podmuchach wiatru, upodabniając armię do roju ptaków albo fantastycznych zwierząt.

Tak, były tam i szpony, i pióra. A niosące się echem odbitym od kamienistych ścian doliny okrzyki, pohukiwania i hałkowanie aż nadto dobitnie mówiły caudillovi, jakim pokarmem się ta menażeria chciała pożywić.

– Szyk! – zawołał de Alvarado jako pierwszy. – Do mnie, na Boga... Pokażemy tym dzikusom, jak walczą potomkowie el Cida, de Guzmána i el Pilósa!

– Szyyyyk! – krzyknęli razem panowie de Ordaz i de Tapia.

– Do mnie, kto w Boga wierzy! – zapiał de Sandoval, zamiast występować ku wrogowi, cofający się pomiędzy swoich.

– Napinać cięciwy! Bełty szykuj, orzechy sprawdź, czy co tam się u was robi... Żadnego strzelania na wyczucie, jak to żeście przywykli! Jeden pocisk, jeden trup! – poniosło się wołanie pana de Usagrego, który z racji braku prochu przejął komendę też nad kusznikami. – I pamiętać mi, że ja nie wołam „szyj”, tylko „ognia”, bo szyją to u nas kaletnicy i szewce!

– Zabrać konie na tył, nic nam nie dadzą! – warknął Cortés.  
– Panie de Lugo, dawajcie tutaj psy do mnie. Nakładać im obroże z kolcami, poszarpcie je porządnie na smyczach, niech się rozochocą!

– Ja pierdolę, ależ ich, kurwa, najebało! – gdzieś z tyłu rozległ się głos pana Portocarrera.

– Będzie się działo, panowie... Zaszczycem było walczyć u waszego boku, mimo że mało kto z was potrafi walczyć, jak na kobietę przystało! – zaśmiała się pani d'Estrada, wychodząc dwa kroki przed szereg z dwiema szpadami i oddając

przeciwnikom zbiorowy rycerski salut, niczym przed pojedynkiem.

– Hernán...

Cortés odwrócił się, spojrział w oczy doñi Mariny. Objął ją, przywarł do niej w desperackim, chciwym pocałunku.

– Niech się dzieje wola Boża – mruknął, odrywając się od jej ust.

– Niech dzieje się wola bogów – szepnęła, gdy odwrócił się do niej tyłem i zawiązując troki hełmu, ruszył ku szeregowi.



– Śmierć białym najeźdźcom!

Pierwsza linia Mexików runęła na konkwistadorów niczym wbijająca się w spokojny brzeg spieniona fala powodzi.

Kamienne buławy, miecze o tnących niczym brzytwa ostrzach z obsydianu, kamienne i miedziane siekierki, włócznie długie i krótkie, strzały, kamienie, zaciśnięte pięści i ręce niczym szpony spadły na głowy i ramiona Kastyljczyków, na nieskończenie długą chwilę nakrywając ich wirującą, kłębiącą się nawałnicą.

Ludzie zmieszali się, splątali w jedną wyjąca, krzyczącą, charczącą masę rąk i nóg, dziko wykrzywionych twarzy i rozwianych włosów.

– Nie dać rozerwać szyku! Trzymać się razem! – ponad wrzawę wybił się głos pana de Grada. – Włócznie... Włócznie z drugiego szeregu, pilnować przerw!

– Kusze, ognia! Arkebuzy, szyj! To jest, tfu...! – rozległa się nieskładna komenda, a chwilę po niej zagrały nierównym



chórem nieliczne rusznice i sucho szczęknęły spuszczone cięciwy kusz.

– *Santiago...!*

Caudillo Hernán Cortés patrzył z przerażeniem, jak masa wojsk dzikusów powoli otacza skrzydła jego niewielkiego zgrupowania obronnego.

Przewaga liczebna wroga była co najmniej kilkukrotna. Gdyby nie porozstawiani pomiędzy oddziałami Tlaxcaltekwie od Clamecahuy, nie mieliby żadnych szans.

Indianie atakowali jak opętani, nie zważając na własne bezpieczeństwo: rzucali się wprost na groty pik, nadziewali sami na sztychy mieczy, biegli pod lufy arkebuzów, byle tylko dosięgnąć znienawidzonego przeciwnika.

Jego ludzie odruchowo cofali się, zbijali w coraz ciasniejszą grupkę, na dobrą sprawę dźgając już tylko sztychami broni i chowając się za tarczami.

To nie była bitwa obronna, tylko ostatnia reduta.



Cuitlahuatzin z zadowoleniem spoglądał ze szczytu wzgórza na panoramę bitwy.

Biali stłoczyli się niewielkim, nieregularnym okręgiem w połowie wysokości zbocza dolinki, okrążani teraz ze wszystkich stron przez oddziały Mexików.

Miotane zręcznymi dłońmi wojowników dziryty i kamienie raziły najeźdźców.

Strzały puszczone z łuków leciały wysoko i celnie, pewnie trafiając w łatwy cel.

Gdzieś tam, daleko, widział niespokojnie rzucające się wielkie jelenie, które służba białych usiłowała utrzymać z dala od mieczy wojowników Imperium Słońca.

Tak, były jeszcze potężne, włochate psy, które skakały w sam środek oddziałów Mexików, rozganiając wojowników na boki swoimi ostrymi zębiskami i pazurami.

Ale to wszystko było nieistotne w obliczu przewagi, jaką mieli nad najeźdźcami.

Stojący na niewielkim wzgórzu, ubrany w kolorowy strój dowodzącego wojskami *cihuacoatl* Matlätzincátzin pewnie wydawał rozkazy, które od razu przekazywało oddziałom jego czterech przybocznych z wysokimi sztandarami.

Ta bitwa była wygrana, jeszcze zanim się zaczęła.



– Jezus Maria, pomocy! – wrzasnął pan Ordóñez, kiedy dwaj dzicy chwycili go, wyciągnęli z szeregu i zaczęli wlec po ziemi.

Chciał machnąć mieczem, próbując ciąć któregoś, zrobić cokolwiek, lecz brakowało mu już siły, żeby zrobić to jak należy.

Wierzgnął słabo, ale nic to nie dało.

Chciał złapać się czegoś, ale zaszorował tylko rękoma po kamieniach, łamiąc dwa paznokcie.

Wrzasnął ponownie, widząc, że kolejni dzicy już wyciągają ku niemu łapska.

Oczyrna duszy już widział się na ołtarzu ofiarnym z wyciętym sercem...

I wtedy jeden z tamtych zatoczył się w tył, plując krwią.

Kolejny odskoczył, ale nie dość szybko – cięcie pałasza rozharatało mu ramię tak, że spod mięsa wyrzała kość.

Ktoś przeskoczył nad leżącym Ordóñezem, inny złapał go pod rękę, zaczął podnosić.

– No już, Diego, wstawaj! Hop na nogi... Ranny jesteś?!

– N-nie... Chyba nie... – Ordóñez z niedowierzaniem popatrzył na Mateo Gálveza, z którym razem zaciągali się na Hispanioli na wyprawę. – Jezu, byłiby mnie...

– Ale cię nie, Diego! No już, wracamy do naszych. Masz szczęście, że cię nie zadźgali po prostu!

– Tak – sapnął Ordóñez, sam nie do końca rozumiejąc, czemu jeszcze żyje.



*Cihuacoatl* Matlatzincátzin wzniósł swój miecz *macahuitl* wysoko nad głową, a potem opuścił równoległe do ziemi, wskazując kierunek natarcia.

– Niech wojownicy środka atakują centrum! – zawołał donośnie. – Tamci są zmęczeni, zaraz ulegną. Śmierć białym najeżdźcom!

– Śmierć białym najeżdźcom!

Stojący obok Matlatzincátzina dowódca oddziałów środka armii obrócił się nieco w lewo i pochylił; przytwierdzony do jego pleców sztandar na drewnianej ramie wskazał wprost na broniących się białych.

Kolejna grupa Mexików krzyknęła radośnie i ruszyła naprzód, gotowa uderzyć na wrogów.

Matlatzincátzin zerknął w bok, tam gdzie w otoczeniu specjalnych opiekunów kwiatów stali, leżeli i siedzieli na ziemi

już pojmani jeńcy. Ich liczba wciąż rosła. Co prawda nadal było tam o wiele więcej bezwartościowych Tlaxcalteków niż białych... Ale przecież bitwa dopiero się zaczynała!

Z lubością przymknął oczy i wystawił twarz ku przyjemnie łaskoczącym promieniom słońca, stojącego wysoko w zenicie ponad doliną.



– Panie... Nie damy rady dużo dłużej! – sapnął de Ávila, doskakując do Cortésa.

Caudillo oderwał usta od bukłaka, podał mu naczynie. Tamten chciwie przyssał się do szyjki, pociągnął kilka łyków. Zakrztusił się, zgiął wpool.

– Raport! Nie żadne defetystyczne skamlenia – wycharczał Cortés. – Raport!

– Jaki raport, panie?! Tu jest ich przecież mrowie! Ze wszystkich stron... U mnie kilku już leży, każdy ranny!

– Ludzie dupą już dech łapią – odezwał się z boku de Portocarrero, który też wycofał się na moment, żeby złapać chwilę wytchnienia.

– No więc trzeba przy nich być... Do boju! – rzucił Cortés, znów naciągając hełm i przepychając się pomiędzy stłoczonymi ludźmi ku pierwszej linii.

Słońce prażyło niemilosiernie, żar lał się z nieba. Pył podnosił się spod nóg walczących, wciskał w nozdrza, drapał w gardłach i osiadał na rzesach. Chrzęściły kamienie, w powietrzu nieustannie świszczwały strzały, zaćmiewające niebo.

– Przynajmniej będziemy walczyć w cieniu! – wrzasnął caudillo, skacząc ku pierwszemu szeregowi i uderzając na oślep mieczem. – *Santiago y cierra, España!*

Jego świat zawęził się do wąskiego wycinka rzeczywistości: rondo hełmu, rant tarczy, lśniąca klinga. Łomotanie krwi w skroniach, brzęk uderzających o pancerz kamieni.

Stłumione, jak spod wody, wołania towarzyszy.

Cały czas napierający, szturmujący na nich dzicy.

„Przynajmniej będziemy walczyć w cieniu” – kołatała mu w głowie fraza z jakiegoś antycznego autora. O czym to było? Termopile chyba... I oni stali teraz jak Spartanie Leonidasa, walcząc przeciwko ordzie dzikich Persów.

Albo jak żołnierze Aleksandra pod Gaugamelą, na kamienistej równinie stawiający czoła temu samemu, ale stukrotnie liczniejszemu wrogowi.

I tak jak Aleksander...

...

Cortés ciął jeszcze raz, wrzasnął dziko, a potem nagle wycofał się. Przepchnął się tyłem przez szereg, wy dostał na wolną przestrzeń za walczącymi, gdzie stały resztki ich taboru i leżeli ranni.

– Hernán, panie! Jesteście ranni?! – Doña Marina rzuciła się ku niemu.

Potrząsnął głową.

– Nie, nie... De Coria! De Coria, gdzie jesteś, do cholery... Konia! – Obrócił się wokół własnej osi, szukając wzrokiem giermka.

W końcu, nie widząc go nigdzie, sam podbiegł ku jednemu z jucznych zwierząt, wgramolił się na niewygodną, twardą kulbakę. Usiadł, łapiąc stopami nazbyt krótkie strzemiona, i wyprostował się, podnosząc jak najwyżej.

Przysłonił oczy od słońca, otarł z czoła lejący się pot. Zamrugął, zmrużył powieki.

Tam.

Tam, w oddali, na pagórku.

Ponad głowami, za plecami niezliczonej liczby Indian.

Kilka kolorowych, jaskrawych punkcików pobłyskujących złotem.

Poczuł, jak i tak już walące niczym młotem serce uderza jeszcze mocniej.

– De Ordaz! – zawołał dzikim głosem. – De Ordaz, do mnie! De Sandoval, Olid, de Alvarado i de Salamanca, bywajcie tutaj! Konie! Siodłać, szykować konie!

– Panie, co się dzieje?! – Jako pierwszy z szyku wypadł wyciągnięty przez towarzyszy de Ordaz, zawsze uważny i baczny na to, co dzieje się wokół niego.

Cortés nachylił się z kulbaki, jednocześnie łypiąc wciąż ku temu, co zobaczył.

– Diego! Jak pod Gaugamelą, pamiętasz?!

– Gdzie?

– Pod Gaugamelą, z Aleksandrem!

– Hernán, na Boga! Nie mogę pamiętać, bo to było tysiące lat temu! – De Ordaz zaśmiał się nerwowo. – Coś ty znów...?!

– Zostajesz z piechotą! Zbierz wszystkich naszych *rodeleros* z mieczami i puklerzami, niech złapią chwilę odpoczynku. A ja ruszam z szarżą kawalerii!

– W imię Ojca i Syna... Hernán, oszalałeś!

– Nie, nie do końca! Olid, de Sandoval, na koń, żywo! Wsiadajcie, panowie, poprowadzę was ku naszej chwalebnej szarzy!

– Co się dzieje? – spytał de Alvarado, który dopiero co wypadł z szyku.

– Będziemy w błędnych rycerzy się bawić! – ponuro zarechotał pan de Salamanca, wspinając się na stanowczo zbyt małego dlań konia. – Caudillo nas poprowadzi do walki... Zawsze chciałem dobrze zginąć, ale nie aż tak szybko!

– Nikt nie zginie, panowie, daję wam moje słowo! – zakrzyknął Cortés. – De Ordaz! Jak tylko będziesz gotowy, bierz *rodeleros* i uderzajcie na prawą flankę Indian!

– Na ich... – De Ordaz aż się zachłysnął. – MY mamy uderzyć na ICH prawą flankę?!

– Całą mocą, Diego! Jak najdalej, jak najszerzej. Powiadam wam, panowie, urządzimy im Gaugamele!

– Gargamelle chyba, tę od olbrzyma Pantagruela – jęknął de Alvarado.

– W imię Boże, panowie! Naprzód!

– *Rodeleros!* – wrzasnął de Ordaz. – Za mną!



Kiedy *cihuacoatl* Matlatzincátzin ujrzał, że niewielka grupka białych próbuje wyrwać się z okrążenia i przebić przez wojowników na lewym skrzydle, na jego twarz wypełził tryumfujący uśmiech.

Walczyli tutaj już od rana, a dochodziło popołudnie. Liczył na to, że bitwa będzie ciągnąć się do wieczora, a zmęczeni biali po prostu ulegną.

Teraz jednak widział, że starcie będzie o wiele krótsze.

– Niech wojownicy środka atakują w lewo! – Machnął mieczem. – Niech przejdą tam wraz z wojownikami lewej ręki!

Dwa sztandary przesunęły się i pochyliły, dając sygnał do przemieszczenia jednostek.

Fala wojowników zaczęła przesuwać się ku lewej stronie, aby okrążyć i zmiażdżyć odizolowaną grupkę nierozsądnych białych.



– Hyah! Hyah, naprzód, wio! Hyaaaa! – zawył Cortés, spinając konia ostrogami.

Nienawykłe zwierzę aż kwiknęło i rzuciło się w przód, niemalże zrzucając go z grzbietu, ale on jakimś cudem dał radę chwycić się przedniego łęku ręką z tarczą. Pocięte uderzeniem kamiennego miecza palce zapiekły, a caudillo aż zaskamlał. Ale utrzymał się, nie spadł!

Wygłopotowali spomiędzy szyków Kastylijczyków, bez trudu roztrącając zaskoczonych Indian.

Przez chwilę pędzili przez otwartą przestrzeń.

„Pędzili”, ha!

Juczny koń raczej podtruchtywał, co chwila gubiąc krok i potykając się, twarda kulbaka niemiłosiernie tłukła caudilla w sempiternę, a on podskakiwał w zdecydowanie nieepicki i całkowicie nierycerski sposób, z gracją worka rzepy waląc pośladkami i zapewne odbijając wierzchowcowi nerki...

Ale wyrwali się i teraz gnali ile tylko mogli ku szeregom Indian!

– *Santiago y cierra, España!* Ju-huuu! – radośnie krzyknął de Alvarado, galopujący obok niego w pełnym dosiadzie, z włócznią wzniesioną wysoko nad głową.

– *Santiagoooo!* – zawył doganiający ich de Olid.

Pierwsi dzicy po prostu rozbiegli się przed nimi, pierzchając na boki. Kolejni odskakiwali im z drogi albo stali



jak oniemiały, pozwalając, żeby szerokie końskie piersi powalały ich na ziemię.

– Jak dzieci! – krzyknął de Ávila. – Żadnego drylu, żadnego szyku, nic! Idziemy jak przecinak!

Zamykający ich niewielką kawalkadę de Salamanca zaśmiał się, skręcił w bok i niemalże od niechcienia nanizał na lancę jakiegoś Mexika, po czym strząsnął ciało na bok.

Cortés jednak jechał ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt – tam, gdzie na wzgórzu stali ubrani w kolorowe, strojne piórami pancerze dowódcy ze sztandarami.



*Cihuacoatl* Matlatzincátzin zdumiał się, widząc, jak spomiędzy szyków białych najeźdźców wyłaniają się wielkie jelenie z jeźdźcami w błyszczących pancerzach.

Biali musieli być niespełna rozumu, żeby oddzielać się teraz od większej grupy. Przecież wojownicy bez trudu zrzucą ich z grzbietów zwierząt, zatrzymają włóczniami, naszpikują strzałami!

A jednak biali jechali dalej.

Wojownicy rozstępowali się, pierzchali przed nimi.

Ci, którzy stawali im na drodze, po prostu przewracali się albo próbowali uderzać, lecz nie trafiali w jeźdźców.

Strzały odbijały się od pancerzy.

Kamienie niegroźnie uderzały o lśniące hełmy.

Biali na wielkich jeleniach zaś jechali i jechali.

Dopiero co widoczni jako malutkie sylwetki, teraz rośli w oczach.

I z każdą chwilą byli coraz bliżej.



Cortés widział przed sobą dowódcę, stojącego w otoczeniu oficerów.

Dzielił ich raptem jeden szereg wojowników.

Tak musiał czuć się Aleksander podczas bitwy pod Gaugamelą, gdy jego prawe skrzydło odciągnęło na bok ciężką kawalerię Persów, macedońska jazda zaś wpadła w powstały wyłom, aby dostać się do dowodzącego bitwą króla Dariusza.

Tylko że caudillo Hernán Cortés nie był Aleksandrem Wielkim. Tamten nie dał rady zbliżyć się do rydwanu Wielkiego Króla.

– *Santiagoooo!* – ryknął na całe gardło, wpadając ze wzniesionym mieczem pomiędzy zdumionych Indian.



Stojący w otoczeniu Matlatzincátzina wojownicy krzyknęli rozzwierająco, kiedy pędzący na czele grupy wielki jelen uderzył i prawie obalił dowódcę – a chwilę później jeden z jeźdźców przyszpilił go do ziemi długą włócznią.

*Cihuacoatl* charknął krwią, patrząc z niedowierzaniem na wystające mu z brzucha długie drzewce.

Wychodzący mu przez plecy grot aż oparł się o kamienisty grunt, tak że nawet gdy strojny w pióra i złoto Matlatzincátzin osunął się na kolana, a jego głowa opadła na piersi, to ciało pozostało w pozycji wyprostowanej.

– *Cihuacoatl* nie żyje! – poniosło się wołanie.



Juan de Salamanca zaśmiał się głośno, dobywając miecza i zawracając konia.

Niczym na turnieju albo na pokazach, podkłusował ku trupowi generała, jednym cięciem odrąbał tkwiący mu na plecach sztandar. Schylił się, szarpnął i zerwał z głowy zabitego pióropusz, po czym podniósł trofeum wysoko.

– Główna nagroda, panowie! Panie, na wasze ręce! – Rzucił przybranie do caudilla.

Przejeżdżający Cortés chwycił je w locie, obejrzał, odrzucił z powrotem.

– Zachowajcie, panie... Dla wnuków będzie! *Santiago!*

Zawrócił i lekkim, bez mała pieszczotliwym ruchem ciął przez plecy próbującego uciekać indiańskiego oficera, ledwie mogącego ruszać się w ceremonialnym pancerzu.

– *Santiago y cierra, España!* – radosny okrzyk rozbrzmiał ponad placem boju.



Wielce wyniesiony Cuitlahuatzin widział ze swojego miejsca, jak biali niemalże przegrywają.

Patrzył, jak ich mała grupka odrywa się od głównych sił, a jednocześnie kilku jeźdźców wyskakuje z okrążenia.

Z niedowierzaniem obserwował, jak suną przez nieprzebrane szeregi mexickich wojowników.

Nawet nieszczerólnie się zdziwił, kiedy wbili się w stanowisko dowodzenia.

Kiedy zaś zobaczył, jak upada Matlatzincátzin, a porządek walczącej armii zaczyna się sypać, po prostu westchnął, odwrócił się i zszedł ze wzgórza.

– Niech pisze! – Spojrzał na czekającego w jego polowym obozowisku skrybę. – „Słowa wielce wyniesionego Cuitlahuatzina, dowódcy wojsk Imperium Słońca, do Najwyższej Rady białego miasta Tenochtitlán. Cuitlahuatzin spieszy powiadomić Najwyższą Radę, że właśnie zakończyła się wielka bitwa. Poległa niezliczona rzesza białych najeźdźców, którzy w panice nadal pierzchają tchórzliwie przed zwycięskimi siłami Imperium Słońca...”

---

5 To nic. Idź, mój synu.

6 Bądź dzielny, synu.

7 Idziemy!

8 Bądź dzielny, synu. Bogowie czekają.

9 Otumba jest już niedaleko! Musimy iść!



## Rozdział 8

Gdzieś na zewnątrz zabrzmiał gong, którego jękliwy ton poniósł się po wąskim, spiralnie zakręcającym korytarzu i wpadł niewiele więcej niż dalekim echem do centralnego pomieszczenia Czarnego Domu.

Rozległo się długie, głębokie westchnienie, gdy klęczący na podłodze Zahred powoli nabrał pełne płuca powietrza, a potem wypuścił je przez usta, dokładnie zgrywając długość wydechu z pracą serca.

Był tam tylko on, nikogo więcej.

Pozbawiona okien, o wymalowanych na czarno ścianach, z podłogą wyłożoną bazaltowymi płytami konstrukcja skutecznie tłumiała dźwięki świata zewnętrznego.

Nie dochodziło tutaj światło.

Nie wpadał wiatr.

W jednolitej ciszy i bezruchu mógł w końcu zostać sam na sam ze sobą.

Jeśli gong odzywał się rano, w południe, wieczorem i o północy, to był tutaj już trzeci dzień.

Trzeci dzień bez jedzenia i picia.

Bez snu jako takiego.

Bez kontaktu ze światem zewnętrznym.

Kolejny głęboki wdech, długie przytrzymanie powietrza w płucach i kontrolowany wydech.

Gdzieś na granicy postrzegania kłębiły się i przelewały utkane z ciemności kształty.

Widział zwoje pokrytego pierzastymi łuskami ogromnego węża, który wychodził zza morza na wschodzie, opasywał całe niebo i chował się za górami, tam gdzie zachodziło krwawą luną słońce.

Czuł na twarzy muśnięcia ostrych jak obsydian skrzydeł wielkiego motyla, który bezszelestnie łopotał wokół jego głowy i ramion, czekając tylko, aby wykonał jeden nieuważny ruch.

Ale przede wszystkim słyszał, jak stukają o kamienne ściany odnóza, jak szczęki skrobą o framugę wejścia, gdy do jego schronienia próbuje dostać się gigantyczny pająk, wykuty z lśniącego zielonego kamienia.

Wdech, przytrzymanie, wydech. Wizje odpłynęły na chwilę, serce zabiło żywiej...

„Usta Bogini”.

Zahred drgnął, poruszył się.

Nagle poczuł, jak dokuczają mu zastane mięśnie nóg, jak potwornie bolą odgniecione kolana.

W jednej chwili rzeczywistość wróciła do niego. Magia rozviała się.

Wizje uleciały niczym zdmuchnięte.

Był tylko on w ciemnym, dusznym pomieszczeniu Czarnego Domu.

Z trudem poruszył językiem, spróbował przełknąć ślinę, ale gardło miał zaschnięte na wiór. Mlasnął raz i drugi, po czym zaczął poruszać palcami u rąk, próbując przywrócić normalne krążenie.

Po jakimś czasie odzyskał władzę w dłoniach i ramionach, więc zaryzykował i przekręcił się na bok, podpierając się ramieniem – po czym zaskowyczał, kiedy tysiące niewidzialnych igieł wbiły mu się w łydki i uda.

Zaczął masować je kawałek po kawałku, stopniowo, od zewnątrz do wewnątrz.

Gong uderzył raz jeszcze, gdy zaburczało mu w brzuchu.

Trzy i pół dnia... Prawie cztery.

Jeśli istotą ceremonii było to, aby Huēi Tlahtoāni zajrzał w głąb siebie i znalazł odpowiedzi, których szukał – to z całą pewnością poniósł porażkę.

Jednak udało mu się zrozumieć, jakie powinien zadawać pytania.

– Usta Bogini... – szepnął sam do siebie.

Z trudem wstał i trzymając się ściany, ruszył ku wyjściu.



– Nie może być! Niech więc Netecatli nie opowiada już więcej, co myśli, bo Xiuhpa nie będzie tego słuchał!

– Wieści są jasne: Mexikowie zwyciężyli! Cuitlahuatzin powraca zwycięski!

– Wieści to jedno, a zwycięstwo... – Itzli znacząco zawiesił głos.

– Władca Domu Szeptów niech lepiej zachowa swoje szepty dla uszu Huēi Tlahtoāni! Cuitlahuatzin rozgromił wojska białych, podczas gdy Huēi Tlahtoāni...

– Huēi Tlahtoāni jest tutaj.

Spojrzeli zdumieni niepomiernie na Zahreda, wchodzącego ze swoim psem u nogi do sali posiedzeń Najwyższej Rady. Część zerwała się ze swoich miejsc, inni od razu padli na twarze. Itzli skłonił się nisko, dotykając czołem ziemi, ale widać było, jak bardzo szeroki uśmiech wypełza na jego twarz.

– Co robi Huēi Tlahtoāni? – Naczelny akolita Tepeyollotla zakrył twarz dłońmi. – Huēi Tlahtoāni powinien rozmawiać jeszcze z bogami! Nie dopełnił obyczajów!

Zahred wspiął się na podwyższenie, stanął przed tronem. Potoczył wzrokiem po zgromadzonych. Usiadł.

– Huēi Tlahtoāni rządzi Imperium Słońca – oznajmił krótko.

– Huēi Tlahtoāni zaniedbał tradycję! Bogowie z pewnością go ukarzą, ukarzą całe imperium za takie zaniedbanie!

Zahred westchnął ciężko, przewrócił oczami.

– Bogowie już ukarali imperium, zsyłając na nie białych najeźdźców. A co do ich gniewu na Xahuatla, to on też z chęcią powie im parę słów prawdy... Co takiego się stało, że rada zbiera się w Domu Węża pod nieobecność Huēi Tlahtoāni?

Itzli odchrząknął znacząco. Kilku obecnych wyraźnie się spieszyło, któryś z dostojników wręcz cofnął się na swojej macie, starając się zejść Zahredowi z widoku.

Zarządca Błękitnych Kolibrów wyszedł na środek sali, skłonił się.

– Najwyższy!

– Niech Azcalxochipilli mówi. Byle krótko!



– O Najwyższy! Do Tenochtitlán dotarła z północy niesiona przez posłańca radosna wieść, że wielce wyniesiony...

– Czas Azcalxochipillego minął. Niech zamilknie.

– Że wielce wyniesiony... – zarządca Błękitnych Kolibrów zająknął się, zbity z tropu.

– Itzli, co się stało?

– Najwyższy... – Władca Domu Szeptów skłonił się oszczędnie, bez zbędnego ceremoniału, wstając ze swojego miejsca i wychodząc na miejsce mówiącego. – Posłaniec mówi: Cuitlahuatzin stoczył bitwę z białymi najeźdźcami.

– Wygrał?

– Tak mówi posłaniec. – Władca Domu Szeptów uśmiechnął się nieszczercze.

– A co mówi Itzli?

– To niedorzeczne! – wybuchnął Xiuhpa, kapłan Atlatoman.  
– Itzli nie może...!

– Niech zamilczy. Niedorzeczne jest, aby ktokolwiek przerywał rozmowę Huēi Tlahtoāni z jakąkolwiek istotą. Gdyby Huēi Tlahtoāni chciał rozmawiać teraz z jego własnym psem, to nikt nie będzie mu w tym przeszkadzał. Chyba że ktoś uważa, że lepiej zna obyczaje i protokół. Wtedy Huēi Tlahtoāni z radością wyśle go w miejsce, gdzie ten zasięgnie ostatecznej wykładni. Czy Xiuhpa chce się dowiedzieć, jakie to miejsce?

– N-nie, o Najwyższy – bąknął kapłan, zerkając na stojącego przy wejściu Xicotencatla i doskonale domyślając się puenty ponurego dowcipu.

– Huēi Tlahtoāni cieszy się. Itzli...?

– Itzli wie to, co powiedział posłaniec i co napisane jest w liście.

– Huēi Tlahtoāni pragnie przeczytać pismo.

Zahred wyciągnął rękę, Azcalxochipilli pospiesznie podtruchtał ku niemu, wręczył list. Zahred przebiegł rządki

znaczków oczami. Zacisnął palce, zginając pięknie wykaligrafowane pismo. Podniósł wzrok i parsknął śmiechem.

– Przegrał – powiedział po prostu.

– O Najwyższy! Posłaniec i pismo mówią jednak, że... – pisnął Azcalxochipilli.

– Huēi Tlahtoāni widzi doskonale, co tam jest. Widzi też to, czego tam nie ma: nie ma tam jednoznacznego stwierdzenia, że Cuitlahuatzin wygrał bitwę.

– Ale przecież najeźdźcy... Oni pierzchają tchórzliwie! – Tezcazuma rozłożył ręce.

– Tak, czyli robią dokładnie to, co robili wcześniej. Cuitlahuatzin nie zatrzymał ich, nie dał rady pokonać. Ta wieść jest warta mniej niż materiał, na którym spisano list.

Zahred zmiął pismo i odrzucił na bok. Kefren od razu pobiegł ku niemu, złapał je w pysk i zadowolony wrócił na swoje miejsce, żeby przycisnąć list łapami i zacząć zjadać go kawałek po kawałku.

– Kiedy Cuitlahuatzin wróci...

– Kiedy Cuitlahuatzin wróci, powie to samo. A wtedy niech członkowie rady zapytają go: co stało się z jego wojownikami? I gdzie są jeńcy, których niechybnie pojmał? Zapewne odpowie, że pierwsi zginęli, a drugich nie wziął... Bogowie! – Zahred przewrócił oczami. – Dlaczego to zawsze, za każdym cholernym razem musi wyglądać tak samo?

– Co zatem rozkaże Huēi Tlahtoāni? – rzeczowo zapytał Itzli.

– Xicotencatl!

Młody wódz oderwał się od ściany, podszedł bliżej do tronu. Schylił się, przykładając dłoń do serca.

– Xahuatl wzywa, jego brat słucha.

– Xahuatl niepotrzebnie odkładał tę decyzję. Niech Xicotencatl wyruszy do Tlaxcali i powie jej wodzom: biały wódz

Cortés idzie ku wam! Obieca wam wiele, ale niewiele da. Zabijcie jego i białych ludzi, a Huēi Tlahtoāni wynagrodzi was tym, czego pragniecie najbardziej.

– Królem dla Tlaxcali! – wypalił Xicotencatl bez zastanowienia.

– Co?!

– Niemożliwe!

– Nie może być!

– Tlaxcaltekwie królestwem?! Tylko tego brakowało!

– Niedorzeczne!

– Król dla Tlaxcali?! Tego nie było od czasów...

– Król dla Tlaxcali – potwierdził Zahred.

Wszyscy umilkli, patrząc ze zdumieniem na najwyższego króla. Teraz?! Po tylu dziesięcioleciach, a może i wiekach, które dawali radę utrzymać tych dzikusów w posłuszeństwie... Mają znów pozwolić, aby dawno odrąbany łeb miał odrosnąć?!

Xicotencatl rozciągnął usta w uśmiechu tak radosnym i szerokim, że jego twarz aż zajaśniała. Skoczył ku Zahredowi, dopadł nóg najwyższego króla i przycisnął czoło do jego stóp.

– Xicotencatl wyruszy natychmiast! Przekona braci w Tlaxcali, żeby uderzyli na białego wodza Cortésa... Tlaxcala będzie z Xahuatlem!

– Niech weźmie ze sobą Maxixcatzina i Temilotecatla, aby ich obecność przydała poselstwu powagi.

Przysłuchujący się temu z przedsionka dwaj wodzowie, którzy nie odważyli się wraz z Xicotencatlem wejść do sali narad, pokiwali głowami, jednocześnie wypinając piersi: a jakże! To dobrze, że Xahuatl doceniał ich wiedzę i doświadczenie. Widać było, że znał się na ludziach.

– Weźmie, kogo trzeba! Ruszą w kilku, aby wojownicy Tlaxcali dalej mogli walczyć razem z Mexikami... Ha! Xicotencatl nie zawiedzie! – radośnie zawołał młody wódz,

wbrew jakimkolwiek zasadom protokołu i etykiety wybiegając z sali narad.

– Najwyższy... Czy to nie nazbyt wiele? – bardzo, ale to bardzo delikatnie zagaił Itzli. – Tlaxcala nie jest ani łatwym, ani stabilnym sojusznikiem.

Zahred skrzywił się, obnażając zęby.

– Nie ma ceny nazbyt wygórowanej za głowę Cortésa... I jego czarownicy. A skoro o tym mowa: Usta Bogini.

Zebrani na radzie zafalowali, chowając głowy i odwracając wzrok. Kilku wręcz zasłoniło uszy, któryś naciągnął na głowę rąbek tuniki.

Zahred westchnął, patrząc na nich: no tak, podobna reakcja jak u Itzlego.

– Najwyższy! – Ze swojego miejsca podniósł się pomarszczony, wiekowy naczelny akolita Tepeyollotla. – Czemu najwyższy król mówi otwarcie o tym, co ukryte? Dlaczego Huēi Tlahtoāni za dnia wspomina to, o czym szepcze się nocą?

– Ponieważ Huēi Tlahtoāni chce się o tym czegoś dowiedzieć – odparł Zahred. – I coś mu mówi, że naczelny akolita Tepeyollotla udzieli mu odpowiedzi.

– O Najwyższy, blask dnia...

– Dobrze, Huēi Tlahtoāni poczeka do zmroku. Coś jeszcze? Nie? No więc teraz Najwyższa Rada posłucha, co rozkazuje jej król...

Itzli spuścił głowę, po raz kolejny uśmiechnął się i westchnął z rozrzewnieniem.



– Hueyotlipan!

Idący na czele kolumny Cortés odetchnął z ulgą, słysząc to wołanie zwiadowców Clamecahuy.

A więc udało im się. Po dziesięciu długich dniach drogi, jakie dzieliły ich od Tenochtitlán i wspomnień nocy, którą sami zaczęli nazywać „la Noche Triste” – Nocą Smutków – docierali wreszcie do pierwszego z miast pod władzą Tlaxcali.

Miało się już ku wieczorowi, ludzie byli ledwie żywi ze zmęczenia.

Arkebuzerzy bez prochu, kusznicy bez bełtów, kawalerzyści bez koni. Wiara w ich szczęśliwą gwiazdę, tak gwałtownie rozniecona jakkolwiek niespodziewanym, to przecież błogosławionym zwycięstwem pod Otumbą, strzeliła równie jasnym i mocnym, co nietrwałym płomieniem w sercach ludzi – a teraz już przygasała, przyćmiona przez troski dnia codziennego.

– Marina... Zapytaj się Clamecahuy, czy na pewno można ufać jego rodakom – raz jeszcze wolał upewnić się Cortés.

Doña Marina cierpliwie przetłumaczyła. Wódz odpowiedział.

– Clamecahua mówi, że jego pobratymcy nienawidzą Mexików. Gdy dowiedzą się, że Cortés pokonał ich w bitwie, ugoszczą go jak bohatera... Hernán, wszystko będzie dobrze. Zobaczysz. Już jest dobrze.

– Nie jest dobrze, Marina. Nie jest. Tamto miasto, tamten człowiek... – Cortés zgrzytnął bezsilnie zębami.

– Zahred! – słowo wyleciało spomiędzy jej warg niczym najgorsza obelga.

– Tak, Zahred! Człowiek, demon, diabeł, sam nie wiem... To wszystko przez niego!

– I co zamierzasz z tym zrobić, Hernán?

Cortés długą chwilę nie odpowiadał, patrząc na zarysy wyłaniającego się w oddali górskiego miasta.

– Wrócić tam! – warknął w końcu.



Zahred stał u stóp Wielkiej Świątyni.

Czekał.

Tam, po przeciwległej stronie ogromnej piramidy, od frontu, trwały w najlepsze obrzędy Huey Tecuilhuitl, kolejnego z niezliczonych świąt kalendarza religijnego Tenochtitlán.

Ci, co przeżyli potworności ostatnich tygodni, ze zdwojoną energią wzięli się do lepienia mozaikowych masek i układania jak najpiękniejszych naszyjników z muszli: życie przecież musiało trwać dalej, wrogowie zostali pokonani!

Dlatego też ludzie tańczyli i klaskali w dłonie przed przystrojonymi w pióra posążkami bogów, sypali drobne piórka na wiatr i zawieszali girlandy z kwiatów na wkopanych w ziemię palach, pomiędzy którymi potem meandrowały niekończące się korowody młodych dziewcząt i chłopców.

Niech święci się obrządek życia! Oto niedługo miał minąć czas niedostatku, ziemia wkrótce wyda kolejny plon.

Przez większą część popołudnia rozdawano ludziom ziarno, które jeszcze pozostało w magazynach żywności przetrzebionych przez nieznających umiaru w jedzeniu białych.

Tak jak nakazywał to obyczaj, sam Huēi Tlahtoāni Xahuatl wydzielał ludziom miarki kukurydzianego ziarna, aby nikomu w mieście nie zabrakło mąki na placki.

Tak, wszystko wracało do normy, a miasto znów miało swojego opiekuna i ojca.

Zresztą już teraz mówiło się w mieście o wielkim planie odbudowy Tenochtitlán, który ponoć nakazał rozpocząć sam Huēi Tlahtoāni. Do podległych prowincji wyruszyli posłańcy mający ogłosić nabór robotników.

Odbudowane będą świątynie i pałace, kanały znów porośnie czysta trzcina!

Z ulic znikną ślady krwi, na placach nie będzie czarnych plam po stosach pogrzebowych.

Kobiety urodzą nowe dzieci.

Świat Mexików będzie trwał jak zawsze!

To wszystko działo się przed frontem świątyni, w świecie ludzi, gdzie królowało światło, dźwięk i życie.

Jednak Zahred stał za nią, odgradzony od tego wszystkiego.

Tam, na tyłach gigantycznej piramidy, niepodzielnie władał mrok i chłód. Wąskie uliczki cuchnęły moczem i zgnilizną. W dawno nieoczyszczanych kanałach stała martwa, lśniąca oleistą warstewką woda. W powietrzu unosił się zapach śmierci: to tutaj najczęściej spadały zrzucane z piramidy resztki ciał, niegodne tego, żeby trafić czy to do mis wojowników, czy na uczyty w Pałacu Białych Trzcin.

Zahred stał przed wionącym chłodem i wilgocią, zarośniętym pnączami wejściem do korytarza, wiodącego gdzieś w głąb ogromnej budowli.

Stał – i czekał. Bo wiedział, czuł, że w pewne miejsca nawet Huēi Tlahtoāni nie wchodzi bez zaproszenia.

Coś poruszyło się w atramentowej ciemności, z otchłani nadpłynął szurający odgłos kroków. Potem dało się dostrzec pełgający na nierównych ścianach odbłask światła – aż w końcu Zahred rozpoznał powoli idącego ku niemu najwyższego akolitę Tepeyollotla.

Tym razem to on przyklęknął, dotknął palcami ziemi, po czym przytknął dłoń do ust: teraz to on przychodził jako gość

i przybysz.

– Niech wstanie – zaskrzypiał kapłan. – Niech podąży w głębinę, na spotkanie odpowiedzi.

Zahred podniósł się, dał znak stojącym w pewnym oddaleniu wojownikom Jaguara: czekajcie.

Sam zaś wkroczył w niskie, ciemne wejście, zostawiając świat doczesny za sobą.

Korytarz to się zwężał, to rozszerzał nierównymi skokami.

Czasami wspinali się na niewielkie rumowiska albo przechodzili pod kamieniami wiszącymi tak nisko, że Zahred, nawet schylając się, niemal szorował o nie plecami.

Wyglądało to tak, jakby przejście ułożone było byle jak, ukradkiem, gdy stawiano podwaliny pod samą piramidę... Albo zostało wygrzebane pod nią długo po tym, jak już ukończono budowę.

W końcu przejście otwarło się na większą przestrzeń podziemnej pieczary, oświetlonej chybotliwym płomieniem pochodni zapalonej u stóp karykaturalnego posągu z głową jaguara. Pachniało gnijącą skórą, mięsem i pleśnią; pod ścianami, przy pomniejszych ołtarzach, leżały znoszone przez kapłanów ofiary z żywności i drobnej biżuterii.

Naczelny akolita odwrócił się ku Zahredowi.

Tutaj, w skrytej przed oczami ludzi ciemności, zdawał się o wiele większy niż ten niepozorny, zezowaty starzec, który uczestniczył nieodmiennie w każdym posiedzeniu Najwyższej Rady.

Zahred przyklęknął na jedno kolano, opuścił wzrok.

Tutaj nie był już nawet Huēi Tlahtoāni, a tylko sobą.

– Niech mówi – odezwał się kapłan. – Niech pyta.

– Czym są i gdzie znajdę Usta Bogini?

W zapadłej ciszy dało się słyszeć, jak trzaska płomień pochodni.



Gdzieś w podziemnej sali z dźwięcznym pluskiem spadła kropla wody.

Echo zabrzmiało w podziemiach, gdy kamień ze stukiem stoczył się z rumowiska.

Zahred ostrożnie zerknął ku najwyższemu akolicie. Otworzył szeroko oczy, podniósł wzrok... Zamrugał. Wyprostował się i rozejrzał, wstając.

Nie licząc posągu Tepeyollotla, był w sali zupełnie sam.

– Otóż nadszedł, bracia! – nagle rozległ się okrzyk. Zahred aż podskoczył, instynktownie sięgając ku tkwiącej za pasem siekierce. – Nadszedł... Biada nam, bracia, bo oto kończy się czas!

Z korytarza wyłonił się człowiek, opierający się na pękniętej, trzymanej grotem w dół włóczni. Ubrany w szmaty, obwieszony kolorowymi sznurkami, w narzuconej na głowę starej, porwanej opończy, do której brzegów dowiązane były na rzemykach kawałki kości i pióra. Czarownik zatrzymał się nagle, wyciągnął w kierunku Zahreda sękaty, brudny palec iście teatralnym gestem.

– Radujmy się, bracia! – zawołał kolejny głos. W innym korytarzu poruszył się cień, kiedy półnagi, wysmarowany własnymi odchodami chudzielec wyskoczył, rozłożywszy szeroko ramiona. – Cieszymy się, bo oto przybył ten, od którego czas się zaczyna!

Trzeci czarownik wytoczył się z korytarza za plecami Zahreda, spojrzął sobie pod nogi i podskoczył dwa razy. Zachichotał, potrząsnął głową i z trudem ogniskując wzrok, popatrzył po towarzyszach.

– Nie, bracia! Ani radość, ani smutek nie dotknie nas! Oto objawiono mi prawdę, która... Bleeugh... – Zgiął się wpół i kaszlnął, obrzygując sobie nogi zółcią.

Zahred wziął się pod boki, pokiwał ciężko głową.

– Zatem to znów wy... – mruknął. – A już miałem nadzieję na to, że dowiem się czegoś konkretnego.

– Panie! Oto przybyłeś przecież ku Miejscu Kaktusowej Skały! – zaśmiał się pierwszy czarownik. – Nie ma tajemnic, nie ma nic ukrytego dla tego, co przybywa od strony wschodzącego słońca!

– Usta Bogini. Czy wiecie, gdzie są Usta Bogini?

– Usta! Po co komu usta, gdy można mieć całą... Po co komu wiedza, gdy po śmierci wszyscy wracają do tej samej ziemi? – zajęczał drugi z wróżbitów, siadając na ziemi i chowając twarz w dłoniach. – Nie ma ratunku. Upadnie miasto, spłoną domy, zginą ludzie!

– Ale słońce przetrwa, bracia... hyp! – Trzeci czarownik czknął, z ewidentnym trudem powstrzymując torsje. – Słońce przetrwa, słońce się odrodzi... Jednak on musi odnaleźć Usta Bogini!

– Kto? – Ten pierwszy rozejrzał się, stojąc tuż przed Zahredem.

– Nie ma ratunku! – zaszlochał siedzący na ziemi, który w międzyczasie zdążył się zmoczyć. – On nie odnajdzie właściwego miejsca. Co z tego, że wielu pielgrzymuje tam co roku?!

– Aaa! – krzyknął pierwszy, odskakując w tył przed czymś, co właśnie zobaczył w pustce. – Nie, nie pożeraj mnie... Neeee!

Zahred zamknął oczy, odetchnął głęboko i policzył do dziesięciu po łacinie, a następnie wspak w starożytnej grece.

– Usta. Bogini – powtórzył bardzo spokojnie. – Gdzie je znajdę?

– Tam, gdzie narodzili się bogowie! – zaśmiał się czarownik, kładąc się w kałuży własnych szczyn.

– Nie znajdzie ich! Nie znajdzie ten, co idzie wtedy, gdy potrzebuje. Ale otworzą się, gdy ruszyć ku nim w najgorszej

porze! – Drugi z wróżbitów uwiesił się Zahredowi na ramieniu, zionąc mu prosto w twarz przetrawionym wywarem z halucynogennych grzybów.

– Niech idzie śladem tych, co... hyp! przegrali, ale wrócili zwycięzcy – zdołał wydukać trzeci, po czym zasłonił usta dłonią, wytrzeszczył oczy i skoczył w bok, podpierając się ręką o ścianę.

– Gdy wyruszy, my zaopiekujemy się miastem! – zachichotał jego towarzysz.

– A kiedy wróci, zapłacze wraz z nami!

– Najwyższy król! – zapał nagle czarownik, padając na kolana i wyciągając ręce ku pustce obok Zahreda! – Przybył nasz władca, nasz Huēi Tlahtoāni... Chwała niech będzie bogom!

– Bogowie są wśród nas! Aaa! – Jego towarzysz chwycił się za głowę.

– Aaa!!

– Aaaa! Eeee!

– Hej, do was mówię! Szukam drogi do Ust Bogini, czymkolwiek są!

– Uuuu!

– Meee! Beeee, yyy!

– Bleurgh! Bhyyy, uuugghy...

– Czy któryś z was jest w stanie powiedzieć mi cokolwiek do rzeczy?! – krzyknął Zahred w rozpacz.

Ale czarownicy nie słuchali go już zupełnie. Jeden z nich skulił się w pozycji embrionalnej, łkając; drugi zajął się wodzeniem rękoma po posągu Tepeyollotla; trzeci zaś usiadł w rogu pieczary i zawzięcie brandzłował się, chichocząc i śliniąc się obficie.

Zahred wyrwał zza paska siekiere, już zamachnął się, gotów rozłupać czaszkę najbliższego z bezużytecznych

wróżbitów – ale potem opuścił rękę.

Zgarbił się i powłókł powoli korytarzem ku wyjściu.



Kiedy Huēi Tlahtoāni wyłonił się z wejścia do sanktuarium Tepeyollotla, czekający na niego wojownicy Jaguara w większości siedzieli na ziemi, zawinięci w opończe. Była już noc, odgłosy świętowania dawno ucichły. Na dobrą sprawę nikt mógłby nie zauważyć, jak najwyższy król wychodzi z ciemnego korytarza.

Zauważył to jednak czujny i baczny jak zawsze Itzli. Władca Domu Szeptów sam był ciekaw, czego takiego mógł się dowiedzieć najwyższy król w tak dziwnym miejscu. I na ile pokrywało się to z jego własnymi przypuszczeniami.

– Itzli całuje ziemię u stóp najwyższego króla – wyrecytował śpiewnie, składając oszczędny ukłon.

– Xahuatl wita Itzlego – odwarknął Zahred, nawet na niego nie patrząc. – Czy nadzorcy zebrali robotników do prac na groblach?

– Stało się tak, jak rozkazał Najwyższy... Ludzie skłaniają się do życzeń Xahuatla.

– Oby jeszcze bogowie byli tak posłuszni.

– Och...

– Jeśli Itzli chce o coś zapytać albo skomentować, to niech zrobi to otwarcie.

– Itzli chce tylko tego, co jest życzeniem najwyższego króla.

– Władca Domu Szeptów skromnie spuścił głowę.

– Życzeniem najwyższego króla jest dowiedzieć się, gdzie, do ciężkiej cholery, rodzili się bogowie!

– Itzli nie wie, czym jest „ciężka cholera”. – Mexik rozłożył ręce. – Jeśli jednak Huēi Tlahtoāni naprawdę chce się dowiedzieć, gdzie jest Miejsce Narodzin Bogów, to...

Zahred stanął gwałtownie, obrócił się do Itzlego. Zmrużył oczy.

– Co?

– Miejsce Narodzin Bogów. Jeżeli taka będzie wola Xahuatla, to Itzli znajdzie mu przewodników, którzy poprowadzą go aż do samego Teotihuacán. Natomiast Itzli nie jest pewien, czy...

– Teotihuacán – powtórzył Zahred.

Władca Domu Szeptów miał już powiedzieć coś więcej, ale otworzył tylko i zamknął usta.

Sam doskonale znał stare powiedzenie, że mowa jest złotem, a milczenie jadeitem.



– Xicotencatl raduje się, że znów ujrzy rodzimą Tlaxcalę!

– Yhy.

– Xicotencatl już się cieszy na to, jak dumny będzie z niego ojciec Xicotencatla, gdy Xicotencatl opowie mu o tym, ilu zabił i pojmał wrogów podczas wielkiej bitwy na Mostach Śmierci!

Idący obok młodego wodza, pogrążony we własnych myślach Maxixcatzin spojrział na niego z ukosa. Otworzył usta, już gotów coś powiedzieć; zamknął, spuścił głowę i wbił spojrzenie w ziemię pod nogami.

Maszerowali dobrym, zwawym tempem.

Poprzedniego dnia zeszli z gór, zostawiając za sobą dymiące zbocza Popocatépetl.

Teraz przechodzili już przez znienawidzone, pogardzane ziemie Choluli, na znak braku szacunku omijając samo miasto szerokim łukiem i nawet nie spoglądając w jego stronę.

Jutro po południu powinni stanąć w gościnnych progach Tlaxcali.

Wojownicy nadal przeżywali wydarzenia niedawnej bitwy. Na postojach i przy wieczornym ognisku wspominali walki. Rozpamiętywali wydarzenia. Zażarcie spierali się o przebieg starć, które każdy z nich siłą rzeczy pamiętał zupełnie inaczej.

I tylko idący wraz z nimi Maxixcatzin, wyróżniający się spośród młodych i głodnych sławy szlachetnym brzemieniem wieku i doświadczenia zaklętych w pasma siwych włosów, był cokolwiek milczący. Zagadnięty odpowiadał, owszem, nawet kilka razy zaśpiewał jedną ze swoich pieśni marszowych.

Ale im bliżej byli samej Tlaxcali, tym coraz bardziej był ponury i zachmurzony, jakby coś gryzło go od środka.



– Waleczny Chichimecatecle mówi, że całuje ziemię u stóp Cortésa, który jest jego przyjacielem. Mówi, żeby Cortés odpoczął po dalekiej drodze.

Caudillo zaczerpnął powietrza i wyprostował się, starając się nie pokazać, jak bardzo ulżyło mu po tych słowach. Przywołał na twarz uśmiech, skinął łaskawie głową.

– Powiedz mu, Marina, że również się cieszę, widząc go w zdrowiu. Cieszę się, że przybył osobiście aż tutaj, aby powitać nas w Huey... Heuyo...

– Hueyotlipan – odpowiedziała Malintzin.

– No właśnie. Podziękuj mu za dary, szczególnie za żywność. Zapytaj też, czy... czy...

– Tak, panie?

– Nieważne. – Cortés machnął ręką. – Po prostu mu podziękuj, powiedz coś miłego.

Malintzin zaćwierkała w szlachetnym języku *nahuatl*, przekładając słowa caudilla i dodając sporo od siebie.

Stojący naprzeciwko nich Chichimecatecle uśmiechnął się, przyłożył dłoń do serca na znak szacunku.

Jakże inna była to okazja od poprzednich, pomyślał Cortés. Wcześniej przybywali tutaj jako niepokonani zdobywcy, idący niczym nóż przez masło wbrew wszelkiemu oporowi i przeciwnościom. Dzicy gięli się przed nimi w pokłonach, patrzyli z zabobonnym strachem na stalową broń i rusznice.

A teraz?

Teraz ledwie dał radę zebrać kilka pełnych kompletów uzbrojenia, żeby ubrać w nie swoich kapitanów, aby ci swoją obecnością przydali mu chociaż minimum godności i powagi. Przecież sam widział, że de Alvarado założył dublet na lewą stronę, żeby nie pokazać, jak koszmarne brudny i wyświechtany jest na rękawach!

Ludzie byli zmęczeni, bladzi i wychudzeni. Ledwie trzymali się na nogach po dziesięciu dniach ciągłego marszu, szarpanej walki podjazdowej i bezustannego czuwania.

Jednak mimo to z jakiegoś powodu przybyły tutaj aż z Tlaxcali, niosący słowa pozdrowienia i podarki na przywitanie Chichimecatecle chyba tego wszystkiego nie widział, będąc tak samo uprzejmym i oszołomionym jak wtedy, gdy go widzieli za pierwszym razem.

Na całe szczęście młodzik był w tej części Tlaxcalteków, która wróciła na jakiś czas do rodzimego miasta, gdy szli na wybrzeże przeciwko Narváezowi.

Dzięki temu mieli tu kogoś znajomego, kto nie wiedział o wszystkim, co stało się w międzyczasie.

I dobrze. Hernán nie miał nawet siły zastanawiać się, co by było, gdyby...

– Panie? – Marina spojrzała na niego znacząco.

Cortés poprawił się na swoim miejscu, próbując nie dać po sobie poznać, że umknęła mu cała odpowiedź posła.

– Tak. Podziękuj mu jeszcze raz, odpowiedz grzecznie. Czy zapraszają nas dalej?

– Tak jak powiedziałam: Chichimecatecle chce najpierw przekazać naszą odpowiedź, a potem przybyć z oficjalnym zaproszeniem od starszyny.

– Odpowiedź... Dobrze. Powiedz mu, że odpowiem mu jutro, Marina.

– Jutro, panie? Pytał tylko, czy zawitamy do Tlaxcali, aby mogli nas godnie podjąć.

– Ach. No tak. Dobrze, zatem tak, niech im przekaże co trzeba.

Marina przetłumaczyła, Chichimecatecle odpowiedział.

Spotkanie dobiegło końca, posłowie z Tlaxcali opuścili salę. Cortés wypuścił powietrze, zgarbił się. Popatrzył po swoich dowódcach.

– Skoro mam was tutaj, panowie... Siadajcie, porozmawiajmy jeszcze chwilę. – Zaprosił ich gestem.

Z ulgą poruszyli się, zaczęli zdejmować byle jak pozakładane pancerze. Rozsiedli się na prowizorycznie ustawionych ławach.

– Nie jest źle – uśmiechnął się de Sandoval. – Nadal nas tu lubią.

– Albo przynajmniej udają – od razu osadził go de Grado.

– Mogła nie dotrzeć do nich jeszcze wieść...



– Dotarła. Nie słyszeliście, panie, co powiedział? Że wiadomo im o tym, że w mieście doszło do walk?

Cortés zerknął na kapitana: no cóż, faktycznie nie słuchał, a tamci zatem wiedzieli.

– Mogli myśleć o waszej poprzedniej chwalebnej kampanii, dobry panie de Alvarado. – De Grado uśmiechnął się zjadliwie.

– Mówiłem wam już, że musieliśmy! Nie mieliśmy wyjścia, bo inaczej te dzikusy...!

– Panowie, panowie. Spokój. – Caudillo podniósł rękę. – O czym innym chciałem z wami pomówić. Jako że nasz odwrót dokonał się, jak by to tutaj ująć...

– W porządku suboptymalnym – rzucił de Grado, mający od kilku dni paskudny humor.

– Dziękuję wam, panie. Otóż jako że jest, jak jest, a w nasze obrachunki wkradł się pewien nieporządek, to przygotowałem tutaj niezbędne zarządzenie. Przeczytajcie, proszę, zapoznajcie się.

Wyjął zza pazuchy i podał zdumionym ludziom trochę wymiętą kartę pergaminu. De Grado, siedzący najbliżej, wziął ją jako pierwszy, przebiegł oczami. Podniósł wzrok na caudilla, potężnie zaskoczony.

– Oddać całe złoto?! – sapnął.

– Przekazać, nie oddać. Do wspólnej kasy, celem obrachowania stanu posiadania i ponownego przeliczenia udziałów. Zapewniam was, że to zupełnie...

De Sandoval wyrwał pismo z rąk de Grada, też zaczął pospiesznie czytać.

– „Do rąk własnych głównodowodzącego ekspedycji bądź wyznaczonego przezeń pełnomocnika w osobie dobrego pana Pedra de Alvarada” – odcyfrował mało wyraźne, koślawe litery.

– „Całe bez wyjątku złoto, kosztowności i rzeczy wartościowe

pozostające w posiadaniu każdego z członków ekspedycji... Pod karą gardła”?! Przecież to jawny rozbój!

– Nie rozbój żaden, tylko czasowa rekwizycja. Nie ma w tym nic dziwnego ani zdrożnego – cierpliwie tłumaczył caudillo, chociaż czerwieniejące pasmo na jego szyi przeczyło spokojnemu tonowi głosu.

– No, zarządzenie jak zarządzenie! Czego się dziwić? – De Alvarado wzruszył ramionami.

– Czy to aby dobry pomysł? – wyraził swoją wątpliwość de Olid. – Ludzie będą sarkać...

– Sarkać czy nie, mają oddać złoto do wspólnej kiesy! – nie wytrzymał Cortés. – A ja klnę się na Boga, że każę powiesić każdego, kto się rozkazu nie posłucha! Co to w ogóle za negocjacje?! Co to jest, jarmark, żebyście się ze mną targowali?! To jest rozkaz, panowie! Wykonać!

De Sandoval odłożył pismo na stół, odwiązał od pasa i teatralnym ruchem rzucił jego śladem sakiewkę. Woreczek brzęknął i otworzył się, rozsypując złotą zawartość po blacie.



– Hernán, co ty wyprawiasz?! Czemu to ma...

Malintzin wparowała niczym burza do zajętej przez nich komnaty – i urwała, widząc, jak schylony nad przerzuconymi przez oparcie ławy końskimi jukami Cortés upycha do nich złoto.

Oblizął usta nerwowo, uśmiechnął się. Sięgnął po niedawno przyniesioną przez któregoś z kapitanów sztabkę złota, wcisnął ją na sam wierzch torby.

– Więcej nie wejdzie – sapnął.

– Hernán, co ty... Co ty robisz?

– Pakuję nas, Marina. Dasz radę jechać konno? Uczyłem cię, pamiętasz? Na pewno dasz radę. Weźmiemy każde po koniu, do tego dwa juczne... W kilka dni będziemy na wybrzeżu.

Złapała się za głowę, podskoczyła do niego.

– Hernán, nie! – Chwyciła go za ramię.

Wyszarpnął jej się, zaciskając zęby tak, że aż zagrały mu mięśnie szczęk.

– Tak. Tak trzeba, Marina. Myślałem o tym... I to wszystko się nie uda. Nie ma sensu. Ale ty i ja, my możemy jeszcze...

Zamachnęła się i strzeliła go w twarz.

Klasnęło głośno, głowa caudilla odskoczyła w bok.

Zamrugął.

Powoli obrócił się ku niej.

Jego nozdrza zagrały, oczy zwęziły się gniewem, twarz nabiegła purpurą wściekłości.

– Ty suko! – syknął i zamachnął się, żeby ją uderzyć.

Caudillo Hernán Cortés de Monroy Pizarro Altamirano nie był pewien, co stało się potem.

– Wstań.

Zamrugął, patrząc ze zdumieniem na stojącą nad nim doinę Marinę.

– Co? – Potrząsnął głową, rozglądając się, niczym człowiek budzący się z pijackiego snu.

Leżał na podłodze. Ona stała nad nim, wyciągając pomocną dłoń. Obok leżało rozsypane złoto z juków, które spadły z przewróconej ławy.

Nie pamiętał nic.

Chyba jej nie uderzył.

Ona jego też nie.

Zamachnął się, a potem świat po prostu przeskoczył o jeden obrazek do przodu.

Jak karty książki sklezione jedna z drugą tak, że ze zdania na zdanie czytelnik zostaje rzucony w zupełnie inną sytuację.

– Wstań, Hernán. Zasłabłeś z głodu i zmęczenia, przewróciłeś się. Nic ci się nie stało?

Powoli podniósł się do pozycji siedzącej, przesunął dłonią po głowie. Uderzył się, to na pewno, ale chyba nie rozciął skóry.

– Zasłabłem...? – zapytał, słysząc echo własnego głosu.

Pomogła mu wstać, podprowadziła i usadziła na pościeli. Pogładziła po ramieniu.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni, Hernán. Odpocznij, wyśpij się... A jutro zobaczymy, co odpowie nam Tlaxcala. Potem razem zastanowimy się, jak sobie z tym poradzić.

Cortés mruknął coś, ale pozwolił ułożyć się na pościeli, nakryć pledem. Malintzin usiadła tak, żeby trzymać jego głowę na kolanach. Zaczęła delikatnie gładzić go po włosach.

– Nie zostawisz mnie? – zapytał, przymykając oczy. – Będziesz ze mną, Marina?

– Będę z tobą, Hernán. Nie zostawię cię. Aż do samego końca.

– Końca... czego? – zamruczał, odpływając w niebyt.

– Tenochtitlán.



Gwoździe zazgrzytały, a potem z jękiem wysunęły się spomiędzy kamiennych płyt.

Zahred wsunął drewniane stylisko głębiej, zaparł się nogą i szarpnął z całej siły, odrywając obraz od ściany.

Wymalowany na desce, ozdobiony złotem i srebrem wizerunek Najświętszej Pani z Dzieciątkiem z hukiem spadł

na podłogę.

Stojący za swoim Huēi Tlahtoāni akolici i kapłani zakrzyknęli radośnie, gdy nadzorujący odnowę przybytku władca podniósł obraz i trzymając go niedbale w jednej ręce, ruszył ku wyjściu z Wielkiej Świątyni. Tak! Oto dom bogów powraca do swoich prawowitych właścicieli! Chwała Imperium Słońca!

Zahred wyszedł na zewnątrz, na zalaną słońcem platformę, po której od wczoraj uwijali się pracujący przy renowacji rzemieślnicy. Najbliźsi skłonili się z szacunkiem, kilku nawet padło na twarze; reszta jednak, pomna zaleceń swoich nadzorców, pracowała dalej, zerkając tylko ku niemu spode łba.

Teraz, w tym czasie, Huēi Tlahtoāni był przede wszystkim jednym z nich: Meksykiem trudzącym się dla wspólnego dobra.

– Najwyższy... – Itzli zbliżył się do niego, składając dłonie na podołku.

– Jak sytuacja? Xahuatl ma nadzieję, że władca Domu Szeptów chociaż raz przynosi mu dobre wieści.

– Jeśli tylko najwyższy król woli wieści dobre od prawdziwych... – Tamten rozłożył ręce.

– Xahuatl nie jest w nastroju na przekomarzanie się.

– Zatem Itzli z przyjemnością może powiedzieć, że tym razem przynosi mu jedne i drugie – rzekł Itzli z uśmiechem. – Wydobyte z ukrycia posągi bogów docierają już do grobli, więc zanim zajdzie słońce, powinny znaleźć się w mieście.

– Dobrze, ale to najmniej istotne. Jak przebiega odbudowa domów dla ludzi? Kiedy skończą czyszczenie ulic?

– Zgodnie z oczekiwaniami – odparł Itzli, cokolwiek dotknięty uwagą o bogach, których w sumie uważał za dość istotny element organizacji świata. – Robotnicy ochoczo

przybyli z okolicznych miast, aby wspomóc dzieło Tenochtitlán. Do jesieni nie powinno być po białych najeźdźcach śladu.

Stanęli na samym skraju platformy, mając u stóp panoramę całego miasta.

Stąd doskonale widać było, jak grupki ludzi uwijają się po pogorzeliiskach, rozbierając ruiny i przenosząc gruz w koszach w wyznaczone miejsca na placach budowy.

Zahred lubił przychodzić tutaj i patrzeć na miasto, ogarniać je jako jedną całość.

Oczywiście wyobraźni już widział zmiany, jakie tu wprowadzi. Nowe ogrody, pałace... Łaźnie. Dodatkowy akwedukt, aby zmniejszyć zależność od dwóch nitek doprowadzających wodę z gór. Kto wie, może dałoby się zaradzić coś na zasolenie północnej części jeziora?

To miejsce i tak było bajką.

Mogło stać się rajem na ziemi.

Jednak najpierw trzeba było zamknąć kilka niedokończonych spraw, zapełnić świeżymi czaszkami specjalnie po to wzniesiony przed Wielką Świątynią stojak.

– Co z armią?

– Ahem... – odchrząknął Itzli. – Dzień zmienia się w noc, kobiety rodzą synów. Jednak ci nie zdążyli przez ostatni miesiąc jeszcze dorosnąć.

– Bardzo zabawne. Może Xahuatl powinien zatrudnić Itzlego jako swojego błazna, aby ten ciętymi uwagami zapewniał dobry kontrast dla procesów myślowych władcy?

– A może najwyższy król powinien sam wziąć się za szkolenie młodych wojowników?

Zahred uniósł brwi, spojrzał na stojącego obok Itzlego.

Uśmiechnął się.

Położył mu dłoń na ramieniu i delikatnie, wciąż trzymając mocno, pchnął naprzód, ku pustce otwartej przestrzeni.

Itzli wciągnął szybciej powietrze, ale zachował spokój. Popatrzył na najwyższego króla z dezaprobatą. Zapobiegawczo cofnął się o krok znad krawędzi.

– W jakich kategoriach ma odbierać takie zachowanie Itzli? Ostrzeżenia? – zapytał z wyrzutem.

– Żartu. – Zahred wzruszył ramionami. – Ale to w sumie niegłupi pomysł. Może tak właśnie Xahuatl zrobi... Czy nadzorca zbrojowni przeniósł już uzbrojenie białych w bezpieczne miejsce?

– Tak, o Najwyższy.

– Xahuatl mówił Itzlemu, żeby nie bawił się przy nim w tytulaturę!

– Itzli musi jakoś przecież zaznaczać, do kogo się zwraca. – Władca Domu Szeptów rozłożył ręce. – Itzli stracił swojego ukochanego najwyższego króla, stracił spokój zajmowanego stanowiska. Niech Xahuatl zostawi Itzlemu chociaż to, jak mówi.

– Xahuatl nauczy Itzlego łaciny, wtedy porozmawiają.

– Łaciny? Kto mówi tym językiem?

Zahred spojrział w dal, ponad szczytami gór.

– Cały świat za oceanem – powiedział.

Po czym zamachnął się i cisnął obrazem w dal.

Najświętsza Panienska z Dzieciątkiem na rękach poleciała nierównym łukiem, wirując w podmuchach wiatru, po czym roztrzaskała się na kamieniach u podnóża Wielkiej Piramidy.



– Zaznaliście wielu trudów, jesteście zmęczeni po długiej drodze. Niech wasze nogi odpoczną, niech plecy wasze

odetchną od ciężarów. Tlaxcala wita z powrotem Xicotencatla, syna Xicotencatla.

Młody wódz radośnie uklęknął, dotknął ziemi dłonią i ucałował palce, z rozrzewnieniem patrząc na sędziwego ojca siedzącego w otoczeniu tak dobrze znajomych mu wojowników.

– Syn Xicotencatla wita jego ojca! – Rozłożył ręce, wstał i podszedł, aby ucałować starca w oba policzki. – Xicotencatl raduje się ponad miarę, wracając w gościnne progi swojego ukochanego domu!

Temilotecatl i pozostali wojownicy, którzy przybyli z poselstwem od Zahreda, też się skłonili, wymieniając grzecznościowe formułki i zupełnie szczere słowa sympatii.

Maxixcatzin podszedł do Chichimecateclego, objął i uściskał od paru tygodni niewidzianego syna.

Xicotencatl starszy patrzył na nich, kiwał głową i uśmiechał się dobrotliwie.

– Niech bracia zajmą należne im miejsca przy ogniu! – W końcu gestem ręki zaprosił ich Chichimecatecle, sprawujący pod ich nieobecność funkcję wodza wojowników.

Zasiedli. Kobiety przyniosły misy z jedzeniem i sosami, pojawiło się *pulque*. Xicotencatl starszy jako pierwszy podniósł czarkę trzęsącą się ręką.

– Niech Tlaxcala zawsze zwycięża!

– Niech zwycięża! – powtórzyli pozostali.

Wypili do dna, zagryźli, naleli po raz kolejny.

– Z czym przybywają bracia, jakie wieści przynosi Xicotencatl? – zagadnął w końcu Chichimecatecle.

Młody wódz spojrział na niego z niechęcią, ale jego oblicze zaraz się wygładziło. No cóż, może i byli rywalami, podczas gdy Xicotencatl mieszkał w Tlaxcali... Ale teraz mógł się pogodzić z tym, że ten bufon Chichimecatecle siedział po prawej ręce jego rodzzonego ojca.



W końcu on zasiadał na podobnej pozycji, ale u boku samego Xahuatla!

– Xicotencatl przynosi z Tenochtitlán pozdrowienia i podarki od samego Huēi Tlahtoāni! – Potoczył po zgromadzonych wzrokiem, patrząc, jakie wrażenie robi na nich takie zagajenie.

Ku jego pewnemu rozczarowaniu jednak nie dali po sobie poznać, jakie wrażenie musiały zrobić na nich te słowa. Hm. No cóż, zapewne słyszeli już wcześniej o tym, że Xahuatl został nowym najwyższym królem.

– Tak, to widzi Tlaxcala – potwierdził Chichimecatecle, wskazując złożone pod ścianą bele białej bawełny, pęki piór i worki z solą. – Co więc mówi Xahuatl? Bo to on teraz, jak się zdaje, jest królem na Tenochtitlán.

– Najwyższy król, Huēi Tlahtoāni Xahuatl przekazuje swoje pozdrowienia. – Xicotencatl celowo podkreślił pełny tytuł, cokolwiek ukłuty takim brakiem szacunku dla swojego brata i przyjaciela. – Huēi Tlahtoāni Xahuatl ustami Xicotencatla mówi: przyjaźń Tlaxcali jest dla niego ważna i cenna. Dlatego też Tlaxcala powinna razem z Tenochtitlán stanąć przeciwko białym najeźdźcom!

Siedzący obok niego Maxixcatzin poruszył się niespokojnie, odchrząknął znacząco. Zasiadający w kręgu starsi i wodzowie Tlaxcali popatrzyli po sobie.

– Dlaczego Tlaxcala miałyby wystąpić przeciwko Cortésowi? – Chichimecatecle uniósł brwi.

Xicotencatl popatrzył na niego, potrząsnął głową i rozłożył ręce, z niedowierzaniem tocząc wzrokiem po pozostałych wojownikach.

– Jak to dlaczego? Przecież Tlaxcala...

I w tym momencie zająknął się, urwał.

Bo dotarło do niego, że Tlaxcala, która do tej pory walczyła najpierw u boku, a potem przeciwko białym ludziom, wcale nie była tą Tlaxcalą, która siedziała teraz tutaj przy ogniu.

Dla niego Tlaxcalą byli wojownicy i młodzi, którzy rzucili się w wir wydarzeń.

A tutaj siedzieli grzejący się przy ogniu starcy.

Oblizwał nerwowo usta.

– Tlaxcalę i Tenochtitlán łączy przeszłość – zaczął, próbując przypomnieć sobie to, jak przemawiał do ludzi, jak konstruował swoje wypowiedzi Xahuatl. – Mają ten sam język. Tlaxcala i Tenochtitlán oddają cześć tym samym bogom. A teraz mogą stać ramię w ramię! Tak, nie zawsze było dobrze...

– Było źle – prychnął któryś z wodzów.

– Tenochtitlán gnębiło Tlaxcalę...

– Napadali nas! Pobierali z nas trybut, okradali!

– Tak, ale są czasy, gdy nawet wrogowie zostają przyjaciółmi! Teraz Tlaxcala i Tenochtitlán staną razem przeciwko wspólnemu wrogowi! – Xicotencatl desperacko próbował ratować sypiącą się przemowę. – Obcy dopuścili się jeszcze gorszych okrucieństw niż Mexikowie! Rabowali, mordowali, bezczęścili świątynie...

– Jedni nie lepsi od drugich zatem!

– Mexikowie to najgorsza zaraza! Ilu synów Tlaxcali zginęło na ich ołtarzach?!

– Mexikowie nie pozwolili Tlaxcali wybrać swojego króla! – podniósł głos któryś ze starszych. – Od czasów naszych dziadów i pradziadów pozwalają Tlaxcali tylko obradować, ale nie rządzić!

– Tak, ale teraz Tlaxcala ma króla! – zawołał Xicotencatl, przekrzykując wrzawę. – Teraz królem Tlaxcali jest Huēi Tlahtoāni Xahuatl!

Umilkli nagle, patrząc na niego ze zdumieniem.

– Co? – Stary Xicotencatl nastawił ucha. – Kto?

– Xahuatl. Xahuatl jest teraz Huēi Tlahtoāni i królem Tlaxcali – powtórzył młody wódz.

Na chwilę zapadła martwa cisza, a potem rada dosłownie eksplodowała.

Wszyscy naraz zerwali się ze swoich miejsc, zaczęli krzyczeć, wołać, potrząsać gniewnie pięściami i rwać włosy z głów. Ktoś przewrócił misę z *pulque*, inny potknął się o półmisek z plackami. Maxixcatzin zerwał się, zastąpił drogę któremuś z wodzów, który już, już miał się rzucić na Xicotencatla z pięściami.

– Hańba!

– Xicotencatl oddał Tlaxcalę Mexikom! Zdrada!

– Huēi Tlahtoāni jest przyjacielem Tlaxcali! – wołał sam Xicotencatl.

W końcu uspokoił się, znów zasiedli przy ogniu. W milczeniu wypili po czarce *pulque*, potem drugiej, łypiąc na siebie niechętnie spode łba.

– Niech Xicotencatl, ojciec Xicotencatla, powie, co uważa – przerwał milczenie Maxixcatzin, pokazując ręką na starego przyjaciela.

– Xicotencatl. – Chichimecatecle skinął głową.

– Xicotencatl – warknął syn swego ojca.

– Xicotencatl – potwierdziło jeszcze kilku innych.

Stary wódz potoczył po nich wzrokiem. Dał znak, żeby dolano mu jeszcze *pulque*. Wypił, rozlewając przy tym sporą część na ziemię i własną brodę. Mlasnął, podniósł wzrok ku górze i przymknął oczy. Odetchnął głęboko.

– Biały wódz Cortés jest przyjacielem Tlaxcali – zaskrzypiał. – Tlaxcala dotrzymuje danego słowa. Tlaxcala gości na swoich ziemiach białych ludzi.

– Co?! – Xicotencatl zerwał się ze swojego miejsca.

– Niech siada! – sarknął na niego Maxixcatzin.

– Wrogowie na ziemi Tlaxcali!

– Niech siada, mówi Maxixcatzin!

– Biały wódz Cortés i jego wojownicy są gośćmi Tlaxcali. Odpoczywają teraz w Hueyotlipan po tym, jak pokonali armię Mexików pod Otumbą – ze złośliwą satysfakcją wycedził Chichimecatecle.

Xicotencatl potoczył po nich przerażonym spojrzeniem.

– Przecież... Przecież biali są wrogami! – jęknął. – Niech Tlaxcala uderzy na nich czym prędzej! Niech wojownicy zbiorą się, zaatakują ich teraz! Xicotencatl poprowadzi ich do boju, bez trudu zabiją wszystkich! Biali z pewnością są słabi i zmęczeni, ich ręce nie mają siły! Niech Tlaxcala się opamięta się, uderzy na nich teraz...

– Biały wódz Cortés jest przyjacielem Tlaxcali. Tlaxcala dała słowo – powtórzył ojciec Xicotencatla z tępym uporem właściwym starym ludziom.

– Ale to przecież...

– Tlaxcala dała słowo – powiedział patrzący w ogień Maxixcatzin.

Xicotencatl wzdrygnął się, spojrzał na niego wielkimi oczami.

I wtedy po raz drugi tego dnia spłynęło na niego zrozumienie.

– Zły duch... Zły duch, który opętał Malintzin, rzucił też zaklęcie na wodzów Tlaxcali – powiedział, wstając od ognia. – Xicotencatla bronią czary Xahuatla. A jego ojciec, jego bracia mają zmacony rozum!

– Niech siada! Nikt nie rzucał na nikogo zaklęć! – prychnął Maxixcatzin.

– To czary!

– To nie czary, tylko rozum! To właśnie Xicotencatl ma umysł zmacony przez tego czarownika Xahuatla, a jego bracia myślą trzeźwo! – Maxixcatzin też zerwał się ze swojego miejsca, stanął naprzeciwko młodego wodza. – Niech raz w swoim życiu Xicotencatl posłucha się rady starszych i mądrzejszych od siebie!

– Maxixcatzin jest gotów zdradzić Xahuatla?!

– Maxixcatzin dotrzymuje danego przez Tlaxcalę słowa! Nie godzi się, aby białego wodza Cortésa, któremu dopiero co Tlaxcala obiecywała przyjaźń i który teraz znajduje się w tak wielkiej potrzebie, spotkało ze strony Tlaxcali takie okrucieństwo i zdrada!

Młody Xicotencatl pokręcił głową, a potem roześmiał się głośno.

– Jak chorągiewki na wietrze! – krzyknął Maxixcatzinowi w twarz łamiącym się głosem. – Tlaxcala nie ma króla, Tlaxcala nie ma rozumu. Nie ma nawet własnego zdania, mówiąc zamiast tego słowami białych najeźdźców! Tlaxcala nie ma już nic!

– Hańba! – zapiał stary Xicotencatl, spróbował wstać ze swojego miejsca, ale stracił równowagę i przewrócił się prosto w miskę z sosem do placków.

Maxixcatzin rzucił się na młodego Xicotencatla. Zaczęli się szamotać, upadli obaj na ziemię... Ktoś kopnął Xicotencatla, inny złapał go za włosy, odciągnął głowę w tył, ktoś jeszcze uderzył pięścią w brzuch.

Jeden z towarzyszących mu wojowników krzyknął głośno, przenikliwie, sięgając po broń. Kilku ludzi rzuciło się na niego, dosłownie przygniotło samą ilością... Bryznęła krew.

Xicotencatl chciał się wyrwać, ale złapali go w kilku za ręce i nogi.

Wierzgającego, rzucającego się, miotającego obelgi i plującego im w twarze zawlekli ku wyjściu z sali narad w świątyni, a tam zrzucili ze schodów.

Stoczył się na sam dół, koziołkując kilkanaście stopni, objając sobie łokcie, kolana i barki.

Kaszlnął, zajęczał... Wypluł z ust krew wraz z zębem.

– Zdrajcy – sapnął, gramoląc się na nogi. – Zdrajcy... Xicotencatl nie ma już ojca, nie ma braci!

Podniósł się, a potem pokuśtykał precz, byle dalej od tego miejsca, które nie było już jego domem.

### *Trzy dni później*

Caudillo Hernán Cortés wyprostował się dumnie, siedząc w nieco przymalym siodle najlepszego rumaka, jaki pozostał na wyposażeniu ekspedycji. Z wysokości końskiego grzbietu popatrzył na zbliżających się posłów z Tlaxcali.

Idący na czele orszaku Maxixcatzin skłonił się nisko, przeciągnął palcami po prochu drogi i położył je na języku.

– Tlaxcala najserdeczniej wita jego dostojność białego wodza Cortésa – odezwał się, na znak szacunku patrząc ku ziemi, na której stał dosiadany przez ich gościa wielki jeleń. – Maxixcatzin cieszy się, widząc swojego przyjaciela. Maxixcatzin rad jest, że biały wódz pozostaje w dobrym zdrowiu.

– Powiedz mu, Marina, że też się cieszę, widząc go tutaj. Mimo że ostatnio w mieście walczył chyba przeciwko nam, prawda? Zapytaj, co się zmieniło. – Caudillo wziął się ręką pod bok.

Maxixcatzin wysłuchał pytania, uśmiechnął się tylko.

– Wojownicy dostają dobre rady, które czasami potrzebują czasu, aby dotrzeć od uszu do serc. Tak samo Maxixcatzin

powiedział białemu wodzowi, zanim ten szedł do Tenochtitlán: niech nie wierzy Mexikom, niech nie brata się z nimi. Teraz Cortés widzi, że Maxixcatzin mówił mu prawdę, mimo że sam na chwilę pobłądził w podobny sposób.

– Hm, niech będzie. Kunktatorska odpowiedź, ale w punkt... No dobrze, z czym przychodzą? Przyjmą nas u siebie?

– Biały wódz Cortés przeszedł długą i zwycięską drogę, pokonując Mexików w Tenochtitlán i pod Otumbą. Teraz jednak jest we własnym domu, przybył tu, gdzie może odpocząć. Niech odzyska siły po trudach. Tlaxcala wita białego wodza Cortésa jako przyjaciela! – zakończył przemowę Maxixcatzin.

Towarzyszący mu wojownicy zakrzyknęli głośno, potrząsnęli bronią: tak! Właśnie tak było, tak postanowiono!

Ku stojącym w szyku, gotowym na wszystko konkwistadorom ruszył cały orszak tragarzy, dźwigających obfitość indyków, placków i owoców.

Kastylijczycy też zawołali radośnie, z ulgą. Bogu dzięki! Wreszcie chwila wytchnienia, wreszcie odpoczynek!

Cortés skinął ręką: naprzód.

Kolumna powoli ruszyła w kierunku Tlaxcali, już czekającej na przyjęcie gości i sojuszników.



## Rozdział 9

Co z pozostałymi? Maxixcatzin zdradził, a inni?

Xicotencatl spojrział ponuro, potrząsnął głową.

– Nikt poza Xicotencatlem nie wy dostał się z miasta. Albo też zdradzili, albo zginęli. Xicotencatl zawiódł Xahuatla! – zajęczał, chowając twarz w dłoniach.

Zahred westchnął, usiadł obok niego. Poklepał po plecach, objął ramieniem.

– Xicotencatl nie uwierzyłby, ile razy Xahuatl zawiódł samego siebie.

– Xahuatl jest wysłannikiem bogów!

– Nie, Xahuatl jest tylko człowiekiem i też popełnia ludzkie błędy. Nie ma winy Xicotencatla w tym, co się stało.

– Powinien był lepiej rozmawiać z wodzami Tlaxcali! Powinien był ułożyć sobie wszystko w sercu. Przećwiczyć! –



Młody wódz w bezsilnym gniewie uderzył się pięściami po głowie.

– Jedyńm, kto powinien był coś zrobić, jest Xahuatl. To on powinien był iść z Xicotencatlem do Tlaxcali. To błąd Xahuatla.

– Brat Xicotencatla zdejmuję winę z niego, żeby przyjąć ją na siebie – chlupnął Tlaxcaltek, uśmiechnął się słabo. – Tak nie wolno. Na to Xicotencatl nie pozwoli. Może przystać na podzielenie się winą po połowie.

– Umowa stoi. – Zahred podał mu rękę.

Xicotencatl siąknął nosem, otarł łzę z policzka.

– Co dalej? Skoro Tlaxcala przyjęła Cortésa, to... to czy teraz Huēi Tlahtoāni wyruszy przeciwko niej? – zapytał z trwogą.

Zahred westchnął ciężko, skinął na już czekającego w wejściu do komnaty Xiuhtziego. *Tlantonaniztli* podszedł drobnym kroczeniem, rozłożył swoje narzędzia i wziął się do opatrywania ran młodego wodza.

– Nie – odpowiedział po chwili milczenia. – Tlaxcala była jego pierwszym domem, nie zrobi więc tego. A poza tym najpierw musi odbudować Tenochtitlán. Sprawdzić, na kogo i czy w ogóle na kogoś może liczyć.

Przysłuchujący się rozmowie władca Domu Szeptów pokazał służbie, żeby ta przyniosła miskę z *pulque* i jedzenie dla powracającego z nieszczęsnego poselstwa Xicotencatla.

Sam przysunął się nieco bliżej, żeby Zahred go widział.

– Itzli rozumie, że w tej sytuacji plany wymarszu wojska śladem białych najeźdźców zostają odłożone na bardziej dogodną chwilę? – zapytał w przestrzeń.

– Itzli rozumie.

– Wyda zatem stosowne polecenia. Czy Xahuatl życzy sobie, aby przygotowano dary i wytypowano kandydatów do kolejnych poselstw?

– Władca Domu Szeptów niepotrzebnie marnuje powietrze, zadając pytania, na które doskonale zna odpowiedź!  
– burknął Zahred.

– Oby zatem pewnego dnia dzięki temu zabrakło go dla białego wodza Cortésa – odpowiedział Itzli poważnie, skłonił się z godnością i wyszedł.

– Wymarsz wojska...? – zapytał Xicotencatl z nadzieją.

– Gdyby Tlaxcala dochowała wierności... To jest gdyby opowiedziała się po naszej stronie – poprawił się Zahred. – Wtedy biały wódz Cortés nie miałby jak ani iść naprzód, ani się cofnąć. Wystarczyłoby naprawić to, co zepsuł ten głupiec Cuitláhuac.

– Biali uprawiają czary – warknął Xicotencatl, już odzyskujący zwyczajową pewność siebie.

– Czary nie mają tu nic do rzeczy! Xahuatl kocha swojego brata, ale ten opowiada głupoty.

– Tak jak wtedy, kiedy mówił Xahuatlowi, że Malintzin nosi w sobie złego ducha i trzeba ją zabić? – Xicotencatl wysunął szczękę gestem wyzwania.

– Hm, hm... – Zahred zamyślił się.

– Niech Xahuatl posłucha: jeśli biali rzucają czary na każdego, z kim porozmawiają... To może należy zwrócić się ku tym, którzy nie widzieli Cortésa?

– Druga strona jeziora?

– Tzintzuntzan i rządzący nim ludzie Purépecha. Tam biali nie doszli.

– Purépecha... – Zahred pstryknął palcami, próbując umiejscowić nazwę. – To ci, którzy potrafią też wytwarzać przedmioty z metalu?

– Ci sami. Xicotencatl był u nich dwa razy za młodu – przebiegle podsunął Xicotencatl, wyraźnie pragnący odkupić swoją połowę winy.

– Xahuatl nie ma odwagi ryzykować zdrowiem swojego brata drugi raz. Wolałby, żeby... – Zahred urwał, widząc rzednącą minę młodego wodza. Westchnął. – Niech będzie. Jak tylko Xicotencatl odzyska siły, niech rusza do Tzintzuntzan.

– Nawet jutro!

– Nie jutro. Teraz pośpiech nic nam nie da. Xahuatl dziękuje Xicotencatłowi za radę... I niech Xicotencatl nie rozpowiada wśród braci, że Tlaxcala odwróciła się do Tenochtitlán plecami.

Młody wódz pokiwał ze zrozumieniem, położył dłoń na sercu.



– Cholula? To jest, kurwa, niedorzeczne! Co te jebane brudasy miałyby...?!

– Spokój! – warknął Cortés na siedzącego nieco z boku pana de Portocarrera. – Miejcie na względzie, że to dzięki tym brudasom właśnie mamy dziś dach nad głową. A głowy te są nadal przytwierdzone do naszych karków. Przypominam to wam wszystkim, dobrzy panowie! Niech im będzie. Zapytaj go, Marina, czego jeszcze żądają.

– O co proszą – wtrącił de Grado.

– Słusznie: o co proszą, jakie są ich warunki. Miejmy chociaż w czym wybierać, zanim i tak zgodzimy się na wszystko... A teraz uśmiechamy się, panowie. Szeroko i szczerze, z głębi serca.

Malintzin nabrała tchu, zaczęła tłumaczyć słowa caudilla.

Siedzący naprzeciwko Kastylijczyków włodarze Tlaxcali ożywili się wyraźnie, słysząc już jej pierwsze zdanie. Stary

Xicotencatl klasnął w dłonie i zaśmiał się, pokazując dziury po brakujących zębach. Maxixcatzin pokiwał głową, patrząc Cortésowi prosto w oczy.

Siedzieli tutaj, w sali obrad Tlaxcali, na plecionych matach. Pomiedzy nimi stały miski z plackami i mięsem, parował świeżo upieczony drób, aromatyczne sosy. Jednak jedzenie, które zawsze przecież łączyło ludzi, tutaj zdawało się ich dzielić.

Ponieważ tym razem siedzieli jak równi z równymi.

Nie było już nadszukiwania służby.

Skończyło się nakładanie takich porcji, że Kastylijczycy ledwie dawali radę je przejeść.

Tym razem nie zostało im powiedziane, że zarówno posiłek, jak i to, na czym zostaje podany, należy do gości.

Nikt nie patrzył już z zabobonnym podziwem na potężnych, ubranych w kolorowe szaty i władających śmiercionośną bronią przybyszów ze wschodu.

Owszem, podejmowano ich co najmniej godnie. Ba, mało tego! Fetowano wręcz jak udzielnych królów. Zakwaterowani w najlepszych pałacach, opatrzeni, umyjni, w końcu wyspani, konkwistadorzy po raz pierwszy od haniebnej ucieczki z Tenochtitlán czuli, że jest tak, jak było...

Ale też że nigdy już nie będzie tak, jak było.

Bo siedzieli tutaj jak równi z równymi. Patrzyli, słuchali i rozważali każde słowo wystrojonych w pióra i złoto członków rady starszych Tlaxcali.

Tlaxcali, która zaczęła spotkanie od wysunięcia bardzo jasno sformułowanych i do bólu wymiernych warunków kontynuacji sojuszu.

– Maxixcatzin mówi... – Doña Marina zaczerpnęła tchu, wysłuchawszy repliki wodza na słowa caudilla. – Maxixcatzin mówi, że oprócz przekazania wszystkich ziem Choluli wraz

z polami, warsztatami, ludźmi, wioskami, zwierzętami i rzekami pod pełną władzę Tlaxcali i jej rady mają jeszcze inne warunki.

– Mówiłem, że będą chcieli nas ze skóry obłupić – mruknął de Sandoval.

– Dobrze, że tylko metaforycznie – wyszczerzyła się pani d'Estrada.

– Cicho! – znów syknął na nich Cortés, potrząsnął gniewnie głową. – Co to ma być w ogóle?! Zachowujcie się, na Boga, jak przystało na cywilizowanych ludzi!

Przewodniczący delegacji Tlaxcali uśmiechnął się nieszczercze, zapytał o coś.

– Maxixcatzin zapytuje, czy biały wódz nie chce najpierw zjeść. Głód to zły doradca – przetłumaczyła Malintzin, nie patrząc Cortésowi w twarz.

Caudillo spłoszował, z sykiem nabrał powietrza.

– Nie. Mów: czego jeszcze chciał poza Cholulą?

– Maxixcatzin powiedział...

– Do rzeczy, Marina.

– Po zwycięstwie nad Tenochtitlán chcą postawić w mieście fortecę obsadzoną i dowodzoną przez Tlaxcalteków, aby już nigdy nie obawiać się, że jakikolwiek władca...

– Zjedźmy – przerwał jej Cortés, bezceremonialnie sięgając po placek.

Kastylijczycy jedli w ponurym milczeniu, przeżuując kęs za kęsem wraz z niełatwymi słowami.

Z kolei ich tlaxcalteccy gospodarze zdawali się być w doskonałych humorach. Maxixcatzin wiódł prym, ewidentnie zabawiając pobratymców opowieściami. Siedzący obok niego Xicotencatl starszy śmiał się głośno i klepał po udach. Zdecydowanie mniej skory do okazywania emocji

Chichimecatecle kiwał głową, co rusz strzelając oczami ku markotnym białym.

Clamecahua pił tylko *pulque*, nadal nie mogąc zdecydować się, czy postąpił słusznie, bratając się z białymi.

– Cytadela w Tenochtitlán... – mruknął w końcu de Alvarado. – Wysoko się cenią.

– Piekło i szatani! – zawarczał Cortés. – Jak mogę przekazać Jego Wysokości, naszemu królowi, miasto z obcą załogą?! To przecież...

– W ogóle – odezwał się milczący do tej pory ojciec de Olmedo.

– Wybaczcie, ojcie...?

– W ogóle, synu mój – powtórzył duchowny, rwąc swój placek na malusieńkie kawałeczki. – Będiesz mógł je przekazać Jego Królewskiej Wysokości w ogóle. W odróżnieniu od nieprzekazania go wcale.

Cortés zacisnął pięść tak, że aż chrupnęły mu kostki, z wściekłością opróżnił duszkiem czarękę *pulque*. Spojrzał spode łba na zadowolonych z siebie Tlaxcalteków.

– Marina! Czego jeszcze chcą? Zapytaj.

– Już pytałam panie. O ile pamiętam teraz wszystko... – Malintzin zrobiła wymowną przerwę, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie odpowiadały jej warunki pracy, połączonej z odpytywaniem na wyrywki – to żądali jeszcze wieczystego zwolnienia z trybutu na rzecz każdego, kto będzie rządził w Tenochtitlán.

– Pięknie. Po prostu cudownie. Czyli mamy przyjąć ich jako ludność nieopodatkowaną, utrzymującą własny garnizon.

– Czwartym warunkiem Tlaxcali jest dzielenie się z Cortésem wszystkimi łupami z wojny.

– Niedoczekanie! – wybuchnął de Sandoval. – Żeby jeszcze...!

– Czekaj, Marina, bo to ważne: kto dzieli się z kim? – Cortés zmrużył oczy.

Jak gdyby rozumiejąc nie tyle słowa, co przebieg rozmów, siedzący po drugiej stronie Maxixcatzin uśmiechnął się do caudilla.

– Tlaxcala dzieli się z Cortésem...

– Oni oddają część swoich łupów mnie? Czy ja część moich łupów im? Czy dzielimy się każdymi? Marina, bo to ważne!

Malintzin nabrała tchu, zapytała. Wysłuchiwała odpowiedzi. Uściśliła. Dopytała jeszcze o coś. Kiwnęła głową, słuchając odpowiedzi.

– Maxixcatzin mówi: Tlaxcala pragnie dzielić się z Cortésem wszystkimi łupami wojennymi.

– W jakiej części? – od razu zainteresował się pan de Cáceres.

– Dziwacznie sformułowane żądanie, ale da się w nim zauważyć pewien potencjał... – znacząco zawiesił głos de Mexía.

– Panowie... – Caudillo podniósł obie dłonie. – Dzielimy już skórę na niedźwiedziu? Chociażby zażądali od nas połowy, albo i trzech czwartych tego, co zdobędziemy... To co? Co radzicie im odpowiedzieć? Śmiało! Słucham każdej propozycji, która nie zacznie się od „nie”!

Potoczył po nich wzrokiem.

Oni pospuszczali tylko głowy, nie mówiąc nic: nie bardzo było co powiedzieć.

– Tak – odezwał się po prostu de Alvarado.

– Tak – rzekł de Sandoval.

– Kurrwa mać, tak – sapnął Portocarrero.

– No tak, tak. – De Grado wzruszył ramionami. – A jaki mamy wybór?

Cortés nalał sobie *pulque*, znów wychylił duszkiem. Odstawił czarękę z hukiem na ziemię.

– Powiedz im, że się zgadzamy, Marina... I zapytaj, ilu wojowników są w stanie wystawić.



– Co rozkaże najwyższy król? Jaka jest wola Huēi Tlahtoāni?

Zahred podniósł głowę znad zwoju pokrytego siatką znaczków języka *nahuatl*. W części z nich skrywały się słowa, kolejne oznaczały wartości liczbowe. Jeszcze inne znów mogły być albo tym, albo drugim.

Albo oboma naraz.

Wszystkich pięciu członków Kręgu Dostatku i Kamienia Kukurydzy patrzyło na niego z uprzejmym, pełnym szacunku wyczekiwaniem.

Owszem, dostojnicy mieli świadomość tego, że rozmawiają z kimś, komu winni są najwyższy szacunek. Ale dla trzech z nich takie spotkania i podejmowane podczas nich decyzje powinny być sprawą rutynową. Chlebem powszednim.

Problem zaczynał się natomiast od tego, że Meksykanie nie mieli pojęcia, czym był „chleb”, a potem już tylko rozgałęział się na wszystkie strony i puchł ponad miarę.

Chociażby dlatego, że dwaj z pięciu – „wysoki opiekun zielonych traw” oraz „nosiciel nocnej ziemi” – sprawowali swoje funkcje, nie do końca mając pojęcie, co wchodziło w zakres ich obowiązków i jak się z nimi uporać.

A wynikało to z tego, że ich poprzednicy, a zarazem też do niedawna zwierzchnicy zginęli podczas masakry święta Toxcatl wraz ze swoimi najbliższymi akolitami – ci dwaj zaś byli po prostu kolejni w linii do mianowania.



Nieprzyuczeni. Młodzi. Zahukani. Wyraźnie speszeni.

Mający mgliste pojęcie tak o nadzorowaniu połączeń pływających upraw przybrzeżnych, urządzonych wzdłuż prawie całego brzegu słodkowodnej części jeziora, jak i o zajmowaniu się zbieraniem, segregacją, przetwarzaniem i dystrybucją odchodów z dołów kloacznych Tenochtitlán.

Brzmiało to mało poważnie, ale w istocie rzeczy było jednym z kluczowych elementów kruchej równowagi zaopatrzenia w żywność położonego na wyspie miasta.

Ich trzech starsi towarzysze byli weteranami tych posiedzeń i – o ile Zahred zdołał się zorientować – skrupulatnie wykorzystali okres rozluźnienia władzy najwyższego króla, a następnie swoistego bezkrólewia, żeby rozpętać swoje własne wojenki podjazdowe kompetencji, jurysdykcji i prymatu obowiązków.

W to wszystko zaś weszli jeszcze z butami nienażarci Kastylijczycy, którzy poważnie nadszarpnęli zapasy miasta.

No i niedawne pożary i walki w najważniejszej, centralnej dzielnicy składów i urzędów.

Zahred westchnął, odłożył zwój na bok.

Próby zrozumienia tego systemu po prostu nie miały sensu. Nie był nawet pewien, czy ktokolwiek żywy ogarniał go całościowo; chyba raczej nie. Całe Imperium Słońca trzymało się na delikatnej, kruchej siatce niepisanych obyczajów, umownych tradycji, precedensów i powtórzeń, przekazywanych w tradycji ustnej i czysto empirycznej.

Natomiast teraz, kiedy tak brutalnie przerwano ciągłość zarządzania, on musiał poruszać się w tym po omacku.

Na wyczucie.

– Niech otworzą magazyny i wydadzą ziarno na zasiewy – zdecydował.

– Najwyższy! – Quilhicayotl, pełniący jakże ważną i istotną funkcję patrzącego ku ziemi, od razu rymsnął czołem na podłogę. – Niech Najwyższy wybaczy niegodnemu słudze, że ten...

– Niech mówi... – westchnął Zahred.

– O Najwyższy, Quilhicayotl... – zaczął urzędnik.

Jednak w słowo wciął mu się siedzący obok Ahuilizxahual, wysoki żerca słonecznego bóstwa Piltzintecuhtli, odpowiadający za koordynację działań świątyń w zakresie upraw:

– O Najwyższy, kapłani Siedmioźmijnej Chicomecōatl nie ogłosili jeszcze właściwej pory na zasiewy! Nie przyszła też jeszcze wieść ze świątyni Centeōtla, opiekuna wzrastającej kukurydzy, że ziemia jest gotowa! Jeśli ziarno spadnie na nieprzygotowaną glebę, bogowie...

– Bogowie, tak. Czy jednak wysoki żerca zastanowił się, dlaczego kapłani ze świątyni Centeōtla milczą?

– Najwyższy! Nie jest rolą Ahuilizxahuala zastanawianie się, czy...

– Dlaczego milczą? – powtórzył Zahred.

– Bo wszyscy nie żyją? – nieśmiało odezwał się nosiciel nocnej ziemi.

Zahred uśmiechnął się samymi ustami.

– Huēi Tlahtoāni raduje się przenikliwością nosiciela nocnej ziemi. – Pokiwał głową ze smutną satysfakcją, po czym przeniósł spojrzenie na wysokiego żercę. – Owszem, kapłani Centeōtla nie żyją, nie ma co więc czekać na ich zezwolenie. Niech otworzą magazyny, niech wydają ziarno.

– Najwyższy, a co ze świętem Etzalcuatliztli? – zaniepokoił się Chalchihuetzal, pomocnik najwyższego kapłana bogini Ichpōchtli.

– Nie będzie na nie czasu.

– Najwyższy! Jeśli narzędzia do uprawy roli nie zostaną pobłogosławione...

– Jeśli zostaną, to minie wiele dni, zanim ich właściciele zdążą wrócić do swoich gospodarstw. Niech kapłani odprawiają rytuał na szczycie świątyni, a bogowie w tym roku ześlą błogosławieństwo do każdego domu osobno. Nie ma potrzeby urządzać święta i zwoływać wszystkich do Tenochtitlán.

– Ależ, Najwyższy, przecież święto Etzalcuatliztli... – płaczącym głosem jęknął Chalchiuhquetzal.

– Nie. Ma. Potrzeby – zawarczał Zahred.



Kiedy kapłani, urzędnicy i reszta menażerii poszli już sobie, Zahred po prostu wyszedł na przylegający do sali taras.

Tak, w korytarzu czekał już na niego niewielki orszak, gotów z mocno okrojoną pompą i ceremoniałem przeprowadzić go do drugiego skrzydła pałacu, w którym z kolei pokornie i cierpliwie czekali już na niego...

Przeciągnął dłonią po twarzy, próbując przypomnieć sobie zawile, absurdalne tytuły.

...czekali na niego zarządcy odpowiedzialni za sieć dróg, połowy ryb i warsztaty tkające bawełnę, z niezrozumiałych przyczyn połączeni w jeden pion zarządzania.

I każdy z nich miał co najmniej jedną sprawę, której pchnięcie dalej wymagało specjalnego akceptu, udzielonego osobiście przez Huēi Tlahtoāni.

Dopiero teraz, kiedy z perspektywy czasu przypominał sobie Montezumę, zachodził w głowę: jakim cudem tamtemu człowiekowi starczało na to wszystko dnia?!

On i tak rozgonił już na cztery wiatry dużą część ceremoniału związanego z poranną toaletą i wieczornym układaniem najwyższego króla do snu.

Wprowadził – ku zgorszeniu części dworaków – uproszczony protokół posiłków, które stały się spotkaniami technicznymi, służącymi mu do wysłuchiwania petentów i dyktowania pism, które potem dostarczano odbiorcom, dzięki temu niemuszającym czekać na audiencje.

A nawet mimo to ledwie dawał radę.

No dobrze – cudem wykrawał trochę czasu na próby szkolenia wojowników Jaguara i Orła w bardziej skutecznej wobec białych walce z wykorzystaniem części zdobyczej broni.

Nie zrezygnował też z porannego picia napoju *xocolatl* na tarasie w towarzystwie Itzlego.

Starął się również, wzorem Montezumy, znajdować co najmniej godzinę przed snem na samotne popatrzenie w gwiazdy i zwyczajne uspokojenie myśli, bez którego trudno było mu zasnąć.

Nocami jednak i tak męczyły go koszmary.

Widział w snach, jak pozbawione krwi ofiar słońce słabnie i zaczyna gasnąć. Patrzył bezsilnie, jak drzewa i rośliny więdną, ludzie zaś zaczynają chorować, a ich ciała pokrywają się ropiejącymi wrzodami.

Zamiast wody z gór zaczynała spływać krew, powoli zatapiająca cały świat.

Aż w końcu wyłaniało się z niej monstrum – wielki pająk o setkach nóg, pokryty szkarłatnym od krwi futrem, o oczach gorejących zielenią.

Budził się wtedy zlany zimnym potem i długo nie mógł zasnąć.

Wiedział, na co patrzy.

Dopytał przecież kapłanów o znaczenie snów. Dowiedział się wszystkiego, co tylko mógł, o Tzitzimitl, czyli Jadeitowej Pajęczycy Końca Świata... Chociaż tutaj nawet oni mówili mętnie i bardzo niejednoznacznie, nierzadko przecząc własnym słowom i płacząc się w zeznaniach.

Tak więc wyczekiwał jakoś do brzasku, najczęściej ćwicząc i studiując dokumenty..

A potem zjawiała się służba, przynosili śniadanie i przychodził Itzli.

I tak dzień w dzień, bez chwili wytchnienia.

– Najwyższy, niech będzie wolno... – rozległo się od wejścia do pałacu.

– Już idę! – warknął Zahred.



Caudillo Hernán Cortés przygryzł kciuk, odchylił się na drewnianym stołku i sapnął ciężko, patrząc w sufit.

– „Do mojego przyjaciela gubernatora Villa Rica de la Vera Cruz z chrześcijańskim pozdrowieniem” – zamruczał, układając w głowie po raz nie wiedzieć który początek tego samego listu. – „Niech wiadomym będzie, że z powodu wydarzeń, w których naturę nie chcę tutaj wchodzić, zmuszeni byliśmy opuścić Tenochtitlán. Potrzebujemy zatem jak najwięcej amunicji do rusznic i kusz, a wraz z nimi świeżego i wypoczętego żołnierza, bo nasz... Bo nasz...” Nie no, do dupy przecież to. Bo co, cholera? Bo nasz ledwo zipie, a została nas garstka?

– Tak to brzmi trochę – zgodził się siedzący w oknie de Grado.

– Przecież musi być jakiś sposób, żeby to powiedzieć, ale tak, żeby...

– Żeby co? Żeby jednocześnie tego nie mówić? Jak w tym liście: „Adela lekko zachorowała, pogrzeb we czwartek”? – prychnął de Grado. – Daj spokój, Hernán! Prawda prosto między oczy, a potem konkrety.

– „Straciliśmy wszystko, ratujcie”?!

– No, może nie aż tak dosadnie, ale... Hernán, ale nie sądzisz tak chyba, co?

Cortés znów westchnął, zakręcił niepotrzebnie wysychający inkaust.

– Czasami tak czuję.

– No więc nie czuj, bo twoje nastroje udzielają się ludziom. Oni to widzą, czują przez skórę. I już teraz...

– Co? – Cortés w lot wyłapał niepokojącą nutę.

– Jest ten oficer od Narváeza, de Duero.

– Andrés, tak. Znamy się nie od wczoraj przecież... Alonso, co ty knujesz? – Caudillo potrząsnął głową.

De Grado przewrócił oczami.

– No, tak właśnie czułem, że to może być zły pomysł, żeby otwarcie ci o tym mówić, Hernán, bo wy się przecież przyjaźnicie od dawna. No cóż, trudno, ktoś musi.

– Alonso...

– No co, co? Łazi ten twój de Duero od kompanii do kompanii, ludzi podburza! Mówi, że Tlaxcaltekwie nam gardła poderzną, w czym akurat się z nim zgadzam. Ale że ludziom otwarcie mówi, że nie damy Mexikom rady, to i ja sam słyszałem. A tym twoim rozkazem ze złotem to już w ogóle...

– I ty też, Brutusie? – Cortés złapał się za głowę.

– A czego się spodziewałeś, Hernán? Że ludzie pod nogi cię podejmą z wdzięczności, że kazałeś im oddać to, co dali radę zbierać? – De Grado rozłożył ręce. – Oni są przerażeni,

Hernán. Pobici, wycieńczeni, część okaleczona po prostu. Słyszałem, że jakieś pismo do ciebie mają wystosować.

– Pismo, ha? A jakiej treści?

– Pewnie żądające odwrotu i powrotu, a jakie jeszcze?

– Szlag!

– No więc jeśli chcesz ich ubiec, to lepiej rusz głową, przyjacielu. Niech nam czym prędzej na jednej nodze z Vera Cruz przyślą wsparcie, a potem trzeba ludziom jak najprędzej nowe zajęcie wynaleźć, żeby nie zgnuśniali do reszty.

Caudillo fuknął z niezadowoleniem, ale odkręcił kałamarz, rozprostował kartę pergaminu i zamoczył pióro w atramencie.

– „Gubernatorowi i wszystkim pozostającym w Villa Rica de la Vera Cruz z chrześcijańskim pozdrowieniem od Hernána Cortésa i wszystkich naszych towarzyszy! Niech wiadomym wam się stanie o tym, co przytrafiło nam się w ostatnich dniach...” – zamruczał Cortés, kreśląc zdanie po zdaniu.

### *Tzintzuntzan, stolica ludu Purépecha*

Rządzący wspaniałym i chwalebny ludem Purépecha, pochodzący w linii prostej od samego Turkusowego Władcy, Pana Ognia i Rozżarzonych Płynnych Kamieni, wszechmocnego Xiuhtecuhtlego, zasiadający na kamiennym tronie *cazonci* Zuanga zmrużył przebiegle oczy, patrząc na dary wnoszone przez przybyłych z Tenochtitlán posłańców.

Było ich niewielu, to *cazonci* od razu zauważył – niespełna tuzin, a w dodatku przewodził im jakiś nie-Mexik.

Owszem, pokryty bliznami, poobijany. Widać, że mocno bywały w walkach.

Ale z całą pewnością nie pochodzący z Tenochtitlán, a już na pewno nie z wysokiego rodu.

Dziwne było też imię tego mocno butnego, pewnego siebie młodzika: Xicotencatl, syn Xicotencatla. Jego akcent, lekko nosowo-gardłowy, wskazywał na kogoś z górskich rejonów północnego wschodu.

Tlaxcala?

Całkiem możliwe, zważywszy na obecność w jego niby-orszaku kogoś, kto musiał, ale to po prostu musiał być z ludu Otomi. Nikt inny nie ubrałby się w coś tak absurdalnie niestosownego na oficjalną wizytę tego szczebla.

Ale co miałyby robić Tlaxcaltek jako ambasador Montezumy?

– Nasz pan, władca Tenochtitlán, Huēi Tlahtoāni Imperium Słońca, przysłała nas i przekazuje jego bratu *cazonci* Zuandze pozdrowienia! – odezwał się Xicotencatl, starając się, aby jego głos brzmiał jak najbardziej donośnie. – Oto przybywamy, aby opowiedzieć *cazonci* ludu Purépecha o dziwnych przybyszach, którzy zjawili się w Imperium Słońca rok temu...

Zuanga słuchał i słuchał, nie mogąc uwierzyć własnym uszom.

Jednocześnie tragarze wchodzili do największej sali jego bazaltowego pałacu i układali u stóp kamiennego tronu coraz to nowe dary.

– Skóra tych ludzi jest biała, a ich ciała pachną mocno. Z ludźmi tymi spotkali się najpierw w walce dzielni wojownicy Tlaxcali...

– I dzielni wojownicy Otomi – wtrącił się niepytany jeden z ludzi z orszaku.

– I dzielni wojownicy Otomi, tak. Stanęli naprzeciwko nich, gdy tamci dosiadali wielkich jeleni noszących opończe i dzierżyli broń, w której mieszkał zaklęty grzmot...

Stos podarków rósł: turkusy i kawałki jadeitu, pięknie zdobione złotem okrągłe tarcze, przepięknie wybarwione pióra



quetzala, derki i opończe, złote dzwonki, wielkie obsydianowe lustra.

Istna fortuna.

Nigdy, ale to nigdy za pamięci Zuangi nie zdarzyło się, aby ktokolwiek przysłał mu takie dary.

– I teraz zatem Xicotencatl staje przed *cazonci* Zuangą i mówi: oto bądźcie nam przyjaciółmi! Niech wspólnie walczą armie Mexików i Purépecha, niech ich wrogowie padają od wspólnych ciosów!

A już na pewno nie robił tego Huēi Tlahtoāni.

I dlatego Zuanga, znany zarówno wśród wrogów, jak i sprzymierzeńców z tego, że przebiegle traktował prawdę, w lot pojął: Mexikowie musieli zaiste być w wielkiej potrzebie, że tak nagle zwracali się do Purépecha, niczym do dobrych przyjaciół.

Uśmiechnął się więc do prowadzącego poselstwo młodego Tlaxcalteka, rozkładając szeroko ręce, aby pokazać, że jego intencje są czyste niczym górską wodą.

– Purépecha cieszą się z przyjaźni Mexików. Purépecha oddają pokłon Huēi Tlahtoāni – przemówił głosem niczym miód. – Purépecha mówią: posłańcy są zmęczeni, niech odpoczną. Purépecha udzielą swojej odpowiedzi jutro.

## *Tenochtitlán*

– Teraz wyrok! I wyrzucenie rąk w przód! Hah!

– Aaa! – nieskładnie powtórzyli Mexikowie, imitując ruch pchnięcia włócznią.

– Nie, nie tak. – De Monroy, prowadzący tego dnia zajęcia z musztry, pokręcił głową. Stał w pozycji z piką tak, żeby na pewno wszyscy widzieli ustawienie jego nóg. Wyciągnął ręce

w przód, zrobił przepisowy wy krok nogą, wyrzucając stopę jak najdalej w przód. – O tak! Noga daleko, kolano otwiera się do zewnątrz. Musicie poczuć, jak ścięgna...

– Powoli, ja nie znam takich słów – mruknął Rodrigo, tłumaczący na łamany *nahuatl*. Odchrząknął, popatrzył na wojowników. – Niech ich stopy sięgną ku wrogom! Tak dalece, że aż poczują, jak trzeszczą... wiązania...? eee... sznurki ich kości? linki w ciele?

– Czy wódz Lotoliquo ma na myśli delikatne czerwone włókna? – nieśmiało zaproponował któryś z nich.

– Tak! Delikatne czerwone włókna. Niech pchają swoimi włócznie tak mocno, aż poczują, jak trzeszczą ich delikatne czerwone włókna!

Wojownicy popatrzyli po sobie, pokiwali głowami ze zrozumieniem. Któryś zaśmiał się nawet, wyraźnie zadowolony.

– Jeszcze raz! – zarządził de Monroy, stając w pozycji przed szeregiem. – I uwaga... Pchnięcie! Hah!

– Haah! – zawołali Mexikowie.

Rodrigo splótł ręce na piersi, przyglądając się z zadowoleniem ich wspólnym podopiecznym. Co prawda miał wrażenie, że nadal rozminął się gdzieś z semantyką, a oni zrozumieli go... Może nie to, że opacznie, ale w każdym razie nieco obok.

Chociażby dlatego, że zamiast zwracać uwagę na ścięgna pod kolanem i nad piętą, większość z nich z jakiegoś powodu przy każdym kolejnym pchnięciu dotykała się w okolicach krocza.

A niektórzy ukradkiem zerkali pod przepaski biodrowe, żeby...

– Więzadło... Węzidełko... Jeden chuj w sumie – syknął Rodrigo, krzywiąc się z zażenowaniem.

No ale wyglądało na to, że rada odniosła nie do końca zamierzony, ale pozytywny skutek. Oddział zaczął w końcu działać w jakim takim zgraniu, ludzie powoli łapali rytm.

No ale tak samo było wczoraj i przedwczoraj.

Problem dla Mexików zaczynał się, kiedy do akcji włączał się drugi rząd pikinierów, mający działać jednocześnie z pierwszą linią.

A ci ludzie po prostu nie umieli walczyć w grupie.

No ni cholery nie umieli! Zawsze któryś dał się ponieść nawykom, wyłamał się i wyskoczył naprzód.

Już klasyką było to, że z początku zwarty i spójny szyk zaczynał stopniowo rozciągać się na flankach, w miarę jak wojownicy odsuwali się od siebie nawzajem, aby mieć więcej miejsca i skuteczniej przejść do walki pojedynkowej.

Tak, było ciężko. Ale robili postępy, to trzeba im było przyznać. No i mieli taką krzepę i wytrzymałość, że potrafili ćwiczyć od świtu do zmierzchu, nawet się przy tym nie pocąc! Jakby ich jeszcze trochę przyuczyć, to...

– Yaotli i Yautli! – zawołał nagle jeden z ćwiczących Mexików, rzucił włócznię na ziemię i pobiegł gdzieś precz.

– Huexoch! – zza pleców Rodriga rozległ się dwugłosem wysoki pisk.

Rodrigo spojrział zdumiony na dwie kobiety, które z radosnym chichotem wybiegły z wejścia na dziedziniec szkoleniowy i pokłusowały przez całą jego długość, a potem rzuciły się w rozłożone w ramiona wojownika. Ten złapał każdą z nich jedną ręką, okręcił wokół siebie...

Z pewnym zdumieniem Rodrigo zrozumiał w tym momencie, że możliwe jest całowanie się z więcej niż jedną osobą jednocześnie.

– A tamten biały, którego wielce wysoka Huemapichtli widzi wspartego na włóczni, to... – odezwała się jeszcze jedna

z kobiet stojących w wejściu na dziedziniec.

Musiały być jakimiś dostojniczkami albo innymi szlachciankami, pomyślał Rodrigo. Nikogo innego zresztą by tu nie wpuścili, a z tyłu za nimi widać było niewielki orszak. Poza tym ten, który chichotał teraz z dwiema kobietami na rękę, był ichnim dowódcą.

No tak, jak zawsze: możne panie przyszły popatrzeć, jak ćwiczą żołnierze.

Swoją drogą, niebrzydkie były te panie, stwierdził Rodrigo, ukradkiem taksując ubrane w zwiewne szaty szlachcianki, trzymające wonne kwiaty w długich, upierścienionych palcach o wypielęgnowanych paznokciach.

– Huemapichtli rozumie – zaszcebiotała ta niższa i nie-aż-tak-zjawiskowo-ładna. – Ojej. Najwyżej ukwiecona Ihuicamina miała rację, że strasznie włochaty... A ten tutaj nie jest aż taki. – Pokazała na Rodriga, stojącego dosłownie trzy kroki od nich.

– Nie, ale nie jest też tak ładnie zbudowany – nieszczerze uśmiechnęła się ta zdecydowanie wyższa i bardziej powabna. – Poza tym widać, że jest uboższy... pod wieloma względami.

– Ciekawe, czy jest tak samo włochaty pomiędzy nogami? – zachichotała jej towarzyszka.

Rodrigo poczuł, jak robi mu się bardzo, ale to bardzo po męsku nieswojo.

Rosnący w nim wraz z kilkoma innymi rzeczami zachwyty w jednej chwili skurczył się i schował w podbrzusze, ustępując miejsca zwykłej złości.

– Lotoliquo wyprasza sobie! – wyrzucił z siebie, ruszając ku kobietom. – Niech zważają na słowa! Wydaje im się, że są przekupkami na wielkim targu, żeby gadać, co im ślina do ust przyniesie?! Same nie lepiej wyglądają wcale! Co to za obgadywanie dobrych żołnierzy? Niech powściągną swoje

niesforne języki, jeśli nie chcą ich same Lotoliquowi pomiędzy pośladki wsunąć!

Obydwie kobiety dosłownie zdębiały, jakby je grom z jasnego nieba strzelił.

– Ojej! – nerwowo zaśmiała się ta niższa. – On rozumie, co mówią Huemapichtli i Ihuicamina... Hihi!

– Oczywiście, że Lotoliquo rozumie! Niech się wstydzą! Niech im złe języki do sklepienia jamy ustnej przyrosną za takie gadanie! – pieklił się Rodrigo, wznoszący się po raz pierwszy w swoim życiu na wyżyny przekleństw szlachetnego języka *nahuatl*. – Za takie słowa powinny dostać po klepinięciu w twarz, i drugie pół tuzina na nagie łączenie nóg i pleców!

– Ojej... On ma coś do powiedzenia – z nieskrywaną fascynacją uśmiechnęła się ta wyższa, patrząc na Rodriga szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami.

– I nie wstydzi się tego! Więc jeśli nie chcą, żeby Lotoliquo napluł im do twarzy, to niech lepiej...

– Hola, hola. Co to za awantury, żołnierzu? Co to za wymachiwanie rękami przy pięknych paniach?

Rodrigo obejrzał się na de Monroya, idącego właśnie ku nim krokiem tak miękkim, płynnym i nienaturalnym, z tak słodkim uśmiechem i tak wysoko uniesioną zalotnie brwią, że od razu stało się jasne: musiał z jedną z nich znać się lepiej, niż wypadałoby to komukolwiek przyznać.

– No bo one wlażyły tutaj... – bąknął Rodrigo.

– „One” nigdzie nie „wlażyły”, żołnierzu. To jest wysoce urodzona Ichujuzkomina, piękność jakich mało... Ażęte, ma szehi! Kama, sa wa? – De Monroy absolutnie przesadnym gestem ujął dłoń najwyżej ukwieconej, cmoknął koniuszki jej palców. – Oraz jej równie urodziwa koleżanka... Moje uszanowanko pięknej pani! To co, dziś jakieś wspólne barabara, tak we trójkę?

– Panie...! – syknął Rodrigo, chowając głowę w ramiona i strzelając oczami ku stojącym przeciw tuż obok kobietom.

– Spokojna głowa, żołnierzu. Nie uwierzylibyście, jakbym wam powiedział, jakie świństwa przy niej można wygadywać. Ja jej o wszystkich moich byłych opowiedziałem, bo przecież one ani słowa po naszemu nie rozumieją! – zarechotał de Monroy.

Najwyżej ukwiecona zawtórowała mu perlistym śmiechem, po chwili zachichotała też i wielce wysoka Huemapichtli.

– Panie, ale... – Rodrigo spojrział na Mexika, pokazującego właśnie dwóm identycznym kobietom, jak powinno się wykonywać pchnięcie włócznią.

De Monroy poklepał go po ramieniu.

– Przejmujecie trening, żołnierzu. Mianuję was tymczasowo pełniącym obowiązki oficera, chwilowo przyjmuję was też do mojego herbu. Ja biorę na resztę dnia i sporą część jutra wolne, teraz ruszam na ucztę, a potem... Potem się zobaczy! – Puścił do Rodriga szelmowskie oko, obejmując obydwie kobiety w talii i ruszając ku wyjściu.

Rodrigo sapnął ciężko, widząc, że chyba nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Poczekał, aż tamci sobie pójdą, a oficer wyprowadzi dwie chichoczące bliźniaczki z dziedzińca.

– Niech wojownicy staną w szyku! – zawołał w języku *nahuatl*, ściągając przez głowę koszulę i zdejmując buty. – Niech ich nogi czynią to, co nogi Lotoliqua! Niech ich ręce uderzają mocno, żeby przebić skórę białego najeźdźcy... Hah!

– Hah! – krzyknęli chórem Mexikowie, niczym jeden mąż dźgając włóczniami w pustkę.

– Jeszcze raz, ku chwale słońca... Hah!

– Hah!

Przed oczami cały czas miał ten moment, kiedy ta wyższa i ładniejsza z kobiet, uwieszona na ramieniu wychodzącego z dziedzińca de Monroya, obróciła się jeszcze i spojrzała wprost na niego.

Spojrzała z zupełnie szczerym, nieudawanym zainteresowaniem.

## *Tlaxcala*

– Panie, panie! Przybyły posiłki z Vera Cruz!

Cortés zakrztusił się winem, parsknął i czknął, z trudem przełykając nie do końca przeżuty kęs mięsa. Zerwał się od stołu, przy którym jadł wraz z kapitanami wczesną kolację.

– Na Boga... Prowadźcie do nich!

Wypadli wszyscy z przerobionej na refektarz sali pałacu przydzielonego im przez władców miasta, popędzili ku dziedzińcowi. Już stąd słyszeli podniesione głosy, nawoływania ludzi... Pomoc! Przyszła pomoc!

– Mówiłem, że warto do nich napisać! – sapnął de Grado, szybkim krokiem idący obok Cortésa. – Widzisz, Hernán? Nie minęły nawet dwa tygodnie, a my już mamy wsparcie!

– Przyznaję, przyznaję! Jeśli jeszcze na pozostałe pisma tak szybko odpowiedź dostaniemy... Na Boga! Jeszcze da Bóg, to i Boże Narodzenie będziemy w naszym kościele w Tenochtitlán wyprawiać! – zaśmiał się Cortés. – I powiem wam, panowie, że mam już pomysł, jak powinniśmy dalej...

Stanął w wyjściu i urwał gwałtownie.

Na dziedzińcu stało siedmiu ludzi.

Siedmiu.

Słownie: siedmiu.

Siedmiu zmęczonych, pokrytych kurzem drogi, bladych ze zmęczenia ludzi.

– Co to ma... – Cortés zachłysnął się własnymi słowami.

W tym samym momencie jeden z żołnierzy jęknął, złapał się za brzuch i ciężko klapnął na ziemi, po czym zwymiotował.

– Miłościwy panie... My z Vera Cruz. – Ku Cortésowi podszedł jeden z przybyłych. – Pedro Lencer, do usług waszej miłości. Wasza miłość może mnie nie pamiętać, bo zaokrętowałem się...

– Pamiętam was, Lencer, a jakże. Gdzie reszta ludzi? Gdzie zapasy?

Lencer obejrzał się na swoich towarzyszy, zrzucone na ziemię tobołki i jednego jucznego muła.

– To tyle, miłościwy panie. – Rozłożył ręce.

Cortés wyminął go, przeszedł się pomiędzy ludźmi.

Co najmniej dwaj byli poważnie chorzy, o podkrążonych oczach i niezdrowo bladej cerze. Jeden z kolei miał zażółcone białka, następny był wyraźnie spuchnięty.

Stojący w progu de Sandoval omiótł wzrokiem tak długo wyczekiwane posiłki i zaśmiał się głupkowato.

## *Tzintzuntzan*

*Cazonci* Zuanga poprawił się na swojej słomianej macie, popatrzył po swoich doradcach.

– Purépecha zebrali się tutaj, aby rozważyć sprawę poselstwa od Mexików – zaczął bez ogródek. – Co powinni uczynić? Poważna jest wiadomość, którą przynieśli posłowie z Tenochtitlán. Niech starsi radzą!

– O niezmiernie wysoki, synu Ognistej Góry. – Jeden z zasiadających w kręgu skłonił się. – Nigdy nie słyszeliśmy, aby



istnieli ludzie, o których mówił Tlaxcaltek Xicotencatl w imieniu Huēi Tlahtoāni Mexików.

– Purépecha nie wiedzą, czy w ogóle mówił w jego imieniu – wtrącił inny.

– Racja! Huēi Tlahtoāni był zawsze Montezuma. A teraz słyszy się słowa, że Montezuma nie żyje, a jego tron zajął ktoś spoza Mexików.

– Po co zatem Zuanga miałyby wysłać wojowników do Tenochtitlán? – zapytał rzeczowo władca. – Zawsze kiedy Mexikowie czegoś chcieli od Purépecha, wojna albo już trwała, albo się kończyła, albo dopiero zaczynała. Odkąd sięga pamięć, pomiędzy Purépecha a Mexikami panował tylko gniew.

– Mexikowie są przebiegli, o synu Ognistej Góry – odezwał się kolejny z radców.

– To prawda! W ich ustach nie znajdzie się ani jednego słowa, które nie znaczy dwóch rzeczy naraz. Purépecha muszą uważać, żeby to nie był podstęp. A co, jeśli pragną na nas zemsty? Może chcą zabić nas zdradliwie, gdy wyślemy wojowników do ich miasta, a Tzintzuntzan zostanie bez ochrony?

– Towarzyszący Tlaxcaltekowi Xicotencatlowi człowiek z ludu Otomi powiedział kilka rzeczy – oznajmił jeden z doradców.

Inni spojrzeli na niego, wyraźnie zaciekawieni.

– Otomi przemówił? Godne uwagi wydarzenie – rzekł Zuanga.

– Tak, o niezmiernie wysoki. Potwierdził, że w Tenochtitlán odbyła się bitwa straszliwych rozmiarów, a miasto cuchnęło po niej trupami. Mówił, że Montezuma nie żyje, a Mexikowie mają nowego Huēi Tlahtoāni, który walczy teraz przeciwko przybyszom na wielkich jeleniach.

– Huēi Tlahtoāni walczy na wielkich jeleniach?

– Nie, o niezmiernie wysoki: przybysze są na wielkich jeleniach.

– Ach. To łatwiej sobie wyobrazić – sapnął uspokojony Zuanga. – Czyli Huēi Tlahtoāni prowadzi wojnę z białymi, tak?

– Tak właśnie jest.

– A co, jeśli... – Zuanga zmrużył oczy, mlasnął i podrapał się po nosie. – Co, jeśli Mexikowie zdradzą Purépecha, pozwalając, aby ludzie na wielkich jeleniach ich zabili? Wojownicy pójdą do Tenochtitlán, a tam czeka na nich tylko śmierć. Wiemy, jak to bywa z Mexikami i z ich wiernością.

Członkowie rady pokiwali głowami: tak, niezaprzeczalnie nikt nie spodziewał się niczego dobrego po Tenochtitlán ani po jego władcy, kimkolwiek by ten miał być.

– Jeśli Tenochtitlán ma wojnę z przybyszami... – ostrożnie odezwał się jeden z doradców – to nikt jeszcze nie wygrał. Czy tak?

– Tak.

– Tak, nie inaczej.

– I nie wiadomo, kto wygra?

– Nie!

– Nie, tego nie wie nikt!

– Po co zatem Purépecha mają wybierać, nie wiedząc, jaki wybór będzie słuszny?

Zuanga przytaknął z uznaniem, wysuwając szczękę.

Pstryknął palcami i wskazał na przedmówcę, dając służbie do zrozumienia, żeby od razu nagrodziła mądrą myśl pięknym naszyjnikiem z jadeitu i czerwonych piór. Przystrojony radca skłonił się nisko, dotknął czołem bazaltowej posadzki.

– Niech więc Mexikowie i przybysze zabijają się nawzajem – zawyrokował Zuanga. – Niech bogowie zadecydują, którzy z nich mają wygrać, a którzy przegrają i zostaną ukarani, bo źle

żyli. Zuanga nie wątpi, że karę poniosą Mexikowie, którzy od lat szanują tylko swoje świątynie.

– Obietnice Mexików wyglądają jak drewno, ale warte są tyle, co pieśń na wietrze! – zawołał gniewnie jeden z kapłanów.  
– To na pewno jacyś bogowie zesłali przybyszów, aby ich pokarać!

– Czy Purépecha dobrze wypełniają powierzone im przez bogów obowiązki? – z troską zapytał *cazonci*.

– Jak najlepiej, o synu Ognistej Góry!

– Zatem nie mają czego się od nich obawiać, a tym bardziej nie powinni występować przeciwko ich wysłannikom. A już na pewno nie u boku Mexików! Purépecha mają swoją broń odlewana i wykuwana z mocnego żelaza, a Mexikowie niech bronią się śmiesznymi mieczami z łupanego kamienia! – zarechotał Zuanga, poklepując głowicę tkwiącego u pasa miedzianego toporka.

– Co zatem odpowiedzą Purépecha posłańcom z Tenochtitlán? – zapytał mistrz protokołu.

– Purépecha powiedzą, że są przyjaciółmi Huēi Tlahtoāni. Powiedzą, że przysyłają dary i zapewnienia o tym, że są gotowi pomóc, kiedy taka pomoc będzie potrzebna. Na razie jednak nie jest ten czas.

Rada pokiwała głowami, milcząco akceptując decyzję władcy. Skoro Tenochtitlán przez tyle lat chciało samo nimi rządzić, to niech teraz sobie samo poradzi.



– Hernán...

– Czego? – warknął Cortés. Dopiero potem zreflektował się, uśmiechnął przepaszająco. – To jest, chciałem powiedzieć: „Co”? Co takiego?

Doña Marina pokręciła głową, podeszła do niego i delikatnie pocałowała w czoło.

– Słaby z ciebie kłamca, Hernán, ale doceniam wysiłek. Chciałam zapytać, co planujesz odpowiedzieć ludziom na ten ich list.

Caudillo popatrzył na leżące przed nim pismo.

– „Większość naszych ludzi poległa. Nasza artyleria przepadła, amunicja się wyczerpała, a nam brakuje wszystkiego, co potrzebne do prowadzenia wojny” – przeczytał jeden z fragmentów. – O, to jeszcze jest celne, posłuchaj: „Nie możemy uwierzyć, że ci Indianie dochowają nam wiary”. I to jeszcze: „Wszystkie te kwestie dostarczają nam dość powodów, żeby opuścić to miasto, nie czekając na gorsze zakończenie spraw”...

– Hernán, nie przejmuj się...

– Ale to nie koniec, patrz! O, tutaj! „Wiemy, że Wasza Ekscelencja zamierza”, rozumiesz? Oni wiedzą, co ja zamierzam! I jeszcze z literówką to napisali, psubraty... Będą mi mówić, co myślę!

– Hernán...

– Ale to nie koniec, posłuchaj: „Prosimy i błagamy Waszą Ekscelencję”, a chwilę dalej już „żądamy”! I znów „żądamy”! „Żądamy w obecności notariusza i wniesiemy urzędową skargę przeciwko Waszej Ekscelencji i jego majątkowi za wszystkich poległych, za szkody i straty, jakie nas dotkną, jeśli nie postąpicie zgodnie z naszą radą”... Wyobrażasz sobie?! To jest szantaż, to jest ultimatum!

– Ćśśś... – szepnęła, przyciągając jego głowę do swojego podółka i głaszcząc po włosach. – To tylko słowa, Hernán. To

nic, to błahostka. Prymitywna słabość małych ludzi, ponad którą się wzniesiesz, jak zawsze to robisz.

– Ale jak ja im odpowiem? – zajączał Cortés.

– Na zimno, Hernán. Wyniośle i spokojnie, aby poczuli się tak, jak na to zasługują. Niech po raz kolejny zrozumieją, że te wątpliwości są tylko w ich głowach, zaś ty widzisz i wiesz więcej. Dotrze to do nich, kiedy znów wyruszymy w bój, a oni zaczną zwyciężać.

– Nie mamy ani ludzi, ani broni, żeby uderzyć znów na Tenochtitlán.

– Więc zwróćmy się w drugą stronę, żeby zapewnić sobie bezpieczne zaplecze. Skoro Tlaxcala walczy po naszej stronie, to pokażmy jej, jak szybko idą nasze podboje. Niech zasmakują zwycięstwa. Zaś co do broni... – Uśmiechnęła się. – Nie tylko żelazem zdobywa się królestwa, Hernán. Jest wiele broni.

– Ale na kogo mielibyśmy...

– Na kogokolwiek.

Cortés aż zadrżał, słysząc te słowa.

Nadal czasami przerażało go, jak bardzo zimna i wyrachowana, a zarazem żądna krwi potrafiła być ta kobieta.

Najstraszniejsze zaś było to, że miała rację.

– Tepeaca – szepnął.

– Czemu nie? – Malintzin wzruszyła ramionami. – Jaki podamy powód?

– To przecież tam zaatakowano i zabito naszych ludzi. To jest ludzi Narváeza – poprawił się Cortés.

– Doskonale zatem, bo mamy słuszną przesłankę do wypowiedzenia wojny. To byli ważni ludzie, tak?

– Tak, tak! Oficerowie, szlachetnie urodzeni. Rajcy miejscy San Salvador, tej ich osady! – Cortés pstryknął palcami. – A przecież Tepeaca jest pod zwierzchnictwem Tenochtitlán, którego władca jest wasalem króla Kastylii.

– Zatem rebelia? Jeszcze lepiej, Hernán. Piękne połączenie. Ogłoś im to czym prędzej. Nawet teraz.

– Teraz? – zdumiał się caudillo. – Ale przecież jest już noc...

– Noc to piękna pora, Hernán. Ogłoś to teraz, jednocześnie odpowiedz tym, którzy wystosowali to śmieszne pismo. Dwie sprawy za jednym zamachem.

Cortés odsunął ją, wstał z krzesła.

– Słusznie! Im szybciej, tym skuteczniej. Chodź, Marina! Pokażemy im...

– Idźcie, panie. Ja zaraz do was dołączę. – Uśmiechnęła się.

Kiedy pospieszył do reszty kapitanów, ona przeszła przez sąsiednią salę i łączący dwa skrzydła ich kwatery dziedziniec, kierując się do roboczo urządzonego tam lazaretu.

Wśliznęła się przez wiszącą w przejściu zasłonę w duszną, parną ciemność, pełną ciężkich oddechów i kaszlu.

Leżało tutaj kilku ciężiej rannych żołnierzy, ale też paru chorych.

Pomiędzy nimi był jeden z tych, którzy przyszedli z wybrzeża, od kilku dni złożony wysoką gorączką i upstrzony plamkami ropnych krost.

Odnalazła jego posłanie, nieco z boku od pozostałych.

Przykucnęła, dotknęła dłonią rozpalonego czoła.

– Zwierciadło z Dymu, Władco Cieni i Złudzeń, Odbity w Wodzie... Usłysz wołanie służki swojej – zaszepiała, wodząc rękoma w powietrzu nad nieprzytomnym, który zajęczał i poruszył się niespokojnie. – Niech siła, niech słabość, niech co najlepsze i najgorsze, niech to, co nieznanne i nienazwane, niech ujdzie z ciała tego człowieka. Niech jego gwiazda uleci ku tobie, niech pociągnie za sobą setki, tysiące innych... Zwierciadło z Dymu, usłysz, wysłuchaj, spełnij! Władco Cieni i Złudzeń, przybądź, daj, wspomóż! Odbity w Wodzie, przyjmij ofiarę!

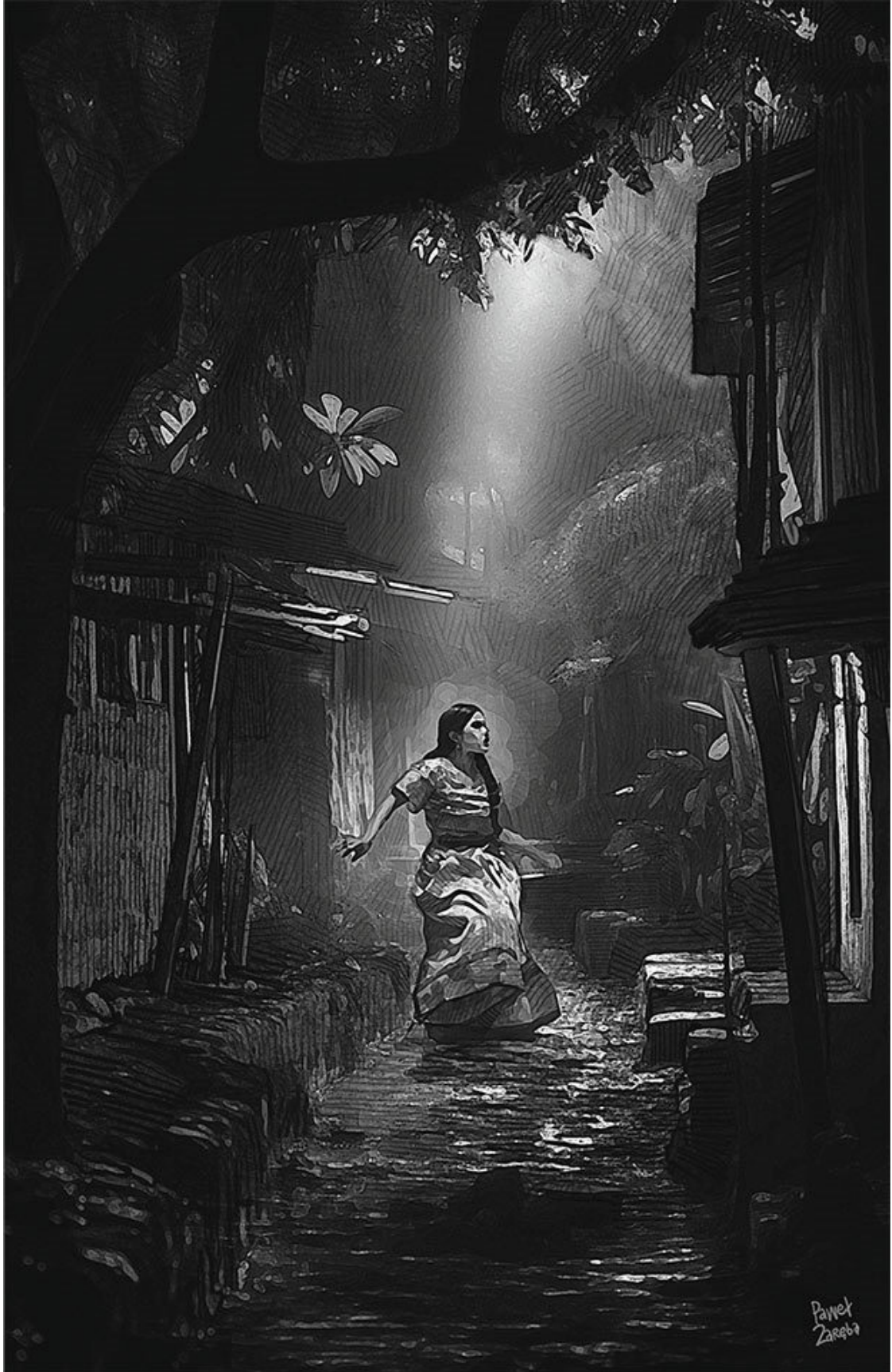
Chory zajęczał rozdzierająco, wzdrygnął się, otworzył oczy i spojrzał na nią pełnym przerażenia wzrokiem – a potem oczy uciekły mu pod czaszkę, ciało zwiotczało, z gardła wydobył się charkot uciekającego z wiotczących płuc powietrza.

Malintzin zamarła w bezruchu, a potem pospiesznie sięgnęła do sakiewki przy pasku, wyciągnęła z niej kolec ułamany wcześniej z martwego krzewu agawy. Ujęła go i nakłuła jedną z krost na ramieniu leżącego człowieka. Spod cienkiej, napiętej skóry wypłynęła kropla ropy przemieszanej z krwią.

Malintzin umoczyła w niej kolec agawy, dokładnie obtoczyła jego końcówkę w mętnej płynie. Wstała, obróciła się na pięcie i szybkim, zdecydowanym krokiem wyszła z lazaretu na dwór.

– Zwierciadło z Dymu, Władco Cienia, Odbity w Wodzie. Zwierciadło z Dymu, Władco Cienia, Odbity w Wodzie. Zwierciadło z Dymu, Władco Cienia, Odbity w Wodzie... – szeptała pobielającymi ustami, idąc na sztywnych nogach przez zapadającą noc.

Przed nią leżały domy Tlaxcali, która otworzyła przed pobitym, uciekającym Cortésem swoje gościnne ramiona, a teraz miała stać się narzędziem w ich rękach.



Pawel  
Zareba



Dla niego – narzędziem podboju.

Dla niej – narzędziem zemsty.

Cała Tlaxcala, nie tylko jej wojownicy. Każdy, bez wyjątku: mężczyźni, kobiety, dzieci. Młodzi i starzy. Każdy z tych ludzi przyczyni się do upadku Tenochtitlán.

Do upadku świata piątego słońca.

Malintzin podeszła do pierwszego z brzegu domu, kolcem agawy nakreśliła w tynku przy drzwiach długą kreskę, gdzie domownicy opierali się plecami o wyslizgany mur.

Podeszła do drugiego, przeciągnęła kolcem tam, gdzie na schodkach widać było ciemniejszy ślad.

Na trzecim postawiła dwa znaki przy oknie.

Szła tak przez noc, jedno po drugim znacząc wejścia do domów, w których układali się do snu niczego niepodważający ludzie.



Zahred spojrział na rozstawione przed nim na plecionej macie misy i tace. Przeniósł wzrok na siedzącego naprzeciwko Itzlego.

– Od jak dawna i skąd nie docierają do nas daniny? – zapytał krótko.

Władca Domu Szeptów skrzywił się w nieszczerym uśmiechu, sięgnął po przekrojony na czworo owoc.

– Czy najwyższy król życzy sobie dokładną listę? Pamięć Itzlego służy mu dobrze, ale nawet ona ma swoje ograniczenia.

– Dlaczego Xahuatl nie wiedział o tym wcześniej?

Itzli westchnął ciężko, spojrział na Zahreda smutnym wzrokiem.

– Ponieważ jest Huēi Tlahtoāni. Ponieważ niedopuszczalne jest, aby na stole Huēi Tlahtoāni miało zabraknąć czegokolwiek...

– A jednak zabrakło. I niech teraz władca Domu Szeptów odpowie sam sobie: czy lepiej, aby najwyższy król wiedział o tym wcześniej, kiedy jeszcze miał zapas, którym mógł się cieszyć? Czy później, kiedy po prostu trzeba postawić go przed faktem dokonanym?

– Itzli i Xahuatl zgadzają się w tym, że ich odpowiedzi na to pytanie będą różne.

– Itzli robi się niepokojąco dobrym partnerem do rozmowy! – prychnął Zahred.

– Xahuatl zaś coraz częściej pokazuje, że też posiada emocje. – Władca Domu Szeptów przyłożył dłoń do serca. – To dobrze, bo Itzli widzi w tym wyraz jego miłości do Tenochtitlán.

– Xahuatl wolałby wyrażać ją, dostarczając jego ludziom żywność i pokonując wrogów!

– Zasiew już wschodzi na polach, potem będą żniwa – sentencjonalnie rzucił Itzli.

– Najpierw będziemy żąć kukurydzę, potem ludzi. A więc? Jak bardzo jest źle?

– Źle – rzekł Itzli. – Duża część miast dalej od jeziora odmówiła płacenia trybutu. Tlacopán i Texcoco wahają się, ale boją się otwarcie wypowiedzieć posłuszeństwo.

– Chociaż jedni, co mają dość oleju w głowie.

– Czego? – zainteresował się Itzli.

– Gęstej, tłustej wody wyciskanej z nasion i pestek. Za Wielką Wodą używa się jej do smażenia żywności... Och, bogowie, ile ja bym teraz dał za sesję masażu z oliwą, a potem dobrego niewolnika ze skrobaczką! – roześmiał się Zahred. – Jest tyle rzeczy, które Xahuatl będzie chciał pokazać Meksykom!

– Zatem niech pokona Cortésa, ponownie odbuduje władzę Tenochtitlán i zajmie się tym jak należy. Co uczynić z niepokornymi miastami?

– Niech Itzli wyśle do nich posłów. Niech przypomną im o przymierzu i obiecują, że każde miasto, które wyrzuci ze swojej ziemi białych najeźdźców albo wystąpi przeciwko nim, będzie przez rok zwolnione z trybutu. Może to coś da...

– A jeśli nie?

– Jeśli nie... To Xahuatl będzie musiał rozwiązać ten problem po swojemu.

– Tak jak czynią to bogowie?

– Bogowie... Tak, z nimi też musi po drodze porozmawiać. Ale jego sposób będzie zdecydowanie przyziemny.

Leżący obok swojego pana Kefren zawarczał głucho.



– Będę znów miał dla was zadanie.

– Cokolwiek powiecie, panie... – Stojący przed caudillem Martín López uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– Zbudujecie mi nowe brygantyny.

Cieśla zamrugał zdumiony.

– Tutaj, panie? – upewnił się.

– Tutaj.

– Ale że w Tlaxcali? Na suchym lądzie?

– Tak. Dacie radę?

– Ale... Miłociwy panie, nie zrozumcie mnie źle, bo ja nic złego na myśli nie mam...

– ...jednak brzmi to, jakby brakowało mi piątej klepki. To chcecie powiedzieć?

– Nie?

– Nie bójcie się, panie López, jeszcze nie oszalałem. Chcę, żebyście rozpoczęli budowę wszystkiego, pozbiali części, przygotowali je, ale jeszcze nie składali w całość. Dacie radę?

– No, robota jak robota. A ile, panie? Bo jeśli cztery, to...

– Co najmniej tuzin.

– Tuzin – powtórzył cieśla. – Panie, to będzie niemały koszt. Drewno, narzędzia, wyżywienie dla ludzi...

– Drewno bierzcie z okolicznych lasów. Wytnijcie ile i czego trzeba, nie żałujcie niczego. Przygotujecie wstępny kosztorys? Zwrócę wam wszystko, co do grosza, i to jeszcze z nawiązką.

– Dobrze, skoro tak wasza miłość każe... Zrobi się, jasne.

– Na kiedy się wyrobicie, panie López?

– Do Nowego Roku? – zaryzykował szkutnik.

– Niech będzie do Bożego Narodzenia. Tylko jeden warunek, panie López: dowiaduje się o tym tylko ten, kto musi. Trzymamy całość w tajemnicy. Umowa stoi?

López obliznął usta, zawahał się tylko chwilę.

– Stoi! – Wyciągnął do caudilla rękę.



Tenochtitlán już spało, a Zahred nadal siedział schylony nad pismami piętrzącymi się na podłodze jego sypialni.

Doniesienia szpiegów Itzlego.

Raporty ambasadorów.

Wyciągi ze stanów magazynowych.

Szczegółowe cotygodniowe meldunki od dowódców poszczególnych oddziałów wojskowych.

Spisywane na jego wyraźne polecenie, a ku przerażeniu urzędników, protokoły z posiedzeń wszystkich możliwych narad, spotkań, nadzwyczajnych obrad i temu podobnych.

I masa, cała masa innych.

Było już późno, kleiły mu się oczy.

Ale wiedział, że kiedy zaśnie, znów przyjdą koszmary.

Więc wolał pracować długo w noc, aby maksymalnie odwlekać moment, kiedy będzie musiał zamknąć oczy.

Tym bardziej że tak jak powiedział Itzli, było źle.

– Źle, a nawet gorzej – zamruczał do siebie. – Gorzej być już chyba nie może...

Nagle wyprostował się.

Spojrzał ku oknu, za którym widać było śpiące Tenochtitlán i rysujące się ponad nim szczyty gór.

Powiew wiatru wpadł przez wyjście na taras, poruszył zasłonę i owionął mu twarz, niosąc ze sobą zapach nocnego jeziora i daleką, ledwie wyczuwalną woń wstającej w górskich dolinach mgły.



– Itzli wita Xahuatla! Nadzieję Itzlego jest, że Huēi Tlahtoāni...

Władca Domu Szeptów urwał, stając pośrodku apartamentu najwyższego króla. Rozejrzał się po pustej sali.

– Huēi Tlahtoāni? – zapytał.

Odpowiedziała mu tylko cisza.

Wyszedł na taras, gdzie służba już rozłożyła maty ze śniadaniem i przygotowała poranną ceremonię. Napój *xocolatl* stygł powoli, parując w kamiennych dzbanach.

Itzli wrócił, zajrzał do sypialni.

Przeszedł raz jeszcze po pokojach, zakręcił się po tarasie.

Wyszedł na korytarz, do galerii. Popatrzył w twarze pilnującym wejścia żołnierzom.

Znów wszedł do apartamentów, do sypialni.

Posłanie było równusieńko przykryte perfekcyjnie ułożonym, pozbawionym nawet jednej zmarszczki kocem. Strój, ubrania, wyposażenie. Pióropusz, szaty ceremonialne.

Wszystko było tutaj.

Z wyjątkiem Huēi Tlahtoāni i jego siekiery.

Oraz psa.

Itzli westchnął, przeszedł na taras. Usiadł samotnie na macie i pokazał gestem służącej, żeby naląła do jego czarki napoju *xocolatl*.

Upił łyk i uśmiechnął się do własnych myśli, patrząc ku szczytom dalekich gór.



## Rozdział 10

**K**efren, chodź!

Pies jeszcze raz i drugi wciągnął powietrze szeroko rozdętymi nozdrzami, obwąchując szczególnie interesujący przydrożny kamień, po czym pobiegł za człowiekiem.

Zahred cierpliwie poczekał, aż zwierzak zrówna się z nim i stanie przy lewej nodze. Schylił się, podrapał go za uszami, prawą ręką podał niewielki kawałek mięsa wyjęty z sakwy.

– Dobry pies – pochwalił. – No już, idziemy dalej. Chodź.

Dzień był przepiękny.

Na idealnie czystym, lazurowym niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce świeciło ostrym, kłującym blaskiem. Aż czuć było świeżość poranka, wciąż pełnego rześkiej nocnej wilgoci.

Zahred odetchnął głęboko, nabierając w płuca haust cudownie świeżego, krystalicznie czystego powietrza górskiego płaskowyżu.

Wolny.

Po raz pierwszy od nie wiedzieć kiedy czuł, że jest wolny.

Nie miał nad sobą zwierzchności.

Nie miał obowiązków.

Nie miał nawet ludzi, którymi musiałby się zajmować.

Był tylko on, pies u jego boku, sakwa i siekiera za pasem. Przed nim i za nim wstęga drogi wijącej się pomiędzy zboczami gór.

To naprawdę mogłyby być dowolne czasy, dowolne miejsce. Gdyby pozwolił sobie na uwierzenie, że to wszystko dopiero się zaczynało, że był tutaj nieledwie przechodniem, że dopiero pojawił się w tym świecie...

Westchnął ciężko.

...ale nie mógł sobie na to pozwolić.

Wiedział, dokąd i po co idzie.

Miał doskonałą świadomość tego, że za jego plecami, na końcu wstęgi drogi, wznosiło się ogromnym masywem śnieżnobiałe Tenochtitlán.

Jego Tenochtitlán.

Miasto, które mu powierzono, którego był królem. I które opuścił właśnie teraz, gdy najbardziej go potrzebowało.

– „W najgorszej porze” – mruknął sam do siebie.

Nie miał wątpliwości, że Rodrigo przekazał już Itzlemu zostawione mu na piśmie instrukcje.

Władca Domu Szeptów na pewno wykona je co do joty, co powinno przynajmniej częściowo pozwolić Zahredowi utrzymać płynność rządzenia miastem.

Nawet pod jego własną nieobecność.

Oczywiście, nie żywił nawet cienia nadziei na to, że wszystko pójdzie bezproblemowo. W tak bardzo zhierarchizowanym, do absurdu wręcz poukładanym systemie,



jakim było Imperium Słońca, brak nawet najmniejszego fragmentu...

Dość.

Zatrzymał się gwałtownie, zrzucił z ramienia sakwę i po prostu usiadł przy drodze. Skrzyżował nogi, położył dłonie na kolanach i zamknął oczy.

Wdech, wydech. Wdech, wydech. Wdech... wydech...

Ruszył dalej dopiero wtedy, kiedy wirujące mu w głowie myśli ponownie uspokoiły się i osiadły na dnie świadomości.

Został tylko on, górski pejzaż, kamienista ścieżynka i wiszące na lazurowym niebie bladożółte słońce.

Po raz pierwszy widział i doświadczał tej krainy w spokoju.

Nie jako odkrywca czy zdobywca, ale zwykły podróżnik.

Nie w składzie grupy, kompanii, oddziału czy ekspedycji, ale jako pojedynczy człowiek.

I musiał przyznać, że zapierała dech w piersiach.

Droga wiała się i meandrowała kamienistą wstęgą pomiędzy wyższymi i niższymi wzgórzami, których porośnięte wysoką trawą i krzewami zbocza pięły się mozolnie od zacienionych, pełnych skłębionej roślinności dolin aż ku ostro zaciosanym wierzchołkom wzniesień, łączących się w całe łańcuchy, a ponad wszystkim tym niepodzielnie i niewzruszenie górowały wyniosłe, przyprószone białym śniegiem odległe szczyty.

Nie był tam sam, bynajmniej. Cały czas widział, jak wraz z nim ścieżką idą, każdy swoim tempem, inni podróżnicy: maszerujący skądś dokądś lokalni rolnicy, tragarze dźwigający ładunki w koszach zaczepionych paskiem o czoło, w końcu po prostu ludzie podążający w swoich sprawach.

Jedni pojawiali się na szlaku przed nim, znikali w dolinkach i jarach, żeby potem wyłonić się na wzniesieniach, już bliżsi i więksi w perspektywie.

Z rozmazanych kropek stawali się kreskami, następnie dało się odróżnić u nich głowę, nogi i ręce... Szczegółów przybywało, widział wzory na ich tunikach, niesione bagaże, prowadzone za rękę dzieci.

Potem kilkanaście krótkich kroków, wymiana przelotnych spojrzeń, skiniecie głową, oszczędny uśmiech, słowa życzeń na dalszą drogę – i znikali mu za plecami, aby nigdy więcej się nie pojawić.

Inni znów szli w tę samą stronę, więc widział ich dłużej.

Pojawiali się dalej albo bliżej, poruszając się podobnym tempem, więc mogli towarzyszyć mu przez większą bądź mniejszą część dnia, aby potem zniknąć, skręciwszy do takiej czy innej wsi albo widocznego nieopodal miasta.

Niektórzy wlekli się wolniej.

Albo gubił ich, zostawiał poza widnokretem z tyłu, albo też mozolnie, niemalże niezauważalnie doganiał, z każdym krokiem skracając dystans do wędrujących przed nim.

Nieliczni szli szybciej, tempem dla niego niemalże nieosiągalnym i trudnym do wyobrażenia.

Jak ta kobiecinka.

– Może mu pomóc?

Zahred obejrzał się przez ramię, zaskoczony. Zmierzył wzrokiem staruszkę dźwigającą ogromny, bez mała większy od niej tobiół.

– Może to jej raczej przyda się pomoc? Xahuatl widzi, że jej nogi muszą być zmęczone... – zaproponował.

Kobieta zaśmiała się sucho, machnęła ręką.

– Xahuatl już dawno będzie wołał o pomoc, żeby ukucnąć przy dole kloaczny, a nogi Eleui nadal będą niosły ją chyżo niczym sarnę. Ech, wy dzisiejsi młodzi... Żadnej krzepy, żadnej wytrwałości! Nie to, co u tych, co przeżyli swoją młodość wraz z Nezahualcoyotlem!

– Eleui pamięta wielkiego Nienasyconego Kojota?

– Czy pamięta? Ba! Widziała go tak, jak teraz widzi... – zawiesiła głos, wymownie patrząc na Zahreda.

– Xahuatla – odpowiedział.

– O właśnie! Stała może rzut oszczepem od niego, gdy doglądał budowy wielkiej grobli na jeziorze, aby rozdzielić jego wody słone od pitnych. Piękny to był władca, silny i wyniosły. A jaki przystojny! – Kobięcina pokiwała głową. – Tak, tak, w czasach Eleui młodzi mieli więcej sił, ich nogi mogły niestrudzenie kroczyć od świtu do zmierzchu.

– Eleui zatem powinna nauczyć Xahuatla, jak ten ma chodzić po górach. – Zahred uśmiechnął się pod nosem.

– A co? Potrafiłaby, a jak! – prychnęła staruszka, poprawiając swój pakunek. – Ale to już nie to pokolenie, nie ci ludzie. Nie ci sami, kiedy Eleui i Tototl poznali się przy wieczornym ogniu, a potem pracowali bez wytchnienia, stawiając wielką zaporę, układając kamienie... Tak, to były piękne czasy, czasy młodości i miłości. A teraz... teraz to wszystko przemija i niedługo nie zostanie nic.

Kobieta zupełnie machinalnie wyciągnęła rękę, pogłaskała idącego przy nodze Zahreda psa. Kefren spojrział na swego pana, zdumiony takim nagłym spoufaleniem się całkiem obcej osoby.

– Nogi Eleui przecież są nadal silne – zauważył Zahred.

– I co z tego, skoro nie ma tego, który co wieczór nacierał je maścią? Kiedy już nigdy łydki Eleui nie zaznają dotyku jej ukochanego Tototla, a ona została sama na tym świecie? – westchnęła kobieta.

– Mąż Eleui zatem odszedł do bogów?

– „Odszedł”! – prychnęła, nagle rozeźlona. Otarła wierzchem dłoni łzę z kącika oka. – Został jej wydarty, zabrany! A mówiła mu przecież Eleui: niech Tototl nie idzie tak rano na

pole, niech poczeka. Widzi, że drogą idą obcy... Nie posłuchał się jej, uparł się, jak to zawsze Tototl. Wziął motykę i poszedł kopać, bo przecież trzeba było siać... A teraz nie ma Tototla, a jego pole zarasta dziką trawą.

– Xahuatl współczuje zatem Eleui jej straty.

– Xahuatl, zamiast zagadywać stare baby, powinien wziąć swoją siekierę i pomścić Tototla, którego zabili biali przybysze ze wschodu. Niech bogowie ich przeklną! – Kobieta wzniosła wzrok ku niebu, splunęła na pobocze.

– Zatem męża Eleui zabili... biali najeźdźcy?

– Czy Xahuatl słabuje nie tylko w nogach, ale i w głowie? Eleui mówi przecież: Tototl wyszedł pracować na pole, a drogą szli akurat biali, uciekający z Tenochtitlán przed armią najwyższego Montezumy! Zabili go... Zabili i zabrali mu z sakwy placki, które Eleui upiekła dla Tototla poprzedniego wieczora. I teraz przez nich Eleui musi na stare lata prosić pomocy od swoich dzieci. Zamiast dawać im podporę i wsparcie, to zwali im się na głowy, jakby tamci nie mieli własnych problemów!

– Niech zatem pozwoli, że Xahuatl pomoże jej w drodze. Jej nogi są zmęczone, ręce osłabły.

Zahred zrobił krok ku niej, chcąc zdjąć z pleców ciężki pakunek, ale kobieta odsunęła się, niemalże odskoczyła w bok.

– Niech Xahuatl pilnuje swoich spraw! Brzemię Eleui jest ciężkie, ale to jej brzemię. A on niech dźwiga swoje, niech radzi sobie z tym, co zesłali mu bogowie... I niech nauczy się porządnie chodzić po górach.

– Niech bogowie zachowają w zdrowiu Eleui i jej dzieci! – zawołał jej w ślad, kiedy wysforowała się naprzód, bez trudu odsadzając go na kamienistym, stromym podejściu.

Jeszcze jakiś czas próbował chociaż dotrzymać jej kroku, ale w końcu zwolnił i przystanął, sapiąc ciężko. Otarł pot

z czoła, patrząc na znikającą już za szczytem wzniesienia starowinę.



Przed wieczorem trzeciego dnia podróży dotarł do miasta.

Być może – na pewno! – byłby w stanie odnaleźć w pamięci jego nazwę.

W końcu nie na darmo spędzał tak długie wieczory z Itzlim, który recytował mu nazwy wszystkich osiedli, wiosek i miast wokół Tenochtitlán wraz z rozwidleniami szlaków i ścieżkami na skróty.

Potrafiłby bez trudu powiedzieć, pod zwierzchność którego z miast-państw Imperium Słońca podlegała ta konkretna miejscowość.

Zapewne wiedział nawet, które z plemion miało tu swoje terytorium.

Ale tego dnia w tej konkretnej podróży to było dla niego po prostu miasto.

Powoli, niespiesznie wszedł pomiędzy zabudowania okalające biegnącą ku placowi świątynnemu ulicę.

Kręcący się przy domach albo siedzący na dachach ludzie spoglądali na spóźnionego podróżnika z pewnym zaciekawieniem, ale bez obaw czy wrogości: tak, wyglądał nieco odmiennie, ale miał przecież pasiastą opończę i takie same jak oni sakwy... Musiał być po prostu przybyszem z daleka.

    Nie liczył na nic.

    Nie oczekiwał serdecznego powitania, ani tym bardziej gościny.

Potrzebował tylko przespać się, być może napić *pulque* i zjeść coś ciepłego... O ile ktoś zdecyduje się w zamian za kilka ziaren kakaowca przygarnąć pod swój dach nieznajomego.

To było tak bardzo proste.

– Ej! – okrzyknął go ktoś w końcu.

Zahred zwolnił, zatrzymał się. Bardzo powoli, spokojnie obrócił się do stojącego na podwórku mężczyzny w mocno średnim wieku.

– Tato... – Pociągnęła go za połą tuniki może pięcioletnia dziewczynka, chowająca się za jego nogą.

– Zaraz, niech Tlalli nie przeszkadza ojcu. Dokąd idzie, skąd przybywa? Czy jego nogi nie są zmęczone? – zwrócił się do Zahreda.

– Aż z wybrzeża, przez wielkie Tenochtitlán. Niech bogowie błogosławią ten dom i obejście, niech obsypią łaskami jego dzieci i wnuki.

– Ha, do wnuków jeszcze trochę, chyba że ten mój nicpoń w końcu pójdzie po rozum do głowy – odparł gospodarz. – Czy ma się gdzie zatrzymać w mieście? Zna tutaj kogoś?

– Tylko jego psa. – Zahred podrapał Kefrena za uszami.

– Zznał wielu trudów. Niech wejdzie, niech spożyje kolację z Tizokiem i jego rodziną.

– Tato... Ja nie chcę. On ma dziwne oczy – mruknęła dziewczynka, chowając się za ojcem, kiedy Zahred wszedł na ich podwórko.

– Oczy, skórę, włosy. Każdy z dalekich stron jest dziwny. Tizoc wita gościa. – Gospodarz skinął głową, robiąc zapraszający gest ręką.



– Co zatem widział Xahuatl, przechodząc przez Tenochtitlán? Czy widział, jak biali przybysze pokonują Mexików?

Zahred zamarł w pół ruchu, nie donosząc kukurydzianego placka z pastą warzywną do ust.

Spojrzał na Tizoca, potoczył wzrokiem po patrzących na niego wyczekująco domownikach.

Pokręcił głową, zatopił zęby w cieście.

– Xahuatl nie zna się na sprawach władców – mruknął, przeżuując powoli.

– Ale widział jakieś walki?

– Widział. Widział, jak biali walczą z Mexikami. Widział, jak Mexikowie walczą z białymi.

– Mówią, że Montezuma nie żyje! – wypalił siedzący po prawej stronie ojca chłopak, podobny do niego jak dwie krople wody.

– Tak, to prawda.

– I co, Mexikowie obrali sobie nowego króla? Tego, który ścigał białych ludzi w górach, a potem wrócił z podkulonym ogonem do Tenochtitlán? – zapytał Tizoc z mściwym uśmiechem.

– Mexikowie mają nowego Huēi Tlahtoāni, tak.

– Zatem i jego zabiją biali ludzie.

– I dobrze! – znów wyrwał się chłopak.

– Niech Zuma będzie cicho! – ofuknął go ojciec. – Mówi o rzeczach, o których nie ma pojęcia. Czy był już w walce? Czy nosił pióropusz? Nie? Więc niech się nie odzywa, gdy nie ma nic do powiedzenia. Niech nie pcha się do walki!

– Zuma potrafi już walczyć! Nawet Tizoc nie zabroni mu...

– Zuma, cicho! – szturchnęła chłopaka siedząca za mężem żona Tizoca, zaplatająca właśnie warkocz córce.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza.

Zahred sięgnął po jeszcze jeden kawałek placka, celowo wybrał z miski najmniejszy.

– Xahuatl widzi, że Tizoc i jego rodzina nie darzą Mexików miłością – rzekł, patrząc w ogień.

– Nie mają za co ich miłować – mruknęła kobieta.

– Cuauhtitlán nie zaznało ani od Mexików, ani od ich króla niczego dobrego. Co roku przychodzą do nas ich poborcy, co rok oddajemy część własnych plonów do Tenochtitlán... Ale teraz się to skończy! – Tizoc potrząsnął głową. – Teraz biały król zajmie miejsce Montezumy, czy kto tam siedzi na szczycie piramidy w Tenochtitlán. Wszystko się zmieni.

– Zatem teraz będzie lepiej? – zapytał Zahred.

– Na pewno nie będzie gorzej! Przez lata, odkąd pamiętał to ojciec Tizoca i jego ojciec, i jego ojciec przed nim, Mexikowie przysyłali tu swoje armie.

– Brat Tizoca zginął na ołtarzu podczas ich święta – głucho odezwała się kobieta.

– Starszy brat Tizoca walczył dzielnie podczas Kwietnej Wojny. – Gospodarz wyprostował się z dumą. – A kiedy wzięto go do niewoli, Tizoc zaopiekował się jego kobietą i synem. I teraz są szczęśliwi... Prawda, Itzel?

Kobieta przytaknęła, spuszczaając głowę, aby ukryć łzy.

– Zuma pomści swojego ojca – twardo powiedział chłopak, patrząc na Zahreda niemalże wyzywająco.

– Zuma będzie pomagać Tizocowi i matce na roli! Zuma przede wszystkim nie da się zabić... A już biali ludzie zajmą się Mexikami – warknął Tizoc.

Zahred nie powiedział nic, pogłaskał tylko uspokajająco Kefrena, który nie wiedzieć czemu zawarczał głucho.





Droga ciągnęła się pozornie bez końca.

Miasta i miasteczka, wsie, odosobnione gospodarstwa. Pagórki i doliny, zagajniki i równiny pełne kamieni.

Szlak wił się, ale widać było, że odchodzi coraz dalej od brzegów potężnego jeziora Tetzoco. Lśniąca tafla wody, na której jeszcze niedawno widać było błyszczące w promieniach słońca Tenochtitlán, teraz, zamiast być na wschodzie, przesuwiała się coraz bardziej ku południowi, w miarę jak droga opasywała zbiornik łukiem od północnego zachodu.

Z początku nie było tego widać tak bardzo, jednak teraz Zahred nie miał wątpliwości: szedł tą samą trasą, którą kilka tygodni wcześniej przemierzała uchodząca z Tenochtitlán armia Cortésa.

O, nawet tam, głęboko na dnie jaru, którego skrajem biegła kamienista ścieżka, pobłyskiwał rdzewiejący stalowy hełm.

Wcześniej widział ślady obozowania wojsk: miejsca po nieudolnie rozniecanych ogniskach, byle jak, naprędce sklepane z gałęzi szałas. Powycinane w korze przydrożnych drzew krzyże.

I usypane z kamieni kopczyki nagrobków dla tych, którzy nie dali rady iść dalej.

Jednak tego dnia natknął się na coś niespodziewanego: zawieszona na przydrożnym krzewie ciało.

Fetor rozkładającej się w słońcu padliny czuł już z daleka. Słodkawa, lekko dusząca woń unosiła się w nagrzanym powietrzu, zatykając dech przy każdym mocniejszym powiewie wiatru. Kefren zaniepokoił się wyraźnie, zjeżył sierść na karku.

Trup wisiał pomiędzy kolczastymi gałęziami wybujałego krzaka, bardziej podobny do bezkształtnego kłębu szmat. Tu i ówdzie spod skóry przebijała już biaława od słońca kość, w wyjedzonych przez ptaki oczodołach uwijały się larwy much i błyszczące żuki.

Szeroki pas z rdzewiejącą sprzączką, pusta pochwa od pałasza. Resztki rozłazących się butów z wysokimi cholewami i błękitne spodnie – tak, to musiał być jeden z ludzi Cortésa.

Zahred przystanął przed nim na chwilę, przypatrując się uważnie. Czy był w stanie go rozpoznać? Skojarzyć ubranie, przypomnieć sobie na podstawie resztek włosów i brody którąś z twarzy?

Nie miało to znaczenia, bo teraz było to tylko tyle i aż tyle: martwy biały człowiek. Bardziej uderzało jednak to, że ktoś trupa w ten krzak wepchnął.

Przywiązał za ręce i nogi trzciniowym sznurem, zadał sobie trud, aby odpowiednio go wyeksponować. Zrobić z niego przestrogę.

Puknął nogą jeden z leżących obok krzaka kamieni. Tak, przechodzący tędy z pewnością rzucali nimi w ciało. Zresztą jacyś co odważniejsi musieli dźgać je też kijami, bo dwa sterczały ze sflaczałego, rozlanego gnijącymi wnętrznościami brzucha truposza.

Dość radykalna zmiana nastroju, jak na raptem dwa dni drogi od skądinąd gościnnego domu Tizoca.

To zaś świadczyło o najbardziej niebezpiecznej z możliwych rzeczy: że nastroje wokół Tenochtitlán były rozchwiane, gotowe przechylić się na tę ze stron, która akurat uzyskała o tyle widoczną, co ulotną przewagę.

– Najgorszy możliwy moment – zawarczał Zahred.

Zostawił rozpiętego na krzewie trupa, ruszając dalej swoją drogą.



Wzniesiony przy szlaku kopczyk z kamieni nie wyróżniałby się niczym specjalnym, gdyby nie wystające z niego gdzieś tam czerwone nici włókna z agawy.

Zahred zatrzymał się, rozejrzał w lewo, w prawo po ścieżce. Nie było tutaj nic, zupełnie nic szczególnego – a jednak ktoś z jakiegoś powodu ustawił tutaj ten miniaturowy znacznik.

Jeśli jego wyczucie kierunku nie zawodziło, to musiał pokonać już większą część drogi wokół północno-zachodniego brzegu jeziora. Co prawda minęło już dobrych kilka dni, odkąd ostatni raz widział wody Texcoco, ale z grubsza zgadzało się to z mapami, które pokazywał mu Itzli, i odległościami, o których opowiadali biegacze.

Miał jakiś dzień, może półtora drogi do Otumby, pod którą – jak się okazało – sromotnie przegrał starcie nie do przegrania nadmiernie ambitny i pewny swego Cuitlahuatzin.

– Szlakiem tych, co przegrali, ale wracali zwycięsko... – Zahred raz jeszcze powtórzył słowa czarownika z sanktuarium Tepeyollotla.

Zatem nie powinien był iść wiele dalej.

A do miejsca, którego szukał, rzekomo co roku pielgrzymowali też inni.

Nie było więc popularne, ale znane.

Akurat na tyle, żeby ci, którzy zdołali je znaleźć, wracając, oznaczyli miejsce dla kolejnych.

– Kefren, chodź. – Cmoknął na psa i zagłębił się w kłującą zieloną gęstwinię.



Ledwie widoczna ścieżynka kluczyła pomiędzy skałami, czasami tonąc w gąszczu traw albo znikając na kamienistych połąciach.

Zahred szedł powoli, wręcz ostrożnie.

Od czasu do czasu sięgał do sakwy, wrzucając do ust po jednym ziarnie *xocolatl*, które potem przeżuwał długo i metodycznie, dostarczając organizmowi tak bardzo potrzebnej energii.

Resztkami placków i podsuszonego mięsa karmił Kefrena.

Od czasu do czasu trafiał na niewielkie, prymitywne kapliczki, zapewne budowane tutaj przez pątników.

Ulepione z gliny albo wyrzeźbione z miękkiego kamienia figurki stały w dziuplach drzew i pod nawisami skalnymi, otoczone przez mocno nadgryzione już zębem czasu miseczki ofiarne. Kilka z nich nosiło ślady w miarę świeżej farby, a jedna stała na niemalże nowej, tylko trochę zapleśniałej słomianej macie.

Zbliżał się jednak wieczór, a od zachodu nadciągnęły ciężkie deszczowe chmury, zasnuwając niebo ciemnym całunem. Pierwsze krople uderzyły o liście, powiew wiatru szarpnął koronami drzew... Zapachniało burzą.

Schronili się pod kamienną półką, ostatni kawałek drogi idąc już w strugach siekającego, napływającego falami deszczu. Błysnęło oślepiająco, nad ich głowami przetoczył się grzmot.

Kefren po prostu otrzepał się z wody, zadowolony okręcił się wokół własnej osi i ułożył tak, aby skała chroniła mu zad.

Zahred ściągnął z grzbietu przemoczoną opończę, rozwiesił na kiju, którym podpierał się w drodze, i usiadł obok

psa na gołej ziemi.

Patrzyli obaj w strumienie ulewy.

Deszcz szumiał kojąco.

Od czasu do czasu niebo przecinała błyskawica, a chwilę potem głuchy, gniewny pomruk przetaczał się zwielokrotnionym echem.

– *Qáblite irbute, qáblite šaaḥri...* – zanucił Zahred cicho, przebierając palcami po zawiązanym na nadgarstku rzemyku z supłami. – *Išarte uštamaari, titimišarte ziirte, šaaḥri šaaššate, irbute...* No co, co się patrzysz?

Kefren zaskamlał cicho, położył po sobie uszy. Zahred wyciągnął rękę, podrapał psa po mokrym karku.

– „Gdy zadośćuczynię bogini, ona pokocha mnie w głębi serca, przyniesiona ofiara załagodzi jej gniew, olejem z ziaren sezamu zmyję występki, a ona spojrzy na mnie łaskawie”... Ale zabij mnie, nie pamiętam teraz, ani skąd, ani z jakich czasów pochodzi ta pieśń. Ba, nie pamiętam nawet, jak to dalej leciało – westchnął. – Przeżyjesz jakoś, jeśli będę śpiewał tylko ten fragment?

Kefren sapnął ciężko, nieśmiało pacnął dwa razy ogonem o ziemię.

– *Qáblite irbute, qáblite šaaḥri...*

Deszcz szumiał usypiająco, powoli zapadała noc.



Świt wstał wilgotny, wypełniony gęstą, lepką mgłą.

Mleczny tuman wisiał nieruchomo w powietrzu. Powoli budzące się światło nowego dnia rozplýwało się w jednolitą matową poświatę, długimi pasmami spływającą w zagłębienia

terenu i osiadającą kryształowymi kroplami wilgoci, drżącymi na krawędziach liści i na samych koniuszkach gałązek.

Panowała idealna, matowo nijaka cisza.

Żaden dźwięk, nawet najlżejszy szmer nie był w stanie przebić się przez zasłonę tak gęstą, że z trudem można było usłyszeć w niej własne kroki.

Deszcz, który lał przez większą część nocy, teraz parował z przesiąkniętej wodą ziemi, starając się jak najszybciej wrócić do chmur.

Zahred szedł z Kefrenem u boku, ostrożnie stawiając bose nogi na kamienistym podłożu.

Ubrany był tylko w przepaskę na biodrach, przez ramię przewiesił matę do spania. W ręku ścisnął swój toporek.

Resztę przemoczonych, w sumie nieprzydatnych rzeczy zostawił tam, pod skałą.

Nie – nawet nie to, że „niepotrzebnych”.

One były mu po prostu zbędne.

Ubrania, ozdoby, utensylia obozowe... Wszystko to, co człowiek wymyślił przez tysiąclecia, żeby ułatwić sobie życie, było dla niego wyłącznie dodatkiem. Ciekawostką, nijak niewpływającą na to, kim ani czym był.

Szarogranatowy półmrok przedświtu powoli rozjarzał się blaskiem budzącej się jutrzeńki, gdy pod nogami Zahreda zachręściły kamienie. Musiał iść dnem dawno wyschniętego strumienia, albo może rzeki, która płynęła w porośniętym teraz drzewami kanionie.

A gdziekolwiek była woda, tam zawsze pojawiały się też osady ludzkie. Tak było od zawsze, odkąd tylko pamiętał, więc i tutaj...

Słońce podniosło się ponad wzgórze, w okamgnieniu zalewając całą dolinę oślepiającym blaskiem.

Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mleczny tuman rozwiął się i zniknął jak zdmuchnięty, zostawiając po sobie tylko najdelikatniejszą zawieszoną w powietrzu mgiełkę.

Zahred zaś w lot zrozumiał, że nie szedł wcale śladem rzeki – a po jego bokach nie wznosiły się strome brzegi jej dawnego koryta.

Ponieważ stał pośrodku ulicy, wzdłuż której ciągnęły się pozostałości niegdyś ogromnego miasta.

Pod dziko kłębiącą się, bujną zielenią w niezliczonych odcieniach rysowały się zaskakująco regularne kształty, w których wprawne oko potrafiło od razu rozpoznać domy i pałace, zamienione przez upływ czasu w kurhany grzebalne.

Spod wysokich traw tu i ówdzie wystawały fragmenty kamiennych steli, zdobnych wciąż widocznymi spod grubego kożucha mchów i porostów zawiłymi ornamentami.

Korzenie wiły się węzowymi splotami po ułożonych jedno na drugich kamieniach, stopniowo rozsadzając spoiny, kawałek po kawałku krusząc i wyszczerbiając precyzyjnie wyciosane krawędzie.

Nieco dalej, wyraźnie widoczne w pierwszych promieniach słońca, przebijającego się przez muślinową zasłonę wilgotnej mgiełki, wznosiły się wzgórza dawnych piramid, na których szczytach zamiast świątyń stały teraz tylko wiekowe drzewa.

To wszystko dostrzegł Zahred dosłownie w jednej chwili, stojąc pośrodku nieprzebytego gąszczu zieleni, wśród śpiewu budzących się ptaków i porannej krzątaniny uwijających się po swoich ścieżkach leśnych zwierząt.



Miasto musiało być niegdyś imponujące.

Uszli z Kefrenem już spory kawałek drogi, zagłębiając się coraz bardziej w ruiny porośnięte lasem.

Od czasu do czasu musieli zatrzymywać się i zawracać, kiedy drogę zagradały im zwalone, na wpół zmurszałe pnie.

Miejscami Zahred musiał brać psa na ręce i dosłownie przenosić go ponad zapadliskami wyrzeźbionymi przez wodę płynącą wyciętymi w niegdyś utwardzonej nawierzchni kanałami.

Gdyby po prostu, nie wiedząc, czego szuka, zabłądził w to miejsce...

...no cóż, on być może zorientowałby się, gdzie jest i co mogło tutaj być.

W końcu widział i odwiedzał niezliczoną liczbę zapomnianych miast, pożartych przez pustynię niezdobitych fortec, pochłoniętych przez ziemię i pokrytych połaciami lasu metropolii.

Jednak to, że o tym miejscu pamiętali ludzie?

Niesamowite.

A przecież wciąż mijał zawieszane na drzewach czerwone wstążki.

Przechodził obok stojących na odsłoniętych kamieniach mis ofiarnych.

Spod mchu wystawały kawałki posążków wotywnych, czasami tu i tam błysnęła zostawiona na przebłaganie bogów niewielka ozdoba ze złota.

Ścieżka prowadziła go, a on po prostu szedł.

Potem zaczęła wdrapywać się pod strome, zaskakująco regularne wzgórze, więc i on wspinał się wraz z nią.

Spod warstw darni, gnijących liści i próchnicy wyzierały fragmenty kamiennych stopni. Tu i tam spomiędzy korzeni



wyłaniała się wykuta w kamieniu zębata twarz albo groźnie rozwarty pysk dzikiego zwierzęcia.

Ptaki o długich, wielobarwnych ogonach kołowały wysoko ponad głowami dwóch przybyszów, czworonożnego i dwunożnego, napełniając powietrze wysokim, przenikliwym krzykiem.

W gałęziach drzew czaiły się wielkie koty, na których złowieszcze warkoty nawet Kefren podkulał pod siebie ogon, przyspieszając kroku, oglądając się niepewnie w tył i kładąc po sobie uszy.

Byli tutaj intruzami, Zahred i on. Dosłownie istotami z innego świata, innych czasów.

W końcu dotarli aż na szczyt, do większego fragmentu budowli, pełniącego najwyraźniej rolę kamienia ofiarnego.

Drzewa i krzewy w okolicy musiały być regularnie wycinane, ktoś zadał sobie niemały trud, aby uprzątnąć gruz i kamienie. Na drewnianym stojaku bielilo się kilkadziesiąt ludzkich czaszek – najstarsze zmurszałe i popękane ze starości, rozpadały się pod własnym ciężarem. Najświeższa nie mogła mieć więcej jak rok, może góra dwa lata.

Zatem to, co słyszał w Pałacu Białych Trzcin, było prawdą: Montezuma regularnie wysyłał dokądś kapłanów ze specjalnie dobranym jeńcem składanym w ofierze ku czci dawnych bogów.

Uśmiechnął się: w sumie to mógł po prostu zapytać kogoś, jak tutaj trafić.

Mógł.

Ale nie o to chodziło w jego pielgrzymce.

Ponieważ to, do czego ograniczał się najwyższy Montezuma, nie było dla Huēi Tlahtoāni Xahuatla wystarczające.

Dlatego też wyminął bokiem miejsce składania ofiar i podszedł do skraju zarośniętej trawą platformy, spoglądając na panoramę metropolii.

W czasach swojej świetności miasto musiało być gigantyczne.

Nawet pozostające po wiekach czy wręcz tysiącletniach ruiny największych i najwyższych budowli wyróżniały się na poza tym płaskiej powierzchni ziemi... Czy ktoś znalazł tę dolinę zalewową i zdecydował, że to dobre miejsce na osadę? Czy może gigantycznym wysiłkiem tysięcy par rąk sztucznie wyrównano tutaj teren?

W tej chwili nawet Zahred nie mógł tego stwierdzić.

U jego stóp wyraźnie rysowała się ulica, obramowana przez dwa rzędy pagórków i wywyższeń – niczym aleja grzebalna i stojące wzdłuż niej nagrobki dawnej chwały zapomnianych bogów i władców, których imiona odeszły w niepamięć wraz z nosicielami.

Tam, skąd przyszedł, od północnego wschodu, ponad drzewami rysował się kształt piramidy, którą początkowo wziął za wzgórze i ominął łukiem.

Stał w najwyższym, centralnym punkcie zrujnowanego miasta, które teraz zamieszkiwały tylko dzikie zwierzęta.

Nieco dalej widać było pasmo o wiele bardziej żywej, wręcz tętniącej zieleni, zapewne wyznaczającej koryto rzeki, która meandrowała w poprzek biegnącej dalej ulicy.

Tam zaś, na jej końcu...

...tam było jeszcze coś.

– Nie martw się, nie pójdziemy tam teraz. Robi się zbyt duszno, zgadzam się. – Poklepał ciężko dyszącego po wspinacze Kefrena. – Ale woda się przyda. Tyle deszczu, a człowiekowi pić się chce, hm?

Pies szczeknął krótko, urywanie, płosząc z drzew chmurę ptaków.



– Wykrakałem – warknął Zahred.

Siedzieli z Kefrenem na brzegu rzeczki, która teraz zamieniła się w rwący, spieniony potok.

Strugi deszczu lały się z nieba, nad ich głowami co rusz przetaczał się grom: to burza, która przeszła ponad doliną wcześniej tej nocy, zawróciła i teraz wyładowywała swoją złość na porastającym ruiny lesie.

Nie było nawet sensu próbować kryć się przed ulewą, więc znaleźli po prostu miejsce pod rozłożystym drzewem, żeby nie padało im prosto na głowy. Zahred owinął się trzciniową matą, częściowo chowając pod nią też psa, który jednak uporczywie wysuwał na zewnątrz łeb.

Niebo zamruczało groźnie, Kefren znów zawarczał, obnażając kły.

– Spokój... To tylko burza. Ale wiem, potrafi zrobić wrażenie. Kiedy ja widziałem ją pierwszy raz, to...

Urwał nagle, zachłysnął się własnymi słowami.

Wspomnienie nadpłynęło dosłownie znikąd, wyłoniło się skądś z odmętów niepamięci: uderzenie błyskawicy, basowy huk przetaczającego się gromu. Oświetlone przez rozbłysk wewnątrz czy to domu, czy raczej jaskini. Wąły płomyk pełgającego ogniska, nad którym kulił się... ktoś. Kobieta? Chyba tak. Rozsypane długie włosy zasłaniały twarz, ale Zahred pamiętał odbłask ognia na jej policzku.

I wtulony w niego drżący, przerażony kształt.

Kształt, który on starał się osłonić przed okropieństwami świata, pokazać, że jest silny, że wcale się nie boi, że niestraszny mu gniew niebios. Przyciskał go do siebie lewą ręką, na której nadgarstku zawiązany był rzemyk z supłami.

Kefren zaskamlał, Zahred drgnął gwałtownie.

Odruchowo dotknął palcem lewego przedramienia – tak, rzemień nasiąkł wodą, ale nie spadł. Był tam nadal.

Przejechał dłonią po twarzy, ściągając toczącą się po policzkach wodę.

Bo przecież to była tylko woda.



Deszcz przestał padać dopiero pod wieczór.

Niebo nagle się przejaśniło, chmury rozstały się, pokazując pierwsze mrugające na nieboskłonie gwiazdy i powoli wspinający się po całunicy nocy księżyc.

Zahred wyczołgał się z prowizorycznego szałas, który sklecił dla siebie i Kefrena bardziej z bezczynności niż realnej potrzeby. Przeciągnął się, cmoknął na psa.

– No już, chodź. Zobaczmy, co przygotowali dla nas bogowie.

W powoli zapadającej ciemności las zdawał się jeszcze ciemniejszy i bardziej złowieszczy. Mroczne kształty piramid górowały ponad równiną, pełną teraz tajemniczych szmerów, plusku ciurkającej wody i odgłosów zwierząt, wychodzących ze swoich schronień na wieczorny żer.

Z zarośli przed nimi powoli wyszedł tutejszy jelen, popatrzył obojętnym okiem na dwa nieznane zwierzęta.

– Nie ruszaj – mruknął Zahred do psa.

Kolory świata przepływały z wypłowiałego fioletu w gęsty granat, szarości, aż do niezauważalnie wkradającej się czerni.

Tak jak przypuszczał, na samym końcu ledwie widocznej teraz drogi rysował się kształt jeszcze jednej, najbardziej oddalonej od szlaku piramidy. Tutaj nikt nie przychodził, nie docierali pielgrzymi, nie było wiszących na drzewach czerwonych wstążek.

Za to pojawiły się świetliki.

Najpierw widział tylko pojedyncze, słabo lśniące punkciki unoszące się pośród zapadającej nocy. Potem dołączyły do nich kolejne, unosząc się grupkami, całymi chmurami... Aż wreszcie dosłownie cały las rozjarzył się zielonkawo-żółtą poświatą.

Owady powoli dryfowały przez wilgotne powietrze, kreśliły skomplikowane esy-floresy w tańcu godowym, przysiadają na pniach drzew i chowały się pod rozłożyste liście krzewów.

Gdzieś pomiędzy nimi śmigały bezszelestnie ciemne kształty nietoperzy, niemogących przepuścić nadarzającej się okazji darmowego sutego posiłku.

Zarys piramidy rósł powoli, potem stał się bardziej wyraźny, wznosząc się ponad korony drzew porośniętym mniejszą roślinnością, idealnie równym stożkiem.

W końcu Zahred stanął u stóp pradawnej świątyni.

Zadarł głowę, popatrzył ku szczytowi skrytej pod warstwami ziemi budowli, nad którym pysznił się tak ukochany przez Mexików gwiazdozbiór Ognistego Wiertła.

– Oto jestem – powiedział po prostu.

Przez chwilę stał tak w ciszy, otoczony tylko bzyczeniem cykad i szmerami nocnego lasu... A potem delikatnie, cicho zaskamlał Kefren.

Zahred rozejrzał się, ale nie dostrzegł psa nigdzie w pobliżu.

– Chodź! – zawołał niegłośno.

Kolejny wysoki, lekko zaniepokojony pisk dobiegł z krzaków po prawej stronie.

Kiedy Zahred obszedł kłujący krzew, zastał Kefrena leżącego na mokrej ziemi z pyskiem skierowanym ku ziejącej przed nim dziurze. Wyglądało na to, że wody niedawnej ulewy musiały podmyć tutaj spory kawałek gruntu, który po prostu osiadł, tworząc naturalne zapadlisko.

Tyle tylko, że zapadliska miały jedną istotną cechę: osuwający się w nie grunt musiał osunąć się DOKĄDŚ.

Zahred przykucnął, zajrzał w ziejącą chłodem jamę. Potem spojrzał w niebo, ku gwiazdom.

– No cóż... To chyba najbardziej wyraźna instrukcja, jaką kiedykolwiek dostałem – mruknął.

Znalezienie odpowiedniej grubości, twardego i suchego kijka zajęło mu dłuższą chwilę. Potem pozostało tylko dobrać do niego odpowiedni kawałek podkładki... Nazbierał z wnętrza kilku pni suchego próchna, narwał po źdźble suchej trawy.

Ułożywszy obok siebie narzędzia, usiadł ze skrzyżowanymi nogami, ujął wiertło pomiędzy dłonie, przyłożył do podkładki i zaczął obracać.

Czas płynął obok niego, świat po prostu był. Cała jego uwaga skoncentrowana była na tej jakże prostej, a zarazem nieludzko trudnej czynności.

To mógł być dowolny świat, dowolny czas... I dowolny pies u jego boku.

Sytuacja każda.

– *Qáblite irbute, qáblite šaaḥri...* – zanucił nosowo.

Najpierw podniósł się wąziutką smuzką dym, potem na styku dwóch kawałków drewna zaczął pojawiać się ledwie widoczny pomarańczowy punkcik.

Było chłodno, a mimo to Zahred czuł, jak po skroni ścieka mu strużka potu.

W końcu szybkim ruchem podłożył zawczasu przygotowany zwitek trawy, zaczął delikatnie dmuchać.

Zanim dał radę rozpaścić miniaturowe ognisko, noc królowała już niepodzielnie.

Nim nazbierał odpowiednio dużo trawy i próchna, zawinął je w mięsiste liście i przełożył kawałki żaru na wierzch tak przygotowanej pochodni, księżyc stał już w najwyższym punkcie nieba.

– Zostań – przykazał surowo Kefrenowi. – Zostań, nie idź za mną. Czekać. Wrócę po ciebie. A jeśli nie... To znajdź Cortésa, wkup się w jego łaski i przegryź mu gardło, gdy będzie spał.

Kefren przekrzywił łeb na bok, jakby pytając: serio?

Zahred zaś spuścił nogi za krawędź osuwiska i przyświecając sobie ledwie ćmiącą żagwią, wpełzł w widoczną dalej jamę, prowadzącą w nieznaną.



Tunel ciągnął się pozornie bez końca.

Gdy tylko Zahred przeczołgał się świeżym, pełnym grząskiego błota i kamieni osuwiskiem, a potem zsunął się z niego w o wiele większe przejście, nabrał graniczącego z pewnością przekonania: był w korytarzu stanowiącym dzieło rąk ludzkich.

Woda musiała przesączać się tutaj latami, drążąc małe strumyki, garstka po garstce wymywając miążką ziemię. A teraz, podczas ulewy, całość zsunęła się tutaj, częściowo

zasypując sporą sekcję niemalże idealnie półokrągłego w przekroju podziemnego przejścia.

Właśnie teraz. Akurat tego dnia. Zupełnie przypadkiem.

Obejrzał się w jedną i w drugą stronę, przyświecając sobie ledwie pełgającym płomykiem pochodni. Skrzywił się, gdy wiszący w korytarzu smród znów wwiercił mu się w nozdrza.

Może za wcześnie tu zlazł, może należało jeszcze poczekać?

W takich miejscach, nie wiedzieć jak długo odciętych od świeżego powietrza, potrafiły gromadzić się wszelkiego rodzaju trujące i palne gazy...

– Bogowie pokazali przejście, niech się bogowie o mnie martwią – mruknął pod nosem, zgięty wpół, ruszając tam, gdzie powinny znajdować się fundamenty piramidy.

Nanoszona przez wodę ziemia czasami blokowała większość przejścia, tak że musiał iść w kucki albo wręcz czołgać się wąskim przejściem pod samym sufitem.

Kiedy indziej znów trafiał na zupełnie czyste fragmenty, pokryte tylko cienką warstewką błota, spod którego wyglądały obsydianowe płyty posadzki.

Pod ścianami leżały kamienne misy, widać było pozostałości naszyjników, od czasu do czasu błysnęła złota bransoleta... Wszystko to musiało być ofiarami znoszonymi wieki temu przez podobnych do niego pielgrzymów.

Każdy docierał pewnie tak daleko, jak starczało mu odwagi, zacięcia i światła. Zostawiali swoje dary wraz z wyszeptanymi prośbami, po czym szli z powrotem, licząc na to, że bogowie nakłonią ucha ku ich wołaniom.

On zaś szedł coraz dalej i dalej.

Błoto i wilgoć zostały za nim, ściany przejścia wyrównały się, wygładziły.



Pojawiły się ornamenty i zdobienia – najpierw proste, potem coraz bardziej wyszukane, zawile. Rozwarte paszczęki zwierząt, spirale i koła, stylizowane postaci ludzi i potworów... Pomiędzy nimi zaś, obecna dosłownie wszędzie, jeszcze jedna sylwetka.

Z początku myślał, że to fragment ornamentu, powtarzający się na kolejnych płaskorzeźbach.

Dopiero gdy przyjrzał się bliżej, wodząc palcami po liniach żłobień, zrozumiał, na co patrzył.

– *Tzitzimitl* – wyszeptał słowo, które poznał podczas rozmów ze swoimi Tlaxcaltekami.

Wielka Pajęczycza, potwór końca czasów, który miał w ostatnim akcie zagłady pożreć świat i zgasić słońce.

Ten sam, którego wykuta w jadeicie podobizna zdobiła ogromną rzeźbę w komnacie tronowej Pałacu Białych Trzcin – ostatnie zamówienie, jakie złożył Montezuma u rzemieślników.

Zahred przeszedł jeszcze kilkadziesiąt kroków, po czym przystanął.

Nie tyle słyszał, ile czuł, że zbliża się do większej otwartej przestrzeni. Korytarz otwierał się i lekko rozszerzał, dało się wyczuć, że jest w nim więcej powietrza – ale zarazem też Zahred miał wrażenie, że poza pustką jest tam dalej coś jeszcze.

Rozdmuchał i podniósł żagiew wyżej, prawą rękę zaciskając na stylisku siekiery, ruszył przed siebie.

Z początku był przekonany, że widoczne przed nim odbłaski to refleksy ognika pochodni na złotych przedmiotach... Ale było ich dużo. Stanowczo zbyt dużo, z każdym jego krokiem zaś robiło się ich więcej. Nie mogły to być przecież świetliki, nie tak głęboko pod ziemią.

W końcu wyszedł z korytarza do przestronnej pieczary i stanął bez ruchu, patrząc na otwierające się przed nim cudo.

U jego stóp leżał świat.

Widział łańcuchy górskie i spływające z nich lśnącymi wstęgami strumienie, łączące się potem w rzeki i wpadające do jezior, nad których brzegami rozłożyły się wioski i całe miasta. Na stokach pagórków zielenił się las, złociła się dojrzewająca kukurydza... Ponad tym wszystkim zaś mrugały w niezliczonej liczbie gwiazdy, zawieszane niczym świetliste punkciki na atramentowoczarnym nieboskłonie.

Zrobił ostrożnie krok i drugi naprzód, przykucnął i nachylił się nad miniaturowym jeziorem o idealnie gładkiej tafli. Delikatnie musnął ostrzem siekiarki powierzchnię, patrząc, jak nie zostaje na niej najmniejszy nawet ślad.

– Rteć – mruknął, kręcąc z podziwem głową.

Ktoś musiał włożyć niesamowitą ilość pracy i pomysłowości w stworzenie tutaj, pod ziemią, najprawdziwszej makiety znanego sobie świata. Przecież tam stały dwa wulkany, dalej widać było wybrzeże Wielkiej Wody. A to było jezioro Tetzoco!

Tylko że nie było na nim jeszcze śladu ani po Tenochtitlán, ani Tlacopán czy jakimkolwiek innym z miast Imperium Słońca.

Raz jeszcze zadarł głowę, aby spojrzeć na gwiazdy – i wtedy dostrzegł, że na przeciwległej ścianie osadzony jest też ogromny, wykonany z zielonego jadeitu pająk o połyskujących w świetle kaganka ślepiach.

I nie byłoby w tym nic złowieszczonego ani dziwnego... Gdyby nie to, że przed chwilą go tam nie było.

Zahred poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku, gdy jedno z odnóży pająka z chrzęstem oderwało się od ściany, zawisło w powietrzu, a potem wsparło się o szczyt góry. Druga z włośchatych nóg zanurzyła się w jeziorze rtęci, kolejna zapała się o skalny nawis – a potem istota dosłownie wyłoniła się ze skały, spłynęła z rozgwieżdżonego nieba.

Chciał zerwać się, rzucić albo do ucieczki, albo do walki.

Nie zdążył, bo dwa długie, włochate odnóża przyszpiliły go do ściany, kolejne przycisnęło rękę z siekierą.

Istota otrząsnęła się, niczym budzące się z długiego snu zwierzę.

Z chrzęstem zrzuciła z siebie cieniusieńką, kruchą niczym lód warstewkę jadeitu, spod której wyjrzała zmierzwiona krwistoszkarłatna szczecina.

Zwróciła ku Zahredowi głowę, upstrzoną pełgającymi zielenią ślepiami.

– WRÓCIŁEŚ – zasyczała.

Zahred szarpnął się, próbując uwolnić się z uścisku, ale nie był w stanie nawet się ruszyć.

Pajęczycyca tymczasem wypełzła ze ściany, wypełniając sobą już całą jaskinię, przysłaniając swym cielskiem i ziemię, i niebo.

– Bogini... – jęknął Zahred, czując, jak brakuje mu tchu, a przed oczami robi mu się ciemno. – Przyszedłem do bogini... Daj mi przejść!

Istota odsunęła się od niego, jak gdyby zdziwiona. Przekrzywiła łeb, przesunęła nim z boku na bok, przyglądając się Zahredowi to jedną, to drugą stroną ślepi.

– NIE PAMIĘTASZ – stwierdziła, a w jej głosie przebrzmiało zdumione rozbawienie. – WAŻ WLATUJE DO MOJEGO GNIAZDA I NIE PAMIĘTA. NIE WIE, PO CO PRZYBYŁ.

Odsunęła się jeszcze kawałek, zwinęła odnóża ku sobie... Puściła Zahreda, który opadł na kolana, kaszląc i krztusząc się, desperacko próbując nabrać tchu.

Kiedy podniósł wzrok, na miejscu Pajęczycy stała kobieta.

Ostatnie dwa chitynowe odnóża chowały się właśnie pod rąbek szkarłatnej włochatej opończy – i tylko lekko lśniące jadeitową zielenią oczy świadczyły o tym, że nie była do końca człowiekiem.

Zahred z trudem wstał, podniósł z ziemi wypuszczoną żagiew.

– Nie jesteś strażnikiem. To ty jesteś boginią – stwierdził po prostu.

Istota zaśmiała się głośno, dźwięcznie, odrzucając w tył głowę. Urwała gwałtownie, rozciągnęła wargi w uśmiechu. W kącikach jej ust na chwilę mignęły i zaraz schowały się ostre niczym noże chitynowe szczękoczułki.

– Tak – powiedziała.

– Zatem to do ciebie przybywam. To ty udzielisz mi odpowiedzi, których poszukuję.

– Udzielę? – Pajęczycza z rozbawieniem uniosła kształtne brwi. – Tym razem masz tupet, Pierzasty Wężu. Poza tym podobasz mi się w tym ciele. Nie jesteś aż tak nadęty i zadufany w sobie jak poprzednio.

– Nie jestem Pierzastym Wężem – burknął.

– Ach, no tak. Zapomniałam: stwarzanie pozorów, zachowywanie tajemnicy. Cśśś... – Pajęczycza konspiracyjnie położyła palec na ustach, skuliła się i strzeliła oczami na boki. Mrugnęła porozumiewawczo. – Oczywiście. Masz rację, nie jesteś Pierzastym Wężem. Co za niedorzeczny pomysł! Jak w takim razie mam się do ciebie zwracać, o zwykły śmiertelniku?

– Zahred... To jest Xahuatl.

– Dwa imiona? To drugie podoba mi się bardziej, więc to jego będę używać. Po co przychodzisz zatem, Xahuatlu? Aby odzyskać pamięć? Zabrać moje skarby? A może... może dołączyć do mnie w dziele zniszczenia piątego świata? – Pajęczycza uśmiechnęła się zapraszająco.

Zahred zawahał się.

Zdarzało mu się kilkakrotnie mieć do czynienia z bogami. Rozmawiał z nimi, targował się, umawiał i oszukiwał. Dwoje

nawet zabił, albo tak mu się przynajmniej zdawało.

– Ītzpāpālōtl – rzucił imieniem.

– Obsydianowy Motyl – powiedziała Pajęczycyca. – Co z nią?

– Odwołaj ją. Zabierz do siebie. Powstrzymaj.

W przeciwnym razie gotowa jest zniszczyć całe Tenochtitlán.

– Zaraz, powoli. Czy ty... Czy ty naprawdę myślisz, Zahredzie-Xahuatlu, że będziesz rozmawiać ze mną o jakichś mało istotnych szczegółach? O tym, co wyprawiają pośród śmiertelnych jakieś poślednie bóstwa, mało istotne demony i emanacje? Nie. Na to nie będę tracić czasu. – Pajęczycyca potrząsnęła głową, spośród jej włosów posypały się drobne kości i martwe zwierzęta.

– Po to przyszedłem, bogini. Po to przysłała mnie tutaj kapłanka z Wielkiej Świątyni, tutaj skierował mnie Tepeyollotl.

– Och, przysłał cię Jaguar Serca Gór? Jak uroczo. – Kobieta uśmiechnęła się zupełnie nieszczerze. – Ale tak jak mówiłam, Xahuatlu, sprawki pomniejszych bóstw i bożków mnie nie interesują. Jeśli chcesz zająć się Ītzpāpālōtl, to musisz porozmawiać z Tezcatlipocą. Niech Dymiące Zwierciadło martwi się o swoje kreatury.

– Nie mam czasu na wasze gierki! – wybuchnął Zahred. – Ile razy próbuję z wami porozmawiać, wszyscy zasłaniacie się tym samym! Od samego zarania dziejów, odkąd słońce pokazało się ponad lodowym pustkowiem, wciąż słyszę te słowa: to nie ja, to nie mój problem! A ja jestem tu i teraz, jestem tu przed tobą! Pomóż mi!

Pajęczycyca uniosła lekko głowę, poruszyła palcami. Spod jej opończy wysunęły się dwie pary odnóży, jak gdyby zachęconych czymś, szukających czegoś w powietrzu.

– A więc to jednak ty – szepnęła. – Ale wciąż nie do końca. Pierzasty Wąż, którego znałam, nigdy nie prosił. On brał... A ty jesteś zbyt jak człowiek, Xahuatlu. Nie prosź.

– Pomóż mi...

– Mocniej. Silniej. Nie proś nawet wtedy, kiedy błagasz.

– Pomóż mi! – ryknął.

Pajęczyca pokiwała głową z zadowoleniem.

– Dobrze. Czego więc chcesz, Xahuatlu?

– Chcę powstrzymać Ītzpāpālōtl. Ona chce zniszczenia Tenochtitlán, a ja do tego nie dopuszczę.

– Nie. – Pajęczyca potrząsnęła głową.

– Nie?

– Ītzpāpālōtl nie chce zniszczenia Tenochtitlán. To jest być może wchodzi to częściowo w zakres jej planów, tak, lecz to raczej efekt uboczny. I to nie ona tego chce... Nawet nie Tezcatlipoca. Obawiam się, Xahuatlu, że zadajesz bardzo niewłaściwe pytania bardzo właściwej osobie.

Zahred zmrużył oczy. A potem przez jego twarz przebiegł grymas, kiedy zrozumiał.

– Ty... – syknął, zaciskając dłoń na stylisku siekiery.

W ciszy i pustce jaskini przebrzmiały trzy suche, pozbawione przekonania kłaśnięcia w dłonie.

– Brawo, Xahuatlu. Domyśliłeś się w końcu. Teraz już wiesz, kto za tym wszystkim stoi. To co? Teraz zedrzesz mi maskę, ja przyjmę moją właściwą formę i rozerwę cię na strzępy, jako pierwszego ze starych bogów? To już ten moment, kiedy zaczynamy? – Pajęczyca przeciągnęła się, głośno chrupnęła karkiem.

– Ale... Dlaczego? Czemu chcesz zniszczenia tego wszystkiego?

– Taka kolej rzeczy. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Kończy się piąte słońce, świat utonie we krwi. Przepadnie Tenochtitlán, zginą jego ludzie i pamięć o nich. Tezcatlipoca i jego podopieczna Ītzpāpālōtl są tylko... Jak by to ująć w twoim obecnym języku? Podwykonawcami, o!

– Ale przecież Malintzin...

– Ta dziewczyna dużo wycierpiała, zaś Tezcatlipoca dał jej szansę. Zawarli pakt, więc teraz ona jest jedną z nas.

– A co, jeśli ją zabiję?

– Nie wolno ci, Xahuatlu. Powiem więcej: nie możesz, nie dasz rady. To jedno z praw, których nie wolno naruszyć.

– Więc i ty nie zabijesz mnie.

– To nie do końca tak działa – uśmiechnęła się Pajęczycyca. – To moja gra, Xahuatlu, więc mogę zmieniać jej reguły wedle upodobania i strącać pionki z planszy, kiedy zaczną mnie denerwować. Ja i wyłącznie ja. A ta partia trwała już wystarczająco długo, zaczyna mnie nudzić... Nie, tego nie zmienisz: Tenochtitlán spłonie, przepadnie Imperium Słońca. Ten świat musi się skończyć. Chyba że...

– Że...? – Zahred zmrużył oczy.

Pajęczycyca zastanowiła się chwilę, uśmiechnęła, pokazując dwa rzędy ostrych niczym igły zębów.

– Chyba że dobijemy targu, a ty pomożesz mi rozwiązać jeden z większych problemów, z jakimi borykamy się od początków stworzenia.

– Zgadzam się.

– Tak szybko? – Bogini zaśmiała się. – Nie wiesz nawet, jakie są moje warunki. Nie masz pojęcia o cenie, jaką przyjdzie ci zapłacić!

– To bez znaczenia. Nie ma nic, co możesz mi odebrać, czego już bym dawno nie stracił. Liczy się tylko to miasto, liczą się tylko jego ludzie.

– Miasto spłonie, Xahuatlu. Stanie się tak, bo ja tak powiedziałam, bo tego wymaga kolejny obrót wszechrzeczy. Co do ludzi, hmm... Wygląda na to, że tym razem nam się udali. Dostaniesz przynajmniej szansę, aby ich uratować. Aby

Tenochtitlán odrodziło się i rozkwitło ponownie. Imperium Słońca będzie trwać tak długo, jak będziesz żyć ty.

– Podoba mi się takie ujęcie tematu. A jaki jest twój warunek? Co mam zrobić, żeby trwało dłużej, żeby nie przepadło?

Bogini rozłożyła ręce, wraz z nimi spod opończy wysunęły się i otwarły na całą szerokość szkarłatne chitynowe odnóża. Nagle stała się wyższa od Zahreda, górując nad nim, wypełniając całą przestrzeń pieczary. Nachyliła się nad śmiertelnikiem i szepnęła mu do ucha:

– Zanim umrzesz po raz ostatni, to ty masz stać się nowym słońcem.

Zahred cofnął się o krok, spojrział na nią z mieszaniną zdumienia i przerażenia.

– Stać się... słońcem? To przecież niemożliwe! Jak?

– To moje warunki, Xahuatlu. Nie powiem ci nic więcej, nie dam żadnej wskazówki. Nie licz na to, że wyczytasz cokolwiek między wierszami. To już postanowione.

– Poczekaj, zaraz! Człowiek nie może stać się słońcem... To bez sensu! Poza tym co masz na myśli: zanim umrę po raz ostatni? Nie zgodzę się na coś, czego nie...

– Jestem znudzona i głodna. Zaś ty już to zrobiłeś, Xahuatlu.

Zahred zamarł.

Poczuł, jak nagle robi mu się gorąco, a włosy na karku jeżą się po raz kolejny – tym razem z pierwotnego, zwierzęcego strachu.

Był tylko drobinką życia, która wpełzła prosto do leża Pajęczycy.

Bogini spojrzała na niego niemalże lubieżnie, oblizła usta językiem w kolorze jadeitu i przygryzła wargę tak, że aż



zatańczyła na niej kropelka krwi. Jakby celowo odwróciła się bokiem, przez chwilę spuszczać śmiertelnika z oczu.

– A teraz uciekaj – szepnęła przejmująco.

Zawahał się dosłownie ułamek sekundy, a potem rzucił się w tył.

Wpadał już w ciemną przestrzeń korytarza, gdy jaskinia za nim eksplodowała przeraźliwym piskiem i skrzekiem.

Zabrzęczały przewracane naczynia, z trzaskiem poleciały zrywane ze ścian płaskorzeźby, trzasnęły pękające kamienie, kiedy ogromna istota skoczyła jego śladem, wpadła w wąskie przejście, przeciskając się za nim.

Żagiew łopotała i sypała iskrami, kiedy biegł przed siebie, potykając się o kamienie, wspinał się na zalegające w podziemiu hałdy ziemi i na łeb na szyję zlatywał, staczał się z nich po drugiej stronie.

Za nim pędziła wrzeszcząca, kotłująca się masa pazurów, odnóży, kłapiących szczęk i jarzących się zielenią oczu.

Pajęczycyca przeciskała się przez korytarz, sięgała ku niemu łapami, strzelała i pluła jadem, podciągając się i przepychając przez stanowczo zbyt wąskie przejście, próbując za wszelką cenę sięgnąć, chwycić człowieka.

Uderzył o coś głową, przewracając się, paskudnie rozharatał ramię.

Pełzł, desperacko czołgał się na łokciach i kolanach, biegł, upadał, gramolił się i czołgał dalej, zrywał się i pędził bez tchu.

Żagiew wypadła mu z ręki, rozsypała się węglami. Nie miał czasu jej zbierać, więc pobiegł dalej po omacku – światło chwilę jeszcze pełgało, a potem pochłonęła je nadciągająca wraz z Jadeitową Pajęczycą ciemność.

Korytarz ciągnął się bez końca, a on biegł, zataczając się, sunąc ręką po chropowatej ścianie.

Potem czołgał się, brnął przez lepkie, grząskie i zimne błoto.

Byle dalej, byle przed siebie.

Ku ledwie widocznej bladej poświacie.

W górę, ku świeżemu powietrzu.

Tam, gdzie na ramiona padał zimnymi kroplami ulewny deszcz.

Do drzew, trawy, otwartego nieba nad głową.

Do świeżego powietrza, które...



## Rozdział 11

Obudził go szorstki, gorący jęzor i skamlenie Kefrena, coraz bardziej natarczywie liżącego mu twarz.

– Bogowie... – zajęczał Zahred, z niemałym trudem przekręcając się na bok.

Leżał pośród drzew i krzewów, u samego podnóża zarośniętej przez las piramidy. Był znów dzień – poranek? Wieczór? Trudno było w tej szarówce powiedzieć. Z zaciągniętego szarą warstwą chmur nieba lała się strugami woda.

Trzął się z zimna jak w febrze. Musiał leżeć tak... No cóż, długo, a zmęczenie i wychłodzenie organizmu zrobiły swoje.

Bolało go wszystko.

Piekły pozdzierane kolana, łokcie i wnętrza dłoni, kłuły połamane paznokcie, mniejsze i większe skaleczenia, siniaki i stłuczenia narywały tępo.

Dotknął rany na ramieniu, syknął: nierówne brzegi zdążyły już napuchnąć, czuł, jak niezdrowo gorąca i wzdęta jest tkanka.

No cóż, nie z takich rzeczy przecież wychodził.

Rozejrzał się, ale nigdzie w pobliżu nie było siekiery. Musiał ją zgubić, uciekając...

Przejsie, z którego wypelzł, pozostawiając za sobą gliniasty ślad na trawie, było teraz jedynie lejem w ziemi, na którego dnie gromadziła się szybko bura, spieniona deszczówka.

Jęknął, podniósł się najpierw na kolana, a potem chwiejnie stanął na nogach.

Przytrzymując się drzew i zataczając, zrobił kilka kroków na próbę.

Zatrzymał się, obejrzał: Kefren siedział tam, przy zapadlisku, z wywieszonym jęzorem i nadzieją w oczach.

– No chodź przecież, durny kundlu. – Zahred klepnął dłonią o udo. – Chodź, wróciłem w końcu.

Kefren zerwał się, radośnie podbiegł do swojego pana.

We dwóch ruszyli w drogę powrotną, przedzierając się przez porastający ruiny las.



Zahred odetchnął głęboko, przeciągnął po twarzy dłonią i rozejrzał się lekko błędnym wzrokiem.

To przecież musiało być gdzieś tutaj.

Ten nawis, pod którym wtedy siedzieli, gdzie zostawił część rzeczy... Powinien być tutaj.

A go nie było.

Coś było nie tak. Poważnie nie tak. I to nie ze światem.

Coś było nie tak z nim.

Po nocy pełnej niespokojnych snów wstał kolejny mglisty, wilgotny dzień. Było cieplej, a mimo to on nie potrafił się rozgrzać. Nadal bolało go wszystko... a najbardziej spuchnięte ramię.

A on...

Potrząsnął głową, usiłując przywołać myśli do porządku.

Nawis skalny. Ten, gdzie zostawił siekierę... A nie, siekierę zgubił przecież. Ale tam była sakwa, w sakwie płaszcz, czy tam opończa...

Był niedaleko od tych dwóch drzew.

Ale teraz drzewa były tutaj, a nawis skalny nie.

Przytrzymując się pnia, żeby nie upaść, spojrział w górę, próbując określić położenie słońca.

– Południe... Więc tam jest północ – zamruczał. – Kefren, chodź... I zawołaj resztę naszych.

Pies przekrzywił łeb, spojrział na niego pytająco: co?

Zahred ruszył chwiejnym krokiem, przytrzymując się pni i czepiając gałęzi, jak pijany.

– Ty nie rozumiesz – zamruczał. – A nas było przecież więcej. Kefren, Sanum... Serneferu. A teraz was już nie ma, nikt o was nie pamięta. Tylko ja... I dopóki ja żyję, to...

Nie dokończył, bo potknął się i wywalił jak długi.



Było źle.

Świat falował i rozjeżdżał mu się przed oczami.

Co chwila wstrząsały nim dreszcze takie, że ledwie był w stanie iść. Ramię pulsowało przeszywającym bólem, promieniującym aż gdzieś głęboko pod czaszkę.

Cały czas chciało mu się pić, a mimo to nie mógł przełknąć nawet łyka wody.

Rzeczywistość mieszała się z majakami, płynęła i rozmywała się.

Las zamieniał się w pustynię, ta z kolei pokrywała się skorupą lodu.

Znikąd wyrastały zabudowania, domy i całe ulice, pałace i miasta – aby potem rozwiać się w nicość, przepaść w pustce.

Kątem oka widział ludzi. Znajomych i zupełnie obcych, tych, których pamiętał z imienia, i niemalże anonimowe cienie, ulotne wrażenia z tych wszystkich lat.

W rzadkich chwilach, gdy odzyskiwał jasność umysłu, próbował pilnować kierunku marszu.



Szedł, nie czując nóg.

Rzeczywistość płynęła obok, na dobrą sprawę poza jego kontrolą.

Widział już tylko jaśniejsze i ciemniejsze plamy, roztańczone obłąkanym korowodem przed niełapiącymi ostrości oczami.

Przemieszczał się krótszymi i dłuższymi zrywami, odpoczywając albo leżąc na plecach dłużej, niż mógł utrzymać się na nogach.

Znał ten stan.

Wiedział, co będzie dalej.

Ale nie miał siły o tym myśleć.



Czuł, że traci ostatek sił.

To nie mogło się dobrze skończyć.

Zresztą...

...nie miało to znaczenia.

Już nie.



...



– Niech wypije chociaż trochę.

Zahred zakrztusił się, parsknął, ale dał radę przełknąć odrobinę gęstej, osiadającej na języku papki z kukurydzy.

Popatrzył ze zdumieniem na nachylającego się nad nim starszego, łysiejącego człowieka, pojącego go z glinianej miski.

– Gdzie...? – chciał zapytać, ale z jego gardła wydobyło się tylko nieartykułowane chrypienie.

– Obudził się wreszcie. To dobrze. Niech wypije jeszcze.

Strużka pociekła Zahredowi po policzku, załaskotała w szyję, ale dał radę usiorbać nieco większy łyk, drugi... Potem opadł w tył, na posłanie, czując, jak kręci mu się w głowie.

– Niech śpi teraz. Otlī musi iść na pole. Niech śpi, odpoczywa.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, zapytać, ale nie zdążył.

Słabość pochłonęła go, powlokła z powrotem w niebyt.



Powoli dochodził do siebie.

Otlī przychodził do niego, karmił go i poił.

Zmieniał przepocony koc.

Pomagał siadać na misce, a potem wynosił nieczystości.

Smarował odleżyny i odparzenia tłustą, śmierdzącą łojem maścią.

– Jego pies je więcej niż on – powiedział kiedyś, pojąc Zahreda papką z kukurydzy. – I nie marnuje aż tyle.

– Xahuatl... – zachrypiał Zahred. – Xahuatl dziękuje.

– Otlī cieszy się, że jest mu lepiej. Pies Xahuatla ma imię?

– Kefren.

– Xahuatl musi nauczyć Kefrena nie gryźć, kiedy ktoś pomaga jego panu leżącemu pośrodku drogi.

Zahred uśmiechnął się słabo, wyciągnął rękę w bok. Pies od razu podsunął pod nią łeb, domagając się pieśczoć.

– Jak długo...?

– Tak długo, aż wydobrzeje.

Nie o to chciał zapytać, ale na więcej nie starczyło mu sił.





Po kilku – może kilkunastu? – dniach dał radę stanąć na nogach i o własnych siłach wyjść za potrzebą na dwór.

Mało brakowało, a przypląciłyby to kolejną kontuzję. Kiedy wracał, nogi ugięły się pod nim, a on poleciał bezwładnie na ziemię. Nie zamortyzował upadku, nie zasłonił się nawet, tylko po prostu rąbnął o kamienie, rozcinając sobie głowę.

Doczołgał się do chaty, wpełzł na posłanie i nakrył się kocem. Jak dziecko, które nabroilo i teraz starało się ukryć przed rodzicem skutki swojej lekkomyślności.

Oczywiście, kiedy Otli wrócił, nie obeszło się bez równie lakonicznej, co ostrej wymówki.

Jednak nie to było najgorsze.

Leżał tak na posłaniu, pozwalając, aby Otli spinał mu kolcami agawy rozcięty łuk brwiowy, a potem nakładał na to kolejny opatrunek.

Leżał i patrzył tępo w nierówny sufit z gliny na pleciance z drewna, po którym łaziła tłusta mucha robacznicą.

Jedna jedyna, zupełnie samotna mucha.



– Xahuatl chce odwdzińczyć się Otlemu za jego troskę i gościnę.

Otli uniósł głowę znad posiłku. Spojrzał z widoczną dezaprobatą na siedzącego na macie naprzeciwko Zahreda.

– Otli nie pomógł Xahuatlowi po coś. Otli nie chce wdzięczności. Xahuatl chce coś zrobić? Niech zostanie jeszcze trochę, nabierze sił i pomoże Otlemu przy zbiorach.

– Tego Xahuatl nie może zrobić. Musi ruszać dalej, do siebie.

– Zatem nie może nic Otlemu dać. Niech więc chociaż weźmie jeszcze jeden placek.

Zahred sięgnął już ręką, ale zawahał się.

Tak, powinien jeść, aby odbudować siły. Wciąż był słaby, mimo że był już w stanie nawet pomagać gospodarzowi przy obejściu. Nosił wodę, zbierał drewno, a raz nawet dał radę sam zamknąć zacinającą się furtkę do zagrody, gdzie mieszkały indyki.

Jednak nie musiał wykazywać się szczególną przenikliwością, żeby zrozumieć: Otli nie należał do ludzi zbyt zamożnych. W zasadzie nie należał nawet do średnio sytuowanych. Wszystko w jego gospodarstwie nie tyle krzyczało, ale piszczalo, że mieszkający tam człowiek ledwie daje radę dociągnąć od przednówka do przednówka.

Jednak mimo to ściągnął nieprzytomnego Zahreda z odległego o spory kawałek drogi szlaku. Zabrał pod swój dach, wykurował, odkarmił.

Ba! Nie zabił i nie upiekł jego psa, który byłby przecież doskonałym, pożywnym posiłkiem dla nich obydwu.

– Niech bierze. – Otli pokazał ruchem głowy. – Otli już więcej nie będzie jadł.

Zahred przełamał placek, wziął połowę. Otli westchnął, wziął drugą, odłamał jeszcze kawałek dla Kefrena.

– Xahuatl odwdzięczy się Otlemu.

– Nie ma potrzeby. Otli daje sobie radę.

– Kiedy Xahuatl wróci do Tenochtitlán, każe, żeby Otlemu przyniesiono dużo żywności.

– Żywność się zmarnuje.

– Więc przyśle mu narzędzia.

– Żli ludzie przyjdą nocą, ukradną narzędzia i pobiją Otlego.

– Zatem wraz z narzędziami przyjdą niewolnicy...

– I wtedy Xahuatl sprawi, że zamiast być wolnym, beztróskim człowiekiem, Otlí będzie musiał pilnować innych? Nie. – Rolnik pokręcił głową. – Otlí nie potrzebuje niczego. Niech Xahuatl wraca do Tenochtitlán, niech robi dalej swoje rzeczy, a Otlí zostanie tutaj i będzie robił swoje.

– Xahuatl nie zapomni dobroci Otlego.

– Zapomni. Dobre rzeczy ludzie zapominają szybko. Pamiętają tylko złe.

– Nie zapomni.

– Dobrze. Xahuatl wie lepiej. Otlí jest tylko prostym rolnikiem. – Mężczyzna uśmiechnął się dobrotliwie.

Zahred westchnął tylko ciężko i pokręcił głową, ale nie powiedział już nic.



– Niech uważa na siebie.

– Niech bogowie zachowają Otlego w zdrowiu.

Mężczyzna po prostu skinął mu głową i schował się z powrotem w szopie. Zahred zarzucił na ramię prostą torbę z włókien agawy, cmoknął na Kefrena.

– Chodź.

Szedł powoli, oszczędzając zastane mięśnie.

Siły nie wróciły mu jeszcze w pełni, ramię nadal doskwierało, ale goiło się całkiem ładnie...

Całkiem ładnie.

Całkiem naturalnie.

Całkiem bez pomocy much.

Nie myślał o tym do tej pory, choć zapewne powinien.

Ale z jakiegoś powodu nie potrafił się na to zdobyć.

Zamiast tego maszerował na tyle szybko, na ile starczało mu nadwątlonych sił, próbując jak najszybciej wrócić do Tenochtitlán.

Robiło się chłodniej, drzewa straciły soczystość zieleni lata. Tu i ówdzie widać było, że liście zaczynają delikatnie żółknąć.

Musiał leżeć w gorączce o wiele dłużej, niż mu się początkowo wydawało.

Tydzień? Dwa...?

Raczej miesiąc, albo i więcej.

Aż wzdrygnął się na samą myśl o tym, co musiało go ominąć – i co zastanie po powrocie.



Zahred miał jeszcze spory kawałek drogi do położonego nad północnym brzegiem jeziora miasta-państwa Zumpango, kiedy zaczęło docierać do niego, że coś jest mocno nie w porządku.

Na polach stała pożółkła, niezebrana w porę kukurydza, teraz poznaczona już plamami pleśni i przygięta do ziemi jesiennymi deszczami.

Stada ptaków kołowały ponad niepilnowanymi łanami, co chwila przysiadając, aby wydziobywać z kolb ziarno, a potem zrywać się z głośnym krakaniem i świergotem do lotu, kiedy on podchodził nazbyt blisko.

Na zazwyczaj pieczołowicie pielonych, starannie utrzymanych tarasach uprawnych pleniła się przemieszana z chwastami trawa.

Mijane przez niego wsie były opustoszałe, niczym wymarłe.

Puszczone luzem zwierzęta szwendały się samopas.

Indyki rozdziobywały powywlekane z komórek zapasy ziarna.

Pozamykane w klatkach, zagłodzone i wychudzone psy ujadły głośno, rzucając się sobie nawzajem do gardeł.

Wiatr niósł bardzo charakterystyczny, dławiący zapach, który on znał aż nazbyt dobrze.

Tak pachniała śmierć.

Woń wisiała pasmami w powietrzu otulającym przydrożne wioski. Podnosiła się znad od dawna nieopróżnianych dołów kloacznych. Wysączała się z otwartych na oścież okien i drzwi opuszczonych domów. Niosła się w zasnute szarością niebo wraz z gęstym, lepkiem dymem stosów pogrzebowych.

Ludzie... Ludzi prawie nie było widać.

Pojawiali się czasami gdzieś w oddali, niczym blade cienie snujące się po gospodarstwach albo z trudem przestawiające nogi w nieskończenie długiej drodze pomiędzy zabudowaniami.

Jednego takiego człowieka Zahred zobaczył już z daleka.

Rolnik próbował chyba pracować na swoim polu, ale poruszał się niczym w zwolnionym tempie, z wysiłkiem podnosił i opuszczał motykę, którą potem z trudem wyszarpywał z ziemi.

Widać było, że każde schylenie się było dla niego problemem; co chwila opierał się o drzewo albo przysiadał na kamieniu, próbując odzyskać siły.

– Niech bogowie zachowają tych, co troszczą się o żyzną ziemię! – już z daleka pozdrowił go Zahred.

Tamten w pierwszej chwili nie zareagował, patrząc gdzieś w pustkę. Potem powoli obrócił głowę, spojrział na idącego drogą.

Jego twarz, ręce, nogi – dosłownie całe ciało było upstrzone teraz już przyschniętymi, powoli odchodzącymi strupami, spod

których widać już było różowo-fioletowe, szpecące skórę blizny po krostach.

Zahred zwolnił i przystanął kilka kroków od siedzącego na przydrożnym kamieniu człowieka. Poczuł, jak mimo osłabienia serce uderza mu mocniej, a gardło zaciska się nagłym skurczem strachu.

Nie musiał o nic pytać, bo widział te krosty więcej razy, niż chciałby pamiętać.

Widział je, stojąc przy łożu śmierci wszechpotężnego, słońcu równego *usermaatre sekheperenre* Ramessesa w cieniu ogromnych piramid wzniesionych wśród morza piasków całe tysiąclecia po tym, jak prowadzeni przez niego wygłodzeni powstańcy sforsowali bramę do pałacu Wielkiego Króla w Inebu-Hedź.

Słyszał kaszel i jęki pokrytych nimi towarzyszy broni, gdy wraz z wojskami wcześniej niepokonanej Kartaginy stali bezsilnie pod opierającymi się ich atakom murami Syrakuz.

Ubrany w ponury fiolet i z twarzą wysmarowaną popiołem kroczył wraz ze swoją centurią w kondukcje pogrzebowym, aby wspólnie z pogrążonym w żałobie Markiem Aureliuszem odprowadzić w ostatnią drogę jego przyjaciela i współcesarza, zabranego przez zarazę, z powodu której opustoszały ulice i place Rzymu.

I gdy myślał o tym wiele razy później, widział to jeszcze w krainie, która w pięknym, melodyjnym języku używanym na Wyspach nazwała tę chorobę *tenpyō no ekibyō dairyūkō*.

On jednak znał ją pod o wiele prostszym, lecz tak samo budzącym grozę mianem.

Ospa.

Rolnik zakołysał się i zaczął wstawać z kamienia, wspierając się ciężko na stylisku motyki. Zahred niemalże

odruchowo zrobił krok w bok, odsunął się na drugą stronę wąskiej drogi.

– Bogowie... Bogowie nas opuścili – zachrypiał rolnik.

Zahred bez słowa przesunął się mimo, czym prędzej wyminął go i szybkim krokiem ruszył drogą dalej.

Wszędzie, gdzie trafiał, wyglądało to podobnie albo jeszcze gorzej.

Wyludnione miasta pełne były jęków i zawodzeń, niosącego się echem kaszlu i płaczu dzieci.

Mijał domy, które po prostu wypełniono trupami i zamurowano albo podpalono wraz z zawartością. Zamiast spłonąć na popiół, ciała smażyły się i zwęglały, wypełniając powietrze nieznośnym smrodem, który aż wykręcał kiszki na drugą stronę.

Widział, jak ludzie gromadzą się, zanosząc próżne modły i nic nieznaczące ofiary do pustego, obojętnego nieba.

Niektórzy próbowali leczyć się tak, jak czynili to z innymi chorobami, które nawiedzały imperium Mexików. Ludzie kąpali się na przemian w gorącej i zimnej wodzie, niektórzy próbowali też długich sesji w nagranych łaźniach parowych... Z których nie zawsze potem dawali radę wyjść o własnych siłach.

Obserwował, jak całe procesje ludzi wysmarowanych czarnym, bitumicznym błotem – powszechnie stosowanym na choroby skórne – gromadzili się pod świątyniami, błagając kapłanów o zdjęcie z nich klątwy i odwrócenie gniewu bogów.

Czarownicy, znachorzy i *tlantonaniztli* daremnie odprawiali swoje rytuały, rzucali nasiona fasoli i kakaowca na płaszcze utkane z włókien białej agawy, próbując wywróżyć, co uczynić z nieznaną przypadłością.

Widział to wszystko z daleka, starając się omijać skupiska ludzkie.

Czy sam mógł umrzeć na tę chorobę? Nadal nie był pewien. Umierał tyle razy, na tyle sposobów, że... Na pewno co najmniej raz ją przeszedł. Kiedyś na nią umarł, tego był pewien. Zdarzyło się też tak, że dotknęła ludzi wokół, a jego oszczędziła.

Jednak jaka była kolejność? Czy był związek? Nie miał pojęcia.

Wszędzie pełno było much, żerujących na martwych ciałach, składających jajeczka w zagłębieniach ciał trupów i łąjących po nadal żywych.

I najbardziej przerażało Zahreda to, że nie zwracały nań większej uwagi niż na kogokolwiek innego.

Pewnego dnia podczas wędrówki rozciął skórę na kostce o kamień. Ot, nic wielkiego, przypadek jakich wiele. Parę dni później z fascynacją obserwował, jak spod nierównego, przyschniętego strupa wysącza się kropelka limfy.

Był tak samo słaby, głodny, spragniony i narażony na uszkodzenia jak każdy inny człowiek.



Idąc brzegiem potężnego jeziora Tetzoco, patrzył z daleka na powoli przesuujące się w odległej perspektywie Tenochtitlán.

Tym, co uderzało go w tym widoku najbardziej, był bezruch i upiorna wręcz cisza.

Jezioro przecież powinno aż roić się od łódek i łódeczek. Po prowadzących do stolicy groblach zawsze maszerowały łańcuszki ludzi, idących w tę i we w tę z towarami, ładunkami i daninami. Na pływających ogrodach *chinampa* kręcili się rolnicy. Nad wszystkim tym za dnia i w nocy zawsze niosło się



wołanie kapłanów, głos rogów i dźwięczne brzmienie gongów z niezliczonych świątyń.

A teraz nie było nic.

Zostawił już za sobą Tlacopán, nie ryzykując nawet wchodzenia do miasta. Z daleka widział, jak kolejne ciała wynoszone są z domów, układane piętrowo w stosy... Albo po prostu wrzucane do parowów u podnóża gór.

Kiedy wkroczył na groblę do Tenochtitlán, słońce minęło już zenit.

Gdy postawił nogę na stałym gruncie miasta, miało się ku wieczorowi.

Na całej długości grobli nie minął się nawet z jedną żywą duszą.

Spomiędzy piramid, ponad dachami pałaców, zza zielonych ogrodów niosły się w niebo dymy stosów pogrzebowych.

Idąc prowadzącą ku wielkiemu placowi ulicą, słyszał donoszący się z domostw głuchy, dychawiczny kaszel i jęki cierpiących chorych... Ale widział też, jak w bocznych uliczkach piętrzą się pokryte wrzodami, puchnące trupy, zapewne po prostu zrzucane z dachów.

Smród gnijącego ciała zatykał dech, przyprawiał o mdłości i zawroty głowy.

Na jednym z placów spotkał ludzi. Zabiedzonych, o popielatych twarzach. Co najmniej część z nich była chora, o ciałach upstrzonych niezliczonymi ropiejącymi krostami. Kaszląc, ledwie trzymali się na nogach. Niektórzy, wstrząsani dreszczami, krwawili z nosów i ust.

Tłoczyli się teraz na podobieństwo wygłodzonych zwierząt przy jednym z magazynów żywności, w niemym błaganiu wyciągając trzymane w dłoniach miski. Stojący przy otwartych

drzwiach urzędnik w asyście kilku wojowników rozdzielał ludziom iście głodowe racje ziarna.

Jeden ze strażników dostrzegł Zahreda.

W pierwszej chwili nie zwrócił na kolejnego przybysza uwagi, ale potem spojrział raz jeszcze, zapewne dopiero teraz dostrzegając idącego przy jego nodze psa.

Zmienił się na twarzy, jego oczy otwały się szeroko.

– Wszyscy bogowie na niebiesiech... Huēi Tlahtoāni! – zawołał, po czym rzucił się na kolana i uderzył czołem o ziemię.

– Huēi Tlahtoāni powrócił... Jesteśmy uratowani!

– Huēi Tlahtoāni? – Ktoś w tłumie obrócił się.

– To on! Najwyższy król żyje! – zawołał ktoś, wskazując Zahreda.

– Huēi Tlahtoāni wrócił do miasta! Huēi Tlahtoāni jest razem z Mexikami... Bogowie nas wysłuchali!

– Najwyższy król!

– Huēi Tlahtoāni!

Ludzie pociągnęli ku Zahredowi, w jednej chwili zapominając o głodzie. Wyciągnięte błagalnie ręce, łyzy błyszczące na policzkach, usta nagle wielbiące bogów, zamiast ich przeklinać.

Otoczyli go żywą, drgającą masą, rozkładając się na ziemi wokół niego niczym ogromny kobierzec. Kolejni usłyszeli, podłapali wołanie i teraz wyglądali z domów, kuśtykali ku niemu. Jakaś matka szła, zataczając się i niosąc w ramionach chore dziecko.

– Huēi Tlahtoāni przybył, teraz przebłaga bogów...

– Niech uleczy! – Wyciągnęła ku niemu dłonie klęcząca na ziemi starowinka. – Niech uleczy jej męża, ona odda za niego swoje życie!

Ktoś chwycił go za nogę, zaczął całować po stopach. Inny ze szlochem przywarł do jego kolan, wstrząsany spazmami

płaczu.

On zaś stał tak, nie wiedząc, ani co zrobić, ani jak się zachować.

Zupełnie bezsilny.



Nim strażę w końcu dały radę przeprowadzić Zahreda przez miasto, które powoli ogarniała desperacka euforia, zrodzona z tak długiego braku nadziei, słońce dotknęło już szczytów gór na zachodzie.

Ludzie skandowali jego imię. Klęczeli przy drodze, którą szedł. Wyciągali ręce. Płakali, kiedy przechodził obok.

Widział wypisaną na ich twarzach nadzieję.

I czuł, jak pęka mu serce.

– Jezus Maria... toż to nasz pan kapitan! – złapał się za głowę Gutierrez, który jako pierwszy wybiegł przed Pałac Białych Trzcina. – Bywaj tu, bywaaaj! Kapitan Zahred wrócił...

– Kapitan Zahred wrócił! Żyje, cały, zdrowy! – podchwycił okrzyk Valverde.

Jako ostatni wyszedł Rodrigo, wyglądający i ubrany już bardziej jak Mexik niż Kastylijczyk. Z pełną powagą uklęknął na ziemi, ucałował palce, którymi wcześniej dotknął ziemi. A potem wstał i zwyczajnie zamknął zaskoczonego Zahreda w uścisku.

Odsunął się jednak szybko, zreflektował. Pociągnął nosem.

– Panie kapitanie, Huēi Tlahtoāni... Melduję kompanię i Imperium Słońca! – wyrzucił z siebie mieszanym hiszpańskim i *nahuatl*. – Ja im mówiłem... Mówiłem im, że pan kapitan wróci! Mówiłem, tłumaczyłem, a oni nie!

– Wystarczy, żołnierzu. Dziękuję wam – przerwał mu Zahred. – Prowadźcie... Zwołajcie naszych, powiadomcie wszystkich. Co tu się stało?

Rodrigo westchnął tylko, pokręcił głową.



Leżący na posłaniu Xicotencatl z trudem rozkleił zaropiałe powieki i uśmiechnął się słabo, widząc stojącego nad nim Zahreda.

– Xahuatl... Xahuatl wrócił do jego brata – zaszeptał, z widocznym trudem poruszając ustami. – Teraz Xicotencatl może umrzeć spokojny. Teraz wie, że ktoś z rodziny odmówi za niego modlitwę do Władczynie Doliny Kości.

Zahred delikatnie ujął jego dłoń, tak aby na pewno nie urazić żadnej z wykwitających na niej krost.

– Niech Xicotencatl nie marnuje oddechu na tak czcze słowa. Wyjdzie z tego, wydobrzeje... Musi. Od kiedy jest chory? – zwrócił się do stojącego zaraz obok Xiuhtziego.

*Tlantonaniztli* przewrócił oczami, licząc coś na palcach.

– Siódmy dzień, ósma noc.

– Czyli jeszcze cztery kluczowe dni... Niech go karmią, poją sokiem z owoców.

– Xiuhtzi zastosował kurację z kąpeli w słonej wodzie, które...

– Żadnych kąpeli dla chorych! – zawarczał Zahred. – A już na pewno nie we wspólnej wodzie. Izolacja, minimum kontaktu!

– Bogowie prędzej wysłuchają modlitw zanoszonych wspólnie. – *Tlantonaniztli* pokręcił głową.

– Szkoda tylko, że póki co nie słuchają ich wcale... Itzli! – Zahred odwrócił się nagle ku wejściu. – Oczy Xahuatla radują się, widząc jego przyjaciela.

Stojący na progu komnaty władca Domu Szeptów skłonił się, uśmiechnął.

– Nie tylko oczy, ale i serce Itzlego cieszy się, widząc jego Huēi Tlahtoāni. Itzli rozkazał już, aby służba przyszykowała dla Xahuatla wieczerzę, ale...

– Niech Xahuatl zgadnie: nie ma jej komu przyszykować?

– Sytuacja jest...

– Wiem. Widzę. Czy władca Domu Szeptów wie, jak trafić do pałacowych kuchni?

– Tak... – Itzli zmarszczył brwi.

– Niech zatem prowadzi. Xahuatl jest zbyt głodny i zmęczony, żeby czekać, aż ktoś przyniesie mu jedzenie na złotej tacy.



Siedzieli gdzieś w trzewiach pałacu tak głębokich, że Zahred nigdy tam nawet nie bywał – najwyższy król i jego zaufany doradca.

Na klepisku z gliny, przy dopiero co rozpalonym palenisku, w którym trzaskały wesoło dorzucane przez Itzlego kawałki drewna.

Ku oburzeniu i zaskoczeniu tego ostatniego Zahred przysunął sobie wklęsły kamień żaren i teraz rozcierał na nich ziarna kukurydzy na mąkę, raz za razem robiąc długim bazaltowym wałkiem.

– To czynność jak każda inna – wyjaśnił patrzącemu na to z obrzydzeniem Mexikowi.

– To przecież... niegodne nie tylko najwyższego króla, ale nawet mężczyzny! To zadanie dla kobiet! – wzdrygnął się Itzli.

– Najwyższy król jest głodny. Czy Itzli wolałby, żeby szezł tutaj, nie mając na podorędziu służących odpowiedniej płci?

– Nie, ale...

– „Ale”! – prychnął Zahred. – Minęły całe eony, a to słowo zawsze wślizguje się w umysły pozornie trzeźwo myślących ludzi. „Jaki pan, taki kram” – czy Itzli zna to powiedzenie? Nie? No więc już je poznał.

– Xahuatl obraża siebie, aby Itzli mu zaprzeczył – burknął władca Domu Szeptów.

Zahred przesypał mąkę do dzieży, zalał przygotowaną wodą. Dorzucił odrobinę soli i zaczął ugniatać.

– Xahuatl mówi tylko, że skoro Tenochtitlán ledwo daje radę zadbać samo o siebie, to jego król powinien dać przykład. A w każdym razie spróbować. – Westchnął. – To nie pora na ślepe trzymanie się obyczajów i tradycji przodków. Każdy Mexik winien robić, co tylko może, aby przetrwać.

Itzli niczym zahipnotyzowany patrzył, jak Zahred ugniata ciasto, potem przerzucając między dłońmi, lepi z niego płaskie okrągłe placki, a następnie wprawnymi ruchami wrzuca je na nagrzaną płytę paleniska.

– Jak długo...? – zdążył tylko zapytać, nim Zahred płaską łyżką przewrócił je na drugą stronę.

Huēi Tlahtoāni wzruszył wytatuowanymi ramionami, podając mu miskę pełną parujących placków.

– Tyle, ile trzeba. Zbyt krótko i rozleżą się przy przewracaniu. Zbyt długo i przywrą, przypalą się. Na wycucie, jak większość rzeczy w życiu.

– W krainie, skąd przypłynął Xahuatl, mężczyźni potrafią piec placki *tlaxcalli*? Czy nauczył się tego od Xicotencatla?

– Nie sądzę, żeby Xicotencatl to potrafił. – Zahred uśmiechnął się, rwąc kawałek parującego placka i wsuwając go do ust. – Mmm, o dobry bogowie... Od wieków nie jadłem nic tak dobrego.

– Xahuatl właśnie tak wygląda: jakby nie jadł. Czy Xahuatla również dotknęła kara bogów?

– Zaraza? Nie, póki co chyba nie. Co do bogów... Tak, można powiedzieć, że maczali palce w tym, jak Xahuatl wygląda.

– Zatem odnalazł ruiny Teotihuacán i wszedł w Usta Bogini? – Itzli ożywił się.

– Tak.

– I...?

Zahred westchnął i przymknął oczy, z lubością przeżuując gorący, dobrze wypieczony placek.

Niemalże czuł, jak władca Domu Szeptów wpatruje się w niego z napiętym wyczekiwaniem.

A w jego piersi coś szarpało się i łkało boleśnie.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– I wszystko będzie dobrze – powiedział łamiącym się głosem. – Bogowie... Bogini obiecała Xahuatlowi, że Imperium Słońca nie przepadnie, że pamięć o nim nie zaginie. Że jego ludzie będą trwać po wsze czasy.

Kiedy Zahred otworzył oczy, Itzli patrzył na niego ze smutnym, pełnym zrozumienia uśmiechem.

– Zatem Itzli raduje się tak samo jak Xahuatl.

Zahred prychnął i zaśmiał się nerwowo, przeciągnął dłonią po twarzy. Przez palce spojrział na Itzlego.

– Xahuatl nie wie, co ma zrobić – jęknął półszepem.

– Itzli jest więc doradcą godnym swojego Huēi Tlahtoāni. Może chce zacząć od wysłuchania tego, co wydarzyło się, odkąd

opuścił Tenochtitlán?

Zahred kiwnął tylko oszczędnie głową, przyciągnął żarna i zaczął rozcierać kolejną porcję kukurydzy.





## Rozdział 12

*Tepeaca, parę miesięcy wcześniej – sierpień 1520*

*Santiago y cierra, España!*

Spięte ostrogami konie kwiknęły i runęły naprzód, wprost na szyk ubranych w kolorowe opończe i zdobne piórami pancerze Indian.

Wpadli pomiędzy Tepeaków, rąbiąc i siekając na lewo i prawo, kłując lancami i tratując pierzchających przed nimi dzikusów.

Cortés ciął szpadą, nawet nie oglądając się, kopnął kolejnego piechura w twarz i szarpnął wodze. Wierzchowiec stanął dęba i zamłócił kopytami w powietrzu, rozbijając głowę nieszczęśnika jak skorupę orzecha.

De Sandoval zaśmiał się dziko, stanął w strzemionach i z całej siły dźgnął włócznią w dół – żelazny grot wszedł prosto w oczodół przerażonego, stojącego z opuszczoną bronią wojownika, niezdolnego nawet ruszyć się wobec ogromu górującego nad nim kawalerzysty.

De Grado w ponurym, zaciętym milczeniu chlasnął kolejnego w łeb ciężkim tasakiem, rąbnął w tarczę i popędził dalej, przerzynając się przez ciżbę obrońców Tepeaków.

Szyk zachwiał się i załamał, gdy w poczyniony przez kawalerię wyłom wpadli wyjący niczym potępieńcy Tlaxcaltekowie, a ich śladem uderzyła pancerna kastylijska piechota.

Indianie rzucili się w tył, pierzchając w wysokie łany kukurydzy, próbując skryć się pomiędzy krzakami agawy.

Bitwa zakończyła się, zanim na dobrą sprawę się zaczęła.

Cortés zawrócił konia łukiem, niemalże z gracją ciął uciekającego dzikusa w kark.

Podkłusował do kolejnego, na którego zażarcie rzucało się dwóch Tlaxcalteków, niemalże od niechcienia wsadził mu sztych w plecy. Tamten wrzasnął, wyprężył się i padł; dwaj atakujący go wojownicy zawołali do caudilla z niezadowoleniem, wymachując gniewnie rękami i dając do zrozumienia, że ten jeniec im się należał!

– Niech sobie innych nałapią! – zarechotał przelatujący obok w galopie de Alvarado. – Zwycięstwo... Zwycięstwo! *Santiago y cierra, España!*

– *Santiago y cierra, España!* – zawołali ludzie, rozglądając się po polu boju.

Sprzymierzeni z nimi wojownicy Tlaxcali rozbiegli się po okolicznych polach, odławiając uciekających Tepeaków, za włosy wyciągając ukrywających się w zagrodach dla zwierząt.

Kilka odosobnionych grupek jeszcze usiłowało stawiać opór, ale ku jednej z nich maszerowała już najeżona grotami chorągiew kastylijskich pikinierów.

Cortés patrzył z przemieszaną z odrazą fascynacją, jak obrońcy Tepeaki zwierają szyki, a potem rzucają się wprost na ścianę włóczni, daremnie próbując dosięgnąć wrogów.

– Bohatersko, nie da się zaprzeczyć. – Pokiwał głową, patrząc, jak uderzający z boku Tlaxcaltekowie dorzynają resztki oddziału. Zwrócił konia ku pozostałym jeźdźcom, już gromadzącym się wokół niego. – Obejrzyjmy nasze nowe włości, panowie!

Niespiesznie, ubezpieczani przez maszerującą zwartym szykiem piechotę i kilka wysuniętych grup Tlaxcalteków, wjechali pomiędzy zabudowania Tepeaki.

Idący na czele oddziałów sprzymierzonych Clamecahua zawołał coś, pokazał zakrwawionym mieczem ku domostwom.

– Clamecahua pyta: czy biały wódz zezwoli wojownikom wziąć, co do nich należy? – przetłumaczyła jadąca obok caudilla Malintzin.

– Łupy? Nie, nie pora na to. Zresztą chyba na nas czekają... Mości panowie, patrzcie! – zawołał Cortés, obracając się w siodle. – Ledwie bitwę przegrali, a już gotowi nas hołdami przyjmować!

– Dla zasady tylko w pole wyszli! – zarechotał de Grado.

Rzeczywiście, na głównym placu miasta już formowała się procesja, nawet teraz idąca, aby powitać Kastylijczyków. Widać było, jak niedawni walczący pospiesznie ścierają z twarzy barwy wojenne, szarpią się z więzaniem kolorowych pióropuszy. Ludzie wynosili z domów i układali na ziemi dary mające przebłagać zwycięskiego białego wodza.

Miejscowy władca wystąpił naprzód, zawołał coś głośno, upadł na ziemię i oddał pokłon caudillovi. Razem z nim

położyli się ludzkim łanem jego ludzie, poplecznicy i wszyscy inni.

– On mówi, że... – zaczęła Malintzin, ale Cortés machnął lekceważąco ręką.

– Nie ma potrzeby, Marina.

Nawet i bez jej tłumaczenia wszystko było aż nazbyt jasne.



Kobieta wrzasnęła przeraźliwie, kiedy rozżarzone żelazo dotknęło jej policzka.

Zasyczało palące się mięso, w powietrze podniósł się cuchnącą smużką dym. Znacznik oderwał się z mlaśnięciem od ciała, zostawiając wypalone w żywym mięsie znamię.

– Następny! – zawołał trzymający żelazo do znakowania Raul, po czym otarł pot z czoła rękawem i sięgnął po kubek. Zwilżył wargi resztką ciepłego *pulque*, skrzywił się z niesmakiem. – Fu, ohydne to ich tutejsze gównno... Wina by się człowiek napił, a nie tych szczyn!

– Może jak statki przy płyną z Hispanioli? – rzucił de Gómez, współ z Saldañą prowadząc może dziesięcioletniego, wyrywającego się i płaczącego chłopca.

Przytrzymali go, nadstawili twarz.

– E, pewnie raczej proch wezmą. – Raul pokręcił głową. Przegrzebał żar, wyciągnął z ognia i fachowym okiem ocenił kolor żelaza, po czym przyłożył do policzka dzieciaka. Ten zaskowyczał, wierzgnął nogami i zapłakał rozdzierająco. – Chociaż przydałoby się... Albo świń by przywieźli więcej, o! Tłuszczu to już chyba ani uncji na mnie nie zostało.

Odepchnęli chłopca na bok, pomiędzy już oznaczonych, gdzie Tlaxcaltekowie sprawnie skrępowali mu ręce. Wyciągnęli na chybił trafił z grupy czekających na znakowanie następną kobietę, tym razem starszą, ale przynajmniej potulną.

– I co, myślicie, że teraz dalej pójdziemy? Od miasta do miasta tak? Bo jak się wszyscy zbuntowali...

– To będzie więcej niewolników do sprzedania! – zarechotał Saldaña.

– Nie no, chyba nie. Caudillo ma miasto tutaj fundować, słyszeliście?

– Już ufundował, wczoraj!

– Co? A jak to, że ja o tym nie wiem? – obruszył się de Gómez.

– Ooo, nie zaprosili jaśnie pana na uroczystość? Aj, jaj! – zacukał się Raul. – Nie do pomyślenia! To przecież powtórzyć trzeba będzie! Bez jaśnie pana de Gómeza to nie ma mocy prawnej.

– Ty mi tu nie mędrkuj, tylko żelazo dawaj – fuknął urażony żołdak, podsuwając już kolejną Indiankę do piętnowania.

Były ich tutaj dziesiątki, setka jeszcze czekała na swoją kolej; żony, kobiety i dzieci tych, co polegli w bitwie albo zostali wyłapani w ciągu następnych dni. Ich los miał być prosty: napiętnowani żelazem, sprzedawani podobno po dziesięć pesos każdemu, kto chciał kupić sobie niewolnika.

Mieli już wyciągnąć z tłumu następną.

Jednak kobieta, którą złapali teraz, szarpnęła się i wrzasnęła. Rzuciła się, kopnęła de Gómeza, ugryzła próbującego złapać ją Saldañę, wyrwała się oprawcom i rzuciła do ucieczki.

– Ucieka! – krzyknął Raul. – Łapać ją!

– Wycz-ha! – huknął tylko czekający na to pan de Lugo.

Leżąca do tej pory u jego nóg wielka bura suka zerwała się i popędziła z ujadaniem za biegnącą przez plac kobietą.

Pies wybił się, skoczył uciekinierce na plecy, obalił w piach.

Tamta wrzasnęła z przerażenia i bólu, kiedy bestia zatopiła zęby w jej ramieniu i warcząc, zaczęła szarpać, rwąc kawały mięsa.

– Huzia, bierz go! – podłapał pan Valladares, puszczając swojego wilczura. – Haaa, ha!

– No co wyście, zgłupieli?! – wrzasnął de Lugo. – Jak tak można?!

– No co?! Niech się pobawią!

– Pogryzą się przecież zaraz, do gardeł sobie rzucą... Wróć! Wróć, do nogi!

– Wracaj! – Valladares też gwizdnął na psa, który zajadle wpił się w nogę kobiety, tarmosząc ciało.

Patrzyli dłuższą chwilę, jak psy dosłownie rozszarpują leżącą, coraz słabiej broniącą się kobietę na strzępy. W końcu de Lugo wzruszył ramionami, usiadł.

– Nie pogryzły się – skwitował.

– Ano nie... Ale i tak wybaczcie, panie. Nie pomyślałem – mruknął Valladares, przesiadając się bliżej niego.

– Nie ma o czym mówić, zdarza się... Ale pogodę mamy ładną, co?

– A jakże... O, patrzcie go! – Valladares pokazał na dwóch żołnierzy wlokących lekko sinawego już trupa tepeackiego wojownika. – Ot, jacy zaradni...

– Zaradni? – De Lugo zmarszczył brwi.

– No przecież! A to wy... To wy nie wiecie?

– Nie wiem, a niby o czym nie wiem?

– To chodźcie, ja wam pokażę. No tak, wy psami zajęci byliście, to mogliście nie słyszeć.

– O czym nie słyszeć? – obruszył się de Lugo. – Od dwóch dni caudillo mnie bez ustanku z zadaniami posyła. Idź tu, idź tam, mówi, to załatw... Pierwszy raz usiadłem, a wy mnie już gdzieś ciągniecie.

Narzekając tak i utyskując, podniósł się jednak i poszedł za Valladaresem śladem dwóch żołnierzy.

Tamci pociągnęli trupa jeszcze kawałek ulicą, potem skręcili w bok, ku domom na przedmieściu. W końcu schowali się w podwórku jednego z obejść, wyglądającego aż nadto znajomo.

– Jatka? – De Lugo pociągnął nosem, łowiąc w powietrzu charakterystyczny zapach kruszejącego mięsa. – Ale po co...

Valladares przywołał go ku sobie gestem, wskazał na coś palcem. De Lugo podszedł, wyjrzał zza rogu – i zdębiał.

Dwaj żołnierze zrzucili ciało na podwórku, gdzie rozlokowała się jedna z grup okupujących miasto Tlaxcalteków. Jeden z nich zainteresował się wyraźnie, podszedł. Pomacał trupa, pokiwał głową i pokazał żołnierzom dłoń z rozczapierzonymi dwoma palcami.

Kastylijczycy zaśmiali się, pokręcili głowami: nie ma mowy! Niższy z nich podobnym gestem podniósł cztery palce.

Tlaxcaltek skrzywił się, pokazał: trzy?

Kiwnęli: trzy!

– O matko... – sapnął de Lugo, widząc, jak Tlaxcaltekowie odciągają trupa na bok, ku kamiennemu stołowi do rozbierania mięsa, żołnierze zaś z zadowoleniem przyjmują od nich trzy bele tkaniny.

– Mówiłem, że zaradni! Aż się dziwię, żeście nie słyszeli wcześniej... Przecież po bitwie to oni całą ucztę z ludzkiego mięsa sobie urządzili!

– Mówię, że zabiegany byłem! No ale... to caudillo tego nie widzi? – jęknął de Lugo.

– A wyście coś widzieli?

– No...

– I co, pójdziecie do naszego admirała i co mu powiecie? „Zabrońcie, panie, dzikusom jedzenia ludzkiego mięsa”? Tlaxcaltekwie się obrażą, wrócą do siebie. I co dalej?

– No niby tak... – De Lugo podrapał się po głowie, nadal wstrząśnięty do głębi. – I oni ich tak po prostu...

Niczym w odpowiedzi na jego pytanie, od strony podwórka doleciał odgłos rzeźnickiego topora rąbiącego mięso wraz z kością.



Caudillo Hernán Cortés nadział na widelec kawałek dobrze wypieczonego mięsa, powąchał z lubością. Zamoczył w zjadliwie czerwonym, ostrym sosie, po czym odgryzł kawałek, zaczął przeżuwać... Zamruczał ukontentowany, przymykając oczy.

– Wyborne! – Popatrzył po swoich kapitanach. – Marina, zapytaj Maxixcatzina, co to takiego. To jakiś tutejszy ptak?

– Nie, czerwone mięso. Raczej sarna albo coś takiego... – De Sandoval pokręcił głową.

– Dla mnie smakuje trochę jak wieprzowina... Ale lekko słodka – zastanowił się de Olid.

– Maxixcatzin mówi: to stary tlaxcaltecki przepis, przekazywany z ojca na syna w rodzinach wojowników. Mówi, że przygotowujący wkłada w niego całe serce.

– Tak czy inaczej, doskonale. Chociaż ostre, uf! – sapnął Cortés, przegryzając potrawę plackiem. – Tak więc, moi



panowie, pani... Podsumujmy sytuację i zastanówmy się, jak postępować dalej.

Rozsiedli się przy stołach, zbitych z obłożonych złotem desek, rozstawionych pośrodku sali tronowej pałacu lokalnego kacyka.

Sam kacyk, noszący tytuł *tlahtoāni*, przycupnął ze swoją mocno przetrzebioną świtą z boku, na słomianych matach, i tylko zerkał, czy aby biali zdobywcy nie potrzebują czegoś jeszcze.

Byli panami sytuacji.

Zwycięstwo przyszło im tak łatwo jak za dawnych czasów, jeszcze w początkach ekspedycji.

Miejscowi stawili raczej wątki opór, a straciwszy ponad cztery setki wojowników, po prostu bezwarunkowo skapitulowali.

Złożyli pełny hołd lenny, wasalny i wiernopoddańczy Cortésowi, królowi, cesarzowi, papieżowi i wszystkim świętym, byle tylko zachować głowy na karku.

Ich rodziny obrócono w niewolników, jak to przystało czynić z buntownikami i zdrajcami Korony.

Koło Fortuny po raz kolejny obracało się, wynosząc Cortésa ku górze.

De Barrameda popatrzył po zgromadzonych, wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Mówiłem coś przed bitwą, panie... I jestem wam winien za to przeprosiny.

– Co? Luis, to nie czas na...

– Ależ pozwólcie, proszę. Dajcie mi dokończyć. Otóż zanim stoczyliśmy tę bitwę, mówiłem, za co, jako się rzekło, winien jestem przeprosiny, że uderzenie na Tepeacę jest pochopne. Mówiłem to wielu towarzyszom, publicznie i prywatnie.

Odradzałem je jako nierozsądne i głupie. I słowa swoje podtrzymuję, a przepraszać ani myślę!

Wszyscy zbaranieli, patrząc na niego ze zdumieniem.

– De Barrameda, upiłeś się? – ostrożnie zapytał Cortés.

Tamten jednak z uśmiechem wziął się pod boki.

– To, co zrobiliśmy, było głupie, panowie! Na wskroś głupie, debilne wręcz! Ale skoro coś jest głupie, a mimo to działa... – zawiesił głos.

Cortés prychnął z rozbawieniem, pokręcił głową.

– ...to nie jest głupie? No, przyznaję, panie de Barrameda, że wasze żarty zaczynają być mocno naciągane. Ale chcieliście tylko po próżnicy pogadać czy mieliście coś faktycznie do powiedzenia?

– Ja? Zawsze po próżnicy, wasza miłość! – zaśmiał się żartowniś.

– Coś w tym jest – odezwał się milczący do tej pory de Tapia.

– Mianowicie?

– Mianowicie jeżeli coś działa, to po co zmieniać? Mamy Tlaxcalteków, mamy zapasy... Może by tak na drugą nóżkę?

– Jeszcze jedna prowincja? Hmm... Marina! – Cortés pstryknął palcami. – Zapytaj Tlaxcalteków, jakie miasto warto...

– Quechula – odparła Malintzin.

– Miałaś...

– I to właśnie miasto warto zaatakować w następnej kolejności: warowna, bogata Quechula. Nie muszę ich pytać, żeby powiedzieć wam, panie, co macie dalej zrobić.

Przy stole zapanowała pewna konsternacja na takie słowa. Caudillo jednak zakołysał tylko czarką z *pulque*, wychylił ją duszkiem i z hukiem odstawił na stół:

– Quechula!

## *Kilka dni później*

Kiedy jadący wierzchem pan Cristóbal de Olid wyłonił się wraz ze swoim oddziałem zza zakrętu drogi prowadzącej ku miastu, od razu uderżyły go dwie rzeczy.

Po pierwsze to, że sama Quechula faktycznie była ufortyfikowana.

Miasto otaczały najprawdziwsze mury, przed którymi wykopany był dość głęboki rów. Brama wyglądała na solidną, a w jednym miejscu wznosiło się nawet coś na kształt ni to cytadeli, ni to donżonu.

Po drugie, co dość mocno w głowie pana de Olida nie zgrywało się z tym pierwszym – ludzie czekali na Kastylijczyków przed miastem.

Czekali na przysłowiowej ubitej ziemi. Uzbrojeni. Z twarzami, na których prócz barw wojennych malowała się zaciętość.

– Niedobrze – zamruczał de Olid, wstrzymując konia. – Stać!

– Staaać! Stać! – poniosły się okrzyki.

De Ordaz i de Tapia, pełniący rolę kapitanów przydzielonych mu dwóch chorągwi, też wysunęli się na przód.

– Ojoj... – zmieszał się de Tapia.

– No i klops. Co, uderzymy na nich tak po prostu? Widać, że się przygotowali – zawtórował mu de Olid.

Prawda była taka, że pan Cristóbal de Olid od początku nie był szczególnie szczęśliwy z racji zaszczytu, który go kopnął w postaci mianowania na dowódcę ekspedycji.

Przypuszczalnie mogło to być związane z faktem, że zdarzyło mu się równie nieroztropnie, co nieprzytomnie podpisać pod tym cholernym listem do caudilla. Tym, który

ułożył i spisał pan de Duero, a potem dostarczyli Cortésowi niezadowoleni żołnierze.

Nieroztropnie, bo pan de Olid miał, owszem, swoje zdanie, ale życie nauczyło go zachowywać je dla siebie.

A nieprzytomnie, bo zrobił to po pijaku, podpuszczony przez towarzyszy, z tym palantem de Duerem na czele.

I teraz zaczynał się na poważnie zastanawiać, czy wysyłając go przeciwko miastu, które faktycznie było ufortyfikowane i najwyraźniej gotowe do boju, bezpiecznie pozostający sobie w świeżo zdobytej Tepeace caudillo nie wysyłał go przypadkiem na bohaterską śmierć.

Nie to, żeby pan de Olid stronił od walki; bynajmniej. Przeważnie rwał się do niej i doskonale w niej odnajdywał, będąc człowiekiem nieprzeciętnej siły i zwinności w boju.

Tylko że wołał, kiedy w boju ginęli inni, samemu raczej tej ewentualności unikając.

A tutaj...

Jednak de Ordaz omiótł ten sam co oni obrazek jednym spojrzeniem i parsknął śmiechem.

– Idioci! Jak mi Bóg miły, idioci skończeni!

– Nie no, bez przesady, panie – zaperzył się de Olid. – Owszem, trochę nierozsądnie się na nich wysunęliśmy, ale...

– Że my niby? Ja o nich przecież mówię!

– Hę? – de Tapia uniósł brwi.

– No przecież... Półgłówki! Tutaj nawet walki nie będzie, z nimi już żeśmy wygrali.

– Panie, to nie pora na żarty – zawarczał de Olid, szybko próbujący wykoncypować, co zrobiłby w takiej sytuacji Cortés.

– Jakie żarty? No popatrzcie na nich tylko! – pokazał ręką de Tapia. – Przecież ustawili się trzema oddziałami, jeden z centrum, dwa na flankach... Przed murami!

– No, przed murami! – potwierdził de Olid. – I co z tego, że...  
Ooo.

– Ahaa... – przeciągnął de Ordaz.

– Przed murami się ustawili, żeby miasta bronić! Widać, że ani w oblężeniu nigdy nie byli, ani w polu się bić nie potrafią...  
Ejże, ojcze! Ano chodźcie tu do nas!

Ojciec de Aguilar, przydzielony im jako tłumacz, podszedł do kapitanów. Przeżegnał się ukradkiem, widząc rozstawiony sztyk bojowy Quechulteków.

– Synu...?

– Ojcze, skoczcie no do tamtych na jednej nodze i powiedzcie im... – zawiesił głos de Tapia, spojrzał na de Olida wymownie.

– Powiedzcie, że jeśli spróbują walczyć, to wszyscy zginą! – wypalił tamten.

– Ładnie, zwięźle. Lakonicznie wręcz.

– Tylko tyle, synu? – Duchowny zamrugnął zaskoczony.

– Tylko tyle. A jeśli was zabiją i zjedzą, to wiedzcie, że w końcu was pomścimy! – zaśmiał się de Tapia, ale od razu spoważniał, widząc minę de Aguilara. – Nie no, nic wam nie zrobią. Idźcie z nimi pogadać, ojcze. A jak się poddadzą, to obiecujcie im łaskę.

De Aguilar westchnął, przeżegnał się raz jeszcze i międląc w rękę różaniec, zaczął schodzić ze wzgórza ku Indianom.

Patrzyli, jak podchodzi do nich, zatrzymuje się i wyciąga rękę, zaczynając mówić.

Mówił, mówił i mówił, aż wreszcie skończył.

Tamci poruszyli się, z oddziałów na flankach odłączyło się kilku wodzów w pióropuszech, którzy podtruchtali do głównych sił na krótką, ale burzliwą dyskusję.

Potem z sztyku wyłamał się największy, najdostatniej ubrany, przystrojony największym pióropuszem wojownik.

Podszedł do ojca de Aguilara.

Wzniósł nad głowę kamienny miecz i wrzasnął dziko.

– Uwaga! Na mój rozkaz...! – zakrzyknął de Olid, gotów już spaść konia i popędzić na złamanie karku w dół zbocza.

A wtedy dzikus przyklęknął i położył broń u stóp przerażonego klechy.

Po nim zaś tak samo zaczęli układać broń na ziemi wszyscy inni.

De Olid zastygł tak, z ręką wzniesioną do wydania rozkazu. De Ordaz sapnął z niedowierzaniem. De Tapia zaśmiał się tylko głupowato:

– A nie mówiłem?!

Quechula należała do nich.



– Wasza miłość, pan de Olid przesyła pozdrowienia... I jeńców!

Cortés wstał od stołu, popatrzył na stojącego w wejściu Dominga Garcíę de Albuquerquego. Klasnął w ręce raz, drugi, trzeci.

– Bra-wo! – zawołał. Podszedł do zmęczonego, pokrytego pyłem drogi żołnierza, ujął go za ramiona i ucałował w oba policzki. – Brawo... Jakie straty?

– Żadnych, panie! – wyszczerzył się de Albuquerque. – Poddali się bez walki! Tam tylko garnizon został, a wszystkich mieszkańców tutaj przyprowadziłem, zgodnie z rozkazami!

– Doskonale. Doskonale po prostu! Ilu ich jest?

– O matko... Z pięć, sześć tysięcy będzie?

De Grado gwizdnął przeciągle: toż to mała fortuna sama w sobie.

– Doskonale. Oddzielić mężczyzn, a kobiety i dzieci napiętnować, tak jak całą resztę.

– Tak jest! – De Albuquerque wyprężył się słuźbiście.

Kiedy wyszedł, Cortés przeszedł się po pomieszczeniu, w końcu walnął się na swoim fotelu i położył nogi na stół. Uśmiechnął się szeroko, z zadowoleniem.

– Gładko poszło. – Spojrzał na de Grada.

– Aż ciężko uwierzyć... To co, kolejny jest ten, no...

– Izúcar. A potem te dwa kolejne, które wymieniła Marina. Jedno po drugim, przyjacielu, wybierzemy ich jak raki z saka! – zatarł ręce caudillo.

De Grado pokiwał głową, ale potem się zreflektował.

– No dobrze, kobiety i dzieci w niewolę. A co z mężczyznami?

Cortés spojrzał na niego, a jego uśmiech nie sięgnął oczu.

Kiedy opuszczali miasto tydzień później, okoliczne jary i parowy aż kłębiły się od padlinożernych ptaków.

### *Rozlewiska rzeki Zahuapan pod Tlaxcalą*

Martín López wyprostował się, założył ręce za plecy i przeciągnął się, krzywiąc się z bólu w przemęczonych członkach. Pomasował zgrubiałą od siekiery dłoń i odetchnął głęboko rześkim, pachnącym żywicą powietrzem poranka.

Słońce wstawało już pomiędzy koronami drzew, przeświecając długimi pasmami blasku wiszącą w pradawnym lesie wilgotną mgiełkę.

Ptaki napełniały swoim świergotem zielone, omszałe ostępy, barwnymi punkcikami śmigając między konarami

potężnych sosen i jesionów.

Nieodległa rzeka szemrała swoją wodną melodię, radośnie tocząc swoje wody po wystających z bysterki głazach.

López ziewnął, poczochnął włosy i ruszył ku rzece. Ochlapał twarz zimną wodą, przepłukał usta... Uśmiechnął się do siebie.

Tak, to miał być dobry dzień.

– Pobudka, panowie! – zawołał radośnie, składając dłonie przy ustach. – Wstajemy... Już poniedziałek, pora na zbożny trud!

Pozawijani w koce, poprzykrywani pledami, śpiący przy ogniskach i w zbudowanych pod drzewami szałasach ludzie poruszyli się, zamruczeli z niezadowoleniem. Któryś usiadł, przetarł twarz dłońmi i rozejrzał się niewidzącym wzrokiem. Inny od razu wstał, machnął rękami w górę i w dół, chcąc rozruszać zastane mięśnie.

– Śniadanie...? – nieśmiało zaproponował jego kuzyn, Martínez Narices.

– Potem, potem śniadanie! Dzisiaj składamy wręgi, panowie, więc od tego zaczniemy. A jak się uda, to będziemy świętować!

Nawet nie czekając na nich, López wyszedł z obozowiska i ruszył w kierunku placu budowy.

Już z daleka widział, jak na powstałej przez ostatnie dwa miesiące ich pracy przecince w lesie bieleją świeżym, równo okorowanym drewnem pościnane bale. Tam, nieco z boku, rozszczepiali je klinami na deski, docinali i strugali.

Aż przymknął oczy z lubością i znów zaczerpnął haust powietrza, tak wyraźnie niosącego woń żywicy.

Żywica.

Chyba właśnie to najbardziej kochał w swoim zawodzie.



Tak, uwielbiał obrabiać drewno, widzieć, jak kształtuje się pod jego ręką. Kochał ten moment, kiedy z niczego, z bezładnej rozsypanki kawałków, nagle wyłaniało się COŚ. Niesamowitą satysfakcję dawał mu wyraz bezbrzeżnego zdumienia na twarzach jego klientów, którzy patrzyli na ukończone dzieło i myśleli sobie: niesamowite!

Ale tak naprawdę to od zawsze, od małego, odkąd tylko sięgał pamięcią, chodziło panu Lópezowi o ten zapach.

Skręcił w bok, obchodząc plac po skraju, i celowo przeszedł przez miejsce, gdzie w niewielkie zagłębienie pomiędzy dwiema skałkami zrzucali wióry. Schylił się, zaczerpnął w dłonie strużyn, przysunął do twarzy... Ach!

– A ten swoje, patrzcie go! – zaśmiał się jeden z braci de Mafla, też idących już od strony swoich kwater. – Stara miłość nie rdzewieje, co? Szczęść Boże, panie López!

– Drewno nie rdzewieje! – odkrzyknął López, zawsze lekko zażenowany, kiedy ktoś przyłapywał go na chwili słabości.

Otrzeptał ręce, poprawił skórzany fartuch i ruszył już prosto ku warsztatom.

Powoli, stopniowo ściągali na miejsce pozostali robotnicy. Nieco z boku wrócili do swoich zadań przydzieleni im pomocnicy z Tlaxcali; ci zajmowali się prostszymi rzeczami, przenosząc z miejsca na miejsce deski, kładąc wyznaczone drzewa, odcinając gałęzie. Gdyby zapytać ich, co tutaj robią, pewnie każdy z nich wzruszyłby ramionami: jak to co? Pracują.

Ich umysłem wymykała się większa perspektywa, brakowało im dalekosiężnej wizji tego, co zamyslił sobie pan López.

– *En pleno sol, en medio del verano, entre las suaves olas de verdor, continúa el trabajo esforzado...* – zanucił pod nosem, podchodząc ku ustawionej na rusztowaniu stępce – *construyo un barco en tierra seca con fervor!*<sup>[10]</sup>

Niemalże pieszczotliwie przesunął dłonią po wygiętym drewnie, popukał w miejsca czopowań. Zgarnął kilka strużyn. Zdmuchnął jakiś nieistniejący paproch z wyciętych wpustów.

To miała być próba generalna, sprawdzian tego, na ile dobrze rozplanował i we własnej głowie spasował wszystkie elementy.

Jeśli się uda, to pan López w skrytości ducha zamierzał przyznać samemu sobie tytuł geniusza.

A jeśli nie... No cóż. Dwa miesiące pracy pójdą na marne, a oni spróbują jeszcze raz.

Do skutku.

– Do roboty, chłopcy! – zawołał, klaszcząc w dłonie. – Juan, łap się ze mną za pierwszą... Miguel, Pedro, z życiem tam! Panie Nuñez, nie stójcie tak, jakbyście jeszcze spali! W górę ją, i rrraz!

Ciekawsko wyglądające zza drzew poranne słońce patrzyło, jak zaczynają przymierzać do siebie części.

Kiedy wspięło się na najwyższy punkt swojej drogi po nieboskłonie, na nadrzecznej polanie stało już coś przypominającego objedzony z mięsa szkielet wielkiej wyrzuconej na brzeg ryby.

A gdy zaczęło chylić się ku końcowi swojej codziennej wędrówki, ponad obozowiskiem rozległ się radosny wrzask:

– Tak! Tak, mamy to... Pasują wszystkie! Bogu niech będą dzięki!

### *Tepeaca, tymczasowa kwatera wojsk Cortésa*

– Hola, panie! Pozwólcie no na chwilę!

Mijający właśnie kwaterę pana de Albuquerquego, zdążający w miejsce sobie tylko wiadome za naprawdę poważną potrzebą pan Diego de Vargas obejrzał się. Widząc

stojącego w drzwiach pana Cristóbal de Corrala, zwolnił i zatrzymał się.

– Ja? – Przyłożył dłoń do piersi.

– Wy, jako żywo... No, pozwólcie na chwilę do mnie!

De Vargas sapnął, ale posłusznie zawrócił i szybkim krokiem podszedł bliżej.

Cóż, może da radę jeszcze chwilę utrzymać to, z czym nosił się już drugi dzień.

Zanurkował w niskie, ciemne wejście.

– Czym mogę służyć? Bo rozumiecie, panie, spieszę się nieco...

– Podpiszcie tutaj, bądźcie tak dobrzy! – De Corral postukał palcem w leżącą na stole kartę.

De Vargas nachylił się nad pergaminem. Zamrugął. Popatrzył na de Corrala.

– Tutaj nic nie jest napisane – skonstatował.

– Tak, tak. Ale podpisy są, o tutaj, u dołu. Bądźcie tak dobrzy... – De Corral wetknął mu w rękę pióro.

– Uhm. Eee... Ale pod czym to podpis będzie?

De Corral też zamrugął. Popatrzył mu prosto w oczy.

– ...tak – powiedział.

– Ale ja pytałem, pod czym mam się podpisać?

– Pod tym pismem, co tu będzie. Caudillo już układa tekst.

– No ale to może lepiej będzie poczekać, aż go ułoży?

– Nie sądzicie chyba, panie de Vargas, że nasz admirał miałby napisać w nim coś, co byłoby nie po myśli miłościwie nam panującego? – De Corral zmrużył oczy.

De Vargas, który wychowywał się w raczej uboższych dzielnicach swojego miasta, miał słuch bardzo mocno wyczulony na wszelkie subtelne odcienie i półtony tego, co było mówione... Oraz co pozostało niewypowiedziane.

A tutaj pomiędzy wierszami pozornie niewinnego pytania czaiła się groźba.

De Vargasowi zaś znowu strasznie, po prostu nieznośnie zachciało się srać.

Umoczył pióro w kałamarzu, szybko nakreślił u dołu karty nieczytelny bohomaz, po czym skoczył ku drzwiom i pocwałował w kierunku wychodka.



*Kiedy przekroczyliśmy granicę Tepeaki, całe mrowie tubylców wyległo, aby z nami walczyć. Wielu zajęło dobre pozycje, aby skutecznie bronić dróg, którymi się poruszaliśmy. Inni jeszcze stanęli przeciwko nam z wszelkim orężem w ręku.*

*Aby nie opowiadać z nadmierną szczegółowością tego, co w tej walce się działo, powiem tylko tyle, że kiedy w imieniu Waszej Królewskiej Mości zażądaliśmy od nich złożenia broni, oni zaś nie usłuchali naszego wezwania, przystąpiliśmy do wojny z nimi.*

*Z pomocą Boga Wszechmogącego i przy sprzyjającej Waszej Królewskiej Mości fortunie zawsze udawało nam się ich rozgromić i zabić wielu, nie tracąc przy tym nikogo z naszych ludzi.*

*W ciągu raptem trzech tygodni spacyfikowaliśmy i podporządkowaliśmy sobie liczne miasta i wsie, których władcy wychodzili i ochoczo, z radością ogłaszali się wasalami Waszej Królewskiej Mości.*

*W pewnej części tej prowincji tubylcy byli nastawieni wyjątkowo wojowniczo, dlatego też niektórych z nich uczyniłem*

niewolnikami, z czego piątą część przekazałem urzędnikom Waszej Królewskiej Mości.

Należało tak postąpić, jako że wszyscy oni są zatwardziałymi poganami i kanibalami.

Czyniąc zaś z nich niewolników, pragnąłem zasiać wśród nieposłusznych nam Mexików strach.

Uczyliem to także dlatego, że jest ich wielka mnogość i gdybym nie nałożył na nich tak zdecydowanych środków, to nigdy by się nie poprawili.

Dlatego właśnie zapewniam Waszą Królewską Mość, że zastosowanie rzeczonych kar było nie tylko wskazane, ale też w pełni uzasadnione oraz ze wszech miar słuszne.

Co do złota, które zgodnie z powierzoną nam misją wpierw zdobyliśmy, a następnie transportowaliśmy dla Waszej Królewskiej Mości, to wszelkie dotyczące go wyliczenia zostały starannie spisane, a następnie zatwierdzone przez rajców zarówno miasta Villa Rica de la Vera Cruz, jak i nowo założonego na ziemiach Tepeaki przygranicznego miasta Segura de la Frontera.

Wszelkie złoto, jakie stanowiło własność Waszej Królewskiej Mości, z należytą starannością ułożono w skrzyniach, po czym opieczętowano i załadowano na specjalnie po temu wybrane zwierzęta juczne.

Tak przygotowany konwój następnie wyruszył z Tenochtitlán, poruszając się dla bezpieczeństwa pod osłoną nocy.

Jednakowoż tubylcy, podburzeni już wcześniej przez przybyłego na wybrzeże kapitana Pánfila de Narváeza, który bezprawnie i niesłusznie atakował naszą pozycję i wydane przez Waszą Królewską Mość pełnomocnictwa, napadli na nas w drodze i doprowadzili do tego, że znaczna część złota przepadła bezpowrotnie, ku naszemu wielkiemu frasunkowi.

*Zmuszeni zatem zostaliśmy tymczasowo opuścić piękne miasto Tenochtitlán, ogarnięte płomieniem rebelii przeciwko majestatowi i prawowitej zwierzchności Waszej Królewskiej Mości.*

*W świetle powyższego zatem, jako że za przepadek tego mienia oraz śmierć i ciężkie rany, jakie wielu dobrych żołnierzy i poddanych Waszej Królewskiej Mości poniosło podczas tych wydarzeń, odpowiadają w całości kapitan Pánfilo de Narváez oraz będący jego zwierzchnikiem gubernator wyspy Hispaniola Diego Velázquez, stosownym będzie, aby urzędnicy Waszej Królewskiej Mości nałożyli areszt i na poczet należnych odszkodowań zajęli majątki tychże Narváeza i Velázqueza znajdujące się na wyspach Hispanioli oraz Santo Domingo.*

*Jednocześnie obstajemy przy naszym zdaniu, że stosownym jest w tej chwili, aby Wasza Królewska Mość w dodatku do obfitości już używanych tytułów, zwierzchności oraz domen od tej chwili w pełni zasłużenie i za naszą pokorną sprawą mianował się również cesarzem Nowej Hiszpanii.*

Z listu caudilla Hernána Cortésa  
do Jego Królewskiej Wysokości Karola V

*Wybrzeże w pobliżu Villa Rica de la Vera Cruz*

– Ziemia na horyzoncie!

Stojący na dziobie swojego okrętu kapitan Pedro Barba przeżegnał się, pokręcił głową i przesądnie splunął przez lewe ramię.

– Nareszcie – sapnął.

Płynęli już stanowczo nazbyt długo, a samego kapitana Barbę zaczynała ta droga męczyć. Nie to, żeby nie był czegoś

pevien; wielokrotnie pływał już ku wybrzeżom Nowego Świata, znał tutejsze wody i jako tako orientował się już nawet, gdzie mogli dotrzeć tym razem.

I dobrze, bo tym razem wyjątkowo mocno mu się tęskniło do czegoś więcej.

Prawda była taka, że po początkowym okresie fascynacji, jaką wzbudził w kapitanie Barbie concept dopiero co odkrytego Nowego Świata, przyszedł czas najpierw na wprawę, potem rutynę, aż w końcu nudę.

No bo co tu było ciekawego?

Pływał w tę i we w tę.

Woził ludzi, zasoby, zaopatrzenie i broń.

Czasami pisma.

Czasem żołnierzy, jak chociażby teraz.

Ale tak naprawdę to czy było to życie odkrywcy, o jakim marzył za młodu?

No nie, zdecydowanie nie.

Inaczej pewnie patrzyli na to ci, których los postawił w innym miejscu. Którzy, metaforycznie rzecz ujmując, dostali do ręki przy rozdaniu inne karty.

Taki, dajmy na to, szlachetny pan Pánfilo de Narváez, dla którego kapitan Barba wiózł trzynastu żołnierzy, konia, klacz i kilka worków chleba z kasawy.

Sam miłościwy gubernator, jego zasrana utuczona miłość Velázquez przekazał też Barbie listy dla Narváeza, który bez wątpienia przez kilka miesięcy od swojego przybycia zdążył już opanować wszystko jak ziemia długa i szeroka, pokonać tubylców, samemu zaś niepomiernie się wzbogacić.

A biedne żuczki, takie jak kapitan Pedro Barba, mogły patrzeć na jego tryumf z daleka i co najwyżej w skrytości ducha sobie pomarzyć.

I w sumie ucieszył się, widząc, jak od strony przybrzeżnych zabudowań lokalnej faktorii handlowej odbija w ich stronę inny statek.

– I dobrze – mruknął Barba. – Ostatnie, na co miałbym ochotę...

Skłonny do skrótów myślowych, pan kapitan Barba myślał tutaj, rzecz jasna, o stawianiu nogi na ziemi Nowego Świata.

Oczywiście, nie było to do końca prawdą: tak naprawdę to nie marzył o niczym innym jak o postawieniu tam nogi. Albo dwóch. Albo wyprawieniu się pod broń w głąb lądu, żeby tam gromić dzikusów, odbierać im złoto i zwiedzać tajemnicze, pełne skarbów świątynie.

Natomiast, jak to się mawiało: nie dla psa kiełbasa, nie dla śmiecia, a dla pana to.

Tak rozmyślając nad marnością i nikczemnością własnego życia oraz niesprawiedliwością zaszczytów, które spadały na innych, pan kapitan Pedro Barba zbliżył się ze swoją jednostką do płynącego im na powitanie statku.

– Pochwalony! – doniosło się wołanie.

– I na wieki wieków! – odkrzyknął Barba, machając zdjętym z głowy kapeluszem. – Kogo wiatry dobre niosą?!

– Juan Caballero, admirał na służbie Korony Kastylii! Z kim mówię?!

– Pedro Barba, kapitan pod banderą gubernatora pięknej wyspy Hispanioli! Bogu dzięki, prosto na was trafiliśmy! Zaopatrzenie wieziemy!

– I my się cieszymy! Zrzućcie żagle, dobijemy do was.

– Żagle zrzuć! – zakomenderował Barba, przechodząc ku burcie, aby, jak nakazywał obyczaj, w połowie długości przerzuconego pomiędzy jednostkami trapu przywitać dowódcę bratniej jednostki.



Statki zaszorowały o siebie burtami, ludzie przerzucili i szybko zaknagowali cumy. Dwaj kapitanowie weszli na pomost, podali sobie prawice.

– Pedro Barba, kapitan, jako się rzekło.

– Witamy w Nowej Hiszpanii! Juan Caballero, pełniący rolę admirala... Ha, admirała! – roześmiał się Caballero, pokazując na swój statek. – Jedna krypa raptem.

– No co zrobić? Każdy z nas ma swoje rozkazy, pozory zachowywać trzeba.

– Co wieziecie, kapitanie?

– Ano żołnierzy mam... – Barba pokazał kciukiem za siebie, gdzie tuzin wojaków stał niezobowiązująco z kuszami, pikami i arkebuzami, na wypadek gdyby całość miała okazać się zasadzką. – I konie dwa, i pisma... Szukam, dobry panie admirała, niejakiego Pánfila de Narváeza.

– Narváeza? A jużci, toście dobrze trafili! – rozpromienił się Caballero. – Znamy się z nim, a jakże! Gości u nas, na wybrzeżu tutaj...

– Ha, to się złożyło! I co, może wiecie, jak mu się wiedzie z tym zdrajcą Cortesuńciem?

– A jak nie wiem, jak wiem... Ale to tak na desce rozmawiać będziemy? Chodźcie do nas, panie kapitanie! Odpocznijcie po podróży, zapraszamy!

– A tam dalej wody jakie, nie płytkie za bardzo? – Barba wyciągnął szyję.

– No, do samego portu nie wiem, czy wejdziecie... Ale szalupy mamy dwie, załadujcie na nie żołnierzy. Konie u nas się zmieszczą, towar wam pomożemy przerzucić. No to jak?

– Nie wiem...

– Wino mamy dobre. I służki miejscowe, co je podać potrafią... Nawet do łóżka. – Caballero puścił oko.

– Hm, hmmm. No skoro zapraszacie...

– Żywo, pomóżcie no z towarem! – zakrzyknął Caballero na swoich. – Prosimy do nas, panowie żołnierze, prosimy gorąco. Tutaj dwie łodzie macie... Pancerze i broń tutaj zrzućcie, na dziobie, obok tej plandeki starej i brudnej. To co tam dobrego na Hispanioli, panie kapitanie?

– A nic. – Barba machnął ręką. – Ospa już się uspokoiła, chociaż siła dzikich pomarło.

– O, patrzcie. A u nas tutaj co drugi chory. Kaszlą, chrychają, srają pod siebie, mrą jak muchy... Słabi coś!

– Nieprzywykli pewnie.

– No, jak człowiek umrze raz i drugi, to od razu odporności nabiera! – zarechotał Caballero. – He, he! Żartowniś z was, panie kapitanie, nie ma co! I mówicie, że Narváeza szukacie, tak?

– Jako żywo. Jak mu się tutaj, w Nowym Świecie, powodzi? Bo ja ludzi jego wiozłem jeszcze te pół roku temu, wiecie?

– Tak? No proszę, proszę... A świetnie u niego, doskonale! Dawno już tego psa parszywego Cortésa pobili i przegnali!

– O, a to ci nowina!

– A jakże! Bitwa była sroga, całą noc się tłukli w Cempoalanie. Cortés z ludźmi na piramidę się wspiął, próbowali się bronić...

Któryś z ludzi parsknął śmiechem, ale inny szturchnął go w bok, syknął wściekle. Caballero spiorunował ich wzrokiem.

– De Silva! Co się śmiejecie jak głupi do sera?!

– A nic, panie admirale, nic... Tak mi się tylko coś zabawnego przypomniało.

– Ruszajcie się, zwawo! Na czym to ja... A, że bitwa z Cortésem. No i dość powiedzieć, że caudillo, Cortés to jest, raptem z dwudziestoma ludźmi uszedł i w górach się ukrywają, jak zbiegowie jacyś albo bandyci.

– Podobno się obsrał, jak uciekał! – zupełnie ni w pięć, ni w dziewięć rzucił jakiś marynarz.

Kilku ludzi wybuchło śmiechem. Twarz admirała Caballera wykrzywiła się jakimś dziwnym skurczem, ale po chwili odetchnął głęboko, uspokoił się.

– A sam Narváez? – z pewną nutką zawiści zapytał Barba.

– Świetnie! Powodzi mu się dobrze, bogaci się ponad miarę, sam się w uprawie roli rozmiłował, która tutaj niezmiernie urodzajna jest, dobrze użyźniona... De Silva, co ja wam, do diaska, powiedziałem?! Za szczotkę się bierzcie i szorujcie pokład, ale to już! To co, kapitanie, wszystko mamy?

– Wszystko! – stwierdził Barba z zadowoleniem.

– Odcumowywać zatem! Szalupy spuścić, weźmiemy was, panowie żołnierze, na hol... Linę tylko solidnie przywiążcie, bo wody tutaj niespokojne, ryb w nich pełno żarłocznych. He, he, he...

Odbili od statku pana Barby i zaczęli płynąć ku brzegowi, ciągnąc dwie szalupy pełne żołnierzy na holu.

– I mówicie, panie, że dobrze wam tutaj, w Nowym Świecie? – westchnął cokolwiek nostalgicznie Barba.

– Lepiej być nie może! Tylko uważać trzeba, tak jak mówię, bo ryby tutaj wielce drapieżne są. Uwierzcie mi albo nie, panie, ale jak się kiedyś nasz ukochany kapitan Pánfilo de Narváez kąpał w morzu, to... – Admirał Caballero nagle pokraśniał, schował twarz w dłoniach.

– Co się stało, panie? – zaniepokoił się Barba.

– Nic – pisnął Caballero. – Zupełnie nic, tylko... phfhfff... ehhh...

– Źle się poczuliście?

– Nie, tylko... Ciężko mi o tym mówić... ale... – Ramiona Caballera zadrgały, wstrząsane jakimiś dziwnymi spazmami. –

Ale jak się kapitan Narváez kąpał... to mu jedna taka zębata ryba... phhfff...

– Aaaahaha! – nagle wybuchnął śmiechem, szorując zawzięcie pokład, de Silva. – Nie no, nie mogę... Aahahaha! Haaa! Ahahaha, hehe!

– Haaaa, he, ha! Hiii, hihi! – zarechotał inny marynarz.

– Buuuahaha! – zgiął się wpół admirał Caballero.

– Uahaha!

Kapitan Barba patrzył z przerażeniem, jak jego kolega, admirał Caballero, osuwa się na kolana, wstrząsany istną febrą śmiechu. Chciał się odsunąć, przerażony, ale Caballero złapał go za poję dubletu, podniósł czerwoną, zalaną łzami twarz.

– Odgryzła mu... odgryzła... – zajęczał. – Odgryzła mu kutasa! Aaaahahah!

– Haaahahahaha! – zarechotał trzymający ster człowiek.

– Eehehe! Hoho! – zaśmiał się któryś z wioślarzy.

– Eehehe! Ooohohoho, hahahhaaaa... oooaaahaha! – zatrzęsała się stara i brudna plandeka na dziobie.

Kapitan Barba zrobił wielkie oczy.

Podszedł do niej, ujął za róg i podniósł.

A pod plandeką, przy której przywiezieni przezeń żołnierze zrzucili całą swoją broń, zwijali się i niemalże dusili ze śmiechu ukryci tam do tej pory ludzie, uzbrojeni w tasaki, noże i kusze.

– Admirale, ale ja nie... – zaczął Barba, odwracając się do Caballera.

Odwrócił się i zamarł, bo jego kolega stał dokładnie o długość ramienia i szpady od niego.

– Kapitanie Barba... – Caballero pociągnął nosem, ocierając wierzchem dłoni łzę rozbawienia z policzka. – Obawiam się, że... ehehehe, hehe. Och... Jesteście waszmość jeńcem mojego zwierchnika, caudilla Hernána Cortésa.

I w tym momencie kapitan Barba zrozumiał, że trzeba uważać, o czym się marzy.

### *Tepeaca, tydzień męczącej drogi później*

– Dobry panie kapitanie Barba! – Caudillo Hernán Cortés wstał ze swojego miejsca, rozkładając kordialnie ręce, jakby spotkał dawno niewidzianego, serdecznego i bliskiego przyjaciela. – Ileż lat, ile zim... Witajcie w Nowej Hiszpanii!

Kapitan Pedro Barba zrobił wielkie oczy i otworzył ze zdumienia usta, ale miał na tyle przytomności umysłu i instynktu samozachowawczego, żeby skłonić się nisko i wydukać:

– Najmiłościwszy panie... Jesteśmy na waszej łasce, ja i moja załoga. Błagam was o zmiłowanie, jeśli nie dla mnie, to przynajmniej...

– Nonsens! Jakie zmiłowanie znowu? Jakże się cieszę, że was widzę!

Cortés objął osłupiałego kapitana, uściskał, poklepał po plecach. Potrząsnął za ramiona, gestem zaprosił do stołu.

– Co z resztą ludzi? – rzeczowo zapytał de Sandoval. – Przynieśli też żagle, ster i busolę z okrętu.

– Ludzi nakarmić, traktować jak gości! Panie kapitanie Barba... Witam, witam raz jeszcze! – Cortés przysiadł się po przekątnej stołu do Barby, złapał za dzban i napełnił im kubki. – Co u was, jak tam?

Zakurzony od podróży, zmęczony, niewyspany i śmiertelnie przerażony Barba spojrzał na niego, nie śmiejąc nawet wziąć naczynia w ręce.

– Bywało lepiej – bąknął.

– Wybaczcie nam warunki, w których do mnie przybywacie, ale rozumiecie, czas wojenny... Ile to myśmy się nie widzieli, drogi Pedro? Ze cztery lata będą?

– Pięć raczej. Ostatnio chyba w Hawanie jakoś – bąknął kapitan Barba, desperacko próbujący połączyć w jedno widzianą twarz, nazwisko i wydarzenia ze swojego życia.

– Prawda! To co, za spotkanie? No, nie wstydźcie się! To co prawda *pulque*, paskudne na pierwszy łyk, ale potem się przywyka. Do dna, za spotkanie!

– Za spotkanie – powiedział nieco ośmielony Barba i faktycznie opróżnił kubek w trzech łykach. Skrzywił się, czknął, mlasnął z pewnym obrzydzeniem, ale twardo się uśmiechnął. – Nawet nieźle...

– Mówiłem, że można przywyknąć! Tutaj skromnie żyjemy, ale przynajmniej uczciwie, szerząc świętą wiarę chrześcijańską... I cieszę się, że was widzę, stary towarzyszu! Doniesiono mi już, że...

Barba skulił się.

– Miałem rozkazy. Ja tylko wożę rzeczy – pisnął.

– ...że z własnej woli zgodziliście się wspomóc zbożny cel naszej wyprawy i nie próbowaliście niepotrzebnie upierać się po stronie tego zdrajcy i buntownika Narváeza! Przecież przybyliście tutaj z własnej woli, na swoich nogach, bez więzów na rękach. Tak?

Cortés ponownie napełnił kubki.

Barba wspomniął na drogę, na eskortujących ich, wymalowanych w dziwaczne barwy, gotowych w każdej chwili rzucić się na nich, zabić i pożreć tubylców.

– W sumie tak...

– No więc sami widzicie! A nam się każda para rąk tutaj przyda. Co byście powiedzieli, panie kapitanie, na objęcie dowództwa nad jednym z moich oddziałów?

Barba zachłysnął się, opluł i oblał *pulque*.

– Co? – wykrztusił.

– Och, nie boczcie się, zastanówcie się chociaż! Wiem, że to na pewno mniej, niż się spodziewaliście, ale może spróbujemy? Dam wam pod komendę dwie dziesiątki kuszników i godny żołd oficerski. Na okres próbny, powiedzmy... Trzy miesiące? Żołd wypłacę wam z góry.

Barba zamrugał, czując nagle, jak jego twarz sama rozciąga się w szerokim, pełnym isticie dziecinnej radości uśmiechu.

Zaczerpnął głęboko tchu, czując się jak sześciolatek dostający właśnie od wujka, o którego istnieniu nie miał nawet pojęcia, prezent niespodziankę.

– Na okres próbny – zgodził się.

### *Segura de la Frontera, Tepeaca – wczesna zima 1520 roku*

– Trzynastu ludzi od Barby, nadto dwa konie i trochę zapasów. Do tego ośmiu żołnierzy, sześciu kuszników i kolejna klacz od Morejóna – wyliczał na palcach Cortés. – Sznury na nowe cięciwy dopisaliście?

– Tak, panie – mruknął majordomus de Cáceres.

– Dobrze. Dalej przy płynął... de Aux?

– Diego de Camargo – poprawił caudilla de Grado.

– A, faktycznie! Ilu ich było, setka?

– Sześćdziesięciu dotarło, reszta została chora na wybrzeżu.

– I co, siedzą tam beczynn timer? – Cortés zmarszczył brwi. – Nie do pomysłenia. Ja w ich wieku nie chorowałem... Tak czy inaczej, z nimi też konie i działa.

– Sześć i siedem odpowiednio – dorzucił de Cáceres, pieczołowicie skrobiący swoje gryzmoły w księgach rozliczeniowych ekspedycji.

– I potem Miguel Díez de Aux.

– Cholerni Aragończycy! – warknął przysłuchujący się wyliczance de Alvarado.

– Pedro, proszę cię... Teraz to nasi bezcenni sprzymierzeńcy i towarzysze broni! Poza tym znamy się z Díezem de Auxem jeszcze z Hispanioli, a jego pół setki ludzi i siedem koni to więcej, niż mogliśmy się spodziewać.

– Wasza miłość to ze wszystkimi się zna – pół na pół zjadliwie i z podziwem mruknął de Alvarado.

– Francisco Ramírez, czterdziestu ludzi, dziesięć koni i kusze – monotonnym głosem odczytywał zapiski de Cáceres. – Dalej mam tutaj pana Juana de Salamancę.

– Zgadza się, broń przywieźli – potwierdził de Grado.

– I na końcu...

– I na końcu nasz dobry przyjaciel pan Juan de Burgos. – Caudillo skłonił się przed siedzącym wraz z nimi świeżo przybyłym kapitanem. – Któremu jestem wdzięczny osobiście za gotowość, oddanie naszej sprawie i pisma, które przywiózł mi od moich przyjaciół i mojego drogiego ojca, niech go Bóg w zdrowiu zachowa.

– Nie wspominając o muszkietach, kuszach, prochu, kulach i bełtach – wyszczerzył się de Burgos.

– Otóż to! A więc, panie de Cáceres? Jaką mamy sumę?

Majordomus przerachował, zsumował. Nabazgrał coś na marginesie karty.

Policzył raz jeszcze, bezgłośnie poruszając ustami. Dla pewności podliczył trzeci raz, od dołu.

– Przybyło nam od lata dwie setki z okładem ludzi.

– Mało coś... – De Alvarado wyduł usta.



– Ile koni?

– Czterdzieści osiem, panie.

– Ha! – Cortés klasnął w dłonie. – I to jest to, panowie bracia! Widzicie, jak nas fortuna za wytrwałość pięknie nagradza?!

– Przypominam, że czekamy jeszcze na powrót ekspedycji panów de Ávila i de Solís, którym wasza miłość kazał udać się odpowiednio na Hispaniołę i Jamajkę – przypomniał de Cáceres.

– Tak, na tyle mnie jeszcze pamięć nie zawodzi, dziękuję wam bardzo – zaśmiał się caudillo.

– Gdyby zaczęła, to polecam się łaskawej uwadze. – De Cáceres skrzywił się w cierpkim uśmiechu.

– Doskonale, doskonale. Jakie wieści z Tlaxcali, jak postępują prace pana Lópeza?

– Nic nowego, odkąd wasza miłość ostatnio pytał tydzień temu.

– Dobrze, trudno. Czekaliśmy tyle, poczekamy jeszcze trochę, a w międzyczasie... Gonzalo!

– Co rozkażecie, panie? – De Sandoval podniósł się ze swojego miejsca.

– Weźmiesz... A, niech stracę! – zaśmiał się caudillo. – Weźmiesz dwustu piechurów, tuzin kuszników i dwie dziesiątki konnych. Ruszysz z nimi na północ, tam, gdzieśmy szli rok temu obok Tlaxcali. Są tam dwa miasta, Zautla i bodajże Xalacingo.

– Są. Ma ich nie być? – uśmiechnął się ponuro de Sandoval.

– Och, bez przesady, mój waleczny Gonzalo. Naucz dzikusów moresu, przegoń stamtąd garnizony Mexików. Przypomnij im, że są poddanymi naszego króla, Jego Wysokości Karola.

– I zobacz, czy gdzieś tam nie znajdziesz przypadkiem uprzęży po moim koniu! – podniósł rękę pan de Olid.

– O, to, to! – potwierdził Cortés. – A jeśli ją znajdziesz, to pokłoń się od nas tamtejszym dzikusom w pas, podziękuj pięknie za gościnę, jaką nas wtedy uraczyli.

De Sandoval skłonił się nisko.

Dwie setki ludzi, dwanaście kusz, dwie dziesiątki koni.

To były bez mała takie siły, jakimi dysponowała na początku cała wyprawa!

– Odplacę im zawiązką, tego możecie być pewni – warknął, unosząc głowę dumnie, wysoko.

– Doskonale. A tymczasem my, mości panowie, przeniesiemy się na razie do Tlaxcali. Tam zobaczymy, jakimi siłami uraczy nas Maxixcatzin.

– Ahem... – odchrząknął de Cáceres. – Przypominam waszej miłości, że dostaliśmy miesiąc temu wiadomość o jego śmierci. – Ach. No tak, rzeczywiście. Mrą ci Indianie jak muchy... No więc zobaczymy, ilu wojowników da nam Tlaxcala. Odprawimy, jak należy, święta Narodzenia Pańskiego. Poczekamy, aż wróci kapitan de Sandoval, a potem...

– Tenochtitlán – szepnęła siedząca pod ścianą Malintzin.

– Tenochtitlán!

---

**10** W pełnym słońcu, w środku lata, wśród łagodnych fal zieleni wre zapamiętała praca – stawiam łódź na suchej ziemi!



## Rozdział 13

### *Tenochtitlán*

**K**iedy w dniu Dziesięć zimowego miesiąca Xochitl oczy wysoce wyniesionej Quetzepoki zamknęły się wreszcie, a spomiędzy jej spękanych warg uleciało ostatnie, udęczone tchnienie, unosząc wraz ze sobą duszę ku mrocznemu królestwu Mictlānu, przy jej posłaniu nie było nikogo.

Żadna z jej tak drogich i cenionych przyjaciółek nie przybyła na wieść o tym, że nobliwa wdowa po Moyolechuanim, wysoce wyniesionym zarządcy skarbcza najwyższego króla, zległa bez sił, złożona tajemniczą chorobą.

Nikt nie odpowiedział na pisma, które Quetzepoka kazała zapobiegliwie rozesłać po znajomych, instruując ich dokładnie, jak powinni się zachowywać i w jaki sposób na pewno unikną

dotknięcia karzącą ręką bogów, którzy z jakiegoś powodu odwrócili się od Mexików.

Nie było przy wezglowiu posłania wielce wyniesionej ani jej dwóch synów, ani córki.

Nie przybył jej brat.

Nawet ta stara żmija jej wredna sąsiadka Ehepotlani nie przyszła, aby napawać się nieszczęściem Quetzepoki.

Służba nie czuwała przy boku swojej pani, ocierając jej pot z czoła i pojąc niewielkimi łyżkami odżywczego wywaru z mięsa i owoców.

Nie znalazł się nikt, kto recytowałby chorej wiersze jej ukochanego Yoliyamanitzna.

Nawet jej ulubiony służący ubrany w szaty białego człowieka przepadł gdzieś i nie pojawił się więcej.

Dom w ogóle był pusty i milczący, jak wymarły.

A przecież Quetzepoka wielokrotnie wołała słabnącym głosem, przyzywając do siebie zarządcę posiadłości... Ten zaś nie odpowiadał.

Dlatego też leżała tak pod przeпоconym pledem, wielka pani w równie wielkiej i bogatej posiadłości, czekając, aż ktoś sobie o niej przypomni i przyjdzie.

Nikt sobie nie przypomniał. Nikt nie przyszedł.

Ani wtedy, gdy jej koniec się zbliżał – ani potem.

Dom był wielki i pusty.

Wymarły.



– Wyruszyli.

Zahred raz jeszcze przeciągnął kamieniem po długim miedzianym grocie do włóczni. Zerknął na Itzlego, który stał wyczekująco w wejściu do warsztatów.

– Jak należało się spodziewać – mruknął, krytycznie oglądając świeżo odlane i przekute żeleźce, gotowe, aby zamontować je na solidnym drzewcu. – Kiedy zatem biały wódz Cortés opuścił Tlaxcalę?

– Wyśłannicy Itzlego mówią, że wyruszywszy bez zwłoki, szli trzy dni i noce bez przerwy.

– Mamy zatem tydzień. Czy Xicotencatl poradzi sobie sam?

Młody wódz podniósł upstrzoną paskudnymi śladami po ospie twarz i kiwnął głową, odkładając na bok młotek.

– Xicotencatl może być słaby – wycedził nie bez trudu, bo gardło jeszcze go nie słuchało – ale jego serce bije mocno. Jego ręce rwą się do zabijania najeźdźców.

– Niech oszczędza siły. Jeden wojownik nie odmieni losów bitwy, ale już jeden zbrojmistrz może nimi porządnie zachwiać.

– Xahuatl odmieni losy bitwy. Magiczna broń białych najeźdźców nie ima się go, muchy leczą jego rany. Kiedy jest z nami Huēi Tlahtoāni, słońce świeci wysoko ponad Tenochtitlán. Z nami słońce!

– Z nami słońce! – nierównym chórem powtórzyli pracujący w warsztacie rzemieślnicy.

Zahred nie mógł powstrzymać uśmiechu, który zagrał mu na ustach.

Ci ludzie byli po prostu niesamowici.

Ledwo trzymali się na nogach, wciąż słabi po przebytej ospie. Błdzi, wychudzeni. Cali pokryci potwornymi, szpecącymi bliznami. Co chwila zanoszący się głuchym, dychawicznym kaszlem.

A jednak byli tutaj.

Kiedy kilka tygodni temu otworzył warsztaty przy zbrojowni i zaczął budować piec, żeby móc eksperymentować z przetopieniem części narzędzi i ozdób na broń, nie było tu nikogo.

Przez wiele długich dni pracował sam, robiąc tyle, ile mógł.

Potem przyszedł pierwszy rzemieślnik.

Zjawił się pomocnik.

Stopniowo dołączyli do nich kolejni.

W końcu przyczłapał trzymający się ścian, jeszcze ledwie patrzący na oczy Xicotencatl, który dopiero co zwlókł się z niedoszętego łoża śmierci.

Ospa zebrała w mieście potworne żniwo, łamiąc ciała Mexików niczym wyschnięte trzciny.

Ale Zahred zaczynał wierzyć, że ducha tych ludzi złamać się po prostu nie da.

– Niech pracują zatem – rzekł starszemu majstrowi. – Teraz liczy się każdy grot włóczni, każde żeleźce topora... Niech Itzli mówi: co mu wiadomo?

Władca Domu Szeptów skłonił się, kiedy Huēi Tlahtoāni przeszedł obok, a potem podążył za nim, utrzymując pół kroku dystansu dla zachowania szacunku i pozorów.

– Niewiele. Po tym, jak armia najeźdźców wróciła do Tlaxcali, spędzili tam dwa tygodnie. Biały wódz Cortés kazał odprawić wielkie czary, szamani białych śpiewali i palili kadzidło.

– Boże Narodzenie.

– Bogowie białych rodzą się, jak zwykli ludzie? – Itzli uniósł brew.

– Rodzą się, krwawią i można ich nawet zabić. Problem w tym, że potrafią powrócić z za grobu. Ech... – Zahred westchnął, patrząc na zdobiące wnętrze dłoni krwawe ślady po odciskach.

Itzli spuścił tylko wzrok, nie pytając.

Wiedział, domyślał się, że podczas nieobecności najwyższego króla w mieście ten musiał dobić z bogami jakiegoś targu – a będąc człowiekiem obdarzonym przez tychże zmysłem obserwacji, mógł się domyślać, jaka była cena.

Jednak martwiło go to o wiele mniej niż samego Huēi Tlahtoāni.

– Bogowie dali, bogowie odebrali. Jeśli taka była ich wola, to Xahuatl stąpa właściwą ścieżką – rzucił w przestrzeń, patrząc ku szczytom piramid świątynnych.

Zahred otwierał już usta, żeby coś odpowiedzieć, ale zrezygnował.

– Ilu ludzi mają biali? – warknął.

Itzli przez chwilę mełł jakąś myśl, poruszając ustami. W końcu spojrzał na Xahuatla z ukosa.

– Zbyt wielu.



Caudillo Hernán Cortés podniósł się w strzemionach i obejrzał na powoli schodzącą ze szczytu wzgórza armię.

Wijący się na wąskiej górskiej ścieżce ludzki wąż mienił się wszystkimi kolorami tęczy, połyskiwał lśniąco w promieniach porannego słońca łuskami pancerzy i ostrymi szponami włócznie, pik i rohatyn, kołyszących się ponad głowami maszerujących w równych kompaniach żołnierzy.

Osiemdziesięciu kuszników i arkebuzerów. Cztery dziesiątki koni. Dziewięć śmigownic. W sumie pół tysiąca ludzi w dziewięciu zgranych, karnych kompaniach.

I do tego, lekką ręką licząc, dziesięć tysięcy Tlaxcalteków.

– Pięknie to wygląda! – zawołał jadący obok caudilla de Alvarado, pokazując w kierunku widocznego już z tego miejsca Tenochtitlán. – Tylko patrzeć, jak wjedziemy tam w paradnym szyku!

– Nie chwał dnia przed zachodem słońca, Pedro.

– Co? Wolne żarty, panie! Te dzikusy nie śmieją stawić nam czoła przy takiej sile!

– Nie doceniasz ich. Nie wiesz, ilu mogą mieć ludzi, do czego mogą się posunąć.

– Cokolwiek zrobią, nic nie...!

– Nie masz pojęcia, do czego zdolny jest ten diabeł Zahred. De Alvarado zamilkł, jakby język połknął.



– Niech wojownicy zbiorą się na wyznaczonych placach! Niech każdy, kto może utrzymać broń, będzie gotowy! Niech ziarno będzie odmierzane co do jednej garści! Niech...

Zahred zawiesił głos.

Zamrugnął, patrząc na swoich Kastylijczyków stojących w jednym z wejść do sali.

Przyszli w pełnym uzbrojeniu, w pancerzach i z bronią. Niektórzy mieli pozawieszane przy pancerzach mexickie ozdoby albo wetknięte we włosy pióra. Duża część wymalowała twarze w barwy wojenne.

I każdy z nich nosił gdzieś na kawałku pancerza albo doczepioną do włóczni wstęgę z włókien agawy z wypisanym jego imieniem.

Nie mogli wiedzieć, co oznaczają te symbole – a mimo to widzieli, jak kreśli je on.



– Panie kapitanie... – zaczął de Monroy.

– Huēi Tlahtoāni – wpadł mu w słowo Rodrigo, mówiąc łamanym *nahuatl*. – Wojownicy Xahuatla pragną walki. Wojownicy Xahuatla stoją razem z Xahuatlem przeciwko białym najeźdźcom.

– *El sol está con nosotros!* Z nami słońce, panie kapitanie! – zakrzyknął Gutierrez.

– Z nami słońce! – podłapali inni.

– Przyjdzie i na to pora. Chcecie pomóc? – zapytał ich Zahred. – Dopilnujcie, żeby prace przebiegały jak należy. Wiecie, jak mogą atakować, więc myślcie jak oni! Musimy być gotowi na wszystko!

– O Najwyższy, biali najeźdźcy idą w kierunku na Texcoco – odezwał się Itzli, który właśnie zjawiał się w sali narad Pałacu Białych Trzcin.

– Niech Itzli wyśle posłów do Tzintzuntzan. Niech da im bogate dary i wiele piór quetzala.

– Ostatnio odprawili ich z niczym.

– Ale może lud Purépecha osłabł w swoim uporze! Może zdecyduje się stanąć po stronie Mexików! – Zahred uderzył pięścią w podłokietnik złotego tronu. – Teraz nie czas na wątpliwości!

Itzli skłonił się nisko, aby skryć grymas niezadowolenia.

– Cokolwiek tylko najwyższy król rozkaże.

– Xicotencatl!

– Xahuatl...! – odezwał się młody wódz.

– Niech Xicotencatl weźmie wojowników z Tlaxcali i pilnuje podejścia pod groblę od strony Texcoco. Biali mogą próbować przejść tamtędy.

– Zginą wszyscy, a ich kości użyzną pływające ogrody! – zaśmiał się Tlaxcaltek.

Zahred uśmiechnął się i skinął, ale jego oczy pozostały zimne i niewzruszone: wiedział, że nic nie będzie aż tak proste.

– A co z samym Texcoco, o Najwyższy? – znacząco zapytał Itzli. – Wysoce wyniosły *tlahtoāni* Coanacochtzin może potrzebować...

– ...pomocy garnizonu Meksyków? – Zahred uniósł brew.

– Ahem... Najwyższy król sam wie najlepiej, co i jak uczynić, zaś jego pokorny sługa nie śmiałby narzucać mu swojego zdania.

Zahred po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się, autentycznie rozbawiony. Podrapał za uszami siedzącego przy tronie Kefrena.

– Ale...?

– Itzli uważa jednak, że prawdziwa odwaga najlepiej rozkwita na żyznej glebie bezpieczeństwa i siły.

Zasiadający z nimi w Domu Węża członkowie Najwyższej Rady przysłuchiwali się z dużym zainteresowaniem i pewnym onieśmieleniem temu dialogowi.

Fakt, mało kto z nich pamiętał jeszcze czasy Montezumy, bo starszych i bardziej doświadczonych zabrały najpierw wojny, a potem zaraza; jednak nadal sytuacja, gdy ktoś ośmielał się z Huēi Tlahtoāni dyskutować, była... no cóż, co najmniej kuriozalna.

A jeszcze dziwniejszym jawiło im się to, że najwyższy król zdawał się faktycznie brać usłyszane do siebie.

Mało tego – rzadko, ale mimo wszystko, zdarzało mu się otwarcie przyznać komuś rację i zmienić raz powziętą decyzję!

– Xahuatl rozumie. Czy coś konkretnego skłoniło Itzlego do tak głębokich przemyśleń, czy też wynikają one wyłącznie z jego życiowego doświadczenia i ciężaru naszyjnika lat?

Władca Domu Szeptów uśmiechnął się nieszczercze.

– Najwyższy, jest szereg znaków, które... – zrobił w powietrzu nieokreślony gest ręką.

– Xahuatl rozumie. Niech w przyszłości Itzli mówi: „informacja operacyjna”.

Itzli skłonił się, w myślach dodając kolejne określenie do całej listy dziwacznie brzmiących słów, takich jak „paradygmat”, „narracja”, „zaopatrzenie”, „implikować” i „absurdalny”.

– Wojownicy Jaguara są gotowi – warknął Nochehuatl, niemający pojęcia o polityce i planowaniu strategicznym, ale niczym zwierzę doskonale umiejący odczytywać nastroje swojego pana.

– Dobrze, i niech tacy pozostaną. Niech zatem Netecatli i jego wojownicy...

– Najwyższy, Netecatli nie poprowadzi już wojowników. Ubiegłej nocy zabrali go do siebie bogowie – wtrącił Itzli.

Zahred zamilkł, odetchnął głęboko.

Czasami zdarzało mu się na chwilę, na najkrótsze mgnienie oka pozwolić się uwieść przepychowi i ceremoniałowi Pałacu Białych Trzcin. Ograniczyć do tego, co widział i co mu mówiono. Pozwolić, żeby sprzężenie zwrotne z pysznym ceremoniałem i starannie dobieranymi słowami uśpiło jego czujność.

Zapomnieć, jaka faktycznie była ich sytuacja.

A prawda była taka, że już nawet w tej chwili położone na sztucznie usypanej wyspie pośrodku jeziora Tenochtitlán było powoli tonącym wrakiem.

Dostawy żywności z wybrzeża ustały jeszcze późnym latem, kiedy Cortés odciął ich szlaki zaopatrzenia i przekabacił na swoją stronę pomniejsze miasta-państwa.

Trybut dostarczany z zachodu i północy przychodził w najlepszym razie nieregularnie, a przeważnie trzeba było

wysłać po niego zbrojne oddziały poborców.

Co rusz docierały wieści o kolejnych wasalach, którzy bez zrozumienia faktycznej treści i intencji składali obietnice na wierność nigdy niewidzianemu na oczy królowi Kastylii, radośnie przechodząc na stronę wroga.

„Wroga”.

Dziesięciolecie prowadzenia bezlitosnej, imperialistycznej polityki twardej ręki odbijały się teraz potężnemu Tenochtitlán bolesną czkawką. To, co słyszał pierwszy raz prawie dwa lata temu w Zautli, a co niedługo potem potwierdziło się w Tlaxcali, było do szpiku kości prawdziwe.

Ani Mexików, ani Tenochtitlán nikt tutaj nie kochał. Ba, mało tego! Nikt nie życzył im nawet dobrze.

Tak długo, jak Imperium Słońca było silne, wszyscy pokornie znosili narzucone przezeń jarzmo obowiązków, danin i wierności. Jednak gdy tylko okazało się, że można je bezkarnie strząsnąć, a potem jeszcze odpłacić ciemieżcom pięknym za nadobne...

No i na domiar wszystkiego pojawiła się jeszcze zaraza.

Teraz gdy ospa minimalnie już osłabła i wycofała się, miasto ogólnie wracało do życia. Wcześniej, późną jesienią... Bardziej przypominało grobowiec, wypełniony już zmarłymi i tymi, którzy mieli wkrótce do nich dołączyć. Przecież w niektórych dzielnicach nadal stały jeszcze domy z zamurowanymi oknami i drzwiami, aż po dachy wypełnione gnijącymi ciałami ofiar zarazy! Zahred kazał przysypać je gruzami i ziemią, a potem wapnem, ale nie miał wątpliwości, że z czasem trzeba będzie jakoś te rozsadniki zarazy otworzyć, wyczyścić... Coś z nimi zrobić.

On jednak bardziej niż o zmarłych myślał o żywych. Poznaczeni śladami po krostach, wychudzeni, słabi i niedożywieni, jego Mexikowie byli cieniami dawnych siebie.

Choroba zakłóciła cały cykl zbiorów, więc tego roku zebranej kukurydzy było o wiele mniej. Poza tym, gdy chorowały kobiety, nie było komu mleć ziarna na mąkę i lepić placków! A mocno hierarchiczni i wręcz spętani powagą tradycji Mexikowie woleli głodować, niż imać się nie swojego zajęcia.

Wystarczyło kilka miesięcy w szponach zarazy, żeby doskonale ustawiony mechanizm Imperium Słońca zazgrzytał i posypał się.

A teraz wracał ku nim Cortés, niosąc ogień i miecz.

– Wojna, Zaraza, Głód... A teraz jeszcze tylko Śmierć – mruknął Zahred pod nosem, głośniejsz zaś powiedział: – Niech zatem bogowie przyjmą Netecatlego, a jego pamięć żyje wśród Mexików. Kto dowodzi teraz gwardzistami miasta?

– Axtli z *calpulli* Aztacualco, o Najwyższy. Jeden z bohaterów walk na Moście Śmierci.

– Niech wystąpi!

Trzymający się do tej pory z tyłu Axtli przełknął ślinę, zrobił dwa kroki w przód i spojrzał wprost na siedzącego na swoim tronie najwyższego króla.

– Niech uklęknie! – syknął na niego Itzli.

– Co? – Axtli spojrzał na władcę Domu Szeptów, rozłożył ręce i potrząsnął głową.

Zahred uśmiechnął się wyrozumiale.

– Doskonale. Tenochtitlán potrzebuje teraz wojowników, którzy nie ulęką się ani człowieka, ani króla, czy nawet boga. Niech zatem Axtli weźmie trzy setki wojowników i poprowadzi ich do Texcoco, aby dodać pewności tamtejszemu władcy.

Axtli kiwnął ochoczo i dopiero teraz uklękł, spuszczaając wzrok tak, jak mu to próbowali wbić do głowy przed wejściem na Najwyższą Radę.

– Tak się stanie, o Najwyższy! – szczeknął.

– Nie pójdzie jednak sam. Niech Xicotencatl wyruszy wraz z nim, zaś po drodze wytłumaczy Axtlemu, z kim może mieć do czynienia.

– Najwyższy! Axtli zna białych, walczył z nimi, a nawet jednego zabił!

– Tym bardziej przyda mu się nieco ostudzenia zapału. Axtli zostanie potem w Texcoco, zaś Xicotencatl niech weźmie naszych Tlaxcalteków i zasadzi się na białych najeźdźców w wąwozach po drodze.

– Xicotencatl nie zawiedzie – mruknął młody wódz.

– Itzli zaś... Itzli niech wyśle do Texcoco posłańców z pismami.

– Tak jak ustalił z Xahuatlem? – dopytał władca Domu Szeptów.

– Dokładnie tak. Niech biały wódz Cortés myśli, że dostanie to, czego chce. Niech ruszają, z nami słońce!

– Z nami słońce! – zawołali zgromadzeni w sali.

Rada dobiegła końca, nadeszła pora na działanie.

### *Okolice Texmelucan*

– Wiedzą, że nadchodzimy.

Cortés spojrział w kierunku wskazanym przez doñę Marinę. Przysłonił oczy od promieni zachodzącego słońca, przez chwilę wpatrywał się w krajobraz.

W końcu dostrzegł podnoszący się kłębammi znad szczytu wzgórza dym.

– Sygnały? – zapytał z pewnym zdumieniem.

– Tak, a tam już są kolejni. Nie dadzą nam spokoju, zapewne będą czekać gdzieś w zasadzce.

– Uważnie tam, czuj duch! – zawołał caudillo do żołnierzy.

Zbliżał się już wieczór. Robiło się chłodnawo, oddechy maszerujących ludzi uciekały z ust obłoczkami, na trawie skrzyła się osiadająca wilgoć.

Wypełniająca jary i wąwozy gęsta, szarogranatowa ciemność sprawiała, że wszystko wyglądało złowieszczo, a każdy krzew, każde drzewo przybierały kształty przyczajonych z bronią Mexików, gotowych lada chwila rzucić się konkwistadorom do gardeł.

Zresztą odparli już kilka pomniejszych ataków i praktycznie bezustannie natykali się na zawalone pniami przejścia, zagrodzone kolczastymi gałęziami ścieżki i leżące w wąskich gardłach jarów kamienie. Za każdym razem cała kolumna wojska musiała stawać, a oni czekali, aż idący na szpicy Tlaxcaltekwie usuną przeszkodę.

Tracili przez to cenny czas. Weterani ekspedycji, doskonale pamiętający nocne walki w Tenochtitlán, robili się nerwowi i niespokojni; ich nastrój udzielał się nowo przybyłym członkom wyprawy, których wyobraźnia, wystarczająco już nakarmiona przesadzonymi opowieściami, podsuwała im coraz dziwniejsze wizje.

Jak na potwierdzenie tych domysłów Cortésa, gdzieś z tyłu kolumny błysnęło, potem echem poniósł się głuchy huk wystrzału z arkebuza.

– Alaaarm! Uwaga, atakują nas! – zawołał ktoś.

Cała kolumna nagle zaszumiała, zabrzęczała odgłosami stali. Zakołysały się i pochyliły groty pik, ludzie pospiesznie zwracali się ku zboczom wzgórza, wypatrując oczy w ciemność.

– Alarm, dzicy!

– Uwaga!

– Spokój! Spokój, nie strzelać bez sensu! – ryknął któryś z oficerów. – Kto widzi przeciwnika, odzywa się, a reszta mordy w kubeł! Cisza!

– Ciszaaa!

– Cisza...

Stali tak, nasłuchując i patrząc.

– Fałszywy alarm... Fałszywy alarm! – nadleciało wołanie z tyłu.

– Naprzód! – machnął ręką Cortés, po czym warknął do jadącego obok de Sandovala: – Jak mi Bóg miły, pasy każę drzeć z każdego, kto jeszcze raz bez powodu zawoła albo da ognia.

– Jakbyśmy i tak prochu za dużo mieli, prawda – przytaknął Gonzalo.

– Ci artylerzyści to debile, nie da się im do rozumu przemówić. – Pan de Grado podkłusował ku nim. – Ile razy bym nie tłumaczył de Orozcowi, on zawsze swoje: ludzie mają swoje nawyki, wy się nie znacie, nie rozumiecie... Idą z zapalonymi lontami, to i przecież prędzej czy później któremuś nawet przypadkiem padnie iskra na panewkę.

– Pół biedy, że nie z dział huknęli! – zaśmiał się de Sandoval.

– Ile jeszcze do miasta? – zapytał mocno zniecierpliwiony Cortés, zwracając się do idącego przy jego boku Clamecahuy.

– Niedaleko – odpowiedział ustami tłumaczki Tlaxcaltek. – Jeszcze tylko kawałek. Przed północą dotrzemy.

– „Niedaleko”... Ładne mi rzeczy! – prychnął de Sandoval.

Cortés nie powiedział nic, patrząc w ciemność przed sobą.



– Od jak dawna Xicotencatl walczy przeciwko białym najeźdźcom? Jak wielu z nich poległo od jego miecza?

Xicotencatl zerknął na idącego obok niego Axtlego.



– Odkąd tylko zrozumiał, że są wrogami Xahuatla. Wielu Xicotencatl nie liczył.

– Axtli słyszał, że Xicotencatl jest bratem Huēi Tlahtoāni. To dla Axtlego zaszczyt, że może iść wraz z Xicotencatlem przez noc.

– Są bracia z urodzenia i są bracia ze śmierci. Xahuatl czynił złe rzeczy, a potem wybrał honor ponad własne życie. Od tamtej pory są z Xicotencatlem powiązani przez krew... – Młody wódz urwał, łapiąc z trudem powietrze. Odkasznął głucho, zacisnął ze złością usta. – Biali sprowadzili na nas śmierć, sprowadzili na nas chorobę, ale nie zgaszą słońca imperium.

– Meksykanie pokonają białych. Xicotencatl i Axtli zabiją wielu, jak tylko tamci zblizną się... O, tutaj! – zmienił temat Axtli. – To miejsce będzie dobre.

Stanęli przy wejściu do niewielkiego parowu, którego dnem przebiegała droga.

Do kolejnego miasteczka, położonego w samym środku niegdyś tętniącej życiem prowincji i spokojnego Coatepec, mieli jeszcze kawałek drogi.

Nie było możliwości, aby biali pojawili się wcześniej niż następnego dnia po południu, więc będą mieli dość czasu, aby przyszykować zasadzkę. Poza tym i tak było już ciemno, a oni szli przez większą część kolejnego dnia.

Xicotencatl skinął głową, obrócił się do wojowników.

– Niech odpoczną i przygotują się na jutro!

### *Coatepec, tej samej nocy*

– Panie! Panie, zbudźcie się...

Cortés chrapnął, przebudził się. Usiadł na posłaniu, od razu sięgając do miecza.

– De Coria? Co jest, co się dzieje? Już rano? – zabełkotał w półśnie, mimo to wyłaząc spod nagrzanego pledu w chłód nocy. Leżąca obok niego doña Marina zamruczała, naciągając na siebie koc.

– Nie, panie, środek nocy! Ale ktoś do nas przyszedł, jeden z tutejszych! Ubrany dostatnio, złoto ma... Ojciec Aguilar już próbuje z nim rozmawiać, kazał po was posłać!

– Marina! – Hernán potrząsnął kobietę za ramię. – Marina, wstawaj... Mamy gościa!

Obozowisko spało snem sprawiedliwych, kiedy maszerował pomiędzy naprędcę rozbitymi namiotami i przygasającymi ogniskami, dopinając pas ze szpadą.

Rzeczywiście, przy posterunku straży od strony drogi stała niewielka grupka Indian, otoczona uważnie obserwującymi każdy ich ruch Kastylijczykami; dwa nieduże oddziały Tlaxcalteków również czekały już w gotowości, na wypadek gdyby całość okazała się sprytnie zaplanowaną dywersją.

Gości było około tuzina. Ubrani w bogate szaty, przystrojeni piórami, dzierżący małe złote wachlarzochorągiewki, które zawsze mieli ze sobą pełniący rolę ambasadorów dostojnicy.

– Panie, nie chciałem ogłaszać kolejnego alarmu – zaczął bez ogródek nadzorujący nocną wartę de Ávila. – Po prostu zjawili się na drodze, wyszli ku nam...

– Słusznie zrobiłeś, Alonzo. Ojciec de Aguilar, kogo my tu mamy? – zagadnął Cortés duchownego.

Rozmawiający z najdostatniej ubranym, strojnym w pióra i naszyjnik z jadeitu klecha pokazał na Cortésa, zaćwierkał coś w *nahuatl*. Indianin skłonił się nisko, dotknął dłonią ziemi.

– O ile rozumiem, wasza miłość, to jakiś krewny aż trzech królów naraz – powiedział de Aguilar. – Przybywa w pokoju, niesie dary. Nie wątpię, że wy sami lepiej...

– Marina! Przedstaw nas, powitaj. Zapytaj, kim są i czego pragną.

Malintzin odkaszlnęła, zaczerpnęła tchu i zaczęła mówić. Tamci wysłuchali, ich przywódca skłonił się raz jeszcze. Odpowiedział, znów się ukłonił.

– Panie, to... – Tłumaczka ze świstem wciągnęła powietrze.

– To księżę Ixtlilxochitl, brat dwóch królów Texcoco, mianowicie Cacamy i Coanacochtina. Mówi, że gotów jest walczyć u naszego boku przeciwko Mexikom.

– Tak... po prostu? – Cortés wziął się pod boki.

– Ixtlilxochitl mówi: jeden z jego braci był niemądry, drugiemu brak rozsądku. Żaden nie potrafił rządzić umiejętnie. On wie, co należy uczynić, aby Texcoco rosło w siłę.

– Kolejna marionetka, Hernán? – rzucił de Grado, podchodząc bliżej.

– Nie nazywaj ich tak! – zachnął się caudillo. – Ci ludzie chcą stać się wiernymi poddanymi naszego króla, Jego Wysokości Karola.

– Naturalnie. Nie wątpię, że właśnie to jest ich wiodącą motywacją. Podobnie jak i wszystkich lokalnych kacyków i książątek, których mianowałeś przez ostatnie pół roku. A trochę ich było.

– Panie, czy moglibyście...?!

– Naturalnie, wasza miłość. Już się zamykam i nie przeszkadzam. – De Grado podniósł ręce.

– Dziękuję wam pokornie. Marina! Zapytaj tego całego... jak mu tam... Zapytaj go, czy dalsza droga do Texcoco jest bezpieczna.

– Ixtlilxochitl mówi... – Malintzin spojrzała na Cortésa. – Mówi, że nie ma nic wspólnego z oddziałami czekającymi w wąwozach. Przysłał je król Tenochtitlán, aby zaatakować białych ludzi, ale nie ma w nich ludzi z Texcoco. Aby biały wódz

zrozumiał, że Ixtlilxochitl jest jego przyjacielem, ofiarowuje mu łańcuch, który otrzymał od ojca.

Cortés niemalże machinalnie przyjął gruby szczerozłoty łańcuch brzęczący przywieszkami z koralu i jadeitu, podał komuś stojącemu obok.

– Oddziały czekające w wąwozach – powtórzył.

– Tak powiedział, panie.

– Dobrze... Dobrze, doskonale. Powiedz mu, Marina, że wiemy o tych oddziałach. Dlatego się zatrzymaliśmy, aby wybrać najlepszą drogę dalej. Niech udowodni, że jest naszym przyjacielem... dając nam swoją propozycję ich ominięcia.

Książę Ixtlilxochitl skłonił się nisko na znak zgody.

– Uwierzcie mu, panie? – szepnęła Malintzin.

Cortés uśmiechnął się półgębkiem.

– Nigdy w życiu żadnemu z nich – mruknął. – Jednak warto wiedzieć, że można podzielić ich bardziej. Teraz interesuje mnie tylko złapanie przyczółka w Texcoco.

### *Tzintzuntzan, stolica ludu Purépecha*

Noszący tytuł syna Ognistej Góry, niezmiernie wysoki *cazonci* Zincicha nachylił się i z wysokości kamiennego tronu spojrzął na klęczących przed nim ambasadorów z Tenochtitlán.

– Czego chcą wysłannicy króla Mexików? Czemu zakłócają święty czas żałoby? – zapytał.

Przewodzący poselstwu Mexik skłonił się, wystąpił o krok przed pozostałych.

– O niezmiernie wysoki! Oto stało się, że Huēi Tlahtoāni zechciał ustami niegodnych zwrócić się do swojego przyjaciela i brata, do *cazonci* walecznego ludu Purépecha...

– Do rzeczy – uciął Zincicha. – Czego chce król Tenochtitlán?

– O niezmiernie wysoki! Huēi Tlahtoāni ponawia swoją prośbę, aby wojska Purépecha...

– Dość. Mexikowie przychodzą do tych samych drzwi. Proszą o to samo. I mają czelność liczyć na inną odpowiedź? – parsknął Zincicha. – A może myślą, że syn Zuangi nie jest godny ojca? Może myślą, że Zincicha ma mniej rozumu niż Zuanga?

– O niezmiernie wysoki, Huēi Tlahtoāni...

– W tej chwili to już tylko *tlahtoāni*, jeden z wielu *tlahtoāni*. Nie lepszy i nie wyższy niż Zincicha. Zincicha wie, o co naprawdę chodzi Mexikom.

– Niech zatem...

– Skoro Mexikowie przychodzą tu z tą samą prośbą, co do ojca Zincichy, to niech udadzą się jego śladem tam, dokąd on poszedł. Niech odnajdą go i przedstawią mu swoją petycję.

Przewodzący poselstwu Mexik pobladł.

– Zincicha mówi jak człowiek ogarnięty smutkiem. Źle, że syn nie jest mądrzejszy od ojca.

– Niech nie śmie wspominać ojca Zincichy! – ryknął *cazonci*, zrywając się z kamiennego tronu. – Zincicha siedział u posłania ojca, patrząc, jak ten gaśnie. Widział, jak na jego rękach, nogach, brzuchu i twarzy otwierają się krosty, przez które wypływa z niego życie! Krosty, które przyniosła choroba zesłana przez bogów za bluźnierstwa Mexików!

– Choroba przyszła wraz z białymi. Kiedy Mexikowie pokonają najeźdźców, pokonają też chorobę – twardo odparł Mexik.

– Nie. To wszystko wina Tenochtitlán, to wszystko wina Mexików i ich głupiego *tlahtoāni*. Niech zatem Mexikowie udadzą się do krainy zmarłych i przekażą Zuandze, że jego syn jest mądrzejszy od ojca.

Ambasador dumnie podniósł głowę i spojrzał *cazonci* prosto w twarz.

– Jeśli tak ma się stać, to niech stanie się jak najszybciej.

Na dany przez *cazonci* znak wojownicy rzucili się na Mexików, przygnietli ich do ziemi i skrępowawszy ręce, powlekli ku ołtarzowi ofiarnemu.

Zincicha splunął na ziemię i zszedł z podwyższenia kamiennego tronu, aby samemu przyglądać się egzekucji.

W jego sercu nie było już ani wahania, ani strachu.

Nikt już nie obawiał się Mexików.

### *Dwa dni później, Texcoco*

– Uciekli.

Hernán Cortés rozejrzał się po wyludnionym placu, popatrzył z mocno mieszanymi uczuciami na swoich kapitanów.

– Ano uciekli – mruknął, nerwowo szarpiąc brodę.

– I co my z tym zrobimy? – spytał niepewnie de Sandoval.

Stali u stóp ogromnej piramidy w samym sercu Texcoco, wznoszącej się chyba jeszcze wyżej niż ta przy wielkim placu w Tenochtitlán.

Wokół nich jak okiem sięgnąć lśniły olśniewającą bielą pałace, domostwa i rezydencje przepięknego miasta – tego samego, które tak bardzo ukochał nadal żywy w pamięci swoich rodaków wielki król, poeta i myśliciel Nezahualcoyotl.

Ten sam Nezahualcoyotl, który rozdzielił wody jeziora ogromną tamą, aby oddzielić jego wyższą, północną część z wodami słonymi od niżej położonej południowej, przy której wtedy powstały piękne uprawy.

To właśnie ten król przemierzał w przebraniu zwykłego rzemieślnika ulice i place swojego miasta, aby poznać bolączki i problemy prostych mieszkańców. To on, nikt inny, przechodząc niegdyś obok pola kukurydzy, zerwał z niego dojrzałą kolbę, za co został zbesztany przez uprawiającego pole rolnika.

„Czemu kradniesz moje ziarno, o najwyższy królu?” – zapytał go człowiek stojący z motyką w pełnym słońcu.

„Nezahualcoyotl nie kradnie niczego” – odpowiedział mu król, zdumiony taką bezpośredniością.

„A zatem prawo nie obowiązuje rządzących, którzy je ustanowili. Nie działa na nich w taki sam sposób jak na rządzonych” – smutno pokiwał głową rolnik.

Uderzony przenikliwością i głębią mądrości prostego człowieka, Nezahualcoyotl nie tylko zabronił swoim strażom ukarania go za bezczelność wobec władcy, ale jeszcze oddał mu kolbę i kazał wydzielić po stokroć tyle ziarna, ile tamten byłby stracił – potem zaś, już wróciwszy do pałacu, kazał urzędnikom sprowadzić go przed swoje oblicze i mianował królem jednego z podległych mu miast.

To właśnie Nezahualcoyotl założył cudowne ogrody w nieodległym Tetzcotzingo, gdzie najlepsi ogrodnicy hodowali rośliny, krzewy i drzewa z całego znanego świata. Tam też stał pięknie wykonany z kamienia teatr pod gołym niebem, sam władca zaś lubił spędzać czas w pałacu z okrągłą sypialnią wchodzącą tarasem na jezioro, przy której znajdował się też okrągły, pokryty cudnej roboty rzeźbami basen z kamienia.

Nezahualcoyotl kochał poetów, śpiewaków i muzyków, dla których organizował liczne popisy i konkursy, nigdy nie szczędząc im dobrego słowa, ziarna i ozdób z jadeitu – kiedy zaś zmęczeni ludzie, słuchał śpiewu ptaków, które przywożono z najodleglejszych stron dzikich lądów na południu i których

trele były tak głośne, że ciężko było przez nie słyszeć własne słowa.

Texcoco, klejnot w koronie Nezahualcoyotla, było nie mniej piękne.

Pełne pałaców o salach tak wysokich i przestronnych, że mogły pomieścić setki ludzi, z wewnętrznymi dziedzińcami i ogrodami pełnymi soczystej zieleni i wonnych kwiatów, było prawdziwym cudem architektury.

Jego rzemieślnicy i złotnicy byli tak słynni, że mieszkali w osobnych dzielnicach; najznamienitsi zaś spośród nich, niezrównani w swoim kunszcie byli wytwórcy okrągłych czarek do picia napoju *xocolatl*, będącego wytchnieniem dla władcy, chwilą przyjemności dla szlachcica i odrobiną radosnego zapomnienia dla biedaka.

Tak, bez dwóch zdań Texcoco było najpiękniejszym z miejsc, jakie tylko mogły istnieć w Imperium Słońca.

Nic zaś nie budzi takiej zawiści jak to, czego samemu nie można osiągnąć.

Cortés popatrzył po mieście i uśmiechnął się, widząc przelatujące mu nad głową stado błękitnych ptaszków.

– Splądrować i spalić – rzucił przez ramię, ruszając ku stopniom piramidy.



– Najwyższy! Texcoco płonie!

– Widzę – warknął Zahred, stojący na tarasie Pałacu Białych Trzcin.

Ku czystemu wieczornemu niebu podnosiły się czarne słupy dymu, powoli dryfującego z powiewami bryzy z górskich



szczytów. Łuna pożarów pełgała delikatną zorzą ponad miastem, oświetlając pomarańczowymi refleksami stopnie świątyni Władcy Deszczu Tlaloca.

Ogień strzelił mocniej w górę, wzniósł się wysokim płomieniem. Ku niebu poleciały, na podobieństwo ognistych ptaków, wirujące w powietrzu i palące się jasnymi punktami karty rękopisów z włókien agawy.

– Pałac Kolibrów, ukochany dom króla Nezahualpillego – smutno skostatował Itzli, stojący obok Zahreda.

– Archiwum?

– Najpewniej. Mapy, kodeksy władców, podania i kroniki. Genealogie rodzin królewskich.

– Niech Itzli wyśle na wybrzeże oddziały. Niech zbiorą całą kukurydzę, zabiorą wszystkie zwierzęta, jakie tylko znajdą.

– Tak się stanie, o Najwyższy. Czy jednak...?

– Itzlemu nie wystarczy słowo, które dostał od Huēi Tlahtoāni? Musi dostać jeszcze jego myśli? – Zahred uniósł brew, spojrzał z ukosa.

Władca Domu Szeptów odwzajemnił mu się takim samym spojrzeniem.

– Wystarczy. Nie musi. Itzli doskonale rozumie, że Xahuatla zadowolają ludzie, którzy...

– Nie, nie zadowolają! – zaśmiał się Zahred, ale zaraz spoważniał. – Nie zadowolają.

– A więc po co Itzli ma kazać zbierać zapasy?

– Ponieważ Cortés nie zaatakuje Tenochtitlán z marszu.

Tym razem to władca Domu Szeptów zmarszczył brwi, potrząsnął głową.

– Itzli rozumie, że Xahuatl rozmawia z bogami. Zakłada jednak, że tego mu nie powiedzieli?

– Bogom można ufać jeszcze mniej niż ludziom. Nie, to mówi Xahuatlowi gorzkie doświadczenie, nic więcej. Co zyskuje

biały wódz Cortés, paląc miasto?

– Nic?

– Zyskuje to, że wszyscy to widzą i zaczynają się bać. I tak mamy już w Tenochtitlán pełno uciekinierów z Texcoco, którzy teraz nie będą mieli dokąd wrócić. Podobnie wszyscy z okolicy będą chcieli ukryć się w bezpieczeństwie stolicy na wodzie.

– Zatem... Biały wódz Cortés chce, aby w mieście było dużo ludzi. Dużo ludzi to dużo problemów.

– Dokładnie tak. A największe z nich?

– Żywność i woda.

– Otóż to. Niech Itzli zatem rusza, niech wydaje rozkazy.

Władca Domu Szeptów skłonił się i pospiesznie ruszył ku pałacowi, zostawiając Zahreda patrzącego na płonące miasto.



Indianin rzucił się w kierunku caudilla, ale strażnicy byli szybsi.

Powalili go na ziemię. Któryś wbił kolano pomiędzy łopatki. Inny wykręcił ręce za plecami. Kolejny podskoczył z włócznią, już gotów przyszpilić go do podłogi, ale Cortés zatrzymał go ruchem ręki.

– Stać! Stać... Co tu się dzieje?

– Biały wódz Cortés obiecał! Dał słowo Ixtlilxochitlowi! – wykrztusił leżący książę. – Niech będzie przeklęty!

Caudillo uniósł brwi, spojrzał na Malintzin.

– Marina? Czego chce ten dzikus?

– Twierdzi, że oszukaliście go, panie. Zapewne chodzi mu o miasto i ludzi.

– Miasto? – Rozbawiony Cortés popatrzył na Texcoco. – Och, zapewne ma na myśli TO miasto.

Wszędzie wokół szalał istny chaos.

Požary zgasły już po porannej mżawce, ale nad Texcoco nadal snuły się ciężkie, siwe dymy.

Po ulicach nadal biegali z dzikim skowytom i wyciem Tlaxcaltekwie, wpadający do domostw, wywlekający z nich kosze z ziarnem, kolorowe maty i poukrywane przez mieszkańców ozdoby.

Na głównym placu piętrzyły się zwały trupów. Mężczyźni młodzi i starzy, podrostki, chłopcy... Wszystkich, którzy tylko zostali znaleźieni w mieście, spotkał ten sam los: bezlitosna śmierć.

Wprowadzano ich całymi grupami na dachy domów i ustawiano klęczących na krawędziach dachów, za nimi zaś stawali z toporami, maczugami i mieczami niesyci krwi Tlaxcaltekwie.

Cortés zakazał, rzecz jasna, tych praktyk, ale przymykał na nie oczy: wierność Tlaxcali była ważniejsza.

Konkwistadorzy natomiast, zarówno oficerowie, jak i zwykli żołnierze, dzielnie sekundowali „naszym dzikusom”, jak nazywali Tlaxcalteków. Zagrzewali ich okrzykami do jeszcze bardziej wytężonej pracy, bili brawo i gwizdali, gdy któryś dał radę jednym cięciem strącić głowę z ramion jeńca. Niektórzy wręcz urządzali zakłady, stawiając na swoich zawodników, mających zabić jak najwięcej Texcocańczyków w czasie jednej zdrowaśki.

Kobiety i dzieci wygnano poza miasto, gdzie już czekały na nie rozpalone koksowniki z żelazem do piętnowania.

Przecież niewolników nigdy nie było zbyt dużo.

– Psie! Obiecałeś... Niech bogowie przeklną Cortésa, niech nie dadzą mu wytchnienia! – na poły zaszlochał, na poły zawył

książę Ixtlilxochitl. – Niech jego płuca zgniją, niech ciało nie ma siły, niech jego członki...!

Ale nie dokończył, bo caudillo stanął nad nim, docisnął butem do ziemi, dobył szpady i po prostu wbił mu ją pod łopatkę.

Książę zadrgał, zacharczał, ustami rzuciła mu się krew... Zmiękł, oklapł.

– I po kłopotcie. – De Alvarado wzruszył ramionami.

– No cóż, mości panowie. Wygląda na to, że mamy wakat! – zaśmiał się caudillo, wycierając sztych o poję płaszcza Ixtlilxochitla. – Ktoś reflektuje na zostanie królem?

– Z całym szacunkiem, wasza miłość, ale skórka niewarta wyprawki. Ja w każdym razie swoją zbyt cenię. – De Barrameda wzdrygnął się.

Cortés schował szpadę do pochwy.

– Tak... No więc na czym to stanęliśmy? Ach, no tak. Marina, podziękuj naszym gościom za przybycie i zapewnij o naszych dobrych względem nich zamiarach.

Władca Huexotli stał niczym słup soli, poblądły, i tylko patrzył na to wielkimi z przerażenia oczami.

Król Coatlichanu skulił się na ziemi, zakrywając głowę rękami.

Z kolei książę Tenango schował twarz w dłoniach, przez które przeciekały mu teraz rzęsiste łzy.

Przybyli tutaj, do zdobytego przez białych przybyszów Texcoco, aby pokłonić się wodzowi Cortésowi.

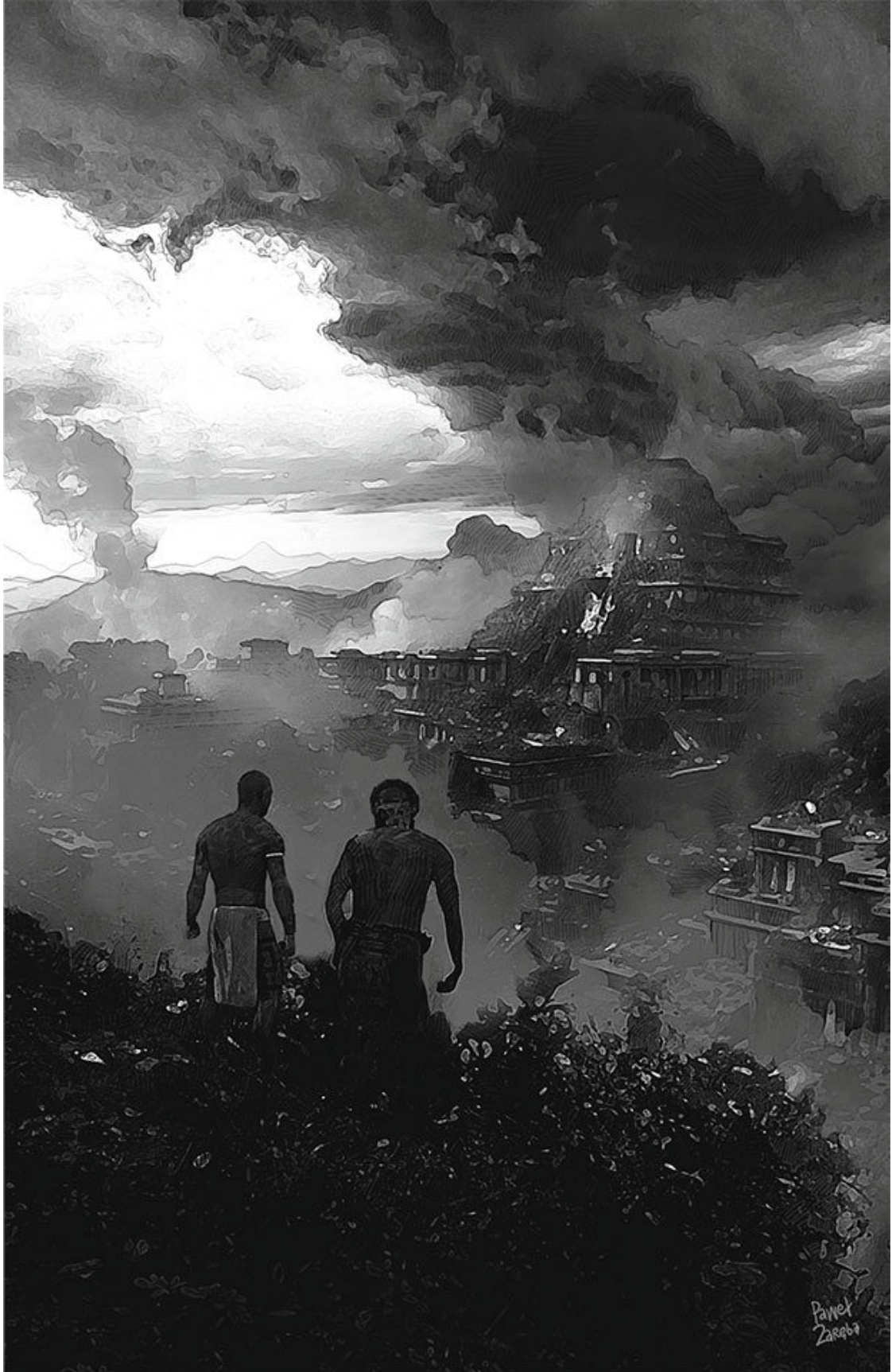
Jednak nawet gdyby ten ostatni miał tę scenę zaplanować, to nie zrobiłby na nich bardziej piorunującego wrażenia.

Jako pierwszy wziął się w garść król Huexotli. Skłonił się nisko, uklęknął i uderzając czołem w proch, wyrzucił z siebie potok słów.

– Miłościwy panie, król Huexotli mówi: niech biały wódz Cortés nie gniewa się na nich, że walczyli przeciwko Kastylijczykom. Nie czynili tego z własnej woli, a wyłącznie na rozkaz Mexików, których nienawidzą.

– Walczyli przeciwko nam? – zdumiał się Cortés.

Potoczył spojrzeniem po swoich kapitanach, ci też popatrzyli po sobie. De Sandoval wzruszył ramionami.



– Może chodzi im o tamte zasadzki wcześniej...

– A, całkiem możliwe, faktycznie. I co, czego chcą?

– Błagają o przebaczenie, panie – powiedziała Malintzin. – Przysięgają, że od teraz już zawsze będą posłuszni rozkazom białego wodza Cortésa.

– No proszę, jak to szybko zmienia się światopogląd, kiedy dać odpowiedni przykład... Powiedz im, Marina, że słyszymy ich błagania. Dodaj, że dobrze potraktowaliśmy ich ziemie i wsie, które mijaliśmy... Bo mijaliśmy je, jak sądzę?

– Tak, panie.

– No i jak się ładnie wszystko składa! Powiedz im zatem, że zrobiliśmy to wyłącznie przez wzgląd na nich. Jednak obawiamy się, że mieszkańcy tych miasteczek nie odwzajemniają naszej sympatii, bo w większości puciekali w góry. Jeśli ci trzej – wskazał na władców – chcą z nami przyjaźni, to niech sprowadzą ludzi z powrotem i zapewnią nam żywność.

Doña Marina przetłumaczyła słowa Cortésa.

Widać było, że nie wywołały one entuzjazmu u władców. A może po prostu na ich twarzach nadal zbyt mocno odbijało się przerażenie?

Caudillo uśmiechnął się chłodno, zdawkowo skłonił, odwrócił i odszedł, przestępując ponad leżącym w kałuży krwi ciałem niedoszłego króla Texcoco.



Huēi Tlahtoāni modlił się.

Wnętrze świątyni na szczycie Wielkiej Piramidy spowijały ciemności, których nie zdołały rozproszyć nawet płomienie pełgające ponad dalekimi dachami położonych w pobliżu Texcoco wsi i miasteczek.

Zapach kadzideł dławiał oddech, gryzł i drapał w gardło, mieszając się z ciężkim, dławiącym smrodem stosów pogrzebowych, od kilku miesięcy nieprzerwanie palących się na placach Tenochtitlán.

Zahred klęczał na nagich, lodowato zimnych kamieniach w miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno stał gigantyczny, zajmujący prawie całą ścianę świątyni posąg. Byłby niewspółmiernie mały, wręcz drobny wobec kamiennego ogromu nieruchomego, milczącego bóstwa – jednak posągu tam nie było.

Nie było, bo rok temu wywlekli go i strącili ze schodów świątyni biali najeźdźcy. Jak gdyby tego było mało, potrzaskany na kawałki rozbili na drobne części, a te kazali zatopić w jeziorze.

Dlatego też Huēi Tlahtoāni Xahuatl modlił się w pustej świątyni.

Jego oczy pozostawały zamknięte, bo nadal miał nadzieję, że nie widząc świata doczesnego, zdoła zajrzeć poza całun rzeczywistości. Że może tam, w świecie duchów i zjaw, znajdzie coś, co natchnie go do słusznej decyzji.

Cała jego postawa wyrażała najwyższe skupienie.

Po wzniesionych błagalnym gestem rękach powoli ściekała krew z poczynionych na przedramionach nacięć, wokół których nie kłębiły się roje much.

– Nocna bryzo, esencjo, przez którą ginie i odradza się wciąż to samo... – Wargi Zahreda poruszały się ledwie dostrzegalnie, pozwalając słowom ulatywać z obłoczkami pary.  
– Promieniu księżyca o północy w mrocznych dolinach, czarna



planeto na nieboskłonie, matko u zarania i końca wszech rzeczy. Ty, przez którą wszystko się zaczyna, dzieje i kończy. Ty, która nie mówisz nam tego, co pragniemy słyszeć. Wielka matko z dawnych lat, bogini... Jadeitowa Pajęczycy.

Był tutaj, w świątyni na szczycie piramidy Yopico, zupełnie sam.

Nie towarzyszyli mu kapłani.

Akolici nie bujali się w przód i w tył, uderzając czołami o ziemię.

Czarownicy nie bełkotali nieskładnie, co rusz racząc się suszonymi grzybami z przepastnych głębin swoich brudnych sakw.

Zahred czuł, jak rzadko kiedy wręcz wiedział, że jego błagania są szczerze – choć był przekonany, że już dawno temu odwykł nie tylko od błagań, ale nawet próśb.

Czuł, jak mocno bijące serce rwie się ku czerni rozgwieżdżonego nieba.

Słyszał, jak świszczący pomiędzy kamieniami zimowy wiatr zrywa słowa modlitwy z jego warg, niosąc je precz, ku otaczającej go pustce, w której mieszkali przecież bogowie.

A mimo to pustka uparcie milczała.

Szept boskich słów nie wypełniał uszu.

Serce nie poruszało się radośnie.

Gardło nie czuło bliskości bogini tak, jak powinno.

– Największa z wielkich, matko naszej doliny. Ty, która byłaś, gdy ojcowie i dziadowie Xahuatla i każdego Huēi Tlahtoāni przed nim dopiero przybywali na te ziemie. Usłysz mnie, wysłuchaj mnie, ujrzyj mnie. Zechciej... – Zahred zawahał się, urwał.

Otworzył oczy.

Opuścił ręce, z których przestała już kapać zaschnięta na przedramionach krew.

Wstał i po prostu wyszedł na zewnątrz.

Siedzący na macie w rogu zimnej, również pustej platformy przed świątynią Itzli wstał, zawijając się szczelnie w płaszcz.

Czekał u wejścia do najświętszego ze świątyni już długi czas, odkąd księżyc ledwie wstał ponad horyzontem. Teraz, zziębnięty i cokolwiek zaspany, ziewnął bezceremonialnie, podchodząc do Zahreda.

– I cóż? Czy Xahuatl zdołał porozmawiać z bogami? – zapytał bez cienia ironii w głosie.

Zahred potrząsnął głową.

– Wygląda na to, że jesteśmy zdani sami na siebie. Co nowego? – Wyciągnął rękę ku jednemu z ludzi Itzlego, stojącemu u wejścia na platformę. – Coś się wydarzyło?

– Okazuje się, że dziś wieczorem, gdy Xahuatl i Itzli wspinali się na piramidę, biały wódz Cortés przysłał poselstwo.

– Och. Coś istotnego?

– Nie... Albo tak, niech Xahuatl sam oceni. – Itzli przewrócił oczami. – Biały wódz Cortés mówił ustami swoich posłańców, że pragnie być przyjacielem Mexików. Twierdzi, że ci, z którymi walczył, w większości polegli, więc należy puścić kłótnie w niepamięć. Biały wódz Cortés chce zapomnieć o przeszłości, nie dąży do walki z Huēi Tlahtoāni i wcale nie chce zniszczyć ziemi ani miast Imperium Słońca.

– Ach... To wszystko?

– W dużym skrócie... Tak.

– A to skurwysyn! – roześmiał się Zahred. – To bezczelny, zakłamany chuj... W rzyć jebany, ma skurwiel tupet!

Itzli pokiwał głową z powagą.

– A więc jednak Xahuatl porozmawiał z bogami, którzy zesłali na niego dar czystości umysłu.

– Tak, na to wygląda. Chodźmy! – Zahred zarzucił na ramiona płaszcz, ruszając ku schodom na dół. – Mamy miasto do obronienia!



## Rozdział 14

No i cóż, dobrzy panowie? Jak wam się to widzi? – zwrócił się do swoich kapitanów caudillo.

– Można spróbować – mruknął de Alvarado.

Przed nimi pyszniła się Iztapalapa.

Położone nad samą wodą na południowo-zachodnim brzegu jeziora miasto było naprawdę piękne. Bywali w nim przecież wcześniej. Ba, mało tego: szli tą samą drogą, gdy po raz pierwszy widzieli Tenochtitlán!

Jednak wtedy maszerowali jako wyczekiwani z niepokojem goście.

Teraz byli powracającymi po porażce najeźdźcami.

– No więc naprzód, w imię Boże! *Santiago y cierra, España!*

– zawołał Cortés, dobywając szpady.

– *Santiago y cierra, España!*

Konni jako pierwsi wpadli pomiędzy zabudowania, zaraz za nimi ruszyła ławą piechota. Kuszniczy puścili salwę ponad głowami szarżujących, nierównym chórem zahuczały arkebuzy; jak się okazało, niepotrzebnie, bo obrońcy i tak już pierzchali przed nimi, rzucając broń i tarcze.

Kiedy podeszli pod miasto, wyglądało na to, że czekała ich bitwa.

Miejscowi wylegli im na spotkanie, ustawiając się zwyczajem dzikusów w szyku bojowym. Ubrani w te swoje śmieszne pancerze z piór, wymalowani jak przebierańcy w teatrze, potrząsający niewygodnymi sztandarami bojowymi. Jednak gotowi do walki.

A teraz, gdy tylko zobaczyli szarżujące na nich konie, od razu podali tyły!

– Na nich! Bij zabij... Miasto jest nasze! – krzyknął radośnie Cortés, tnąc kolejnego z uciekinierów. – Ku grobli, panowie... Zepchnąć ich dalej!

– Nie za głęboko się zapuszczamy?! – zawołał de Grado.

– Gdzie tam! Będziemy mieli bazę wypadową jak znalazł. Naprzód! Podciągnąć tyły, utworzyć przyczółek!

Po raz kolejny huknęły rusznice, czyszcząc pozycję do ostrzału w kierunku grobli prowadzącej do miasta.

Tam na wąskim przesmyku nadal tłoczyli się Indianie próbujący stawiać opór nacierającym Kastylijczykom.

Pan ogniomistrz de Orozco w lot ocenił sytuację, oszacował odległość.

– Żywo, kochani wy moi! – Zaklaskał w ręce. – Rozstawiać śmigownice, podciągnąć działa... Jedną tutaj, dwie tam! Szybko, szybko! Zadamy bobu dzikusom!

Takiej okazji do strzału na wprost nie mógł sobie odpuścić.



Zahred, obserwujący to wszystko ze szczytu Wielkiej Piramidy, na przemian zaciskał i rozprostowywał palce, przygryzając usta w nerwowym oczekiwaniu.

Widział, jak konni Cortésa wpadają pomiędzy obrońców, rozganiając słabo przygotowanych, pozbawionych posiłków z miasta obrońców.

Piechota wsypała się pomiędzy zabudowania, zaraz za nią wpadli falą Tlaxcaltekowie.

Kusze... arkebuzy... W końcu dostrzegł to, czego szukał: długie kreski niesionych z trudem luf, a zaraz za nimi tragarze, dźwigający pękate beczułki z drogocennym prochem.

Obrońcy Iztapalapy walczyli i ginęli na jego oczach, spychani coraz dalej w kierunku niebronionej grobli, prowadzącej wprost na Tenochtitlán.

Znów wykwitły dymy, wiatr przyniósł dalekie, pozbawione mocy echo wystrzałów: paf... paf... paf...

Działa stały już na stanowiskach.

– Teraz! – zawołał Zahred, odwracając się do czekających w pogotowiu ludzi. – Teraz, mówię... Już!

Skoczył sam, chcąc zrobić to, co jego zdaniem nie dość szybko robił pomocnik. Ten jednak zdążył już wetknąć płonącą żagiew pod zawczasu przygotowany stos drewna, przysypany mokrymi liśćmi.

Płomienie strzeliły w górę z trzaskiem, buchnął gęstym siwym kłębem dym.



Stojący tak daleko od niego, że ledwie widoczny Xicotencatl, bardziej podobny do małej kropki na niezmiernie długiej, przecinającej jezioro na pół kresce kamiennej zapory, aż podskoczył, widząc sygnał ze szczytu piramidy.

– Już! – wrzasnął ile sił w płucach. – Teraz!!!

Sam zaś zamachnął się i ze wszystkich sił, jakie tylko mógł z siebie wykrzesać, uderzył młotem w drewniany pal trzymający poprzeczne belki.

Drewno trzasnęło i zajęczało, ale nie puściło, więc uderzył jeszcze raz, i znów.

Wszędzie, na całej długości wybranego odcinka tamy, zadudniły siekiery i zadźwięczały motyki. Rozległy się okrzyki, a zaraz po nich plusk, gdy wojownicy zaczęli zrywać drewno, rzucić kamienie i niszczyć z taką pieczołowitością wcześniej szykowane przegrody.

Pracowali tutaj wiele dni, głównie po nocach, aby nie dało się ich dostrzec.

Po ciemku, niemalże po omacku, w padającym deszczu i niosącym się od wody lodowatym chłodzie wbijali w dno drewniane pale, pomiędzy którymi umieścili poprzeczki mające zastąpić spore odcinki tamy.

Wykopywali i koszami wynosili ziemię i kamienie, leżące w tym samym miejscu od dziesięcioleci, tak jak polecił ułożyć je budowniczy wielkiej tamy, legendarny król Nezahualcoyotl. Kawalek po kawałku rozbierali dzieło jego życia, żeby uratować własne.

A teraz nadeszła pora, aby przerwać przegrody.

Drewno trzasnęło i ustąpiło, woda z pluskiem i szumem popłynęła przez wyrwę. Zaraz potem chlusnęła w kolejny przekop, niosąc ze sobą ziemię, kamyki oraz unoszący się na powierzchni spieniony brud.

– Uwaga! – zawołał Xicotencatl, pospiesznie wczołgując się na szczyt tamy. – Odsunąć się, bo zaraz...!

Ale nie dokończył, bo w tym samym momencie słona woda z rykiem runęła przez wyłom, pociągając ze sobą spory kawałek grobli i wpadając spienioną, kłębiącą się brunatną falą do położonej o dobrych kilkanaście stóp niżej słodkiej części jeziora.

Wodospad rósł w oczach, zabierając coraz więcej ziemi. Cała jedna sekcja zsunęła się i spłynęła lawiną błota, porwana nabierającym impetu prądem.

Xicotencatl biegł jeszcze spory kawałek po nasypie, nim w końcu dotarł do już czekających na niego Tlaxcalteków.

Dopiero wtedy odważył się obejrzeć – i roześmiał się radośnie, klasnął w ręce, widząc dokonane przez nich dzieło kontrolowanego zniszczenia.



– Pięknie tutaj, nie ma co – westchnął de Ávila, patrząc z brzegu na leżące przed nimi Tenochtitlán.

– Ano, kurwa, pięknie – zgodził się Portocarrero, po czym wskazał kciukiem ku nadal broniącym się na grobli Meksykom. – Żeby tylko te dzikusy jebane nas tam wpuściły, toby w ogóle było świetnie.

– Wpuszczą, panie. Co mają nie wpuścić, kiedy...

De Ávila urwał na chwilę, gdy huknęły armaty.

Jedną kulę zniosło w bok, wpadła z pluskiem w wodę, podnosząc biały pióropusz rozbryzgu i posyłając ku brzegowi falę; druga wleciała prosto pomiędzy Indian, kosząc ich, rwąc i wyrzucając w powietrze skrwawione ciała.



– Piękny strzał! – zarechotał de Lugo, kłaniając się w kierunku stanowiska pana de Orozca.

– ...kiedy siła po naszej stronie? – dokończył filozoficznie de Ávila.

– Też prawda. A może tak, kurwa, lepiej? Niech nam wyjdą pod lufy, pierdolnie się do nich kilka razy, to... Ej, ej! – spłoszył się Portocarrero, odskakując od wody. – Co jest, do cholery?!

– Ależ nam falę pan de Orozco zrobił! – zaśmiał się de Lugo, mający tego dnia lekko w czubie. – Plusnęło, chlupnęło... Patrzcie, jak się woda podniosła przy brzegu.

– Co jest, do kurwy nędzy?! Przecież tu przed chwilą sucho było, na brzegu stałem, a teraz... Miasto tonie?!

Jako pierwszy zorientował się de Ávila.

Rozejrzał się w lewo, w prawo, omiótł dzikim spojrzeniem szeroko rozwartych oczu brzeg, na którym stali.

Cofnął się o krok, widząc, jak woda zaczyna cieniutką warstewką wpływać na wyłożony kamiennymi płytami taras posiadłości, przy której ucieli sobie tę pogawędkę.

– Woda... Woda się podnosi – szepnął, a potem zaczerpnął tchu i wrzasnął: – Uwaga, woda się podnosi! Powódź!

– Woda przybiera! – rozległo się przerażone wołanie po ich lewej.

– Uwaga, odsunąć się od brzegu!

– Powódź!

Położone u samego brzegu miasto, przypominające weteranom wojen włoskich poprzecinaną kanałami Wenecję, dosłownie w oczach zaczęło wypełniać się wodą. Jezioro wezbrało, fala z miękkim chlupotem przelała się przez niewysoki murek falochronu i popłynęła dalej, ku placom i zabudowaniom.

Kanały nagle zaczęły przybierać i przelewać się przez koryta, kiedy cofająca się woda chlustała falą, zderzając się na



Zahred patrzył z dziką, mściwą satysfakcją, jak niedawny atak białych zatrzymuje się, grzęźnie, a potem nagle zamienia się w paniczną ucieczkę.

Widział jak na dłoni, jak próbują ratować tabor, potykają się i upadają. Jak wpadają pomiędzy nich szybkie, zwrotne dłubanki, niosące żądnych krwi wojowników.

Tak, to było upajające, ale czuł też posmak goryczy.

– Cholera... Pospieszyłem się! – warknął.

Można było podpuścić ich dalej. Pozwolić bardziej rozciągnąć szyki. Dać dociążonym pancierzami i bronią ludziom zejść ku jezioru.

Teraz widać było, że większość jednak da radę wydostać się na brzeg, odciągali też śmigownice, pospiesznie ewakuowali zamoczony proch.

No cóż, co się stało, to się nie odstanie. Natomiast każda strata w broni palnej była dla Cortésa nie do powetowania.

Spojrzał na czekających przy drugim stosie sygnałowym pomocników, skinął głową.

W powietrze podniósł się kolejny słup gęstego dymu.



– Idą na nas... Jezusie, idą na nas! – zawołał ktoś, pokazując ręką ku wzgórzom.

– Zasadzka... Zasadzka, panowie! Ustawiać szyk, pikinierzy na pierwszą linię! Orozco, ustawiajcie działa, arkebuzy na flanki!

– Proch mokry! – zaszlochał ogniomistrz. – Zalane wszystko! Nawet otwierać nie będę teraz, bo się z suchym przemiesza. Nie da rady!

– Do diabła! – Cortés zgrzytnął zębami. – Cofać się ku Texcoco, trzymać szyk... I do boju zatem, nie damy im się! Santiago!

– *Santiago y cierra, España!*

### *Następnego dnia koło południa*

Zziębnięty, mokry, potwornie zmęczony i wściekły Hernán Cortés cisnął pendentem ze szpadą o stół. Trzęsącą się ręką chwycił kubek, rozchlapując wokół czerwony płyn, nalał sobie wina z dzbana. Wychylił duszkiem, ale od razu plunął z obrzydzeniem.

– Fuj! Tfu... Błę! Niech to cholera!

De Grado podszedł, lekko utykając, powąchał dzbanek. Skrzywił się.

– Skwaśniało – skwitował flegmatycznie. – Nie dziwota, to przecież jeszcze z zapasów Narváeza. Pewnie przez tę burzę, co nocą przeszła.

– Cholerne miasto, cholera burza... I cholerny diabeł Zahred! To wszystko jego sprawka...

– Burza? Nie żartuj, Hernán.

– A może i burza! Widziałem, jak wstał z martwych, i ty też! – Caudillo podetknął de Gradowi oskarżycielski palec pod nos.

– Wstałem z martwych? Czy widziałem? – De Grado uniósł brew.

– Nie irytuj mnie chociaż ty, Alonso – burknął Cortés. Usiadł na ławie, zaczął mocować się z przemoczonymi, klejącymi się do nóg butami. – De Coria! Gdzie jesteś, darmozjadzie, kiedy cię potrzebuję!?

– Jak go ostatnio widziałem, to leżał w lazarecie na dole, ze strzałą w ramieniu – rzucił wchodzący do sali de Sandoval. – Pomóc waszej miłości? Bo samemu to ciężko bywa.

– Nie no, Gonzalo. Nie śmiałbym... – zmitygował się Cortés.

– A ja i owszem. Nie tak dawno jeszcze wasza miłość sam mi wypominał, że ledwie ze służby u niego wyszedłem. No już!  
– De Sandoval stanął okrakiem nad nogą Cortésa, pociągnął z całej siły za but. – Ależ się zassał... Niech wasza miłość popchnie drugą!

– Nie przystoi.

– No już! Niech pomyśli wasza miłość, że to przez was nam tyle prochu zamokło! – zarechotał de Sandoval.

– Ach, ty...! – Cortés z wściekłością kopnął go w wypięty zadek.

De Sandoval poleciał w przód, dosłownie zrywając mu obuwie razem z przemoczoną onucą i wierzchnią warstwą odmokniętego, pomarszczonego naskórka. Zaśmiał się, odrzucił but na bok, od razu złapał za drugi.

– To co, mam waszą miłość jeszcze gorzej zeźlić? Czy dość już?

– Dość... Ciągnij... jeszcze... poszedł!

– No i po bólu. – De Sandoval podszedł do stołu, powąchał kubek z winem. – O, skisło w końcu... To co, kiedy kolejny atak?

– Panie de Sandoval, to nie jest... – zaczął de Grado, zapobiegawczo stając pomiędzy młodzikiem a caudillem.

Jednak Cortés spojrział na tamtego bystro, pokiwał głową z uznaniem.

– Widzę, że czegoś jednak cię nauczyłem, Gonzalo. To jest ten duch! To jest postawa godna Kastyljczyka!

– Hernán, musimy odpocząć. Ludzie są poranieni, zmęczeni.

– Ja nie jestem. – De Sandoval wzruszył ramionami. – To jest jestem, ale już gorzej nie będę. Dajcie mi, panie, parędziesięciu ludzi... Pohulamy sobie po okolicy, nauczymy dzikich moresu!

Cortés popatrzył na niego uważnie, skinął głową z namysłem i odparł:

– Nie.

– Nie?! Panie, ale przecież to...

– Nie. Weźmiesz ludzi, Gonzalo, i wrócisz z nimi do Tlaxcali. Odnajdziesz w lasach nad rzeką pana Martína Lópeza, który buduje nam statki...

– Co? – zdumiał się de Grado.

– Co? – prychnął de Sandoval.

– Buduje statki, mówię. Zabierzesz z Tlaxcali tylu tragarzy, ile będzie trzeba, i przetransportujecie wszystko tutaj. A potem... – Cortés machnął ręką. – Dam ci ludzi, ilu chcesz, i szalej sobie z nimi.

– Wybornie! A skoro już ku Tlaxcali idziemy, to może po drodze odwiedzić ten, no... – De Sandoval pstryknął palcami. – Calpulalpan? Pamięta wasza miłość tę nazwę?

– Pamiętam – warknął Cortés.

Rzeczywiście, rok temu, jeszcze przed wyruszeniem do Tenochtitlán, zostawili w Tlaxcali kilkudziesięciu ludzi i trochę złota, które ci mieli odtransportować do Vera Cruz. Konwój wyruszył, ale na miejsce nigdy nie dotarł, bo właśnie w pobliżu Calpulalpan wpadł w zasadzkę.

Dowiedzieli się o tym wiele później, gdy nie do tego już im było. Ale teraz, kiedy nadarzała się okazja...

– To jak, panie? – nacisnął de Sandoval. – Dacie mi trochę ludzi, żebym do bram tamtym dzikusom zapukał?

– Dam... Dam, jako żywo. Przypomnij im, kto rządzi.

– Jasna sprawa, panie! A tak na wszelki wypadek zapytam, bo chyba waszą odpowiedź znam, ale upewnić się wolę: co zrobić, jeśli tamci przypadkiem mieliby o pokój prosić?

Caudillo spojrział na de Sandovala, dotknął wiszącego na rzemyku na szyi złotego koralika.

– Zabij wszystkich.



– Zwycięstwo!

– Biali najeźdźcy odступują!

– Mexikowie zwyciężyli!

– Biali uciekają! Z nami słońce!

Radosna wrzawa wypełniała całą salę narad w Domu Węża. Dowódcy i urzędnicy, wojownicy, dostojnicy, członkowie dworu – wszyscy powtarzali jedną i tę samą wieść: biali odstąpili od miasta!

– Mexikowie są najsilniejsi! – gardłował Huexoch, potrząsając ceremonialnym pióropuszem z piór orła. – Biali ulegli potędze Tenochtitlán! Przerazili się wojowników najwyższego króla!

Umilkli jednak wszyscy nagle i zgięli się w ukłonie, kiedy do sali tronowej wmaszerował wraz ze swoimi żołnierzami sam Huēi Tlahtoāni.

Zapanowała cisza, w której słyhać było tylko kroki, skrzypienie skóry i pobrękiwanie pancerzy.

Zahred wspiął się na podwyższenie, obrócił przodem do zgromadzonych.

Zasiadł na tronie.

Wstał.

– Czemu wojownicy cieszą się jak nierozsądne dzieci?! – huknął. – Dlaczego klaszczą w dłonie?! Po co podnoszą głos, niepotrzebnie marnując oddechy?! Jakież to wielkie zwycięstwo odnieśli, że radują się jak w dniu wesela?!

– Najwyższy...! – Huexoch skłonił się raz jeszcze. – Biali zostali pokonani...

– Biali stoją w Texcoco i nigdzie się nie wybierają! Ich jeźdźcy na jeleniach hasają radośnie po brzegu jeziora! Zdrajcy z Tlaxcali zbierają plony z pól obsianych przez Mexików. Cholultekowie rabują domy Mexików, cempoalańczycy szczają i srają we wzniesionych przez Mexików miastach! A tymczasem wojownicy i szlachetnie urodzeni Tenochtitlán cieszą się z tego?!

– Najwyższy, ale przecież biały wódz Cortés odstąpił... – wyrwało się któremuś z dostojników.

Zahred wyszarpnął zza pasa siekiere, zamachnął się i cisnął z całej siły.

Topór, furkocząc, poleciał przez powietrze rozmazaną smugą, z trzaskiem wbił się w drewno o dłoń od głowy urzędnika.

– Cortés stoi na ziemi Tenochtitlán! – ryknął Zahred. – I nie odstąpi, dopóki nie wejdzie do samego miasta! Nie ma spoczynku, nie ma bezpiecznego miejsca dla Mexików tak długo, jak chociażby jeden biały najeźdźca żyje! Nie będzie pokoju, póki nie zginą wszyscy! Nie będzie śpiewów, nie będzie śmiechu ani radości, dopóki ich Czerwone Gwiazdy nie ulecą ku bogom na ołtarzach Tenochtitlán! I niech bogowie będą Xahuatlowi świadkami, że nie opuści swojego ludu, bo nigdy nie zgaśnie słońce Tenochtitlán!

– Tenochtitlán! – wrzasnął na całe gardło Xicotencatl. – Z nami słońce!



– Z nami słońce! – chóralny okrzyk z wielu gardeł rozbrzmiał echem w salach Pałacu Białych Trzcin.

Dyszący ciężko Zahred stał i patrzył na nich, zaciskając tylko zęby.



– Na co czekasz, Hernán?

Cortés rozchylił powieki, zaczerpnął z sykiem powietrza. Zamrugał, próbując przegnać sprzed oczu senną mgłę.

– Marina? – szepnął, widząc majaczącą na tle jaśniejszych ścian sylwetkę nachylającej się nad nim kobiety.

– Malintzin.

Poczuł, jak krew uderza mu do twarzy, a serce wali mocno. „Malintzin”.

Za dnia, oficjalnie i dla ludzi była doñą Mariną.

Kiedy zostawali na osobności, była po prostu Mariną – jego Mariną.

Jednak nocą kazała mu zwracać się do siebie imieniem, które nosiła, żyjąc wśród dzikich.

– Malintzin – powtórzył, odgarniając jej włosy z twarzy.

Ujął ją delikatnie za kark i chciał przyciągnąć ku sobie bliżej, pocałować.

Równie dobrze jednak mógłby chcieć przesunąć jedną ręką kamienną rzeźbę, bo ona ani drgnęła.

– Na co czekasz? – powtórzyła pytanie.

Cortés westchnął, opadł na poduszkę. Przeciągnął dłońmi po włosach.

Doskonale wiedział, o co pytała.

– Na nic, Marin... – ugryzł się w język. – To jest Malintzin. Nie czekam na nic.

– Więc dlaczego nie atakujesz? Czemu nie zajmiesz Tenochtitlán już teraz? Miasto jest słabe, jego mieszkańcy przerażeni samą twoją obecnością. Uderz bez zawahania, Hernán. Zegnij ich karki, zrzuć posągi bogów ze szczytów świątyń. Dokończ to, co wspólnie zaczęliśmy.

– Takie przedsięwzięcie wymaga czasu. Nie chcę zniszczyć miasta, tylko zająć je i nienaruszone przekazać królowi.

– Nie.

– Nie? – Odwrócił głowę i spojrzał wprost na nią. – Nie chcę zrobić tego, co właśnie powiedziałem? To powiedz mi, czego chcę, skoro...

Nie dokończył, bo głos uwiązł mu w gardle, kiedy jej oczy błysnęły w ciemności, niczym u dzikiego zwierzęcia.

Powoli, kocim ruchem wsunęła się na niego, usiadła okrakiem.

Ściągnęła przez głowę koszulę, w której spała.

Oparła się dłońmi o jego tors.

– Uderz, Hernán – szepnęła, bawiąc się wiszącym na jego piersi koralikiem. – Uderz. Zdobądź Tenochtitlán. Spal domy, zburz świątynie. Wybij mężczyzn, oddaj w niewolę kobiety i dzieci. Wymorduj kapłanów, niech ich krew spłynie po ich własnych ołtarzach. Zrób tak, żeby po świecie piątego słońca nie pozostał nawet ślad. A wtedy poznasz naszą wdzięczność.

– Naszą? Malintzin, o kim jeszcze ty... – chciał zapytać.

Nie zdążył, bo zamknęła mu usta pocałunkiem.

*Wczesna wiosna 1521 roku, okolice Hueyotlipan*

– Pochwalony! Jak dobrze was widzieć, panie... *Santiago!*

– *Y cierra, España!* – odkrzyknął cokolwiek zdumiony de Sandoval, podnosząc się w strzemionach i patrząc na ciągnący z naprzeciwka orszak.

Na jego czele, prowadząc za uzdę jucznego osła obładowanego skrzynkami z narzędziami i gwoździami, szedł sam pan López. Ale jakże odmieniony! To prawda, że ekspedycja nie szczędziła nikogo, a ludzie chudli w oczach, pozbawieni dostępu do tak upragnionego tłuszczu i masła, ale to... Gonzalo byłby nie poznał cieśli, gdyby nie to, że tamten miał na głowie ten sam co zawsze kapelusz z czerwoną wstążką, teraz wypłowiałą od słońca.

Wypłowiałe zdawały się też wszystkie ubrania pana Lópezza – ale kolor chyba uciekł w jego skórę. Brązowe, opalone do granic możliwości, wysmagane wiatrem lico i ręce upodabniały go bardziej do jednego z Indian niż przysłowiowego „białego” człowieka.

Za cieślą zaś ciągnął istny ludzki wąż, wijący się po górskiej drodze jak okiem sięgnąć.

Tlaxcaltekwie dźwigali naręcza lin, maszerowali objuczeni pękami świeżo pociętych, oheblowanych desek.

W kilku nieśli ogromne, wygięte łukowato drewniane wręgi z wypalonymi rzymskimi liczbami.

Nieco dalej widać było, jak powoli przenoszą ponad zakrętem długą belkę stępki. O, a tam de Sandoval dostrzegł kolejną!

– Słodka matko... – wyrwało mu się mimo woli.

– A co, ładnie sobie radzą, ha? – Zadowolony z siebie cieśla zrównał się z nim, ściągnął z głowy kapelusz. – Moje uszanowanie dla pana kapitana, kłaniam się nisko. Jako już się rzekło, dobrze was widzieć, panie.

– My po was do Tlaxcali idziemy, panie López! Caudillo kazał, żeby w lasach was szukać!

– A tutaj Tlaxcala sama do was przychodzi, żeby szybciej i wygodniej było!

– Zatem skończyliście?!

– Nie no, gdzie tam! – López machnął ręką. – W połowie żeśmy robotę zostawili, bo nam się odechciało, a to na opał niesiemy... No co, co się tak patrzy pan kapitan na mnie? Pewnie, żeśmy skończyli! Inaczej by nas tu nie było przecież!

– Wolne żarty – burknął de Sandoval, kiedy kilku jego ludzi parsknęło tłumionym śmiechem.

– No już, nie boczcie się, panie. – López rozłożył ręce. – Skończone wszystko, teraz tylko pozostaje złożyć na miejscu!

– Pływają zatem?

– Oj, sam się pan kapitan prosi, żeby mu jeszcze coś powiedzieć. Jasne, że pływają! – Teraz to López obruszył się, urażony w profesjonalnej dumie. – Wodę żeśmy na rzece spiętrzyli, posprawdzali wszystko jak trzeba. Tylko bez uszczelnień i smołowania, rzecz jasna.

– No tak, tak, przecież że bez tego – zgodził się de Sandoval, o budowie statków mający co najwyżej mgliste pojęcie, ale nie lubiący przyznawać się, że nie wie, o czym mowa.

– No i tak pomyślałem, że skoro gotowe wszystko, to czemu by tych z Tlaxcali nie wykorzystać? Ciężko się było dogadać, to fakt, ale jak już ten cały Chichimecatecle pojął, o co chodzi... To teraz drałują tak, że ciężko za nimi nadążyć!

– I dużo ich z wami tutaj idzie?

– Tak jak żeśmy liczyli któregoś dnia, to będzie pod dziewięć tysięcy – wtrącił się jeden z ludzi López'a.

– Dziewięć tysięcy... – sapnął de Sandoval i znów spojrzał z niedowierzaniem na ciągnący się milami pochód tragarzy.

A niestrudzeni Tlaxcaltekwie szli i szli.

## Tenochtitlán

Zahred wmaszerował do sali tronowej Pałacu Białych Trzcin, ale nawet nie zadał sobie trudu wchodzenia na podwyższenie. Stanął tylko u jego stóp, ściągnął z głowy wymięty pióropusz, otarł ściekającą z czoła krew. Skinął na obecnych.

– Niech siadają.

Dowódcy oddziałów skłonili się oszczędnie, poczekali, aż ich Huēi Tlahtoāni jako pierwszy siądzie wraz z nimi w kręgu, po czym zajęli każdy swoje miejsce.

Tak się utarło, że spotykali się właśnie tutaj na codzienne popołudniowe narady. „Odprawy”, jak nazywał je sam najwyższy król, mimo że w języku *nahuatl* słowo nie miało tego znaczenia, które sam mu przypisywał.

Zasiadali na podłodze, niczym ich dziadowie w dawnych czasach, jeszcze zanim Mexikowie objęli rządy w Imperium Słońca.

Z początku byli zgorszeni, zażenowani tak rażącym obniżeniem standardu obyczajów: nie przystoi przecież, aby Huēi Tlahtoāni nie był otaczany należną mu czcią! Protokół, tradycja, obyczaj...

...wszystko to stawało się coraz mniej istotne w miarę tego, jak mijały kolejne dni ciągnącej się pozornie bez końca wojny.

Zahred najpierw siadał na tronie, a zaraz potem z niego wstawał.

Następnie zaczął na początku spotkań tylko stawać przy nim, żeby potem przysiąść na szczycie schodów.

W końcu siadał na pierwszym stopniu.

Aż przestał nawet tym zaprzętać sobie głowę.

Błyszczący złotem, ciężki od jadeitu i piór quetzala tron Huēi Tlahtoāni stał pusty, ale nie miało to znaczenia – ponieważ najwyższy król był pomiędzy swoim ludem.

Wychodził z pałacu skoro świt, a wracał dopiero po zmroku, o ile nie zostawał na noc gdzie indziej.

Jadł, pił i nierzadko sypiał wraz z wojownikami.

Razem z nimi nosił drewno na barykady.

Ściągał rannych z miejsc potyczek. Pomagał opatrywać, doglądał dochodzących do zdrowia.

Przelewał krew wrogów i nie szczędził własnej.

Stał przy płonących stosach pogrzebowych, mażąc twarz popiołem, jak zwykły człowiek.

Nie wdziewał szat ceremonialnych, nie otaczał się świtą dworaków. Jego nadejścia nie poprzedzało dudnienie bębnow i świst piszczałek, nie było przy nim akrobatów. Nie nosił wielkiego złoto-zielonego pióropusza ani jadeitowych bransolet.

A mimo to ludzie rozpoznawali go, gdziekolwiek się pojawiał.

I teraz siedział wśród dowódców, będąc nie mniej i nie więcej jak jednym z nich.

– Itzli pozwoli sobie zacząć, zanim przemówią wojownicy – nieproszony i niepytany odezwał się władca Domu Szeptów, po czym również nie czekając na zezwolenie, mówił dalej: – Itzli zdobył wiedzę, że na stronę białych przeszedł lud Purépecha, z ichnim *cazonci* Zincichą na czele.

– Ci sami, którzy nie chcieli mieszać się w naszą wojnę z białymi? – prychnął Zahred.

– Ci sami, o Najwyższy.

– Ilu ludzi?

– Póki co Purépecha nie wysłali Cortésowi wojowników. Dali im za to swoje kobiety za żony.

Któryś z wodzów parsknął i pokręcił głową z rozbawieniem.

– Purépecha sami noszą spódnice zamiast przepasek na biodra. Może to jednak byli ich wojownicy?

Kilku zaśmiało się, ale umilkli, widząc wzrok Zahreda.

– Coś jeszcze?

– Po tym, jak do Texcoco przybył orszak Tlaxcalteków, słyhać było stamtąd radosne okrzyki i bicie w bębny. Tlaxcaltekwie nieśli dużo drewna...

– Drewna? – zainteresował się Zahred.

– Tak, o Najwyższy. Ludzie Itzlego mówili mu, że były tam i belki proste, i wygięte, jak również długie i płaskie deski.

– To ważna informacja. Niech Itzli każe, żeby w dno jeziora przy brzegu wbito zaostrzone pale, ale tak, żeby nie wystawały ponad powierzchnię wody. To samo należy uczynić przy grobli prowadzącej ku Tlacopán.

– Tlacopán padło – warknął jeden z dowódców.

Zahred ze świstem wciągnął powietrze nosem, wyprostował się.

– Kiedy? – zapytał, patrząc w podłogę.

– Wczoraj nocą, o Najwyższy. Tlaxcaltekwie podpalili wiele domów i nadal łupią pałace.

– Niedobrze. Co jeszcze ma do powiedzenia Itzli?

– Tlaxcaltekwie, którzy nieśli drewno, teraz kopią kanał idący od jeziora w głąb lądu. Ponadto jeden z białych wodzów, niejaki Sandoval, ledwo przybył i już znów opuścił Texcoco. Mówią, że idzie ku Popocatépetl, rzekomo kierując się na Cuauhnahuac.

– Zatem biali chcą odciąć trasę na Xochichalco. Co powiedzą dowódcy? – Zahred zwrócił się do wojowników. – Xahuatl może powiedzieć im, że wrócił właśnie z Xicotencatlem od strony Chalco. Niestety, miasto już wpadło w ręce białych, ale Mexikowie pomścili jego obrońców.

– Xochimilco nadal się broni, o Najwyższy. Biali weszli do miasta, ale nie są w stanie ani iść dalej, ani zawrócić! – wyrzucił z siebie Nochehuatl.

– Coyoacán gotowy do obrony. Tragarze wynoszą skarby i żywność – odezwał się jeden z dowódców.

– Wojownicy Orła czekają w gotowości – zameldował Huexotli.

– Wojownicy odparli atak na Tlacateco, wzięli do niewoli czterech białych i dwa tuziny Tlaxcalteków! – z dumą podniósł głowę kolejny.

Zahred uśmiechnął się drapieżnie.

– Niech przygotują ich do wejścia na szczyt Wielkiej Świątyni. Zbliża się święto Etzalcuatliztli, więc tamci prosto z kamiennych ołtarzy zanoszą bogom wieść, że imperium broni się i nie ulegnie! Mexikowie nie przepadną, nie zagaśnie słońce nad Tenochtitlán! Z nami słońce!

– Z nami słońce! – zawołali zgromadzeni.

– Niech Xicotencatl weźmie swoich braci i wspomóż garnizon Coyoacánu, bo właśnie tam uderzą biali. Pozostali wojownicy niech nie wysuwają się nadmiernie daleko poza granice Tenochtitlán, bo biali będą uderzać wprost na miasto.

– Wojownicy nie przepuszczą ich po groblach! – buńczucznie zawołał któryś z weteranów.

– Biali nie będą szli groblami. Zamiast tego spróbują przepawić się przez wodę.

– Więc zatrzymają ich łodzie Mexików – rzucił Huexoch.

– Mexikowie mają wielkie serca i niezrównaną odwagę, ale tego może być za mało, żeby powstrzymać natarcie białych.

– Więc polegą w chwale, a pamięć o nich będzie żyła wiecznie! – Xicotencatl uderzył dłonią o udo.

Zahred spojrział na niego, uśmiechnął się smutno.

– Tak – powiedział. – Tego się właśnie Xahuatl obawia.



*Wybrzeże jeziora pod Texcoco,  
Poniedziałek Wielkanocny 1521*

– Puść! Puść, już!

– Puść!

– Luzuj, puuuść! Idzie!

Statek zatrzeszczał i zajęczał, z hurgotem zsunął się po drewnianej pochylni, po czym plasnął o taflę wody, rozbryzgując na wszystkie strony białą pianę. Zakołysał się w lewo i prawo, powoli oddryfowując od brzegu.

– Tak! – wrzasnął dziko Martín López, do tej pory kurczowo trzymający się stępki na dziobie. – Ju-huuu! Udało się, udało...! Panowie, na Boga, udało się! Pływa, pływa!

– Wiwat! – zawołał caudillo, klaszcząc w ręce. – Brawa dla pana Lópeza... Brawo!

– Niech żyje! Kastylia, Kastylia!

– Kastylia i król! – krzyczeli konkwistadorzy.

– Tlaxcala! – radośnie wołali ich sprzymierzeńcy, nierozumiejący ani doniosłości momentu, ani słów, ale doskonale wyczuwający nastrój powszechnej radości. – Tlaxcala... Śmierć Mexikom, śmierć Tenochtitlán!

Dzień był przepiękny, słoneczny i czysty. Po lazurowym niebie sunęły pojedyncze białe chmurki, przeglądające się w idealnie gładkiej toni jeziora omywającego brzegi zawieszzonego pośrodku bezmiaru błękitu Tenochtitlán.

Teraz jednak do zawieszonych na niebie białych plam dołączyła jeszcze jedna, jednakże postawiona na jeziorze – to rozwijający się żagiel załopotał i wydał schwytanym wiatrem, napinając liny.

Zatrzeszczały krążki i zaczepy, maszt wykonany z wiekowego drzewa w lasach pod Tlaxcalą zatrzeszczał

i zapracował, uginając się najdelikatniej, po czym pociągnął za sobą korpus świeżo złożonej brygantyny.

Tlaxcaltekwie, którzy nigdy wcześniej nie widzieli okrętów białych ludzi, patrzyli na to z niedowierzaniem i niemalże zabobonnym podziwem: ale jak to? Na pokładzie tak wielkiego *canoe* było raptem kilku ludzi, żaden z nich nie wiosłował, a łódź i tak płynęła?

– Dawajcie kolejną! – zakomenderował Cortés, dając znak czekającym już przy linach ludziom. – Do wieczora chcę wszystkie trzynaście mieć na wodzie! Zaś jutro...

– Muszą wody złapać, panie – błagalnie złożył ręce jeden z pomocników Lópeza, stojący przy caudillu. – Dosmołować je trzeba, drewno niech się ułoży porządnie. Dajcie je wypróbować, żeby potem, nie daj Boże...

– Argh, niech wam będzie! – warknął Cortés, ale zaraz pogroził mu palcem. – Tylko chcę mieć na nich wszystko jak najszybciej! Dwa, trzy dni wam daję i robimy próbę z pełnym obciążeniem!

– Z działami też?

– Ze wszystkim, mówię!

Cieśla skrzywił się, ale skłonił się tylko bez słowa.

Nic zresztą nie było do powiedzenia.



Ten sam spektakl okrętów wodowanych na wykopanym właśnie po to kanale, a potem wychodzących na otwarte wody jeziora obserwowali też z nabrzeża przy Tenochtitlán obrońcy miasta.

Tam jednak nie było radosnych okrzyków, nie było westchnień zachwytu. Nikt nie pokazywał palcami, nie otwierał ust ze zdumienia.

Zamiast tego były tylko zacięte kreski warg i coraz mocniej zaciskające się pięści.

– Xahuatl po raz kolejny miał rację – skwitował Itzli.

– Niech Itzli uwierzy, że wolałby się częściej mylić... Co powie na to Xicotencatl?

Młody wódz splunął z nienawiścią w wodę.

– Biali mogą mieć większe łodzie, lepsze pancerze i broń, ale nie złamią odwagi prawdziwych wojowników. Xicotencatl sam poprowadzi przeciwko nim atak, jak tylko zbliżą się do miasta.

– Xicotencatl nie dostanie się nawet do łodzi, bo jej burty są zbyt wysokie... to jest ściany – wyjaśnił Zahred.

– Xicotencatl wespnie się na nie!

– Jednocześnie unikając ciosów?

– Zatem... Zatem poczeka, aż biali z nich wysiądą! – sapnął młody wódz.

– No właśnie, i w tym szkopuł. Atakując białych, wojownicy przyjmą walkę na ich warunkach. Nie czyniąc tego, pozwolą im dotrzeć do Tenochtitlán – zasępił się Zahred.

– Xahuatl nadal jest przekonany, że miasto się obroni? – Itzli zerknął na niego z ukosa.

– Miasto się obroni! – naskoczył na niego Xicotencatl. – Meksykanie i Tlaxcaltekwie wspólnie zwyciężą, pokonają białych najeźdźców! Nie może być inaczej, skoro po ich stronie są bogowie!

Spojrzał na Zahreda, jak gdyby czekając, żeby ten poparł jego stanowisko.

Jednak tego dnia jego brat był nawet jak na niego skryty i zamyślony, pochłonięty własnymi myślami.

– Co z zapasami żywności? Co z wodą? – spytał Zahred, jak gdyby nie słysząc ani pytania, ani odpowiedzi na nie.

– Spichlerze są prawie pełne, wojownicy nadal wyprawiają się na brzeg. Biali jednak zaczęli wysyłać patrole, które pilnują upraw i sadów. Woda... Ciągłe powstają nowe studnie, tak jak rozkazał najwyższy król. Itzli nie rozumie jednak po co.

– Cortés nie zaatakujecie otwarcie. Najpierw odetną dostawy wody. – Zahred spojrział ku biegnącemu ponad jeziorem akweduktowi. – I postarają się zagłodzić Tenochtitlán, aby osłabić jego obrońców.

– Itzli uważa jednak, że...

– Że co? Że Xahuatl tyle razy miał rację, co sam mu Itzli dopiero co przyznał, a w tej jednej rzeczy się myli? Bogowie! – Zahred zaśmiał się, wznosił ręce ku niebu. – Jeśli słuchacie nas teraz, to sprawcie, aby Xahuatl zawsze już był głupcem, niepotrafiącym ocenić swoich wrogów!

– Xicotencatl nie chce, aby jego brat był głupcem. Niech tak nie mówi! – ofuknął go młody wódz.

– Czasami Xahuatl wolałby, żeby zamiast igrać z nim, bogowie po prostu odebrali mu rozum. Byłoby prościej... Czy Itzli wie już, ilu nowych żołnierzy przybyło do Cortésa z wybrzeża?

– Nie, o Najwyższy. Jednak obserwatorzy widzieli wiele skrzyń, koszy i pakunków.

– Zatem mają jeszcze więcej zaopatrzenia niż wcześniej. Ilu kolejnych władców przeszło na stronę Cortésa?

Itzli spojrział na niego spode łba.

– Wszyscy.

Zahred pokiwał głową. Znow przeniósł wzrok ku jezioru, na które wychodziły coraz to kolejne brygantyny.



– Hernán? Czemu nie śpisz? – doniosło się od strony posłania.

Cortés zamarł, zaklął pod nosem.

– Nie mogę zasnąć. Ty śpij, śpij. Ja się przewietrzę i zaraz wrócę.

– Też powinienes się wyspać. Jutro wielki dzień. Jutro upadnie Tenochtitlán – zamruczała Malintzin, przekręcając się na drugi bok i nakrywając pledem.

Hernán odsunął wiszącą w przejściu kotarę, wysunął się do przedsionka.

Zakonotował w myślach, że musi jutro obsobaczyć de Corię, który znów nie dopilnował, żeby wyznaczyć ludzi mających stać na warcie przy jego apartamentach, a potem wyszedł na dwór.

– Panie! – Wartownik przy bramie wyjściowej stanął na baczność.

– Spokojnie, żołnierzu, spocznij. Idę się przewietrzyć.

– Pójść z wami, panie? Względy bezpieczeństwa...

– Stójcie, gdzie wam kazali.

Cortés przeszedł ciemnym i pustym placem, minął kwatery Tlaxcalteków. Zostawił po prawej stronie domy, gdzie rozłożyli się kusznicy, a potem ulicą prowadzącą wprost na północ ruszył ku przedmieściom.

Nogi niosły go same, gdy tak szedł przez noc.

Świat wokół był pusty i cichy, spokojny, pogrążony w bezruchu. Tylko gdzieś daleko wołał jakiś ptak... Urywane, ostre szczekanie psa poniosło się echem ponad taflą wody, a potem zamarło w oddali.

Noc była dojmująco rześka, chłodne powietrze pachniało wilgotną trawą.

Nad jeziorem snuła się cieniusieńką warstewką mgiełka, przez którą widoczne w oddali Tenochtitlán wyglądało jak zawieszony w powietrzu.

Idąc brzegiem jeziora, Cortés dotarł niemalże do miejsca, gdzie zaczynała się grobla.

Powinien był zawrócić.

To w sumie nie było jeszcze terytorium przeciwnika, ale niebezpiecznie zbliżał się do ziemi niczyjej.

Zresztą nie dalej jak dwa tygodnie temu zapuścił się tą groblą z konnym oddziałem, dotarli prawie do miasta. Nim zorientował się, gdzie są, na dachach domów pojawili się dzicy. Musieli wywalczyć sobie drogę powrotną, stracili jednego kawalerzystę. Hernán sam już, już myślał, że są zgubieni.

A mimo to dali radę. Wycięli sobie odwrót, oderwali się od goniących ich Mexików.

Rozmyślając tak o wszystkim i niczym, szedł noga za nogą po pustej grobli.

W pół drogi pomiędzy dwoma światami: za nim była cywilizacja, porządek i wiara; przed sobą miał dzicz, chaos i pogaństwo.

On zaś, Hernán Cortés, był ogniwem łączącym stare i nowe.

To przez niego, za jego sprawą miał przepaść stary świat, który...

– Hernán.

Caudillo drgnął, podniósł głowę i zobaczył stojącego na grobli człowieka.

Dzielił ich może rzut kamieniem, może więcej.

Tamten stał na kamiennej główce jednego ze zwalonych mostów, których tak zawzięcie przez ostatnie kilka dni bronili

tubylcy, niepozwalający Tlaxcaltekom wysyłanym przez Cortésa ani zasypać wyrwy, ani przerzucić nad nią drewnianego pomostu.

U boku człowieka stał pies, którego oczy błysnęły, kiedy zwierzę obnażyło kły i zawarczało głucho, gardłowo.

– Zahred? – sapnął Cortés z niedowierzaniem.

Sięgnął ku szpadzie, do połowy wyciągnął ostrze z pochwy.

Zahred nie zrobił nic, stojąc tak, jak stał.

– Nie mam broni, Hernán – odezwał się. – Nie musisz się bać.

– Nie boję się! – warknął Cortés, nie puszczając jednak rękojeści. – Nie masz broni... Szkoda, co?

– Szkoda, owszem. Chociaż...

Zahred schylił się, podniósł i podrzucił w rękę kamień.

Cortés od razu skulił się, gotów odskoczyć w bok – a wtedy tamten zaśmiał się głośno, zarzucając głowę w tył. Machnął ręką, kamień plusnął niegroźnie w wodę gdzieś z boku.

– Poddajcie się! – warknął Cortés, czując, jak palą go uszy. W sumie cieszył się, że jest ciemno... Chociaż tamten diabeł pewnie widział nocą nie gorzej jak za dnia. – Poddajcie się, złożcie broń.

– I co, Hernán? Pozwolisz ludziom odejść wolno?

– Tak! Daję ci słowo, że...

– Nie. Twoje słowo jest nic niewarte, Hernán.

– Jak śmiesz! Jestem kastylijskim szlachcicem, a ty... ty...!

– Nie masz nawet cienia bladego pojęcia, kim jestem, Hernán.

– Jesteś diabłem! Demonem, Antychrystem w ludzkiej skórze... Władcą Much! – zawołał Cortés, dobywając szpady. – Chodź tu, nie boję się ciebie! Spowiadałem się wczoraj, przyjąłem Najświętszy Sakrament! Zakończmy to tu i teraz... Walcz ze mną!

– Nie.

– Tchórze!

– Nie mam broni, Hernán, dobrze o tym wiesz. Czemu nie byłeś tak odważny, kiedy miałem w ręku kamień? – Zahred przekręcił głowę rozbawiony. – A może twoja odwaga i honor ujawniają się tylko wtedy, kiedy mordujesz bezbronnych dla złota?

– Nie chodzi o złoto, Zahred!

– Tobie? Wyłącznie o złoto, Hernán. Złoto, władzę, podziw malujący się na twarzach ludzi. Rząd dusz.

– Nie masz racji – zaprzeczył Cortés.

– Owszem, mam. Niestety. Wiem, kim jesteś, Hernán, bo sam kiedyś taki byłem... Zanim zrozumiałem.

– Zrozumiałeś... co?! Że jesteś gotów wyrzec się naszego Boga, naszej wiary?! Sprzeniewierzyć się przysiędze wobec króla, którą...!

– Zanim zrozumiałem, kim naprawdę jestem i co się liczy w życiu. To mój dom, Hernán. To moi ludzie. Będziemy walczyć przeciwko wam do końca.

– Zahred, odstęp. – Cortés nagle zmienił ton. – Przysięgam, że pozwolę ludziom odejść. Nie skrzywdzę nikogo, jeśli tylko...

– Nie. Ludzie będą walczyć przeciwko tobie, Hernán. Nie zdobędziesz miasta. Zresztą teraz to już tylko kamienie i glina! – zaśmiał się Zahred.

– Powtarzam ci, że jestem gotów... co?

– Dokładnie to, co słyszysz, Hernán: Tenochtitlán teraz to jego ludzie, kamienie i glina. Nic więcej. Kazałem zebrać wszystko, co tylko było w nim wartościowego, a potem zatopić w jeziorze. Nie macie o co walczyć.

– Łzesz! – ryknął Cortés, czując jednak, jak robi mu się gorąco.



– Wiesz, że mówię prawdę, Hernán. Pełna wirów, żarłoczna i czarna głęбина Pantitlán ochoczo przyjęła nasz dar. Nie ma już skarbów, nie będzie nagród ani żołdu dla wojska.

– Kłamiesz, Zahred! Nikt przy zdrowych zmysłach nie poświęciłby takiego bogactwa!

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie poświęciłby tyle w imię bogactwa, Hernán. Ja wiem, że nie mówisz swoimi słowami, że masz głowę pełną jej myśli. Ale również wiem, jak ci pomóc, przyjacielu. Otworzę twoją pierś i wyciągnę bijące serce ku siedzibie bogów, wtedy od razu zrobi ci się lżej. Wtedy zrozumiesz.

– Odważne słowa, jak na dowódcę strony skazanej na przegraną! – Teraz to Cortés wybuchnął śmiechem.

– Owszem. Ale czyż nie jest właśnie tak, Hernán? Że dopiero kiedy wiesz, że nieuchronnie przegrywasz, masz szansę zmierzyć się z własnym strachem? Czy może jednak nadal sądzisz, że miarą człowieka jest to, ile dał radę osiągnąć?

– Zahred, po raz ostatni wzywam cię: poddajcie się! Nie macie szans! Jest was mniej, jesteście okrążeni! Dziś przerwaliśmy akwedukt, więc...

– Wasza strata, Hernán. Gdybyś to ty był otoczony w mieście bez wyjścia, ja raczej zatruliłbym wam ujęcie wody – przerwał mu Zahred. – Ale to bez znaczenia. Czy to twoje ostatnie słowa?

– Na Boga, tak!

– Zatem zapamiętaj: pewnego dnia będę patrzył, jak umierasz, Hernán.

– Przyjmuję wyzwanie! – zaśmiał się Cortés.

Zahred nie powiedział nic więcej. Odwrócił się, cmoknął na psa i ruszył groblą w kierunku Tenochtitlán.



## Rozdział 15

*1 czerwca 1521*

Zatrzeszczało przeraźliwie drewno, a ludzie wrzasnęli dojmująco, kiedy brygantyna niesiona wypełniającym żagle wiatrem wpadła prosto pomiędzy łódki Mexików, roztrącając na boki, spychając i miażdżąc kruche dłubanki.

Huknęło zamontowane na dziobie działo, kula pomknęła gdzieś daleko, niosąc się ze świstem ponad głowami stłoczonych w łódkach wojowników.

W odpowiedzi zaszumiały i zafurkotały strzały, niosąc deszcz śmierci pomiędzy skulonych na pokładach okrętów ludzi.

– *Mikistli niistaktli tlakuanotstin! Santiago y cierra, España!*  
– dwa nakładające się, zmieszane i splątane okrzyki poniosły

się echem ponad wodami jeziora.

Dwie siły starły się pośród błękitnej toni, która zaraz miała zabarwić się szkarłatem.

– Naprzód! – krzyknął Cortés, stojący na dziobie okrętu flagowego flotyli. – Wiatr nam sprzyja! Przebijamy się aż do miasta!

– Trzymać żagiel, nie popuszczać! – wydarł się Martín López.

– Nie popuszczać! – powtórzył tylko po nim de Villafuerte, nie wiedząc czemu mianowany przez caudilla kapitanem.

Licząca sobie aż trzydzieści dwa łokcie, niosąca bez mała cztery dziesiątki ludzi i żelazne działo na dziobie brygantyna parła przez mrowie indiańskich łódeczek, prowadząc za sobą całą kastylijską armadę.

Nie taki był plan.

Nie chcieli jeszcze walnej bitwy.

Owszem, mieli zamiar przepłynąć się po jeziorze.

Sprawdzić, jak poradzą sobie w szyku.

Może nastraszyć dzikusów.

A potem caudillo wskazał tamtą wyspę ze świątynią i zdecydował, że skoro już i tak są w pobliżu, to...

No właśnie.

Wylądowali. Zdobyli umocnienia. Szturmem wzięli piramidę, z której Indianie nadawali sygnały dymne. Bez szczególnego trudu wycięli obrońców.

Już mieli wracać do Texcoco, kiedy od strony Tenochtitlán zaczęły nadpływać łodzie.

Nim się obejrzel, było ich więcej, niż dało się zliczyć.

I nie mieli innego wyboru, jak albo wydać, albo przyjąć bój.

– Uwaga! – krzyknął ktoś, rzucając się ku burcie. – Wspinają się, są na pokładzie!

– Trzymać kurs, nie dać im się spowolnić!

– Aaa! Wdarli się, wdarli!

– Jezusie słodki, dostałem! Trafili mnie!

– Za dużo ich!

– Trzymaj ten ster prosto, człowieku! – wrzasnął López na jaśnie oświeconego pana de Villafuertego, który zamiast patrzeć prosto przed siebie, rozglądał się na boki jak ten debil.

– Trzymam przecież!

– Wcale że nie! Tam płynęliśmy, a ty skręcasz do lewej! Prosto trzymaj, bo tam mielizna była! Widziałem, jak się woda nad nią marszczy!

– Nie pouczajcie mnie! – zapiał de Villafuerte. – Ja tu jestem kapitanem! Nie będziecie kwestionować mojego dowodzenia, bo...!

Ale nie dokończył, bo w tym samym momencie brygantyna szarpnęła. Załoganci i walczący polecili w przód, wspinający się na burty Indianie z krzykiem pospadali, lecąc na łeb na szyję do wody.

Okręt zaś z donośnym trzaskiem zaszorował brzuchem po piachu.

Wytracił pęd, zwolnił.

I stanął.

– Jezus Maria... – zdążył tylko jęknąć pan López.

A potem na pokład wdarli się falą wyjący, wymachujący bronią Mexikowie.

– Opuścić okręt! Opuścić okręt! – wrzasnął de Villafuerte.

Puścił ster i chciał dać susa przez burzę, ale potknął się o zwój liny i wyłożył jak długi.

– Do broni! – ryknął Cortés.

Kastylijczycy rzucili się ku burtom, usiłując zepchnąć z nich już wspinających się na okręt Mexików, nie dopuścić kolejnych na górę. Tamci jednak łapali się czego popadnie,

włazili po deskach, czepiali się relingów i lin, próbując za wszelką cenę dostać się na górę.

López wyszarpnął miecz i skoczył prosto w najgęstsza cizbę.

Nie walczył o siebie.

Nie walczył o przeżycie, o zwycięstwo, o chwałę ani o króla czy cokolwiek tak abstrakcyjnego – bił się o ten okręt.

O ponad pół roku swojej ciężkiej krwawicy, niedospanych nocy, bolących pleców, bąbli na rękach, drzazg w palcach... które teraz miały przepaść przez tego idiotę de Villafuertego, mianowanego kapitanem tylko dlatego, że był starym znajomym Cortésa z Medellín!

Dlatego też pan Martín López rąbał, kłuł, siekał, kopał, bił i wrzeszczał niczym opętany, wymachując i kręcąc swoim mieczem dziwaczne zawijasy.

W pewnym momencie dostrzegł w jednej z łodzi człowieka w wielkim kolorowym pióropuszu – ani chybi wodza!

Nie myśląc nawet chwili, wypuścił miecz, wyrwał z zakrwawionych rąk leżącego na pokładzie strzelca wciąż napiętą kuszę z bełtem leżącym na łożu.

Poderwał do oka, wycelował, ściągnął spust.

Trzasnęła cięciwa, pocisk pomknął przez powietrze.

Indianin w pióropuszu zgiął się wpół, przechylił i z pluskiem wpadł do wody.

López patrzył na niego przez chwilę w niedowierzającym stuporze.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– *Santiago y cierra, España!* – wrzasnął wściekle, znów chwycił miecz i rzucił się na napastników.

Indianie nadal pięli się na pokład, ale widać było, że ich pierwszy impet osłabł. Błysnęło i huknęło zamontowane na dziobie działo, kula przeorała kruche dłubanki, rozrzucając na

boki ludzi i szczapy drewna; nadpływająca z pomocą okrętowi flagowemu brygantyna też plunęła ogniem arkebuzów, kosząc kolejnych dzikich.

– *Santiago!* – rozległy się okrzyki z drugiego statku.

– Odstępują! – krzyknął radośnie Cortés, widząc, jak łodzie Indian zaczynają uciekać poza zasięg ich kusz.

Kolejna jednostka zbliżyła się, osłaniając ich z drugiej burty. Znów zagrały arkebuzy i kusze, a ranni i zabici zabarwili wody jeziora czerwienią.

– Cumy! Rzućcie cumy, ściągnijcie nas na bok! – zakrzyknął López, składając dłonie przy ustach. – Od was jedna, tamtym dalej podajcie też... I bokiem do wiatru, bokiem, żeby nas nie wpychało! Knagować je przy dziobie, żywo!

– Podajcie cumy! – podchwycili tamci.

López popatrzył z pogardą na gramolącego się z pokładu de Villafuertego. Bezceremonialnie odepchnął go na bok, chwycił za ster.

– Żagle zrzucić! – zakomenderował. – Wszyscy na rufę, odciążyć dziób! Kto może, odpychać wiosłami w tył!

Okręt zatrzeszczał i zajęczał, kiedy liny naprężyły się i nieskończenie powoli zaczęły ściągać dziób brygantyny na bok, poza wyraźnie widoczną plamę mielizny.

Jezioro wokół nich aż się roiło od dłubanek, pomiędzy którymi sunęły podobne do pływających gór okręty. Indianie bezskutecznie podpływali ku burtom, próbowali ciskać oszczepy, rąbali drewno poszycia toporami... Na darmo! Gdziekolwiek przepłynęły brygantyny, zostawał za nimi tylko szlak skotłowanej, wzburzonej wody, na której unosiły się szczątki wojennych *canoe*, przemieszane z ciałami rannych i zabitych.

W końcu dno statku przestało szorować o piach i kamienie, jednostka zsunęła się z płycizny.

– Cumy rzuć, żagle staw! – zawołał radośnie López. – Dokąd teraz, admirale?!

Cortés otarł z czoła pot przemieszany z krwią, dysząc ciężko, rozejrzał się po jeziorze. W końcu pokazał ręką kierunek:

– Tam! Tam, gdzie te dwie piramidy... Na Boga, panie López! Ja was za te okręty ozłocę! Ile tylko powiecie, za taką robotę zapłacić jestem gotów!

– *Santiago!* – radośnie krzyknął cieśla, zwracając okręt i prowadzoną przezeń armadę ku nowemu celowi.



– Najwyższy! Biali najeźdźcy podpłynęli swoimi wielkimi łodziami i wysiedli na grobli w pobliżu Xoloc!

– Wzgórze Chapultepec stracone, akwedukt uszkodzony! Wodotryski w mieście wyschły...

– Wyspa Tepepolco upadła! Biali zabili wszystkich mężczyzn! Kobiety i dzieci wzięli do niewoli!

– Ich łodzie są niepokonane...

– Walki wciąż jeszcze trwają, mimo że słońce dawno już zaszło! Wojownicy muszą bić się nocą!

– Miasto jest zagrożone!

Narada tego wieczora była wyjątkowo burzliwa.

W sali zgromadzeń Domu Węża tłoczyli się już nie tylko wojownicy i wodzowie; pod ścianami stali też urzędnicy i zarządcy poszczególnych dzielnic, wysłannicy pomniejszych władców miast i miasteczek z okolicy. Ba! Nawet kilku udzielnych książąt i królów, do tej pory „bawiących przejazdem” w Tenochtitlán, zrzuciło w końcu pychę z serca

i swoją obecnością przyznało otwarcie, że nie mają dokąd wrócić, bo w ich pałacach i rezydencjach stoi teraz wróg.

Dlatego też nastrój po tak gwałtownym, zjadłym ataku białych był daleki od spokojnego. Zdawać by się mogło, że natarcie szło ze wszystkich stron naraz, od lądu i wody, w tak wielu punktach, że...

Zahred podniósł ręce, dając znak, że chce zabrać głos.

Rozgardiasz i gwar powoli się uspokoiły, przycichły. Do tej pory stojący, rozgorączkowani ludzie zaczęli powoli siadać na słomianych matach.

Huēi Tlahtoāni podniósł się, potoczył wzrokiem po obecnych.

– Niech wojownicy Tenochtitlán rozdzielą się na cztery armie: Jaguara, Orła, Quetzala i Kolibra! – przemówił. – Armia Jaguara dowodzić będzie Nochehuatl, którego wojownicy tak dzielnie stawali dzisiaj przeciwko białym na mostach. Armia Jaguara przeniesie się na północną groblę, biegnącą na Tepeyac...

– Najwyższy! – Nochehuatl zerwał się ze swojego miejsca. – Tam nie ma z kim walczyć!

– Dokładnie. Natomiast tam wojownicy Nochehuatla odpoczną przed kolejnymi starciami, zaleczą rany.

– Panie! Wojownicy rwą się do walki, chcą...

– Niech będzie posłuszny! – warknął Zahred, a kiedy Nochehuatl usiadł, odetchnął i mówił dalej: – Armia Orła pod dowództwem Huexocha stanie na drodze do Tlacopán, skąd nacierają biali na wielkich jeleniach.

– Tak jest, o Najwyższy! – Huexoch rozpromienił się, jednocześnie rzucając tryumfujące spojrzenie ku Nochehuatlowi.

– Następnie dowództwo nad armią Quetzala obejmie Xicotencatl.



– Tlaxcaltek ma dowodzić armią Imperium Słońca? – wyrwało się któremuś z dostojników.

Xicotencatl już wstawał, szukając bezczelnego wzrokiem. Zahred jednak spojrział na niego tylko, zmrużył oczy; młody wódz spochmurniał, usiadł.

– A czy obcy zza Wielkiej Wody ma być Huēi Tlahtoāni? – zapytał Zahred z przekąsem.

– Najwyższy! Jeśli tak zarządzili bogowie, to przecież...

– Niech milczy, bo najwyższy król nie jest zainteresowany odpowiedzią – wtrącił się Itzli. – To znaczy, że pytanie było merytoryczne.

– Retoryczne – mruknął Zahred.

– Retoryczne – gładko poprawił się Itzli, i tak zadowolony, że niemalże poprawnie użył jednego z dziwnych słów.

– Armia Quetzala pod dowództwem Xicotencatla przemieści się do Acachinanco, gdzie stawi czoła największym siłom białych na ich wielkich łodziach. Czy Xicotencatl podoła zadaniu? Czy jego wojownicy nie ulękną się ognia zaklętego w rurach?

– Xicotencatl walczył przeciwko ognistym rurom, kiedy Tenochtitlán nie znało jeszcze Xahuatla! – chępliwie zawołał młody wódz. – Dlatego też Tlaxcaltekowie nie ulękną się magii białych!

– Ani Otomi – doleciało skądś mruknięcie Maxcatla.

– Tlaxcaltekowie i tak nie boją się Otomi – odparł Xicotencatl.

– Maxcatl nie boi się...

– Dość – przerwał im Zahred. – Co do ostatniej zaś armii Kolibra, to dowodzić nią będzie Axtli.

Zgromadzeni w sali tronowej zaszumieli ponownie: jak to? Prosty wojownik z gminu, z pośledniego *calpulli* Aztacualco, miałby zostać postawiony na równi z wielkimi generałami

i wodzami? No tak, walczył i nawet wykazał się męstwem, ale to...?

Axtli wstał na miękkich nogach, skłonił się nisko.

– Najwyższy... Axtli dołoży starań, da z siebie wszystko!

– O nic mniej nie prosi go jego Huēi Tlahtoāni. Niech Axtli przygotuje miasto na walki, niech zbuduje barykady i zbierze kamienie na dachach domów! Niech obejrzy wybrzeże i zastanowi się, gdzie mogą chcieć wysiąść z łodzi biali.

– Axtli nie zawiedzie, o Najwyższy!

– Niech więc ruszają, i niech bogowie będą im przychylni!

– Zahred skinął.

Wstał z maty, sięgnął po leżący na schodkach podwyższenia tronowego topór i po prostu ruszył ku wyjściu, dowiązując pod brodą troki pióropusza bojowego.

### *Połowa czerwca 1521*

– Pan kapitan to nie za mało sypia przypadkiem?

Zahred podniósł wzrok, popatrzył na stojącego przed nim Rodriga.

Pokręcił głową, wbił lewą ręką igłę w zszywaną na prawym przedramieniu paskudną ranę, przesunął pod skórą i przepchnął na drugą stronę. Wyjął, delikatnie dociągnął nić z agawy, przełożył igłę na drugą stronę i znów wbił w ciało.

– Skąd taki pomysł, żołnierzu? – mruknął.

Rodrigo podszedł bliżej, przykucnął przed nim. Bezceremonialnie wyjął mu z rąk igłę, delikatnie przetarł kawałkiem leżącej obok szmatki krwawiące ramię dowódcy.

– A tak jakoś patrzę, że nierówno pan kapitan ścieg kładzie. Jak mi pan kapitan nogę zszywał wtedy na Hispanioli, to

równiutko było, jak na serwecie wielkanocnej. A teraz... Już ja bym lepiej zrobił.

Zahred westchnął, przymknął oczy i oparł się o ścianę, pozwalając tamtemu przejąć zszywanie rany. Ukłucie, palące przeciągnięcie bólu, znów ukłucie... I to koszmarne uczucie, kiedy nic ściągała ku sobie brzegi.

– Przesadzacie, żołnierzu.

– Może i przesadzam, panie kapitanie. Nie wykluczam, że tak. Ale coś licho pan kapitan wygląda. A ludzie się martwią.

– Ja? Licho wyglądam? – Zahred rozchylił powieki, popatrzył na Rodriga. – Wolne żarty.

– No, gorzej ode mnie. Ale mówię, ja się nie znam.

Zahred nawet nie odpowiedział.

Po prostu nie miał siły.

Walki trwały bez jednej przerwy, dzień w dzień, bezustannie.

Biali atakowali miasto, podsuwając się coraz bliżej i śmielej ku wybrzeżom Tenochtitlán.

Ich brygantyny sunęły wzdłuż grobli, a nawet zapuszczały się w przecinające miasto kanały, niosąc ogień, śmierć i zniszczenie.

Nie było dnia, żeby nie dotarła wieść o upadku którejś z pomniejszych twierdz, o zajęciu kolejnego przedmieścia, utracie jeszcze jednej reduty.

Zahred nakazał, aby Mexikowie ustawili kamienne parapety z blankami na wszystkich prowadzących ku miastu groblach, aby mieć się za czym ukryć przed ostrzałem z kusz i arkebuzów.

W najbardziej narażonych na atak miejscach wykopali doły pułapki, najeżone zaostrzonymi kołkami.

Warsztaty pracowały całe dni, osadzając na długich drzewcach zdobyte na Kastylijczykach ułamki mieczy, kosy

i noże.

Pod osłoną nocy mieszkańcy miasta wyprawiali się na groble, rozrzucając je i przekopując, aby uniemożliwić podejście wroga.

Za dnia przyływały brygantyny, a pracujący pod ich przykryciem Tlaxcaltekwie i Cholultekwie zasypywali powstałe dziury, dzięki czemu ich opancerzeni, niosący ognistą śmierć panowie mogli przesunąć się o kilkadziesiąt kroków dalej.

Nie dalej jak cztery dni wcześniej biali uderzyli na północną groblę, prowadzącą ku Tlatelolco, do tej pory umożliwiającą jeszcze ruch nielicznych transportów żywności.

Zahred też tam był, wraz z wojownikami Nochehuatla odpierając atak za atakiem. Trzymali się, kiedy nadeszła piechota. Uderzyli gwałtownie na kuszników pomiędzy salwami. Sprostali nawet szarzy kawalerii, mimo że jeźdźców były prawie dwa tuziny.

Natomiast kiedy po północy drugiego dnia walk nadpłynęły plujące ogniem brygantyny, Huēi Tlahtoāni z ciężkim sercem dał rozkaz do wycofania się.

Zeszli z grobli zdziesiątkowani, poranieni i ledwie żywi z wyczerpania. Ponurzy, że muszą oddać kolejny przyczółek.

Jednak żywi, jak to powiedział im sam Zahred.

– Pan kapitan niech się oszczędza trochę – rzucił Rodrigo, kończąc szew. – Trzyma się dalej od walki. Bo zaraz nie będzie w co igły wbić, żeby starego strupa nie zaczepić.

– Co wy nie powiecie, żołnierzu?

– Poważnie mówię, panie kapitanie. A te muchy, co... – Arkebuzer zawiesił głos. – Ahem. No więc tak. Czyli rozumiem, że one nie...

– Nie.

– Aha. To szkoda w sumie. Czyli pan kapitan teraz może, że tak to ujmę...

– Nie będziemy sprawdzać, żołnierzu.

– Tak. Nie no, jasne. Bo ja tak chciałem tylko powiedzieć, że... że w sumie to dla nas nie ma znaczenia.

Zahred znów otworzył oczy, łypnął na Rodriga z ukosa.

– „Nie ma znaczenia”, żołnierzu? Co nie ma znaczenia? Że wysłannik bogów jest zwykłym śmiertelnikiem?

– No... W sumie tak, panie kapitanie. Bo niech się pan kapitan nie obrazi, ale to nie o pana kapitana w tym wszystkim chodzi. W sensie o niego! – poprawił się Rodrigo. – Ale nie o to, czym pan kapitan jest... tylko...

– Tylko?

– Tylko kim.

Zahred wzdrygnął się, zamrugał.

Rozejrzał się.

Siedział sam na tarasie w Pałacu Białych Trzcin, oparty plecami o ścianę. Nie było przy nim nikogo oprócz pochrapującego i sapiącego przez sen Kefrena.

Z nie do końca zaszytej rany na zakrwawionym przedramieniu zwisała dyndająca na nici igła.

W oddali na jeziorze błyskały ogniem i huczały brygantyny.

## *Druga połowa czerwca 1521*

– Tędy! – Xicotencatl machnął ręką.

Podążający za nim oddział przemieszanych Tlaxcalteków i Mexików wił się niczym wąż w pełnych gruzu zaułkach i pomiędzy skorupami wypalonych domów przedmieścia.

Pod nogami wojowników chrzęściły kamienie i kawały tynku, spomiędzy których tu i ówdzie wystawały ludzkie ręce, nogi i włosy.

Od dawna nikt nie grzebał już trupów ani nie odciągał ich nawet na bok.

– Jeszcze jedna ulica, a potem wojownicy będą na miejscu, tak? – upewnił się Xicotencatl, zwracając się do idącego obok Axtlego.

– Tak, dokładnie! Piękny to dzień, kiedy dowódcy armii Quetzala i Kolibra wspólnie uderzą na białych! – odrzekł tamten ochoczo.

Xicotencatl skrzywił się, ale nie skomentował. Kiedy dowiedział się, że ich dwa wcześniej wyznaczone zgrupowania zostaną połączone, od razu czuł, że coś jest nie tak.

Przecież mieli robić różne rzeczy w różnych miejscach.

A skoro teraz robią je razem, to... To chyba oznaczało, że tamte rzeczy i miejsca przestały być istotne.

Albo, co najbardziej niepokoiło młodego wodza, że przestały być w ogóle.

No bo przecież przedmieście Acachinanco, którego miał bronić ze swoimi ludźmi Xicotencatl, dawno już zostało zajęte przez białych najeźdźców, a ich okręty pływały swobodnie po przecinających miasto kanałach.

Wybrzeże zaś, tak pieczołowicie przygotowane i umocnione przez Axtlego, zamieniło się w dymiącą stertę wypalonych gruzów, wzdłuż której maszerowały sobie wojska pod sztandarem Cortésa.

Czy to znaczyło, że przegrywali?

Nie.

W znanym Xicotencatlowi języku *nahuatl* „wygrać” i „przegrać” funkcjonowały tylko w formie dokonanej – albo coś było, albo nie. To był fakt, nie proces.

Jednak obaj byli teraz tutaj, przekradając się w kierunku bramy przy wejściu do miasta, którą po raz pierwszy udało się minąć nacierającym białym.

– Uwaga! – syknął Xicotencatl, przypadając do ziemi.

Reszta też od razu rozpląszczyła się na ulicy, przylgnęła do murów i załomów, kiedy w odległości strzału łuku od nich przesunął się po wodzie ogromny kształt brygantyny. Białe żagle lśniły oślepiająco w pełnym słońcu, czerniły się zięjące groźbą lufy armat i arkebuzów, spoglądających żarłocznie ku poszerzającemu się pasowi ruin miasta.

Jednak tym razem wróg nie zauważył dzielnych wojowników Imperium Słońca.

Wielka łódź minęła ich, po czym odbiła dalej od brzegu, żeby ominąć białe w dno pale, i wyszła na otwarte wody jeziora.

To była ich szansa, żeby pokonać ostatni odcinek drogi.

– Naprzód, za Xicotencatlem!

Przebiegli pustą przestrzeń dawnego placu przy magazynach ziarna, minęli dawno już opuszczone warsztaty tkaczy, po czym dopadli do na wpół zasypanej gruzem uliczki.

– Tędy! – odezwał się z tyłu Axtli. – Axtli zna drogę, teraz on pójdzie pierwszy!

Xicotencatl miał już coś powiedzieć, ale w tym samym momencie rozległ się przerażający syk, fuknięcie i potworny huk. Ziemia aż zatrzęsała się im pod nogami, ze ścian osypał się tynk.

– Biali mają ognistą rurę... Dobrze, niech Axtli prowadzi, byle szybko!

Pospieszyli pomiędzy ruinami domów, kierując się na plac przy Bramie Orła.

Już stąd widzieli, że bastion, do tej pory broniący wejścia do Tenochtitlán od strony grobli, został zdobyty. Z taką

pieczołowitością układany nasyp z cegieł był zniszczony i rozrzucony z ogromną siłą. Wszędzie wokół w kałużach krwi zalegały trupy obrońców, do ostatka trwających na wyznaczonych stanowiskach.

– W bok, bo tu już ich nie ma! – zakomenderował Xicotencatl. – Wojownicy podejną wzdłuż tej samej drogi, biali się tego nie spodziewają!

– Ale... – zająknął się Axtli. – Tam jest już Wielka Świątynia.

– Wielka czy nie, są tam biali najeźdźcy! Niech Axtli prowadzi!

Słyszeli już niosącą się od strony wielkiego placu wrzawę, klangor broni i okrzyki walczących. Aż wtulili głowy w ramiona, kiedy nierówną salwą parsknęły arkebuzy, a potem zarżały konie.

Xicotencatl oblizął wargi, zacisnął mocniej dłoń na rękojeści swojego miecza *macahuitl* i wykrzywił się złowieszczym grymasem, czując świeżą krew.

W końcu Axtli dał znak, w kilku wdrapali się na pobliski dom i na brzuchach przepełzli ku krawędzi dachu, żeby stamtąd popatrzeć na teatr działań.

Po raz pierwszy od roku biali najeźdźcy stali na placu przed Wielką Świątynią.

– Ognia! – zawołał ktoś z Kastylijczyków.

Szponton opadł na panewkę, syknął proch – działo bluznęło ogniem i dymem, śląc kulę prosto w ściśniętą w przeciwległym końcu placu ciżbę obrońców. Ludzie zawyli nieludzkim głosem, kiedy żelazny pocisk wpadł pomiędzy ściśnięte ciała, odbił się od ściany i rykoszetując, poleciał w bok.

Chwilę potem z szeregów wypadli konni, gnając prosto na przerażony oddział obrońców miasta. Tamci z przerażonym skowytym rzucili się na boki, próbując umknąć czworonogim



potworom; część zaczęła wspinać się po schodach świątyni, licząc na schronienie w świętym przybytku.

– Musimy uderzyć! – syknął Axtli, chcąc już zerwać się i rzucić do walki.

Xicotencatl jednak przytrzymał go, z napięciem obserwując rozwój wydarzeń.

– Nie! Niech Axtli patrzy, wielkie jelenie oddalają się... Niech wojownicy się przygotowują! – rzucił przez ramię. – Bo oto nadchodzi dzień ich wielkiej chwały... Jeszcze kilka uderzeń serca... Jeszcze... Niech uważają... Tenochtitlán! Z nami słońce!

– Z nami słońce! – zawyli wojownicy, wypadając z kryjówek i rzucając się ku pozycjom białych.

Xicotencatl po prostu poderwał się, podbiegł dwa kroki do krawędzi dachu i skoczył, celując prosto w stertę gruzu.

Spadł na nią ciężko, przekoziółkował i zleciał na sam dół, ale tam przeturlał się, zerwał na nogi i co sił rzucił ku zaskoczonym Kastyljczykom.

Nie spodziewali się ich tutaj, to było pewne.

Przebili się na tyle daleko od Bramy Orła, że musieli być przekonani, że za nimi nie ma już nikogo.

W normalnych warunkach, rok temu? Mieliby zapewne rację. Żaden z wojowników nie zaatakowałby przeciwnika w walce ani z boku, ani z tyłu, nie obwieszczając wcześniej chęci stoczenia z nim pojedynku.

Ale to nie był pojedynek, biali zaś nie byli przeciwnikiem.

Trwała wojna, a oni byli po prostu wrogami.

Jakiś kusznik obrócił się do Xicotencatla, podnosząc już swoją broń – ale nie zdążył strzelić, bo kamienny miecz uderzył go straszliwie, niemalże odrabując ramię i otwierając klatkę piersiową.

Axtli wpadł pomiędzy stojących nieco z boku zaskoczonych Cholulteków, bijąc swoją maczugą jak popadnie po głowach

i ramionach.

Za nimi rzucili się kolejni wojownicy.

– Uwaga, atakują z tyłu! – pomknął okrzyk po szeregach Kastylijczyków.

Ale w tej samej chwili z drugiej strony placu posypały się strzały i kamienie: to nieco spóźniony bratni oddział w końcu przedostał się przez gruzowiska i uderzył na odsłoniętą flankę białych.

– Z nami słońce!

Axtli trzasnął maczugą w tarczę Texcocańczyka, obrócił broń w rękę i uderzył raz jeszcze, kiedy tamten opuścił zasłonę – kamienna głowica uderzyła w przedramię przeciwnika, który zawył z bólu i wypuścił broń.

Kolejny wróg padł, uderzony w bark, nawet nie wiedząc, skąd nadszedł cios.

Axtli rzucił się ku następnemu...

...i zbyt późno zauważył kątem oka, jak coś wznosi się nad nim na tle ciemniejącego przedwieczornego nieba.

Zdążył obrócić się, zasłonić tarczą i wznieść broń do ciosu, kiedy konny Kastylijczyk opadł w dół, uderzając zaciśniętą pod pachą lancą.

Ostrze przeszło przez wiklinową tarczę niczym przez papier, przebiło płócienny napierśnik i zagłębiło się pomiędzy żebra.

– Agh...! – krzyknął Axtli, wypuszczając z rąk miecz.

Na chwilę zawisł tak, nanizany na długie drzewce niczym ryba na oścień.

Kastylijczyk krzyknął tryumfalnie i szarpnął lancą w tył, chcąc uwolnić ostrze.

Lecz Axtli odrzucił tarczę, resztką sił chwycił oburącz za drzewce.

– Z nami słońce! – wyrzucił z siebie wraz z krwią, patrząc wprost w rozwarte zdumieniem oczy przeciwnika, który przed chwilą zadał mu śmiertelny cios.

Jeździec szarpnął lancą jeszcze raz, jego koń kwiknął niespokojnie – i wtedy rzucili się na niego pozostali wojownicy.

Jeden złapał za drzewce lancy, kolejny uwiesił się na strzemieniu kawalerzysty.

Następny nieumiejętnie chwycił za ogłowie rumaka.

Jeszcze któryś ze skowytem skoczył, złapał Kastylijczyka za przedramię, uwiesił się na nim całym swoim ciężarem.

Rumak zatańczył, wierzgnął. Jeździec stracił równowagę i przechylił się prosto ku już wyciągającym się po niego dłoniom.

Axtli osunął się na ziemię i przewrócił na bok, wciąż trzymając oburącz drzewce tkwiącej mu w piersi lancy.

Gasnącymi oczami widział, jak Tlaxcaltekwie ściągają białego z konia, zrzucają na ziemię i biją, biją bez opamiętania.

– Nie przepadnie... Tenochtitlán... – wycharczał jeszcze, nim jego dusza uleciała ku otchłanom Mictlānu.



Caudillo Hernán Cortés potoczył po swoich ludziach ponurym wzrokiem.

– Meldować o stratach! – warknął.

Kapitanowie zamruczeli, spuszczać głowy. Widać było, że żaden nie spieszył się zanadto do chełpienia się tą mniej chwalebnią częścią zmagañ wojennych.

Owszem, wiedzieli już wszyscy, że sam caudillo też nieźle dostał po nosie. A podobno był już ze swoim oddziałem za

Bramą Orła, rzekomo rozstawili już artylerię na wielkim placu!

I co z tego, skoro pozwolili dzikusom zająć się z boków?

Stracili podobno wielu Tlaxcalteków i Cholulteków, zostawili na placu trupy kilku dobrych ludzi, wśród których znalazło się dwóch kawalerzystów. A co najgorsze, odstępując w pośpiechu, nie dali rady zabrać największego działa! Widzieli potem, jak dzikusy, wyjąc radośnie i podskakując, zawłokły armatę ku grobli i utopiły w jeziorze.

Natomiast żaden z nich nie miał czym się chwalić.

– Pięciu pieszych, jakaś setka Tlaxcalteków – jako pierwszy odezwał się de Sandoval. – Za to dotarliśmy prawie pod pałac Axayacatla.

– „Prawie” – sarknął Cortés. – Prawie wam się udało, panie. Prawie zatem wam winszuję!

– Prawie pokornie dziękuję. – De Sandoval skłonił się przesadnie, uśmiechając się pod nosem. W sumie to wykpił się niewielką reprimendą, a caudillo nie zapytał go przecież o straty wśród kuszników ani konnych!

– Od strony Tlacopán też nic szczególnego. Tuzin naszych zabitych, dwa razy tyle rannych – warknął Alvarado, trzymający ręką opatrunek przy paskudnie draśniętym, puchnącym oku.

– Dzicy dostali się na dwie brygantyny, które wbrew moim zaleceniom i prośbom zapuściły się zbyt głęboko w kanały miasta – odezwał się Martín López, od czasu blamażu pana de Villafuertego pełniący funkcję dowódcy floty. – Stracili w sumie ośmiu ludzi. Jak na nieszczęście, polegli obaj kapitanowie. Jakby dzicy wiedzieli, kogo atakować...

– Wiedzą, bo mówi im to ten diabeł Zahred! – Cortés z pasją uderzył dłonią o dłoń. – Zna naszą strukturę, wie, jak wygląda łańcuch dowodzenia... Do cholery jasnej! Którzy zginęli?

– Kapitanowie Juan Portillo i Pedro Barba, miłośnicy panie.

– Ot, nie nawojował się z nami za długo pan Barba... No nic, niech mu ziemia lekką będzie. Kto dalej? No mówcież! – Cortés podniósł głos, patrząc na kapitanów. – Przecież nie każę was batogami smagać ani ogniem palić... Na Boga, jesteśmy na wojnie, panowie! Muszą być straty w ludziach i sprzęcie.

– Byle nie w naszych – rzucił de Alvarado.

– O, to, to! To jest ten duch, to jest to myślenie! – przytaknął Cortés, pokazując na niego palcem. – Dlatego powtarzam: ślijcie przodem dzikich! Niech idą nasi sprzymierzeńcy z Choluli i Tlaxcali, niech się wykażą nowi z Texcoco, Huexotzinco i tego całego Tzutzitzan...

– Tzintzuntzan, panie – podpowiedziała Malintzin, stojąca za Cortésem.

– No to mówię przecież właśnie! No już, śmiało!

– Trzech konnych, dwaj arkebuzerzy i czterech piechurów.

– Jedenastu pieszych i kusznik.

– Dwóch ludzi, ale obaj od Narváeza jeszcze, więc strata niewielka.

– Ośmiu.

– Pięciu.

– Czterech...

Cortés słuchał ich, rachując w myślach straty. Jakkolwiek by obracał arytmetykę tej wojny, to zawsze wychodziła na jego niekorzyść: każdy zabity Kastylijczyk był stratą nie do powetowania.

Na liczbę ginących Indian – czy po jednej, czy po drugiej stronie – nie zwracał nawet uwagi.

Natomiast zażartość walk miejskich przerażała nawet jego.

– Są uparci, panie – odezwał się wreszcie de Grado. – Biją się o każdą ulicę. Ba! O każdy cholerny dom. Co z tego, że

w dzień dajemy radę ich odrzucić, zasypać kanały i oczyścić ulice, kiedy oni nocą wracają w te same miejsca? Wczoraj przecież zbudowaliśmy szaniec dla artylerii, a rozebrali go tak, że śladu po nim nie ma!

– W niektórych miejscach nie da się już przejść, tyle trupów leży – kwaśno zauważył de Sandoval.

– No i trzeba będzie chyba zaraz wszystkich wybijać, jak tak pójdzie. Uwierzycie, że na moich ludzi dzisiaj wyleciały kobiety z włóczniami? – De Lugo rozłożył ręce. – Kobiety!

– Prawda, prawda! Coraz częściej się widzi, jak za broń chwytają.

– Panie, całe to miasto jest przeciwko nam.

Malintzin nachyliła się do Cortésa, szepnęła mu coś do ucha.

Caudillo zmienił się na twarzy, pobladł. Sięgnął ręką do wiszącego mu na szyi koralika, bezwiednie pogładził go palcami. Zapytał ją o coś półgłosem, ona odpowiedziała i kiwnęła głową.

Cortés wstał ze swojego miejsca, zaczerpnął tchu.

– Panowie... Nie mamy innego wyjścia, jeśli chcemy stłumić tę rebelię w zarzewiu. Bóg mi świadkiem, że chciałem przekazać miasto naszemu królowi, jako piękne i cenne trofeum wojenne... Ale nie mogę z czystym sumieniem dać mu zatrutego daru! Dlatego...

– Nie chcecie chyba się wycofać? – rzucił de Alvarado. – Teraz?! Po tym wszystkim?!

– Dlatego widzę, że nie mamy innego wyjścia, jak wypalić tę zarazę ogniem.

Ludzie popatrzyli po sobie, wstrząśnięci i zdumieni.

– Chcecie powiedzieć, panie, że...

– Tenochtitlán ma spłonąć – szepnęła bezgłośnie Malintzin.

– Tenochtitlán ma spłonąć!

## *Koniec czerwca 1521*

Zahred stał na szczycie Wielkiej Świątyni i patrzył, jak Kastylijczycy podkładają ogień pod kolejne zabudowania.

Od kilku dni podchodzili pod miasto o świcie, pod osłoną porannej mgły. Najpierw wyłaniały się z niej brygantyny, potem na brzeg wysypywali się piechurzy i konni, aby zabezpieczyć przyczółek – następnie zaś zjawiali się ludzie z pochodniami.

Szli metodycznie, ulica po ulicy, rząd po rzędzie domów, obracając przedmieścia miasta w perzynę.

Nie zważali na nic, nie czynili rozróżnienia – po prostu wpadali pomiędzy zabudowania, podkładając ogień pod wszystko, co tylko mogło się palić. Czasami kusznicy strzelali zapalonymi bełtami, a wtedy ogień od razu roznosił się daleko i szeroko, wybuchając w kilkunastu punktach naraz.

Zdarzało się, że czekali, aż z płonących domów zaczną uciekać ludzie. Ustawiali się w wylotach uliczek, czekając, aż żar sam zagoni próbujących umknąć śmierci w płomieniach, poparzonych, oszalałych ze strachu uciekinierów pod ich miecze.

A kiedy indziej po prostu blokowali ulice albo podpalali kwartały z kilku stron, żeby cywile nie mieli żadnej drogi ucieczki.

Ludzie ratowali się jak tylko mogli. Skakali na dachy sąsiednich domów, próbowali uciekać kanałami. Przeprawiali się wpław tam, gdzie sądzili, że będzie bezpieczniej.

Niektórzy walczyli... A inni po prostu czekali na nieuniknione.

Kobiety. Dzieci. Starcy. Chorzy, słabi, starzy... Ci nie mieli szans.

Kiedy domy wypaliły się, zostawiali je do następnego dnia, aby ostygły, a kamienie popękały – potem zaś wpuszczali na nie

Tlaxcalteków z motykami i młotami, aby wyburzyli pogorzelska.

Gruz wynosili na boki albo używali go do zasypywania kanałów, którymi już nie mogły swobodnie poruszać się mexické łodzie.

Nadal płonął jeszcze pałac Axayacatla.

Dymiły pawilony Domu Ptaków, którego sal już nigdy miał nie wypełnić radosny trzask pierzastych mieszkańców.

Ogień pełgał ponad dachami dzielnic mieszkalnych, wydobywał się wraz z kłębamii dymu przez okna warsztatów.

I po każdym takim dniu na szanćach zajętych przez Mexików pojawiały się tłumy uciekinierów. Półżywych z przerażenia. Z obłędem w oczach. Otępiałych. Poranionych, osmalonych. Z płaczącymi dziećmi na rękach, dźwigających resztki dobytku całego życia.

Płacz, zawodzenia, bezskuteczne nawoływania bliskich, którzy oddzielili się podczas panicznej uciezki. Złorzeczenia na białych najeźdźców i ku niebiosom, które nie chciały pokarać bluźnierców za takie okrucieństwa.

A następnego dnia biali powracali.

Zahred zaś wiedział, że będą wracać tak długo, aż...

Xicotencatl podszedł do niego z tyłu, położył mu rękę na ramieniu.

– Musimy ruszać – powiedział. – Tutaj nie ma już nic.

Zahred spojrział na niego szklistymi oczami, kiwnął machinalnie głową.

– Tak, tak. Niech Xicotencatl zbierze już wojowników i idzie z nimi do Tlatelolco.

– Xahuatl dołączy do nich? – zapobiegliwie zapytał młody wódz.

– Tak, niech brat Xahuatla się nie obawia. Xahuatl nie zamierza bohatersko ginąć... Jeszce nie.



– Niech więc idzie z Xicotencatlem!

– Xahuatl chce na chwilę zostać sam na sam z Tenochtitlán.

Xicotencatl zawahał się, ale w końcu poklepał tylko Zahreda po ramieniu, ostrożnie pogłaskał Kefrena i odszedł. Machnął na czekających już wojowników: ruszamy!

Natomiast Zahred obrócił się, znów patrząc na miasto w agonii.

Sunące wzdłuż brzegów brygantyny pluły ogniem arkebuzów w dzielnice mieszkalne, krusząc mury i zamieniając domy w sterty dymiących gruzów.

Tlaxcaltekwie wpadali w obojścia, wyrzynając wszystkich tych, którzy nie zdążyli uciec bądź po prostu nie usłuchali obwoływaczy wzywających do opuszczenia miasta.

Kastylijczycy stali w bezpiecznej odległości, patrząc na dokonujące się dzieło zniszczenia.

Oni zaś, obrońcy Imperium Słońca, wycofywali się do jedyne miejsce, gdzie jeszcze można było się bronić: do pobliskiego Tlatelolco, na które uderzyć można było tylko łądem od strony Tenochtitlán.

Kiedy zaś ono padnie, to...

Zahred potrząsnął głową, odganiając ponure myśli.

– Nie upadnie Tenochtitlán, póki z nami słońce – warknął.

Po czym wziął tobolek ze swoimi rzeczami i ruszył śladem pozostałych.

### *Lipiec 1521, przedmieścia Tlatelolco*

Tlapanecatzin dał susa, niczym dziki jaguar wyciągając się w locie.

Kamienne ostrze jego topora cięło po odsłoniętym ramieniu białego najeźdźcy, który krzyknął przeraźliwie

i upadł, wypuszczając z ręki długie drzewce, na którym łopotała chorągiew.

Wojownik chwycił sztandar, przeturlał się w bok i pocwałował pomiędzy budynki, wrzeszcząc tryumfalnie:

– Tlapanecatzin zdobył sztandar wroga! Biali przegrali bitwę, biali są pokonani... Sztandar wroga zdobyty!

– Jezus Maria, zabrali nam chorągiew! – krzyknął przeraźliwie któryś z Kastylijczyków.

Ale było za późno.

Na wiele rzeczy było już chyba za późno.

Cortés zadał cios szpadą i ledwie dał radę zasłonić się przed kolejnym dźgnięciem długiej włóczni, która zgrzytnęła o hełm niebezpiecznie blisko jego odsłoniętej twarzy. Odepchnął przeciwnika, sam odskoczył w tył, pomiędzy swoich.

Rozejrzał się desperacko.

– Nie utrzymamy się, panie! – zawołał ktoś z jego ludzi. – Trzeba zawrócić!

– Za dużo ich!

– Aaa! Pomocy, złapali mnie...

– Ratunku! – ze wszystkich stron niosły się przerażone krzyki.

A było już tak dobrze.

Tak blisko, pomyślał Hernán.

Mieli przecież tych dzikusów na widelcu, zagnanych w kozi róg!

Plan sprzed kilku dni był zarazem dość przebiegły, jak i debilnie prosty: domknąć oblężenie, połączyć rozproszone siły dowódców i wspólnie uderzyć na broniących się jeszcze dzikusów.

Sandoval miał z rozmachem przystąpić do rzekomego zwijania obozu na północnym brzegu jeziora, jednocześnie zostawiając na lądzie ukrytych konnych, dzięki czemu potem

szarżująca po grobli kawaleria miała szansę uderzyć na niczego niespodziewających się Indian.

Piechota Sandovala miała dołączyć do Alvarada i wspólnie poprowadzić natarcie z zachodu.

Sam Cortés wszedłby do miasta południową groblą, przez Bramę Orła, a potem planował rozdzielić siły na trzy części, aby idąc tyralierą, wyprzeć z ruin niedobitki Mexików.

Następnie wszystkie oddziały miały połączyć się i wspólnie uderzyć na Tlatelolco, nie obawiając się już ataków na flanki ani tyły.

Tak też się zaczęło. Szło bez przeszkód, jak z płatką!

Główna kolumna Cortésa bez trudu zdobyła dwa kolejne mosty, wzięła szturmem parę barykad i dotarła aż do Tlatelolco. Tutaj jednak wszystko niespodziewanie się skomplikowało – ponieważ owszem, każdy znał wielki rynek, na którym przecież bywali... Ale nie miał zielonego pojęcia o tym, jak wygląda miasto poza jego obrębem!

Nie było tutaj ani szerokich, prostych ulic, którymi mogły posuwać się czworoboki piechoty, ani regularnej siatki zabudowy, pozwalającej oddziałom konnych orientować się w przebytych odległościach.

Tlatelolco było jakąś cholerną plątaniną, zasranym labiryntem kluczących uliczek – coraz węższych, klaustrofobicznie ciemnych – i ślepych zaułków.

Teraz zaś, kiedy ariergarda ich natarcia nagle ugrzęzła, uderzona z flanki kontratakiem Mexików, zaczęło się robić mocno nieprzyjemnie.

– Czekać... Czekać tutaj, utrzymać pozycję! – zawołał caudillo, dopadając do trzymanego przez przybocznych konia. – De Morla, de Grado, za mną! Sprawdźmy drogę odejścia!

Przecisnęli się przez tłum, pogalopowali uliczkami w kierunku, z którego przyszli.

Jeśli dzicy nie zdołali dotrzeć aż tutaj, to warto będzie się cofnąć, przegrupować na spokojnie.

Już widział groblę, którą wchodzili wszyscy do miasta.

Mijali ją przecież nie dalej jak godzinę temu.

– *Madre de Dios...* – sapnął Cortés, osadzając konia w miejscu.

Owszem, na grobli nie było Indian.

Ale nie było też sporego kawałka samej grobli.

– Co? Ale jak?! – wykrzyknął de Grado, patrząc na ziejącą w trasie wyrwę.

Wielki kanał dzielący obydwie sąsiadujące miasta nie był już wypełniony gruzem, kamieniami i ziemią jak wtedy, gdy szło tędy ich wojsko. Teraz na szerokości dobrych kilkunastu kroków falowała w nim burozielonkawa, mętna woda, po przejściu zaś nie było nawet śladu.

– Czary! – jęknął de Morla.

– Brednie! – burknął Cortés, sam nie do końca przekonany, czy aby de Morla nie ma racji. – Musieli rozkopać kanał, gdy przeszliśmy... Ten dureń Alderete miał tego pilnować! To nic, wycofamy się do drugiego przejścia, a tam...

Jednak nie dokończył, bo wtedy nad miastem rozległ się wysoki, świdrujący w uszach trzel piszczalki, na przemian wznoszący się i opadający, niczym śmiertelne zawrozczenie strzygi. Konie parsknęły, niespokojnie przestępując z nogi na nogę.

A potem piszczalce odpowiedziała druga.

I trzecia.

I następna, a po niej jeszcze kolejna.

Rozbrzmiały gongi, rogi i trąby, zadudniły bębny – a potem ponad wszystko wybiło się aż nadto dobrze znajome chóralne wycie z wielu gardeł:

– *Mikistli niistaktli tlakuanotstin!* Śmierć białym najeźdźcom!

Miasto zaś, do tej pory pozornie wyludnione i wymarłe, nagle ożyło.



– Śmierć najeźdźcom! – ryknął Zahred, na czele wojowników wypadając wprost na stojących w zdumieniu białych.

Czekali na nich w ukryciu od świtu.

Leżeli pod słomianymi matami. Stali w zablokowanych zaułkach. Cierpliwie siedzieli w wykopanych pod domami jamach. Nie śmieli nawet drgnąć, nawet głębiej odetchnąć, kiedy tlaxcalteccy zwiadowcy kręcili się po gospodarstwach, węszyli w obejściach i wywlekali na zewnątrz łupy, celowo pozostawiane w łatwych do znalezienia skrytkach.

Czekali, aż tamci wejdą odpowiednio głęboko w miasto, realizując jedyny możliwy do wykonania plan natarcia.

Od dwóch dni Zahred szykował swoich dowódców na tę chwilę.

Cierpliwie tłumaczył zawilości taktyki i strategii. Rozkładał na czynniki pierwsze każdą fazę działania, aby w pozbawionym trybów warunkowych, nieznanym pojęcia wyboru wielokrotnego języku *nahuatl* wyłożyć w zrozumiały sposób koncepcję, która ledwie mieściła się w jego własnym umyśle.

Wiedział, że na kolejny atak, na jeszcze jedną tak wielką akcję zwyczajnie nie będą mieli ani siły, ani szansy.

Jeśli miało się udać, to teraz.

To był ich łabędzi śpiew.

Ostatnia pieśń wielkiego Tenochtitlán.

– Z nami słońce! – zawołali jego wojownicy, z impetem wbijając się pomiędzy najeźdźców.

Zahred ciął straszliwie siekierą w lewej ręce, machnął na odlew prawą – ostrze z chrzestem wbiło się w skroń jakiegoś Tlaxcalteka z oddziału Cortésa.

Wyszarpnął od razu żeleźce, barkiem odepchnął na bok kolejnego, zaklinował już sunący ku niemu grot włóczni i okręcił się, wyłuskując wrogowi broń z rąk.

– Śmierć białym! – wrzasnął dziko Xicotencatl, wybiegając wraz ze swoimi braćmi Tlaxcaltekami z sąsiedniego zaułka.

– W tył, w tył! – poniosło się wołanie ponad szeregami Kastylijczyków.

– Uciekajcie! – wybił się nagle ponad wszystko to przeraźliwy głos wołający po hiszpańsku. – Caudillo nie żyje, Meksykanie atakują!

– Aaa, Jezus Maria! Józefie Święty, jest ich za dużo! – z drugiego końca placu rozległ się kolejny wrzask.

– Uciekać! Wycofać się, uciekać! Są za nami!

– Są za nami! Weszli nam na tyły!

– Wycofać się!

– Caudillo poległ!

– W tył, uciekać! Sztandar upadł, caudillo nie żyje!

Oddziały, które jeszcze chwilę temu cofały się w jakim takim szyku i porządku, nagle rzuciły się w tył bezładną falą. Ludzie zaczęli pchać się jeden przez drugiego, krzycząc. Ktoś rzucił broń, inny zerwał z głowy hełm.

Znów rozbrzmiały przeraźliwym jękiem piszczałki, potęgując narastający chaos.

I wtedy nagle wszystko pękło, odwrót zaś zamienił się w paniczną ucieczkę.

Ci, którzy dotarli już do rozkopanej grobli, zawracali i próbowali się cofnąć – ale wpadali na wciąż pchających się na nich towarzyszy, usiłujących przedostać się do rzekomo bezpiecznego przejścia.

Konie wierzgały i rzucały się w tłoku, roztrącając piechurów, tratując tych, co upadli pod nogi towarzyszy.

Tłum odepchnął obsługę od dział, rozdzielił trzymających się przy beczułkach z prochem arkebuzerów.

Kusznicy nie mieli jak naciągnąć cięciw.

Pikinierzy wypuszczali z rąk drzewca długich, zaczepiających o wszystko włóczni.

Co poniektórzy ludzie zrzucali pancerze i hełmy, próbując wpław przeprowić się przez kanał – ale tam czekały na nich już zwinne łodzie pełne żądnych krwi Mexików.

Zahred wskoczył na jedno z dział, zaśmiał się dziko.

– Ujrzyjcie mnie, bogowie! – zawołał, wznosząc ku niebu zakrwawioną siekierę. – Niech rozpocznie się święto łapania jeńców, niech zaczną się wielkie żniwa śmierci!

Już wcześniej chmurzące się niebo przecięła pręga błyskawicy, zahuczał dudniącym basem przetaczający się nad Tenochtitlán grom.



Jadący na czele swoich ludzi Pedro de Alvarado skrzywił się, kiedy pierwsze krople deszczu pacnęły go w głowę.

– Cholerna pogoda – zawarczał, naciągając na głowę kaptur. – Oby tylko się nie...

Ale nie zdążył dokończyć, bo w tej chwili z nieba spadła istna ściana wody, w jednej chwili zasnuwając cały świat

szarością.

Mieli lekkie opóźnienie, tego był więcej niż pewien. Nieustannie nękali ich atakami dzicy, ciskający kamieniami z dachów domów i zagradzający ulice prymitywnymi barykadami; jak gdyby wszystko sprzysięgło się dzisiaj przeciwko nim.

Ale to nic, powtarzał sobie. Tylko patrzeć, jak powinni spotkać się z de Sandoval, posuwającym się równoległą trasą w kierunku grobli. A wtedy...

– Panie, ktoś jest przed nami! – zawołał jadący obok niego González, wyciągając rękę.

– Ha! Najwyższa pora – burknął de Alvarado. – Już myślałem, że nigdy się nie zjawią. Hola, panie de Sandoval! Dobrze was widzieć, bo...

Ale głos uwiązł mu w gardle, kiedy zorientował się, że wyłaniający się w strugach deszczu ludzie nie są żołnierzami de Sandovala.

Mexikowie szli równą tyralierą, zajmując całą szerokość ulicy. Pewnie, bez pośpiechu, z nastawionymi włóczniami.

– Stać... Staaać! – zawołał de Alvarado, wstrzymując konia.  
– Formuj szyk!

– Szyk! Szyyyk! – poniosła się komenda.

Jednak idący na nich dzicy stanęli, z ciżby zaś wysunął się jeden, niosący w ręku dwie odcięte brodate ludzkie głowy, trzymane przez niego za włosy.

Wojownik wyszedł kilkanaście kroków naprzód, podniósł upiorne trofeum wysoko i zawołał donośnie, przekrzykując szum wody:

– Patrzcie, dobry panie de Alvarado! Oto sam caudillo Cortés i dobry pan de Sandoval wyszli wam na spotkanie. A teraz zabijemy was, tak jak żeśmy zabili Cortésa i de Sandovala!



Zamachnął się i cisnął głowami, które poleciały łukiem i z suchym trzaskiem upadły u stóp de Alvarada, patrząc na niego białkami niewidzących oczu.



W tym samym czasie idący równoległą trasą pan de Sandoval wstrzymał konia, widząc stojącego na dachu pobliskiego domu człowieka.

– Kuszniczy! – zawołał, pokazując na tamtego.

– Nie ma co, panie... W tym deszczu to lepiej kamieniem rzucić – warknął idący obok niego kapitan kuszników.

– Hola, panie de Sandoval! – zawołał stojący na dachu domu człowiek. – Nie za daleko żeście się zapuścili?!

– On... on po naszymu gada! – syknął kusznik. – Ale ubrany jak dzikus!

Tymczasem człowiek podniósł wysoko w górę, a potem rzucił ku nim dwa przedmioty, które wirując, poleciały przez powietrze i stoczyły się aż ku nogom piechurów w pierwszym szeregu. Ktoś sapnął i odskoczył, widząc odcięte ludzkie głowy.

– Nie idźcie dalej, dobrze wam radzę! – zawołał do nich tamten. – Bo zabijemy was, tak samo jak żeśmy zabili de Alvarada i Cortésa! Zawróćcie, wracajcie lepiej do siebie!



– Panie, panie! De Alvarado i de Sandoval nie żyją!

Cortés podniósł zmęczoną, popielatą twarz i spojrział na przerażonego de Corię obojętnym wzrokiem.

– Skąd wiesz, Diego? – zapytał po prostu.

– Mexik jakiś przyszedł podobno, rozmawiał z naszymi wartownikami. Pokazał im ich głowy!

Cortés nie odpowiedział nawet, wsparł po prostu głowę na pięściach i siedział tak, patrząc w pustkę.

### *Następnego świtu, świątynia w Tlatelolco*

– Niech wyprowadzą jeńców idących na spotkanie bogom! Niech radują się serca walecznych wojowników! Oto nadszedł dzień chwały!

– Naprzód! – Nadzorujący ceremonię akolita popchnął pierwszego z Kastylijczyków ku stopniom piramidy.

Rozebrani do naga, przerażeni, z obłędem w oczach, zaczęli powoli wspinać się na schody.

Któryś z nich płakał głośno i zawodził; inny łamiącym się głosem śpiewał urywki pieśni kościelnych. Jeszcze któryś śmiał się szaleńczo i krzyczał na zmianę, uderzając o usta otwartą dłonią.

Zahred stał na szczycie platformy świątynnej, patrząc, jak kondukt jeńców powoli zbliża się ku czekającym już na nich kapłanom.

Po nocnej burzy dzień był świeży i rześki, krystalicznie czysty.

Powietrze aż wierciło w nozdrzach, niosąc znad jeziora pachnącą wilgocią bryzę.

Okaleczone przez ponad półtora miesiąca oblężenia, zeszpecone pożarami Tenochtitlán stało na swojej wyspie ciche i puste.

Tylko pojedynczy ludzie kręcili się po ruinach; nie było ruchu na groblach, na jeziorze nie kręciły się łódki rybaków ani

przybrzeżnych myśliwych.

Jednak po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu nie było też na nim widać niosących śmierć i zniszczenie brygantyn.

Ze świątyni widoczne też było obozowisko Cortésa przy Texcoco.

Zazwyczaj żywe, wręcz tętniące aktywnością, tego poranka zaskakiwało bezruchem.

Brakowało uwijających się tu i tam konnych, nie przesuwających się maszerujące na stanowiska oddziały piechoty.

A co najważniejsze, Kastylijczykom jak gdyby ubyło też sojuszników.

Wcześniej było ich pełno: Tlaxcalteków, sprzymierzeńców z Choluli, wojowników z Texcoco... Nie było widać półnagich Purépecha ani noszących charakterystyczne pióropusze górali z południowego wschodu.

Ponad tonią jeziora niósł się warkot bębnow i jękliwy głos rogów, ogłaszających całemu światu: Imperium Słońca zwyciężyło! Oto teraz Czerwone Gwiazdy będą lecieć ku bogom!

Pierwszy Kastylijczyk wtoczył się na platformę świątyni. Potknął się, upadł, zaklął; zaczął wstawać, podniósł wzrok – i zamarł, widząc stojącego przed nim Zahreda.

– Witajcie, dobry panie – samymi ustami uśmiechnął się do niego Huēi Tlahtoāni. – Lubilem was zawsze i ceniłem. To dla mnie zaszczyt, że mogę poprowadzić was w ostatnią drogę wojownika.

– Ja, ja... – zająknął się de Lugo.

– Cśśś. Nie bójcie się, panie. Będę delikatny... Na tyle, na ile to tylko możliwe.

Zahred ujął pana de Lugo pod ramię, pomógł mu wstać i powoli, niespiesznie poprowadził ku już czekającej płycie kamienia ofiarnego.



Cortés skulił się, zasłaniając uszy dłońmi.

– Nie wytrzymam tego dłużej! – jęknął. – Dzień i noc, dzień i noc, ciągle te ich bębny i piszczałki... Pastwią się nade mną! Drwią ze mnie... Napawają się moją przegraną!

Malintzin otuliła go ramionami, przyciągnęła ku sobie i pogładziła po głowie.

– No już, już, Hernán. Jestem tutaj. Nie opuszczę cię.

– Ale inni już tak! – wybuchnął caudillo. – Spójrz, jak świeci pustkami obozowisko. Gdzie oni są, Marina? Gdzie, pytam?! Dopiero co pełno ich było, jeden bardziej uczynny od drugiego! Mało się nie pobili przedwczoraj o to, kto ludzi pośle do zasypywania grobli! Działa ciągal, jedzenie podtykali pod same usta, prześcigali się w służalczości... I gdzie są dziś? Jakby pod ziemię się zapadli!

– Siła zawsze przyciąga ludzi, Hernán.

– A słabość odrzuca? – Cortés spojrział na nią. – Czy to chcesz mi powiedzieć, Marina? Że może i ty pewnego dnia...

Odsunęła się od niego, potrząsnęła głową i podniosła ostrzegawczo palec.

– Hernán, dość. Dość.

– Wybacz – mruknął, spuszcżając głowę. – Nie wiem sam, co mówię.

– Jesteś zmęczony, Hernán. Ale już niedługo, jeszcze tylko trochę. Oni już nie mają dokąd uciec.

– A my nie mamy jak ich atakować! Cztery brygantyny nam się ostały, a dzikich zostało przy nas mniej niż moich własnych ludzi.

– Zobaczysz, że wszystko jeszcze się ułoży, Hernán. Niech tamci siedzą w mieście, niech czekają. Nie mają wody, nie mają żywności. Są słabi.

– A my, Marina? Jacy jesteśmy my?

Nachyliła się ku niemu.

– Wybrani – szepnęła mu na ucho.



– Najwyższy... – Itzli skłonił się nisko, wchodząc do tymczasowej kwatery Zahreda.

– Itzli! – uradował się najwyższy król, wstając z ziemi, gdzie opatrywał łapę Kefrena.

– Itzli przynosi wieści: posłowie wyruszyli łodziami do władców Chalco, Xochimilco, Cuauhnahuac oraz Tlaxcali i innych, które sprzymierzyły się z białymi. Niosą w darach głowy, ręce i stopy jeńców, których złożono w ofierze bogom.

– Doskonale. Wiedzą, co mają przekazać?

– Połowa białych poległa, reszta jest ranna. Bogowie nie opuścili Tenochtitlán. Huēi Tlahtoāni prowadzi swój lud ku zwycięstwu. – Itzli zaczął wyliczać na palcach. – Pozostali sprzymierzeńcy porzucili Cortésa. Wojownicy zdobyli broń białych i używają jej przeciwko najeźdźcom.

Zahred spojrział ku leżącym pod ścianą kuszom, które starał się doprowadzić do porządku.

– Tak, to akurat jest nieubarwioną prawdą – przyznał. – Co w obozie Cortésa?

– Niestety, o Najwyższy. Wygląda na to, że biali wodzowie Sandoval i Alvarado nie wystraszyli się dostatecznie

i zdecydowali się sprawdzić, czy biały wódz Cortés faktycznie zginął.

– No tak, można było się tego spodziewać. Ale spróbować warto. Co z chorymi? Jak woda?

– Jest... – Itzli zawahał się na chwilę, szukając właściwego słowa, ale w końcu przyznał: – Jest źle.

– Dyzenteria?

– Choroba krwawego stolca – potwierdził Itzli. – Itzli już posłał kobiety wiedzące i czarowników na ląd w poszukiwaniu gorzkiej trawy *zacatl chichic*. Jednak aby starczyło jej dla wszystkich...

– Nie starczy. Niech ludzie gotują wodę, zanim zaczną ją pić, i nie czerpią jej w pobliżu ustępów. Tyle możemy zrobić.

– Najwyższy, w obecnej sytuacji...

– Tak – przerwał mu Zahred. – Co z rannymi?

– Łatwiej byłoby Itzlemu powiedzieć o tych, którzy ranni nie są. Duch wojowników nie osłabł, ale ciałom brakuje sił.

– Czy mężczyźni nauczyli się już rozcierać kukurydzę w żarnach?

Władca Domu Szeptów skrzywił się, zamruczał coś pod nosem.

– Tak.

– Dobrze. Czy po tym, co widziały, kobiety nadal chcą walczyć?

– Tak.

– Niech więc każda, która tylko chce, dostanie broń wojownika, który nie ma siły jej unieść. Niech biorą łuki i oszczepy, niech uczą się miotać kamienie.

– Najwyższy... Najwyższy uważa, że biali jeszcze wrócą?

Zahred skinął na Itzlego ręką, poprowadził go na dwór. Po przyklejonych do ściany budynku schodkach wspięli się na dach, skąd widać było jezioro.

Wyciągnął palec w kierunku Texcoco.

– Nadal tam są. Przyjdą zatem i tutaj. Gdyby tylko wojownicy mieli więcej sił... Jeden atak! – Zacisnął pięść.

– Gdyby... – jak echo powtórzył Itzli.

### *Przełom lipca i sierpnia 1521*

Caudillo Hernán Cortés wyszedł przed swoją kwaterę i przeciągnął się z lubością, wystawiając twarz do słońca. Gwizdnął na jednego ze stajennych, pokazał gestem ręki: konia!

Zrobił rundę wokół głównego placu Texcoco, przejechał się wzdłuż kwater, do których po dłuższej nieobecności zaczęli wracać ich indiańscy sprzymierzeńcy. Zajrzał na wybrzeże, gdzie pan López nieustrudzenie naprawiał wciąż pozostające im brygantyny.

Potem skierował się w stronę południowej grobli, prowadzącej ku nadal tkwiącemu pośrodku jeziora miastu.

– Dzień dobry, panie! – zawołał do niego już z daleka jeden z żołnierzy wracających właśnie ze służby na posterunku.

– Kłaniam się nisko, panie de Texeira! Cóż tam dziś ciekawego się wydarzyło? Noc spokojna?

– Nie było źle, panie! Próbowali ku nam podchodzić, ale odegnaliśmy ich, jak zazwyczaj. Siedzą pochowani po swoich norach jak szczury!

– Odpoczywajcie zatem, panowie – odrzekł caudillo, cmoknął na konia i pokłusował groblą dalej.

Jechał pustym, równym nasypem, mijając miejsca, gdzie od ponad dwóch miesięcy toczyły się walki. W przybrzeżnych szuwarach unosiły się poczerniałe deski, fale ciągle wyrzucały na brzegi kolejne trupy. Na wodzie kołysały się przemoczone

pióropusze, strzępy oponczy i kawałki wszelakiego wojennego śmiecia.

Minął resztki Bramy Orła, teraz zamienionej w jedno wielkie gruzowisko, i wjechał pomiędzy spustoszenie przedmieścia.

Po domach nie było tutaj już nawet śladu.

Jak okiem sięgnąć wzdłuż drogi ciągnęły się tylko wyższe i niższe sterty gruzu, odgarniętego na boki łopatami na tyle, żeby umożliwić swobodny przemarsz piechoty w szyku.

Kawałek dalej stały jeszcze nie wyburzone skorupy wypalonych domostw, patrzące na niego czarnymi oczodołami okien z niemym wyrzutem.

Na wprost Cortésa zaś wznosiły się ku niebu piramidy wokół wielkiego placu, na którym teraz szykowali swoją nową kwaterę polową.

– Caudillo! Caudillo jedzie! – rozległo się wołanie, gdy spostrzegli go wartownicy.

Skręcił w bok, ku stajniom. Zostawił konia i miał już ruszać na obchód, kiedy zjawił się de Sandoval.

– Panie! – zawołał kapitan. – Witajcie... Cieszę się, widząc was, ale martwi mnie wasz brak ostrożności! Dzicy jednak potrafią jeszcze zjawić się w najmniej spodziewanym momencie.

– Błahostka. – Cortés machnął ręką. – Jak sytuacja?

– Chichimecatecle poprowadził kolejny rajd Tlaxcalteków. Mają w końcu wyciąć tamtych, co jeszcze się trzymają w spalonej świątyni... No i wrócili zwiadowcy. Mówią, że Indianie przestali rozkopywać groble!

– Co? – zaciekawiał się Cortés. – Jak to?

– No normalnie! Zawsze po nocy przecież albo kanały przekopywali, albo nasze pomosty zrzucali. A dziś nic! Jak ustawiliśmy wieczorem, tak stoi wszystko.



– Może wycofali się głębiej?

– A może zdechli w końcu wszyscy! – zaśmiał się de Sandoval. – A co na lądzie? Przyszły w końcu te posiłki obiecywane?

– Jutro powinni być na miejscu. – Cortés uśmiechnął się. – Podobno niosą proch i kusze, co je Ponce de León dla nas zorganizował. No i pan de Montano powinien niedługo z wulkanu wrócić... Oby żywy!

– Po siarkę do krateru włączyć... – De Sandoval pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Wyczyn godny bohatera. Nie to, żeby nasza tutaj praca mniejszym dokonaniem była...

– ...ale do wulkanu nie każdy wlaź, to fakt. Myślicie, panie, że dzikusy długo się jeszcze utrzymają?

Cortés popatrzył w kierunku Tlatelolco.

– Nie. Odkąd de Alvarado zasypał im studnię, to chyba już tylko z jeziora mogą wodę brać. Poza tym ile mogli mieć zapasów? Na dwa, trzy miesiące?

– Czyli teraz już z górki...

– Teraz już z górki.

## *Sierpień 1521*

Zahred patrzył na złoto-błękitną flagę z krzyżem powiewającą na szczycie świątyni przy placu targowym Tlatelolco – do tej pory ostatnim bastionem opierającym się białym najeźdźcom.

Teraz konnica Cortésa galopowała swobodnie po placu, Tlaxcaltekwie zaś z radosnym hałakowaniem plądrowali okoliczne domy.

Spojrzał ciężkim wzrokiem na stojącego obok Itzlego.

– Zbliża się koniec – powiedział po prostu.



– Hej, wy! Czego tu chcecie?! Wynocha z naszego miasta!

Stojący na warcie de Texeira rozejrzał się, szukając wzrokiem, którego to z jego towarzyszy naszło na przekrzykiwanie się.

W końcu wyjrzał zza barykady.

Poszukał wzrokiem, wreszcie dostrzegł stojącego na dachu nieodległego domu człowieka w stroju Mexika i z wymalowaną twarzą.

– Że niby ja?! – Dźgnął się palcem w pierś.

– A wy, jako żywo! Precz stąd, takie syny!

– Nigdzie nie idziemy! – odkrzyknął de Texeira, któremu nawet do głowy nie przyszło, że jakimś cudem pyskuje z Mexikiem, nawet nie znając jego języka. – A to wy do diabła zaraz pójdziecie, szlag was z głodu wszystkich trafi!

– Głód? Ha, wolne żarty! – buńczucznie zawołał Rodrigo. Sięgnął do sakwy, wymacał na jej dnie zawinięty w trzy szmatki kukurydziane placek. Rozwinął, urwał spory kawałek i wepchnął sobie do gęby.

– Przecież... Przecież u was głód! – zdumiał się de Texeira.

– Ha! Żarcia mamy tyle, że... – plując okruszkami, wyrzucił z siebie były arkebuzer, zjadający właśnie na raz zachomikowaną rację żywności na trzy dni – że aż gadać szkoda! Nie poddamy się!

– Zginiecie więc!

– Lepiej zginąć, niż żyć jak niewolnik! – wściekł się Rodrigo. Machnął ręką, przypadkiem wypuścił resztkę placka, który wirując, poleciał pomiędzy domy i wpadł do upstrzonego gnijącymi trupami kanału. – Masz, kurwa, tym się nażryj!

Cholera jasna! Ja nie potrzebuję, najadłem się po dziurki w nosie. Nie dostaniecie ani nas, ani złota! Chuj was w dupę, białe śmiecie! Jebał pies was i wasze matki!

– Chamie ty! – odkrzyknął de Texeira, cokolwiek zbity z tropu taką zaciekłością ataku werbalnego na swoją osobę. – Naprawdę chcecie zginąć wszyscy? Nie ma tam u was jakiegoś pana albo władcy, z którym można kulturalnie porozmawiać?!

– Mówcie sobie, co chcecie! My tu wszyscy jesteśmy każdy sobie panem! A jak będziemy żywności potrzebować, to was zjemy na obiad! – zapiał Rodrigo.

Po czym szybciotko rzucił się plackiem na ziemię, kiedy zza barykady wyłonił się jego dawny kolega z dymiącym lontem przy panewce.

Huknął strzał, kula śmignęła gdzieś Rodrigowi nad głową.

– Dostał? – dopytał jeszcze.

– Nie wiem... Chyba tak! Ale skąd on naszą mowę znał?

– On naszą? A to ja myślałem, że się ichniego nauczyłem...

Leżący pośród kamieni Rodrigo zaszlochał cichutko z żalu, wybierał i zjadł wszystkie okruszki placka, po czym pełznąc na brzuchu niczym wąż, odczołgał się w tył, pomiędzy ruiny, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wojny psychologicznej.



– Wasza dostojność, zapraszamy do kwatery! – skłonił się marszałek dworu.

Cortés uniósł brwi, uśmiechnął się i podkręcił wąsa. Z zadowoleniem obszedł swój obszyty szkarłatem namiot,

rozbity na dachu jednego z nielicznych ocalałych w Tlatelolco domów. Pokiwał głową z uznaniem.

– No i pięknie, panie de Guzmán... Mówiłem wam, że się da! I teraz stąd można obserwować walki gladiatorów, jak przystało...! Po cesarsku wręcz!

Caudillo wziął się pod boki, patrząc na ostatnią w mieście strefę, która jeszcze wymykała się jego kontroli.

Wszędzie wokół, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się tylko zgliszcza i gruzowiska.

Wypalone skorupy domów o oknach i drzwiach poznaczonych śladami sadzy stały przy pustych ulicach, na których zalegały tylko gnijące w słońcu trupy.

Całe stada padlinożernych ptaków kołowały ponad miastem, coraz bardziej przypominającym teraz ogromne cmentarzysko.

Na pokrytych zaciekami krwi stopniach świątyń bieleły kości kapłanów.

Malintzin przysunęła się do Cortésa z tyłu, objęła go. Oparła brodę o jego ramię.

– Piękne – szepnęła z nieudawanym zachwytem.

Caudillo uwolnił się z jej objęć, podszedł do skraju dachu. Spojrzał na czekającego w dole de Alvarada i jego konnych.

Zadarł wysoko podbródek, wysunął przed siebie zaciśniętą pięść z wystającym kciukiem – po czym dźgnął nim w dół.

– Hyah! – wrzasnął de Alvarado, spinając konia w skok.

Cortés patrzył, jak gnają uliczką, nabierając rozpędu, a potem lekko, pozornie bez żadnego trudu przeskakują ponad ostatnią barykadą dzielącą ich od jeszcze nie zdobytych pozycji Meksyków.

Śladem de Alvarada runęli wyjący dziko, żądni krwi Tlaxcaltekwie.

Dopadli do barykad, na krótką chwilę zatrzymali się przy nich, a potem ludzka fala wezbrała i przelała się ponad umocnieniami, chlustając na boki po uliczkach miasta.



– Przedarli się, przedarli! Wojownicy, chwytajcie za broń!

Mexicki obwoływacz nie dokończył, bo tlaxcaltecka strzała przebiła mu pierś. Zachwiał się i przechylił, spadając ze swojego stanowiska na rogu dachu.

Wojownicy wdarli się w uliczki, bez cienia zawahania czy litości rżnąc, kłując, bijąc i mordując wszystkich.

Nieliczni wojownicy Mexików, którzy wciąż próbowali stawiać im opór, padali pod razami mieczy i toporów, przebici włóczniami i naszpikowani strzałami.

Kobiety wywlekano za włosy z domów, od piersi matek odrywano płaczące dzieci.

Błagający o litość, niezdolni o własnych siłach wstać starcy padali z roztrzaskanymi głowami.

Ranni, chorzy i słabi ginęli tam, gdzie leżeli na posłaniach.

Ponad dachami domów pokazały się płomienie.

Widać było, jak ludzie próbują uciekać z domostw na dachy, jak kulą się na krawędziach – a potem, kiedy płomienie zaczynały lizać ich opończe, skaczą w desperacji prosto na ostrza włóczni i pod miecze Tlaxcalteków.

Ulice spłynęły krwią, ściekającą całymi strumieniami ku kanałom i barwiącą wody jeziora szkarłatem.

Gdziekolwiek spojrzeć, widać było rannych, zabitych i konających.

Połamane kości.

Rozłupane czaszki.

Patrzące w szare niebo, zeszkłone śmiercią oczy.

Płonące domy.

Pozapadane dachy, z których wystawały zwęglone, zakrzywione na podobieństwo szponów ręce.

Ściany poplamione bryzgami krwi i rozmazanymi odciskami dłoni.

Ciała na ulicach.

Ciała na progach domów.

Ciała leżące na placach.

Ciała.

Ciała...

Patrzący na to Cortés wzdrygnął się, potrząsnął głową.

– Marina, czy oni muszą...?

– Tak – odpowiedziała Malintzin.

– Czy nie da się...?

– Nie.

– Ale przecież...

– Taka jest wola Dymiącego Zwierciadła. To musi się dokonać, aby zgasło piąte słońce. A teraz patrz, Hernán. Patrz, aby dać świadectwo.

Cortés poruszył spazmatycznie grdyką, nie mogąc oderwać wzroku od rozgrywającej się przed nim rzezi.

Z kącika jego oka stoczyła się po policzku pojedyncza łza.



– Niech uciekają! Niech uciekają, z tej strony idzie ogień!

Biegący ulicą ludzie zahamowali gwałtownie, niemalże wpadając na inną grupkę, która niespodziewanie wyłoniła się

zza rogu.

Jak na potwierdzenie, wraz z powiewem wiatru gęstym obłokiem nadpłynął zza ich pleców dym, ponad dachami poniosły się pióropuszem iskry.

– Tam wszystko płonie! – pokazał za siebie ręką któryś z Mexików.

– Tam też! Biali podpalili domy od strony jeziora, wiatr gna płomienie po dachach! Uciekajcie w drugą stronę!

Ktoś skoczył w boczny zaułek. Reszta po prostu rzuciła się za nim, tłocząc się i przepychając w wąskim przejściu.

Rodrigo biegł wraz z nimi, czując, jak w piersi skacze mu i łomocze serce, a płuca desperacko walczą o każdy oddech.

Walczyli bez ustanku od wczorajszego wieczora.

Nie spali już drugą noc.

Wytrzymali natarcie Tlaxcalteków i ostrzał kuszników. Nie zeszli ze swojej reduty nawet wtedy, kiedy biali podciągnęli działo.

Natomiast nawet ich męstwo nie mogło przeciwstawić się płomieniom.

Tlatelolco – to, co jeszcze z niego pozostało – płonęło.

Ogień huczał i strzelał, sunąc ścianą przez dzielnice mieszkalne. Ciężki, gryzący w oczy i dławiący dym zasnuwał niebo. Żar bił w twarze, nie pozwalał zaczerpnąć tchu.

– Ja... ja już dalej nie dam rady – zajęczała kuśtykająca nieopodal staruszka.

Prowadzący ją pod ramię młody mężczyzna chwycił ją mocniej, potrząsnął desperacko głową.

– Niech matka wytrzyma! Jeszcze kawałek... Uda nam się!

– Nie mam siły... Zostawcie mnie... Nie mogę...

– Niech matka tak nie mówi!

Złapali ją pod ramiona we dwoje, on i jeszcze jakaś kobieta, pociągnęli dalej.

Wiatr nagle zmienił kierunek, w oczy sypnęło im iskrami. Do tej pory pozornie bezpieczne domy przed nimi strzeliły nagle z otworów okiennych językami ognia, w jednej chwili zamieniając ulicę we wnętrze pieca chlebowego.

Ludzie zaskowyczeli, kiedy czoło pochodu dosłownie połknęły płomienie, prysnęli na boki. Część chciała zahamować, zawrócić – ale wpadali tylko na tych z tyłu, gnanych ślepym przerażeniem, obalając się nawzajem na ziemię.

Rodrigo zasłonił twarz rękami i dał susa w bok, w jakiś zaułek, albo może podwórzec, próbując umknąć przed żarem.

Przebiegł pod ścianą budynku, wyskoczył na wewnętrzny podwórzec. Kilkoro ludzi pobiegło za nim, przed sobą widział migające pięty jeszcze jakiegoś uciekiniera.

Tutaj nie było porządku, nie było sensu. On sam dawno już zgubił swój oddział.

Teraz każdy po prostu próbował uratować własne życie, wydostać się z tego piekła na ziemi.

Przeskoczył ponad leżącymi pośród pogorzeliska powykręcanyimi, zwęglonymi trupami i wypadł na jakąś większą uliczkę. Rozejrzał się desperacko... tam! Tam, gdzie widać jeszcze kawałek czystego, niebieskiego nieba!

Popędził przed siebie, po lewej stronie mając ziejące żarem, płonące niczym pochodnie domy.

Ogień rozprzestrzeniał się błyskawicznie, przeskakiwał na kolejne domostwa, z których kłębami walił gęsty siwy dym.

Gdy przebiegał obok jednego z nich, wydało mu się, że w oknie zobaczył twarz... I w tej samej sekundzie wnętrze strzeliło ogniem, dym zamienił się w żywy ogień.

Miał wrażenie, że usłyszał echo przerażonego wysokiego krzyku, połkniętego przez ryk płomieni.

Przebiegł obok, widząc już przed sobą wylot uliczki na otwartą przestrzeń placzyku.



– Kurrr...! – zaklął pod nosem.

Zahamował, zawrócił w miejscu i popędził ku płonącemu domostwu.

Czując, że to, co robi, jest chyba najgłupszą w jego życiu rzeczą, zasłonił twarz rękami i głową naprzód rzucił się do spowitego w płomienie wnętrza.

Od razu padł na kolana, wiedząc, że ogień i dym zawsze idą górą. Poczołgał się po podłodze, czując, jak żar topi mu włosy na głowie, w uszach mając tylko huk płomieni, na twarzy czując nieznośne gorąco.

Przez zmrużone oczy dostrzegł skulony w kącie kształt ludzkiej sylwetki.

Bogowie, jestem głupcem, pomyślał Rodrigo, pełznąąc w tamtą stronę.

Chwycił niedoszłą ofiarę pożaru za rękę i po prostu pociągnął za sobą, potem złapał pod pachy i rzucił się przed ogień, już sunący ku wyjściu.

Tak mu się przynajmniej potem wydawało. Tak to opowiadał, tak to przedstawiał.

Prawda zaś była taka, że Rodrigo nie pamiętał z tego nic a nic.

Ostatnie, czego był w swojej pamięci pewien, to moment, kiedy skoczył do wnętrza płonącego domu – a kolejne to chwila, kiedy zataczając się, kaszląc i ledwie kojarząc, gdzie w ogóle jest, wytaczał się z podwórka, ciągnąc za sobą pokryty kopciem, brudny, dymiący ochłap czegoś, co nawet nie było podobne w tamtej chwili do człowieka.

Ochłap, który w tamtym momencie spojrział na niego wielkimi, największymi, jakie Rodrigo w życiu widział, bezdennie głębokimi oczami.

– Lotoliquo – szepnął.

Rodrigo nawet się nie zdziwił, że przypadkowo uratowana z pożaru osoba znała jego imię.

Po ostatnich dwóch latach nie dziwiło go już chyba zupełnie nic.

Objął poparzoną kobietę wpół i pociągnął naprzód, byle dalej od szalejącego pożaru.



– To już koniec.

Itzli spojrział na Zahreda, siedzącego obok niego na podłodze jakiegoś przypadkowego domu.

Było ich tutaj... pół setki? Może trochę mniej. Wojownicy z przeróżnych dzielnic, plemion i miast. Połączeni tylko nienawiścią do białych i niezłomną, posuniętą do granic szaleństwa odwagą.

Ranni. Chorzy. Słabi. Ledwo stojący na nogach, z trudem mogący utrzymać w osłabłych z niedożywienia palcach broń.

A mimo to wciąż żywi.

Władca Domu Szeptów pokręcił głową, uśmiechnął się słabo. Spojrział na leżący obok niego kamienny miecz, którym własnoręcznie zabił tego dnia trzech wojowników Tlaxcali.

– Nie przepadnie Tenochtitlán, póki z nami słońce – powiedział po prostu.

Zahred pogładził Kefrena po zmierzwionej sierści.

– Tak, niezaprzeczalnie. A teraz niech Itzli wytłumaczy Xahuatlowi znaczenie jego własnych słów. – Uśmiechnął się kwaśno.

Itzli wzruszył ramionami.

– Nie trzeba znać znaczenia, aby wierzyć. Xahuatl jest słońcem imperium. Póki żyje Huēi Tlahtoāni, Imperium będzie walczyć.

– Nie. Xahuatl nie jest słońcem, tylko musi się nim dopiero stać. Jeśli wcześniej umrze, to Imperium przepadnie, a pamięć po nim zginie. Jak stać się słońcem?

– Tego Itzli nie wie. Wie jednak, że to nie koniec. Dopóki wojownicy walczą, dopóki w piersi chociaż jednego z nich wciąż łopocze Czerwona Gwiazda...

– Nie – przerwał mu Zahred.

– Nie?

– Nie. Ilu zginęło dziś? Ilu wymordowali Tlaxcaltekowie? Dziesięć, piętnaście razy po tysiąc? Więcej?

– Nie ma znaczenia...

– Ma. Ja już więcej nie mogę, nie potrafię. Nie chcę. Nie będę... – jęknął Zahred, chowając twarz w dłoniach.

Władca Domu Szeptów westchnął ciężko, uśmiechnął się ze smutkiem. Położył dłoń na ramieniu Zahreda.

– Zatem nadeszła pora, aby Huēi Tlahtoāni pomyślał o tym, jak uratować swoich ludzi – powiedział ciepło.



– Poddają się?! – Cortés zerwał się ze swojego siedziska.

– Tak mówią, panie! Podobno ichni najwyższy król przysłał posłów, chcą rozmawiać o kapitulacji! – zawołał podekscytowany de Grado. – Kapitulacja!

– Wreszcie, na Boga! Prowadzić ich tutaj, żywo!

Cortés zerknął kątem oka na stojącą nieco z boku Malintzin, która całą sobą dawała do zrozumienia, jak bardzo

jest niezadowolona z takiego obrotu sprawy.

Podszedł do niej, objął z tyłu w pasie. Delikatnie pocałował w kark.

– Marina...

– Nie tak mam na imię! – Wykręciła mu się, stanęła do niego przodem. – Jeśli Cortés chce rozmawiać z niewolnicą, niech używa tego imienia! Ale jeśli pragnie mówić z kobietą, niech...

– Malintzin – poprawił się caudillo. – Wiesz, że to konieczne.

– Nie! To nie jest konieczne! Miasto musi przepaść, jego ludzie zginąć! Tak długo, jak będzie żyć jego Huēi Tlahtoāni, nie domknie się Wielki Krąg! A wtedy, jeśli Dymiące Zwierciadło nie dostanie tego, co obiecała mu Malintzin... – Kobieta zadrżała, głos jej się załamał.

Cortés objął ją ramionami, przyciągnął do siebie.

– Powiedz tylko, czego pragniesz – zaszeptał gorączkowo. – Wymień swoją cenę i zakończmy to.

– Miasto musi przepaść, jego Huēi Tlahtoāni zginąć. Ty musisz go zabić, Hernán. Poniżyć, odesłać w łańcuchach królowi. A ja chcę widzieć, jak on umiera. On, oni wszyscy. Całe miasto. Świat...

– Ale ja... ja już nie mogę. Nie mam dość sił – jęknął Hernán.

– Niech robią to za ciebie Tlaxcaltekwie. Nie musisz nawet stąd schodzić. Pozwól, aby ludy Imperium Słońca własnymi rękami rozszarpały to, co budowały przez wieki. Niech oni to zrobią. Niech oni zabijają się nawzajem.

– A może niech skończy się już zabijanie?

– On musi zginąć. Jeszcze nie dosyć krwi, nie dosyć mięsa. Za mało kości na mąkę. Mictlān woła o więcej.

– Błagam cię, Malintzin... Bo ja nie mogę już dłużej. Ta rzeź, ci ludzie... Ja słyszę ich krzyki we śnie, widzę twarze. Wyciągają ku mnie ręce...

– Huēi Tlahtoāni musi zginąć.

– Proszę cię, zakończmy to.

Przez długą chwilę żadne z nich nic nie mówiło.

W oddali nadal słychać było, jak buszujący po mieście Tlaxcaltekwie wyją i pokrzykują radośnie, mordując wszystkich jak popadnie.

– Dobrze. Zakończmy to – powiedziała, tuląc się do niego.

– A więc...?

– Możesz przystać na jakie tylko chcesz warunki. Oddaj miasto, komu tylko zapragniesz. Zabierz z niego, co chcesz. To nieważne.

– Ale?

– Zahred musi zginąć.

Cortés nabrał tchu, wypuścił powoli.

– Zgoda – powiedział.



– Zapytaj, Marina: gdzie jest ich król? Gdzie ich Huēi Tlahtoāni?!

Siedzący przed swoim namiotem Cortés patrzył z mieszaniną politowania i pogardy na cztery cienie ludzi, które przyszły negocjować z nim poddanie niegdyś wielkiego i wspaniałego miasta.

Owszem, podali na początku swoje imiona, ale nie zwrócił nawet na to uwagi, bo człowieka, na którym mu zależało, nie było wśród nich.

– Panie, obecny tu władca Domu Szeptów mówi: Huēi Tlahtoāni Xahuatl przeprasza, ale nie mógł przybyć.

– Nie mógł, powiadasz? Zapytaj ich: co jest ważniejsze niż obecność króla na takich rozmowach?

– Władca Domu Szeptów przekazuje dary i mówi: droga była daleka i niebezpieczna, a Huēi Tlahtoāni leży złożony chorobą.

– O ja pierdołę! – wyrwało się stojącemu w tłumie konkwistadorów panu Portocarrerowi.

– Ach, no tak. Ciągłe ta sama śpiewka – kwaśno uśmiechnął się Cortés do swoich kapitanów.

– Nie będzie pokoju, póki go nie oddadzą! – De Sandoval potrząsnął pięścią. – Ten pies zapłaci z nawiązką za wszystko, co...

– Spokój, spo-kój! Panowie, proszę was... – Cortés podniósł dłoń wielkopańskim gestem. – Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, więc tak się też zachowujemy.

De Sandoval rozejrzał się po otaczającym ich pustkowiu gruzów i śmierci, przewrócił oczami i sapnął ciężko, ale przeczornie zmilczał.

Tymczasem doña Marina wysłuchiwała długiej, śpiewnej tyrady przewodzącego poselstwu człowieka. Nabrała tchu i zaczęła tłumaczyć:

– Władca Domu Szeptów mówi, że Huēi Tlahtoāni zgadza się oddać w ręce Cortésa i uznać swoją przegraną. Huēi Tlahtoāni przyznaje też, że pobłądził, nie dochowując wierności najwyższemu królowi Kastylii, który jest prawowitym panem Tenochtitlán.

– I naprawdę trzeba było aż tego? – Cortés zatoczył krąg ręką, pokazując na zniszczone miasto.

– Gotów jest również... – Marina przełknęła ślinę. – Gotów jest oddać się w ręce Cortésa jako jeniec. Wcześniej jednak

prosi, aby w swojej wielkoduszności biały wódz Cortés zgodził się na opuszczenie miasta przez jego obrońców.

Ludzie zakrzyknęli radośnie, uderzając w dłonie: tak! O to walczyliśmy, o to chodziło!

Hernán jednak zasepił się i przygryzł kciuk, myśląc nad czymś intensywnie. Potrząsnął głową.

– Honorowa kapitulacja... to dobrze. Na to mogę przystać, bo sam nigdy nie pragnąłem zniszczenia Tenochtitlán. Bóg mi świadkiem, że chciałem zachować to miasto w całości! I to tylko przez bezrozumny upór dzikusów, nieznających pojęcia honoru i wierności, doszło do tak haniebnych wydarzeń i ogromnych strat!

Urwał na chwilę, strzelił oczami w bok. Pieczołowicie skrobiący po pergaminie ojciec de Olmedo otarł pot z czoła, umoczył pióro w kałamarzu, szybko dopisał jeszcze jedno zdanie do końca i kiwnął: mam wszystko!

Cortés przywołał na twarz uśmiech, ale jego oczy błysnęły zimno.

– Jednak potrzebujemy czegoś więcej niż obietnicy. Ileż to razy zostaliśmy przez Mexików i ich królów oszukani albo otwarcie zdradzeni? Niech Zahred odda się najpierw w nasze ręce, a wtedy pozwolimy na ewakuację miasta!

Przewodzący delegacji Mexik zasepił się. Nachylił się do siedzącego obok człowieka w naciągniętym na wymalowaną twarz kapturze, zamienił z nim kilka zdań.

Hernán obserwował ich z zaciekawieniem.

W pierwszej chwili poważnie myślał, czy ten zakapturzony nie jest Zahredem, który na pewno chciałby użyć jakiegoś fortelu i przyjść na negocjacje w przebraniu, ale potem doszedł do wniosku: nie.

Ani sylwetka, ani widoczne pod warstwami łuszczącej się farby rysy twarzy nie pasowały do jego byłego kapitana.

Mexik kiwnął głową, wyprostował się i przemówił.

Marina wysłuchała, zmrużyła oczy.

– Władca Domu Szeptów mówi: oddanie Huēi Tlahtoāni naprzód, przed kapitulacją, nie jest możliwe. Jednak proponuje bezpieczną wymianę, która zadowoli obie strony i pozwoli zachować pełną kontrolę nad procesem wymiany zobowiązań.

Cortés spojrzał na nią zdumiony: no proszę, jak ciekawych konstrukcji i słów zaczynały używać te dzikusy... Na głos powiedział jednak:

– Niech zatem przedstawi nam swoją propozycję.

### *13 sierpnia 1521*

– Hej! Hej, ty, tak! Ano pokaż, co tam tak ukrywasz!

Idąca w ciągnącym po grobli tłumie kobieta krzyknęła z przestachem i chciała odskoczyć w bok, ale nie zdążyła. Kastylijczyk sięgnął ręką i chwycił ją za ramię, wyciągnął spomiędzy idących na bok.

– Pokaż no, kotku, co tam takiego masz! – Mlasnął lubieżnie, chwytając ją za ręce, przyciskające do piersi tobolek.

Szarpnął, chcąc odciągnąć, ale ona krzyknęła głośno, stawiając opór.

– Co, suka lubi się posiłować, zanim ulegnie? – zarechotał inny żołdak, wsparty na rohatynie. – Może we dwóch ją...?

– Czekaście, bo ona mi tu... Ach... Suko ty, kurwo! – krzyknął w końcu pierwszy żołnierz, zamachnął się i z całej siły uderzył kobietę pancerną rękawicą w twarz.

Upadła na ziemię, wypuszczając zawiniątko. On schylił się, rozwinął materiał – odskoczył, wzdrygając się.

– To wariatka! – sapnął, patrząc na leżącego w zwojach materiału sinofioletowego trupa noworodka.



– Czarownica jak nic! – zawtórował mu kompan, zaglądając przez ramię.

Kobieta chlipnęła, gramoląc się na nogi. Chwyliła leżące na ziemi martwe dziecko, zawinęła w płótno i odczołgała się ku grobli, gdzie zniknęła w tłumie.

Żołnierz splunął na ziemię, pokręcił głową z niedowierzającym obrzydzeniem.

– Co to ludzie mają w głowie... – warknął.

– Ale sprawdzić było warto. – Jego kompan wzruszył ramionami, zerkając ku ustawionej przy ich posterunku kamiennej misie, na której dnie poniewierało się już sporo złotej drobnicy.

– E tam warto. Warto to tam stać, o! – Ten pierwszy pokazał głową ku posterunkowi przy samym wejściu na groblę od strony Tenochtitlán. – Tamci się obłowią... A u nas co? Ochłapy zaledwie, nic więcej.

– Mówią, że de Alvarado już przyjmuje zapisy na to, kto jako pierwszy ma z garnizonem wchodzić.

– O, no proszę! I co, słono sobie liczy?

– Dwadzieścia złotych pesos od łebka. Płatne z góry.

Żołdak gwizdnął, pokręcił głową.

– Mocno ryzykownie, powiedziałbym. To ja już chyba wolę tutaj!

Zaśmiali się obydwaj, patrząc na ciągnących obok nich uciekinierów.

Ludzie zaś szli i szli.

Od samego świtu, gdy tylko zaczęło obowiązywać zawieszenie broni, grobla wypełniła się ludźmi usiłującymi wydostać się z piekła obleżonego miasta. Tam, za nimi, pośród gruzów i pogorzeliisk, panował smród nie do zniesienia, unoszący się z gnijących ciał; tutaj, na grobli, można było przynajmniej zaczerpnąć świeżego powietrza.

Część wychodźców rozglądała się na poły obłąkanym wzrokiem, nie mogąc uwierzyć w to, że istnieje jakiś świat poza ciągłą walką i niepewnością jutra. Co poniektórzy mdleli z wycieńczenia i nagłego oszołomienia, padając w pół kroku i potem gramoląc się niezgrabnie na nogi.

Wycieńczeni. Głodni. Cuchnący moczem, brudem i strachem. Okryci łachmanami. Poranieni, ubrudzeni popiołem, sadzą i zakrzepłą krwią... Przypominali raczej ogromny kondukt upiorów.

Jednak duchy nie próbują ukrywać przy sobie złota.

Rozstawieni na posterunkach Kastylijczycy rzucali się ku nim na podobieństwo dzikich psów. Wywlekali z tłumu kobiety, do wtóru śmiechów swoich kompanów rozdzielali na nich szaty, poszukując kosztowności i drogich kamieni. Zaglądali im w usta, uszy, nozdrza... Wszędzie.

Bawili się przy tym setnie, świętując tak długo wyczekiwany, z trudem i bohaterstwem wywalczony tryumf.

Wielkie zwycięstwo cywilizacji wiary, prawa i porządku nad pogaństwem ciemnej, barbarzyńskiej dziczy.

Ludzie zaś szli i szli.

Żołnierz z rohatyną wyciągnął z tłumu mężczyznę, szarpnął połą płaszcz – spod ubrania posypały się okruchy placków z kukurydzy.

– Szlag! – Odepchnął tamtego z powrotem w tłum. – Nic już dla nas nie zostanie, mówię wam!

Jego kompan, sprawiający właśnie mniejszą potrzebę z brzegu jeziora, rzucił przez ramię:

– To nic, nie przejmuj się, Alonso! Jak skończymy, to weźmie się tamtego, o, na spytki! Już on nam wszystko wyśpiewa!

Alonso przysłonił oczy od słońca, popatrzył ku kołyszącej się na falach łodzi.

– W najgorszym razie zabierze mu się to, co ma na sobie –  
mruknął.

W pewnym oddaleniu od brzegu miasta, w cieniu  
nieustannie asekurowających ją dwóch brygantyn, trzymany na  
muszce przez arkebuzerów z zapalonymi lontami, stał  
w wyplecionej z trzciny łodzi Huēi Tlahtoāni.



Przypłynął tutaj zgodnie z poczynionymi ustaleniami jeszcze przed świtem.

Skłonił się stojącemu na grobli Cortésowi, ruchem ręki nakazał tragarzom, aby złożyli u stóp caudilla dary: złote naramienniki, bransolety, tarcze, ceremonialne hełmy z piór, wisiory z jadeitu... Wszystko to, co jeszcze pozostało w mieście.

Potem zaś, asekurowany nieustannie przez dwa okręty Kastylijczyków, stał w łodzi i patrzył, jak ludzie opuszczają zrujnowane miasto.

Idący po grobli na pewno widzieli jego postać... A może nie? Może nie zwracali już uwagi na władcę, który przecież winien był tylu nieszczęść, takiego cierpienia ich ludu?

Dość, że nikt nie zatrzymał się, aby oddać mu pokłon. Nie skłonił nawet głowy. Nie przyłożył dłoni do serca na znak szacunku.

Ludzie szli w milczeniu, a on w milczeniu stał i patrzył.

Co odczuwał wtedy Huēi Tlahtoāni? Tego nie wie nikt poza nim samym. Nikt z poddanych Imperium Słońca nie widział jego twarzy, skrytej za ceremonialną maską ze złota i jadeitu, okolonej bujnym wieńcem mieniących się w promieniach słońca piór quetzala.

Jednak gdyby któryś z wiosłarzy na łodzi odważył się spojrzeć na władcę, to na pewno zauważyłby, jak spod pozornie wyniośle obojętnej maski ze złota lecą na szaty władcy zwykłe ludzkie łzy.

Ludzie zaś szli i szli niekończącym się korowodem żywych trupów.

Ku zachodowi słońca rzeka uchodźców nieznacznie osłabła.

Pod wieczór zamieniła się w strumień.

A gdy zapadła noc, niemalże znikła.

Cortés wstał od stołu, przy którym jedli z kapitanami sutą wieczerzę, świętując zwycięstwo. Wyszedł na brzeg i zawołał ku brygantynom:

– Dawajcie go tutaj!

Ustawili się wszyscy w wyczyszczonych, wypolerowanych pancerzach, ubrani w wyciągnięte na tę okazję odświętne szaty. Za nimi tłoczyli się żołnierze z poszczególnych chorągwi, wyciągający z ciekawością szyje.

Oto nadchodziła chwila, na którą tak długo czekali!

Czółno dobiło do brzegu, stojący w nim człowiek niezgrabnie wyskoczył na kamienie. Wdrapał się na górę, poprawił szaty i ruszył ku nim.

Samotny król w obliczu zwycięskiej armii.

Stanął kilka kroków przed nimi.

Skłonił głowę.

– Na Boga, panowie! – odezwał się Cortés, patrząc po swoich dowódcach. – Powiadam wam, że to piękna chwila... Miłociwy panie, witajcie w naszej gościnie! – Skłonił się przesadnie dworsko, zwracając się tym razem do Huēi Tlahtoāni. – Radzi widzimy was wreszcie tutaj i cieszymy się, że zdecydowaliście się zakończyć ten bezsensowny opór!

Stojący przed nimi człowiek postąpił o krok w przód, rozłożył ręce i odezwał się zniekształconym, dobiegającym spod maski głosem:

– O wodzu! Huēi Tlahtoāni uczynił, co w jego mocy, aby obronić jego kraj i nie dopuścić, aby dostał się w twoje ręce! Ponieważ jednak stało się tak, jak zdecydowali bogowie, to ja oddaję się w twoje ręce... A ty zakończ moje życie! Tak będzie sprawiedliwie, tak będzie słusznie, bo nie mam po co żyć dalej, skoro nie ma już miasta, które tak ukochałem!

Cortés drgnął, jego oczy rozszerzyły się zdumieniem: jeniec mówił po hiszpańsku, ale jego akcent...!

– Panie, on jest... – szepnęła stojąca obok caudilla doña Marina.

Jednak Cortés skoczył już ku niemu, chwycił i szarpnięciem zerwał z twarzy Huēi Tlahtoāni złotą ceremonialną maskę.

Spojrzał na stojącego przed nim człowieka.

Zachwiał się i zrobił krok w tył, widząc zjadliwy, tryumfujący uśmiech wypełzający na twarz jeńca.

– Nie upadnie Tenochtitlán, póki z nami słońce – powiedział Itzli.





## Epilog

*Ćwierć wieku później, gdzieś na kastylijskiej prowincji*

**N**o i tak to, dobrzy panowie, właśnie było. – Martín López zajrzał do kubka, zamieszał resztką wina i osuszył go jednym haustem. – Kogo nie zapytacie, to każdy wam powie: żeby nie moja robota, to nic by z tego nie wyszło. Nic, powtarzam wam!

Dzień był przepiękny, ciepły i bezchmurny. Słoneczko wisiało sobie na niebie, wiał delikatny wietrzyk. Ptaki radośnie ćwierkały w pędach prastarej winorośli, gęstym kobiercem porastającej drewnianą werandę tawerny Pod Czerwonym Bykiem.

Na wyszlizganych drewnianych ławach zбитych z solidnych, aż lśniących ze starości dech siedzieli stali bywalcy gospody, iście epikurejsko trwoniący większość swoich dni –



i oszczędności! – w tym jakże uroczym przybytku przy głównym placu miasteczka.

Tego zaś dnia, przy odświętnej niedzieli, po porannej mszy, każdy wiedział doskonale, że jeśli nie ma co ze sobą zrobić, to trzeba przyjść do Czerwonego Byka, gdzie pan López po raz setny będzie snuł swoją opowieść o przygodach w dalekich krajach.

López był znanym i nawet szanowanym obywatelem miasteczka, a jego warsztat ciesielski znał tutaj każdy. Więźby dachowe, zręby, rusztowania do tłoczni... Czego to on nie robił! A jak odpowiednio go poprosić, to i deski przyheblował, i stół potrafił naprawić.

Natomiast tym, co naprawdę zapewniało panu Lópezowi sławę w miasteczku, były jego niewiarygodne opowieści i niezrównana fantazja.

– I mówicie, panie López, że tych brygantyn to ile było? – zagadnął go Iñigo Hernández, największy w całym miasteczku kawalarz. – Dziesięć chyba...?

– Jakie dziesięć znowu? Trzynaście! – López aż poczerwieniał ze złości. – I wcześniej jeszcze cztery okręty niewiele mniejsze.

– Te, co je spalili Indianie, jak z miasta uciekaliście? – ciągnął Hernández.

Ktoś dalej parsknął śmiechem w kułak, inny pokręcił głową: oj, czego to ten cieśla po pijaku nie wygadywał!

– Te same! I mówił mi przecież caudillo: co do grosza wam wszystko zwrócę, panie López! Róbcie, nie szcędźcie kosztów ani wysiłku, ja wam nieba przychylę, z nawiązką wynagrodzę...

– I co? Nic?

– Nic a nic! – zawołał López i znów zajrzał do kubka. – Ani złamanego grosza... A ja na wszystko mam dokumenty!

W skrzyni leżą moje wyliczenia, sądowo wszystko potwierdzone!

– I ile... Ile tego było? – Hernández nachylił się do cieśli.

– Dwa i pół tysiąca pesos! – żałośnie zawołał López. – Ja na to wszystko mam dokumenty, sąd mi potwierdził, notariusz potem pieczęć przystawił, że Cortés mi jest winien. Tymczasem on nic, ani grosza! A ja przecież bogaty powinienem być... Hola, co to ma być?! Kubek mam pusty!

– A kieskę przypadkiem masz pełną, Martín? – obejrzał się wąsaty, brzuchaty karczmarz.

Siedzący w tawernie Pod Czerwonym Bykiem zarechotali radośnie, ktoś z litości odlał panu Lópezowi połowę swojego wina.

– Dwa i pół tysiąca pesos – jęknął smętnie pan Martín López, konkwistador, zdobywca Nowej Hiszpanii, wzięty cieśla i bohater walk na jeziorze Texcoco.

Po czym jednym haustem opróżnił i znów podniósł kubek, w którym miał zamiar tego pięknego popołudnia utopić swoje smutki.

## *2 grudnia 1547, Castilleja de la Cuesta nieopodal Sewilli*

Caudillo Hernán Cortés de Monroy Pizarro Altamirano, markiz del Valle de Oaxaca, z trudem otworzył powieki, rozejrzał się błędnym, na poły niewidzącym wzrokiem po ciemnej, niskiej komnacie.

– De Coria? – chciał zawołać, ale spomiędzy jego spękanych, pobladłych ust wydobył się tylko słaby szept.

Przymknął znów powieki i westchnął ciężko, czując, jak w piersi znów zbierał mu się ten koszmaryny ciężar.

Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał odkaszląć, ale nawet to nie przyniesie mu ulgi, a tylko cierpienie, gdy zwiotczałe, podrażnione gardło szarpnie się kolejnym skurczem.

– De Coria... – odezwał się, tym razem nieco już głośniej.

Odpowiedziała mu tylko cisza.

No tak, bo dlaczego miałyby przecież być inaczej?

Przecież ani de Corii, ani de Alvarada, ani de Sandovala nie było przy nim. Ani w pobliżu, ani nigdzie dalej... Przepadł gdzieś de Grado, rozbiegli się na cztery wiatry marszałkowie jego dworu, skarbnicy, spowiednicy, zauszniczy i klakierzy.

Nie wiedzieć gdzie, nie wiedzieć kiedy przeleciała mu pomiędzy palcami przywieziona z Nowego Świata fortuna, a wraz z nią i samo życie.

Zaszczyty, bogactwa, tytuły, audiencje u króla, uczyty i przyjęcia, gubernatorstwa, ekspedycje, przyjaciele...

...sądy, koszta, wyzwiska, oszczerstwa, pisma procesowe, starania o posłuchanie, wystawanie w poczekalniach i wierzyciele.

Miał wszystko, był na szczycie świata.

A teraz leżał tutaj, w tym małym, ciemnym domu na głębokiej prowincji, złożony nie to, że chorobą, ale zwykłą starczą słabością.

Została tylko ta jedna świeca paląca się przy jego łóżku, której chybotliwy płomyk przypominał Hernánowi jego własne życie: coraz słabsze, ulatujące w nicość z każdym oddechem.

Otworzył znów oczy, przekręcił głowę ku drzwiom. Przez zasnuwającą mu oczy mgłę dostrzegł, że w wejściu ktoś stoi.

– De Coria? – zapytał odruchowo, zupełnie machinalnie. – Mój chłopcze, podaj mi...

I urwał w pół słowa, kiedy rozpoznał człowieka.

Chciał się zerwać, usiąść na łóżku, wyskoczyć z pościeli, chwycić za wiszącą u wezłowia szpadę...

...ale jego ciało nie zrobiło żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego otworzył tylko szeroko oczy i łapiąc powietrze ustami, niczym wyrzucona na brzeg ryba, patrzył bezradnie na wchodzącego do jego sypialni mężczyznę.

Mężczyzn w zasadzie, bo było ich dwóch.

Jeden, który stanął przy drzwiach, o ciemnej, lekko czerwonej skórze, twarzy o egzotycznych rysach, poranej dziobami po ospie. Cortés miał wrażenie, że widział go kiedyś... Może nawet znał? Ta twarz była charakterystyczna, znajoma, i gdyby tylko wysilił szwankującą pamięć...

Lecz tego drugiego rozpoznałby zawsze i wszędzie.

Nie miał pojęcia, jak to możliwe, że tamten nie tylko się nie zestarzał, ale wręcz wyglądał młodziej. Jak gdyby cały świat wokół niego płynął wraz z nurtem czasu, a on po prostu wbrew wszystkiemu tkwił w miejscu.

Dokładnie taki jak wtedy, gdy widzieli się po raz ostatni.

Tamtej nocy na grobli prowadzącej do Tenochtitlán.

Zahred stanął przy łóżku Cortésa, popatrzył na leżącego w skotłowanej, przepoconej pościeli starego, schorowanego, niemającego nawet siły podnieść się człowieka. Poruszył palcami, kurczowo zaciśniętymi na stylisku spizowej siekiery.

– Obiecałem ci coś, Hernán – odezwał się, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego wściekłością gardła. – Dałem ci słowo, że pewnego dnia będę patrzył, jak umierasz.

Cortés aż się szarpnął i zaskamlał, kiedy Zahred nachylił się nad nim, poślinił dwa palce lewej dłoni – a potem wyciągnął rękę.

Zaskwierczał gasnący płomień świecy.

Zapadła ciemność.

## *Gdzieś na ziemiach Nowego Świata*

– Marina, długo jeszcze mam czekać?!

– Chwila, już idę! – odkrzyknęła kobieta, wychodząc z wiklinowym koszem pełnym prania przed dom.

Słońce świeciło wesoło, zalewając kamienne domki życiodajnym blaskiem.

Jaskółki wołały radośnie, ścigając się po lazuruwej tafli krystalicznie czystego nieba.

Delikatny wietrzyk wpadł w zaułek, skręcił w bramę wąskiego podwórka i poruszył suszącym się na sznurze praniem, którego olśniewającej bieli nie szpeciła nawet jedna plamka.

Kobieta z rozmachem postawiła kosz na ziemi, potrząsnęła gniewnie głową i wyszarpnęła pierwszą sztukę bielizny.

Strzepnęła ją wściekle, zarzuciła na rozpięty pomiędzy komórką a stodołą sznurek.

– Marina! Kobieto, gdzie ty się szwendasz? – doniosło się z domu.

– Już idę, mówię przecież! – wrzasnęła wściekle kobieta.

– Mam po to wino sam wstać?!

– Muszę drugą część prania rozwiesić przecież! Poczekaj... poczekajcie chwilę, panie mężu! – odkrzyknęła, a ciszej warknęła: – Obyś zdechł...

Dzień był niby piękny. Po bezkresie błękitnego nieba śmigwały jaskółki, nawołując się radosnym popiskiwaniami.

Gdzieś w miasteczku gdakały kury, ujadały na siebie psy.

Słyszać było gwar ludzi i przekrzykiwanie się dzieci.

Ale tutaj, na ciemnym i wąskim podwórku, ta radość była czymś niezmiernie odległym.

Bo gdzieś tam, poza murami tego domu, był otwarty świat. Świat ludzi, którym wystarczało to, co mieli – bo i nigdy nie

widzieli niczego więcej. Nie mieli więcej, nie pragnęli więcej. Nie marzyli o niczym więcej.

Ona zaś w pewnym momencie swojego życia miała wszystko.

Miała w swojej władzy Huēi Tlahtoāni, pod którego okazał się podszywać jakiś mało znaczący człowiek.

Miała już w garści Tenochtitlán, które miało przepaść, a zamiast tego zostało odbudowane pod władzą Hiszpanów.

Miała rządzącego tym wszystkim człowieka, caudilla Hernána Cortésa, którego fascynacja nią i miłość do niej tak samo szybko i płomiennie się zaczęły, jak nagle i nijako skończyły.

Miała – i po prostu straciła.

Teraz zaś ona, dumna Wysoka Trawa, ta, która niegdyś paktowała z samym Dymiącym Zwierciadłem, z wielkim Tezcatlipocą, tkwiła jako zwyczajna doña Marina na tym zapomnianym przez ludzi i bogów zadupiu.

Ubrana dzień w dzień w tę samą suknię, z brzuchem pomarszczonym od noszenia kolejnych cięż, ze sflaczałymi od karmienia dzieci piersiami. Z rękoma czerwonymi od pracy.

Zwykła, poślednia kobieta u boku zwykłego, pośledniego kapitana, któremu oddał ją caudillo, tak samo jak kiedyś ją sobie wziął.

I dlatego wieszała pranie z takim zapalem, wkładając w tę prostą czynność taką ilość gniewu, złości, gorzkiego rozczarowania, zawiedzionych nadziei, niespełnionych marzeń, że...

Zamarła nagle w pół ruchu, widząc rysujący się na kamienistej ziemi cień, którego jeszcze chwilę wcześniej tam nie było.

Upuściła mokrą koszulę z powrotem do kosza.

Wyprostowała się, przesunęła dłonią po wiszącym na szyi złotym paciorku.

– A zatem w końcu mnie odnalazłeś – powiedziała w przestrzeń, po czym obróciła się na pięcie.

Stali tak pośrodku ciasnego podwórka, patrząc na siebie w przestrzeni wypełnionej powiewającym, oślepiająco białym w promieniach słońca praniem.

– W końcu cię odnalazłem – niczym echo powiedział Zahred.

Malintzin rozciągnęła wargi w szerokim uśmiechu, ale jej spojrzenie pozostało lodowato zimne. Przechyliła na bok głowę, zmrużyła oczy.

– I co z tego, ostatni wysłanniku bogów? – zasyczała, rozkładając ręce. – Co ci z tego przyszło... Z tego wszystkiego? Z tych lat tułaczki, kiedy nie masz ani miasta, do którego możesz wrócić, ani bogów, którzy odpowiedzieliby na twoje modlitwy?

– Bogowie nigdy mi nie odpowiadali. Te ostatnie dwadzieścia, trzydzieści lat... To bez różnicy. – Zahred wzruszył ramionami.

– Nie zmieniłeś się.

– Czego nie można powiedzieć o tobie.

Po twarzy Malintzin przemknął bolesny skurcz.

Odruchowo wyprostowała się, złożyła dłonie na podołku, jak gdyby chcąc ukryć wyraźnie rysujący się po kilku ciężach brzuch.

– Czego chcesz, ostatni wysłanniku? Przyszedłeś tutaj, aby napawać się swoim rzekomym zwycięstwem?! – zaszepotała jadowicie. – Popatrzeć, do czego doprowadziła nas oboje twoja źle pojęta przebiegłość? Pewnie jesteś z siebie dumny! Przez ciebie, przez twoje żalosne sztuczki piąty krąg nie może się domknąć!

– Przyszedłem tutaj, aby widzieć, jak umrzesz! – warknął Zahred.

Malintzin skuliła się, strzeliła oczami w bok – ale zaraz wyprostowała się, zaśmiała mu prosto w twarz.

– Ty... ty żałosny sługusie! Nawet nie znasz zasad, nie pamiętasz, co ci powiedziano! Nie jesteś w stanie mnie skrzywdzić, nie możesz nawet tknąć mnie palcem! Nie pozwala ci na to twoja bogini!

– To prawda, nie mogę cię skrzywdzić – potwierdził Zahred, spuszczaając wzrok.

– Więc odejdz stąd, póki...

Podniósł głowę i spojrzał na nią spode łba, obnażając drapieżnie zęby.

– Ja nie.

Malintzin urwała w pół słowa, zaczerpnęła spazmatycznie powietrza.

Obejrzała się przez ramię.

Słońce świeciło wesoło, zalewając kamienne domki życiodajnym blaskiem.

Jaskółki wołały radośnie, ścigając się po lazuruwej tafli krystalicznie czystego nieba.

Delikatny wietrzyk wpadł w zaułek, skręcił w bramę wąskiego podwórka i poruszył suszącym się na podwórku praniem, na którego olśniewającej bieli czerwień się teraz szkarłatny bryzg krwi.

### *Gdzieś pośród gór i jezior Tlaxcali*

Rodrigo założył ręce za głowę i oparł się o nagrzaną słońcem, świeżo pobieloną ścianę domu z suszonych na słońcu cegieł.

Dzień był piękny, niemalże bezwietrzny i bezchmurny.



Ponad ośnieżonymi szczytami gór powolutku, leniwie płynęły białe baranki chmur.

Na poruszonym ledwie wyczuwalnym zefirkiem polu złociła się dojrzewająca kukurydza.

Indyki gulgotały, kręcąc się po obejściu; w drewnianych klatkach dokazywały włochate, tłuste chomiki *tozantōchtli*.

– Broń się! – wrzasnął mały Yaonolli, wyskakując zza rogu z drewnianym toporem. – Zaraz zginiesz, biały najeźdźco, a twoja Czerwona Gwiazda uleci ku bogom!

– To niesprawiedliwe... Tato, tatooooo! – zapiszczała dziewczynka, ściskająca oburącz miniaturową włócznie z nasadzoną zamiast grotu pecyną z włókien agawy. – Teraz Yaonolli miał być białym najeźdźcą, a Nececali wojowniczką Jaguara!

– Nieprawda! Yaonolli jest wojownikiem Orła, a Nececali będzie złą Malintzin!

– Nie, wcale że nie!

– Wcale że tak!

– Tatooo!

– Taaaatooo!

– No i co narobił Lotoliquo? – Z domu wyjrzała kobieta, pokręciła głową z dezaprobatą. – Znów naopowiadał swoim dzieciom głupot. Niech teraz rozsądzi, które z nich jest kim.

Rodrigo oderwał się od ściany, zmierzwił włosy chłopczyka i ucałował w czubek głowy dziewczynkę. Podszedł do kobiety, objął ją w pasie i uśmiechnął się.

– Wszyscy są obrońcami Tenochtitlán – powiedział, po czym pocałował ją.

Pierwsza nałożnica Iztapalapy, najwyżej ukwiecona Ihuicamina odwzajemniła pocałunek. Delikatnie, ale stanowczo odsunęła od twarzy jego rękę, przesunęła na przód pukiel siwiejących włosów, aby ukryć bliznę po oparzeniu.

Tym razem to ona pocałowała jego, ale potem, widząc, że dzieci bacznie ich obserwują, wykręciła się z objęć męża i potrząsnęła głową.

– Lotoliquo jest samą słodyczą, kiedy nie ma ochoty pracować, a czegoś chce. Ihuicamina mówiła mu: niech naprawi dach nad zagrodą. Niech załata dziurę w ogrodzeniu, żeby zwierzęta znów nie uciekły nocą.

– Jest tylko jedno, czego chce Lotoliquo – uśmiechnął się były arkebuzer.

– Tak? A co to takiego? – Kobieta przekornie przekrzywiła głowę.

Rodrigo rozłożył ręce, obejmując gestem krajobraz, pole kukurydzy, indyki, zagrodę, dzieci i kobietę.

– Właśnie to.

**KONIEC**

# Posłowie od autora

„Świat we krwi” miał być początkowo czymś zupełnie innym.

Gdy zaczynałem go pisać, założenie było takie, że będzie to jednotomowa historia o tym, jak banda odważnych, wyraziście zarysowanych awanturników dała radę siłą oręża, charakteru i wytrwałości podbić wielkie, nieruchawe imperium.

No cóż, nie udało się.

Widmo porażki zawisło nade mną już w połowie pierwszego tomu, gdy dotarło do mnie, że dam radę zawrzeć w nim niewiele więcej niż dotarcie ekspedycji Cortésa do Tenochtitlán – i to przy założeniu, że podejmę opowieść po hollywoodzku, rzucając czytelnika od razu w środek wiru wydarzeń.

Drugi tom jako tako spełnił pokładane w nim nadzieje, prowadząc mnie wprost ku tragicznej śmierci Montezumy i budując solidne podwaliny pod wydarzenia Noche Triste.

Trzeci zaś... Trzeci był ciągłą pracą edytorską, nieustanną walką z materiałem i docinaniem fabuły tak, żeby opowieść przypadkiem nie rozlała się też na tom czwarty.

Ponieważ – uwierz mi, osobo czytelnicza – spokojnie mogła.

I jakkolwiek mnie samemu trudno w to uwierzyć, ta historia wydarzyła się naprawdę.

Moje pierwsze wspomnienie związane z jej tematem jest dość traumatyczne: otóż skądinąd doskonale narysowany polski komiks „Hernán Cortés i podbój Meksyku” czytałem w wieku lat siedmiu z ciężkim sercem, będąc uziemionym w swoim pokoju po tym, jak przypadkiem ciśniętym kamieniem

rozbiłem koledze z podwórka głowę – dlatego też bardzo ekspresywny panel, na którym w taki sam sposób ginie Montezuma, tak bardzo zapadł mi w pamięć.

Nawet teraz, kiedy po tylu latach patrzę na plansze tej rysunkowej opowieści, jestem pod wrażeniem niemalże kronikarskiej precyzji, z jaką oddała ona w tak zwartej formie taki ogrom treści.

Próbując chociaż zbliżyć się do tego poziomu dokładności, przewertowałem, przeczytałem i zrobiłem notatki z setek stron materiałów źródłowych i opracowań.

Gdybym miał wymienić tylko kilka, to oprócz wspomnianego już komiksu „Hernán Cortés i podbój Meksyku” po prostu muszę oddać należną cześć cudownej epitomie „Podbój Meksyku” pióra Hugh Thomasa, będącej dla mnie głównym i nieocenionym źródłem informacji; niezrównanemu gawędziarzowi i krynicy złośliwych anegdotek, dobremu panu Bernalowi Díazowi del Castillo (tak, temu samemu, z którym rozmawiają ludzie Zahreda!), który w swoich „Pamiętnikach żołnierza Cortésa” opisał z pierwszej ręki całą wyprawę w najdrobniejszych, czasami wręcz nieproszonych i niepotrzebnych szczegółach; oraz bezcennemu „Kodeksowi Florentino” pióra franciszkanina Bernardina de Sahagúna.

Po przeczytaniu – całościowym, pobieżnym, jedno- i wielokrotnym – tych dzieł, zrozumiałem: nie zmieszczę się w założonej objętości. Po prostu nie ma takiej możliwości, żebym dał radę.

Dlatego też zupełnie świadomie i celowo pominąłem absolutnie POTWORNA ilość wątków.

Ledwie wzmianką zaszczyliłem ekspedycje poboczne, na które Cortés z uporem maniaka wysyłał swoich kapitanów.

W ogóle nie wziąłem pod uwagę aspektu geopolitycznego, kontaktów i wymiany listów z Hispaniolą, Kastylią, ojcem

Cortésa, jego sprzymierzeńcami, partnerami w interesach, krewnymi i innymi znajomymi królika.

Drastycznie ograniczyłem liczbę postaci, ich interakcji oraz zawilosci wzajemnych powiązań – starając się pamiętać cały czas (i nie zawsze odnosząc w tym sukces), że mimo wszystko piszę powieść beletrystyczną, starając się jednocześnie trzymać ram historycznych.

Owszem, zdarzyło mi się dokonać kilku nieznaczących przesunięć czasoprzestrzennych na linii bohaterów – chociażby tego, że cudownie barwny, o niewyparzonej gębie i będący przy tym (włącznie ze wszystkimi przekleństwami!) postacią stuprocentowo historyczną pan Alonzo Hernández Portocarrero zwyczajnie nie brał udziału w dużej części wydarzeń ekspedycji, ponieważ Cortés odesłał go do Europy z listami do króla... No ale jak można było odpuścić sobie tak cudowną postać?!

Jeśli tylko wiedziałem, że ktoś poległ – jak chociażby nasz jąkała, dobry pan de León – starałem się opisać jego śmierć w sposób tak wierny i prawdopodobny, jak tylko było to możliwe.

Gdzie o potencjalnie ciekawych postaciach historycznych i ich losach miałem informacji niewiele (jak na przykład o pani d'Estradzie albo hollywoodzkim wręcz, godnym starych filmów płaszczu i szpady przejęciu flotyli pana kapitana Barby u wybrzeża Vera Cruz), tam dokładałem siłą, aby wyciągnąć z nich jak najwięcej i w pewien sposób oddać sprawiedliwość bohaterom drugoplanowym, tak często przecież pomijanym, gdy mowa o wydarzeniach wielkich, podniosłych i wiekopomnych.

Z kolei szereg decyzji aktorów pierwszoplanowych, z Huēi Tlahtoāni Montezumą na czele, jawił mi się początkowo jako niezrozumiały albo wręcz niedorzeczny – i było tak, dopóki nie

uwzględniłem w ich podejmowaniu czynnika ludzkiego, emocjonalnego.

W takim ujęciu nawet zachowanie Montezumy (jakże często krytykowanego i pogardzanego za jego rzekome niezdecydowanie w początkowych stosunkach z Kastylijczykami!) staje się nagle w pełni zrozumiałe i zasadne, on sam zaś z postaci komiczno-groteskowej, w jakiej często jawi się nam, Europejczykom, wyrasta na władcę równie tragicznego, co wielkiego, bez mała głównego bohatera tej całej opowieści.

Nie wiemy, rzecz jasna, czy i na ile Montezuma wierzył Cortésowi, na ile przyjął jego nauki chrześcijańskie i czy faktycznie pojawiły się u niego tendencje, które dziś nazwalibyśmy „mesjanistycznymi”.

Pewne jest tylko to, że najbardziej cisnące się w ich relacjach określenie „syndrom sztokholmski” jest tu równie anachroniczne do opisywanych czasów, co boleśnie trafne.

W końcowych epizodach dramatu najwyższego króla (w końcówce drugiego tomu) pozwoliłem sobie nieco pozmieniać kolejność szeregu wydarzeń, aby zwyczajnie lepiej wpasowały się w bardzo mocno już osadzoną fabułę książki. Nie mają one aż takiego znaczenia dla dużej perspektywy rzeczy, a o wiele lepiej układały się w jednolitą narrację pod kątem bohaterów.

Zdecydowanie skróciłem też ostatnie akordy walki oblężonego, zagłodzonego i planowo niszczonego Tenochtitlán. W tym wypadku przyczyna była zupełnie subiektywna, niezależna od niczego poza mną samym.

Po prostu nie byłem już w stanie o tym pisać.

Nie mogłem dłużej nurzać się w rzezi, pożarach, okrucieństwie i bestialskiej nieludzkości tych, którzy mienili się ludźmi cywilizacji i kultury.

Nie miałem już siły opisywać śmierci kolejnych bohaterów, aktów równie heroicznej, co pozbawionej znaczenia odwagi, ogromu cierpienia i niepojętej wręcz skali zniszczeń.

Robiło mi się niedobrze na myśl o tym, że muszę to wszystko zobaczyć, usłyszeć, poczuć i niemalże dotknąć, odczuć na własnej skórze.

Wszystko dlatego, że dużo wcześniej autentycznie złamała mnie rzeź Choluli.

Od tamtego właśnie momentu razem z Zahredem coraz mocniej dryfowałem ku stronie Mexików, broniących swojej stolicy, wolności do życia wedle własnych obyczajów i tego, co w dzisiejszej Europie sami nazwalibyśmy „samostanowieniem” oraz „prawami człowieka”.

I przyznać muszę, że nie była to łatwa podróż. Bezustannie musiałem walczyć, walczyć zażarcie, aby utrzymać się w ramach wydarzeń historycznych, żeby opisać rzeczy tak, jak się wydarzyły naprawdę... I zakończyć to tak, jak się zakończyło.

Mimo że serce aż się rwało do tego, żeby stało się zupełnie inaczej, na odwrót.

Bo tak naprawdę nie jest to książka o podboju cywilizacji „niższej” przez „wyższą”, tej „bardziej” zaawansowanej, która rozdeptuje tę „mniej”. To historia gwałtownego spotkania dwóch zupełnie różnych, nieprzystających do siebie nawzajem światów, które wzajemnie odbierały swoją inność jako rodzaj słabości.

Tyle tylko, że jedna strona gotowa była w imię gościnności i dobrych obyczajów tę odmiennność-słabość tolerować, druga zaś chciała bezwzględnie, za wszelką cenę wykorzystać, wycisnąć do ostatniej kropli to, co postrzegała jako swoją przewagę.

Kultura Mexików była cudowna, wręcz olśniewająca. Bogata, różnorodna, przepiękna... Zupełnie odmienna, inna. Zresztą jak opisać ludzi, którzy zielone pióra quetzala cenili wyżej od złota, a wążanie kwiatów po posiłku uważali za wyrafinowany deser, stosowny dla ludzi z wyższych warstw społeczeństwa?!

Moje zaskoczenie jej istotą zamieniło się w trakcie prac nad książką najpierw w podziw, potem fascynację, a potem niczym nieskrępowaną miłość.

I potrafiłbym o tym pisać, pisać bez końca... Odkrywać kolejne aspekty, cieszyć się każdym obrazem, każdą ucztą, rozmową, opisem święta, fragmentem i odpryskiem tego, co zdołaliśmy uratować spod podkutego buta tępych, ograniczonych i zwyczajnie zaściankowych konkwistadorów.

Tak jak napisałem na wstępie: ta opowieść miała być o czym innym, ja zaś odkrywałem jej bieg ze zdumieniem i fascynacją nie mniejszą niż ta, którą miałem nadzieję wywołać w czytelnikach.

Stąd wszelkie zmiany, przekłamania i niedoskonałości – celowe oraz nie.

Tych niezamierzonych starałem się unikać, wynikają zaś po prostu z ogromu wiedzy, którą usiłowałem na miarę swoich sił okiełznać.

Co do tych czynionych z premedytacją, to przede wszystkim muszę przeprosić sprawiedliwość historyczną za to, jak zdecydowanie umniejszyłem rolę dwóch ostatnich faktycznych Huēi Tlahtoāni i następców Montezumy, a więc odpowiednio Cuitláhuaca oraz Cuauhtémoca.

Ten pierwszy pojawia się poniekąd epizodycznie, jako pretendent do tronu i potem (faktycznie nieobecny) dowodzący w nieszczęsnej bitwie pod Otumbą – która gdyby tylko potoczyła się inaczej, miała wszelkie szanse stać się równie



spektakularnym, co zasłużonym końcem ekspedycji Cortésa i samego caudilla. Śmierć Cuitláhuaca od zarazy była tak bardzo nieledwie kroplą w morzu koszmaru, który zalał wówczas całe imperium Mexików, że nawet o niej nie wspomniałem – podobnie jak o setkach, tysiącach innych.

Tego drugiego, a więc Cuauhtémoca, celowo i świadomie pominąłem – zupełnie nie pasował do biegu fabuły, bo jego miejsce w niej całkowicie i skutecznie zajął Zahred, a wrzucanie KOLEJNEGO bohatera o dziwacznym imieniu byłoby już tylko pastwieniem się nad czytelnikiem.

Oraz lektorem audiobooków, którego z tego miejsca serdecznie i z głębi serca przepraszam.

*(złośliwy chichot w tle)*

Jednak nawet przy opisywaniu tego, co powinno być rządami Cuauhtémoca, starałem się w miarę dokładnie trzymać narracji historycznej – łącznie z tym, że ostatni Huēi Tlahtoāni Mexików raczej nie brał osobiście udziału w walkach.

Dlaczego? Na ten temat źródła milczą. Być może przyczyną było to, że dla ludzi Imperium Słońca władca był – no cóż, właśnie tym: władcą. Wojownik zaś był wojownikiem. Rolą jednego było rządzić, drugiego – walczyć; nie wypadało mieszać w semantyce słów, każąc władcy uczestniczyć w boju. To częściowo tłumaczy, czemu pod Otumbą zamiast Cuitláhuaca dowodził w boju zastępca.

I stąd właśnie, z tego wyraźnego podziału na wojownika i władcę, wziął się Zahred, który od momentu swojej koronacji (o ile słowo to jest w ogóle adekwatne do rytu Mexików) może wydawać się nieco pasywny; zapewniam Cię jednak, osobo czytelnicza, że w porównaniu z tym, jaką „inicjatywą” wykazywali się następcy Montezumy, to nasz protagonista i tak jest istnym demonem aktywności.

Bodajże najmocniej zakrzywiłem losy młodego Xicotencatla, który nawet przy całej swojej niechęci do białych walczył wraz z resztą Tlaxcalteków u ich boku – w nagrodę za to zaś został przez Cortésa skazany na śmierć i powieszony wiosną 1521 roku, więc nie mógłby, będąc martwym, pomścić zagłady Tenochtitlán, w zastępstwie Zahreda zabijając Malintzin.

Malintzin, która zupełnie zgodnie z prawdą historyczną po prostu przepadła gdzieś w zawierusze dziejów.

Malintzin, która początkowo była dla Cortésa bezcenna, stanowiąc dla niego jakże ważny pomost lingwistyczny pomiędzy dwiema cywilizacjami.

Potem była potrzebna tak długo, jak była przydatna.

Po czym Cortés lekką ręką, wielkopańsko wręcz hojnym gestem oddał ją za żonę jednemu ze swoich towarzyszy, niejakiemu Juanowi Jaramillovi.

Ot, jak widać: miłość to dla niektórych rzecz nabyta i zbywalna.

Żeby było ciekawiej, Cortés gdzieś po drodze zdążył zrobić jej dziecko... Nota bene, mając już wtedy przecież żonę i syna. Tych samych, o których przelotnie, mimochodem wspomniałem na kartach książki – bo i nie sądzę, aby nasz caudillo poświęcił im podczas wyprawy więcej czasu w swoich myślach.

Żonę i syna, których jesienią 1521 roku, już od ponad roku mając za swoją stałą kochankę Malintzin, sprowadził do Nowego Świata i którzy oboje zmarli wkrótce po przybyciu w mocno zagadkowych okolicznościach.

Przypadek? Nie sądzę. Nie przy tej ilości złota i krwi.

Sam caudillo zdobytą podczas zagłady Meksyku fortunę – już i tak mocno uszczuploną po wydarzeniach Noche Triste – w typowo utracjuszowsko-nuworyszowski sposób roztrwonił na kolejne ekspedycje, wystawne rezydencje i życie ponad stan.

W końcu, udręczony kolejnymi procesami sądowymi, tonący w długach, zmarł w niełasce i zapomnieniu.

Nie odnalazł też nigdy zaginionych skarbów Montezumy, prawdopodobnie zatopionych w odmętach jeziora na rozkaz ostatniego Huēi Tlahtoāni, który nawet na torturach nie wyjawiał swoim oprawcom tajemnicy miejsca ich ukrycia – i zabrał ją ze sobą na tamten świat, aby złożyć niczym najcenniejszy klejnot u stóp bogów.

Jak widać, Pánfilo de Narváez miał jednak częściowo rację: „Cortesuñcio” mógł otaczać się przepychem i osiągać cudzymi rękami sukcesy, ale w głębi ducha zawsze pozostał tym małostkowym, zaściankowym dorobkiewiczem z prowincji.

Co do wysługiwania się innymi, to wspomnieć tu należy, że Cortés nigdy nie zwrócił Martínowi Lópezowi ani grosza z wydatków poniesionych przez cieślę z jego własnej kieszeni na budowę brygantyn, dzięki którym możliwe stało się zdobycie Tenochtitlán.

Caudillo nie oddał też walczącym dla niego ludziom złota, które ci przekazali „do wspólnej kasy” po wydarzeniach Noche Triste.

Czy kogoś to jeszcze w ogóle dziwi? Bo mnie ani trochę.

Nie zaskakuje też nieludzkie, zimne okrucieństwo i wyrachowanie rzezi w Choluli ani potworności pacyfikacji Tenochtitlán, przy których pisaniu miałem przed oczami sceny doskonale znane z o wiele bliższych nam czasów i miejsc.

Niezależnie od czasów ludzie pozostają zawsze tacy sami – niestety.

I na szczęście.

Właśnie o tym jest ta opowieść.

PS

Szczerze polecam poczytać o Wielkiej Bogini z Teotihuacán, zwanej też po prostu Pajęczycą, a przy okazji pochylić się nad kwestią przypadkowego odkrycia w 2003 roku pod położoną właśnie tam świątynią Pierzastego Węża tunelu, odsłoniętego w wyniku osunięcia się ziemi po ulewnych deszczach. Nie ośmieliłbym się sam wymyślić czegoś aż tak epicko fantastycznego.

Jakie to wygodne, że rzeczywistość usłużnie wyręcza nas w tworzeniu najlepszych historii.

*Z najszczerzszymi, z głębi serca podziękowaniami dla Aty Rogowiec, bez której ta książka nie byłaby nawet w połowie tak dobra i kompletna, ja zaś dawno pogubiłbym się w tym, kto pojechał dokąd, kto zabił kogo i kto jak miał na imię.*

*Dziękuję Ci, Ata – jesteś niezastąpiona i najlepsza, a Twoje trzydzieści stron notatek do tej trylogii zasługuje na wydanie jako osobna broszurka.*



## **Michał Gołkowski**

Człowiek orkiestra.

Z wykształcenia lingwista, z zamiłowania historyk wojskowości i antropolog kultury. Z zawodu tłumacz języka angielskiego i rosyjskiego, bez skrępowania poruszający się po

ministerialnych, sejmowych oraz telewizyjnych korytarzach i strefach VIP.

Jako pisarz zadebiutował w 2013 roku książką *Ołowiany świt* i od tego czasu wydał rekordową ilość 27 książek osadzonych w 7 różnych uniwersach!

Wszystko zaczęło się od lektury książki *Ślepa plama* Wiktora Noczki, którą Michał przetłumaczył zresztą później na język polski. Pomysł na własną historię kiełkował, a gdy dojrzał, Michał napisał swoją pierwszą powieść w zaledwie półtora miesiąca! A potem przekonał Fabrykę Słów, by tę książkę wydała, i tym samym stał się dumnym ojcem polskiego S.T.A.L.K.E.R.a. W tamtym momencie nastąpiło zwolnienie blokady maszyny losującej i od tego czasu Michał składa w wydawnictwie dwie, trzy książki rocznie. I nie są to same historie z Fabrycznej Zony! Jego książki krążą pomiędzy tematyką stalkerską, alternatywną historią czy fantasy. Jednak bez względu na gatunek styl „Gołkosia” pozostaje niezmiennie smakowity. Jego książki są przepełnione czarnym humorem i absurdem, a pojęcia świętości Michał zdaje się nie uznawać.

Szczególnie widać to w serii Komornik, nawiązującej do biblijnej Apokalipsy. Natychmiast po wydaniu uznana ona została za obrazoburczą i wzbudziła wiele głosów protestu, równocześnie zyskując jednak rzesze zachwyconych czytelników. Zresztą kontakt z fanami jest kolejną rzeczą, która wyróżnia Michała na rynku wydawniczym. Mało jest autorów równie jak on aktywnych i otwartych. Można go spotkać na większości konwentów fanowskich, na licznych spotkaniach autorskich i nigdy nie jest zbyt zajęty na chwilę rozmowy czy podpisanie książki. Bez względu na to, czy prezentuje się akurat w garniturze, czy w stalkerskim szpeju, zawsze możecie śmiało

podejść i zagaic. Nie wiemy nic o tym, by kiedykolwiek kogoś ugryzł.



**SROGIE  
DODATKI  
DO ULUBIONYCH  
LEKTUR**



**ZAMAWIAJ NA  
WWW.STEELHOG.PL**



# ŚWIAT WE KRWI

TOM 3



**T**enochtitlán płonie.

**M**exikowie powstają do straceńczej walki przeciwko białym. Już nie „przybyszym”, ale „najeźdźcom”.

**N**a wojny i sprawy ludzi z wolna opada sieć utkana przez bogów, którzy splatają losy ludzi, miast i całych narodów. Mgliste i dwuznaczne przepowiednie nagle stają się jasne: zbliża się koniec. Świat utonie we krwi.

**J**est już za późno, aby odmienić bieg wydarzeń. Można jedynie pozostawić po sobie ślad w historii.

**I**mperium upada, posągi bogów drżą, piramidy chwieją się w posadach: oto wypełnia się to, na co czekali kapłani!

**Z**przedwiecznego mroku, z miejsc dawno zapomnianych, z legend i przesądów wypełza Jadeitowy Pająk.